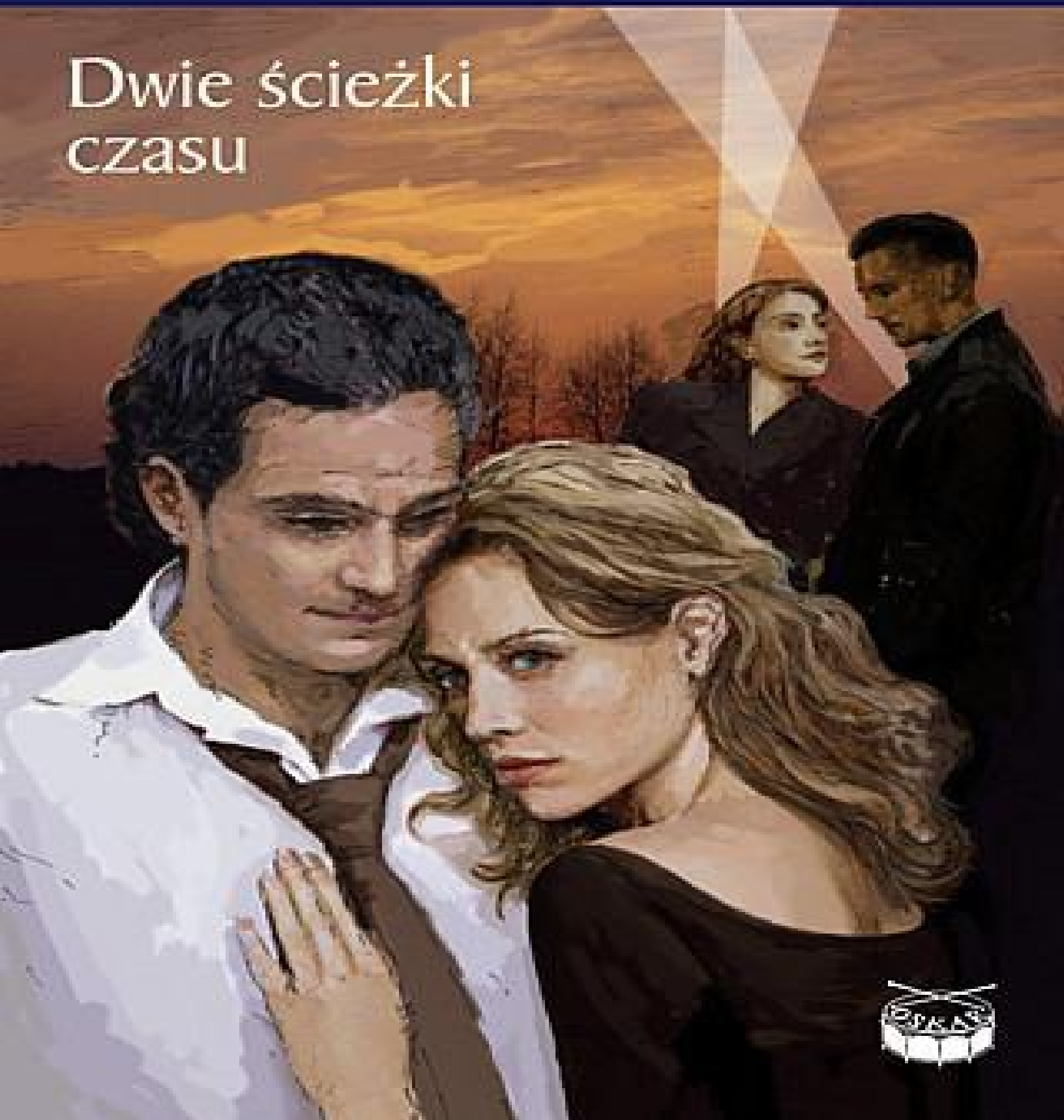


Stanisława Fleszarowa-Muskat

Dwie ścieżki
czasu



Stanisława
Fleszarowa-Muskat

Dwie ścieżki
czasu



STANISŁAWA FLESZAROWA-MUSKAT

DWIE ŚCIEŻKI CZASU

Wydawnictwo Ministerstwa

Obrony Narodowej

Okładkę i stronę tytułową projektował J CEZARY ZAMOJSKI Redaktor

BARBARA WASILEWSKA-KASPRZAK

Redaktor techniczny GRAŻYNA WOŹNIAK

©Copyright by Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1990

ISBN 83-11-06759-7

— Więc pan jest synem Lucia — mówi jeszcze raz, z trudem dobierając włoskie słowa, a on kłania się ponownie i powtarza: — Renato Finecci, Finecci junior. Wybra-

łem się do Polski w sprawach zawodowych, ale ponieważ' ojciec prosił, żebym odnalazł grób Francesca... — Milknie na chwilę i patrzy na długie rzędy grobów, tak podobnych do siebie, jakby żołnierska śmierć była przede wszystkim posłuszeństwem i równaniem do szeregu, niczym więcej; zwraca znów oczy na twarz kobiety. — Grób Francesca i panią... Ale tam, gdzie ojciec mnie skierował, nikt nic nie wiedział !

— To przecież już tyle lat — mówi kobieta cicho.

— Czas omija miejsca, które wspominamy. — Chciał powiedzieć: miejsca i ludzi, ale tej, która stała przed nim, czas nie ominął, więc zawstydził się sam przed sobą fra-zesu, być może dobrego w literaturze, ale fałszywego w życiu. Było w niej jeszcze to wszystko, co usiłował przekazać mu ojciec w swojej jakby skrępowanej zbyt żywą pamięcią prośbie: uroda, wyraźna i dzisiaj, miękka łagodność, spokój, wielka cisza; ale jednak była to kobieta wiele wiedząca o życiu, lata jej nie omijały, szły przez nią, tratowały ją i miażdżyły, widział to w jej oczach, kiedy patrzyła na niego. — Sophia!

— mówi cicho, powtarzając usłyszane od ojca imię — Sophia!

Drgnęła. Podniosła dłoń w rękawicze, dotyka nią ust, policzka, usiłuje odgarnąć z czoła włosy, choć wiatr ich nie poruszył. — Nie, nie — mówi głosem, który go zdumiewa.— To naprawdę tyle lat...

Pochyliła się, poprawia coś przy grobie, tak bardzo podobnym do innych, włączonym w szeregi, bataliony i pułki. On pochylił się także, zaskoczony nagłym ściś-

nięciem w gardle. Numery..., myśli, tylko znając numer można tu trafić... Nie miał

zamiaru ulegać nastrojom, które i tak — jak sądził — ewokowano zbyt często przy lada okazji. Przyjechał tu zniecierpliwiony prośbą ojca, prawie zgorszony niemodnymi sentymentami, na jakie sobie ojciec pozwalał mimo weekendów w Ostii z coraz to in-ną dziewczyną. A jednak te długie szeregi prostokątnych, równo przyciosanych wzgórków, te krzyże jaśniejące w słońcu miodową barwą drzewa nie wydają mu się teraz odległą przeszłością, tylko przeszłością... Głupiejesz, stary, myśli. Ale jednak zapamiętaj to sobie. Już wiesz, że coś takiego może człowieka zaskoczyć. Może kiedyś ci się to przyda. — Ojciec kochał go jak brata — mówi do kobiety, która zdjętą rękawiczką przeciera zmatowiałą od kurzu i deszczu tablicę, przybitą do niskiego krzyża. FRANCESCO PARINI, wydrukowano na niej takimi samymi literami, jak na innych tablicach, dodając dwie daty, które w zyciorysie ma każdy człowiek, i każdy człowiek inne.

Kobieta odwraca głowę i patrzy na niego w milczeniu. Strzepuje rękawiczkę i wsuwa ją na dłoń.

Chciał zapytać, czy często tu przychodzi — grób był czysto utrzymany, ale tak samo utrzymane były wszystkie groby, zaniechał więc tej myśli i w popłochu usiłuje sobie przypomnieć polecenia ojca, którymi go obarczył na wypadek, gdyby udało mu się ją odnaleźć.

— Cieszę się — mówi kobieta dopiero teraz — że zachował go w pamięci. Jego, mnie, wszystko.

Nad ogromnym cmentarzem żołnierzy włoskich, poległych w absurdalnej, nie swojej wojnie, z dala od ojczyzny i jeszcze dalej od jakiegokolwiek sensu, który mógłby to usprawiedliwiać, unosi się mgła pierwszej, wiosennej zieleni. Posadzone tu drzewa rosną bujnie, odżywiane bogatymi sokami tego miejsca, i Renato, który na to patrzy, myśli, że Francesco Parini, nie znany przyjaciel jego ojca, jest może teraz młodymi liśćmi brzozy, że co roku staje się młodymi liśćmi brzozy i że naprawdę nie trzeba pragnąć więcej.

— Chodźmy — mówi kobieta.

Ruszył za nią, starając się wywnioskować z ubrania i sposobu bycia, kim była, kim była teraz i przez te wszystkie lata, kiedy on się urodził, rósł i zaczynał rozglądać się po świecie, nic o niej nie wiedząc poza tym, że pozwoliła mu się urodzić, ratując życie jego ojcu. Zamiast jeździć na weekendy do Ostii ojciec leżałby teraz obok Francesca, ale myśl o tym, że mógłby być młodymi liśćmi brzozy, nie wydaje mu się już tak po-godna, tak pogodzona z wielkim przemiałem natury.

Wiedział, że będzie musiał poświęcić jej trochę czasu, skoro jednak ją znalazł, skoro powiedział jej, że ojciec... Co za bzdura, myśli, dwadzieścia siedem lat po wojnie! Świat nigdy nie potoczy się naprzód we właściwym tempie, dopóki ludzie nie zrezygnują z pamięci, tego najgorszego z hamulców, który nie pomaga wcale unikać katastrof.

Na parkingu przed cmentarzem, gdzie postawił swoje ferrari, stał jeszcze jeden wóz. Przy otwartych drzwiczkach siedziała w nim dziewczyna, grzejąc na słońcu wysoko odsłonięte nogi. Dzień był czysty jak szkło i jak szkło zimny, Renato nie znał

takich wiosen w swoim kraju. Mógł od razu posiedzieć coś na ten temat, ale nie za-chęciła go niczym, choć oceniła spojrzeniem wóz — i jego — był tego pewien. Ze wzgórza, na którym leżał cmentarz, widać było bramę i stojące przed nią samochody

— nie wiadomo dlaczego wiązał jakąś nadzieję z tym, że ona tam wciąż jest, że czeka, że można ją jeszcze w jakiś sposób zatrzymać...

Ale szedł wysypaną żwirem alejką za milczącą kobietą, którą ojciec kazał mu odszukać, którą wreszcie przypadkiem spotkał i która miała teraz przekreślić tę nedorzeczną nadzieję. Ile czasu mu zajmie? I gdzie odbędą tę rozmowę? Przed cmentarzem? W aucie? Na ławeczce przy wejściu?

Kobieta, nie zatrzymując się, odwraca ku niemu głowę.

— Od dawna pan w Polsce?

— Od tygodnia.

— Na długo?

— Pojutrze wyjeżdżam.

— Gdzie się pan zatrzymał?

Wymienił nazwę hotelu i wydaje mu się, że przyjęła to jakby z ulgą, może dręczy-

ła ją myśl, że będzie musiała udzielić mu gościny. Samochód, w którego otwartych drzwiach wygrzewała się na słońcu długonoga dziewczyna, stoi wciąż na parkingu przed cmentarzem. Przyśpieszył kroku i, żeby to usprawiedliwić, chwyta łokieć kobiety — niedawny deszcz wyłobił w alejce głębokie koleiny.

Podniosła ku niemu oczy, uśmiechnęła się z wdzięcznością, i w tym momencie po raz pierwszy zawstydzona prośba ojca nie wydaje mu się -dziwactwem. Mimo to postanawia wykorzystać szansę, którą wciąż jeszcze ma: dziewczyna ruszyła się ze swego miejsca w samochodzie i zaczęła przecierać ściereczką przednią szybę, czyniąc to przygląda się jej pod słońce. Wiatr rozwiewa jej długie włosy. Jeszcze dwa dni w Polsce, myśli Renato, całe dwa dni... — Musimy porozmawiać — zaczyna pośpiesznie.

— Ojciec by mi nie wybaczył, gdybym się nie dowiedział, co działo się z panią przez te lata... Czy moglibyśmy się spotkać jutro w kawiarni hotelu?

— Jutro? — Kobieta przystaje, ale nie oswabadza łokcia z uścisku jego palców. —

Ależ ja pana zaraz zabieram do siebie. Ma pan tylko dwa dni, żeby to wszystko zobaczyć.

— Wszystko? — pyta zaniepokojony.

— Przecież musi pan tam pojechać. Ojciec nie mówił panu o Olszance?

— Mówił. Byłem tam, najpierw tam się udałem. Nie dowiedziałem się niczego.

Owszem, pamiętali, ale nikt nie umiał mi powiedzieć, dokąd pani wyjechała po wojnie.

Teraz ona bierze go pod rękę i przynaglając prowadzi ku bramie. Dziewczyna przy samochodzie zaniechała czyszczenia szyby i trzymając wciąż na niej rękę, patrzy nieruchomo w ich stronę.

— Pojedzie pan tam ze mną — mówi kobieta z rosnącym ożywieniem. Oczy jej rozbłyły, na policzkach pojawił się rumieniec. — Pojedzie pan tam ze mną jeszcze raz. Wszystko panu pokażę. Każde miejsce. Wstydzę się... — dodaje po krótkim milczeniu — ale nieczęsto tu zaglądam. Kiedy zakładano tu ten cmentarz, załatwiłam przeniesienie zwłok Francesca z tamtego grobu w Olszance, ale potem przyjeżdżałam tu nawet nie co roku. Życie tak płynie — przymyka na chwilę oczy — tak płynie... A dziś namówiła mnie na tę wycieczkę Agnieszka, moja córka, miała coś do załatwienia w tej okolicy. Zajmuje się ceramiką, a tu podobno są jakieś cudowne gliny. — Znowu jest ożywiona,

znovu oczy jej błyszczą, a głos staje się jasny i młody. — Cieszę się, że pan pozna Agnieszkę. I jej także należy się nagroda za to, że mnie tu dziś przywiozła.

Prowadzi go ku samochodowi, przy którym długonoga dziewczyna, dziewczyna o rozwianych jasnych włosach, ostatecznie rezygnuje z czyszczenia szyby, wrzuca ściereczkę w głąb wozu i czeka na nich w napiętym zdumieniu.

Renato czuje się sparalizowany jej uważnym spojrzeniem, intensywnością zawar-tego w nim pytania.

— Ja również... ja również bardzo się cieszę — mamrocze, choć dziewczyna jeszcze go nie słyszy.

— Agnieszko! — woła matka. — Wyobraź sobie, kogo spotkałam... kogo spotka-

łam przy grobie Francesca... Pan Renato Finecci, syn Lucia. Pamiętasz przecież...

opowiadałam ci tyle razy.

— Ależ pamiętam — dziewczyna rusza się ze swego miejsca, wyciąga ku niemu rękę. Mówi również po włosku, dużo lepiej niż matka. — Nie jest tak ładna, jak to sobie wyobrażał z daleka, ale jest w niej jakiś urok, cudownie młode zdrowie, wspaniałe zęby, włosy, skóra. Uśmiecha się. — Ma pan świetny wóz!

Renato skwapliwie odwzajemnia ten uśmiech.

— Niezły.

— Ile pan na nim wyciąga?

— Na autostradzie, jak trzeba, sto osiemdziesiąt.

— A jak nie trzeba?

— Przeciętnie sto czterdzieści.

— Ba! — dziewczyna cmoka nie tyle z podziwem, co z żalem i patrzy na ferrari, zakurzone i prezentujące się akurat nie najlepiej po długiej podróży.

— Agnieszko! — Matka kładzie jej dłoń na ramieniu. — Pan Finecci szukał

mnie... jego ojciec prosił... Lucio prosił, żeby mnie odszukał. Był nawet w Olszance, ale tam oczywiście niczego się nie dowiedział.

Agnieszka, przechyliwszy głowę, przygląda mu się z niedowierzaniem.

— I po to tylko przyjechał pan do Polski?

— Nie... — Renato nie wie, czy to dobrze, czy źle, że zaprzecza — to jest... nie tylko po to. Jestem

drugim reżyserem przy filmie, który częściowo ma być kręcony w Polsce. SzeF — wymienia nazwisko znane Agnieszce z prasy filmowej — wydelegował mnie w tej sprawie. Chodzi o plenery, aktorów, o zawarcie odpowiednich umów...

— Film w Polsce? — Agnieszce rozbłysły oczy.

— Na razie to tylko wstępne kroki. Ale ucieszyłem się z tej propozycji, wiedząc, co ten przyjazd będzie znaczył dla ojca... — Oczywiście komponuje to wszystko w ostatniej chwili i skłania się nawet głęboko przed kobietą, która tak długo przetrwała w pamięci ojca, bo wydaje mu się, że usuwana jest wciąż z tej rozmowy, że coraz mniej ma okazji, żeby w niej uczestniczyć.

— I gdzie pan wybrał plenery? — pyta Agnieszka.

— Kochanie! — Matka znowu dotyka jej ramienia. — Zaprosiłam pana Finecci do nas, porozmawiamy spokojnie, a jutro chyba z samego rana ruszymy do Olszanki, jeśli oczywiście ma pan ochotę i dysponuje pan czasem.

Renato skłania się ponownie, tym razem przed matką i córką.

— Będę szczęśliwy.

Usiłuje obydwie panie obdarować intencją tych słów, ale tylko w oczy jednej patrzy z niepokojem: czy pojedzie także? Czy zechce? Czy będzie mogła?

— Tak to jest z kobietami — mówi Agnieszka zamiast tego, czego oczekiwał —

ledwie ojca wywiało z domu, mamusia z miejsca podrywa sobie młodego cudzoziemca z czerwonym ferrari. Będzie cię to drogo kosztowało, żebyś nie wypaplała wszystkiego ojcu.

Miał to być żart, ale się nie udał. Śmieje się tylko Agnieszka, rozbłysłymi oczyma zerkając ku matce. Ona rumieni się gwałtownie, i Renato nie może oprzeć się uczuciu, że to ona właśnie jest dziewczyną wchodzącą dopiero w życie, nie znającą jeszcze wszystkich jego smaków.

— Mąż będzie ogromnie żałował, że nie miał okazji pana poznać — mówi cicho.

— Lucio... pana ojciec, na pewno pamięta go tak samo, jak mnie i... śmiesznie mówić o tym po tylu latach... zawdzięcza mu równie wiele.

Renato znowu się kłania, nie wie, co by właściwie należało teraz powiedzieć —

pamięta mgliście z opowiadań ojca jakichś mężczyzn wokół tej kobiety, mężczyzn, którzy go leczyli, nosili i ukrywali, najpierw w lesie, później w jakichś stogach i stodołach, ale nic "bliższego nie może sobie przypomnieć, nawet żadnego imienia.

— Mąż niestety nie wróci przed pana wyjazdem — kończy kobieta. — Obowiązki służbowe. Będzie bardzo żałował.

— Mam nadzieję, że nie jestem po raz ostatni w Polsce — Renato patrzy w twarz dziewczyny, starając się odgadnąć jej jutrzejsze zamiary. Nie chce mu się bez niej jechać do tej jakiejś Olszanki. Był tam zresztą przed trzema dniami, okolica wydała mu się nieciekawa, dolina Wisły, przetrzebione lasy, dopiero wiele kilometrów za nimi zaczynały się te, o których krążyły legendy.

— No to jedziemy — mówi Agnieszka. — Czasu szkoda! — I dodaje: — Żeby mama umiała sama prowadzić, pojechałabym z panem. Pozwoliłby mi pan usiąść za kółkiem?

— Oczywiście — zapewnia Renato żarliwie. — Ale jutro na pewno znajdzie się okazja...

Dziewczyna kręci głową. — No, nie wiem...

— Będzie pan musiał jechać za nami — przerywa matka, wsiadając do samochodu.

Agnieszka wybucha śmiechem, śmieje się ładnie i wie o tym. — Obawiam się, że pan to źle zniesie. Skoda to nie ferrari, a w dodatku mam prawo jazdy dopiero od pół

roku.

W samochodzie, ledwie ruszają, od razu pyta: — Podobny do swego ojca?

Matka nie odpowiada przez długą chwilę. — Nie. Chyba nie.

— Co to znaczy „chyba nie”?

— Właśnie się zastanawiam. Lucio był wyższy i szczuplejszy...

— Dlaczego mówisz „był”?

— Kiedy był młody. Teraz go przecież nie widziałam. Wyższy i szczuplejszy...

Inny. Wtedy wszyscy mężczyźni byli inni.

Uwagę Agnieszki zajmuje na długi czas wyprzedzanie potężnej chłodni, tarasują-

cej środek drogi. Kiedy jej się to wreszcie udaje, usiłuje pogrozić kierowcy, choć on nie może tego dostrzec. Dopiero potem mówi: — Nie mogłabym się zakochać w żadnym takim chudzielcu. Och, przepraszam! Nie masz poczucia humoru w tych swoich dawnych sprawach. Dlaczego nic nie mówisz?

— Zastanawiam się właśnie, czy naprawdę są takie dawne... Pojedziesz jutro z nami?

— Chyba nie mogę. Wiesz, że umówiłam się z Teresą. Musimy popracować, ona ma jakieś nowe projekty. Prawdopodobnie dostaniemy zamówienie na tę ścianę w mi-nisterstwie. To by było coś! W małej formie nie można niczego rozwinąć, rysunku ani barwy...

— Nie narzekaj, twoje plakietki były bardzo udane.

— Nie narzekam, ale wreszcie chciałabym pokazać coś więcej. Na szczęście te koszarne malowidła na ścianach już się skończyły. Mozaika też się przejadła. Zaczyna się wielka era gliny!

— Myślę jednak, że powinnaś pojechać.

— Dlaczego?

— Nie przeszło ci przez myśl, że jeszcze nigdy nie byłaś w Olszance?

— To zależało tylko od ciebie.

— Kiedy byłaś mała, nie było sensu cię tam wieźć. A potem nie wyraziłaś nigdy ochoty, żeby tam pojechać.

— Daleko i nie po drodze.

Zofia znowu milczy. Patrzy na pnie drzew, nadbiegające z przestrzeni. Próbuje je liczyć, myli się, zaczyna od nowa. Daleko i nie po drodze, powtarza sobie powoli w myślach słowa córki. Jest w tym jakaś racja, niedobra i lekceważąca, młoda racja wy-bierania z życia tylko tego, co potrzebne. Ale kto w końcu wie na pewno, co człowiekowi jest potrzebne? Olszanka... wieś omijana przez ludzi i chyba także niezbyt wy-rażnie zaznaczona przez Boga na jego niezmiernych mapach. Jak to się stało, że nigdy nie pojechała tam z Agnieszką (nie z Heleną, tylko z Agnieszką mogła tam pojechać), że dopiero ten obcy człowiek... nie, nie on... Lucio, stamtąd, z daleka, przypomniał jej, że jeszcze istnieje, że można w niej odnaleźć znajome miejsca, zastać dawny czas.

— Jedzie za nami tak blisko — odzywa się Agnieszka — że boję się hamować, żeby nas nie stuknęła.

Czerwone ferrari dotyka prawie bagażnika skody, ale młodemu człowiekowi, któ-

ry je prowadzi, nie wydaje się to niebezpieczne. Ma wciąż przed sobą jasną głowę dziewczyny, jej ruchliwe włosy, rozwiewane przez wiatr, wpadający do wozu przez nisko opuszczoną szybę. Pojedzie jutro czy nie...? myśli. Powiedziała: Nie wiem... Ale dziewczyny często tak mówią, nawet wtedy, kiedy są czegoś najzupełniej pewne. Mo-

że jest właśnie kimś zajęta i dlatego powiedziała: nie wiem... To zresztą rzadko dziś bywa przeszkodą. Zastanawiał się, czy nie jest mężatką. Nie miała obrączki na palcu, od razu zwrócił na to uwagę. Kobiety zawsze noszą obrączki, jeśli mają do tego prawo. Może wiedzą, że to zachęca mężczyzn. Ale nie... nie chciałby, żeby była mężatką.

To by było okropne, gdyby właśnie dziś rano wstała z łóżka... Nie, co za myśli! Niech nie będzie mężatką! Niech jeszcze nie wie, niech jeszcze nie umie. Idioto! — mówi do siebie na głos. — Teraz nie ma takich dziewcząt. Nigdzie. Także i tutaj.

— Dobrze by było utrzymać ten kontakt — mówi do matki Agnieszka.

— Jaki kontakt?

— Z nim. Z nimi. Może by nas zaprosili do Włoch...

— Raz już byłaś. Postaraj się mieć drugą wystawę, to coś lepszego niż takie zaproszenie.

— Nie pogardziłabym żadnym pobytem we Włoszech. A ostatecznie, jeśli ten człowiek tyle ci zawdzięcza...

— Agnieszko!

— Sama mówiłaś!

— Teraz żałuję.

— Pewnie tego nawet nie zauważył. Ale tamten chyba pamięta.

— Przestań mówić na ten temat.

— Oczywiście, że nie robiłaś tego licząc na wdzięczność i ewentualny rewanż.

— Trudno by dziś było znaleźć do niego sposobność. W jakich okolicznościach można dziś uratować komuś życie?

— No więc jasne, że rewanż musi polegać na czymś innym.

— Powiedziałam ci: przestań o tym mówić.

— Ale dlaczego? Nie dziwacz. To by była bardzo piękna podróż. Głowę daję, że jeśli jutro opowiem o wszystkim Teresie, ona od razu pomyśli to samo. Że powinien nas zaprosić. Ciebie i mnie. I, że na pewno to zrobi.

— Nie waż się go prowokować.

Agnieszka wysuwa dolną wargę, mściwie milczy przez chwilę. — To ty mnie teraz sprowokowałaś: nie jadę jutro.

— Jak zawsze, zrobisz, co zechcesz.

Renato zakłada słoneczne okulary, rozpina pod brodą koszulę. Słońce praży przez szybę niczym w lecie. Nie może jej opuścić, jak zrobiła to dziewczyna przed nim, lodowaty powiew wiatru przeraża go. Nigdy bym się nie przyzwyczaił do tego klimatu, myśli. Dobrze, że ojciec wiedział, jakie są wiosny w tym kraju, i kazał mu się odpowiednio ubrać. Wiosny! A zimy? Jak on to zniósł? Jak to przetrzymał? Opowiadał, że jeszcze przed czterdziestym trzecimi we wszystkich okolicach, przez które przechodzili, wyginęły wszystkie koty. Polskie myszy i szczury wiele zawdzięczały w tym czasie włoskiej armii. Pod każdym żołnierskim płaszczem kryła się łaciata, bura, ruda albo czarna skórka. Kiedy był mały, płakał, słuchając tych opowieści. Matka, której ojciec dosłużył się rangi pułkownika, ale nie na froncie, tylko gdzieś wysoko, przy samym Mussolinim, nie wyzbyła się nigdy sposobu myślenia nabytego w dzieciństwie i dumna była, że przejmuje go tak los włoskich żołnierzy.

Ale on płakał nad katami, poległymi na wojnie, i jakby mogło to coś zmienić i naprawić, przygarniał do domu każdego miauczącego przybłądę.

Dziewczyna w skodzie zapaliła papierosa. Pali sama, matka siedzi z odchyłoną do tyłu głową, może śpi, może myśli nad tym, co ze wspomnień, które zachowała, nadaje się do przekazania — bo chyba nie wszystko, człowiek nigdy nie oddaje wszystkiego, nie wyprzedaje się do końca. Czy ojciec przynajmniej się z nią przespał? Tego nigdy od niego się nie dowie. Omijał zawsze ten temat, choćby ze względu na matkę, która czekała na niego przez całą wojnę, ze wściekłym uporem kobiety namiętnej i wiernej, źle znoszącej rozłąkę. Tego więc się nie dowie. A czego właściwie mógłby być jeszcze ciekaw?

— Dąszasz się? — pyta Agnieszka, gładząc kolano matki.

— Co ci przychodzi do głowy?

— Bo tak zamilkłaś.

— Zamyśliłam się.

— Wyobrażam sobie, że masz nad czym. Zjawia się nagle facet i trzeba się z nim czymś podzielić. Takie masz uczucie? Przyłapałam cię.

— Nie przyłapałaś mnie. I co to za określenie?

— Bo nieraz mi się zdawało, że wracasz tam myślami. O wiele częściej niż ojciec.

Zofia spogląda w boczną szybę. W krótkich ułamkach sekund, gdy przepływają przez nią czarne pnie drzew, widzi w niej swoją twarz.

— Ojciec nie ma tam po co wracać — mówi cicho. — Wszystko zabrał ze sobą.

A ty? chce zapytać Agnieszka, ale rezygnuje z tego.

Silnik ferrari krztusi się i prycha, jakby narzucona mu powolność była obelgą, z którą nie ma zamiaru się pogodzić. Renato nie zdejmuje nogi z hamulca — jazda zapowiada się koszmarnie. Dziewczyna jest wyraźnie początkującym kierowcą, ponadto świadomość, że on jedzie za nią, że obserwuje jej manewry, musiała ją dodatkowo peszyć. Mam nadzieję, że nie wpakuje się do rowu, pomyślał. Pięknie by się zakończyła.

czyła ta misja, którą mu ojciec powierzył! Przynajmniej nie powinna rozmawiać, a wciąż odwraca głowę ku matce, jakby nie mogła nagadać się z nią wcześniej. Ile może mieć lat? Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć? Teraz wszystkie dziewczyny w tych krótkich hot pants, jeśli tylko nogi mają dobre, wyglądają, na podlotki. Przyjrzał się z bliska kilku takim — aktorkom i studentkom z konserwatorium. Miał wynaleźć nie tylko plenery w Polsce, szef chciał, aby dziewczynę tego młodego polskiego pianisty, który ma odbywać tournée po Włoszech, zagrała Polka, możliwie prawdziwa studentka konserwatorium. Miał zamiar pokazać ją w opowieści jej autentycznego środowiska — w szkole, w domu rodzinnym — zaakcentować jej inność w stosunku do

zagranicznych doświadczeń bohatera filmu. Wiedział, że z tym będą kłopoty. Nie zasygnalizował ich jeszcze szefowi, omijał je skrętnie we wczorajszej rozmowie telefonicznej, na zakoń-

czenie trzy razy powtórzył, że wszystko jest okey! Co było „okey”, u diabła? One przecież są takie same, tu i tam, ubierają się, malują i chodzą tak samo, tak samo są od razu zdeprawowane, nim naprawdę się to stanie, wszystkimi możliwościami, jakie da-je im młodość. Skąd miał wziąć tę polskość, jak ją miał odkryć, czym podkreślić?

Blondynka! To wiedziało się od początku. Ale i we Włoszech pojaśniało teraz od blondynek, od kiedy Panu Bogu zaczęli przy tym pomagać fryzjerzy.

— Jest w domu coś do jedzenia? — pyta Agnieszka. Zofia dopiero po chwili uprzytamnia sobie, o co jej chodzi.

— Zawsze jest coś w lodówce.

— Kiedy ojca nie ma, lubisz nas głodzić. Może wskoczę po drodze do Delikate-sów?

— Co on sobie pomyśli?

— A co sobie pomyśli, gdy zobaczy pusty stół? Nie sądź, że olśnisz go samymi wspomnieniami. Zostaw je na jutro skoro i tak macie jechać do Olszanki.

Druga osoba liczby mnogiej zostaje podkreślona dobitnie, ale Zofia przyjmuje to z uśmiechem.

— Nie wybierasz się z nami? Ale jednak zależy ci, żeby nie był głodny.

— Zależy mi przede wszystkim na tym, żeby nie pomyślał, że w Polsce ludzie przestali być gościnni, albo że nie stać ich na to.

— Jeśli zaangażowałaś w to aż patriotyzm, to zatrzymaj się jednak przed Delikate-sami.

— Nie — Agnieszka zmienia zdanie. — Odstawię was najpierw do domu i pojedę sama. Powiedziałaś przecież: Co on sobie pomyśli?! Prawdopodobnie jesteśmy ostatnim na świecie narodem, który dba o takie pozory.

Zofia znowu patrzy w szybę, ale teraz nie przesuwają się za nią czarne pnie drzew i nie widzi już w niej swojej twarzy.

— My zawsze, jeśli czegoś nie mamy, boimy się, że nas posądzą o biedę. Nigdy o niedbałość, o brak pamięci czy potrzeb. Tylko o biedę. I zawsze uważamy to za obelgę.

— Tak — Agnieszka wyzbywa się na chwilę swego zwykłego tonu, w którego samym brzmieniu jest już sprzeciw — w tym coś jest. Wtedy na wystawie w Mediolanie wystawiała swoją glinę także jedna Szwedka. Przyjechała w tenisówkach i rozciągniętym swetrze, ale wszystkim bardzo się to podobało, bo wiedzieli, że jej stary jest armatorem. My z Teresą nie mogliśmy wylegitymować się czymś takim i dlatego musiałyśmy wciąż wyglądać jak prosto od Diora.

— Biedaczki! — Zofia gładzi przez chwilę głowę córki, ale Agnieszka odsuwa zaraz jej dłoń zniecierpliwionym ruchem.

— Żebyś wiedziała, że to mężczy.

Zaczynało się już miasto — wielka Warszawa, zielona i wiejska tam, gdzie łąki i sosnowe laski podchodzą pod wysokie ściany nowych dzielnic. Ruch się- wzmógł i Agnieszka poświęca wreszcie całą uwagę prowadzeniu wozu, co spostrzeżono od razu w ferrari i oceniono należycie. To nie on powinien był tu przyjechać, myśli Zofia, nie on, ale Lucio. Jemu należał się nowy obraz, nowy los tych miejsc. On zrozumiałby to i odebrał jak trzeba. Szedł przez to miasto, kiedy zgliszczą były jeszcze ciepłe, a nad ruinami nie przestał unosić się ceglany pył. Wychowany w cieniu Koloseum, kryjący się podczas zabaw w mroczny chłód pod jego arkadami, oswojony był z ułomnością murów, z ich okaleczoną urodą. Tu po raz pierwszy zobaczył świeżą ruinę, i to nie budowli, lecz miasta. Musiał zdawać sobie chyba z tego sprawę, że w lesie pod Olszanką przeczekał trzęsienie ziemi stokroć silniejsze niż to, które wyszczerbiło koron-kowy wieniec arkad wokół największej sceny Rzymu. Nie jego syn, Renato, lecz on sam powinien był się przekonać, że ziemię można wyleczyć prędzej i łatwiej niż człowieka, że ziemia tak łatwo nie umiera.

— A pani? — pyta Renato, zbyt wyraźnie rozczarowany, gdy Agnieszka, wysadzawszy matkę przed domem, włącza znów silnik.

Wychyla głowę przez okno, uśmiecha się do niego, zmrużywszy oczy przed słońcem, jednak szczęśliwa, że tak go to zmartwiło. — Zaraz wracam. Muszę coś załatwić. Zostawiam pana pod opieką mamy.

Patrzą obydwójce, jak zawraca i rusza, dodawszy gazu, pewna, że ją obserwują.

Mimo słońca powietrze jest przenikliwie zimne, wiatr jeszcze się wzmógł. Włoch nieco wstydliwie podnosi kołnierz płaszcza. Zofia wsuwa mu dłoń pod ramię. Myśli z nagle obudzoną radością, że w domu jest ciepło i przytulnie i że miło jej będzie wprowadzić tam tego młodego człowieka, który wprawdzie nie jest Luciem i nie nale-

ży mu się to tak, jak tamtemu, ale jest jego synem i użycza mu teraz swoich oczu, użycza mu siebie dla przeżycia tej chwili. — Chodźmy — mówi — przedstawię pana mojej starszej córce.

2

Tam, dokąd jada, był las. Powinien być las, bo nie wiadomo, czy jeszcze rośnie, czy go nie wycięto. Tamten, ten ogromny i prawdziwy, w którym nie była ani razu, zaczynał się dalej na południe i zbyt był wielki, żeby mogło mu coś zagrażać, ale Olszanka do niego nie należała... Do kogo mogła należeć teraz, skoro w pałacu nie było już pani Borowieckiej?

Agnieszka siedzi na przednim siedzeniu obok Włocha, pochłonięta bez reszty jazdą, zapoznawaniem się z wozem, okazując mu — nietaktownie — więcej zainteresowania niż jego właścicielowi. Zofia odrywa się co pewien czas od swoich my-

śli i uczestniczy w ich rozmowie, a raczej tylko się jej przysłuchuje; nie miałyby nic do wtrącenia w ten dialog, zwłaszcza teraz, tak bardzo im niewspółczesna, tak odległa.

A więc ten las... ta Olszanka, którą zostawiła, którą usiłowała zostawić za sobą...

przeżyła dziewiętnaście lat, nie wiedząc, że istnieje. A przecież już tego pierwszego lata Andrzej mógł powiedzieć, że ma tam stryja, że w tej leśniczówce dobrze by było spędzić wakacje. Ale wtedy, czy mogła tam pojechać? Z nim? Panna z dobrego, z najlepszego domu w mieście, z młodym doktorkiem, który dopiero od dwóch miesięcy asystował przy operacjach jej ojcu? Teraz by się to nazywało, że chciał pokazać stry-jowi swoją dziewczynę (Agnieszka z całą satysfakcją odwiedzała rodziny wszystkich swoich kolejnych chłopców, odnosząc tam bezsporne sukcesy). Ale wtedy nie można było tego nawet tak nazwać. Nie była dziewczyną Andrzeja. Trzy czy cztery razy odprowadził ją, gdy przyszła do szpitala odwiedzić ojca. Całe miasto patrzyło na to, a wieczorami niechybnie mówiono o tym w każdym domu. A potem ona wyjechała na uniwersytet i raz tylko posłała mu pocztówkę z pomnikiem Mickiewicza. Była już wiosna, wiosna w Warszawie, kiedy przyjechał, wysłany przez ojca jakichś szpital-nych sprawach. Przywiózł jej wtedy paczkę z domu i fiołki, które rosły przy kępie bzów pod jej oknem. Poszli na lody do „Doliny Szwajcarskiej” i choć dzień był tak cudowny, zapytała, co myśli? Czy nie będzie wojny?

Popatrzył na nią, jakby nie zrozumiał pytania. A potem się roześmiał. — Wojny?

Ależ to niemożliwe!

Już wtedy myślała, że to „niemożliwe” nie odnosi się do świata, do jego paktów i układów, do przygotowań, które nie miały być zaniechane, ale że jest to źle sformu-

lowane zdumienie, żal za tym, co mogło być utracone, co dopiero w tym zagrożeniu wydawało się naprawdę piękne i cenne. To niemożliwe! mówił Andrzej, patrząc na nią. To niemożliwe! myśleli ludzie wtedy i później, i kiedy było już zupełnie za póź-

no. Temu samemu zdumieniu — ale to uświadomiła sobie dopiero po wielu latach —

musieli także ulec i politycy. Choć oni nie mieli do tego prawa.

Po raz drugi przyjechał Andrzej wczesnym latem. I nie mówił już, że ma coś do załatwienia w Warszawie. Paczki nie przywiózł, a kwiaty były kupione w kwiaciarni.

Nie zapytała go po raz drugi o to samo. Zresztą przycichły wtedy jakoś wszystkie niepokoje, ludzie planowali urlopy, czerwiec był upalny i duszny, ulicami jeździły pole-waczki. Wieczór spędzili w kinie, w którym nie było czym oddychać. Wyświetlano Suez, pamiętała ten film z wyraźną bolesną ostrością. Loretta Young i Tyrone Power.

Piaski nad Nilem i bale w Wersalu. Andrzej wziął ją za rękę. Bała się, że może jest spocona i lepka, więc odsunęła się od niego. — Proszę, niech pan patrzy na ekran.

Bardzo proszę.

Nie patrzył. A zaraz po kinie miał pociąg, ale nierozstawali się na długo. W trzy tygodnie później zdawała egzaminy, wszystkie od razu, jednego dnia — nie po kolei i na raty, jak było to we zwyczaju podczas studiów Heleny i Agnieszki — i wracała do domu na całe długie, trzymiesięczne wakacje.

Skróciły się jej od razu o jeden miesiąc. Ojciec miał dla niej niespodziankę: urlop nad morzem. Pojechała z nim do Orłowa w trzy dni po przyjeździe do domu, po trzech spacerach z Andrzejem, po trzech z nim rozstaniach. Mówiła ojcu, że nudzi jej się w tym Orłowie, choć każdego popołudnia przyjeżdżali z Gdyni oficerowie marynarki i biało było na deptaku od ich mundurów. Nie mogła ojca zostawić, po śmierci matki opiekowali się sobą męcząco i żarliwie i jeszcze wtedy rozdarciem serca byłby taki wyjazd. Ale musiała zobaczyć Andrzeja, i on także wiedział to równie jasno. Zjawił

się o świcie którejś niedzieli, niewyspany i zmięty po nocy w pociągu. Nie spała już, na podwórzu pensjonatu, w którym mieszkali, kury gdakały od świtu, kogut usiłował

przekrzyczeć koguta z sąsiedztwa, leżała z otwartymi oczyma, nie wiadomo dlaczego tak mało szczęśliwa tego ranka, zupełnie wyłączona z nadziei na piękny, długi dzień.

I wtedy usłyszała jego głos, gdy pytając kogoś o nich, wymienił nazwisko ojca.

Jednym skokiem była przy oknie, w koszuli, z potarganymi włosami, ale nie myślała, że nie powinien jej takiej zobaczyć. Stał na dole z marynarką przewieszoną przez ramię, wysoki i szczupły, ciemnowłosy. Czy przeczuwała już wtedy, kim będzie w jej życiu?

Ojciec był bardzo niezadowolony. — Zostawił pan szpital? I chorych?

Andrzej oblizywał suche wargi.

— Przecież będę tam jutro rano.

— Dwie noce w pociągu? Pan chyba oszalał.

— Tak — mówił Andrzej. — Chyba tak. Na pewno.

Potem znowu na początku sierpnia kilka dni razem i — powołanie na ćwiczenia, które Andrzejowi przyniósł listonosz do szpitala z całą pocztą, jakby to był zwykły list, może nawet z niecierpliwością oczekiwany przez adresata. Było w nim tylko jedno zdanie i zawierało niegroźne na pozór polecenie: Ppor. rez. Andrzej Zawistowski ma się zgłosić w swoim pułku siódmego sierpnia o ósmej rano. — To niemożliwe! —

powtarzał wciąż — to niemożliwe! — ale brzmiało to już inaczej niż wtedy w Warszawie na początku maja. Ojciec nie mówił nic, wziął od Andrzeja ten mały świstek papieru, obejrzał go i oddał mu bez słowa. A następnego dnia wieczorem odprowadzili go obydwójce na dworzec i pośród takiego samego milczenia czekali przez kilkana-

ście minut na pociąg, który miał zawieźć Andrzeja do Brześcia nad Bugiem, gdzie stacjonował osiemdziesiąty drugi pułk piechoty. Lato było upalne, na wyschniętym trawniku przed dworcem grały świerszcze. Zapewne odzywały się każdego wieczora, ona jednak wtedy usłyszała je po raz

pierwszy. Nie mówili dotąd nigdy o miłości i tak powinno było zostać, nie- obowiązujący flirt młodzieńczej panny z emablującym ją młodym człowiekiem. Ale Andrzej to wszystko zepsuł. Już w wagonie, gdy lokomotywa nabierała w tłoki pary, wychylił się przez okno i zawołał: — Czekaj na mnie! Pamię-

taj! Czekaj na mnie!

— Pan chyba oszalał! — powiedział ojciec, zapominając, że się powtarza, że już raz udzielił mu takiego upomnienia.

I tak samo, jak wtedy, o świcie na podwórzu nadmorskiego pensjonatu, Andrzej odpowiedział: — Tak. Chyba tak. Na pewno.

A ona biegła wzdłuż pociągu i powtarzała, krztusząc się łzami: — Będę czekała!

Będę na ciebie czekała!

— Znaleźliście sobie najodpowiedniejszy czas na miłość! — mówił ojciec, gdy wracali z dworca do domu. Uderzał laską o kamienie, nie zauważał ukłonów ludzi, których mijali. Kwitły późne lipy, wieczór przesycony był ich zapachem, parny i duszny, zanosilo się na deszcz. Milczała. Za trzy miesiące miała skończyć dziewiętna-

ście lat. Nie wiedziała, że może istnieć czas dla miłości nieodpowiedni.

— Och, Zośka, Zośka! — westchnął ojciec. — A potem dodał: — Trzeba się zastanowić, co będzie, kiedy i mnie powołają.

Przystanęła, ugodzona drugą rozpaczą, której się nie spodziewała. — Ciebie?

— A dlaczego nie? Jestem oficerem rezerwy.

Ojciec wydawał jej się stary i nie „na żołnierza”, choć nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat. Nie pomyślała dotąd ani razu, że i jego mogą powołać, że i jego mogą potrzebować gdzieś tam i może wcale nie na pewno, podczas gdy tu, w szpitalu, na pewno potrzebowali go chorzy. Myślał właśnie o tym samym, bo powiedział: — Na internie na szczęście mam dwie baby, ale na chirurgii jestem teraz tylko sam. No i cały szpital na mojej głowie... nie zostawią chyba szpitala bez dyrektora... zresztą czort wie, jak się to rozwinie... Ale co z tobą?

— Co ze mną?

— Z kim zostaniesz? Tylko z Leosią?

Leosia była starą służącą, przyjętą jeszcze przez matkę i kontynuującą z piety-zmem wszystkie zwyczaje zaprowadzone w domu za jej życia.

— Oczywiście, że zostanę z Leosią. To... chyba długo nie potrwa...

Ojciec znowu zaczął uderzać laską o kamienie i nie uklonił się księdzu kanoniko-wi, który minął ich ze zdumieniem.

Ale powołanie dla ojca na szczęście nie nadchodziło. Za to listonosz zaczął przynosić regularnie listy od Andrzeja, oznaczone numerem poczty polowej, krótkie,, pisane z wyraźnym pośpiechem, składające się ze zdyszanych słów i nie dokończonych zdań. I na końcu każdego: Czekać na mnie!

Odpisywała, że czeka, że zawsze będzie czekać, że nigdy czekać nie przestanie.

Nie wyobrażała sobie, że może to trwać dłużej niż miesiąc. Przez miasto ciągnęły na zachód chłopskie podwody. Z Wołynia i Polesia. Furmani siedzieli na baranich kozuchach, na głowach mieli futrzane czapy.

Ojciec wiódł teraz wieczorami z Leosią długie rozmowy. Każde zdanie zaczynało się od: „Gdyby co...” Leosia robiła zapasy, kupowała mąkę i cukier, topiła grube po-

łcie słoniny i zlewała smalec w gliniane garnki. W piwnicy zakopała srebro. Biżuterię, pozostałą po matce, zaszyła w mały woreczek i kazała go jej nosić na piersi.

— Po co? — zdumiała się.

— Jeszcze nie teraz — mówiła Leosia, przymknawszy oczy, jakby w złym na-tchnieniu. — Teraz jeszcze nie. Ale jakby co przyszło, to trzeba, żeby było gotowe.

Najpierw „przyszła” mobilizacja.

— Więc jednak... — powiedział ojciec. Nie jadł tego dnia śniadania i wyszedł z domu, zapomniawszy laski. — Przyjdź do mnie do szpitala — krzyknął już z ogrodu.

Odkrzyknęła, że przyjdzie... że przyjdzie, jak tylko zjawi się listonosz. Czatowała na niego co dnia w oknie albo przy furtce, gdy się spóźniał, gdy wydawało się jej, że już dawno powinien przyjść i czekanie stawało się nie do zniesienia. Tego dnia wybiegła także przed furtkę, ale listonosz, zbliżając się do ich domu, z daleka już rozkła-dał ręce. Zatrzymał się jednak na chwilę, żeby ją pocieszyć. — Pewnie jest w marszu

— powiedział.

— W marszu? — powtórzyła za nim.

— Zmieniają pozycję. Teraz całe wojsko ciągnie do granicy... — Urwał, zrozumiawszy, że pociecha mu się nie udała.

Przed szpitalem stały chłopskie furmanki, rodziny zabierały chorych mimo sprzeciwu lekarzy. Przy cięższych wypadkach ojciec w końcu machał ręką, ale gdy zaczął

się atak na oddział zakaźny, zadzwonił do komisarza policji i prosił o postawienie przy drzwiach policjanta. — Jeszcze nam teraz tylko epidemii tyfusu potrzeba —

krzyczał do telefonu. — Jeszcze tylko tego!

Stojąca przed biurkiem, w przekrzywionej peruce, Sara Gliksman, u której kupowało się guziki i nici, płakała głośno i rozdierająco, trochę z prawdziwego żalu, a trochę na pokaz, dla babskiej manifestacji.

— Panie doktorze! Jak ma umierać, to niech przynajmniej u siebie... na własnym łóżku.

— Zapewniam, że każde łóżko jest do tego dobre. — Ojciec zawsze był szorstki, ale teraz jakby się tego zawstydził. Wszedł zza biurka i poklepał Sarę po plecach. —

Nawet gdyby co... — powiedział ciszej, bezwiednie używając powtarzanych w rozmowach z Leosią słów — nawet gdyby co, to w szpitalu najbezpieczniej.

— Najbezpieczniej...? — Sara poprawiła sobie perukę. Uciszyła się na chwilę, ale nie odejmowała brudnej chustki od oczu. — Co znaczy najbezpieczniej?

Ojciec odwrócił się ku oknu. Przed bramą szpitala furmanki najeżdżały na siebie, rżały konie. — Nie było jeszcze takiej wojny, w której by nie oszczędzano szpitali. Do diabła! — podniósł głos. — Nie było jeszcze takiej wojny! Dopiero teraz spostrzegł

córkę przy drzwiach i od razu się do niej zwrócił: — Zobacz tylko, jak mi mole zjadły mundur! Dziura na samym przodzie! Leosia powinna wreszcie zacząć nosić okulary.

Nawet go dobrze nie obejrzała, wyjmując z kufra.: .

W otwartej szafie, obok białych kitli ojca, wisiał mundur. Nie zauważyła go od ra-zu, płacz kobiety, podniesiony głos ojca zatrzymały ją w progu. A on tam wisiał, pogryziony przez mole czy nie, to nie miało znaczenia — wisiał tam i czekał na godzinę, kiedy trzeba go będzie włożyć. Nie wiedziała, kiedy ojciec zabrał go z domu, kiedy uznał za konieczne mieć go pod ręką.

— Zobacz — mówił — może uda ci się jakoś go zacerować. Kto mi teraz uszyje nowy mundur?

Podeszła do szafy, wyjęła kurtkę, obejrzała uszkodzenie. Mole wybrały sobie fa-talne miejsce, na samym przodzie, przy kołnierzu. Musiały dobrze ucztować, bo dziury przedstawiały się okazale. Mimo %o powiedziała: — Po co ci nowy mundur? Zaraz to zaceruję, zabiorę do domu i zaceruję, tylko muszę znaleźć odpowiednie nici.

Nie będzie potrzebny! myślała. Nie będzie, niech nie będzie potrzebny! Niech go mole zjedzą do końca, niech się nada tylko do wycierania podłóg... Chciała powiedzieć ojcu, że nie ma listu od Andrzeja, ale wydało jej się to nagle prawie niepoważne i nie na miejscu. — Zaraz ci go odniosę — powiedziała, zdejmując mundur z drewnianego wieszaka.

— Tak, moje dziecko, tak... przynieś zaraz! — Ojciec był już zajęty czymś innym.

Wciąż ktoś wchodził, lekarki, siostry oddziałowe, chorzy lub ich rodziny, na biurku dzwonił telefon, za oknem rżały konie i pokrzykiwali woźnice. Ale jednak przypomniał sobie coś i zatrzymał ją w

progu: — Przy domu musi być skrzynia z piaskiem.

Dwa wiadra z wodą i drabina. Od dawna miałem się tym zająć, ale... — nie dokończy-

ł. Zresztą ona i tak wiedziała, co chciał powiedzieć. Przyszedł jednak czas, kiedy trzeba było uznać, że to konieczne.

— Dobrze — powiedziała. — Nie kłopotz się tym. Wszystko będzie. Drabina, wiadra i skrzynia.

— A jednak — ojciec usiłował się uśmiechnąć — przydałby mi się chłopak, to nie zajęcie dla dziewczyny. — Za późno zrozumiał, jakie głupstwa gada, przywołał ją zaraz do siebie, ogarnął ramieniem i przytulił do piersi. W gabinecie stali jacyś ludzie, telefon na biurku wciąż dzwonił, za oknem trwał jarmarczny hałas i rwetes, a oni stali przy sobie bez żadnego słowa, bez oddechu nawet, wyłączeni ze wszystkiego, co ich otaczało.

— Idź! — powiedział wreszcie ojciec. — Idź!

W domu oszalała Leosia smażyła konfitury. Z renklod, gruszek i wiśni. Bo był to czas na konfitury, nie na wojnę; na przygotowania do zimy, zacisznej, przy ciepłym piecu, zasobnej, niegroźnej i pocziwej, we własnym domu — nie na marsze i postoje w niewiadomych miejscach i na niewiadomy czas. Z ogromnych rondli, stojących na kuchni, buchały cudowne wonie. Leosia, pochylona nad nimi, zanurzała drewnianą łyżkę w przezroczyście syropy, badając ich kolor i gęstość. Nad garnkiem, do którego zbierała „szum” — smaczniejszy we wspomnieniach z dzieciennych lat od konfitur —

unosił się rój pszczół. — Dlaczego stoisz w drzwiach? — zawołała. — Przeciąg!

Weszła do kuchni, ale nawet wtedy, kiedy już siedziała na zydłu przy stole, miała wciąż uczucie, że przygląda się jej z daleka, że z daleka widzi jej sprzęty i ściany, że może przypomina sobie tylko to, co już nie istnieje, co straciło wszelką szansę na to, żeby pozostać i trwać.

Ale Leosia była na szczęście realna. Wepchnęła sobie pod białą chustkę wymyka-jące się spod niej włosy, odłożyła łyżkę. — Aha! — mruknęła. — Dał ci go.

Miała na myśli mundur, który zobaczyła w jej rękach.

— Dał — potwierdziła. — I powiedział, że musisz zacząć nosić okulary. Mole wyjadły dwie dziury pod samym kołnierzem.

Leosia wzruszyła tylko ramionami. Wykrochmalony fartuch na okrągłej jej postaci cicho zaszeleścił. — Po co mi okulary? Zobaczyłam te dziury, jak tylko otworzyłam kufer. Ale myślałam, że on ich nie zobaczy. Że powiesi w szafie i na tym się skończy.

Mówiły o ojcu zawsze „on”, bo był jedynym mężczyzną w domu, a Leosia nie lubiła tytułów. „Panem doktorem” nazywała swego chlebobawcę tylko przed chorymi, którzy popołudniami zapełniali poczekalnię, nanosząc kurzu w dni pogodne i błota, gdy padało. Od kilku dni poczekalnia stała pusta, Leosia nie musiała narzekać na nie-porządek, ale nie była tym uszczęśliwiona.

— Powiedziała mi, żebym zacerowała i przyniosła. Są w domu nici w tym kolorze?

Leosia poczłapała bez słowa do swego pokoiku za kuchnią. Wróciła z pudełkiem, w którym od lat trzymała przybory do szycia, nici, nożyczki, napastrki, kolorową lase-tę i koronki, szydełka metalowe i kościane — skarby cenniejsze od najdroższych zabawek, gdy w długie zimowe wieczory, siedząc na okrągłych kolanach Leosi, dostę-

poważała się łaski otworzenia pudełka i wysypania ich na stół. Teraz Leosia przyniosła je gniewna i zasepiona. — Masz, poszukaj sobie — powiedziała szorstko i nim zdołała znaleźć odpowiednie nici, wyrwała jej pudełko z rąk i rzuciła pod kuchnię, między drewniane polana, ułożone w drucianym koszu. Ze szczękiem rozsypały się po podłodze napastrki i guziki; nici, kordonki i włóczki potoczyły się miękko, a Leosia uderzy-

ła w wielki płacz, w rozdzierający, nieutulony lament. Mieszając konfitury zawodziła na cały dom: — I komu ja to smażę? Dla kogo ja to robię? Po co, Jezusie kochany? Po co?

Nie wiedziały wtedy obydwie, nie mogły wiedzieć, tę mądrość ma się dopiero przy końcu drogi, a nie na jej początku, że gdyby ojciec mógł przywdziać swój mundur, pogryziony przez mole podczas pięknych lat spoczywania w kufrze, gdyby mógł

go przywdziać i nosić, gdyby mógł w nim walczyć i leczyć żołnierzy i być z nimi tam, gdzie należało się być żołnierzom — byłaby to najpiękniejsza sprawa z tych, które mogły się przydarzyć ludziom w tym kraju już jutro, pojutrze, za dwa dni.

Nad garnuszkami ze słodkim „szumem” unosił się wciąż rój pszczół, ale nie było teraz słyhać ich brzęczenia, wydawały się nieme i nieprawdziwe, jak cała kuchnia, jej sprzęty i ściany, na które znowu patrzyła z daleka, z tak daleka, jakby to było tylko przypomnienie czegoś, co już nie istnieje, co straciło wszelką szansę na to, żeby pozostać i trwać.

Listu od Andrzeja nie było także i nazajutrz, w ogóle już nigdy nie było żadnego listu od Andrzeja. Ojciec nocował teraz w szpitalu, gdzie na strychu urządzano w po-

śpiechu dodatkowy oddział. Łóżka zarekwirowano w internacie szkoły rolniczej. Kierownik biegł za samochodem i krzyczał, że protestuje, że za dwa dni rozpoczyna się nowy rok szkolny, że to rozbój i brak praworządności.

— Drogi panie — powiedział mu ojciec ze smutnym niesmakiem, wypychając go za drzwi — pan nic nie rozumie. A cała pana praworządność będzie jutro gównem warta.

Panie z Koła Polek szyły prześcieradła i powłóczki, dziewczęta z PW robiły bandaż. Upał trwał, nad drogą wiodącą do szpitala unosił się biały kurz, na niebie nie było ani jednej chmurki i wciąż jeszcze nie zanosilo się na deszcz.

Już nikt nie mówił, że to niemożliwe, ale w oczach ludzi była jeszcze nadzieja.

— Mamo — Agnieszka odwraca głowę, poruszone tym ruchem włosy zasłaniają jej policzki — pokażemy panu Majdanek teraz, czy w drodze powrotnej?

Nie zauważyła, kiedy minęli Lublin i wyjechali z miasta na płaską równinę, nad którą wznosił się — zewsząd widoczny — pomnik ku pamięci ofiar obozu zagłady. W

ostrym słońcu wczesnej pory dnia i roku ogromne głązy miały barwę i fakturę spopie-lałych kości.

— Mamo! — podnosi głos Agnieszka. — Pytam, czy pokażemy panu Majdanek teraz, czy kiedy będziemy wracać?

— Jego spytaj, co woli.

— Zdaje się, że w ogóle nie ma na to zbyt wielkiej ochoty.

— Powiedział ci to?

— Nie dosłownie. Zauważył mimochodem, że jako filmowca interesuje go głównie współczesność.

— Taktownie to wyraził.

— Ja też tak myślę.

Rozmawiają po polsku, co jest niewątpliwie niezbyt uprzejme wobec Włocha, ale Agnieszka niewiele sobie z tego robi. Odwrócona ku matce skinęła głową w jego kierunku.

— No więc co mam mu powiedzieć?

— Nic. Niech jedzie dalej.

— Dobrze. Ale wóz! — dodaje. — Widziałaś, ile mieliśmy na liczniku przed Lublinem? Sto osiemdziesiąt! Niegłupi był ten car.

— Jaki car?

— No ten, co położył ołówek na mapie, wyznaczając drogę z Warszawy do Lublina. I carowie mogą się na coś przydać.

Powtórzyła to zaraz po włosku, i Renato się śmieje. — Tak — mówi — nam nasze autostrady zostawił Mussolini. A Niemcom Hitler. — I choć to nie łączy się z tematem, pyta nagle: — Pani siostra jest zamężna?

Agnieszka milknie na długą chwilę. Czuje za plecami napięte oczekiwanie matki na to, co odpowie.

— Właściwie nie — mruczy niechętnie. Dlaczego pyta o Helenę? Ona tu siedzi przy nim, zdecydowała się na tę wycieczkę, choć komplikowało to jej wiele spraw, a on pyta o Helenę, pyta o nią i akurat interesuje go sprawa, o której nie rozmawiali naj-chętniej. Widziała, że otrzymawszy odpowiedź nie wyjaśniającą niczego, chciał jeszcze o coś zapytać, ale zaniechał tego zamiaru. Hej, panie! chciała zawołać. Niech pan sobie tylko nie wyobraża jakichś głupstw.

Helena odzywała się wczoraj niewiele. Podczas całego wieczoru zamieniła z Włochem nie więcej niż kilka zdań. Rozmawiali po angielsku, stypendium w Stanach znakomicie ustawiło jej język, mogła teraz czytać po angielsku wszystkie dzieła o swoich ukochanych kartoflach, o hodowli ziemniaka, którą studiowała. Tylko że już jej to nie było potrzebne. Rano dostała list z Chicago — zawsze w takich dniach była bardziej tam niż tutaj i nie miało się z niej wielkiego pożytku przy stole; musiały bawić Włocha obydwie z matką, choć i matka wczoraj nie bardzo się do tego nadawała..'

— Słyszałaś, o co pytał? — odzywa się znów po polsku,

— Słyszałam.

— A to, co odpowiedziałam?

— Słyszałam także.

— No bo co właściwie miałam powiedzieć?

— Przestańmy rozmawiać ze sobą, to nietaktowne.

— W porządku. Zastanowię się nad jakimś tematem do bardzo uprzejmej konwersacji.

Zofia przymyka powieki. — Jaskrawe, ranne słońce razi ją w oczy, pieką jak po nieprzespanej nocy.

— Czekaj, czekaj... — Agnieszka unosi się na siedzeniu. — Przecież byłam tu z Teresą zeszłego roku! Po kozuchy, pamiętasz?

Tablica przy drodze zapowiada wieś, osadę czy miasteczko Kurów. Z zielonych łąk wyrastają białe kępy rozkwitłych sadów, a wśród nich kolorowe domki o spadzi-stych dachach.

— Nie uwierzy pan, jaką miałam tu przygodę — Agnieszka zwraca się do Włocha, jej włosy leżą przez chwilę na jego ramieniu, jasne i lśniące. — Byłam tutaj rok temu z koleżanką. Pracujemy razem w glinie. Podobałaby się panu, od razu można się z nią dogadać. Zauważył pan, jak mało jest teraz ludzi, z którymi można się dogadać? Ale i ona będzie niedługo stracona dla świata. Zakochała się w idiocie, który nawet nie potrafi tego docenić. Zawsze świetne dziewczyny trafiają na kogoś takiego... — Zamyśla się i dopiero po chwili przypomina sobie, o czym mówiła: — Aha, kozuchy! Przyjechałyśmy tu, żeby sobie kupić jakąś skórę na grzbiet. Ktoś nam powiedział, że większość kozuchów w Warszawie to właśnie stąd. Więc zaczęłyśmy pytać po domach, ale nikt nam nie umiał wskazać żadnego adresu. W końcu jakoś same trafiłyśmy do spół-

dzielni, która szyje kozuchy, i znalazłyśmy się nagle w samym ich królestwie. Oszala-

łyśmy ze szczęścia. Zaczęłyśmy już przymierzać, gdy nagle się okazało, że cała produkcja spółdzielni idzie na eksport. A w kraju można nabyć kozuch tylko za dewizy.

— Za jakie? — pyta Renato.

— Za dolary. U nas, jak dewizy, to dolary.

— Dlaczego?

— Nie wiem dlaczego. Oczywiście nie miałyśmy dolarów i obydwie byłyśmy bliskie płaczu. Wtedy kierownik spółdzielni, widocznie sadysta, żeby nas dobić, pokazał nam kozuch pani merowej Paryża.

— Kogo?

— Pani merowej Paryża. Niech pan sobie wyobrazi, spółdzielnia w Kurowie otrzymała z Francji specjalne zamówienie na kozuch dla małżonki mera stolicy.

— Pozwolili przynajmniej przymierzyć?

— Nie pozwolili nawet dotknąć. Mogłyśmy go obejrzyć tylko przez nylonowe opakowanie. Biały jak śnieg i lekki jak puch. Teresa zapytała, czy to skórka z anioła?

— I co odpowiedziano?

— Że tak. Że z baranich aniołków, białych i zupełnie niewinnych. Sto dziesięć dolarów.

— Zupełnie za bezcen — mówi Renato.

Uśmiech ma tak samo ujmujący, jak jego ojciec. Krótkie uniesienie górnej wargi, błysk zębów, zmrużenie oczu, dwie małe zmarszczki na nosie. Widziała to, gdy na chwilę odwracał głowę ku Agnieszce, gdy musiał na nią spojrzeć, słuchając tego, co mówiła. Lucio miał chyba tyle lat, co on, kiedy przywdział mundur, kiedy i jego po-wołano, najpierw na ćwiczenia, z których nie zdążył wrócić. Czy przeczuwał to już wtedy, kiedy dowiedział się, że Hitler wkroczył do Polski, czy o świcie tego dnia obudził go ojciec, szarpiąc za ramię i wołając, że jest wojna...? Jeszcze nie tu, nie za progiem, tylko gdzieś na świecie, gdzieś daleko, ale jest, jest, JEST WOJNA!

Ojciec przybiegł ze szpitala w białym fartuchu. Zawsze, gdy się śpieszył, czerwieniał, krew uderzała mu do głowy, a tego ranka wyglądał tak, jakby go ktoś przysypał popiołem.

Usiadł na zydlu w kuchni, do której prawie nigdy nie wchodził, oparł się plecami o ścianę.

Stały obydwie z Leosią w koszulach, wyrwane z głębokiego, rannego snu. Leosia od razu zaczęła płakać, więc ojciec zapytał tylko: — Już wiecie?

Nie wiedziały, ale to, że siedział tu o tej godzinie w swoim białym fartuchu, kiedy słońce przedzierało się dopiero przez gałęzie sadu, podpalając czerwono dojrzewające jabłka, było wyraźniejsze niż radiowy komunikat, oznaczało samą prawdę, odartą z buńczucznych słów, które może potrzebne by i były narodowi, gdyby nie musiały za-stępować zbyt wiele.

— Dajcie mi kawy — powiedział. — Muszę zaraz wracać do szpitala.

Potoczyło się teraz wszystko bardzo szybko. Szybko i powoli zarazem, czas nabrał

różnych znaczeń, trwanie kurczyło się i rozciągało, działało się zbyt wiele i nic się nie działo, oni już szli, przekroczyli granicę, byli już na niebie i na ziemi, sami zamienili się w tę szybkość nieubłaganą, szybkość każdej godziny, każdego kwadransa, a ratunek nie przychodził znikąd, znikąd nie przychodził ratunek, czekanie było długie, czekanie w każdej chwili miało w sobie ból i rozpacz całego wieku.

Ojciec nie opuszczał teraz prawie szpitala. Wprawdzie nowy oddział na strychu stał wciąż pusty, ale pogotowie musiało być utrzymywane, a i dotychczasowi chorzy przysparzali wiele kłopotu.

Ludzie chorowali teraz z podwójnym lękiem: z lękiem przed chorobą i z lękiem przed niepewnym czasem. Torami, widocznymi z okien szpitala, sunęły pociągi wojskowe, w obłąkanym pomieszaniu, w obydwie strony, na zachód i na wschód. Nie można było na to patrzeć, nie można było tego znieść, ale gdy nagle przestały chodzić, gdy nie pojawiła się na torach ani jedna lokomotywa, dreżyna nawet, którą kolejarze

jeździli od stacji do stacji, od torów, skąd niósł się zawsze łoskot pociągów, powiała na miasto trupia cisza.

Ludzie, którzy zjawiali się w mieście, przychodzili piechotą. Coraz więcej było ich teraz na drogach, wiodących z zachodu, coraz więcej snuło się po ulicach, szukając pożywienia i noclegu. Niektórzy dźwigali walizki, tobołki na piecach. Niektórzy wszystko mieli w oczach, a ręce puste. Nie można było z nimi rozmawiać. Nikt się na to nie ważył.

Oszalała Leosia smażyła powidła ze śliwek. Nie krochmaliała już fartucha, nie przewiązywała włosów białą chustką. Ubrana byle jak, z potarganymi włosami pochylała się nad kotłem, nad jego dymną, korzenną wonią.

Kiedy czytała w jej oczach zdumienie czy naganę, zaczynała od razu krzyczeć: —

A co mam robić? Co? O co ręce zaczepić?

Już wiedziała, że to nie jest ta wojna, którą można było sobie wyobrazić, przewidzieć, przygotować się na jej trwanie. Wiedziała, że wszystko na nic, ale z tym większą zaciekłością usiłowała bronić swoich nadziei.

Któregoś wieczora ojciec wpadł na krótko, nie zapuszczali zaciemnienia na okna, nie zapalali światła, w kuchni Leosia tłukła garnkami, przesuwiała zydle, skrzypiały nie domknięte drzwi od werandy, zadzwonił zegar i obydwójce pomyśleli chyba to sa-mo, że jest to gadanie domu, jego rozmowa z ludźmi, odzywanie się do nich.

Ojciec podszedł do kredensu, otworzył górne drzwiczki, z trudem odnalazł w mroku nalewkę z czarnej porzeczeki, zadzwonił kieliszkami. — Napijesz się? — zapytał.

— Nie. Dziękuję.

— A ja się napiję... Słuchaj, wszyscy uciekają.

— Kto? — przeraziła się. — Dokąd?

— Nie wiem dokąd. Na południe, do Rumunii i na Węgry. Starosty już nie ma, ani burmistrza. Ani komisarza policji. Dzisiaj w nocy nikt już nie pilnował zakaźnego i ten Gliksman jeszcze z jednym jednak uciekł. Matka przystawiła mu drabinę do okna i jednak uciekł, choć jeszcze ze dwa tygodnie, żeby nie roznosić zarazy, powinien być w szpitalu.

— Co zrobisz?

— Nic. Posłałem po niego pielęgniarza, ale go nie wpuścili. A dwoje młodszych dzieci w tym samym mieszkaniu, i cztery rodziny w domu, jeden ustęp na podwórzu, woda na rynku w studni, z której czerpie pół miasta... Nie napijesz się?

— Nie.

— A ja się jeszcze napiję... Nie chcesz uciekać?

— Ja? — krzyknęła. Przez wiele nocy myślała, że z tym wojskiem, które wciąż się cofa, które zbliża się do Wisły, kluczy lasami, okopuje się w polu, walczy i odbija się od wroga, że z tym wojskiem cofa się, zbliża się do Wisły, kluczy lasami, walczy i odbija się od wroga Andrzej, że któregoś dnia, którejś nocy zapuka do drzwi, a ona mu je otworzy. — Ja? — powtórzyła.

— Ty — odpowiedział ojciec.

I wtedy dopiero dodała: — Ja sama?

Ojciec nalewał sobie trzeci kieliszek. — Ja muszę zostać. Nic już nie ma, ani sta-rostwa, ani magistratu, ani policji, ani kolei, ani szkół, ale szpital musi być i lekarz na miejscu. Choćby przez tych tyfusiarzy, co dzisiaj uciekli.

— Ja też zostanę — powiedziała cicho.

— Zastanów się dobrze. Sikorscy jutro jadą samochodem. Rozmawiałem z nimi, chcą cię zabrać. Wzięłabyś całą biżuterię matki. Niechby ci tylko starczyło do Paryża.

A stamtąd napiszesz do San Diego do stryja, na pewno natychmiast przyśle ci pieniądze na podróż do Ameryki.

Nie mówił już w trybie warunkowym, mówił: napiszesz, przyśle... na pewno przy-

śle, a ona krzyczała: — Nie! Nie! Nie! Nie chcę nigdzie jechać! Chcę zostać! Tutaj! Z tobą!

Ojciec zatrzasnął kredens, aż zadźwięczało szkło i Leosia zapytała z kuchni, co się dzieje. Stali długo w milczeniu naprzeciw siebie, nie widząc w mroku swoich twarzy, nie zdając sobie sprawy, że oto

został wybrany ich los, że niczego już nie będzie moż-

na zmienić ani odwołać.

Warszawa jeszcze się broniła, kiedy w mieście pojawił się pierwszy niemiecki czołg. Stało się to za dnia, za najbielszego, najjaśniejszego dnia, Leosia przy oknie podlewała kwiaty. Odstawiła nagle z trzaskiem dzbanek i zaczęła się żegnać, głośno wymawiając imiona całej Trójcy Świętej.

— Leosiu? — zapytała z głębi pokoju.

— Niemcy! — krzyknęła wielkim głosem, głosem, który się chowa w sobie na chwile najgorsze, na sarną ostateczność. — Niemcy!

Wieczorem pozamykała wszystkie okna i drzwi, jakby się jeszcze można było zamknąć przed tym, co się stało, jakby właśnie wszystko nie zostało otwarte, każdy dom i każde życie na przyjęcie nieszczęścia.

Ojciec wrócił tego dnia na noc. Przez dwadzieścia dni warował w szpitalu, a teraz uznał, że może się już położyć spać, pozostawił na dyżurze jedną z lekarek i wszedł-

szy do domu, skierował się od razu do sypialni. Do Leosi, która zawodziła w kuchni

— głośniej, gdy usłyszała, że przyszedł — krzyknął, żeby była cicho.

Od razu stanęła na progu, czerwona z płaczu, ale i z oburzenia. — Jak ja mam być cicho? Jezusie kochany, Polski nie ma, a ja mam być cicho?

Ojciec ściągał już marynarkę, ale zastygł w tym ruchu; z jedną ręką w rękawie, powoli odwrócił ku Leosi głowę: — Starostwa nie ma, magistratu nie ma, policji, kolei, szkół, rządu, prezydenta i wojska, ale Polska jest i niech sobie to Leosia zapamię-

ta. Nie wszyscy uciekli, jest i będzie.

Powiedział te piękne słowa, miał je w sercu na pociechę dla siebie i dla nich — a po tygodniu całe miasto zaczęło odwracać się od niego, ludzie zbaczali z drogi, żeby się z nim nie spotkać, na ulicach, którymi szedł, uciekano od okien, zatrzaskiwano drzwi. Widocznie nie stało się jeszcze to najgorsze i trzeba się było bać każdego na-stępnego dnia.

Któregoś ranka przyszedł ktoś do szpitala i powiedział, że u Gliksmanów zachorowało dwoje młodszych dzieci i że jeszcze ktoś położył się u sąsiadów. Miastu grozi-

ła epidemia. Ojciec posłał karetkę i dwóch pielęgniarzy z zakaźnego, ale nie wpuszczono ich do żadnego z mieszkań.

Szpital miał już wojskowego komendanta. Na strychu, tam gdzie ustawiono łóżka z internatu szkoły rolniczej, w której rok szkolny nie rozpoczął się pierwszego wrze-

śnia, leżeli niemieccy żołnierze. Było ich niewielu. Czterech. I żaden ranny. Jeden miał anginę, dwóch rozstrój żołądka, a czwarty złamany obojczyk. Mogli zająć łóżka na pierwszym piętrze, ale sami wybrali sobie strych. Grali tam w karty i śpiewali od samego rana.

Komendantem był student medycyny w randze porucznika, najwyżej dwudziesto-dwuletni młokos. Miał szeroką, otwartą twarz o różowej cerze jasnego blondyna. Zachowywał się przyzwoicie. Niekiedy towarzyszył dyrektorowi szpitala w obchodach, wyglądało nawet na to, że ma nadzieję czegoś się nauczyć podczas tej niezwyklej praktyki. Na imię miał Werner i ojciec kilkakrotnie nazwał go tak, opowiadając w domu o tym, co działo się w szpitalu.

Był akurat w gabinecie ojca, gdy pielęgniarze wrócili od Gliksmanów. Zainteresował się od razu sprawą. — Tyfus? — przeraził się. — Tyfus w mieście?

Ojciec wyjaśnił mu, w jakich okolicznościach jeden z chorych wy dostał się z oddziału dla zakaźnych. Zapytał, czy nie można by było posłać z pielęgniarzami żołnierza. Nie musiałyby wchodzić do środka. Wystarczyłoby, gdyby pokazał się przed domem.

Młody komendant długo się zastanawiał. — Dobrze powiedział w końcu — pojedziemy tam.

— My? — zdumiał się ojciec.

— Pojedzie pan ze mną. To ważna sprawa.

Ojciec nie chciał jechać, powtarzał to potem wciąż i wciąż, każdemu, kto słuchał i nie słuchał, każdemu, komu usiłował zajrzeć w oczy — nie chciał jechać, nie chciał, nie chciał, do ostatniej chwili nie chciał jechać.

Ale młody Niemiec się uparł. Wezmą żołnierzy i pojedą. To ważna sprawa, powtarzał. Bardzo ważna!

Pojechali więc wojskowym samochodem, poprzedzającym karetkę, na rynek przed dom, w którym mieszkali Gliksmanowie i jeszcze cztery inne żydowskie rodziny; we wszystkich domach wokół rynku mieszkali sami Żydzi, sami Żydzi, ojciec za późno to sobie uświadomił.

Student medycyny w randze porucznika, o różowej twarzy jasnego blondyna, raż-

no wyskoczył z samochodu, za nim dwóch żołnierzy. Ojciec pozostał w wozie, ale tamten poprosił go, żeby wysiadł. Poprosił go drugi raz, gdy się ościagał — jeszcze wtedy można to było wszystko zmienić, zatrzymać, nadać temu inny sens. Niechby go musiał siłą wyciągać z wozu, niechby go nawet tam zastrzelił, ale takie myśli rodzą się dopiero później, kiedy już się wie, co się stało, kiedy już się rozumie.

Ojciec wysiadł. Pokazał dom Gliksmanów. Był lekarzem, a w domu tym leżeli chorzy na tyfus i nie chcieli iść do szpitala. Nie chcieli iść do szpitala! Miastu groziła epidemia. W warunkach wojennych. Bez dostatecznej liczby lekarzy, bez lekarstw.

— No tak — powiedział Werner. Stał pośrodku rynku szczupły, bardzo młody, trochę zdziwiony

swoją obecnością w tym wschodnim mieście, gdzie wciąż chciało mu się myć ręce i zmieniać obuwie. Rozejrzał się dokoła, raz i drugi, powiódł spojrzeniem po frontach domów, po ziejących otchłanią podwórek sieniach, i ojciec naraz zobaczył to wszystko jego oczyma: odrapane ściany, zacieki przy rynnach, pozielenia-

łe od wilgoci piwnice, brudne okna, w których ukazywały się i zaraz uciekały w głąb głowy przerażonych ludzi.

— Szybko! — zwrócił się do pielęgniarzy. — Szybko zabierać chorych.

Werner powstrzymał go powolnym ruchem ręki. Nawet głowy nie odwrócił. —

Nie trzeba — powiedział. — Nie trzeba. — W szpitalu, między sprzętami, przy stołach i łóżkach, wydawał się wyższy; tutaj, pośrodku rynku, był niepozornym chłopcem, który z zadartą głową przygląda się swojej przygodzie.

— Prędeż! — przynaglił ojciec pielęgniarzy, a on znowu uczynił ten sam leniwy ruch ręką, powstrzymujący, odbierający działaniu wszelki sens.

Pielęgniarze trwali w miejscu, jakby wrośnięci w bruk, kierowca karetki przeszedł

na jej drugą stronę, żołnierz przy kierownicy wojskowego samochodu wychylił się przez opuszczoną szybę i zapalił papierosa. W oknie na dole zamajaczyła bielsza, niż mogłaby się wydawać po śmierci, twarz Sary Gliksman.

— Na co czekamy? — spytał ojciec. — Na co właściwie czekamy?

Jasnowłosy porucznik dopiero teraz odwrócił głowę. — Tak, rzeczywiście — powiedział, mrużąc oczy przed słońcem — trzeba kończyć. Benzin! — zwrócił się do żołnierzy.

Stało się to wszystko w ciągu kilku chwil. Żołnierze wyciągnęli z bagażnika kani-stry, poprawili na brzuchach automaty; jesień była tego ranka sucha, nie trzeba było długich starań, żeby ją podpalić. Dwie serie, puszczone z bliska w okna domu, za-dźwięczały jak nagłe oklaski, bardzo głośne i krótkie.

Kiedy płonęła już cała wschodnia strona rynku, kiedy krzyk niósł się przez miasto, ojciec dowlókł się do domu i stanął w progu, poparzony, z osmalonymi włosami i brwiami. Leosia była przy pożarze, kto żyw był przy pożarze, ale ona została w domu, dygocząc z przerażenia, biegając od okna do okna.

Podprowadziła ojca do łóżka, pomogła mu się rozebrać. — Ratowałeś ich? — pła-kała. — Ty? Akurat ty?

Ojciec odwrócił twarz do ściany. — Siebie — powiedział cicho. — Usiłowałem ratować siebie.

Dopiero potem, kiedy opowiedział, kiedy mógł wreszcie opowiedzieć, co się stało, zrozumiała, o czym mówił. Rzuciła się natychmiast po ręczniki i wodę, i gdy już ją niosła z kuchni, usłyszała w korytarzu twarde, pośpieszne kroki.

Nie widziała go dotąd nigdy, ojciec zabronił jej teraz przychodzić do szpitala, opuszczać dom, pokazywać się w ogrodzie, domyśliła się jednak od razu, kim jest. i to, że zjawił się w ich mieszkaniu, było czymś równie złowrogim, jak stan ojca, jak pożar miasta.

— Spirytus! — powiedział od progu. — Jest chyba w domu spirytus?

Postawiła miednicę z wodą i rzuciła się do kredensu.

Stał przy łóżku ojca, przyglądał się jego rękom i ranie na czole. — Na oparzenia tylko spirytus. Kto pani powiedział, że potrzebna tu woda?

Znalazła nareszcie butelkę ze spirytusem, podała mu ją trzęsącą się ręką. Ojciec usiłował się podnieść. — Nic mi nie jest — powiedział. Proszę mnie zostawić. Proszę mnie zostawić w spokoju.

Młody człowiek zabierał się do opatrunku. — Niech pan nie będzie śmieszny —

syknął. — Wie pan tak samo dobrze, jak i ja, że to było konieczne.

— Niech mnie pan zostawi! — krzyknął ojciec.

Dwudziestodwuletni student medycyny w randze porucznika, któremu mało było tego, czego dokonał w ciągu dnia, i jeszcze musiał przestąpić próg tego domu, otwierał już butelkę ze spirytusem. — Proszę natychmiast dać mi rękę! — powiedział ostro.

— Postąpił pan lekkomyślnie i nierozważnie. Pana ręce są ludziom potrzebne. Tak, także i nam. Wie pan o tym.

Ojciec osunął się na poduszki. — Jeszcze raz proszę, żeby zostawił mnie pan w spokoju.

Lniane ręczniki, które przyniosła, nie dawały się łatwo rozedrzeć. Namęczył się z nimi, ale miał w końcu kilka porządnych bandaży.

— Teraz będzie bolało, przepraszam — chlusnął spirytusem na oparzone miejsca

— ale sam pan sobie winien. Po co pan tam lazał? Pytam pana, po co pan tam lazał? Dla manifestacji? To niczego nie zmieni. Powinien pan zrozumieć, że musimy wyczesać z ziemi wszelkie robactwo, zabić wszystkie wszy i pluskwy. Każdy, kto zechce to robić z nami, jest po naszej stronie.

Ojciec milczał. Z zaciśniętymi powiekami leżał wyciągnięty na wznak, ogromny i nieruchomy. Tylko ona, a może jednak i gość w zielonoszarym mundurze, widziała, jak drży, jak dygoce w nim każdy mięsień.

— Czy mógłbym prosić o kieliszek?

Nie ruszyła się z miejsca.

— Muszę przepłukać gardło spirytusem. Niepotrzebnie odwiedzałem dziś tego smarkacza z anginą.

To by była rzecz najgłupsza pod słońcem, gdybym musiał teraz właśnie położyć się do łóżka. Angina podczas wojny. Przez całe życie nie złapałem jej ani razu. Nie ma w domu kieliszka?

Zrozumiał wreszcie, że ona nie ruszy się z miejsca, że wrosła w kwadrat podłogi przy łóżku ojca, że nic jej stamtąd nie oderwie. Mógł także pomyśleć, że nie zna języka, ale chyba nie przeszło mu to przez myśl, bo zakręcił się ostro i wpadł w drzwi wiodące na korytarz. Jakoś od razu znalazł drogę do kuchni, jakby był już w tym rozległym domu, jakby znał jego rozkład. Zaskrzypiały drzwiczki od kredensu, za-dźwięczało szkło. Słuchała zmartwiała tych odgłosów, a potem powrotnych jego kroków, już nie tak szybkich, jak przedtem. Ojciec leżał wciąż nieruchomo z zaciśniętymi powiekami, nie chciał patrzeć nawet na nią.

Przyniósł szklanekę. Może nie znalazł kieliszków, bo w kuchennym kredensie były tylko dwa lub trzy, wyszczerbione na brzegach, używane przez Leosię do wycinania ciasta na uszka; może wolał większe szkło. Nalał w nią spirytusu, przyjrzał się pod światło jego przezroczystości, wypił i długo potem nie mógł złapać tchu. Odsunął

krzesło od biurka, usiadł. Uderzył się po kieszeniach spodni, szukając papierosów.

Znalazł. Zapalił.

— Słyszał pan o Eisenach? — zwrócił się do ojca.

Ojciec milczał.

— Urodziłem się w Eisenach. To moje miasto. Chodziłem tam do szkoły, mieszkają tam moi rodzice. Marcin Luter spędził w tym mieście kilka młodzięcych lat.

Potem napisał: „*Ich habe in Eisenach die Schule besucht und mein Brot vor den Turen ersungen*”. *Brot vor den Tur en ersungen...* — to pięknie brzmi, prawda? Każdy z nas wyśpiewuje swój chleb przed czyimiś drzwiami.

Ojciec milczał. Drżał tylko wciąż, i był to dygot nie tylko ciała, nie tylko napiętych do ostateczności mięśni.

— To bardzo piękne miasto, Eisenach. Gdyby pan je widział! Jakie jest czyste, jakie ma domy i kościoły, place, ogrody, podwórza, drzwi i okna, jak tam wszystko lśni i pachnie, jak tam chce się dotknąć każdej rzeczy, ucieszyć oczy i ręce.

Ojciec uniósł powieki, na krótko, żeby tylko, patrząc na niego, rzucić cicho, ale bardzo wyraźnie: — Studiowałem medycynę w Zurychu.

Niemiec plasnął dłońmi o kolana. — No to pan mnie rozumie. Pan powinien mnie zrozumieć. Pan wie, jak wygląda Europa.

Przez otwarte okno niósł się mdły zapach spalenizny, zwęglonego drewna, papy, kurzych piór, może także ludzkich włosów. I było w tym wszystko, o czym nie mówi-li, tamten — bo nie uważał za

słuszne, ojciec — bo nie chciał. Cała długa ciemność, z której tak trudno było się wyrwać, ciężkie wieko, uchylone tylko trochę nad trumną, i te podróże nielicznych po świecie, to kształcenie, oddychanie Europą, która była tylko obszarem cudzego szczęścia, niczym więcej. Co miał mu powiedzieć, skoro nie tylko on uważał, że to słuszne i sprawiedliwe, że te dwadzieścia lat Polski, które teraz roz-sypali jednym kopnięciem, to był tylko przerywnik w tej prawidłowości nieistnienia...

— Pan mnie rozumie — powtórzył jeszcze raz nieproszony gość w zielonoszarym mundurze. — To wspomnienie powinno pana rozgrzeszyć, tak jak mnie rozgrzesza wspomnienie Eisenach. Czyścić! Wyczyszczyć z naszej pięknej ziemi wszystek brud, całe robactwo. To nie grzech, to posłannictwo! To...

Ojciec uniósł się gwałtownie, usiadł na łóżku. Przez chwilę łapał ustami powietrze.

— Niech mnie pan zostawi! — krzyknął.

Młody człowiek nie dokończył rozpoczętego zdania, rozejrzał się po pokoju, poszukał czapki i rękawiczek. — Ojciec pani... źle się czuje — powiedział. — Proszę czuwać nad nim w nocy. Rano zadzwonię, żeby zapytać o stan jego zdrowia.

Kiedy był już w korytarzu, ruszyła się wreszcie z miejsca, żeby zamknąć za nim drzwi, głośno, z ulgą i pośpiechem. Przeciąg między oknem i drzwiami przewiał całe mieszkanie smrodliwą wonią pogorzeliśka. Oparła czoło o ścianę, starając się powstrzymać wymioty. Po raz pierwszy objawiały się jej tak strach, żal i rozpacz.

— Dlaczego stoimy? — pyta, unosząc się na siedzeniu. Nie rozpoznaje okolicy.

Samochód stoi przed piętrowym domem w ogrodzie. Szyld nad furtką głosi, że to restauracja „Pod Łasiczką”.

Agnieszka wygląda na zniecierpliwioną. — Pytamy przecież, czy także chcesz coś zjeść? Renato jest głodny.

— Ja nie — zaprzecza Zofia gwałtownie. — Och, ja nie! Jeśli macie ochotę, wejdźcie. Ja się przejdę trochę po powietrzu.

— Mama nie znosi szybkiej jazdy — mruczy Agnieszka do Włocha, Wyskoczył z wozu i otwiera jej drzwiczki szczerze zmartwiony.

— Ależ nie! — woła Zofia. — Co ci przychodzi do głowy, czuję się doskonale. Po prostu nie jestem głodna. Zjadłam obfite śniadanie.

— Co ty opowiadasz? — przed Agnieszką nie można kłamać. — Zjadłaś jeden su-charek.

— Ale nie jestem głodna, naprawdę.

O Boże! myśli. Niechże idą! Niechże idą i jedzą, niech przestaną się nią zajmować.

— Zawołam cię, jeśli będą mieli coś dla ciebie. — Agnieszka poprawia włosy, przygląda się w lusterku puderniczki swoim ustom. Renato nie odrywa od jej twarzy rozbłyśniętego ciekawością spojrzenia. Mówi teraz do niego: — Wymyślili, co? „Pod Łasiczką"! Dobrze, że nie pod mistrzem Leonardem. Na pewno jakaś inicjatywa prywatna. Pan nie wie, co to takiego. U nas prywatna gastronomia to nowość, do niedawna państwo zajmowało się nawet produkcją mielonych kotletów. Nie wychodziło to na dobre ani państwu, ani ma się rozumieć kotletom. A teraz mamy takie prywatne knajp-ki przy drogach. — Przyjrzała się niskim zabudowaniom za frontowym budynkiem.

— Może także hodują norki i stąd ten szyld. Ale „Pod Norką" to by brzmiało fatalnie.

Dlaczego ona tyle mówi? Zofia nie może się doczekać, żeby wreszcie weszli do środka i zostawili ją sarną. Uświadomiła sobie jakąś, na pewno nie usprawiedliwioną, niechęć do Agnieszki, razi ją, że papple, że już jest z Włochem prawie na ty, choć jeszcze wczoraj wieczorem udawała, że nie chce jechać. W ogóle gdyby nie to, że wymy-

śliła sobie wczoraj tę wycieczkę w poszukiwaniu gliny, gdyby nie to, że miała nadzieję znaleźć ją właśnie w okolicy, gdzie leżał biedny Francesco, gdyby w końcu nie na-mówiła jej, żeby pojechała z nią razem.. ach, więc na tym polega cała wina Agnieszki, stąd rodzą się wszystkie pretensje do niej. Mogła jeszcze oskarżyć ją o to, że zajęła się ceramiką, że zamiast pójść na politechnikę, jak chciał ojciec, pozostała wierna swoim objawionym już w dzieciństwie zamiłowaniom, że nie lubiła nigdy fizyki ani matematyki, choć w końcu nauczyła się dobrze liczyć. Mając dwadzieścia. cztery lata zarabiała dwa razy tyle, co ojciec, a dosłużył się przecież wysokiej rangi. Nie powinna mieć jej tego za złe, niczego nie powinna mieć jej za złe. Sama ponosi winę za to, że nieostrożnie wstąpiła w głąb pamięci, zamiast zatrzymać się na jej brzegu, tam, skąd widzi się jeszcze wszystko dokładnie, ale już nie może nas dosięgnąć żaden powracający ból. Nie umiała znaleźć takiego miejsca, nie umiała się na nim zatrzymać. — Nie krępujcie się mną — mówi do nich dwojga. — Dzień taki piękny, z przyjemnością zostanę na powietrzu.

— Masz tu nawet ławkę pod oknem! — Agnieszka już na niej siedzi, wyciągnąwszy daleko przed siebie swoje długie nogi. — Och, jak tu słońce grzeje! Będiesz się mogła trochę opalić. Zazdroszczę ci, że nie jesteś głodna — mruczy i przeciąga się przymknąwszy oczy, wystawiwszy twarz ku słońcu, ale Renato tym razem na nią nie patrzy.

— Może napije się pani przynajmniej filiżankę kawy? Kawa dobrze pani robi, przyniosę tutaj. Chyba naprawdę jechałem za prędko.

Włosy kręcą mu się na skroniach tak samo, jak ojcu, choć nie jest do niego podobny. Wdał się widocznie w matkę, w tę kobietę, która na niego czekała, przez całą wojnę, przez długie miesiące i lata. Napisał jej potem z dumą i triumfem, i ten list zastał ją jeszcze w Olszance: „Maria czekała na mnie".

— Nie — potrząsnęła głową, bierze go za ramię i popycha prawie ku drzwiom restauracji. — Dziękuję za kawę, nie będę nic piła. Zjedzcie coś szybko i jedźmy. Szkoda czasu.

— Mamo! — wzdycha Agnieszka, leniwie wstając z ławki. — Mogłaś każdej chwili tam pojechać i przez tyle lat nie pojechałaś ani razu. I nagle szkoda ci czasu.

Oczywiście ma rację, jak zawsze, ma rację. Chłodną, rozsądną, pozbawioną sentymentów. Trzeba się było uczyć od własnej córki patrzenia na świat. Tylko że to był

inny świat i nie zawsze człowiek sam go sobie stwarzał, nie zawsze mógł go sobie przysposobić według własnych pragnień.

3

Gdyby tamten pozostał dłużej, gdyby zdecydował się czuwać przy ojcu, Andrzej zapukawszy w nocy do drzwi zastałby go w ich domu.

Stała na progu rażona, obezwładniona tym wyobrażeniem i powitanie wypadło nie tak, jak powinno było wypaść, najpierw się przestraszyła, dopiero potem, kiedy już trzymał ją w ramionach, ciasno, ciasno, do utraty tchu, dotarła do niej radość ostra, ponad siły, radość samolubna, jednak ani trochę nie zawstydzona chwilą, w której przychodziła.

Nie byli nigdy ze sobą tak blisko, ale nie uświadamiała sobie tego wówczas, weszli do ojca spleceni ramionami, jakby już nic nie mogło ich rozdzielić, jakby nie było na świecie siły, która potrafiłaby ich rozerwać.

Ojciec siedział na łóżku. Usłyszał, że coś się w domu dzieje, podniósł się i czekał, zwrócony ku drzwiom, napięty i czujny. Nigdy się nie modlił, ale kiedy zobaczył Andrzeja, powiedział cicho: — Sam Pan Bóg chyba cię zesłał.

Nie zwrócili uwagi, że nagle zaczął mówić mu po imieniu; zbyt wiele się zmieniło, zbyt wiele miało się jeszcze zmienić, żeby drobiazgi, dawne zachowania, dawne formy, miały jeszcze jakieś znaczenie.

— Sam Pan Bóg! — powtórzył. — Skąd się tu wzięłeś?

Andrzej nie odpowiedział; patrząc na bandaż na głowie i rękach ojca, sam musiał

najpierw zapytać: — Co się panu stało? Co się tu dzieje? Musiałem wejść do miasta w nocy, żeby mnie nie poznano, ale już we wsiach po drodze mówiono mi, że miasto się pali.

— Spaliło się pół rynku — powiedział ojciec, nie patrząc na nikogo. — Pamiętasz małego Gliksmana na zakaźnym?

— Pamiętam.

— Uciekł, matka mu w tym pomogła. Leżał w domu, zaraził braci i jeszcze kogoś u sąsiadów. Nie mogłem dopuścić do tego, żeby epidemia objęła miasto. Wojna i tyfus w mieście. Posłałem karetkę z pielęgniarkami raz i drugi, nie wpuścili ich. Poprosiłem więc naszego komendanta, żeby dał mi żołnierza. Poprosiłem go, żeby dał mi żołnierza. Jednego. Tylko jednego. Jeden by wystarczył — ojciec mówił coraz szybciej, szybciej i głośniej, jeszcze nie wiedział, że tak się to zaczyna, że tak zaczyna się w nim potrzeba usprawiedliwienia się przed ludźmi, wytłumaczenia swego udziału w tym, co się stało, w tym, czego nie mógł przewidzieć. — Ale nie dał mi tego żołnierza.

Nie dał. Nie dał mi go. Sam wsiadł do samochodu i zabrał mnie ze sobą. A potem, kiedy tu przyszedł, żeby mi zrobić opatrunek, mówił, że trzeba czyścić, wyczesywać z naszej pięknej ziemi wszystek brud, całe robactwo...

— Rozumiem — powiedział cicho Andrzej. Stał wciąż pośrodku pokoju, trzymając ją blisko przy sobie, zdawało jej się, że słyszy, jak wali w nim serce, że czuje zapach wiatru i nocnej rosy, jakim przesycone było jego ubranie, dziwne jakieś, obce, za ciasne na niego ubranie, którego nigdy na nim nie widziała.

— Nie — ojciec zaprzeczył gwałtownie — tego nikt nie zrozumie, tego nikt nie może zrozumieć. Nie chciałem jechać. Nie chciałem! Kto mi teraz uwierzy, że nie chciałem?

Milczeli obydwójce nie tylko dlatego, że pytanie nie było skierowane do nich.

— Kto mi teraz uwierzy, że nie chciałem? — powtarzał wciąż ojciec. — Komu mam to powiedzieć? Do kogo mam się z tym zwrócić?

— Niech się pan położy — powiedziała Leosia od progu. Przeszła obok nich, zbliżyła się do ojca, ujęła go za ramiona i przemocą położyła na łóżku. Szybka zrozumia-

ła, że nikt w tym domu, prócz niej, nie zachowa rozsądku i zimnej krwi. Znowu miała na sobie wykrochmalony fartuch i białą chustkę na głowie. Potrzebowała tych rekwizytów, ażeby choćby tylko w tym domu zatrzymać dawny czas. — Co to za gadanie takie? Jeszcze mało nieszczęścia jak na jeden dzień? Chce się pan zabić tym gada-niem? A pan doktor pewnie głodny? — zwróciła się do Andrzeja. — Zaraz coś zrobię.

Jezusie kochany, nie wygląda pan dobrze.

Andrzej powiódł spojrzeniem po ich twarzach. — Uciekłem z niewoli — powiedział. — Nikt nie może mnie tu zobaczyć.

Dopiero później, za tydzień, za dwa, za miesiąc, opowiedział wszystko po kolei —

stanie i czekanie na granicy pod Praszką, między dwiema rzekami, między prostym korytem Prosną i zagiętym kolanem Warty, noc, kiedy nic się nie działo, kiedy w ciemności rżały konie a stamtąd, zza granicy, dochodziło, a może tylko zdawało się, że dochodzi, i było to o wiele gorsze, niż. gdyby dochodziło naprawdę, mrużenie silników, głuchy szcęk żelaza... potem cofanie się, na Działoszyn, na Szczerców, na Bełchatów, obrona szosy, którą Niemcy parli na Łódź, i znów rżenie koni po nocach i mrużenie silników, już gdzieś blisko, coraz bliżej, o ludzki głos, o strzał z karabinów przeciwpancernych, które dowieziono im w skrzyniach na granicę, ale nikt nie umiał z nich strzelać, i marsz na wschód, bezładny, tragiczny marsz rozbitej przez wroga armii, dotarcie do Modlina i wreszcie jakiś opór, rozpaczliwy i beznadziejny, ale jednak opór, jednak walka... Wszystko to opowiedział dopiero później, teraz mówił tylko o Modlinie, o kilkunastu dniach bez snu, jedzenia i w końcu bez amunicji, o białej fladze na murach, o kapitulacji. Broń rzucali na kopczyk, złamawszy uprzednio iglice i celowniki, podchodzili jeden po drugim, kopczyk rósł, u pasów wisiały im puste

kabu-ry, przestali być żołnierzami, stali się upchaną ciasno w samochodach mierzwą ludzką bez imion i nazwisk, z przeszłością, ale bez przyszłości. Zawieziono ich do Działdowa i tu — niespodziewanie — rezerwę zwolniono do domu. Zawodowi oficerowie patrzyli na nich z zazdrością. Ciężko było opuszczać obóz pod ich spojrzeniami. Wolność miała smak zdrady, choć to była tylko wolność w niewolnym kraju. Po dwóch dniach tej niewolnej wolności cudem uniknął aresztowania w domu rodziców, — na Pradze, do-kąd wreszcie dotarł. W Warszawie wyłapywano już oficerów, do komendantury obozu w Działdowie nie dotarły jeszcze najświeższe zarządzenia. Wyskoczył w nocy przez okno z pierwszego piętra, matka wyrzuciła za nim ubranie ojca.

— I jakoś tu doszedłem — powiedział. Patrzył jej w oczy. — Musiałem tu przyjść.

Ze wszystkich twarzy Andrzeja zapamiętała najwyraźniej, najostrzej jego twarz z tego właśnie wieczoru. Była to twarz odzyskana, ale już jakby utracona, za wiele w niej było cienia zacierającego dawne rysy, dawne spojrzenie. Mówił cicho, jakby bola-

ło go każde słowo, jakby brał na siebie cały ból i cały wstyd za to, co się stało. Zapadła, poszarzała twarz chłopca, który przed kilkoma tygodniami mówił: „To niemożli-we”, a teraz miał już za sobą ucieczkę przed wrogiem, białą flagę na murach twierdzy, szczęk rzuconej broni...

Leosia nalewała już herbatę, kroїła chleb, skrzypiała drzwiczkami kredensu. Przysłuchiwała się temu, co mówił, bo kiedy tylko skończył, powiedziała: — Jezusie kochany! Trzeba coś obmyśleć. Zaraz pana tu złapią.

Ojciec znowu usiadł na łóżku, zdjął bandaż z czoła i rzucił go w kąt. — Jest pokój na strychu. Mało kto o nim wie, bo okno nie do drogi, tylko na sad. Leosia zaraz tam pościeli. Tylko światła proszę nie palić.

— Ja tylko na jedną noc — powiedział Andrzej, jakby za coś przeproszał, jakby prosił o wybaczenie. Patrzył nie na ojca, ale na nią, w jej twarz, w jej oczy. Był szalo-ny, tak, wiedział o tym, jak wtedy o świcie na podwórzu nadmorskiego pensjonatu, tylko że teraz było to inne szaleństwo. — Na jedną noc — powtórzył.

— Co za głupstwa gadasz? — obruszył się ojciec. — I dokąd pójdziesz?

— Mam stryja za Kraśnikiem. Jest leśniczym w zapadłym kącie, w jakichś pry-watnych lasach. Tam na pewno będzie spokojnie, świat zabity deskami, trudno się rozeznać, w jakim żyje się wieku. Żebyśmy tylko tam dotarli...

Zapadła długa cisza. Skądś z daleka, z szosy wiodącej do Warszawy czy z głębi miasta, dochodził głuchy odgłos toczących się czołgów.

— Chcesz ją zabrać ze sobą? — zapytał wreszcie ojciec. Jakieś pęknięcie było w jego głosie, głuche i bolesne.

— Po to przyszedłem — odpowiedział Andrzej

I znowu była cisza. Daleki grzmot toczącego się żelaza nie ustawał ani na chwilę.

Ojciec wstał z łóżka, przeszedł się po pokoju, dotknął jakichś przedmiotów na biurku i stoliku nocnym, zatrzymał się na długo przed oknem, przed czarną płachtą zaciemnienia. Kiedy się odwrócił, twarz miał jeszcze bledszą niż przedtem, z tym jaskrawszą na czole plamą oparzenia. — Zabierz ją — powiedział. — Zabierz ją ze sobą. — Minęło dużo czasu, zanim zapytał: — A ty? Chcesz?

Nie mogła wydobyć z siebie żadnego słowa, podniosła rękę do ust i gryzła palce

— ale serce rozdzierał jej żal za ojcem, więc już wybrała, już postanowiła.

Wiedział, że musi jej pomóc. Przyciągnął ją do siebie, położył dłoń na jej głowie.

Zawsze, w każdym wspomnieniu, wracał przejmująco i wyraźnie ten gorący ciężar.

— Nie chcę, żebyś tu była — mówił. — Nie chcę. Boję się. Wszędzie, tylko , nie tu. W tym mieście nie będzie już spokoju. I w tym domu. Idź z nim, idź jak najprę-

dzej. Może... — urwał, gorące wnętrze jego dłoni obejmowało jej czoło, jak podczas wszystkich dziecięcych chorób, kiedy badał w ten sposób, czy ma gorączkę, kiedy chciał, żeby prędeż zasnęła. — I ja... kiedy będzie można... kiedy będę mógł... do was się przeniosę...

— A ja? — chlipnęła cicho Leosia.

— I Leosia także, ma się rozumieć, że Leosia także.

Rozstawali się więc z tym domem, już teraz się z nim rozstawali, rozpadł się, runął

w ich oczach, choć ściany tak samo jak dawniej, mocno podpierały dach. Wybudował

go dziadek, kiedy , coraz więcej pacjentów zjeżdżało się do niego z całej okolicy.

Wybudował go z pięknej cegły, ze zdrowego, wspaniałego drewna. Wokół domu zasadził drzewa, ozdobne z przodu, owocowe w głębi. Tutaj przyszedł na świat ojciec, wychował się tu, tutaj wprowadził swoją żonę. A potem znowu ktoś mały biegał po pokojach, znowu ktoś rósł w tych ścianach, pod tym dachem, który jaskółki tak chętnie wybierały sobie na gniazda. I oto rozstawali się z nim, porzucali go, ponieważ mógł już tylko istnieć we wspomnieniu, ponieważ w tym, co się stało, nie było dla niego miejsca.

— Nie! — Leosi nagle przeszedł płacz, uderzyła ręką w stół. — Ja się stąd nie ru-szę. Nie zostawię wszystkiego na zgubę. Tyle konfitur! — przypomniała sobie. — Ty-le soków!

— Leosiu, Leosiu — pokiwał głową ojciec.

— Przecież oni nie będą tu wiecznie. Jakby mieli tu być wiecznie, to by nigdzie dla nas życia nie było. Po co bez potrzeby ustępować przed nimi, po co im takie dobro zostawiać? Nieboszczyk pan doktor przez całe życie na to pracował. I pan także. Pani by mi nigdy nie darowała, gdybym tu wpuściła kogoś obcego, gdybym tu nie warowa-

ła jak pies. O Jezusie kochany, jak to dobrze, że pani tego nie doczekała... że nie doczekała tego przekłętego czasu, że nie musiała patrzeć na diabła w swoim domu. Ale ja go więcej tu nie wpuszczę. Niech puka, niech chodzi pod oknami, niech strzela w drzwi — ja go nie wpuszczę na próg.

Leosia płakała, przeklinała, przeżywała wzloty i upadki energii. Oni, poślubieni sobie tak nagle i niezwykle, nie mieli odwagi na siebie spojrzeć. Opuściła ich niedawna śmiałość, która rzuciła ich sobie w ramiona, stali przegrodzeni stołem i nie mogli ruszyć się z miejsca.

— Mój Boże! — powiedział nagle ojciec. — Inaczej to sobie wyobrażałem. No, na co czekacie? — krzyknął. — Pocałujcie się! Ludzie mimo wszystko będą musieli żyć.

Rano Leosia poszła do księdza, a stamtąd do szpitala, skąd zabrała z pokoju Andrzeja jego ubrania i rzeczy, przykrywszy je w koszu fartuchami doktora. Zawsze zabierała je do prania w domu, więc nikt się temu nie dziwił. Nie spotkała żadnego Niemca, nawet nie słyszała, jak na strychu śpiewają żołnierze. Może już nie śpiewali?

Pożar rynku musiał być widoczny z okien szpitalnego strychu, może dopiero teraz zrozumieli, że są na wojnie, choć na razie cierpieli tylko inni.

Miasto wyglądało jak umarłe. Ludzie nie opuszczali domów. To, co się stało, mogło się każdej chwili powtórzyć, inaczej, ale jednak powtórzyć — pękła jakaś tama, runęło przez nią coś, czego nie ogarniała dotąd wyobraźnia ludzka.

W tej pustce i ciszy szedł przez miasto żydowski kondukt żałobny.

Leosia schowała się w bramę, bo była przesądna i nie lubiła natykać się po drodze na pogrzeby, w dodatku na taki. Ale jednak ciekawość kazała jej wysunąć głowę. Postawiła kosz na ziemi i patrzyła; Na platformie karawanu, na której zwykle przewożono owinięte prześcieradłem zwłoki, wąskie i płaskie, wyprostowane w starannym uło-

zeniu do wiecznego odpoczynania, wznosił się teraz wzgórek ciał nieforemnych i po-krzywionych, pokracznie i jakby nieprzystojnie, nie przygotowanych na przyjęcie śmierci. Przykrywała je niczym nie obciążona płachta, wiatr unosił jej brzegi, ukazując ziemi i niebu czarne, opalone ogniem piszczele, gołe, świecące białą kością czaszki.

Za wozem szły trzy płaczki. Ich głos przy zwykłych pogrzebach, w dawny, zwykły, zabity razem z ludźmi czas, rozchodził się donośnie po mieście, płacono im za to, żeby było słychać ich płacz, głośną żalność za odchodzącymi. Teraz płakały milczkiem, z bojaźnią zamykającą usta, wtlaczającą w gardło każdy jęk, choć płacz — po raz pierwszy nie opłacony — rozsadzał im piersi. Ich ciche zawodzenie płynęło ulicą jak brzęczenie pszczoł.

Za nimi nie było tłumu, towarzyszącego wszystkim pogrzebom. Nie więcej niż dziesięć osób, przerażonych śmiałością swojej żałoby, podążało za karawanem. Przy mocniejszym powiewie wiatru płachta ukazała znów zwęgloną gmatwaninę ciał. Jakaś ręka o rozszerzonych i zagiętych palcach, ręka nieposłuszna bezruchowi śmierci, zsunęła się z wozu i zwisając kołysała się w takt podskakiwania karawanu na nierównym bruku.

Leosia krzyknęła. Przeżegnała się, zaczęła odmawiać modlitwę, bezładnie, gubiąc myśli i słowa. Choć kosz był ciężki, chwyciła go i pobiegła do domu. Spojrzeli na nią przerażeni, gdy prosto od progu ruszyła do kredensu i choć zawsze wzbraniała się przed najmniejszym kieliszkiem wódki, teraz naląła sobie pół szklanki i wypła duszkiem.

Siedzieli wszyscy razem omawiając to, czego nie dało się omówić, przyszłość bliską i daleką, jutrzejszy dzień ich wyjazdu, a raczej wyjścia z domu, i losy wojny.

Ojciec nie poszedł tego dnia do szpitala. Czuł się niedobrze, a prócz tego nie chciał, nie mógł, nie czuł się na siłach pokazać się ludziom. Uprzedzając telefon swego zwierzchnika, zadzwonił do kancelarii, że musi zostać w domu, ale prawdopodobnie już jutro zjawi się w szpitalu,

Leosia nie powinna była ukazywać mu się ze swoją twarzą, której wyrazu nie zdo-

łała odmienić, z rozwianymi włosami, z oczyma porażonymi tym, co oglądały. Wiedziała, że nie powinna; pamiętała także, że jest to dom weselny, sama użyła rano tego nieodpowiedniego słowa, tym bardziej więc obowiązywała ją teraz inna twarz, inne patrzenie. Nie potrafiła jednak ukryć tego, co widziała, i wychyliwszy duszkiem pół

szklanki wódki, usiadła na krześle z cichym jękiem.

— Co się stało? — spytał ojciec. — Spotkało Leosię co w szpitalu?

Potrząsnęła głową, wyjęła z kosza garnitury Andrzeja. jego bieliznę i obuwie. Nie, w szpitalu wszystko poszło dobrze, prawie nikt jej nie widział, weszła do pokoju młodego pana doktora, spakowała co najważniejsze rzeczy, potem zamknęła drzwi na klucz, jutro znowu tam pójdzie, pomału wszystko przeniesie, nic tam nie zostawi. Nie, w szpitalu poszło jej nadspodziewanie dobrze. Dopiero na rynku...

— Co „na rynku”? — spytał ledwie dosłyszalnie ojciec.

Leosia uczyniła jakiś przedziwny gest ręką, chciała określić, pokazać coś, co nie układało się jej w słowa do czego bała się użyć słów.

— Na rynku... — zaczęła.

— Zatrzymał ktoś Leosię?

— Tak — pokiwała głową. — Tak. Oni mnie zatrzymali, ci na wozie... Dużo ich było, cała sterta...

— Leosiu! — krzyknął ojciec.

Sam przyniósł jej w szklance wody, kazał, żeby wypła. Opowiedziała potem wszystko już spokojniej, a oni myśleli o sklepach wokół rynku, o zakupach tam czy-nionych, guzikach i niciach Gliksmanowej, o butach i kaloszach, które najlepiej kupowało się u Reichmana, o chałwie u starego Fuchsa... Kiedy chodziła jeszcze do szkoły, wstępowała tam zawsze po lekcjach i wracała do domu z lepkiem od słodczy palcami, a Leosia złościła się, grożąc, że powie ojcu, jeśli nie zje obiadu.

Wszystko to zostało zdmuchnięte jak puch dmuchawca w jednej krótkiej chwili, gdy młodzianki medyk z czystego, wypolerowanego kulturą niemieckiego miasta stanął pośrodku rynku i z zadartą do góry głową przyjrzał się swojej wojennej przygodzie.

— Aha — przypomniała sobie Leosia — ksiądz przyjdzie o trzeciej.

Przez dłuższy czas nie mogli zrozumieć, o czym mówi. Zapadła cisza — już przez to samo trzeba było opuścić ten dom, przez te puste, nagłe zamilknięcia, w których było miejsce na wszystko, na krzyk, na walenie głową o ścianę, na zadanie sobie nie tylko bólu, ale i każdego pytania. Jak wczoraj, w tej szklistej przezroczystości, słyhać było dochodzące skądś z daleka głucho dudnienie czołgów.

— O trzeciej? — odezwał się wreszcie ojciec.

— O Jezusie kochany! — rozkrzyczała się nagle Leosia. — Ślub w taki dzień! W taki dzień!

Czemuż wyzbyła się akurat teraz tej swojej zwykłej, prostej mądrości, czemu nie nakazała sobie milczenia, nie połknęła słów, które cisnęły się jej na usta, nie zatrzymała łez i gestów, pogarszających tę chwilę. Widocznie nie mogła, nie potrafiła.

Wyciągnęła ramiona i zamknęła w nich tę swoją drobinę, którą kołysała od pierwszej chwili, nianczyła i bawiła na kolanach, aż jej wyrosła na pannę, która miała oto iść z tego domu, na zawsze iść z tego domu, i w dodatku w taki dzień, czy można było przy tym nie płakać? Płakały więc obie z Leosią, ciasno objęte, aż ojciec krzyknął na nie naprawdę zły, zły podwójnie, bo także i na siebie, że potrafił się gniewać.

— Tak? Mam być cicho? — Leosia uspokoiła się nie od razu. — A jakie ja wesele urządzą panience? O tym pan nie pomyślał?

Wesele było ulubionym tematem Leosi. Od kilku lat, od kiedy zobaczyła, że siedząc u niej na kolanach dotyka nogami podłogi, zaczęła układać plany weselnego przyjęcia na dwadzieścia, nie, na trzydzieści, w końcu na czterdzieści, a może nawet na pięćdziesiąt osób. „Posłuchaj, Zośka! — mówiła, rozkładając na stole starą kucharską książkę — zaczynamy od zakąsek”.

Z długiej listy potraw, którymi Leosia zamierzała uczcić jej wesele, najbardziej intrygowały przyszłą pannę młodą kwiczoły i tort pistacjowy. O kwiczołach wiedziała tylko tyle, że jest to coś nadzwyczajnego, coś, co się jada tylko przy rzadkich oka-zjach, raz, może dwa razy w życiu. Z pistacjami można było spotkać się częściej, u ciotek na Boże Narodzenie i Wielkanoc., w imieniny ojca, gdy wdzięczni pacjenci przysyłali mu do domu ogromne torty. Była w nich jednak zawsze jakaś zielona niezwykłość, krótkie, słodkie oczarowanie — nie, pistacji także nie można było jeść co dzień.

— Wesele? — ojciec pokiwał głową. — O czym Leosia mówi?

Ksiądz zjawił się punktualnie. Najpierw zamknął się z ojcem w jego pokoju, pozostawiając ich onieśmiałonych i nagle zupełnie sobie obcych na długie, wydłużające się chwile czekania. Wydawała

się sama dobrze śmieszna w welonie zrobionym na poczekaniu z tiulu, który Leosia rozpiniała w lecie na okiennych ramach w obronie przed muchami, a teraz wyprany i wykrochmalony pospinała szpileczkami na jej głowie.

Lustro, przed którym ją posadziła, pokazało jej twarz śmiertelnie przerażonej dziewczynki o za dużych czarnych oczach, powleczonych tępą rozpaczą.

Andrzej stał odwrócony ku oknu, wychodziło na ogród i nie było za nim nic ciekawego. Na krzakach agrestu żółkły już liście, na jabłonkach dojrzewały ostatnie, zimowe jabłka. Gdyby wiedział, jak mało, jak prawie wcale go w tej chwili nie kochała.

Jak miała mu niemal za złe, że się zjawił, że zabierał ją stąd, że rozłączał ją z ojcem.

Nie pamiętała już, jaką rozpaczą napełniała ją jego nieobecność, brak listów, złe wie-

ści z cofającego się frontu. Chciała zostać z ojcem. Niech się dzieje, co chce, niech zginą, ale razem, tak jak razem byli przez całe życie.

Andrzej odwrócił się nagle i nie opuszczając miejsca pod oknem, wsparty o jego parapet, patrzył na nią. — Wiem, o czym myślisz — powiedział z żalem.

Wyskubywała nitki ze swego ślubnego welonu, darła jego brzeg, ostry od krochmalu z kartoflanej mąki.

— Wiem, o czym myślisz — powtórzył. — Przyszedłem, żeby cię zabrać, bo mi się zdawało, że razem łatwiej to przeżyjemy, że musimy być ze sobą, żeby nie miało do nas dostępu nic z zewnątrz, nic z tego, co się stało.

— I nadal tak myślisz? — zapytała wrogo.

— Nie — potrząsnął głową. — Już tak nie myślę. Już wiem, że to niemożliwe.

Przestraszyła się, dziwnie i niezrozumiale, wbrew sobie i temu, co czuła przed chwilą. — Niemożliwe? — spytała cicho. Czubki palców piekły ją od szarpania ostrych nitek, dała temu spokój, wygładziła welon na kolanach, złożyła na nim rękę.

— Zupełnie niemożliwe. Nie ma nigdzie takiego miejsca. Ale są miejsca lepsze i gorsze. Twój ojciec ma rację, to jest najgorsze ze wszystkich.

Twarz dziewczynki o otępiałych od rozpaczyny oczach rozmazała się w lustrze.

Przycisnęła palce do oczu, wytarła łzy. — Pewnie myślisz, że jestem głupia.

— Nie, nie myślę tak. Ale nawet gdyby tak było, kochałbym cię i za to.

Nie zasługiwała na Andrzeja, na jego dobroć i cierpliwość. Myślała, że pewnie bał

się tak samo, jak ona i dlatego potrafił ją zrozumieć. Wstała, podeszła do niego, wzięła jego dłoń i przytuliła ją do policzka. Wtedy, a nie za chwilę na klęczkach i przy księ-

dzu, ślubowała mu posłuszeństwo, poddaną uległość, wiarę w jego mądrość i dobroć.

Ślub odbył się szybko i jakby w roztargnieniu. Tylko Leosia, płacząc cicho, jak to według tradycji winna czynić matka, wiedziała naprawdę, co się działo. Ojciec zdawał

się być myślami bardziej przy rozmowie, którą odbył z kanonikiem, a i sam kanonik z trudem skupiał się na udzielanym sakramencie. Powinien był pomyśleć, że to już czwarty, który przyjmowała z jego rąk. Chrzcił ją, udzielał pierwszej komunii, bierzmował, a teraz łączył węzłem małżeńskim z kimś, komu się nawet nie przyjrzał, dawno bowiem minęły zwyczaje, kiedy każdy nowy przybysz w mieście zaczynał w nim życie od wizyty składanej księdzu. Może też dlatego więcej uwagi poświęcał młodemu doktorowi niż jej, choć w welonie z okiennych zasłon i ze swoją nową twarzą powinna mu się wydać równie obca. Przez cały czas ceremonii bała się, żeby ksiądz, znany z piękności i szczodrobliwości swoich kazań, nie wystąpił i teraz z mową. Ale bała się nadaremnie. Był wprawdzie moment, kiedy kanonik, dokonawszy pospiesznie swoich czynności, przymknął oczy i jakby odsunął się od nich w swoje myśli, ale nie nastąpiło potem ani jedno słowo i wszyscy — prócz Leosi — byli mu za to wdzięczni.

Potem ojciec wyciągnął jakiś bardzo stary rocznik wina, a Leosia poprosiła na skromny obiad; nie powinni byli, ale jednak rozmawiali o pożarze rynku, o pogrzebie Żydów, o nowym porządku w mieście i tych, którzy go z sobą przynieśli, o wojnie, o klęsce. W końcu i Andrzej — przymuszony przez kanonika — słowami, które jeszcze z trudem nazywały to, co się naprawdę i do samej głębi, do samego krańca znaczenia nigdy nazwać nie dało, opowiedział o swojej wędrówce, z wojskiem i bez wojska.

Ciemno już było, siedzieli przy świetle i szczelnie zasłoniętych oknach, gdy u drzwi rozległ się dzwonek. Mógł to być każdy z mieszkańców miasta, ale ojciec i ona, i Leosia w kuchni pomyśleli to samo. Dzwonek zabrzmiał po raz drugi, potem trzeci i czwarty. Leosia, której nikt nie zakazywał otwierać, nie ruszała się z kuchni; sama dobrze wiedziała, co trzeba robić. Andrzej uniósł się na krzesło, ale ojciec go powstrzymał. — Zostań! Nie wpuścimy go.

— Kogo? — zdumiał się ksiądz. — Może to ktoś potrzebujący pomocy?

— Nie wpuścimy go — powtórzył ojciec.

Twarde, szybkie kroki odeszły od drzwi, przesunęły się pod oknami, zatrzymały się na chwilę i na powrót wróciły na próg. Znów zadzwieczał dzwonek, raz, drugi, trzeci — patrzyli na siebie w milczeniu, tylko ksiądz miał w oczach pytanie, na które nikt nie udzielał mu odpowiedzi.

Dzwonek wreszcie zamilkł, pospieszne kroki odbiegły znów od progu i kiedy są-

dzili, że oddaliły się już ku furcie, powróciły pod okno, żeby się tam zatrzymać i przycząić. Trwało to bardzo długo, nie tylko dla nich, ale zapewne i dla tego, kto stał pod oknem, choć on mógł to skrócić, przerwać i zakończyć. Wciąż jednak stał tam, może z twarzą przysuniętą do szyby, może z wspartym

o nią czołem, może z palcami wczepionymi w blaszany parapet... Czuła, że zacznie krzyczeć, że nie znieśie tej milczącej obecności za oknem, że zerwie się i otworzy je na oścież, żeby się przekonać, czy on tam naprawdę jest. Musiała mieć to wszystko w oczach, bo ojciec pochylił się nad sto-

łem i powiedział groźnie: — Opanuj się!

Zacisnęła powieki, wstrzymała oddech i nie ona, ale tamten pod oknem załamał

się pierwszy — uderzona pięścią szyba zadźwięczała ostro, ale zaraz potem szybkie kroki oddaliły się spod okna, nie ku drzwiom jednak, tylko w stronę furtki.

Nie odzywali się do siebie przez długi czas, Leosia w kuchni jakby żyć przestała i dopiero ksiądz kanonik zdobył się na głośne postawienie dręczącego go pytania: —

Kto to był? Wiecie, kto to był?

Ojciec sięgnął po flaszkę z winem. — Najważniejsze, że nie wpuściliśmy go do środka.

— Nie wróci?

Patrzyła z napiętą uwagą, jak ojciec napełnia kieliszki, jak obraca w dłoni butelkę, aby powstrzymać opadnięcie czerwonej kropli na śnieżny obrus.

— Myślę, że nie wróci — odpowiedział powoli. A potem zrozumiałwszy, że to jednak zbyt wielkie uznanie dla studenta medycyny, przeżywającego swoją pierwszą wojenną przygodę, dodał cicho: — Nie dzisiaj.

4

Renato opowiada Agnieszce film, scenariusz filmu, opracowany już nawet jako scenopis — wszystko jest gotowe, nawet główna obsada, jeszcze tylko te polskie sprawy, i można kręcić.

Czekają na kurczęta z różną, które skwiercząc i napełniając cały lokal „Pod łasiczką” podniecającą wonią, pieką się dla nich w kuchni, a tymczasem Renato pochłania stertę zielonej sałaty, sam doprawił ją sobie oliwą, cytryną i cukrem, a teraz — prze-rwawszy opowiadanie — zastanawia się, czy jednak nie brakuje w niej soli.

Agnieszka bardziej go obserwuje niż słucha. Uważa, że ładnie je, podoba jej się, że pochłonięty opowiadaniem, potrafi myśleć równocześnie o przyjemności, jaką daje mu jedzenie, potrafi poświęcić tej czynności całą należną jej uwagę. Sama nabiera ochoty na zielony liść, połyskujący oliwą, wyciąga rękę i chwyta go w dwa palce.

— Ależ proszę! — mówi Renato. Teraz on przygląda się, jak liść sałaty ginie w ustach Agnieszki, i czeka na jej aprobatę, żeby zapytać: — Dobrze?

— Bardzo! Właściwie to nigdy nie lubiłam sałaty.

— Od dziś zaczniesz ją lubić.

Agnieszka śmieje się, na ustach ma jeszcze odrobinę oliwy, jej uśmiech lśni i po-

łyskuje, może także i pachnie, inenato jest pewien, że gdyby pochylił się nad stołem i zbliżył twarz do jej twarzy, mógłby się o tym przekonać. Uwielbia chwile z nowymi dziewczynami! Gdy się je dopiero poznaje, ogląda, podpatruje, gdy wszystko w nich wydaje się ciekawe, odkryte, a jeszcze nie rozszyfrowane do końca. Wtedy każda wydaje się inna, warta wszelkich zabiegów, cenna, najcenniejsza przez to, że się dzięki niej podąża jeszcze raz tą cudowną drogą, prowadzącą od pierwszego spojrzenia do...

— nie, nie myśli nawet, żeby zaraz się z nią przespać. To czasem wszystko psuje. Wo-li czekać, aż okaże się to konieczne. Dla niego i dla niej, przede wszystkim dla niej.

Zawsze wtedy bowiem ma uczucie najwznioślejszego ofiarowania. Nic z pospolitości.

Cienia pomyłki. To po prostu musiało się stać. — Na czym skończyłem? — pyta.

— Nie wiem — potrząsa głową Agnieszka, nie przestając się śmiać, połyskliwie i pachnąco, i choć to niezbyt dla niego uprzejme, ta nieuwaga dla jego słów, Renato woli podejrzewać, że może myślała o tym samym.

— Aha! — przypomina sobie, unosząc nad talerzem sałaty solniczkę. — On jedzie z Mediolanu do Rzymu. Impresario udał się tam dzień wcześniej, żeby na miejscu dopilnować ostatnich akcentów reklamy i zadbać o wszystkie szczegóły. Impresario jest postacią prawie że komediową, skupiają się w nim przejawione cechy tego zawodu, dwoi się i troi, zapobiegliwy i męczący, wiecznie załatany. Załatwia jednocześnie mnóstwo spraw, słowem: typowy facet tego rodzaju, wiesz, o co chodzi.

— Nie wiem — mówi Agnieszka, znów podkradając z talerza liść sałaty. — Nigdy w życiu nie widziałam żywego impresaria. A może nawet by mi się przydał.

— Tobie?

— A dlaczego nie? Każdy artysta potrzebuje kogoś, kto by wmawiał innym, że jest genialny. Jeśli cena za tę usługę jest z góry ustalona, sprawa wydaje się nawet wyjątkowo czysta. Wolałabym to niż wszelkie inne zabiegi, które muszą zastępować tę próżnię wokół pochopnego stwierdzenia, że prawdziwa sztuka upowszechnia się sa-ma.

— Boże drogi! — Renato jest wreszcie pewien, że sałata ma właściwy smak, ale boi się, że nigdy nie skończy swego opowiadania. — O czym ty mówisz?

— Dobrze, że nie wiesz — macha ręką Agnieszka. — No więc co z tym waszym polskim pianistą?

— Skoro polski, to wasz.

— Wasz, bo wymyśliliście go sobie. Ciekawa jestem, czy wyda m\ się prawdopodobny.

— A musi?

Agnieszka zastanawia się przez chwilę. — Myślę, że tak.

— Prawdopodobny to znaczy taki, jakiego można przewidzieć. Bez żadnej nadziei na zaskoczenie, bez niespodzianki, która jest w każdym losie. Po co wobec tego kręcić o nim film, skoro każdy może przewidzieć jego historię?

— No dobrze, niech nie będzie prawdopodobny. Poddaję się. Ale pozostawiam sobie prawo do wątpliwości.

— Ofiarowuję ci je. — Renato patrzy tak, jakby obdarzał ją czymś, czego nie mogłaby otrzymać od nikogo i intensywność tego przekazu sprawia, że znowu zapomina, w którym miejscu przerwał opowiadanie scenariusza, milczy przez chwilę, aby tym mocniej zaakcentować następne zdanie: — No więc impresario dba o wszystko, usiłuje wszystko przewidzieć i, jak zwykle w takich wypadkach, nie przewiduje rzeczy najzwyklejszych, choćby tego, że jego pupil spotka w pociągu dziewczynę,

— Dlaczego nie leci samolotem?

— A dlaczego ma lecieć?

— Ba ja wiem? Teraz wszyscy latają samolotami.

— Co to znaczy wszyscy? — Renato zaczyna być lekko zniecierpliwiony. Nie udaje mu się wywołać wyrazu zaskoczenia w oczach Agnieszki, błyszczy w nich wciąż ostre, bardzo przytomne światełko przyczajonego sprzeciwu. Gdyby wszyscy latali, pociągi przestałyby kursować, a wciąż jest w nich przepełnienie.

— No więc wszyscy artyści — poprawia się Agnieszka, bynajmniej nie rezygnując ze swego zastrzeżenia. — Spieszą się, nie mogą tracić czasu na długie podróże.

— Ale nasz pianista podróżuje pociągiem.

Agnieszka przechyla głowę i bawiąc się irytacją, której Renato nie jest w stanie już ukryć, mówi z uporem: — Chcę wiedzieć dlaczego?

— Bo nie było już biletu na samolot, bo źle znosi latanie, bo... wszystko jedno zresztą dlaczego. Musi jechać pociągiem, co ci się tu nie podoba?

— Przepraszam — Agnieszka sięga po trzeci liść i choć sałata jest znakomicie przyprawiona, a poufałość tego gestu zbliża ją jakoś do Renata, smutnieje i opuszcza głowę. — Bo widzisz, ja w ogóle nie lubię fabułki.

— Czego nie lubisz?

— Fabułki. Tego zmyślania, układania zdarzeń, naginania ich do konceptu.

Renato rozpina pod brodą kołnierzyk koszuli, zgiętymi palcami przeczesuje włosy.

— Ale przecież... przecież... — szuka słów — sztuka od wieków opierała się na anegdocie, literatura, plastyka... Film tylko ją ożywił i pomnożył obrazy... trudno tak od razu się tego wyrzec.

— Bo ja wiem — Agnieszka wciąż nie podnosi głowy, bawi się brzegiem lnianego obrusa. Tyle rzeczy dzieje się naprawdę. Tego mu oczywiście nie powie, bo wydałaby mu się śmieszna jak śmieszna jest w tej chwili dla siebie, śmieszna, głupia i nieobliczalna. Akurat teraz ją to dopadło, przez rok nie powtórzyła go w myślach ani razu, a oto nagle powraca pośród tej rozmowy ulubione, pogardliwe słówko Marka: fabułka.

Pogardliwe, bo sam siedział w dokumencie, bo nienawidził kostiumu: słów, szmat, wszelkiego grania ludzi i rzeczy. Sam też sobie niczym nie pomagał, chropowaty i ko-

ścisty, zawsze prawdziwy. „Fabułka! — mówił, a brzmiało to, jakby pluł przez zęby.

— Niech inni robią pieniądze na fabułce. Życie jest tak wspaniałe! Trzeba to tylko zobaczyć". Chodziła z nim na wszystkie polowania z kamerą, wierzyła z wściekłym zachwytem w każde jego słowo, a potem zjawił się Wiktor po tej swojej nagrodzie, Wiktor, który uznał, że powinien się teraz pokazywać z jakąś świetną dziewczyną, a ona na to przystała i także lubiła, gdy ich razem widywano, dwoje oszustów stratowało wtedy Marka, który nawet nie potrafił, a może nie chciał się bronić. To było dawno, o Wiktorze zdążyła już zapomnieć, i nagle przypomina się jej fabułka, małe, pogardliwe słówko, słyszy, jak je Marek wymawia, widzi, jak układają się przy tym jego usta, pamięta przygarbienie pleców, pochylenie głowy, całe to wyraźne odwrócenie się od wszystkich intratnych pokus świata. — Tyle rzeczy dzieje się naprawdę — powtarza z uporem.

Renato unosi się nieco na krześle i pochyla nad stołem: — Pozwól mi opowiedzieć całą rzecz do końca. Dlaczego zatrzymujesz się na głupstwach?

— To nie są głupstwa — Agnieszka jest nieprzejednana, a potem nagle zmienia zdanie, przerażona tym, że przy wypolerowanej urodzie Włocha jawi się jej wciąż przed oczyma koścista niedoskonałość Marka. — Ależ tak. To są głupstwa. Przepraszam.

Zjawiają się wreszcie kurczęta, wnosi je na tacy młoda kelnerka, może córka wła-

ścicieli lokalu, owa łasiczka z szyldu, zwinna i cichutka, o małej, ładnej głowie na giętkiej szyi. Obydwoje są jej jednakowo wdzięczni, choć tylko Renato umie jej to okazać, mimo że nie może posłużyć się słowami.

— To wspaniale pachnie! — mówi, gdy łasiczka odchodzi po sok pomidorowy, który zamówili. — Może by jednak mama nabrała ochoty?

Powiedział to bardzo ładnie — mama — i Agnieszka nie bierze mu za złe tej poufałości. Potrząsa jednak głową. Ma wiele, bolesnego niekiedy, sentymentu do tej niemodnej dziewczyny, która jest jej matką. I wie, że kiedy powstaje między nimi coś nie do przekroczenia, nie należy udawać, że tego nie ma. — Trzeba ją zostawić w spokoju — mówi łagodnym głosem, tak miękkim, jakby gładziła nim

kogoś po głowie.

Renato patrzy jej uważnie w oczy. — Rozumiem.

Gówno rozumiesz, myśli Agnieszka. Ja także nic nie rozumiem, ale przynajmniej nie udaję, że jest inaczej. Nigdy nie wie się zbyt wiele o drugim człowieku, w dodatku o człowieku z innej epoki. — Trzeba ją zostawić w spokoju — powtarza. — Wróćmy do scenariusza. A więc on jedzie pociągiem...

— Tak. — Renato czeka przez chwilę, czy to nie podstęp z jej strony ta nagła zgoda na środek lokomocji, który wywołał tyle sprzeciwów, ale oczy Agnieszki patrzą niewinnie i zachęcająco. — A więc jedzie pociągiem, w tym samym przedziale jest tylko jedna pasażerka, młoda dziewczyna, która wsiadła w ostatniej chwili z ogromnym płaskim pudłem.

— Co jest w tym pudle?

— Ba! — Renato jest szczęśliwy, że wreszcie ją coś zaciekawiło. — To się okaże w odpowiednim czasie. Nie słyszałaś, co powiedział Czechow o strzelbie wiszącej na ścianie?

— Zamierzchłe dzieje.

— Nie takie znów zamierzchłe. Jeśli strzelba wisi na ścianie, musi w którymś akcie wystrzelić. To samo tyczy się pudła, które wiezie dziewczyna. Jest młodą gąską z prowincji...

— Teraz na prowincji nie ma młodych gąsek. Wyobrażają to sobie tylko stołeczne gąsiory.

— No więc jest młodą, niedoświadczoną dziewczyną. Czy powiesz, że i takich nie ma?

— Zdarzają się — mruczy Agnieszka. — Chociaż rzadko.

— Ale jednak się zdarzają, do diabła! — Renato przymyka na chwilę oczy, żeby ukryć wzburzenie, które znów zaczyna go ogarniać. Ma długie, czarne rzęsy, lśniące i podgięte na końcach. Po co mu takie rzęsy? myśli Agnieszka, przypominając sobie, ile czasu traci co ranka, żeby swoje przyciemnić i wydłużyć tuszem „Mascara” Maxa Factora, jedynym, jakiego używa, do zdobycia tylko w PKO, a więc za bony, które musi kupować od Teresy. Helena, gdyby miała głowę do takich rzeczy, mogłaby przywieźć z USA kilka pudełek na zapas, ale oczywiście nie przywiozła... — A więc jadą w jednym przedziale — zaczyna znów Renato. — Nasz pianista i dziewczyna z ogromnym płaskim pudłem.

— Mam nadzieję, że pomógł jej postawić je na półce.

— Naturalnie. Choć okazało się zupełnie lekkie.

— Lekkie?

— Tak. I od tego zaczęła się rozmowa. Cudowna rozmowa młodego człowieka i dziewczyny od pierwszej chwili olśnionych sobą. Czy i to wydaje ci się nieprawdopodobne?

— Owszem — mówi Agnieszka. — To się zdarza.

— Są olśnieni sobą od pierwszego wejrzenia, od pierwszego słowa, które ze sobą zamieniają. Pianista kupił na dworcu w Mediolanie plik gazet, w każdej jest jego zdję-

cie, ma naprawdę dobrego impresaria, który o wszystko potrafi zadbać, a ponadto dwa koncerty w Mediolanie istotnie bardzo się udały, to samo będzie chyba w Rzymie, świadczą o tym szumne zapowiedzi w rzymskich dziennikach; dziewczyna przegląda je, nie mogąc ukryć podniecenia, nigdy jeszcze nie rozmawiała z kimś tak sławnym, o kim pisano by w gazetach, nigdy jeszcze nie miała szczęścia poznać prawdziwego ar-tysty. I nagle pada nieśmiałe pytanie, pytanie-prośba: Czy nie mogłaby usłyszeć, jak gra? „Ależ tak! — woła on. — Tak! Oczywiście!” Coraz bardziej podoba mu się ten pomysł. „Będzie pani moim gościem!” Podczas postoju na jakiejś stacji dziewczyna chowa się w głąb przedziału i nie pozwala otworzyć okna, choć w przedziale jest duszno. Na peronie grupka osób wyraźnie kogoś oczekuje, a gdy pociąg rusza, młody człowiek o dość pospolitej, ale otwartej i szczerzej twarzy biegnie wzdłuż wagonów i woła z rozczarowaniem: „Giovanna! Giovanna!”

— Aha! — mówi Agnieszka, walcząc z udkiem kurczęcia.

Renato bierze w palce opierającą się sztucem kostkę i podnosi ją do ust. Przez chwilę przygląda się zręcznym ruchom łasiczki stawiającej na stole szklaneczki z so-kiem pomidorowym, dziękuje jej promiennym uśmiechem i odprowadza ją oczyma aż do kontuaru.

— „Giovanna! Giovanna!” woła jakiś młody człowiek na peronie — podpowiada Agnieszka odrobinę złośliwie, pewna, że zapomniał, w którym miejscu przerwał opowiadanie.

— Tak — podejmuje Renato, nie zauważywszy tej intencji. — Kiedy pociąg od-jeżdża już ze stacji, widać go wciąż jeszcze na peronie, nawołującego, szukającego wśród tłumu, nie pogodzonego z myślą, że ta, na którą czekał, nie przyjechała.

— A co w Rzymie? — pyta Agnieszka, zerkając dyskretnie na zegarek.

— W Rzymie na dworcu czeka impresario. Jest przerażony dziewczyną, trudno mu się dziwić, żaden impresario na świecie nie zaakceptowałby podczas tournée takiej komplikacji, w dodatku to pudło, które ląduje od razu w jego ramionach, pudło-koszmar, nie mieszczące się w taksówce, wiele zamieszania sprawiające w hotelowym turnikiecie i w windzie, gdy ku przerażeniu impresaria okazuje się, że bez wcześniejszego zamówienia można jednak dostać pokój dla dziewczyny, w dodatku nawet na tym samym piętrze.

— Sielanka! — uśmiecha się Agnieszka pobłażliwie sponad swego soku pomido-rowego i coraz bliższe wydaje jej się zrozumienie, dlaczego tak jak Marek nie lubi fa-bułki. — Oczywiście sielanka!

— Nic podobnego! Pianista ledwie ma czas wziąć prysznic i przełknąć coś na stojąco. Czeką go konferencja prasowa, potem próba, a ostatnie trzy godziny przed kon-certem musi bezwzględnie leżeć. Impresario skłonny jest tym razem osobiście tego dopilnować. Wręcza dziewczynie bilet na koncert, dając jej dobitnie do zrozumienia, że musi sama zająć się sobą. „Ale chciałbym, żebyś w jednej sprawie pani pomógł —

wtrąca pianista. — W kupnie sukni na koncert. Oczywiście i w tym sensie jest pani moim gościem. „Ależ ja mam suknię! — woła dziewczyna. — Bardzo piękną suknię!

Z najlepszego sklepu w Mediolanie! Zobaczy pan na koncercie”.

— Pudło! — Agnieszka dopija sok i odsuwa szklankę. — Nareszcie wystrzeli ta strzelba, ukryta w pudle.

— Ale jak wystrzeli! — emocjonuje się Renato. — Pudło nie kryje w sobie zwykłej sukni. Co do tego, w jaki sposób to rozegrać, nie ma jeszcze ostatecznej zgody między scenarzystami a starym. Scenarzyści proponują, żeby pokazać dziewczynę budzącą sensację swoją ślubną suknią już w hotelu, a potem przed hotelem, gdy usiłuje złapać taksówkę, a następnie w sali koncertowej, samotną pannę młodą, przeciskającą się przez tłum. Stary natomiast widzi to inaczej: podczas koncertu reflektor wydobywa na widowni siedzącą w pierwszym rzędzie dziewczynę w białej, rozłożystej, w oczywisty sposób ślubnej sukni, ukazując sensację, jaką wzbudza, najpierw wśród najbliż-

szych sąsiadów, potem w coraz dalszych rzędach, w końcu i na estradzie, gdy po skończonym utworze pianista kłania się i podnosi wreszcie wzrok na publiczność.

Orientuje się, że ta niezwykła owacja przeznaczona jest nie tylko dla niego; nie jest w stanie jednak wyjaśnić nieporozumienia nawet wtedy, gdy we wszystkich dziennikach porannych pojawiają się zdjęcia młodej pary, tak niezwykle skojarzonej przez publiczność i dziennikarzy.

— Jestem za pomysłem starego — mówi Agnieszka. — To musi być bomba: panna młoda w pierwszym rzędzie na koncercie. Tamte sceny, w hotelu, podczas łapania taksówki, przepychanie się w ślubnej sukni przez tłum przed salą koncertową, rozładowałyby całą sytuację. W końcu na samym koncercie strzelba nie miałaby już chyba czym wystrzelić.

— Przekażę szefowi — mówi z ukłonem Renato.

— I niech mu pan także powie, że dziewczyna powinna w prawidłowy sposób za-reagować na tę sytuację.

— Mianowicie?

— Ponieważ została zaakceptowana przez publiczność w roli panny młodej, powinna sama się też zaakceptować w tej roli. Czy nie budzi się w niej cień nadziei?

— Nasza dziewczyna jest realistką. Płacze. Wie, że poranne dzienniki dotarły tak-

że do jej rodzinnego miasta i że przy rannej kawie jej ojciec, restaurator naj-znamienitszy w miasteczku, rozłoży je jak zwykle na stoliku. Za dwa dni ma się odbyć jej ślub z synem miejscowego ogrodnika. Narzeczony i jego rodzice czytają także gazety przy porannej kawie, czyta je całe miasto, doktor i aptekarz, którzy mieli być świadkami, ksiądz kanonik... Prawdziwie szczęśliwy jest tylko impresario. Nieoczekiwana reklama sprawiła, że nie tylko na następny koncert bilety zostały rozprzedane w godzinę po otwarciu kasy, ale że zanoszą się także na dwa dodatkowe koncerty w Rzymie, przy podobnej frekwencji.

— Widzi pan — mówi Agnieszka, nie wiadomo dlaczego z żalem. — U nas nic takiego nie mogłoby się przydarzyć.

— Tam także nie dochodzi do tych dwóch ponadplanowych koncertów, ponieważ pianista postanawia pojechać z dziewczyną do jej miasteczka i na miejscu wszystko wyjaśnić.

— Odwołuje koncerty?

— Dlaczego nie?

— O Boże! — Agnieszka wznosi w górę oczy. — Ile dostaje za koncert?

— Nie orientuję się dokładnie, ile zarabiają pianiści. Sądzę, że co najmniej tysiąc dolarów.

— Tysiąc dolarów! I sądzi pan, że odwołałby koncerty? Żaden Polak w to nie uwierzy.

— Dziewczyno! — teraz Renato wzywa oczyma niebo na świadka swojej cierpliwości. — Zakładamy przecież, że pianista jest znanym artystą, że ma wiele propozycji i, jak już powiedziałem, znakomitego impresaria.

— Nie odwoła koncertów!

— No więc — wzdycha Renato — niech je tylko odłoży.

— To już bierni prawdopodobniej.

— Bardzo pani po ziemi chodząca.

— Co takiego?

— Zawsze jest pani tak praktyczna?

Agnieszka zastanawia się, podnosząc w górę pustą

szklankę. — Nie zawsze. Ale zdarza mi się, że tego żałuję.

— Lekkomysłność to wielka przyjemność.

— Ba! Przedtem i w trakcie. Ale nigdy potem. I wobec tego czemu każecie w filmie płakać tej waszej dziewczynie?

— Film jest zawsze po trochu moralitetem.

— Takie małe oszustwo dla maluczkich.

— Dlaczego od razu oszustwo? — dziwi się niewinnie Renato. Skończył jeść, wyciera palce w serwetkę, Agnieszka nie może oprzeć się podejrzeniu, że miałby ochotę je oblizać.

— No już dobrze — mówi niezbyt uprzejmie. — Co dalej ?

— Napije się pani kawy?

— Chętnie, jeśli nie trzeba będzie długo czekać. Nie wiem, co się dzieje z mamą.

Renato wstaje od stołu i podchodzi do kontuaru, żeby zamówić kawę. Nie jest tak wysoki, jak młodzi Polacy, ale to dobrze, myśli Agnieszka, która wciąż ma do czynienia z samymi dryblasami i której sprzykrzyło się już to bezustanne zadzieranie głowy.

Ma bardzo ładnie przycięte z tyłu włosy, nie za krótkie, ale też nie leżące na kołnierzu marynarki, obejmujące zaledwie kark łagodnymi falami, ma szerokie plecy, wąskie biodra, dobre, proste nogi w trochę pogniecionych sztruksowych spodniach, które ukazują krzykliwie pomarańczowe włochate skarpetki nad miękkimi zamszowymi mokasynami. Renato odwraca się gwałtownie i przyłapanwszy wzrok Agnieszki, wybucha śmiechem. Śmieje się także i ona, naprawdę przyłapaną i zupełnie bezradną, próbuje im wtórować łasiczka za kontuarem. Renato pomaga sobie uniesionymi w górę palcami przy zamawianiu dwóch kaw i wraca do stolika.

— No jak? — pyta. — Jak wypadły oględziny.

— Srednip — mówi Agnieszka.

— Nie rozpieszcza mnie pani pochlebstwami.

— Nikogo nie rozpieszczam. Nawet siebie. Dostaniemy zaraz kawę?

— Mam nadzieję. A więc pianista odkłada koncerty... Zadowolona pani?

— To pan powinien być zadowolony, że urealniam tę historię.

— I jedzie z Giovanną do jej rodzinnego miasteczka. Jest to typowo włoska prowincjonalna miejscowość z wszelkimi urokami i udrękami, ledwie się łapie trochę nastroju w cieniu starej kolegiaty, już wali nas w łeb jakaś mieszczańska pospolitość.

— Wszędzie jej pełno.

— Ale na prowincji to już sam koncentrat.

— No, nie wiem — zastanawia się Agnieszka. — W stolicach i w wielkich ośrodkach przemysłowych można zobaczyć, jak mieszczenie je proletariat i wczorajsze chłopstwo.

Renato patrzy na nią roztargnionymi oczyma, nie wie, o czym ona mówi — nie był nigdy na targu w Nowej Hucie, nie widział nigdy glinianych potworków i makatek z jeleniami, nie może mieć pojęcia, czym obrastają nowe mieszkania, do których przybysze ze wsi nie przenieśli swoich ludowych tradycji, na skutek czego pustka zapełnia się jakoś sama i czym się da. Agnieszka przypomina sobie symposium na akademii poświęcone właśnie tej kulturowej pustce, żarliwość i bezradność

profesora, który je zorganizował, próbując zwrócić uwagę na niedostrzegane jeszcze przez wszystkich niebezpieczeństwo, wlokące się za gwałtowną industrializacją kraju.

— Błagam, bez dygresji! — prosi Renato słabym głosem. Traci już nadzieję, że kiedykolwiek zdoła opowiedzieć jej ten scenariusz do końca, powinni już właściwie jechać, ale na szczęście jest jeszcze kawa, którą łasiczka podaje, tak samo szybka i zwinna, jak przedtem.

— Dobrze — godzi się Agnieszka. — Na rozstanie urządzimy sobie wieczór samych dygresji.

— To będzie cudowne! — Renato wciąż ma roztargnienie w oczach, długo miesza kawę, a potem pije ją małymi łydkami, pije i milczy, z trudem powracając do małego włoskiego miasteczka, w cień kolegiaty, przed którym zatrzymuje się południowy upał i gwar, wypełniający ciasne uliczki. — Można sobie wyobrazić, co się tam dzieje, co się tam działo od momentu zniknięcia panny młodej, pojawienia się jej zdjęć w dziennikach, a w końcu jej samej... z polskim pianistą. Z dworca, na którym wysiadają w samo południe, towarzyszy im tłum podnieconej gawiedzi. Nie mogą się od niego uwolnić, przed dworcem nie ma taksówek, muszą iść przez całe miasto wśród napiera-jących zewsząd ciekawskich, zgorszonych dewotek, podnieconych panien, ugodzo-nych w zbiorowej małomiejskiej godności mężczyzn. Przed domem restauratora tłum gęstnieje, Giovanna i pianista ledwo mogą przedostać się do środka.

Do czego mu w tym wszystkim potrzebne polskie plenery? myśli Agnieszka.

Znów dyskretnie zerka na zegarek. Nie wie, co się dzieje z matką, ma wyrzuty sumienia, że nie zmusiła jej do zjedzenia śniadania. Ale matki są czasem równie uparte, jak dzieci.

— O czym myślisz? — pyta Renato po długiej chwili milczenia.

— Ależ słucham! — woła Agnieszka, podrywając się na krześle. — Są wreszcie w domu Giovanny...

— Postaram się skracać.

— Ależ nie! To bardzo interesujące.

— W zasadzie żadnego filmu nie można opowiedzieć. W dodatku takiego, który nie został jeszcze nakręcony. Scenariusz jest tylko niedoskonałą podstawą czegoś, co ma się dopiero narodzić.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Rysując najpierw to, co później ma się stać pełno-wymiarową formą plastyczną, doznaję tego samego uczucia.

— A więc w największym skrócie: dwa dni dzielące Giovannę od wesela są jej powrotem w dawne życie, z którego na tak krótko zdołała się wyrwać, są niezupełnie bezbolesnym dla pianisty oddawaniem jej młodemu ogrodnikowi, rodzinnemu domowi, miastu, w którym się wychowała i w którym ma pozostać do śmierci.

— Straszne! — mruczy Agnieszka. — Nieludzkie! Niechże ten ogrodnik będzie przynajmniej do rzeczy.

— Jest akurat taki, jak inni ogrodnicy. Poczciwy, zespolony z ziemią, nie przygotowany na inne zagrożenia ze strony świata niż susze i gwałtowne ulewy.

— Ale dziewczyna była już na koncercie w Rzymie, spędziła po nim wieczór ze sławnym człowiekiem, który ją olśnił, zobaczyła swoje zdjęcia w gazetach...

— Bajki trwają krótko. Czasem podobne są do snu, z którego powrót w rzeczywistość wydaje się brutalny.

Do czego potrzebne mu są plenery w Polsce? myśli znów Agnieszka. Plenery w Polsce i polska dziewczyna? Nie chce o to pytać, bo uważa, że powinni już jechać; daje znak łasiczce, żeby sporządziła rachunek, a gdy Renato zrywa się i biegnie do kontuaru, żeby go zapłacić, podąża za nim i szamocze się z nim przy wtykaniu pienię-

dzy w ręce zdumionej dziewczyny. Łasiczka woli jednak dolary Włocha, chowa je tak samo zwinnie, jak podawała jedzenie, Agnieszkę zdumiewa przez chwilę krótka myśl, ile doskonałości może wyzwolić w człowieku zbijanie pieniędzy na własny rachunek, nigdy w życiu nie widziała jeszcze tak sprawnej kelnerki.

— Za obiad płacę ja! — mówi do Renata.

Renato poddaje się, unosząc górę obie ręce. — Mam nadzieję, że po tym, cośmy tutaj zjedli, nie będziemy głodni do wieczora.

— Co do siebie, nie jestem tego taka pewna. W pracowni mogę nie jeść przez cały dzień, ale kiedy leniuchuję, wciąż myślę o jedzeniu.

— Nie będziesz przy mnie głodna — uśmiecha się czule Renato. Uwielbia karmić dziewczyny, które mu się podobają, a pod swetrem Agnieszki, gdy go właśnie obciąża-

ga, drży, porusza się, wznosi i opada coś cudownie żywego, miękkiego i twardego zarazem, coś, co sprawia, że nie chce mu się myśleć o niczym innym, że leniwie i przy-zwalajaco musi godzić się na najważniejsze istnienie tych dwóch podniecających punktów.

Agnieszka maluje usta, wrzuca do worka wszystkie drobiazgi, które przedtem wy-

łożyła na stolik, puder- niczkę, papierosy i zapałki, i wreszcie jest gotowa do wyjścia i podjęcia niepokoju o matkę, ale Zofia jej to psuje. Siedzi przed domem na ławce, wystawiwszy twarz ku słońcu, nie trzeba się o nią niepokoić, nie trzeba jej szukać, wygląda na zadowoloną z samotności i ciszy, jaką tu znalazła.

— Przepraszam — woła Renato — że trwało to tak długo.

— Długo? — dziwi się Zofia. — Skądże znowu? — I zakłada słoneczne okulary, bo gdy otworzyła oczy, razi ją słońce. A może także świat, do którego wraca, do któ-

rego ją przywołano, wydaje jej się zbyt jaskrawy.

Wisła jest tej wiosny ogromna.

Pod Kazimierzem płynie szeroka i groźna swoim starym, każdej wiosny na powrót zdobywanym korytem. Zofia, patrząc na to, dziwi się ze ściśniętym sercem, jak to jest możliwe, że nie pomyślała tego ranka ani razu o powodzi, choć od kilku dni sama czu-

ła się nią zagrożona, jakby wysoka woda podpływała pod jej dom i mogła zabrać jej wszystko, co miała, co jeszcze miała w życiu. Zdziwieniu towarzyszy niezadowolenie z siebie, jakaś ćmiąca pretensja — o co? Zdawało się, że ani lata, ani ludzie nie mogą walczyć o ostrość konturów w czyjejs pamięci, a jednak działo się coś zupełnie innego niż to, czego można się było spodziewać...

— Mamo! — Agnieszka odwraca się na siedzeniu, dotyka ręką jej kolana. — Mo-

że wstąpimy na chwilę do Kazimierza. Do architektów albo do dziennikarzy na górze.

— Wstąpimy w drodze powrotnej.

— A może będzie już ciemno?

— Sądysz, że Włochowi należy pokazywać nasz Kazimierz?

— Ach, nie o to chodzi. Ale w Domu Architekta jest jakiś nastrój, a dziennikarze mają wspaniały basen. Woda na pewno jest już nagrzana słońcem.

— Na szczęście Renato nie rozumie, o czym mówimy.

Dostałby dreszczy na samą myśl o kąpieli przy tej temperaturze. Nie rozmawiajmy po polsku, może czuje się urażony.

— Czujesz się urażony — pyta od razu Agnieszka, nachylając się do Włocha —

kiedy rozmawiamy po polsku?

— Skądże znowu! — uśmiecha się Renato. — Słuchanie języka, którego się nie zna, działa uspokajająco.

— Mam nadzieję, że nie zaśniesz przy kierownicy. Ile masz na liczniku? Boże drogi, nie do wiary, sto czterdzieści! A zupełnie się tego nie czuje. Prawda, mamo, że zupełnie się tego nie czuje?

— Nic a nic — odpowiada Zofia i może wreszcie zamilknąć, bo Agnieszka i Renato mówią już o samochodzie i nie trzeba ich wspierać w tej rozmowie. Jak szybko jedzie się do Olszanki takim wozem i taką drogą, na której nie czyhają żadne zasadzki, z której nie trzeba schodzić, żeby ominąć zbliżające się wraz z drugim człowiekiem niebezpieczeństwo... Dawniej myślała, że to daleko, na samym końcu świata, w zabi-tym deskami kącie, którego nie omija tylko ten, kto o nim wie i ku niemu dąży. Teraz ogarnia ją przerażenie, że to tak blisko, skok od Warszawy, jak mówi Renato, który tu był

przed dwoma dniami. Jego ferrari nawija na koła kilometry jak jedwabną taśmę, drogowskazy zaczynają już przypominać znajome nazwy, nie czuje się przygotowana na znalezienie się w tych miejscach, nawet w nich, choć dopiero zbliżają ją do Olszanki. Zaczyna żałować, że nie zgodziła się na wstąpienie do Kazimierza, choć Renato na pewno nie był tym, kogo by mogły olśnić kazimierzowskie zabytki. Może najpierw wstąpimy do Lichnowca, myśli w popłochu. — Był pan w pałacu? — zwraca się do Renata.

— W muzeum? Byłem. Ale tam jest kustoszem jakiś młody człowiek, który wiedział tylko tyle, że po wojnie przez dwadzieścia pięć lat był tam Dom Dziecka. Nawet nie umiał skierować mnie do leśniczówki. Mówił, że w interesującej mnie sprawie mógłby mnie, być może, poinformować dyrektor tego Domu, który odszedł już na emeryturę, ale do niedawna mieszkał w pałacu. Pod koniec wojny, kiedy tu już była Polska, a front przesunął się za lewy brzeg Wisły i dalej na zachód, umieścił w tym pałacu dzieci z okolic Zamościa (kustosz pokazywał mi to na mapie), których rodziców wymordowali Niemcy podczas tej słynnej pacyfikacji. Wychowywał je potem tutaj, a pomagał mu w tym legendarny dowódca partyzantki z tej okolicy... Zaraz, jak-

że on się nazywał...?

— Może... Jamroz? — pyta Zofia.

— Ach tak, Jamroz. Opowiadał mi o nim przeszło godzinę, rozcieszony był, że się śpieszyłem i nie chciałem zostać na herbacie. Książkę można by o nim napisać al-bo nakręcić film.

— Mamy już takie książki i takie filmy — wtrąca Agnieszka.

— Znałam Jamroza — mówi Zofia cicho. I Lucio także, chciała dodać, ale nie wiadomo czemu nie zrobiła tego, odłożyła to na później, rażona myślą, że człowiek, który wiedział tyle o Andrzeju, być może wszystko o Andrzeju, był tu do niedawna, zastałaby go w Lichnowcu, gdyby zechciała, gdyby odważyła się tu wcześniej przyjechać, mogłaby go poprosić, mogłaby go zapytać... o co mogłaby zapytać tego jakiegoś Jamroza po tylu latach... po tylu długich latach niepytania nikogo? Pochyliła się do przodu, dotknęła ramienia Renata. — Wobec tego jedźmy od razu do leśniczówki.

— Tak myślałem — ucieszył się Renato.

— Ojciec też go pewnie znał — odzywa się Agnieszka. — Szkoda, że ojca nie ma z nami. Od kilku dni siedzi pod Warką, wie pan, ze względu na powódź. On by panu mógł także wiele opowiedzieć.

Dlaczego one sądzą, że mnie to interesuje? myśli Renato. Że powinno mnie to interesować? poprawia się zaraz, jest prawie zły na siebie, że nie dość przejmując się wojennymi losami ojca, które przecież dotyczyły także i jego; nie przyszedłby na świat, gdyby dezerterski Lucio Finecci podzielił los swego przyjaciela Francesca, wcielając się właśnie w młodzieńcze liście brzozy na polskim cmentarzu.

Obojętność, to, że nie mógł się jej wyzbyć, brała się, chyba stąd, że wciąż miał przed oczyma ojca znakomicie korzystającego z życia, korzystającego z życia może nawet w nadmiarze, o co miało się do niego nieraz pretensję. Pamięć o wszystkim, co robił, i wyobrażenie tego, czego można się było

po nim jeszcze spodziewać, osłabiały, odbierały ostrość myślom o dalekiej tragedii, jaką przeżył, jaką miał w życiorysie, nie chlubiąc się nią zresztą bez potrzeby choćby ze względu na matkę i jej rodzinę — dezercja w pewnych kołach była jednak zawsze tylko dezercją, niczym więcej.

— Ojciec pochodzi właśnie spod Zamościa — dodaje Agnieszka — ale nie ma tam żadnej rodziny. Wszyscy zginęli już we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku.

Wielka szkoda, że ojca nie ma z nami.

— Ogromnie żałuję — mówi Renata.

Jest dobrze wychowany, zadbała o to ta kobieta, która czekała na Lucia przez całą wojnę, Zofia gani siebie w myślach za to, że odnosi się do niej z jakimś cieniem niechęci, której nie miała wtedy, gdy Lucio był z nią, całkowicie zdany na jej dobroć, siłę i mądrość, gdy tamta nie wiedziała nawet, czy żyje... A może jest to tylko przeniesiona na matkę niechęć do niego, żal, że przyjechał, że się zjawił tu p© to, żeby zburzyć w niej spokój, którym tamte lata porosły jak mchem, jak gęstą, wszystko pokrywającą darnią. Patrząc na czarną, lśniąca głowę Renata, na jej lekkie pochylenie ku Agnieszce w rozmowie, którą wciąż prowadzą, uprzytamnia sobie, jak jest niesprawiedliwa, obciążając go, tak jak przedtem Agnieszkę, swoją własną winą, swoim nierozsądnym pragnieniem przyjechania tutaj, pokazania mu tych miejsc, które sam już odnalazł i do których nie widział potrzeby wracania po raz drugi.

— A może... — zaczyna nagle — może nie odpowiadał panu dzisiaj ten wyjazd...

może miał pan inne plany...?

Renata nie odwraca głowy, Zofia widzi tylko w lusterku jego zdumioną twarz.

— Mamo! — potrząsa włosami Agnieszka. — Teraz o to pytasz?

— Bo pomyślałam sobie, że może zbyt apodyktycznie rozporządziłam się pana czasem... — Nie, nie powinna mówić nic więcej, kompromituje się przed nimi, widzi to w ich twarzach, kompromituje się przed sobą, do tej pory było w niej wszystko po-układane tak porządnie, jak bielizna w szafie u dobrej, nie pozwalającej zaskakiwać się żadnymi niespodziankami gospodyni. I oto nagle ten ład, to czyste, porządne uło-

żenie w jej życiu ludzi, rzeczy, myśli, może ulec zburzeniu, na pewno ulegnie zburzeniu, jeśli pozwoli sobie... jeśli dopuści do tego, aby...

Daleko przed nimi, nieprzepisowo, prawą stroną drogi, idzie jakiś człowiek z wy-płowiałym, płóciennym plecakiem, przerzuconym przez ramię. Renata naciska klakson, stary człowiek ogląda się leniwie za siebie, widzą już teraz, że jest to stary człowiek, na szczęście nie głuchy, ale nie zamierzający wcale zejść na pobocze drogi, i gdy Renata, nie odejmując dłoni od klaksonu, klnie pod nosem, Zofia woła nagle, uniesiona na siedzeniu: — Zabierzmy go ze sobą! Zabierzmy go! Renata! Proszę!

— Znasz go? — dziwi się Agnieszka.

— Nie.

— No to dlaczego?

Renato hamuje, stary człowiek zatrzymuje się także, trochę przestraszony.

— Szłam kiedyś tą drogą pieszo — mówi Zofia. I żeby zatrzeć te niepotrzebne słowa, wstydząc się ich od razu przed tymi, którzy nie mogą ich zrozumieć, woła, opuszczając szybę: — Podwieziemy pana!

— Mnie? — dziwi się człowiek idący widocznie z niedaleka do bliska. Nie jest tak stary, jak myśleli. Ma najwyżej sześćdziesiąt lat, różową cerę, ożywioną ruchem i wiatrem, jasne oczy pod siwymi, krzaczastymi brwiami. — Mnie? — powtarza. — Ja tylko do Lichnowca.

— No właśnie! — woła Zofia. — My także w tę stronę. Podwieziemy pana.

— Ale ja... — usiłuje się jeszcze bronić zatrzymany. — To doprawdy niedaleko.

Nie będzie nawet pięciu kilometrów.

— Pięć kilometrów — powtarza Zofia i robi miejsce na siedzeniu dla obojętnego podróżnego, który uważa, że to niedaleko; jej młodym wtedy nogom wydawał się ten ostatni już odcinek drogi nie do przebycia, stopy miała w ranach, przysiadła, płacząc, pod drzewami w lesie, prosiła Andrzeja, żeby ją zostawił, żeby szedł sam, to jemu, a nie jej groziło niebezpieczeństwo, to on musiał się czym prędzej ukryć w tej głuszy, którą wybrał tak daleko, tak daleko od jej domu.

— Państwo pewnie do cukrowni?... — odzywa się nowy pasażer, gdy Renato znów rusza.

— Powiedz mi, żeby pokazał, gdzie go mam wysadzić — mówi do Agnieszki.

— Nie, nie do cukrowni — odpowiada Zofia.

— To pewnie do Domu Dziecka, do muzeum, bo tam teraz zrobili muzeum. Do pałacu.

— Nie.

— Ach, do tej fabryki, co budują za Lichnowcem!

— A budują tam coś? Przyda się w tej okolicy jakiś przemysł.

— Przecież to nie pierwsza tu fabryka. Kraśnik Fabryczny państwo widzieli?

— Nie jechaliśmy przez Fabryczny.

— Ja właśnie stamtąd wracam. Jabłka zawiozłem wnuczce. Odkryłem ostatni ko-piec, jabłka jakby prosto z drzewa. A u nich w tych nowych domach suchość taka, że nie przetrzymałyby do Bożego

Narodzenia. Nawet człowiek czuje, że więdnie po kilku godzinach — roześmiał się, zadowolony z dowcipu, ukazując niezbyt równe, za-

żółcone nikotyną, ale jednak własne i zdrowe zęby. — Córka za inżyniera do Kraśnika się wydała, Mam wnuczkę, to jej od czasu do czasu coś dobrego przywożę ze wsi —

uderza dłonią w pustawy plecak, w którym teraz szeleszczą i grzechoczą jakieś miejskie sprawunki. — Jeżdżę pekaesem, godzinkę w jedną stronę, a potem to trochę pieszo od przystanku do wsi.

— My jedziemy do leśniczówki — mówi nagle Zofia. — Do leśniczówki w dawnych lasach pani Borowieckiej.

Stary człowiek odwraca powoli ku niej głowę. Przypatruje się jej milcząco.

— W dawnych lasach pani Borowieckiej. Jeśli pan jest z tej okolicy, słyszał pan chyba o pani Borowieckiej?

— Słyszałem — mówi i wciąż nie przestaje się jej przypatrywać. Widocznie dawno nie wymieniał tu nikt tego nazwiska. — Pani знаła panią Borowiecką?

— Tak — odpowiada Zofia krótko, niezbyt pewna, czy widywanie od czasu do czasu pani na siedemnastu folwarkach można było nazwać znajomością.

— Lichnowieckiego lasu już nie ma.

— Tego można się było spodziewać.

— A w leśniczówce, w dawnej leśniczówce, mieszka teraz ktoś z cukrowni. Kacperski się nazywa. Wynajmuje nawet pokoje na lato, bo zostało tam trochę drzew i okolica ładna. Ale... — zawiesił głos — za wcześnie jeszcze na letnisko.

— Niech pan powie, gdzie pana wysadzić — woła Agnieszka.

Tablica zwiastująca Lichnowiec mignęła po prawej stronie drogi, zaczynają się już ukazywać pierwsze zabudowania, za nimi wysoki komin cukrowni.

— Tutaj! — stary człowiek podrywa się na siedzeniu. — Tutaj! Stąd będę miał

najbliżej. To mój dom — pokazuje nieduży, ale ładny, jasno otynkowany dom, jeden z tych, które w pewnym oddaleniu od drogi ciągną się wzdłuż przetrzebionego lasu.

Otacza go sad, biały teraz od kwitnących jabłonek.

— Pięknie pan mieszka — mówi Zofia, kiedy Renato zatrzymuje wóz. — Nie by-

ło tu przedtem tych domów.

— Pobudowałem się po wojnie — wyjaśnia wysiadający pasażer, jego miejskie zakupy szeleszczą i grzechoczą w plecaku, gdy wysiadłszy z wozu przerzuca go znów przez ramię. — Do leśniczówki trzeba skręcić na lewo — woła.

— Wiem. Dziękuję — odpowiada Zofia i dopiero teraz uświadamia sobie, że zna tego człowieka, że musiała go tu widywać. Gdzie? Z kim? W jakich okolicznościach?

Gdy samochód rusza, odwraca się, żeby jeszcze przez tylną szybę móc na niego patrzeć. On stoi przy krawężniku, nie rusza się, także patrzy na nią, i gdy są już daleko, unosi nagle rękę, jakby chciał ich zatrzymać.

— Gdzie na lewo? — pyta Agnieszka. — Za pałacem?

— Za pałacem. Za parkiem.

Dawna rezydencja pani Borowieckiej nigdy nie wyglądała tak pięknie, jak teraz, po niedawnym, starannym remoncie, który przywrócił zabytkowej budowli jej późnorennesansową świetność. Biały tynk, rzeźby zdobiące fronton w pustych przedtem wnękach, dach kryty piękną dachówką, koronkowe balustrady balkonów i wejściowe-go tarasu czyniły z niej pojawiające się nagle nad zielenią trawników cacko, zaskaku-jące swym istnieniem w pospolitym otoczeniu dawnej wsi, a teraz może osady albo małego miasteczka.

— Ładnie tu — ożywia się Agnieszka. — Dlaczego nigdy nie mówiłaś, że tu tak ładnie?

— Bo nie było tak ładnie. Albo... albo nie widziałam, że jest ładnie. Pamiętam stąd tylko straszne błoto wokół pałacu, bo w deszczowe dni trudno tu było przejść bez przemoczenia obuwia. A obuwie było inne niż teraz... No i miałam tylko jedną parę. Z

tyłu ciągnął się folwark, zabudowania gospodarcze, czworaki, nie ma ich teraz i park jest przez to większy...

— Dobrze, że zrobili tu muzeum, jak sądzisz?

— Chyba tak — mówi Zofia powoli. A myśli: Gdzie? Z kim? W jakich okoliczno-

ściach widziała tego człowieka, widywała tego człowieka? Nie mogła się mylić, a i on... ten gest, jakby chciał ją zatrzymać... Jak mógł wyglądać, kiedy miał trzydzieści lat, może trochę mniej, może trochę więcej? Jasne oczy, różowa cera i te zęby, które wtedy były chyba białe i równe. Gdzie? Z kim? Kiedy...?

Renato skręca w lewo. Z asfaltowej drogi zjeżdżają na bity trakt, wzdłuż którego nie ma już żadnych zabudowań, starannie uprawione pole zieleni się młodziutkim rze-pakiem. Zofia nie może sobie przypomnieć, czy już tutaj zaczynał się las, czy dopiero tam, gdzie pojawiają się pierwsze brzozy, za nimi buki i jakieś inne drzewa, których rozpoznać nie może, ale widzi, jak są rzadkie, oddalone od siebie, pozbawione wspólnego cienia, wspólnego opierania się wiatrom, jak są dziwnie bezbronne i opuszczone w tym tak pięknym dawniej miejscu.

— Skąd właściwie wzięła się ta nazwa: Olszanka? — pyta Agnieszka. — Nie wi-dzę tu żadnej olszyny.

— Nie wiem... — mówi Zofia — nie wiem... Nic nie wiem... — Spodziewała się zastać las przetrzebiony i wymierający, nie sądziła, że „wyobrażać sobie”, a „zobaczyć” to taka różnica, że po tamtym, ledwie ćmiącym, bólu może nastąpić uderzenie, uderzenie w samo serce.

— Renato! — woła.

— Słucham. — Renato odchyła do tyłu głowę,

Zofia przez chwilę widzi jego czoło i ciemną linię brwi. — Ach, nic... — mówi. —

Przepraszam. Niech pan jedzie dalej.

Chciała go zatrzymać, zawrócić, a może tylko ubłagać kilka chwil zwłoki. Nie czuła się przygotowana na przyjęcie tego obrazu, na zderzenie z nim, na ten absurdal-ny żal, który ją ogarnia. Kim była wtedy, gdy las żył, szumiał, okrywał sobą ziemię jak płaszczem? Kim wtedy była? Zaszczutym człowiekiem, niepewnym dnia ani godziny, ku któremu każdej chwili mógł ktoś bezkarnie skierować broń. Teraz wracała tu zabezpieczona wszelkim ludzkim bezpieczeństwem, po wielu, wielu latach spokoju, tak zwykłego, jakby trwał wiecznie, nie przerwany nigdy innym czasem — ale lasu już nie było, i nie pocieszała po tej utracie myśl, że nie jest już ludziom tak samo potrzebny, jak wtedy...

— Na prawo czy prosto? — pyta Renato. — Byłem tu, ale już nie pamiętam.

Zwalnia przed zakrętem i trzeba mu jednak powiedzieć, że na prawo, że już tylko trzy kilometry — a może i kilometry nie są teraz te same, co dawniej?

Droga, którą teraz jadą, jest żuźlowym leśnym duktem, lasu już nie ma, ale ona została, a nie było jej — tak gładkiej, prostej i suchej — kiedy las był. W roztopy grzęzło się tu zawsze po kostki — można więc myśleć, że nowa władza odjęła tym miejscom najpierw błoto, wszechobecne i długo wysychające po każdym deszczu. Teraz, kiedy zostało to już dokonane, tak łatwe wydaje się rzucenie cementowych płyt choćby tylko przed samym pałacem, gdzie dawniej, zaraz po wyjściu z parku, zaczynało się prawdziwe grzęzawisko, wysychające tylko podczas letniej suszy lub w zimie, gdy mróz ścinał ziemię. Nikt z pałacu nie pokonywał tej przestrzeni pieszo, także nikt zaproszony i oczekiwany — stąd chyba brała się obojętność dla trudności, na jakie musieli natykać się inni przy przekraczaniu tej swoistej fosy wokół obwarowanej bł@tem rezydencji.

— Czy to ten dom? — pyta z wyraźnym rozczarowaniem Agnieszka, gdy drzewa stają się coraz rzadsze i nagle w małej kotlinie, jaką dawniej była polana, jawi się Olszańska leśniczówka, przedziwnie mała i zupełnie, rażąco i bezwstydnie, naga w swoim odrapanym i żalonym ubóstwie. Może była taka i przedtem, ale i otaczające ją drzewa otulały ją jak zielony parawan i nie można było się jej przyjrzeć, a może to jednak czas i brak troskliwego gospodarza obdarzył ją tą nieoczekiwaną brzydota.

— Mój Boże! — woła Agnieszka. — Mój Boże! — wzdycha. — Wielki Boże!

Renato ma coś triumfującego w oczach, jakby mówił: Usiłowałem wam to delikatnie wyperswadować, nie mogłem przecież otwarcie powiedzieć, że nie ma tu po co jechać.

Ale Zofia, wysiadłszy z wozu, idzie już ku niskim drzwiom domu, płoszy kota, który na progu wygrzewał się na słońcu, puka, a gdy nikt nie zaprasza jej do środka, decyduje się wreszcie nacisnąć klamkę. Klamka nie ustępuje, drzwi są zamknięte. Zofia odwraca się, twarz ma zdumioną. Tego się nie spodziewała, nie spodziewała się, że i tym razem będzie tak samo jak wtedy.

Dobrnęli do Olszanki po trzech dniach od opuszczenia domu. Jechali przygodnymi furmankami, wiele kilometrów przeszli pieszo. Już do Lichnowca doszła ostatkiem sił, kilometry, które dzieliły ją od Olszanki, wydawały się nie do przebycia. Andrzej już chyba wtedy rozumiał, że nie była właściwym partnerem dla jego niewiadomego losu.

Nie dał jej tego odczuć i — nie tego dnia, ale o wiele później — bardzo mu była za to wdzięczna. Perswadował, prosił, dodawał sił nawet kłamstwem, gdy mówił, że to tuż, już za zakrętem, za tym drzewem, wyższym niż inne, za ścieżką wśród mchu, za strumieniem... A w domu, do którego szli, miało być wszystko, czego pragnęli: odpoczynek, prawdziwe łóżka do spania, ze świeżą, szeleszczącą krochmalem pościelą, woda do picia i kąpieli, parujące jedzenie na stole, sytość, ciepło i spokój, niezmierna odległość od świata.

Ale kiedy wreszcie dowlekli się do domu na polanie, drzwi zastali zamknięte. Na pukanie nikt nie odpowiadał, z komina nie wydobywał się nawet najłżejszy obłok dy-mu, tylko po podwórzu kręciło się kilka apatycznych, wychudzonych kur, a leżący na ławce przed domem kot z jeżył się na ich widok.

Andrzej obszedł dom, zajrzał do wszystkich okien. — Stryja nie ma — powiedział ze zmienioną twarzą.

Zajrzał do obory, w której stała zwykle krowa, stanowiąca kawalerskie gospodarstwo leśniczego, ale obora była pusta.

— Co teraz? — zapytała. — Co zrobimy? — Przysiadła na ławce obok kota, który manifestując swoje niezadowolenie zjeżoną sierścią i prychaniem, nie zamierzał jej jednak opuścić. Do pyska miał przyklejone ptasie piórko.

— Trzeba będzie dowiedzieć się we wsi — głos Andrzeja drżał, choć widziała, jak bardzo stara się opanować. — Niestety nie wygląda mi to na chwilową nieobecność...

— Co zrobimy? — jęknęła. — Nie ruszę się stąd.

— Ja sam pójde do wsi. Zostaniesz tu z rzeczami.

— Nie! — zawołała. — Nie! Nie zostawiaj mnie tutaj! — zerwała się z ławki, chwyciła go za rękę. Wtedy las nie wydawał jej się ani piękny, ani bezpieczny. Jesien-ny wiatr gwał wierzchołki drzew,

strącał pierwsze, pożółkłe liście. Z wilgotnego cienia, z namokłych mchów i traw, spod paproci ciągnęło grzybową stęchlizną. Nie obchodzi-

ło jej, że może się wydać Andrzejowi głupia albo śmieszna. Nie mogła zostać tu sama, ani na chwilę.

— Przecież nie możesz już iść — szepnął z perswazją.

— Pójdę! — zawołała. — Pójdę! — Po co zabierałeś mnie ze sobą? chciała krzyknąć. Dlaczego nie upewniłeś się przedtem, co się dzieje ze stryjem? Jak mogłeś mnie narazić na to, żeby teraz... żeby teraz... Nie, na pewno nie była odpowiednią towa-rzyszką dla człowieka, który musiał się ukrywać, dla żołnierza, który nie chciał iść do niewoli... Ale jednak zdołała powstrzymać wszystkie te słowa i ukryć pod powiekami oczy. On jednak wiedział, o czym myśli, gorzej: myślał chyba to samo. Siłą posadził

ją z powrotem na ławce. — Przynajmniej odpocznij chwilę, Nie musimy się spieszyć.

— Nie?

— Nie tak bardzo, żebyś nie mogła tu trochę posiedzieć. — Sam usiadł obok, musiał być także zmęczony, nie tylko szedł, ale i dźwigał cały ich bagaż, najpotrzebniejsze rzeczy na nadchodzącą zimę. Zdjął czapkę, czoło miał spocone, wytarł je szybko, sądząc, że tego nie zauważyła. Chciała położyć głowę na jego ramieniu, przytulić twarz do jego twarzy, ale wydało się jej to niemożliwe. Cała ich miłość wydawa-

ła się niemożliwa wobec położenia, w jakim się znaleźli; poślubionych przed czterema dniami łączyło tylko kilka szybkich pocałunków na progu domu w chwili jego powrotu, w chwili jej radości, że go odzyskała.

— Przepraszam — powiedziała cicho i nie wiadomo dlaczego. — Przepraszam.

Musiał tego nie dosłyszeć, patrzył na zamknięte drzwi domu, na powiędłe kwiaty w oknach. — Stryj był oficerem rezerwy. W randze majora. Z Legionów, z Pierwszej Brygady. Ale po przewrocie majowym zamiast sięgnąć po zaszczyty zaszył się tutaj i nie wystawiał stąd nosa na świat. Polował ze starym panem Borowieckim, dopóki ten żył, on go tu ściągnał. Znali się z Legionów, przyjaźnili się chyba... — umilkł, poprawił paski przy plecaku, rzuconym na ziemię. — Ale miał już pięćdziesiąt cztery lata. Kto mógł przewidzieć, że i jego powołają.

— Nie, oczywiście, nie mogłeś tego przewidzieć — potwierdziła żarliwie.

Nie zwrócił na to uwagi. Znowu patrzył w martwe okna domu, który nie chciał

otworzyć się przed nimi. — Chyba że zgłosił się sam.

Powinien być w tym zdaniu podziw i uznanie dla starszego pana, ale zabrzmiało ono jak wyrzut, jak nagana za nierozsądek i lekkomyślność — przegrana wojna pod-suwała ten komentarz wbrew wszelkim intencjom.

— Możemy już iść — powiedziała. — Chodźmy jak najprędzej. W pałacu na pewno coś wiedzą.

— W pałacu?

— A dokąd chcesz iść?

— No tak, musimy iść do pałacu.

Chciał powiedzieć, że nie ma już tam pana Borowieckiego, którego znał i z którym także chodził na polowania podczas wszystkich wakacji. Pani Borowieckiej nie był

nigdy przedstawiony, nie znał też jej syna, młody pan nie zaglądał do lasu.

— Chodźmy! — przynaglała. Narwała trawy i wsadziła ją sobie pod obrzmiące pięty. Stopy podniosły się przez to w obuwiu i pęcherze przestały jej dokuczać. — W

pałacu na pewno coś wiedzą. Chodźmy!

Andrzej podniósł z ziemi plecak i ruszyli. Nie mówili nic przez całą drogę. Nawet przed bramą parku, przed zamkniętą bramą parku, nie powiedzieli ani słowa. Dopiero gdy czekanie, aby ktoś się ukazał u wylotu platanowej alei, okazało się daremne, Andrzej się odezwał: — Będziemy chyba musieli pójść przez folwark.

Oznaczało to dodatkowy kilometr wzdłuż ogrodzenia parku, błotnistą drogą, rozdeptaną przez ludzi i konie. Ból w stopach powrócił i z każdym krokiem stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Mogła tu właściwie poczekać na Andrzeja, ale obudziła się już w niej jakaś zaciętość, chęć dotrzymania mu kroku. Brnąc przez błoto marzyła o wielkiej misce z ciepłą wodą, w której wymoczy sobie wreszcie obolałe nogi. Gdzie?

Pod jakim dachem? W jakim domu?

Brama wiodąca na folwark była na szczęście otwarta, ale ujadała przy niej sfora psów, wśród których Andrzej poznał dwa setery irlandzkie stryja, Dianę i Hektora.

Zawołał je po imieniu. Przestały szczeekać, ale przyglądały się im nieufnie. Pozostałe psy ujadały dalej, jednak już jakby mniej zaciekle. Zawołał jeszcze raz, cmoknął, uderzył dłonią w kolano. Najpierw Diana, a za nią Hektor zaczął nieznacznie kręcić ogonem, i wreszcie obydwie setery rzuciły się ku Andrzejowi z radosnym skomleniem, obskakując go i liżąc.

— Gdyby mogły mówić! — westchnął Andrzej. — Gdyby mogły mówić!

Reszta psów zatrzymała się w nieznacznej odległości zbitą gromadką; nie szczeeka-

ły już, zdezorientowane, zupełnie zbite z tropu. Ta nieoczekiwana psia protekcja pozwoliła im dotrzeć do pałacu. Było tu kilka wejść, główne, frontowe, przed wjazdem z parkowej alei, dwa boczne i tylne, gospodarcze albo po prostu kuchenne. Cała złożoność sytuacji, nie tylko obecnej, wpłynęła na wybór drzwi, do których zdecydowali się zapukać. Nie do frontowych i nie do

kuchennych. Do bocznych. Dwa' dyszące ze szczęścia psy trzymały się nóg Andrzeja.

Nikt nie otwierał, z wnętrza pałacu nie dochodził żaden głos. Andrzej zapukał

drugi raz, drugi i trzeci. Mocniej i natarczywiej. Dopiero teraz w górze ponad nimi otworzyło się okno i ukazała się w nim głowa starego człowieka. Najpierw patrzył, dopiero po chwili zapytał: — Co tam?

— Proszę otworzyć! — zawołał Andrzej. — Chciałbym rozmawiać z panią Borowiecką.

Okno zatrzasnęło się i znowu przez długi, bardzo długi czas trwała cisza. Andrzej zamierzał znów uderzyć w drzwi, gdy w głębi rozległy się powolne kroki, szcęknał

zamek i na progu ukazał się siwowłosy kamerdyner w podniszczonej liberii. — Co tam? — powtórzył.

— Mówiłem już, że chcę rozmawiać z panią Borowiecką — powtórzył Andrzej.

— Pani Borowiecka nikogo nie przyjmuje.

— To może z młodym panem?

Kamerdyner cofnął się, przechylił głowę i przyglądał się im w milczeniu. — Państwo skąd? — zapytał.

— Co to ma za znaczenie? — zniecierpliwił się Andrzej. — Chcę rozmawiać z młodym panem Borowieckim.

— Pana nie ma.

— Kiedy wróci?

— Nie wiadomo, kiedy wróci — odpowiedział kamerdyner.

— Co to znaczy „nie wiadomo”? Za godzinę? Za dwie? Wieczorem?

Kamerdyner pokręcił głową. — Nie. Nie wiadomo.

— Wobec tego proszę o widzenie z panią Borowiecką.

— Już powiedziałem, że pani nikogo nie przyjmuje. Wszystkie sprawy załatwia pan administrator. Albo pan Jamroż — dodał po chwili.

— Jestem bratankiem leśniczego Zawistowskiego. Przyjechałem z Warszawy.

— Do... do leśniczego? — zająknął się kamerdyner.

— Tak. Jestem Zawistowski. Andrzej Zawistowski, starszy pan dobrze mnie znał.

Kamerdyner cofnął się, żeby wpuścić ich do środka. Dopiero teraz spostrzegł psy, nie odstępujące Andrzeja, w pierwszej chwili miał ochotę je przepędzić, wywo-skowana posadzka w sieni lśniła jak odbijające ciemność lustro. Zawahał się jednak i pozwolił im przestąpić próg. Podniósł oczy na Andrzeja. — I nic pan nie wie — powiedział cicho.

— Co? O czym? — zawołał Andrzej.

Kamerdyner spuścił głowę, — Ja do pani zaprowadzę.

Czekali potem długo w pustawej salce na dole, w której był tylko kominek, portrety na ścianach i wysokie krzesła pod nimi. Kamerdyner nie poprosił ich, aby usiedli, więc czekali stojąc, zwłaszcza że wypływały jedwab, którym były obite siedzenia i oparcia krzesel, zdawał się mieć muzealną kruchość.

Tu także nie mówili nic do siebie, Andrzej unikał jej wzroku, zresztą wcale nie patrzyła na niego. Całą wolą powstrzymywała chęć krzyku, wrzasku na całe gardło, tak, żeby pospadały portrety ze ścian, a zmurszały jedwab potrzaskał na krzesłach. Roz-wrzeszczyć się ile sił w płucach na całą tę pustkę i ciszę, a potem uciec stąd i w pierwszej lepszej chałupie na wsi, wysypawszy na stół zawartość woreczka zawieszzonego jej na szyi przez Leosię, poprosić o nocleg, a przedtem miskę ciepłej wody.

Za drzwiami rozległy się wreszcie nieśpieszne kroki, ale na progu miast pani Borowieckiej ukazał się znów kamerdyner. — Pani prosi na górę — powiedział. — Źle się czuje — dodał, prowadząc ich po schodach.

— Czy to coś poważnego? — spytał Andrzej — Jestem lekarzem.

— Pan? — kamerdyner przystanął.

— Tak. Mógłbym pomóc.

— Właściwie... — kamerdyner znów ruszył w górę — to młoda pani źle się czuje...

W pokoju o wysokich oknach, wychodzących na złotą ścianę parku, zastali dwie kobiety. Starsza stała przy oknie, odwrócona plecami do drzwi, ubrana osobliwie, w sweter z owczej wełny, futrzaną kamizelę i długie sznurowane buty, młodsza siedziała w fotelu, ładna i smutna, z dłońmi splecionymi na wydętym, ogromnym brzuchu, oczekująca dziecka chyba już dziś, tej samej godziny, zaraz. To oni byli godni litości, bez dachu nad głową, zdrożeni do granic wytrzymałości długą podróżą, ale jednak obydwójce spojrzeli na nią ze współczuciem.

Czekali, żeby pani Borowiecka odwróciła się od okna, a kiedy to nastąpiło, Andrzej przedstawił ich: — Jestem Zawistowski. Bratanek leśniczego. A to moja żona.

Pani Borowiecka nie uczyniła tej prezentacji obustronną. Może sądziła, że i tak wiedzą, z kim mają do czynienia, może z innych względów uznała to za zbędne. —

Fan przybył do stryja w odwiedziny? — zapytała.

— W odwiedziny i może... może na dłużej. Nie wiadomo, jak to długo potrwa...

Jestem lekarzem, oficerem rezerwy, i... — wahał się przez chwilę — uciekłem z niewoli.

— Proszę usiąść — powiedziała młoda pani Borowiecka. Trzymaną w ręku chusteczką dotknęła ust i czoła, choć w pokoju było chłodno i chyba nie mogła się pocić.

Usiedli na krzesłach obitych czymś trwalszym niż kruchy jedwab na dole, Andrzej dopiero wtedy, kiedy i starsza pani Borowiecka usiadła w fotelu pod oknem, przy któ-

rym na stoliku leżała otwarta książka i okulary.

— Uciekł pan z niewoli — powiedziała cicho. — To jednak możliwe...?

— Niezupełnie — Andrzej usiłował to wyjaśnić jak najkrócej. — Zwolniono mnie z niewoli, kiedy nie było jeszcze decyzji, że i oficerowie rezerwy mają w niej pozostać. A drugi raz nie pozwoliłem się do niej wziąć. Uciekłem.

— Rozumiem — powiedziała starsza pani. Miała jeszcze teraz bardzo piękne oczy, ale nawet one nie mogły ożywić jej szarej, zagasłej twarzy. — Przepraszam, że o to pytałam. Mój syn nie wrócił z wojny. Wciąż na niego czekamy... ja i... — skinęła głową ku drugiemu fotelowi, w którym młoda kobieta trzymała znów ręce splecione na swym ogromnym brzuchu — ja i jego żona...

— Może... może przedostał się na Węgry — powiedział Andrzej. Był teraz bardziej niż kiedykolwiek lekarzem, spieszył na ratunek, uśmierzał ból, budził nadzieję.

— W Warszawie mówi się o tym, że wiele naszych oddziałów przedostało się do Rumunii i na Węgry-

— Naprawdę? — zawołały razem obydwie panie Borowieckie.

— Tak. Wszyscy o tym mówią. Łączą z tym ogromne nadzieje. Będzie to załążek polskiej armii za granicą. Nie przestaniemy przecież walczyć.

— Tak — pani Borowiecka wyprostowała się w fotelu. — Jestem pewna, że mój syn nie przestanie walczyć. — Przez chwilę siedziała w milczeniu (a było to milczenie podniosłe, narzucające się wszystkim, wielka cisza na rzecz czegoś, w co wierzyli, w co pragnęli wierzyć, w co musieli wierzyć, aby dalej żyć), po czym poruszyła się, opuściła głowę, nerwowo dotknęła okularów leżących na książce. — Niestety ja dla pana nie mam tak dobrych wiadomości...

— Co się stało ze stryjem? — zapytał Andrzej głuchym głosem.

— Nie wiem, jak to panu powiedzieć... Nie żyje.

Znała stryja Andrzeja tylko z opowiadań, głównie z opowiadań nie o nim, lecz o Olszance, nie mogła

więc go sobie nawet dobrze wyobrazić, więcej wiedziała o drzewach rosnących wokół domu, o zwierzętach — teraz jednak wiadomość o jego śmierci wydała jej się ciosem, jakby łączyło ją z nim całe życie. Tak, całe życie. Nie to, które przeżyła — to, które miała przeżyć.

— Nie żyje — powtórzył Andrzej, starał się nie dać poznać po sobie, jaką klęską było dla niego to, co usłyszał. Klęską i żalem, bo przecież kochał człowieka, który dla niej był tylko, miał okazać się tylko kimś użytecznym. — Więc jednak dostał powołanie...

— Nie — pani Borowiecka odłożyła okulary, przestała się nimi bawić, podniosła na niego wzrok. — Nie dostał powołania. Był przez cały czas w Olszance. Zastrzelił

się po kapitulacji Warszawy. Myślę, że tak, że zrobił to wtedy, kiedy dotarła do nas ta wieść. Swoją bronią i w swoim mieszkaniu...

— Gdybym był wiedział... — powiedział Andrzej bezradnie.

— Nie miałam pojęcia, gdzie szukać jego rodziny zresztą w tych warunkach... sam pan rozumie. Rzeczy zabezpieczyłam. Kazałam je stamtąd zabrać i złożyć w magazynie na folwarku. Jamroż, mój rządcą, osobiście tym się zajął, sądzę, że nic nie zginęło.

Będzie pan je mógł każdej chwili zabrać.

— Każdej chwili zabrać... Ja... ja nie mam ich dokąd zabrać. Sądziłem... przybyli-

śmy tu razem z żoną, żeby tu pozostać...

Młoda pani Borowiecka siedziała z opuszczoną głową, jakby zapatrzona w swój brzuch, w napiętą na nim materię granatowej sukni. Nie zwróciła głowy ku teściowej, nie dała jej tego do zrozumienia żadnym gestem, ale obydwójce odnieśli wrażenie, że czeka na jej słowa, że wiąże z nimi jakąś nadzieję, albo jej utratę.

— Przykro mi — powiedziała pani Borowiecka. — Proszę mnie zrozumieć, ja muszę mieć w Olszance leśniczego.

— Rozumiem — Andrzej pochylił głowę i zaraz ją podniósł. — Czy ja... ja... nie mógłbym pełnić jego funkcji?

— Pan?

— Znakomicie strzelam, zmarły mąż pani mógłby to poświadczyć. Podczas wakacji zawsze towarzyszyłem mu na polowaniu. Czy nie opowiadał o tym?

— Owszem, wspominał.

— Na lesie także trochę się znam. Oczywiście nie mam odpowiednich studiów, ale przecież teraz nie będzie się zakładało nowych szkółek. No i... — dodał po długiej chwili ciszy, ale z naciskiem — jestem lekarzem. Nie chciałbym, żeby o tym szeroko wiedziano, ale myślę, że mógłbym się tu jednak

przydać.

— Gdyby pan przyszedł przedwczoraj, nawet wczoraj rano... —? powiedziała pani Borowiecka.

— Czy ma to jakieś znaczenie?

— Właśnie wczoraj Jamroż, nasz rządcą, przyjął nowego leśniczego. Zdaje się, że to nawet jakiś jego krewny, w każdym razie człowiek godny zaufania. Jutro ma się wprowadzić do Olszanki. Ogromnie mi przykro.

Byli więc odprawieni. Obydwoje równocześnie wstali z krzesel, równocześnie zwrócili się ku wyjściu. Bez żadnego słowa, nie było już nic do powiedzenia. Może należało jeszcze prosić, ale nie miała za złe Andrzejowi, że się na to nie zdobył.

I wtedy młoda pani Borowiecka zaczęła płakać. Był to najpierw jakby jęk, długo powstrzymywany; kiedy go wreszcie usłyszeli, wydało im się, że przez cały czas mia-

ła go w sobie, a teraz nagle opuściły ją siły, nie mogła go już zwalczyć, musiała wydostać się na zewnątrz, przerodzić się w płacz, w krzyk, w rozszalałą rozpacz. Siedziała jak przedtem: w fotelu, ciężka i nieruchoma, z dłońmi splecionymi na brzuchu, nie osłoniła chusteczką skurczonej płaczem twarzy, jak to zwykle czynią kobiety — płakała jak dziecko, które w chwili rozpacz nie myśli o swoim wyglądzie, ukazując wszystkim swoje łzy i wykrzywione usta.

— A ja, ja, ja... ja się tu nie liczę? — wołała wśród szlochu. — Staszka nie ma i ja się już nie liczę. Mogę umrzeć, mogę zdechnąć! Ja i...

— Ależ Wandziu! — pani Borowiecka zerwała się ze swojego fotela, przerażona i zawstydzona zarazem. — Wandeczko! Co za myśli! Wszystkie kobiety to przechodzą.

Każdy człowiek na ziemi urodzony jest przez kobietę. Byłaś przez cały czas taka rozsądna.

— I nie jestem już rozsądna! Skończyło się. Nie potrafię być rozsądna. Boję się. O

siebie i o... — płakała wciąż z tak samo uniesioną ku górze, odsłoniętą twarzą, odsuwając ramię teściowej, gdy ta usiłowała ją objąć i uciszyć.

— Wszystkie kobiety! Zrozum, wszystkie kobiety. Na pewno nic się nie stanie.

Będiesz zdrowa, ty i dziecko.

— Nie wiem! Nie wiem! — powtarzała. — Boję się! I kiedy przychodzi lekarz... z nieba spada lekarz na tę wieś zabita deskami, na tę przeklętą dziurę, z której nie moż-

na się na świat wydostać, nie wita go się z otwartymi ramionami, nie zatrzymuje go się, bo pan Jamroż ma inne plany...

— Wandziu! — zawołała pani Borowiecka. Była jakby podwójnie, widzieli to, przerażona

zachowaniem synowej. Że zachowywała się tak i że mogła się tak zachować, że była do tego zdolna. — Uspokój się! — powiedziała z naciskiem.

— Nie! — płakała. — Nie mogę! Pan Jamroź jest ważniejszy. Nie ja i nie dziecko.

Pan Jamroź! Pan Jamroź postanowił. Pan Jamroź chce. A teraz ja chcę! Ja się doma-gam! Ja proszę — podniosła wreszcie chustkę do twarzy, osłoniła nią oczy. — Ja proszę... Gdyby Staszek tu był...

— Ależ moja droga — pani Borowiecka odwróciła głowę, aby i swoją twarz ukryć przed tymi, którzy nie powinni być świadkami tej sceny. — Jeśli ci na tym zależy...

— Zależy mi! Chcę! Proszę.

— Jeśli ci na tym zależy, zawołam tu zaraz Jamroża. — Podeszła do lampy, przy której umocowany był dzwonek. Wiele, bardzo wiele czasu upłynęło, dla każdego z nich z osobna — dla starszej pani Borowieckiej, znów stojącej przy oknie, dla młodej, trącej twarz chustką, choć była już zupełnie sucha, dla nich dwojga przy drzwiach —

wiele, bardzo wiele czasu, zanim na progu zjawił się kamerdyner.

— Czy pan Jamroź jest w pałacu? — zapytała pani Borowiecka.

— Jest u siebie.

— Niech tu przyjdzie.

Znowu czekali. W tych samych miejscach, w tych samych pozach, w tym samym, męczącym milczeniu. Kroki, które wreszcie odezwały się w korytarzu, zabrzmiały ostro, były szybkie i energiczne — mężczyzna w drzwiach nie miał więcej niż dwadzieścia kilka lat, wypełnił je sobą, wysoki, potężny w barach. Twarz miał szeroką, rysy grube, ale regularne, czoło zakryte ciemnymi włosami. Ukłonił się, odnotował

spojrzeniem obecność przybyszów. — Pani mnie wzywała?

— Tak — pani Borowiecka, tak jak na początku, kiedy weszli do tego pokoju, odwróciła się od okna. — Sprawa Olszanki się komplikuje. Przyjechał bratanek pana Zawistowskiego.

Nie oznaczało to prezentacji i Andrzej jakoś to na czas zrozumiał, nie ruszył się z miejsca, a i Jamroź nie postąpił ku niemu, ograniczając się do ponownego uważnego spojrzenia.

— Pan Zawistowski dopiero przed chwilą dowiedział się o śmierci swego stryja.

Miał zamiar przetrzymać tu wojnę. Uciekł z niewoli.

Andrzej poruszył się niespokojnie. Pani Borowiecka to dostrzegła. — Proszę się nie obawiać. Pan Jamroź jest absolutnie pewnym człowiekiem. Ręczę za niego jak za siebie. Uciekł z niewoli i jest lekarzem. Sądzę... obydwie z synową sądzimy, że dobrze by było, gdyby mógł pozostać w Olszance.

— Ale Antoni ma się jutro tam wprowadzić — odewał się Jamroż po długiej chwili milczenia.

— I nie wprowadzi się! — zawołała młoda pani Borowiecka, nie pohamowawszy nerwów. — Nie wprowadzi się.

— Przepraszam — w spojrzeniu starszej pani, rzuconym synowej, był znów ten sam wyraz: jak mogła, jak mogła zachowywać się w ten sposób? — Przepraszam —

powiedziała jeszcze raz do Jamroża — młoda pani źle się czuje.

— Rozumiem — skłonił głowę Jamroż.

— Nic pan nie rozumie! — krzyknęła ciężarna kobieta, bijąc pięściami o poręcz fotela. — Nic a nic!

Andrzej wysunął się o krok naprzód. Usta mu drżały. — Nie chciałbym, aby moja osoba...

— Och, nie! Niech pan nie odchodzi! — młoda pani Borowiecka dźwignęła się z fotela, przegięta do tyłu, z brzuchem podrywającym ku górze przyciasną suknię, sunę-

ła ku niemu. — Błagam pana! Niech pan nie odchodzi! Umrę tu bez pana. Umrę! Ja i dziecko!

— Wandziu! — krzyknęła ostro teściowa.

— Ja... — zaczął znów Andrzej. — Przykro mi... Przenocujemy gdzieś na wsi, a jutro poszukamy sobie jakiegoś innego miejsca.

— Niech pan spojrzysz na nogi swojej żony, doktorze! — młoda pani Borowiecka była już przy nim i oparłszy się ciężko o jego ramię, patrzyła w dół, na dywan, na któ-

rym obok obuwia zsuniętego z nóg, stała boso milcząca dotąd kobieta. Pończochy, spryskane błotem, miały na piętach dwie krwawe plamy. — Niech pan na nie spojrzysz!

Pana żona nie może już kroku zrobić. Dokąd pan chce iść? I po co? Zaprzęgać! —

zwróciła się do Jamroża. — Zaraz zaprzęgać! I zabrać z magazynu wszystkie rzeczy pana Zawistowskiego. Pościel! Pościel przede wszystkim! A także jedzenie! Jamroż patrzył na starszą panią Borowiecką. Milczała.

— Tak jest — skłonił się przed młodą. — Słucham.

— I niech pan teraz przyśle mi Celinę. Szybko! — Kiedy wyszedł, zwróciła się do nich z uśmiechem uspokajającego się dziecka: — Tak się cieszę! Już nie będę się bała.

Pani Borowiecka wróciła na swój fotel pod oknem. Wzięła okulary i książkę, jakby miała zamiar zaraz zagłębić się w lekturze. — Tylko po co przy tym ta histeria?

Młoda pani uśmiechnęła się i do niej. — Przepraszam. A, jesteś! — zawołała do pokojówki. —

Przynieś moje zakopiańskie kapce. Wiesz, te białe, filcowe. I pończochy! — krzyknęła, gdy dziewczyna wybiegła.

— Ja... — dopiero teraz odezwała się po raz pierwszy. Woreczek z biżuterią dodawał jej pewności siebie. Obydwie panie Borowieckie, a i Andrzej także, patrzyli na nią zdumieni, jakby to, że przemówiła, było czymś niespodziewanym. — Ja dziękuję.

Jak najserdeczniej dziękuję. Mam pieniądze... biżuterię... jutro kupię sobie jakieś obuwie... na razie nic mi nie trzeba...

Młoda pani Borowiecka posunęła się teraz ku niej i o nią się oparła, ciężka i nieφο-remna. — Biżuterię niech pani schowa, jeszcze się przyda. A butów tu pani nigdzie nie kupi, trzeba jechać do miasta. Moje kapce będą na panią w sam raz. Wygodne i ciepłe. Może zaraz będzie zima? — Ile pani ma lat? — spytała nagle.

— Dziewiętnaście.

— Ja dwadzieścia jeden. Niedobrze tak. wczesnie wychodzić za mąż. A jeszcze w taki czas... — przechyliła na bok głowę, przymknęła oczy. Całe czoło miała pokryte drobniutkimi kropelkami potu.

Wróciła pokojowa z obuwem i pończochami, nie pomogły protesty, została nimi obdarowana, zakopianki musiała włożyć zaraz, były nawet trochę za duże, co bardzo się przydało opuchniętym piętom.

— Czy teraz nie lepiej? — spytała rozpromieniona ofiarodawczyni.

Musiała skinąć głową, choć wciąż wzbraniała się przed przyjęciem darów. — Lepiej.

— No! Byłam tego pewna. Tak się cieszę! — zwróciła się młoda pani Borowiecka do Andrzeja. — Tak się cieszę!

— Ja także — odpowiedział po prostu.

— Dla omówienia spraw w związku z pracą leśniczego — odezwała się starsza pani Borowiecka — zechce pan przyjść jutro.

— Do pani?

— Nie. Jamróż pana zaprowadzi do plenipotentą. Ma biuro na folwarku.

— Przepraszam — Andrzej się skłonił. — Chciałbym o coś zapytać.

— Proszę.

— Mój stryj miał piękny zbiór broni. Co... co się z nią stało po jego śmierci?

— Obok ciała znaleziono tylko sztucer. Nic nie wiem o reszcie.

— Miał pełną szafę broni. Pytam, bo to z wielu względów ważne...

— Zdaję sobie sprawę. Jamroż przyniósł tylko sztucer. Możemy go jeszcze raz o to zapytać.

Kiedy się zjawił, oznajmiając, że furmanka zajechała, pani Borowiecka poprosiła, żeby zamknął drzwi, w korytarzu kręciła się służba. — Pan pyta, co się stało z bronią stryja. Podobno pan Zawistowski miał piękny zbiór broni myśliwskiej.

— Tak — przyświadczył Jamroż. — Świętej pamięci pan leśniczy miał bardzo piękną broń. Poza naszym panem nikt tu nie miał takiej w całej okolicy. Ale kiedy zawiadomiono mnie, że nie żyje, przy ciele znalazłem tylko sztucer.

— Oddaliśmy go oczywiście, kiedy ukazało się ogłoszenie, że trzeba zdawać broń

— pani Borowiecka podniosła się z fotela. — Pan rozumie, jakąś broń musieliśmy od-dać. Wszyscy wiedzieli, że polowano w naszych lasach. Państwo muszą być głodni...

My jesteśmy już wprawdzie po obiedzie, ale coś się chyba jeszcze w kuchni znajdzie.

— Dziękuję — zaprotestował Andrzej. Chyba się zarumienił. Był początek wojny, nie wiedział, jak bliski jest czas, kiedy podobne sytuacje nie będą go krępować. —

Chcielibyśmy jak najprędzej być na miejscu. I nie jesteśmy nawet głodni... Mamy w plecaku suchą kiełbasę, jedliśmy po drodze.4.

— Ale może choć herbaty? — pani Borowiecka nie nalegała zbyt stanowczo.

— Dziękujemy.

— Celina! — krzyknęła młoda pani. — Nakrywaj do stołu! I zaraz podawaj wszystko, co tam macie. Głowę daję, że żadne z was — zwróciła się do nich — nie umie rozpalić ognia w kuchni. Przepraszam, tak mi się jakoś wydaje. A nim do tego dojdziecie, upłynie trochę czasu. Lepiej zjeść coś od razu tutaj — i już prowadziła ich do jadalni, zagarniając przed sobą jak stadko drobiu. — Mamo! — zatrzymała się. A co z inwentarzem pana Zawistowskiego?

— Jamroż będzie wiedział. Jamroż!

Rządca zawrócił od progu. — Leśniczy miał tylko krowę i trochę kur. Krowę zabraliśmy na folwark.

— No! — klasnęła w dłonie młoda pani. — Będziecie mieli krowę! Tylko... —

znowu popatrzyła po nich, i rozbawiona, i zasmucona zarazem. — Kto ją będzie doił...?

— Wszystko się jakoś urządzi — Andrzej nie chciał teraz mówić o tym. Za bardzo był szczęśliwy, żeby przewidywać kłopoty tak drobne. — Najważniejszy dach nad głową i trochę spokoju. Trochę spokoju...

— Tak — młoda kobieta znowu ruszyła korytarzem, popychając ich delikatnie przed sobą. — Tego potrzebujemy wszyscy. — Głos jej się załamał. — Dlaczego mo-je dziecko przychodzi na świat w taki czas?

— Przecież to długo nie potrwa — powiedział Andrzej.

— O Boże! Nie! — zawołała. — Na pewno nie. Choć nikt z nas nie wie, skąd bierze się ta nadzieja.

Kiedy najedzeni i napojeni gorącą herbatą wsiedli na wysoko załadowaną rzeczami leśniczego furmankę i ruszyli sprzed — jednak kuchennego — wejścia do pałacu, Andrzej powiedział: — Już nigdy w życiu nie otrzymam większego honorarium.

— Co pan mówi? — zapytał woźnica.

— Nic. Cieszę się, że jedziemy do Olszanki.

Naprawdę zobaczyła olszański las dopiero wtedy. Nie kilka godzin przedtem, gdy wlokła się zasypaną liśćmi drogą, a każdy krok rodził ból i strach przed następnym, ale teraz, kiedy jechała między dwiema czerwono- złotymi ścianami drzew, kiedy końskie kopyta z cichym plaskaniem zanurzały się w błoto, a Andrzej rozmawiał cicho z woźnicą, pozwalając jej milczeć i patrzeć. Wiatr ustał pod wieczór, drzewa stały nieruchome, a gdy jakiś liść spadał na ziemię, wydawał się kroplą złota ściekającą z gałęzi.

— Popatrz, jak ładnie! — powiedział Andrzej cicho. Przestał rozmawiać z woźnicą. Wziął jej rękę i szybko pocałował zziębnięte palce. — Zimą będzie jeszcze ładniej.

A wiosną!

— Zostaniemy tu tak długo?

— Może nie — pochylił się i pocałował ją w policzek.

— Państwo pewnie dopiero po ślubie? — odezwał się woźnica.

— Zgadł pan — uśmiechnął się Andrzej. — Cztery dni.

Woźnica trzasnął z bata. — Takie to teraz podróże poślubne — powiedział.

Kiedy zajechali na miejsce, pomógł Andrzejowi znieść rzeczy, przyniósł wody ze studni i jakby odgadując to, co powiedziała młoda pani Borowiecka, rozpalil w piecu.

Ukradkiem, skrywając przed sobą tę ciekawość, patrzyli, jak to robi.

— A co się stało z Sobisiową, gospodynią stryja? — spytał Andrzej.

— Pojechała do córki do Kraśnika — powiedział woźnica. — Może gdyby po nią napisać...?

— Zastanowimy się. Była ze stryjem do ostatka? — zapytał po chwili.

— Do ostatka. Ale wtedy, co to pan leśniczy to zrobił, to jej właśnie nie było. Po-szła do Lichnowca do kościoła. A kiedy wróciła, to pan już leżał całkiem zimny. Przyleciała z krzykiem na folwark...

— No tak — Andrzej uciął tę opowieść. Nie chciał, żeby w niej uczestniczyła.

Woźnica jednak nie pozwalał odebrać sobie przyjemności opowiedzenia jej do końca. — Ludzie zaczęli się tu zaraz pchać... Wie pan, jedni, żeby popatrzeć, a dru-dzy... jedna Sobisiową wszystkiego upilnować by nie mogła, więc Jamroż, pan Jamroż

— poprawił się — trumnę zaraz kazał zrobić, byle jaką, bo naprędce, z miasta nie można było sprowadzić, w mieście już byli Niemcy, może trzeba by się było tłumaczyć, dla kogo i dlaczego, więc tak, szybko i byle jak, do kaplicy na cmentarzu, choć ksiądz proboszcz się sprzeciwiał, aż mu sama pani dziedziczka musiała przeperswadować.

— Dlaczego się sprzeciwiał? — spytał Andrzej cicho,

— A bo to pan nie wie? Takich, co sami ze sobą kończą, nie wpuszczają na po-

święconą ziemię. W końcu ksiądz zezwolenie dał na kaplicę, ale na pochówek się nie zgodził.

— I gdzie go pochowano? — Andrzej nie myślał już o skróceniu tej rozmowy, o tym, że lepiej by było, żeby jej nie słyszała. — Gdzie go pochowano?

— Na cmentarzu w Lichnowcu. Ale nie tam, gdzie się należy, tylko zaraz przy bramie — woźnica się przeżegnał — pod płotem. Pani dziedziczka za nieboszczykiem dwa razy u księdza się wstawiała, że to przecież z żalu za Polską, nie z jakiejś tam mi-

łości albo innej głupoty, ale nie pomogło. Nasz ksiądz jest taki młody, sam jeszcze nic nie przeżył. Nie wie, co człowiekowi w duszy może zagrać.

Z tej rozmowy, której Andrzej bał się ze względu na nią, zapamiętała nie słowa i sytuacje mogące zrodzić strach przed domem, przed miejscem śmierci nie znanego jej człowieka, ale powiedzonko woźnicy, przypominane później w odpowiednich sytuacjach: że nie wiadomo, co człowiekowi w duszy może zagrać.

Kiedy odjechał, pozostawiając po sobie buzujący w piecu ogień i stos narąbanych polan, po raz pierwszy popatrzyli na siebie swym dawnym spojrzeniem. Andrzej wy-ciągnął ramiona i od razu się w nich znalazła. Nie całował jej, nie mówił nic, tylko trzymał ją przy sobie, mieli dach nad głową, cztery ściany, piec śpiewający wesoło, byli tu razem, daleko, daleko od świata, od Niemców patrolujących drogi, od zgrzytu czołgów na twardych grzbietach polskich szos.

— A teraz spać! — powiedział. — Szybko spać.

Już przedtem przy pomocy woźnicy przygotował dwa posłania, zniósłszy ze strychu łóżko, na którym sypiał podczas pobytu u stryja. Świeżo wypchany siennik pachniał rżyskiem i latem, chrzęścił, gdy

się na nim usiadło. Wiedział, że będzie wolała na nim spać, niż na wygodnym, miękkim łóżku leśniczego, i tak też było — uderzyła dłonią w szeleszczące legowisko. — Ty tu spałeś podczas wakacji?

— Tak.

— Może będę miała te same sny.

— Chciałbym, żeby ci się przyśniły.

Zgasili lampę, rozebrali się szybko, wskoczyli pod swoje kołdry, Od razu zrobiło się w pokoju bardzo cicho. Ciszej niż cisza, ciszej niż milczenie. Przypomniały jej się filmy, w których takie sytuacje przyprawiały o wypieki podniecenia całą widownię: on i ona w jednym pokoju, nareszcie sami. Oczywiście musi się coś stać, zaraz coś się stanie. Nie działo się jednak nic, w tym pokoju nie działo się nic, oddech Andrzeja był

równy i spokojny, łączył się z ciszą, był jej pogłębieniem. Bolały go na pewno tak sa-mo, jak ją, nogi i wszystkie mięśnie, piekły oczy, a w dodatku... wiedziała, że o tym myślał, że miał pod powiekami obraz monstualnej ciąży młodej pani z pałacu, słyszał

jej płacz... Splatało się to jakoś wszystko razem, nie wiadomo dlaczego przypomniała sobie sukę Florkę, ulubioną charcicę ojca, której macierzyństwo wygięło krzyż jak zbyt obciążony pałak. „To barbarzyństwo! — mówił ojciec. — Barbarzyństwo uczynić coś takiego ze stworzenia! Przez kolejne dwa lata Florka nie była parzona i odzyskała swą dawną urodę. A trzeciego roku uciekła w godowym okresie. Znow krzyż jej się wygiął, wyglądała żałośniej niż kiedykolwiek, a potem urodziła nierasowe szczenięta i nie pozwoliła ich sobie odebrać, zachwycona i szczęśliwa.

Wydawało jej się, że zasnęła na chwilę nad pudłem z nierasowymi szczeniętami Florki, że dom, w którym się urodziła, istnieje wciąż w tym samym mieście, bez spa-lonego rynku, bez pogrzebu, jaki widziała Leosia, bez człowieka, który miał jeszcze po tym wszystkim odwagę pukać do ich drzwi i okien. Kiedy jednak otworzyła powieki, zobaczyła obce, majaczące w mroku sprzęty, okno nie z tej strony, w której zwykła je znajdywać, przy poruszeniu nie uginał się pod nią materac, ale szeleściła słoma... Za oknem, w najbliższej bliskości, chyba tuż za szybą, odezwał się jakiś przeraźliwy głos. Później przestała się go bać, wiedziała, że to puszczyk, ale polubić nie potrafiła go nigdy. Usiadła na chrzęstliwym posłaniu, przydusiła dłonią łomoczące serce. Starła się opanować, nie ośmieszać się przed Andrzejem, nie budzić jego znie-cierpliwienia. Ale puszczyk odezwał się znowu, i z głębi lasu odpowiedział mu jakiś inny głos, usłyszała jakby chrzęst łamanych gałęzi. — Boję się — szepnęła w ciemność.

Myślała, że Andrzej śpi, ale od razu poruszył się na łóżku. — Chodź tu do mnie —

powiedział. — Przytul się, przestaniesz się bać. To zwierzęta krążą wokół domu, stryj tak je nauczył, nigdy tu nie polował.

Wyskoczyła z łóżka i wsunęła się pod kołdrę Andrzeja. Leżał twarzą do ściany, i nie poruszył się, nie odwrócił do niej. Przytuliła się do jego pleców, dziwiąc się, że on też dygocze, drży jak w febrze.

Zasypiając pomyślała, że może boi się także i że ona jest mu potrzebna tak samo, jak on jej, jak tylko jednemu człowiekowi może być potrzebny drugi człowiek. Zostawiła swój własny dom, ojca, wspólny z nim los, przeszła wiele kilometrów, upadając ze zmęczenia, żeby teraz ten ktoś, do niedawna obcy, nie był sam, żeby miał ją przy sobie.

— Kocham cię — odezwał się Andrzej w ciemności. — Kocham cię! — I był to ostatni dźwięk, jaki słyszała przed zaśnięciem.

— Nie będziemy tu przecież stać pod tymi drzwiami — niecierpliwi się Agnieszka. Patrzy na nią z wyczekiwaniem, Renato jest dobrze wychowany i milczy, ma jednak za sobą tę znakomitą kindersztubę, niezawodny sposób bycia, przekazany mu przez mamę pułkownikównę.

— Przepraszam — mówi Zofia. — Przepraszam. Musimy coś postanowić.

Powinna pokazać synowi Lucia miejsca, w których go ukrywała, ale nie ma już dawnych zabudowań na podwórzu, nie ma obórki i stajni, zniknęła stodoła i drewnutnia

— a poza tym nie czuje się na siłach przejść tak od razu do tych wydarzeń, przeskoczyć to, co było między nimi, między pierwszym wieczorem w Olszance a tym, co nastąpiło potem, co prowadziło niejako dzień po dniu do tego, aby mógł zjawić się tu Lucio i Francesco...

— Ja mam pomysł — Agnieszka obeszła dwa razy dom dookoła i ma dość tego pustkowia. — Prawdopodobnie będziesz chciała wejść do środka?

— Oczywiście, skoro tu jesteśmy.

— Wobec tego pojedziemy do cukrowni i odnajdziemy człowieka, który tu mieszka. Nie będziemy chyba czekać, aż zjawi się tu po pracy. Zostaniesz tutaj?

Zofia patrzy po czubach nielicznych drzew, które tu jeszcze rosną. Wiosenny rej-wach ptasi przypomina dawny las. — Zostanę — mówi. — Tylko załatwcie to szybko.

— Nie sądzisz chyba, że będziemy zwiedzać cukrownię.

— Nie. Ale ty jesteś zawsze pełna pomysłów.

— Jakich? — pyta Agnieszka zaczepnie.

— Jedźcie już, jedźcie.

Renato zgadza się na wszystko — obydwie nie znajdują jeszcze w tej uległości obraźliwej nutki pobłażania — wsiada do wozu, ale przed zapuszczeniem silnika wychyla głowę ku wciąż stojącej na progu Zofii: — Dlaczego pani starsza córka nie przyjechała tu z nami? O ile zrozumiałem, tutaj się urodziła.

— Tutaj — Zofia musi skupić się na chwilę, ażeby odpowiedzieć tak jak należy.

— Tutaj się urodziła, ale tutaj także bardzo chorowała i mój mąż był zawsze zdania, że nie powinna oglądać tych miejsc, nie powinna ich sobie przypominać.

— Rozumiem — mówi Renato.

Gówno rozumiesz, chce znowu krzyknąć Agnieszka, po raz drugi mając na to ochotę tego ranka. Renato naraził jej się tym pytaniem o Helenę. Nie była o siostrę-

zazdrosna, kochała ją, ale pytanie młodego człowieka podważało w niej wiarę w siebie, w swoje możliwości, w swoje szanse. — Jedziemy wreszcie czy nie? — pyta ostro.

— Ależ jedziemy — uśmiecha się Renato. — Zawsze wszystko, co zechcesz.

6

Jest tu jeszcze ławeczka, na której usiadła pierwszego dnia obok zjeżonego nieufnością kota. Wydaje się teraz tylko nieco niższa, oparcie ma nadłamane, ale wydepta-ny wśród mchu krąg przed nią świadczy, że jest — jak dawniej — miejscem odpoczynku. Siadywali tu zawsze we wszystkie ciepłe dni, latem — kiedy Andrzej był tu jeszcze — nieraz do późnej nocy. Tu wiosną słuchali słowików, jesienią miłosnych nawoływań jeleni. Tutaj pod opieką Diany zostawiała Helenę, kiedy jeszcze nie umia-

ła chodzić, i potem, kiedy już stawiała pierwsze kroki, czepiając się rączkami ławki, i jeszcze potem, gdy już biegała wokół niej, zbierając szyszki i żołądź, a suka szalała ze szczęścia, głośnym szczekaniem roznosząc swoją radość po lesie. Tutaj, później, po znalezieniu broni, Emil obciągał ze skóry sarny, dziki i zające — musieli karmić czymś Włochów i tego trzeciego, który nagle się zjawił i nikt nie miał odwagi go za-bić, choć wtedy byli już gotowi na wszystko i trzymali na muszce każdego zbliżające-go się do leśniczówki przybysza, dopóki nie objawił swoich zamiarów. Podczas oprawiania zwierzyny Helenę zamykało się w domu, ale płakała i biła piąstkami w drzwi, aż ją Emil któregoś dnia sam wypuścił i pozwolił, aby oparta łokciem o jego kolano przyglądała się temu, co robił. „Niech się uczy życia”, mówił, a miała wtedy dwa lata, potem trzy, czas płynął...

Zanim jednak Helena przyszła na świat, zanim jej rodzice naprawdę stali się mał-

żonkami, w pałacu urodziła się Helenka Borowiecka, a wątłość i kruchość jej zdrowia umocniła ich egzystencję w Olszance.

Trudno było cieszyć się z tego faktu, ale jednak musieli zdawać sobie sprawę z wyjątkowej pomyślności sytuacji: dziecko było chorowite i Jamrozowi wypadało zarzucić w końcu myśl o odzyskaniu leśnictwa dla swego krewnego. Prawie co dnia przyjeżdżała po Andrzeja bryczka z pałacu, nawet wtedy, kiedy nie było to już konieczne, a gdy wracał, pod siedzeniem woźnicy krył się zawsze jakiś prowiant. Z pa-

łacu wieść, że jest lekarzem, dotarła na folwark, z folwarku na wieś. Usiłował zaprzeczać, tłumaczył, że nie ma prawa leczenia, ale bywały sytuacje, w których musiał zachowywać się jak lekarz. Ozdrowieńcy przychodzili potem, żeby się wywdzięczyc.

Oczywiście prowiantem. Przez długie miesiące, a na dobrą sprawę i do końca wojny nikt nie brał tu poważnie pieniędzy. Chyba że złote, carskie, albo austriackie, ale ludzie na wsi ich nie mieli. Płacili więc mąką, kaszą, miodem, owocami, rzadziej mię-

sem, bo od razu wprowadzono ciężkie kary za samowolny ubój. Tak czy inaczej głód im nie groził i były dni, kiedy myśleli, że dla przetrzymania wojny to było najważniejsze. Kiedy w dodatku przyprowadzono z folwarku krowę, powstał nawet problem, co zrobić z mlekiem, we dwoje nie mogli go wypić.

Początkowo byli przerażeni jej istnieniem. Oborowy, który ją przyprowadził, od razu zapytał: — Kto ją będzie doił?

— Ja — powiedział Andrzej, ale zrobił to o długą chwilę za późno. Cisza, jaka nastąpiła po pytaniu, a zresztą może nie tylko ona, zrodziła w oczach przyglądającego się im człowieka złośliwą niepewność.

— Ee tam, pan doktor?

— Nie jestem doktorem.

— Doktor czy nie doktor, na dojarza pan nie wygląda. Ani panienka na dojarkę.

— To moja żona.

— Na jedno wychodzi. Pytam, kto będzie doił krowę? Bo dojona musi być. Trzy razy. Rano, w południe i wieczorem.

— Może... może mógłby ktoś przychodzić z folwarku? — zapytała.

— Z folwarku? Taki kawał drogi? Trzy razy dziennie?

— Może ze wsi?

— Ze wsi jeszcze dalej.

— Nie za darmo przecież. Za połowę mleka.

— Na wsi na mleko nikt nie łąsy.

— Ale proszę popytać, może się ktoś znajdzie.

— Dobrze. Popytać mogę. Ale teraz — zsunął czapkę na tył głowy i znowu im się przyglądał — teraz kto będzie doił?

Andrzej pogładził krowę po karku, odrzuciła go gwałtownym ruchem głowy.

— Mógłby pan pokazać, jak się to robi?

— Co?

— No... jak się doi. W końcu to nie filozofia.

Oczy chłopca zwęziły się, zabłysło w nich znów złośliwe światełko.

— Filozofija to niby nie jest. Ale nie każdy potrafi.

— Niech pan jednak pokaże.

— Jak pan chce. Tu?

— Tu albo w oborze...

— Najlepiej w oborze. Niech sobie bydlę miejsce przypomni. To także ważne.

Miejsce, żłób, żarcie. Nie wiadomo, czy panu da mleka.

— Jak to... nie wiadomo, czy mnie da...? — Andrzej zaczynał tracić pewność siebie.

— No, bo nie każdemu daje. Jednemu da, drugiemu nie. Można przed nią klękać i prosić, nie da ani kropli.

— Często się tak zdarza?

— Czasem się zdarza. Każde bydlę ma swoje nerwy. Pan doktor to pewnie myśli, że tylko człowiek.

— Nie — uśmiechnął się Andrzej. — Wcale tak nie myślę.

— A to w każdym stworzeniu siedzi jakieś czucie i trzeba je zrozumieć.

— No dobrze, zaczniemy od krowy. Potrzebny chyba będzie jakiś stołeczek i wiadro.

Przyniosła z kuchni mały stołeczek na trzech nogach, ulubione później siedzenie Heleny, i wypłukane wodą wiadro. Miała zamiar podążyć z tym do obory, ale Andrzej zatrzymał ją na progu. — Zostań lepiej w domu.

— Dlaczego? Też chcę się nauczyć.

— Proszę cię, zostań. Później się nauczysz, jak zechcesz.

Schowwała się do sieni, ale nie zamknęła drzwi. Z obory zaczęły dochodzić podniesione głosy. Tylko krowa się nie odzywała, najwidoczniej pogardliwie zacięta. W głosach Andrzeja i oborowego był ton perswazji i groźby, pieszczoty i przekleństwa.

Trwało to długo. Aż ją nogi zaboląły i przysiadła na progu. Po co nam mleko? myśla-

ła, coraz bardziej przerażona nowymi obowiązkami, jakie na nich spadły. Nigdy go nie lubiła, Leosia

traciła nerwy przy każdej szklance mleka, którą postanowiła w nią wmusić. Wspomniałszy sobie Leosię, nie mogła jednak nie wziąć pod rozwagę jej punktu widzenia w takiej sytuacji. Ona — mądra, przewidująca, zapobiegliwa, życio-wa — na pewno uznałaby pojawienie się krowy w wojennym gospodarstwie za po-myślność niezwykle i godną wszelkich zabiegów. Okolica nie zapowiadała trudności w zdobywaniu paszy, zobaczyła więc siebie wysyłającą paczki z masłem i serem ojcu i Leosi, karmiącą nabiałem każdego wędrowca, który by zawadził o ich ustronie, może handlującą nawet tymi produktami, gdyby zaszła potrzeba... Tymczasem czas mijał, podniesione głosy w oborze nie milkły, a kiedy zdecydowała się na nie określoną bli-

żej interwencję i zerwała się z progu, we wrotach ukazał się Andrzej, wyczerpany, jak po bardzo ciężkiej operacji, niosąc w ręku lekkie wiadro. Postępował za nim oborowy, równie zmęczony, ale nie pozbawiony wyrazu pewnego rodzaju triumfu. — I nie dała!

— powiedział.

— No, trochę dała — sprostował Andrzej. — Obmyślę na nią jakąś metodę.

— Przepraszam — spytał oborowy — co pan doktor obmyśli?

— Metodę. Sposób podejścia. Jestem pewny, że skapitułuje.

— Pan doktor jest pewny, a ja nie. Już jak ją tu prowadziłem, to wiedziałem, że krowa jest charakterna.

— Ja też jestem charakterny — powiedział Andrzej, ucinając tę dyskusję.

Walka i pertraktacje z krową odbywały się teraz trzy razy dziennie, to z lepszym, to z gorszym skutkiem. Czasem udało się ją skokietować jakimś przysmakiem w żłobie albo drapaniem za uchem, czego jedna? nie można było wykonywać równocze-

śnie z dojeniem. Chwile rzadkich sukcesów budziły w nich nadzieję, że wszystko ja-koś się ułoży, że przełamią w sobie tę żalostną inteligencką bezradność, dla której od-wiedzający ich raz po raz oborowy nie przestawał żywić złośliwej pogardy. Przychodził nie tyle z życzliwości, co dla osobliwej potrzeby potwierdzenia własnych przewidywań. Udawał się zresztą najpierw do obory, a dopiero wracając stamtąd zaglądał do domu. — Krowa zmarniała — obwieszczał od proga.

— Jak to „zmarniała” — zaperzał się Andrzej, bo nic gorszego nie można było mu powiedzieć. — Szczotkowałem ją od rana ze dwie godziny.

— A owszem, świecić to się świeci — przyznawał mu rację oborowy. — Ale wymiona twarde, a jak wymiona twarde, to się krowie może co złego przytrafić.

— Dziś dała dużo mleka.

— Ile?

— Było na pewno pół wiadra.

— Pół wiadra? — oborowy pokiwał głową z politowaniem. — Taka krowa i pół

wiadra mleka!

Te rozmowy, z których Andrzej wychodził przeważnie pokonany, były wtedy dla niej najwyraźniej wojną. Stali się nagle, z dnia na dzień, kimś innym, niż byli dotąd.

Nie widywali wtedy Niemców, starali się unikać miejsc, w których można się było na nich natknąć, nie ich widok więc przypominał o wojnie, ale zaskoczenie sobą w na-rzuconej im sytuacji. Jediną formą buntu była chęć przetrwania. Godzili się na nią nie oni, ale te dwie nowe istoty głowiące się na tym, jak obłaskawić krowę i nie dać się spostponować oborowemu pani Borowieckiej, który zdawał się w udowadnianiu im ich miejskiej nieporadności znajdować źródło jakichś nowych życiowych satysfakcji.

Nie pamiętali mu tego, bo to w końcu on postarał się o adres Sobisiowej, gospodyni stryja, i poradził, żeby do niej napisać i nakłonić ją do przyjazdu. Napisali. Długi list, rzeczowy i żarliwy, jak podanie do ministra. Sobisiowa nie przyjechała. Zamiast niej o świcie któregoś dnia zjawił się w Olszance Emil.

Zofia stoi wciąż przy ławce o nadłamanym oparciu, patrzy na zamknięte drzwi domu, na kota, który znów powrócił na próg, i myśli, jak to jest możliwe, że nie zna nawet nazwiska człowieka, który sprowadził tu Emila, który w pewnej chwili, pewnego dnia przybrał postać losu? Oborowy pani Borowieckiej pokierował ich życiem, a ona nawet nie wiedziała, jak się nazywa, jakie imię należałoby wymówić przed ludź-

mi, gdyby zamierzała go szukać.

Nie, nie zamierza. Może wcale, może jeszcze nie. Siada na ławce i stara się patrzeć na przetrzebiony las, na to, co po nim zostało, zwyczajnie, jakby była tu po raz pierwszy.

Okazuje się, że to możliwe, ale jest w tym jakby jakaś zdrada, jakaś ucieczka, tak jak zdradą i ucieczką jest to, że znalazłszy się tu wspomniała najpierw wieczory na ławce, słuchanie słowików wiosną, jelenich głosów jesienią... Kim był człowiek, że w tamtych czasach przydarzały mu się takie chwile, kim był, że wróciwszy tu potrafił

najpierw je wspominać? Może przede wszystkim był istotą, która się broni, która pragnie żyć. Czy należało się tego wstydić?

Bo jednak wstydzili się. Nieraz w nocy, obudziwszy się nie wiadomo dlaczego, nagle i ostro, jakby ją ktoś uderzył, nasłuchiwała przyczajona i pytała cicho: — Spisz?

— Nie — odpowiadał Andrzej z ciemności.

Potem nauczył się nie odpowiadać. Była pewna, że udaje — bo przecież nie spał, milczał tylko, żeby ją uspokoić. Wiedziała, o czym myśli — tak niedaleko- było stąd do węgierskiej granicy, wielu ją już przeszło, wielu ją jeszcze i teraz przechodziło, a on był tu, leżał w łóżku, trzymał w ramionach dziewczynę, którą kochał, której pragnął i którą wreszcie zdobył, i nie był już żołnierzem, choć

ojczyzna potrzebowała żołnierzy i mężczyźni w tym czasie nie powinni byli leżeć w łóżkach ze swoimi kobietami.

Sam stworzył mit młodego Borowieckiego, walczącego gdzieś poza granicami kraju, ten mit obracał się teraz przeciwko niemu; ile razy wracał z pałacu, widziała to w jego oczach. Obie panie nie mówiły o niczym innym, kilka słów, rzuconych przez niego dla pocieszenia, rozrastało się w legendę, która mogła także i ranić. Myśleli jeszcze wtedy, że wojna skończy się na wiosnę, kiedy ruszą alianci. Ale można było czekać tu na to z założonymi rękami, a można było też...

— Wiem, o czym myślisz — mówiła w ciemność, nawet wtedy, kiedy się nie odzywał. — Wiem. Przestań!

Udawał, że śpi, a rano uciekał do lasu, albo do obory, która zawsze dawała mu schronienie w takich chwilach. Kiedy zjawił się Emil, nie mógł już tam przesiadywać w samotności, obora stała się królestwem Emila, on także lubił w pewnych chwilach ukrywać swoją twarz i wiedzieli, że nie trzeba mu wtedy przeszkadzać.

Przyjechał z listem od córki Sobisiowej, stara sama nie umiała pisać i tylko postawiła na końcu trzy krzyżyki, jakby mogło to w jakikolwiek sposób przyczynić się do pewności, że list pochodzi od niej. Donosiła, że nie może przyjechać, bo zdecydowała się zostać z córką, w taki zły czas ludzie powinni się trzymać swoich; jak żył pan le-

śniczy, to miała obowiązek być z nim, wojna nie wojna, bo przepracowała w Olszance dziesięć lat, od kiedy mąż jej umarł, a córka za mąż poszła; ale gdy pana leśniczego nie stało, to trzeba jej wybaczyć, ona do Olszanki wrócić nie chce i nie może. Żeby nie pozostawiać ich jednak bez pomocy, posyła chłopaka, który uciekł przed tygodniem spod Zamościa, sam opowie dlaczego. Schronił się u ciotki w Kraśniku, u jej sąsiadki, ale w Kraśniku dla takiego chłopaka także niepewnie, a Olszanka byłaby dla niego w sam raz... Nazywa się Emil Hanaś i umie robić wszystko, co potrzeba.

Tego właśnie byli najmniej pewni. Zamiana Sobisiowej, której liczne gospodar-skie zalety miał Andrzej w żywej pamięci, na siedemnastoletniego chłopaka nie wydawała im się pomyślna. Ale Emil stał tu już z małym kuferkiem, w jaki wyposażyła go ciotka, i nie było rady — musiał tu zostać. Zobaczyli poza tym w jego oczach swoją własną udrękę sprzed kilkunastu dni, kiedy nie mieli gdzie głowy złożyć, swój własny strach przed niewiadomym. Andrzej podskoczył do niego, odebrał mu z rąk kuferek i posadził na krześle. — Zaraz będzie śniadanie — powiedział. — Żeby tylko krowa zechciała dać mleka.

— A może nie zechcieć? — zainteresował się od razu chłopak.

— Może — westchnął Andrzej. — Podobno tak się objawia jej charakter.

Emil już ściągał kurtkę, przyciasną jakąś i najprawdopodobniej nie swoją, i dopiero kiedy ją zdjął, zobaczyli jak dobrze jest wyrośnięty, silny i szeroki w ramionach.

Włosy miał jasne, trochę kędzierzawe, długo nie strzyżone, twarz szeroką, pospolitą, ale już męską,

teraz poszarzała od zmęczenia i zgryzoty. Rozjaśnił ją krótki, trochę nieśmiały uśmiech.— Zawsze podczas wakacji dołem krowy w domu. Żadna nie objawiała tak swego charakteru.

— Synu! — zawołał Andrzej. — Synu! Spadłeś jak z nieba!

Krowie rzeczywiście charakter od razu się odmienił. Rozpoznała rękę mistrza i poddała się spokojnie zabiegom wymagającym w jej odczuciu odpowiednich kwalifikacji, z których po prostu nie zamierzała rezygnować. Mleko ciurkało do wiadra triumfalnymi strumieniami. Jednostajny szmer, jaki przy tym powstawał, i słodkawa woń, buchająca z wiadra, działały prawie usypiająco. Stali przy żłobie, wsparci o siebie ramionami, z jednakowym podziwem wpatrzeni we wprawne ruchy rąk Emila.

— Będzie dobrze — powiedział Andrzej. Nie wiadomo do kogo, do niej, do Emila czy też do siebie samego. I jakie obszary objął tą nadzieją, tą śmieszoną nadzieją, obudzoną nad wiadrem zapełniającym się ciepłym mlekiem? Ich małe życie, a może jeszcze mniej — ich głód tylko i pragnienie..,

Po śniadaniu, gdy Emil siedział jeszcze przy stole, skrzępowany i onieśmielony uwagą, jaką mu poświęcali, Andrzej zapytał go: — Dlaczego uciekłeś spod Zamościa?

Chłopak drgnął. Uniósł ręce nad stołem, a potem schował je pod nim, splatając na kolanach. — Nie było o tym w liście?

— Nie. W liście było tylko, że sam opowiesz.

Spuścił głowę, zrozumieli, że niełatwo będzie mu o tym mówić, że wolałby, aby list wyjaśnił to za niego.

— Ojciec — powiedział tylko po długim ciężkim milczeniu — nie żyje. I matka też. I siostra.

— Kiedy to się stało?

— W czwartek. Nie, w środę. Zaraz z rana. Jak tylko przyszli, od razu się o ojca zapytali. Po nazwisku. A jak powiedział, że tak, że nazywa się Hanaś, to zapytali jeszcze, czy nauczyciel?

— Ojciec był nauczycielem?

— Tak. Pewnie o to szło. Bo we wsi było dużo niemieckich kolonistów, a w szkole uczyło się po polsku, no i pewnie o te kury, co zawsze do Hermannowej wlatywały w owies...

— O kury...? — zapytali oboje.

— Ciotka myśli, że bardziej o kury, niż o szkołę. Sama słyszała, kiedy była w lecie, jak się Hermannowa odgrzała.

— Nie! — zawołał Andrzej. — Na litość boską, nie myśl, że za kury! — Pochylił

się nad Emilem, objął go ramieniem. Chłopak rozplakał się. Już przy ostatnich słowach drżały mu usta, a teraz wsparty o pierś Andrzeja rozsłochał się na głos, nie mogąc zapanować już nad sobą. — Nie za kury! — powtórzył Andrzej jeszcze raz. —

Nie wolno ci myśleć, że za kury.

W nocy, kiedy już zgasili lampę i powiedziawszy sobie dobranoc zamknęli drzwi między pokojami, długo wsłuchiwali się w ciszę, która za nimi zapanowała; mieli nadzieję, że zdrożony i zmęczony wrażeniami chłopak zaraz zaśnie, ale on najwidoczniej tylko się przycisnął; kiedy byli pewni, że już śpi — dobiegł do ich uszu stłumiony poduszką jęk, cichy, jakby go ktoś wtlaczał z powrotem w gardło, jakby go ktoś usiłował

powstrzymać w krtani.

— Idź do niego — powiedziała. — Może potrzebuje pomocy.

Andrzej odnalazł w ciemności jej rękę, zacisnął na niej palce. — Nie — powiedział. — Niech się wypłacze. Mężczyzna powinien być wtedy sam.

Powiedział: „mężczyzna”, ale myślał, że za drzwiami płacze chłopiec, dziecko.

Przez pojawienie się Emila obydwójce jakby dojrżeli w ciągu jednego dnia, o sobie mogła nawet powiedzieć, że wydożała; Emil był od niej tylko o dwa lata młodszy, a oto był kimś, nad kim

obydwoje teraz czuwali: samotne, osierocone dziecko, bez ojca i matki, ale wśród ludzi, na pewno wśród ludzi.

— Pomyśl, co przeżył — szepnął Andrzej, nie wypuszczając z uścisku jej palców.

A więc oboje myśleli o tym samym: ich własne przeżycia przestały być tragedią, tragedią było to, co przeżył Emil. Myśląc o nim, przestawali myśleć o sobie; nie zdawali sobie wtedy jeszcze sprawy, jak to wiele. — Musimy go z tego wyciągnąć — dokoń-

czył Andrzej.

Termin był lekarski, wyciągało się dotąd kogoś z choroby, z zagrożenia — teraz Emila trzeba było wyciągnąć z rozpaczki, z klęski, jaką poniósł w zderzeniu z wrogiem, z wojną, z życiem...

— Wyciągniemy go — powiedziała, chowając twarz we wgłębieniu między obojczykiem a szyją Andrzeja. Wierzyła, że on to potrafi, że jemu to się uda. I choć z drugiego pokoju wciąż dochodził stłumiony poduszką płacz, zasnęła, pocieszona tą my-

ślą, dobrą nadzieją na jutro i następne dni. Nie zdawała sobie wtedy jeszcze sprawy z tego, że poznaje dopiero swego męża, że każdy dzień dostarcza jej powodów do tego, aby go kochała.

Emil był jednym z nich. I także pokochał Andrzeja. Najpierw pokochał Andrzeja.

To wiele znaczyło w ich życiu.

7

Człowieka, który nazywa się Kacperski, nie ma w cukrowni.

Najpierw trudno znaleźć kogoś, kto by go w ogóle znał. Agnieszka rozpytuje o niego w kilku miejscach, w portierni, a potem na placu, ale trafia na ludzi sezonowych i ci wzruszają tylko ramionami. Jest akurat po dwunastej, objuczeni sprawunkami spieszą od kiosku, w którym je kupili, do hotelu — nikt się nie zatrzymuje, żeby udzielić informacji, odpowiadają w locie, bynajmniej nie zaciekawieni osobą pytającej dziewczyny i zagranicznym wozem, który na nią czeka. Agnieszce sprawia to jakiś dziwny zawód, nie wie, skąd się bierze w niej to uczucie, ale przecież, u diabła! nie co dnia zatrzymuje się przed cukrownią czerwone ferrari z rzymską rejestracją i znów, u diabła! nie co dnia takie dziewczyny, jak ona, zaczepiają tu ludzi w utaplanych błotem gumiakach, aby pytać o jednego z nich. Wszystko, co pozawarszawskie, interesowało ją zawsze tylko ze względu na folklor, nie sądziła, że istnieje jeszcze jakaś inna dzie-dzina, inna forma prowincji, która mogłaby ją zadziwić. A zadziwiła. I to nieprzyjemnie.

Wraca z niewyraźną miną do samochodu. — Nikt go nie zna — mówi do Renata.

Palił papierosa, przyglądał się zabloconym ludziom nie bez zainteresowania zawodowego. Zawsze miał nadzieję, że jakaś napotkana twarz, jej wyraz, przyda mu się w robocie. Myśląc o tym, mówi spokojnie: — To niemożliwe.

— Jak to niemożliwe? — Spokój Renata od razu ją niecierpliwi. — Przecież pytałam.

— Może przekreśliłaś nazwisko?

— Pytałam o Kacperskiego. Słyszałam wyraźnie, że takie nazwisko wymienił ten człowiek na drodze.

Renato kładzie ręce na kierownicy, gotów jest każdej chwili jechać dalej, ale Agnieszka przypomina sobie na szczęście, że to przecież dla niego ma być znaleziony ten jakiś Kacperski, dla niego trzeba otworzyć drzwi leśniczówki, żeby zobaczył ją od środka, ściany, sufit i piec, bo chyba meble są już inne i tylko ściany, sufit i piec są te same, i można sobie wyobrazić, że patrzył na nie dezertier włoskiej armii Lucio Finecci w przerwach między wpatrywaniem się w pewną młodą kobietę, która może także

— i z tego powodu — chciałaby je zobaczyć. — Zgoda — mówi Agnieszka, ruszając znów ku bramie cukrowni. — Może przekreśliłam nazwisko. Zapytam o człowieka, który mieszka w leśniczówce.

— Zapytaj :— Renato sięga po następnego papierosa, ofiarował cały dzień na tę sprawę i nic nie jest w stanie go zniecierpliwic.

Agnieszka postanawia zagadnąć jeszcze raz portiera przy bramie, żałuje, że nie wzięła od Renata jego włoskich papierosów, ale przypomina sobie, że ma w torebce carmeny, wyjmuje paczkę i wyciąga z nią rękę w kierunku okienka. Portier przyjmuje papierosa zupełnie nie zdziwiony — u diabła! myśli znowu Agnieszka, czyżby co dnia częstowały go carmenami dziewczyny takie jak ona, ale nie jest to chwila na refleksje, trzeba atakować w tym samym momencie, gdy w oczach portiera za mgiełką dymku rodzi się pytanie. — O Olszance pan słyisał?

— O Olszance? — powtarza człowiek w okienku. Jest już niemłody, ale jeszcze niestary, nie wiadomo, ile miał lat, kiedy tuż za Lichnowcem rozpoczął się las.

— O Olszance — powtarza Agnieszka. — Była tam leśniczówka. Należała do pałacu. Do pani Borowieckiej.

Portier wychylił się z okienka, żeby lepiej ją zobaczyć. Głowę ma prawie łysą.

Ile też może mieć lat? myśli znowu Agnieszka. Albo nie słyisał o pani Borowieckiej, albo zdumiewa go fakt, że ktoś o nią pyta. — Ale ja nie dlatego... — tłumaczy się przed nim nie wiadomo z czego. — W tej Olszance podczas wojny...

— Pani pewnie chodzi o ten dom Na Wyrębie — mówi nagle portier. Tak się to teraz nazywa.

— A dawniej Olszanka.

— Może.

— Tam podobno mieszka któryś z pracowników cukrowni.

— Ano mieszka — przyświadcza portier, zaciąga się carmenem, przymruża oczy

— Kacperski.

— Przecież pytałam was o Kacperskiego — wybucha Agnieszka, rzucając swego papierosa w błoto.

— O Kacperskiego? — dziwi się portier.

— Przecież najpierw skierowałam się tutaj i zapytałam o Kacperskiego.

— Może — portier uważa to za prawdopodobne. — Musiałem nie dosłyszeć. Tu się ktoś wciąż o kogoś pyta.

— Pytałam o Kacperskiego — powtarza Agnieszka coraz bardziej wściekła.

Wgniotła papierosa w błoto i czuje teraz wilgoć pod podeszwą, jakby stała boso przed portiernią i ugniatała stopami lepką maź, rozdeptaną przez ludzi, rozjeżdżoną przez wozy i ciężarówki. — Pytałam pana!

— No więc jest Kacperski w cukrowni.

— Niech go pan zawoła.

— Ale go nie ma.

— Jak to „go nie ma”?

— Mówię przecież: nie ma go. — Portier znów zaciągnąwszy się papierosem, zaczyna kaszleć, co mu zajmuje dość dużo czasu. Chwyając pośpiesznie powietrze, z załzawionymi oczyma znowu wychyla się do niej z okienka. — Zwolnił się z samego rana. Nie był dziś w robocie. Teściowa mu podobno zachorowała, przyszedł tylko, żeby się zwolnić, żona na niego już czekała i pojechali razem do Janowa.

— Dokąd?

— Do Janowa. Nie słyszała pani o Janowie Lubelskim?

— Słyszałam — warknęła Agnieszka. Odstąpiła o krok od portierni i zastanawia się, co robić. Renato, opuściwszy szybę wozu i wystawiwszy przez nią ramię, przypa-truje się jej, zainteresowany absolutnie czymś innym niż pomyślność jej misji. — Nie mógłby się pan dowiedzieć adresu — decyduje się nagle.

— Jakiego adresu? — dziwi się portier. — Przecież pani sama powiedziała, że to Na Wyrębie.

— Człowieku! — krzyczy Agnieszka, ale zaraz zniża głos i uśmiecha się pokornie. — Chodzi mi o adres w Janowie. Muszę jeszcze dziś znaleźć Kacperskiego. Przyjechałam po to z Warszawy, a ten pan — postanawia jednak użyć Renata jako argu-mentu — aż z Rzymu.

— Z Rzymu? — portier potrafi to docenić, wychyla się jeszcze dalej z okienka, że-by przyjrzeć się młodemu człowiekowi siedzącemu w czerwonym samochodzie. —

Kawał drogi!

— Kawał! I teraz mamy odjechać stąd z niczym, bo Kacperskiemu zachorowała teściowa w Janowie. Duży ten Janów?

— Duży.

— Ile może mieć tysięcy? Dziesięć? Dwadzieścia?

— Nie wiem. Ale duży.

— Muszę mieć ten adres.

— Zaraz! — przypomina sobie portier. — Kacperski ma siostrę.

— Gdzie? — pyta gorączkowo Agnieszka.

— Pracuje w kinie. Jest kasjerką.

— Ale kino teraz nieczynne. Nie wie pan, gdzie mieszka?

— Nie — potrząsa głową portier. — Nie wiem.

— Halo! — woła Renato. — Stań tak, żebym cię widział z przodu.

— Co to ma znaczyć? — odkrzykuje mu po włosku.

— Nie musisz wiedzieć. Zrób to!

— Dobrze — Agnieszka wysuwa się nieco przed portiernię, obciąga sweter, jest cała w słońcu. — W porządku?

— W porządku! — woła Renato. — O to mi chodziło. — Dwa małe, żywe i zuchwałe zwierzątka pod swetrem Agnieszki poruszyły się w swoim legowisku. —

Dziękuję.

— Ale ona ma szwagierkę — mówi portier.

Agnieszka nie pamięta już, o kim mówili.

— Kto? — pyta w rozstargnieniu. Dlaczego Renato chce, żeby tak stała? myśli. Co za chłopak!

— Ta kasjerka. Siostra Kacperskiego. Ma szwagierkę, która pracuje w mleczarni.

— Jezus Maria! — Agnieszka dotyka ręką czoła. — Gdzie ta mleczarnia?

— Za kościołem.

— Zaraz tam jedziemy — mówi Agnieszka.

— Powodzenia — portier zakwita uprzejmym uśmiechem. — Niech się pani nie martwi!

— Szkoda, że pan od początku nie był taki miły — mruczy Agnieszka. — I taki roztropny!

Portier może to słyszy, może nie — jest jej wszystko jedno. Częstoje go jeszcze jednym carmenem i wraca do wozu. Nie może sobie przypomnieć włoskiego odpowiednika polskiej szwagierki, więc postanawia z tego wyjaśnienia zrezygnować. —

Słuchaj — mówi do Renata — ten człowiek jednak tu pracuje.

— Od razu byłem pewny, że przekreśliłaś nazwisko.

— Nie przekreśliłam nazwiska — Agnieszka podnosi groźnie głos — to portier chwilami jest głuchy. Carmeny znakomicie poprawiają mu słuch. W każdym razie już wiem, że nasz Kacperski pojechał razem z żoną do Janowa, bo zachorowała mu te-

ściowa.

— No to jedziemy po niego.

— A adres?

Ba! — Renato uderza się w czoło. — Ale jest tam chyba jakieś biuro adresowo?

— Do tego trzeba by wiedzieć, jak się nazywa teściowa. Ale za kościołem w mleczarni pracuje jakaś krewna siostry Kacperskiego, która jest kasjerką w kinie, a więc pracuje wieczorem i tylko przez nią możemy do niej dotrzeć, bo także nie wierny, gdzie mieszka, rozumiesz coś z tego?

— A muszę? — pyta Renato, wciągając ją do samochodu. Zamyka drzwiczki i z kolanami przy jej kolanach mówi nagle cicho, prędko, gorąco: — Dziewczyno! Mamy jeszcze dla siebie tylko kilka godzin. Strasznie mi przykro, ale nie chce mi się szukać tego jakiegoś Kacperskiego i tych kobiet, poprzez które możemy do niego dotrzeć.

Nic mnie to nie obchodzi, nic a nic. To przecież zupełna bzdura. Czy muszę być w tym domu? Zrobiłem i tak wiele, że byłem w tym miejscu. Dwa razy. Ja wiem, że wy, Polacy, jesteście patriotycznie sentymentalni, ale to już niemodne, zupełnie niemodne.

— Gdybyście byli na naszym miejscu, bylibyście tak samo patriotycznie sentymentalni — mówi Agnieszka oschle. Odsuwa się od kolan Renata, choć znajduje w tym ucisku jakąś przyjemność, ale tym bardziej wie, że musi to zrobić, musi przemoc jego i siebie. — Dobrze — mówi dalej tym samym tonem — ciebie to nic nie obchodzi, ale to jednak ty tu przyjechałeś i sprawiłeś, że matka czeka w Olszance, że chce ci to wszystko pokazać. Ty czy nie ty?

— Tak, ja — Renato próbuje teraz ująć jej rękę, tłum przed cukrownią, nie zwracający dotąd na nich uwagi, teraz jakby dopiero ich dostrzegł, kilka grupek wyrostków zatrzymuje się opodal wozu. — Ja. Ale nie sądziłem, że to zajmie tyle czasu, że napotkamy tyle trudności. Prawdę mówiąc, cieszyłem się, że jadę z tobą.

— Naprawdę? — łagodnieje Agnieszka. Zmienia jej się twarz, rumieni się, nerwowym ruchem odgarnia włosy. — Naprawdę?

Przez cały czas o tym myślałem. Jeszcze wczoraj na cmentarzu, nie wiedząc, kim jesteś, drżałem, że odjedziesz, że cię więcej nie zobaczę.

— Naprawdę? — powtarza Agnieszka. Pozwala Włochowi trzymać swoją dłoń, nie dba o to, że gapiów wokół wozu jest coraz więcej. Ona także chce mu powiedzieć coś miłego, naprawdę mają tak mało czasu, a trwonią go na wystawanie tutaj, na rozmowę z debilowatym portierem, na całą tę zabłoconą pospolitość, która przecież bę-

dzie trwała wiecznie, i zawsze można tu wrócić i pytać o tego jakiegoś Kacperskiego, kiedy Renata tu już nie będzie... — Ja także — mówi — ja także pojechałam dziś tylko dla ciebie. Miałam mnóstwo zajęć i spotkań, wszystko odwołałam.

— Dziękuję — mówi Renato. — Dziękuję. — Podnosi szybko do ust jej rękę, chłopcy przy bramie zaczynają trącać się łokciami, ktoś coś woła.

— Jedźmy stąd — prosi Agnieszka. — Prędko.

Renato rusza ostro, spłoszeni chłopcy przyskają

sprzed maski wozu, cofają się na chodnik, podnoszą ręce do góry, krzyczą. Ale oni są już daleko i zaczynają się teraz śmiać, ogarnia ich nagła radość, choć Agnieszka nie jest wolna od skrupułów. — Co powiemy matce?

— Wymyśl coś.

— Ba, ale co?

— Że Kacperski wróci wieczorem. Ona będzie na niego czekać, a my zyskamy kilka godzin swobody.

— Strasznie mi się nie chce kłamać.

— Ja to powiem. Mnie się chce.

Znowu się śmieją.

— Mnie się chce kłamać — powtarza Renato. — Nawet bardzo!

Zatrzymuje wóz, Agnieszka sądzi, że ją teraz pocałuje, ale on tylko bierze jej głowę w obie ręce, przyciąga ją ku sobie i patrzy z bliska. Spojrzenie ma skupione, poważniał, prawie posmutniał.

— Kilka godzin — mówi cicho. — Kilka godzin!

Agnieszka chce zapytać, czy rzeczywiście musi jutro

wyjechać z Warszawy, ale powstrzymuje ją coś, nie chce niczego zmieniać, niech będzie tak, jak ma być, nie inaczej, bez poprawek, bez reżyserii... To słowo, zaledwie pomyślane, nasuwa jej znów przed oczy pochyloną, kościstą postać Marka, potrząsa gwałtownie głową i Renato sądzi, że ten sprzeciw odnosi się do niego.

— Wiem — mówi. — Kilka godzin to mało, ale czasem więcej niż rok.

Agnieszka przymyka oczy. On ma rację, myśli, zmarnowała rok dla Wiktora, cały rok, a nawet wspominać nie ma czego., po co byli ze sobą, skoro w ten sposób każde z nich mogłoby być z kimś innym — nieobowiązuje, płytko, letnio, nijako... Człowiek, czy chce tego, czy nie, żyjąc gromadzi wspomnienia. To jedyne, co ma naprawdę. Bogactwo, którego nikt mu nie odbierze. Powinien więc trochę dbać o nie, uwa-

żać, jak powstają. I z kim. Czy jest coś równie ważnego, jak partnerzy wspomnień?

Nie można ich potem z nich usunąć, pozbyć się, wykreślić. Po prostu są, ponieważ czasem niepotrzebnie i na krótko zjawili się w życiu.

— O czym myślisz? — pyta cicho Renato. Wciąż jeszcze trzyma jej głowę w obu rękach i patrzy na nią z tak bliska, że Agnieszka czuje jego oddech i słyszy dudnienie serca.

— O czymś takim.. — mruczy. — Nic ważnego.

— A jednak chcę wiedzieć.

— Wiesz, jak to jest ze wspomnieniami. Ktoś w nie wchodzi, a potem męczymy się z nim przez całe życie.

Renato dużym palcem prawej ręki przygniata leciutko jej nos.

— G ile wiem — mruczy tuż nad jej twarzą — jestem wspomniany nieźle. — Nie całuje jej i teraz, bawi się jej twarzą. Dotyka policzków i ust, dmuchnięciem odgarnia z czoła włosy, wygładza brwi i ostrożnie podgina palcem rzęsy. — Naprawdę nieźle

— powtarza.

Jest bezczelny, myśli Agnieszka, bezczelny i zarozumiały, ktoś powinien dać mu nauczkę, ale dlaczego ona? Jest tak dobrze w tej ciepłej bliskości, tak jakoś zacisznie, dawno już tak z nikim nie było.

— Tak ładnie pachniesz — mówi Renato.

— Nie używam żadnych perfum.

— Nie mówiłbym tego o perfumach. Są do kupienia. A ty pachniesz sobą. Skóra, włosy, wszystko.

Pochyla się nagle i całuje jej pierś, sweter na jej piersi, gruby i szorstki, a jednak Agnieszka czuje przezeń jego usta, ich gorący dotyk, i jakieś gwałtowne ciepło ogarnia ją całą, ale wtedy właśnie Renato zdejmuje ręce z jej głowy, odsuwa się i zapuszcza motor. — Dziewczyno! — woła. — Dziewczyno!

Aż do samej Olszanki nie mówią nic do siebie. Agnieszka zastanawia się, czy matka nie wyczyta z jej twarzy... A co właściwie miałyby wyczytać? Od dawna chyba wie, że obydwie jej córki są dorosłe i że postęp świata przejawiał się także w obyczajach... Starła się zresztą zawsze nie przysparzać rodzicom kłopotu swoim życiem intymnym. Miała nadzieję, że obydwoje to doceniali.

Nie patrzy jednak matce w oczy, gdy Renato, wyskoczywszy z wozu, łąga bez za-jąknienia: — Ten Kacperski, czy jak mu tam, wróci dopiero wieczorem. Powiedzieli nam w cukrowni, że dokądś wyjechał, ale że na pewno wróci, trzeba na niego czekać...

Zofia ma twarz nieobecną, w pierwszej chwili przygląda się im jak obcym i nie może zrozumieć, skąd się tu wzięli i czego od niej chcą.

— Posłałaś nas przecież po niego — tłumaczy Agnieszka. — To ten człowiek, co tu mieszka. Chciałaś wejść do środka...

— Tak — Zofia uśmiecha się z roztargnieniem. — Będę czekać... Oczywiście, że będę czekać..., A wy jedźcie.

— Dokąd? — Agnieszka czuje się przyłapaną, nie może spojrzeć w stronę Renata.

— Dokąd? Nie wiem dokąd... Myślałam, że chcecie gdzieś jechać.

— Właściwie — zaczyna ostrożnie Renato — nie musimy tu czekać wszyscy...

— Ale to przecież ty miałaś obejrzeć ten dom — woła Agnieszka ze złością, zapomniała o chwili w samochodzie, o tym, jak jej było dobrze, kiedy Renato trzymał ją blisko przy sobie. — Ty, a nie matka.

— Jedźcie już, jedźcie — powtarza Zofia. — Ja tu zostanę.

— Jesteś na pewno głodna. Nie zostawię cię tutaj. Nie chciałaś zjeść po drodze...

— Nie jestem głodna. Nie potrafiłabym nic przełknąć. — Jedźcie!

— I zostaniesz tu znowu sama? — Agnieszka czuje się wciąż przyłapana i winna.

Ustępuje dopiero wtedy, kiedy matka, nie patrząc na nią, mówi cicho: — Nie jestem przecież sama...

Biegnie wtedy do wozu tak szybko, że Renato musi się zwawo ruszać, żeby zdążyć za nią.

Kiedy jadą z powrotem, nie jest już w samochodzie tak, jak było przedtem. Obydwoje milczą i mają o czym przed sobą milczeć. To jest najgorsze. Agnieszka po raz pierwszy zdaje sobie sprawę, że nie powinni tu byli przyjeżdżać, zaniepokoiła ją twarz matki. Znała wszystkie jej twarze, takiej nie widziała nigdy — nie wszyscy mają dość siły, żeby po raz drugi przyglądać się swemu życiu, może ona jej nie miała... Ta smutna, niedorośła dziewczyna, która była jej matką.

Minąwszy kościół, stary bernardyński klasztor o dwóch wieżach, oblepionych czarną chmurą wron, Renato skręca.

— Dokąd jedziemy? — pyta Agnieszka, nie odwracając ku niemu głowy.

— Skarbie — mówi Renato miękko, na krótko dotyka dłonią jej kolana — przecież to miało być gdzieś tutaj. Mleczarnia za kościołem...

A jednak tak, myśli Agnieszka, znowu szczęśliwa, że jest razem z nim, że jeszcze zostanie im kilka godzin, nawet jeśli pojedą do Janowa, jednak miał rację... nie będzie chyba można źle go wspominać.

8

Zima przyszła wcześniej i pierwszy śnieg w Olszance od razu był wysoki, wyrównujący wszystkie drogi, osiadający niewiele pod płozami sań. Nikt inaczej nie wyprawiał się z domu, po Andrzeja i z pałacu, i ze wsi przysyłano sanki, nie bardzo go to cieszyło, bo zaprzęg zawsze zwracał uwagę, ale pieszo wydostać się z Olszanki było nie sposób.

Te jego krótsze i dłuższe nieobecności były prawdziwą udręką dla niej i dla Emila.

Popołudniami siadywali przeważnie we dwoje przy stole. On nad zeszytem z za-daniami, ułożonymi przez Andrzeja, zanim znalazł dla niego książki, ona nad którąś tam parą pończoch czy skarpet, które darły się zawsze prędzej, niż można było kupić nowe. Przy każdym dalekim szeleście, złudnym odgłosie, dobiegającym z głębi lasu, spotykały się ich# oczy, rozszerzone oczekiwaniem. A gdy odgłos, miast przybliżyć się i wyrazić, rozplýwał się w ciszy, Emil, zanurzając dłoń w swojej wciąż jeszcze nie ostrzyżonej płowej czuprynie, wzdychał z rozczarowaniem: — Myślałem już, że to pan doktor.

— Ja też — dodawała cicho.

Potem znów udawali, że zagłębiają się w swoją robotę, on liczył lub pisał, ona cerowała, ale pierwsze uderzenia wiatru za oknem, przejście zwierzyny nie przetartym szlakiem, trzask łamanych gałęzi, zwielokrotniony w swojej sile przez wyobraźnię, łączył ich spojrzenia w zapierającym oddech napięciu. I znowu wszystko rozpływało się w ciszy.

Emil patrzył na stary budzik, stojący na kredensie. Już późno — mówił. Zaraz godzina policyjna.

W takich chwilach, sama zmartwiała z niepokoju, musiała go pocieszać i dodawać mu otuchy. Andrzej był wszystkim dla niej. Czula to, już teraz była tego pewna. Ale jakoś jeszcze bardziej wszystkim był dla Emila. Nie można było tego zrozumieć, ale jednak tak było.

A kiedy wracał naprawdę, obydwójce rzucali się do drzwi, biegli przez sień, zderzając się w ciemności, odciągali zasuwy, wybiegali na próg. Schodził z sań, zziębnięty i oszroniały, a oni go od razu rozgrzewali, ona całując, przytulając swoją gorącą twarz do jego policzków i ust, Emil rozcierając mu nogi, przyrządzając herbatę z wódką, którą Andrzejowi często wypłacano jego honoraria. Potem, wpatrzeni w niego roz-iskrzonymi oczyma, obydwójce czekali na to, co im przywiózł i — co słyszał.

Torba Andrzeja, kryjąca nader skromny lekarski ekwipunek, gdy wyruszał z do-mu, miała zawsze jedną kieszeń pustą. Ale kiedy wracał, pełna była różnego rodzaju niespodzianek. Nie zaglądali nigdy do niej sami, czekali, aż Andrzej ją otworzy, zaszeleści papierem albo zadzwoni szkłem. Przeważnie były to artykuły niezbędne do życia: kasza, mąka, cukier. Ale czasem zdarzało się coś rozkosznie lekkomyślnego: orzechy, pierniki, paczka kawy, rodzynki.

Na koniec — rozgrzany i nakarmiony — zaczynał opowiadać, co słyszał, i wydawało się to potrzebne do życia stokroć bardziej niż zawartość torby. Ludzie słuchali już po kątach radia, z ust do ust podawali sobie jakieś wieści, zawsze krzepiące, zawsze pełne nadziei, nawet najmądrzejsi wierzyli w najgorsze głupstwa, najbardziej do-

świadczeni w ostatnie naiwności.

A więc na wiosnę miała ruszyć ofensywa. Alianci zbierali siły na kilku frontach, atak miał być przeprowadzony błyskawicznie.

— Może nawet nie stracisz roku — mówił Andrzej do Emila. Chłopak chodził w Zamościu do liceum, w czerwcu miał zdawać maturę. — Zaraz wrócisz do szkoły.

— Ale najpierw pójdę do wojska — upierał się Emil. — Muszę.

Nie starali się mu tego perswadować. Wiedzieli, że musi. Na drugi dzień gorliwiej przykładał się do nauki, żeby nadrobić czas — wiosna mogła nadejść wcześniej tego roku.

Czasem jednak pomyślne skądinąd wydarzenia osłabiały w nich nadzieję. Tak by-

ło z zającem, którego Emil znalazł w lesie w sidłach, zastawionych przez kłusownika, tak było z powrotem Diany, a także z ostatnim prezentem młodej pani Borowieckiej...

Z zającem sprawa była trochę niejasna. Emil twierdził, że napotkał w lesie ślady, które nie były śladami ani jego, ani doktora. Poszedł za nimi. Tylko skąd miał od razu worek, żeby przynieść w nim zającą? Nie zapytała go o to, cieszyła się, że Andrzeja nie ma w domu. Chłopak przyniósł także sidła, rozplątując je podniósł nagle głowę i powiedział z jawną radością: — Potrafię je znowu zastawić. Będziemy mieli zawsze mięso.

— Daj mi to — powiedziała.

— Po co?

— Daj mi to! Nie wiedziałam, że jesteś głodny.

— Głodny? — zmieszał się.

— No więc łakomy. Mamy mleko, ziemniaki, mąkę, chleb i tłuszcz, czego jeszcze potrzeba?

— Mięso przydałoby się dla urozmaicenia, a las pełen zwierzyny.

Zając ruszał się w worku, nie przestawał walczyć z nieznaną potęgą, która go osaczyła.

— Myślisz... myślisz... — zająknęła się — że mogłabym zjeść stworzenie, którego śmierć zależy tylko ode mnie?

Emil przypatrywał się jej długo. Zagryzł dolną wargę. Milczał.

— Daj mi sidła — powiedziała jeszcze raz.

Podał je wreszcie, a ona wzięła nóż i pocięła je na drobne kawałeczki.

— To przecież dziecinne — powiedział wtedy.

— Dziecinne? — krzyknęła.

— Chyba tak — spieszył się, nie chciał jej obrazić. — Mielibyśmy ze dwa obiady, a pan doktor skórkę na nogi, żeby nie marzł w drodze.

Dźwignęła worek z zającem. Był bardzo ciężki.

— Panu doktorowi zrobię skarpetki z wełny. Z tej, co ją wczoraj przywiózł. A ty wytrzymasz bez mięsa do końca wojny. Kilka miesięcy to przecież nie całe życie.

— E tam, kilka miesięcy... — bąknął Emil.

— Co tam burczysz pod nosem?

— Nic. Przepraszam.

Wyciągnęła worek z zającem na próg. Dzień był mroźny, ale słoneczny, oślepiają-

cy od śniegu. Tylko droga pociemniała trochę pod płozami sań, ale wśród drzew biel była niepokalana, puszysta, wysoka i świeża.

Rozwiązała worek, wytrząsnęła z niego zająca. Szarak, oślepiiony nagłą jasnością, przewrócił się najpierw, zarył w śnieg po grzbiet, ale od razu całym sobą, wszystkimi nieskrępowanymi członkami, poczuł wolność i prysnął w białą miękkość, wzniecając skokami srebrzysty pył.

Patrzyła, dopóki nie zniknął jej z oczu, a potem wpadła z powrotem do domu i rzuciwszy się na swoje łóżko, zaczęła płakać.

Emil krążył pod drzwiami, głośno wycierał nos. — Niech pani przestanie — za-wołał. — Proszę przestać!

Płakała jeszcze żarliwiej, sama nie wiedząc dlaczego.

— Niech pani przestanie! — powtórzył. — Albo... albo sobie pójdę...

Usiadła najpierw na łóżku, uciszona od razu, a potem z trzaskiem otworzyła drzwi.

— Coś ty powiedział?

Długo milczał, zanim wykrztusił: — Jeśli pani ma przeze mnie płakać, to pójdę sobie.

— I dokąd?

— Nie wiem dokąd, wszystko jedno... — Czoło miał zakryte zwichrzonymi włosami, patrzył w podłogę. — Wszystko jedno — powtórzył.

— Żadne z nas nie ma dokąd pójść — powiedziała cicho. — Ale nie dlatego przecież jesteśmy razem. Nie chciałabym, żebyśmy tylko dlatego byli razem... Rozumiesz?

Kiwnął głową, ale milczał.

— Powiedz, że już nigdy tego nie zrobisz.

— Czego?

— Tego, co dziś. Widziałeś, jak ten zając pognał w las?

— Widziałem.

— No! Chce tak samo żyć, jak my.

Już nie powiedział, że to dziecinne, ale nie podniósł oczu i nie wiedziała, co myśli.

— Nie zrobisz tego? — powtórzyła.

— Nie. Jeśli pani na tym zależy.

— Nie tylko dlatego, że mi zależy. Wiem, że wydaje ci się to śmieszne. Zawsze zajęte były tylko po to, żeby je strzelać i łapać w sidła. Ale teraz i ludzi się strzela i łapie, więc jakoś inaczej musimy o tym myśleć. Czy świat ma być jednym ogromnym polowaniem? Przynajmniej tam, gdzie to od nas zależy, niech zwierzyna uchodzi w las...

Dopiero teraz podniósł oczy, zobaczyła w nich jakieś światełko zrozumienia, zgody na to, co mówiła.

— I dlaczego mruknąłeś „e tam... kilka miesięcy”, kiedy mówiłam, że wojna długo nie potrwa, że wytrzymasz?

Znowu spuścił głowę. — Nie wiem. Czasem oblatuje mnie strach.

— Wszystkich oblatuje — powiedziała po długiej chwili. — Mnie też. I doktora.

Czasem leży w nocy z otwartymi oczyma. Myśli, że śpię. A ja nie śpię i wszystko wiem. Ale nie trzeba się do tego przyznawać. Musimy wierzyć, że już na wiosnę.

— Na wiosnę — powtórzył Emil i odszedł w jakiś kąt z książką, w której nie przewrócił ani jednej kartki. Potem wziął siekiere i zaczął na podwórzu rąbać drzewo, z zajadłym uporem, z pośpiechem, bez jednej chwili odpoczynku.

Lubiła nieraz patrzeć, jak to robi, więc i teraz podeszła do okna, ale odwróciła zaraz głowę, gdy jednym uderzeniem siekiery rozłupał ogromny pień. Wnętrze drzewa -

zaświeciło swoją złotą barwą, wrony wygrzewające się na oborniku za stodołą uniosły się z głośnym wrzaskiem.

Powrót Diany miał to samo znaczenie. Po śmierci leśniczego przeniesiona została wraz z Hektorem do pałacu i włączona do sfory psów starego pana Borowieckiego, znanej jej zresztą ze wspólnych polowań. Pomogło jej to chyba zaakceptować nowe miejsce i nowych opiekunów — Andrzej, ilekroć zjawiał się w pałacu, widział ją spokojną i zadowoloną z nowego losu. A jednak wróciła i znaleźli ją któregoś ranka leżą-

cą na progu.

Mróz był tego dnia silny, słyszało się, jak drzewa pękają w lesie. Emil wstał wcze-

śniej niż zwykle, bał się o krowę, czy nie zamarzła w stajni, choć okrył ją derką, a w budynku pozatykał gliną i słomą wszystkie dziury. Ponadto chciał jeszcze przed śnia-daniem roznieść siano po karmnikach dla zwierzyny, bo wydawało mu się, że słyszał

w nocy ryk głodnych jeleni. Cicho, żeby ich nie budzić, otworzył drzwi i zaraz się cofnął, potknąwszy się o coś miękkiego — na dworze było jeszcze ciemno. Nie wiedziałby, co to takiego, gdyby ten miękki kształt, o który uderzył nogą, nie zaczął war-czeć. Wilk! pomyślał z przestraszeniem i zatrzasnął drzwi.

— Co się tam dzieje? — krzyknął Andrzej z łóżka.

Emil nigdy nie wchodził do ich sypialni, oczy uciekały mu w bok, gdy po kolacji obydwój się tam udawali, a on zostawał jeszcze przy zapalanej lampie, żeby się uczyć, teraz jednak buchnął w drzwi całym ciałem i otworzył je na oścież.

— Wilk! — zawołał. — Wilk leży na progu!

— Skąd wiesz? — spytał Andrzej z niedowierzaniem. Nie chciano mu się opuszczać ciepłego łóżka. W ciemności świeciły zimnym blaskiem zamarzniete okna.

— Bo warczy! — Emil mówił wciąż podniesionym z podniecenia głosem. — Leży na progu i warczy.

— Zapal lampę!

Wycofał się z pokoju, ale nie zamknął drzwi, jakby potrzebował jakiegoś oparcia w cudzej bliskiej obecności. Uderzał dłońmi o stół, szukając zapalek, a potem usłyszeli, jak dzwonią w jego rękach szkiełko i ambra lampy.

Andrzej ubierał się pospiesznie w smudze światła pa<- dającej przez drzwi. Wciąż-

gnął buty — miał już wtedy wysokie buty z cholewami, takie, jakie nosili tu wszyscy, na wsi i na folwarku — narzucił na koszulę kurtkę.

— Co zrobisz? — spytała przestraszona. — Nie masz broni.

— To i dobrze dla wilka. Skoro przyszedł do ludzi...:

— Ale może być niebezpieczny.

— Najpierw obejrzymy go sobie.

Smuga światła znikła, usłyszała kroki Andrzeja i Emila, zmierzające do sieni, potem ciche trzeszczenie ostrożnie uchylanych drzwi i nagle radosny skowyt psa, za-głuszony śmiechem Andrzeja. — Przecież to Diana! — wołał. — Nasza Diana!

— To dlaczego na mnie warczała? — obraził się Emil, upokorzony tym, że się ośmieszył. — Dlaczego warczała?

— Boś dla niej obcy. Wróciła do swego domu i zastała tu kogoś obcego. Nie mogło jej się to podobać.

Wróciła. Zmarzniete na kość, z oszroniałym pyskiem, leżała na mrozie czekając, aż otworzą się drzwi, za którymi był jej dom.

— Diana! — przemawiał Andrzej najczulszym głosem. — Moja Diana! Dlaczego nie szczekałaś? Dlaczego nie dałaś panu znać, że jesteś?

Suka skomlała cicho, wydając z siebie głos podobny do ludzkiego płaczu, ale płaczu z radości, z obłąkanej uciechy, że oto skończyły się wszelkie smutki i udręki rozłąki.

Kiedy szybko się ubrała i wyszła do kuchni, zobaczyła Andrzeja klęczącego na podłodze i rozcierającego uszy, łapy i kudłate boki Diany. Dotknąwszy brzucha znieruchomiał. — Zdaje się, że wiem, dlaczego tu wróciła — powiedział, podnosząc na nich oczy.

— Dlaczego? — zapytała równocześnie z Emilem.

— Przyszła oszczenić się w swoim miejscu, w swoim gnieździe.

— No to będziemy mieć przychówek — ucieszył się Emil.

Ale Andrzej nie podzielał tej radości. Głaszcząc brązowy, lśniący łeb Diany, jakby pragnąc przeprosić ją za ten głupi, ludzki strach, jaki wywołała, powiedział cicho: —

Może wie, że pozostaniemy tu długo, że długo będzie miała tu swój dom... Robię się zabobonny jak stara baba — zawołał zaraz potem, zrywając się z klęczek. — Jest tam jeszcze trochę mleka od wczoraj? Trzeba psa nakarmić.

Najwięcej jednak zasmucił ich prezent młodej pani Borowieckiej. Nigdy nie przyjeżdżała do Olszanki, zawsze Andrzej był wzywany do pałacu, gdy mała źle się czuła, lub gdy — zaczął się tego wreszcie domyślać — panie pragnęły wieści ze świata, nieważne czy prawdziwych, byle dobrych.

Tego wieczoru przyjechała sama. Zmierzchało już, więc nie od razu rozpoznali ją przez okno. Zdziwił ich tylko ostry kłus konia i gwałtowne zarzucenie sanek przed gankiem.

Emil wybiegł i zaraz wrócił zmieszany. — Jakaś pani.

Ale ona już szła za nim, otrząsając śnieg z obuwia, w ogromnej baranicy i chustce na głowie, ciasno obejmującej zarumienione od mrozu policzki.

— Czy... czy coś się stało? — Andrzej wybiegł jej naprzeciw.

— Nie — uśmiechnęła się. — Helenka chwala Bogu i panu ma się dobrze, a te-

ściowa nigdy nie mówi o swoim zdrowiu. Czy może pan ściągnąć ze mnie baranicę?

Uczynili to obydwaj z Emilem, kozuch był imponujących rozmiarów, młoda pani uznała za konieczne wyjaśnić jego niezwykłą długość i obszerność: — Teść zasadał

się w nim na dziki. Do piersiówki nalewał czystego spirytusu i nie bał się wtedy żadnego mrozu. — Czy przyjechałam nie w porę?

— Ależ skąd? — zawołał Andrzej. — Niechże pani siada! — Podprowadził gościa do stołu i

posadził na najlepszym krześle. Mogła czuć się speszona, patrzyli na nią, starając się odgadnąć powód jej przybycia — że to odwiedziny, nie powstało nikomu w głowie.

— Ja tylko na chwileczkę — powiedziała, siadając na brzegu krzesła. Uwolniona z baranicy i chustki, smukła i drobna, mało przypominała znękaną kobietę sprzed trzech miesięcy. — Napiłabym się czegoś, jeśli pan ma?

— Kawy? — ucieszył się Andrzej. — Dostałem kilka dni temu paczkę, miał ktoś jeszcze w zapasie. Zosia zaraz zaparzy.

Nie zapomniawszy serdeczności, z jaką młoda pani przyjęła ich w pałacu, rzuciła się do kuchni — ale ona ją powstrzymała. — Nie, nie kawy! Dziękuję. Czy musi pan być przez cały czas lekarzem? Sądzę, że Helence naprawdę nie zaszkodzi, jeśli jej matka napije się raz czegoś mocniejszego.

— A jednak coś się stało — powiedział Andrzej, nie ruszając się z miejsca.

Młoda pani Borowiecka opuściła głowę, zagryzła dolną wargę, zacisnęła powieki.

Siedziała tak przez długą chwilę, bali się, że się rozplacze, zdołała się jednak opanować. — Przeprowadziłam panu konia — powiedziała cicho. — Mego Achillesa.

— Ależ to koń pod wierzch!

— Tak. Zeszłego roku na wyścigach w Bukareszcie wziął główną nagrodę. To samo w Pradze. W przyszłym roku czekały go derby. Byłam go tak pewna... tak pewna... — podniosła rękę do ust, umilkła na chwilę. — Dał mi go wuj męża, ze swojej stajni — wymieniła nazwisko wuja i nazwę stajni, ale były to dla nich brzmienia obce.

— A teraz wolę, żeby chodził w zaprzęgu, niż żeby miał go dosiąść jakiś kupczyk z Norymbergi!. Jutro dostajemy treuhandera — wyjaśniła, zaczerpnąwszy powietrza. —

Nie będziemy już się czuć u siebie. Sadowią się tutaj, jakby mieli zamiar zapaść ko-rzenie.

— To nic, to nic — zaczął Andrzej zupełnie cicho, jakby mu zabrakło głosu. —

Znajdzie się siła, która wyrwie ich z korzeniami.

— Boże! Ale kiedy? — zawołała. — Zdechniemy tutaj wszyscy, jak Achilles. Czy w stajni przynajmniej jest miejsce?

— Jest — odezwał się Emil. — Z drugiej strony żłobu. Będzie mu cieplej z krową.

— Achilles u jednego żłobu z krową! — młoda pani Borowiecka wzniosła oczy do nieba, ale nie było w tym nic żartobliwego. — Trzeba go było widzieć na torze! Miał

nie tylko wspaniałe nogi, cudowną sylwetkę, nieopisaną lekkość, ale przede wszystkim miał swój styl biegu. We wszystkich sprawozdaniach prasowych to podkreślano.

Jeśli trafił mu się godny go dżokej... — umilkła, przyjrzała się Emilowi, słusznie na-bierając pewności, że to on teraz będzie opiekunem jej konia. — Dobrze, że wuj tego nie może zobaczyć — westchnęła tylko. — Nie zdążył przed wrześniem wrócić ze Szwajcarii. Achilles z krową u jednego żłobu!

Andrzej uśmiechnął się leciutko.

— Jeśli jest szansa na przeżycie, należy godzić się na każde towarzystwo.

Rzuciła mu krótkie, uważne spojrzenie, ale uśmiechał się wciąż, więc skwapliwie zgodziła się, że to żart. — Oczywiście — zaczęła rzeczowym tonem. — Koń nie -

powinien stać. Proszę więc nim jeździć do swoich chorych, może także rozwozić siano do karmników — zwróciła się do Emila — przyciągnąć jakiś pień drzewa, byle nie za ciężki. Mam wrażenie, że początkowo będzie się buntował w zaprzęgu. No! —

westchnęła — nie jest wyjątkiem. O mało co nie rozwalił sanek schody. Ale mam nadzieję, że mu to przejdzie. Sanki zostawiam, uprząż także. Może by się postarać o ja-kaś gorszą, ta będzie zwracać uwagę. I trudno — mówiła znów do Emila — trzeba go trochę zaniedbać, boję się, żeby się komuś nie spodobał. No więc cóż? — zwróciła się znów do Andrzeja. — Dostanę kielicha?

— Nie — powiedział Andrzej. — Ani kropli. W jaki sposób wróci pani do domu?

— Zaraz przyjedzie stangret dużymi saniami. Kazałam włądować na nie wolant, który przyda się panu na wiosnę, kiedy zniknie śnieg. Wolę go już teraz zabrać z wo-zowni. Mógłby także wpaść w oko naszemu władcy. Widzi więc pan — przechyliła się do Andrzeja — że obmyśliłam wszystko z dużą rozważą. Achillesa... Achillesa dostałam na prezent ślubny. Byliśmy z mężem jednakowo do niego przywiązani.

Chciałabym, żeby Staszek, wróciwszy, zastał go w stajni.

— Może być pani spokojna — odezwał się Emil,

Andrzej był mu chyba za to wdzięczny. — Nic mu się złego nie stanie. Mieliśmy w domu klaczkę, którą wychowałem od źrebięcia. Też była taka zgrabna, nogi to mia-

ła... — Urwał. Pani Borowiecka sądziła, że zrozumiał swój nietakt, porównywanie Achillesa do wiejskiej klaczki, choćby była nawet sercu najmilsza, musiało mu się jednak wydać niestosowne, uśmiechnęła się więc do niego z życzliwą wyrozumiało-

ścią, uspokojona jakby prawie o los konia.

— Emil stracił tak wiele — powiedział Andrzej szorstko — że można być spokojnym o wszystko, do czego przywiąże znowu swe serce.

— Przepraszam — szepnęła pani Borowiecka. — Pan doktor mi przecież opowiadał...

Cicho zrobiło się w pokoju tak bardzo, że słycać było oddech Diany, śpiącej pod stołem.

Pani Borowiecka poruszyła się nerwowo, spojrziała na zegarek. — Gdzież ten człowiek? — zaniepokoiła się, nadśluchując przez chwilę przy oknie. Wzięła chustkę, leżącą na kozuchu, zarzuciła ją sobie na głowę, mocno ściągnęła jej końce pod brodą.

— A kielicha pan wciąż postawić nie chce.

— Postawiłbym — mruknął Andrzej, nie patrząc na nią — gdyby mnie ten „kielich" w pani ustach przed czymś nie ostrzegł. Brzmi mi to jakoś tak, jakby pani i swoją sytuację widziała podobną do sytuacji Achillesa...

— Co pan ma na myśli? — zapytała młoda kobieta powoli, już bez cienia żartu.

Ale Andrzej tak to właśnie zakończył. Wstał, sięgnął po jej kozuch.

— Alkohol, którym dysponuję, nie nadaje się dla dam. Obawiam się, że oddech pani zgorszyłby nawet służbę w pałacu. Czy sądzi pani, że wojna potrwa tak długo, że trzeba aż rezygnować z siebie?... Zdaje się, że słyszę sianie.

Młoda pani zapinała powoli guziki kozucha, nie podnosząc głowy. Dopiero kiedy dzwonki u sań stały się już wyraźnie słyszalne, ściągnęła mocniej końce chustki pod brodą i ruszyła ku drzwiom. Zatrzymała się przy nich, odwróciła głowę. — Przemyślę to, co mi pan powiedział. Bo to była lekcja, prawda? Mam nadzieję, że i panią małżonek nieraz jeszcze zadziwi — zwróciła się do niej, chciała coś jeszcze dodać, ale najwidoczniej powstrzymało ją jej zdumienie, przestach, jaki musiała wyczytać w jej oczach. — Dobranoc! — powiedziała już innym tonem. — I przepraszam za to niespodziewane najście. Proszę zająć się koniem — zwróciła się do Emila.

— Obydwaj się nim zajmiemy — powiedział Andrzej, wychodząc za nią.

Wprowadzanie Achillesa do obory trwało długo, towarzyszyło mu wysokie, jakby pełne bolesnego zdumienia, rzenie konia, perswadyjące głosy ludzi, w końcu trzask bata. Dzwonki przy sankach zadźwięczały gwałtownie i zaczęły milknąć w oddali, pani Borowiecka odjechała, najwidoczniej nie mogąc tego znieść, i zaraz potem opór Achillesa jakby złagodniał, rzenie przycichło, ustał taniec jego kopyt na stratowanej ziemi. Głosy Andrzeja i Emila oddaliły się, widocznie wprowadzili jednak konia do obory — stojąc przy oknie nasłuchiwała, czy koń się jeszcze nie odezwie, ale nie odezwał się i to było gorsze, niż gdyby rozpaczał i roznosił kopytami nie przygotowane na taki bunt wątle ściany obórki. Oparła czoło o zimną szybę i czekała na choćby jeden jeszcze odgłos protestu, pewna, że już nigdy nip zdoła się uwolnić od widoku —

ktorego wcale nie widziała — wtlaczania, wciągania, wgniatania, wpychania i wtrącania wspaniałego zwierzęcia w tę ciasność i niskość, w tę upokarzającą go inność, jaką musiało mu się wydawać to nowe, przeznaczone dla niego miejsce.

Podczas kolacji, którą jedli w pośpiechu i milczeniu, Emil odezwał się nagle: —

Zapomniała o siodle!

Andrzej odsunął swój pusty talerz. — Nie rozumiesz, że... nie zapomniała?

Emil milczał.

— Nie rozumiesz? — powtórzył Andrzej jeszcze raz.

— I tak będę na nim jeździł — uśmiechnął się chłopak.

— Ani się waż! Nie zrozumiałeś, że nie tylko kupczyk z Norymbergi nie powinien dosiąść Achillesa?

Kiedy leżeli już w ciemności, a Emil w drugim pokoju dukał łacińskie słówka, popadając w nagłe i długie okresy zamyśleń, powiedziała z wyrzutem: — Nie powinieneś tak się zachować wobec pani Borowieckiej.

— Wiem.

— Gdyby nie ona...

— Wiem! — podniósł głos, ale ze względu na Emila od razu go ściszył. — Jest mi teraz głupio. Ale nie mogłem się opanować.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — Milczał przez długi czas, nie widziała w ciemności jego twarzy, zwykle lubiła te ich rozmowy po zgaszeniu światła, głos i dotyk zastępował widzenie, niepotrzebny był jej komentarz, jakiego udzielić mogły oczy. Teraz jednak bała się, że same słowa nie wyjaśnią jej wszystkiego. — Dlaczego...? — powtórzył Andrzej. —

Jakoś wyobraziłem sobie, że z takim samym wzniesieniem oczu do nieba, bolejącym nad Achillesem przy jednym źłobie z krową, opowiadać będzie kiedyś w swoim gro-nie o tym kielichu, który miała zamiar wychylić z nami. Nie zażądałaby go nigdy w ten sposób, wchodząc do któregoś z okolicznych dworów.

— A może po prostu zachowała się bezpośrednio?

— A ja jak gbur i cham?

Oparła policzek o jego pierś i to, co powiedziała, zabrzmiało miękko i współczująco. — Jak ktoś przewrażliwiony i zachwiany w poczuciu własnej wartości.

— Może masz rację — powiedział po długiej chwili.

— Sądzę, że nie tylko ja tak to oceniłam. Jestem pewna, że ci przebaczy.

— Aha! — Andrzej uniósł się na łokciu, poszukał papierosów na stoliku nocnym.

W krótkim błysku zapałki zobaczyła jego twarz, wargi obejmujące ustnik, nos, rzęsy nad wpatrzonymi w płomień oczyma. Odniosła wrażenie, że się uśmiecha, a może chciała, żeby się uśmiechał. — To znaczy, że mam przeprosić?

Leżała przy jego boku, podsunęła mu ramię pod plecy, drugie wyciągnęła wzdłuż piersi i zaplotła palce obu rąk w mocnym uścisku. — To nie dlatego, że mamy tutaj ten ką. Pewnie myślisz, że dlatego... że boję się go utracić, że nieźle tu nam i jako ta-ko bezpiecznie... Ale nie myślałam o tym. Chciałabym, żebyś przeprosił panią Borowiecką, bo może naprawdę chciała być jakoś bliżej ludzi, tylko wypadło to niezręcznie, a myśmy jej w tym nie pomogli. A teraz leży tam w tym wielkim pustym domu, w pustym łóżku, w którym przecież trzymała go w ramionach, tak jak ja ciebie...

— Cicho, cicho... — szepnął Andrzej.

— Tak jak ja ciebie. Nie utraciła przecież tylko Achillesa...

— Cicho... — powtórzył Andrzej łagodnie.

— Wmówiłeś w nią, że przeszedł granicę, że przygotowuje się do walki. Może udaje tylko, że w to uwierzyła...? Może nocami myśli, że nie żyje? Że nigdy go nie zobaczy?

Andrzej poruszył się, zgasił papierosa w popielniczce. — Jest jeszcze trzecia ewentualność. I może o niej właśnie myśli.

— Jaka?

— Wuj w Szwajcarii.

— Powiedziałeś to takim tonem, jakbyś bardzo miał mu to za złe.

— Bo chyba miałbym.

Wysunęła dłoń spod jego pleców, obróciła się na wznak, patrząc w sufit bielejący jasną plamą. Z drugiego pokoju dochodził jednostajny szmer szeptu Emila, schylone-go nad łacińskimi słówkami, i cichutkie poszczekiwanie Diany, której śniły się leśne gonitwy.

— A my — powiedziała cicho — czy my nie staramy się przetrwać? Co możemy zrobić innego?

Milczał, a ją zdjął strach, że choć powiedziała tak mało, powiedziała za wiele...

Później, kiedy nic już nie można było zmienić, nieraz myślała, że zaczęło się to tej nocy, z tych jej słów, podsłuchanych wtedy przez los.

— O Boże! — szepnęła. — Tak! Chcemy przetrwać. Wszyscy chcemy przetrwać... Ptak, jelen, człowiek.

Andrzej wziął jej dłoń i położył ją sobie na oczach. — Tak — powiedział. — Tylko że dla ptaka i jelenia życie to wszystko. Wszystko — powtórzył.

Nazajutrz udał się do pałacu i młoda pani Borowiecka zadziwiła go. Nie żywiła żadnej urazy, powitała jak zwykle. Wrócił prawie zakłopotany, tym bardziej że w sa-niach, pod derką, leżało siodło Achillesa, a Emil, który miał jednak dopiero siedemna-

ście lat, nie wiedział, że powinien był raczej ukrywać swoją radość. — Wiedziałem!

— pokrzykiwał. — Wiedziałem, że tylko zapomniała. Że będziemy jednak jeździć na Achillesie !

— Jak widzę, masz zamiar dłużej tu zabawić — powiedział Andrzej cierpko.

Chłopak speszony umilkł, a Andrzejowi zdobiło się żal, że pozbawił go chwili zapomnienia.

— Oczywiście — złagodniał od razu — będziesz na nim jeździł, jak długo się da.

Mieli więc już całe gospodarstwo. Konia, krowę, psa, a nawet zanosilo się na całą sfore, od kiedy Diana obdarzyła ich potomstwem. Mieli wygodny dom, buzujące drzewem piece, a na podwórzu stertę pni, ściągniętych z lasu, powalonych przez wiatr, a teraz czekających na siekierę w silnych rękach Emila. W spiżarni stały worki z kaszą i mąką, wisiały wianki grzybów, czosnku i cebuli, stały słoiki z powidłami i miodem, a czasem — nie co dnia, ale też i nierzadko — trafiał tam jakiś polec słoniny.

Posiadanie zawsze zmienia się w zuchwałość — tak też było i z nią. Zamarzyło jej się coś jeszcze ponadto, co miała. Dom był dość obszerny, a jedzenia nie brakło. Nie brakowało też pacjentów, wieść o lekarzu w Olszance — czy chcieli tego, czy nie —

roznosiła się po okolicy. Pomyślała więc, że ojciec mógłby któregoś dnia po prostu zniknąć ze szpitala i z miasta, w którym w końcu nic go już nie trzymało. Coraz ostrzejszy niepokój dręczył ją o niego, gdyż z listów, które przychodziły na nazwisko Emila, wynikało, że student medycyny z Eisenach jest w dalszym ciągu komendantem szpitala i... codziennym gościem w ich domu. Grał z ojcem w szachy, co dnia przychodził na partyjkę, przekomarzał się z Leosią, chwalił jej konfitury, obiecywał, że postara się jej o męża. Odpisała — na adres zaufanej pielęgniarki — żeby ojciec zlikwidował się stamtąd jak najprędzej. Zlikwidował! Nieodwoalnie i bez śladu, bo nie czeka go tam nic dobrego. Ani ze strony przybyszów, ani ze strony mieszkańców miasta, skoro po tym, co się stało, widywali codziennie łazik porucznika godzinami czekający przed domem dyrektora szpitala.

Ojciec odpisał krótko i tak, że nie można było wiele zrozumieć z jego listu. Że chodzi nie tylko o jego życie. Że nie ma mowy, żeby mógł ruszyć się z domu. Że musi zostać. Musi i po prostu nie ma innego wyjścia.

Płakała całą noc, a rano postanowiła tam pojechać.

Andrzej wpadł w popłoch. Początkowo próbował perswadować. Ale wyraz jej oczu wciskał mu z powrotem w usta każde słowo. Wobec tego powiedział, że jedzie także. Zostawia Emila na gospodarstwie i jedzie razem z nią. Teraz ona jęła się perswazji, w końcu łez. — Złapią cię tam, natychmiast cię tam złapią. Wiedzą, że odjechałeś z miasta w mundurze, a jeśli jest już tam jakiś volksdeutsch albo szpicel...

— Sama nie pojedziesz.

— Nic mi się nie stanie. Od kiedy znowu chodzą pociągi, nie jest to w końcu tak daleko. Przesiądę się w Lublinie...

— Sama nie pojedziesz!

— A z tobą także nie, moje złotko! Z tobą także nie. Jeśli mam się już bać, to przynajmniej tylko o siebie. Gdybym się jeszcze miała bać o ciebie, to już za dużo jak na moje siły. — Stali w kuchni, spleceni rozpaczliwym uściskiem. Emil, rzuciwszy w kąt polano, które miał podłożyć pod blachę, wypadł do sieni i słyszeli, jak się tam tłucze od ściany do ściany, posmarkując i bucząc jak dziesięcioletni chłopak. — Przecież ja muszę tam pojechać. Muszę go stamtąd zabrać. Kiedy ciebie nie było, miałam tylko jego... Od kiedy mama umarła, tylko jego...

Wiedział to, rozumiał — ale cóż to rozumienie miało wspólnego ze strachem, który żarł mu serce? — Oszaleję, zanim wrócisz.

— Wrócę prędko. Prześpisz jedną noc, jedną noc beze mnie.

Więc to już było pewne — powiedziała już nawet, kiedy wróci; chyba obydwójce dziwili się wtedy, milcząc, skąd się wzięła w niej ta stanowczość, ta twardość, obecna w każdym miękkim słowie, dźwięcząca w nim jak metal, którego nic nie było w stanie skruszyć ani przebić. Wyglądała wciąż jak dziewczynka, teraz może jeszcze bardziej niż przedtem. Włosy, dawniej krótko przycięte, odrosły jej do ramion, spadały na plecy. U Agnieszki tańczyły luźno wokół głowy, swobodne i niczym nie spięte, znakomicie tylko zawsze umyte i wyszczotkowane. Ona przedzielała je równo wzdłuż głowy i związywała ciasno w dwa grube wiechcie nad uszami, odstające pod granatowym, szkolnym beretem, zabranym z domu wraz z rzeczami. Odsłonięty karczek, wysoki i szczupły, wydawał się białą lodygą, zakończoną przedziwnym, czarnym i lśniącym kwiatem. Tak mówił Andrzej, lubił całować ją w miejsce na karku, gdzie przedział

wśród włosów kończył się krótkimi, puszystymi piórkami, nie dającymi się jeszcze spętać tasiemce. Mówił wtedy zawsze, że musi przytyć, że powinna więcej jeść, że wiatr ją zdmuchnie kiedyś z polany.

Ale nie zdmuchnął jej, ani z polany, ani z żadnego z peronów, na którym wypadło jej czekać podczas podróży, wyjechała o świcie, a po południu stanęła przed furtką, skrzypiącą jak dawniej i wywołującą tym dźwiękiem twarz Leosi w kuchennym oknie, pod uniesioną firanką.

Ogród stał już w pełnej zieleni, zaczynało się znowu lato.

Firanka opadła natychmiast, jakby wypuszczona z omdlałej dłoni, drzwi — gdy już przed nimi stanęła — nie otwierały się długo, nie było poza nimi słyhać śpiesznych kroków Leosi. Więc uderzyła w nie pięścią, boleśnie rozczarowana przyjęciem.

Uderzyła w nie po raz drugi i trzeci, zaczęła walić bez przerwy, nie nad słuchując już, czy kroki dudnią w przedpokoju — i wtedy drzwi otworzyły się nagle, ale Leosia, któ-

ra się w nich ukazała, nie była już tą dawną Leosią, jaką zostawiła przed kilkoma miesiącami w tym domu. Zmniejszyła się jakoś, skurczyła, wstąpiła w siebie, odmienione miała oczy i twarz, a nad czołem wyrastające prosto, jakby ktoś namalował je farbą, pasmo siwych włosów.

Uderzyła od razu w lament, ale ściszony jakiś i spłoszony, jakby w pobliżu był

ktoś podsłuchujący, a płacz był zakazany w tym domu i w tym mieście. — I coś ty zrobiła najlepszego? Po coś przyjechała? Po coś tu przyjechała? Nie możesz tu zostać.

Ani jednego dnia! Ani jednej chwili!

Weszła, popychając przed sobą Leosię, aż do kuchni, która — przynajmniej ona

— nie zmieniła swego wyglądu i witała ją tym samym kolorem ścian, rozmieszczeniem sprzętów, widokiem znajomych garnków na płycie.

— Co się stało? — zawołała. — Co się Leosi stało?

Bo to przecież Leosi musiało się coś stać, skoro odzywała się tak bez sensu, skoro się tak zmieniła i podupadła. Objęła ją, zdumiona najpierw tym, że głowa Leosi spoczywa jej na ramieniu (a więc albo jedna z nich zmalęła, albo druga wyrosła), i pozwalając jej płakać, pytała dobrotliwie: — Więc co się stało? Co się Leosi stało?

Leosia odsunęła ją energicznie, wyjęła z kieszeni fartucha chustkę, długo wycierała nos, — Nie mnie — powiedziała wreszcie.

To coś przyczajone od początku, a odsuwane wciąż w nieprawdopodobieństwa, w niemożliwość samą, ugryzło jednak serce. — Ojciec?

Leosia zacisnęła powieki i skinęła głową.

— Co się stało z ojcem? — krzyknęła.

Leosią owładnęła nagle powolność jakaś, rozwlekłość i otępienie. — Jeszcze nic — jęknęła — jeszcze nic. Ale może się stać. Z ojcem!. Ze mną. Z tobą, jeśli tu będziesz.

— Leosiu! — potrząsnęła ją za ramiona, chciała przywrócić do przytomności. —

Niech Leosia powie wyraźnie.

Kobieta podniosła głowę do góry, oczy jej uderzyły w sufit. — Ona tam jest!

— Kto? — zapytała z coraz większym zdumieniem.

I wtedy Leosia przeżegnała się krzyżem świętym i powiedziała całkiem cicho: —

Ona. Sara Gliksman.

— Kto, Leosiu? — przechyliła głowę, żeby lepiej słyszeć.

— Sara Gliksman. Przecież mówię. Przyszła tutaj wieczorem, kiedy już spałam Pan ją wpuścił. Nie zdziwił się nawet, ani o nic nie pytał. Przyszła. I pozwolił jej zostać. W tej komórce na strychu z oknem w dachu. Drzwi zasłonił szafą. A rano kazał

mi zrobić śniadanie i sam jej tam zaniósł. Potem obiad. I kolację.

— Nie widziałaś jej? — zapytała ostrożnie, ze ściśniętym sercem.

— Nie.

— I codziennie ojciec nosi jej tam jedzenie?

— Codziennie. Od dwóch miesięcy. Od kiedy przyszła.

Usiadła ciężko na zydlu pod oknem, zapatrzyła się w twarz Leosi. Kto oszalał w tym domu? Ojciec, czy Leosia?

— Przecież ona nie żyje — powiedziała z perswadującą łagodnością, z dobrotliwym naciskiem.

Leosia potrząsnęła głową. — Żyje.

— W jaki sposób udało się jej uratować?

— Tego nie wiem.

— A ojciec nie mówił?

— Nie! Bo ona milczy. Jakby jej głos odjęło. Nie powiedziała ani słowa. Nawet wtedy, kiedy stanęła tu na progu.

Poprzez otwarte na korytarz drzwi wskazała wejście i ten próg gestem tak bojaźliwym, jakby zjawą Sary Gliksman, milcząca i nieprawdopodobna, stała tam jeszcze, zagrażając swoim istnieniem tym, do których przyszła.

— Ale... Leosia jej nie widziała?

— Nie. Pan zabronił wchodzić na strych. W razie czego... tak powiedział, w razie czego tylko on za to odpowie.

— Gdzie jest ojciec? — zapytała cicho.

— W szpitalu. Jeszcze nie wrócił. Dzwonił, że ma mieć operację.

— Przyjechałam po niego — powiedziała wreszcie.

— A ja? — krzyknęła Leosia. — Ja? Ja mam z nią zostać?

Znowu potrząsnęła ją za ramiona. — Ależ jej nie ma. Nie ma!

Leosia rozumiała wreszcie, co ma na myśli. Zamilkła, spoglądając na nią z ukosa, oczy jej się zaokrągliły. — Do szpitala chodzi jakby nigdy nic — szepnęła. — Opera-cje robi...

— A może to Leosi się zdaje...? — zaczęła ostrożnie. — Nie panu doktorowi, tylko Leosi... że pan doktor mówił o niej, że nosi jej jedzenie na strych... Czasem przyśni się coś takiego...

— Zośka! — krzyknęła Leosia i był to jej dawny głos, wreszcie jej dawny głos, przywracający miniony czas w tym domu. — Ty myślisz, że ja...

— Przepraszam — powiedziała pokornie. Tak, raczej sama popadła w szaleństwo myśląc, że Leosi, widzącej zawsze świat tylko takim, jakim był naprawdę, mogło się coś przywidzieć. A więc ojciec... Ojciec spętany swoją niezawinioną winą, zaszczyty własnym i cudzym oskarżeniem. Do niego mogła przyjść Sara Gliksman i stanąć w milczeniu na progu.

— Gdzie ona jest? — zapytała, zbliżając się ku schodom.

— Sara?

— Sara. Przecież Leosia twierdzi, że jest gdzieś w domu.

— Na strychu, Powiedziałam, że na strychu... — w głosie Leosi zadźwięczała jej dawna, łatwa chęć do obrazy, ale nie miała na nią czasu. — Dokąd idziesz? — zawo-

łała.

— Właśnie tam. Chcę ci pokazać i ojcu udowodnić, kiedy się zjawi, że tam nikogo nie ma.

— Nie rób tego! — Leosia, jakby ubyło jej lat, popędziła za nią po schodach. —

Będzie się bardzo gniewał, że ci powiedziałam.

— Wolę, żeby się gniewał, niż żeby miał tu zmarnieć przy tym wariactwie,

— Zośka! — jęknęła Leosia, uderzając nagle w inny ton. — Może mu to do czegoś potrzebne? Może to ważne dla niego...?

To było coś nowego u Leosi, takie myślenie. Zdumiało ją, ale nie zatrzymało na schodach, minęła pierwsze piętro, wstąpiła na węższe, strome schodki, prowadzące na strych. — Zaraz Leosia zobaczy... — mruzczała. Zaraz Leosia się przekona...

Leosia dopadła ją jednak, uczepliła się jej ramienia. — Nie idź tam! — zaczęła znowu płakać. — Nie wchodź tam! Lepiej, żebyś jej nie widziała!

Zatrzymała się, żeby odetchnąć i przytrzymawszy Leosię przy ścianie, jeszcze raz z bliska zajrzeć jej w oczy. — Więc czyje to wariactwo, Leosi czy ojca? A może wspólne, żeby mieć wymówkę przede mną, że musicie tu siedzieć, że nie możecie się stąd ruszyć? Andrzej..; — głos jej się załamał. — Andrzej błagał mnie, żebym nie jechała...

— I miał rację pan doktor — Leosia stała teraz wyżej nad nią o jeden stopień i zagradzała jej sobą drogę. — Miał rację. Nie idź tam! Nie musisz jej widzieć! Lepiej, żebyś jej nie widziała. I jeśli jest, i jeśli... jej nie ma...

— Co za bzdury! — zawołała, odsuwając szorstkim ruchem ramienia Leosię ze swojej drogi, otworzyła strych, weszła w jego woń rumiankowo-naftalinową, rozejrzała się w półmroku. Na tylnej ścianie, tej, w której tkwiły małe drzwi, prowadzące do komórki, stała stara szafa. Przechowywało się w niej rzeczy nie noszone, ale jeszcze obronione nadzieją, że kiedyś się przydadzą, niemodne buty i kapelusze.

— To tam? — spytała Leosię.

— Zośka! Nie rób tego, Zośka! — jęczała Leosia.

— Słyszałaś, żeby ojciec za każdym razem tę szafę odsuwał?

— Nic nie wiem, nie wiem. Chodź stąd.

— Pytam się, czy słyszałaś?

— Nie słyszałam.

— Rumor przecież by był na cały dom. — Wsparła się barkiem o bok szafy, próbowała ją ruszyć. Więc jak jej podaje jedzenie? Przez ścianę?

— Zośka... — zaczęła znów Leosia, ale umilkła zaraz, bo w głębi, tam właśnie za tą masywną bryłą szafy, poruszyło się coś nagle szeleszcząco i miękko.

Zwróciła w tę stronę głowę, wstrzymała oddech.

— Zośka — zaczęła Leosia wysokim jakimś głosem — ostatni raz ci mówię...

Uciszyła ją niecierpliwym ruchem ręki, zbliżyła się do szafy, otworzyła skrzypiące drzwi. Powiało silniej naftaliną i starymi perfumami, nie wy wietrzały mi jeszcze z ubrań i płaszczy, zanurzyła w nie ramię, rozgarnęła w obydwie strony — szafa nie miała tylnej ściany, przylegała od razu do drzwi, uchylonych, podświetlonych na całej wysokości mleczną smugą.

— Mówię ci ostatni raz.. — chlipała Leosia za jej plecami. — Po co ci ją widzieć? Nie musisz jej

widzieć. Ona tam jest, nawet jeśli jej nie ma... Musi tam być, skoro przyszła i stanęła na progu...

— Cicho! — krzyknęła wreszcie. — Niechże Leosia będzie cicho! Dostyc już tych bzdur. Przyszła i stanęła na progu! Chciałabym w końcu wiedzieć, kto w tym domu zwariował. — Pchnęła drzwi, szpara poszerzyła się i powoli zaczęła rozwierać się na całą szerokość.

W smudze nikłego światła, bijącego z małego okienka w dachu, zagłębiona w stary fotel dziadka, w jego podarty aksamit i trzeszczące sprężyny, siedziała — Sara Gliksman. Nie poruszyła się, nie wydała żadnego okrzyku, jej szeroko otwarte, wyblakłe oczy nie zmieniły swego wyrazu, jakby nie pojawił się przed nimi żaden nowy obraz. Siadywała tak w swoim sklepie za ladą, gdy nie było klientów, a gdy wreszcie któryś się zjawiał, patrzyła na niego przez chwilę nie widzący mi, obróconymi jakby na inny świat oczyma. Potem poprawiała perukę i wracała do życia, wracała skądś do życia, takie odnosiło się wrażenie, patrząc na nią. Teraz nie poprawiła nawet peruki, która w świetle bijącym z góry wyglądała jak stare gniazdo, z którego odleciał ptak.

— Zośka! — jęczała z tyłu Leosia. — Odezwij się, Zośka!

Cofnęła się, zsunęła na powrót rzeczy wiszące w szafie, zatrzasnęła drzwi. Oparta o nie plecami, spojrzała w nieruchome z napięcia oczy Leosi. — Ona tam jest! — powiedziała cicho. Zeszła prawie na palcach na dół, sięgnęła po swoją torbę, pozostawioną w kuchni. — Ojcu nie mów, że tu byłam.

— Nie zobaczysz się z nim? — Leosi, wypychającej ją przedtem z domu, wydało się to teraz przerażające.

— Nie. Byłby to nowy ból, nowa rozterka. Niech nie wie, że tu byłam. Przecież naprawdę nie może stąd wyjechać.

— Nie może!... chlipnęła Leosia. — Zginiemy tutaj wszyscy. Wszyscy!

Objęła Leosię, przyciągnęła ją do siebie.

— Nie myśl tak. Może złamią kark we Francji i wszystko wreszcie się skończy.

— Złamią kark we Francji... — powtórzyła Leosia z gorzką ironią. — A ten, co tu przesiaduje wieczorami, wino już całe wypił. Co dnia wznosi toast za zwycięstwo we Francji.

— Wciąż tu przychodzi?

— Dnia nie opuści. A samochód przed domem stoi. I ludzie to widzą...

— Ojciec nie może go stąd jakoś wykurzyć?

— Od kiedy ona tam jest — Leosia wzniosła oczy ku górze — stał się dla niego taki uprzejmy, jakby brata witał. Mówi, że to zabezpiecza jej życie. Że ten samochód przed domem to jak warta.

— Chyba ma rację. Nikt tu nie wejdzie, dopóki on tu jest.

— Ale jak z tym żyć? — zawołała Leosia. — Jak z tym żyć?

Trzymała wciąż Leosię przy sobie, nie mogąc się od niej oderwać, jakby była w tej chwili całym tym domem, wszystkim, z czym znowu musiała się rozstać, a nie przeczuwała, że będzie to takie trudne. Poszukiwała panicznie słów naiwnie kłamliwego pocieszenia, ale Leosia ją ubiegła: — Pięć lat — wykrztusiła wśród płaczu. — Pan doktor mówi, że co najmniej pięć lat.

— Ale że co? — zapytała zdumiona.

— Wojna! Że nie skończy się wcześniej. Tak pan doktor wczoraj powiedział.

— Dlaczego tak przypuszcza? Skąd mu takie myśli przychodzą do głowy?

— Nie wiem. Pan doktor teraz w ogóle mało mówi. Tylko od czasu do czasu takie coś... Pięć lat...

Odsunęła Leosię od siebie, jeszcze raz rozglądnęła się po kuchni, po ścianach, po sprzętach, po garnkach na płycie. — Do widzenia! I niech Leosia dba o niego.

Leosia dopiero teraz uderzyła w wielki płacz, zapominając o przymilknięciu, do którego już nawykła. Lamentując wyszła za nią na próg, aż ją musiała na powrót wcisnąć do sieni.

— Nie chce chyba Leosia, żeby cała ulica się zbiegła. Wolałabym, żeby mnie nikt nie widział. Ojciec mógłby się dowiedzieć...

Zamknęła drzwi przed skrzywioną płaczem twarzą Leosi, odwróciła się i po raz drugi objęła spojrzeniem ogród. Wyobrazila go sobie wiosną, kiedy zawsze był białym obłokiem, otaczającym dom, ale nie mógł się unieść jak biała chmura i zabrać go ze sobą.

Przyczajona za węglem szpitalnego ogrodu, doczekała się chwili przedwieczornej, kiedy ojciec ukazał się w drzwiach, zszedł po schodach, przemierzył wyło-

żony kamiennymi płytami chodnik, minął bramę... — miała uczucie, że zrobiło się w niej jakoś cicho i zupełnie pusto, nie zauważyła nawet, czy ojciec się zmienił, nie odczekała, żeby się oddalił, żeby zniknął jej z oczu... Mogła była jeszcze na niego patrzeć, ale odwróciła się i wciąż z tą samą ciszą i pustką w sobie odeszła w stronę dworca.

Znów były jakieś perony, przesiadki, czekanie W tłumie ludzi coraz dziwniej ubranych, coraz dziwniej milczących, i gdy dotarła do Kraśnika, było już następne ra-no i dzień tak samo piękny pod bezchmurnym niebem. Wyszła na drogę w nadziei, że spotka jaką furmankę, którą dostanie się do Lichnowca. Nie czuła nawet zmęczenia, zupełnie otępiała, drętwa jak drewno, jak sucha, obumarła gałąź.

Ludzi o tej porze dnia było na drodze niewiele, obsadzona niskimi czereśniami, prześwietlona słońcem, biegła prosto między równą płaszczyzną pól, jak promień rzucony w ich płaską zieloność. Daleko, tam gdzie dwa jej brzegi zbiegały się w jeden punkt, ukazało się coś ruchliwego, coś zbliżającego się z każdą chwilą, ale szybkość, z jaką rosło, od razu zaprzeczyła nadziei — nie mogła to być furmanka.

Przystanąła i czekała. Obłok kurzu toczył się środkiem drogi, jak szara kula, popę-

dzana przez wiatr. Ale słyszało się już warkot; dźwięk motoru był zawsze ostrzeżeniem, więc przysunęła się do niegrubego pnia czereśni w śmiesznej nadziei, że może ją osłonić. Tuman pyłu nad drogą rósł, przybliżał się, wyraźniał warkot — środkiem drogi jechał motocykl, potężna maszyna wojskowa, a na nim młody żołnierz, czy żandarm, nie zdołała tego rozpoznać. Miał długi płaszcz polowy, rozwiany na dole wiatrem, jak dziwne, zielone skrzydła, przydane nogom, tylko jedną ręką trzymając kierownicę, drugą wyrzucił w górę i dostrzegłszy ją za pnem drzewa, zawołał: — Paris ist genommen! Paris ist heute genommen!

Zobaczyła w mgnieniu mijania z bliska jego twarz, twarz obłąkaną radością i triumfem.

Minał ją, obłok kurzu przesunął się wraz z nim, zasłonił go szarą, ruchliwą ścianą i tylko usłyszała, jak jeszcze raz, mijając następnych ludzi, wołał na całą drogę, na całą szerokość ciągnących się aż po lasy na horyzoncie pól: — Paris ist genommen! Paris ist heute genommen!

Odwróciła się, oparła czoło o pień czereśni. Wstrzymywany od długich godzin płacz rzucił się jej do gardła. Pięć lat..., przypomniały jej się słowa Leosi. Pięć lat...

długi, upiorny czas, a jednak już wtedy zdołała pojąć, że oznaczał coś, co musi minąć.

I że jednak była to pociecha.

9

Czekają w samochodzie przed zakładem pogrzebowym, w którym odnaleziony wreszcie Kacperski, podtrzymując zapłakaną żonę, wybiera trumnę dla teściowej. Wi-dać go przez szybę oszklonych drzwi, jak przygląda się wiekom podłużnych pudełek, wspartych o ścianę lokalu, pudełek różnej wielkości, różnego koloru i gatunku, a także zapewne i w różnej cenie.

— Słuchaj — mówi Renato do Agnieszki — jak długo to może potrwać?

— Nie wiem. Nie znam się na tym. Nigdy nie byłam w podobnej sytuacji. —

Agnieszka nie jest przesądna, ale jednak ogarnia ją niemiłe uczucie po tych słowach.

Nigdy jakoś nie myślała, że ktoś z jej bliskich... odwraca głowę od trumien, od ich so-lidnego wyglądu, srebrnych okuć, białych koronek, na których — w zależności od stanu finansowego kupujących — ma spocząć głowa szanownego zmarłego. — Czy musimy tu stać? Nawet jeśli odjedziemy kawałek, będziemy widzieli, jak będzie wychodził.

Renato posłusznie rusza sprzed przybytku ostatniej posługi i zatrzymuje wóz o kilkadziesiąt metrów dalej. Widzą teraz ludzi nastawionych na innego rodzaju zakupy, u rzeźnika i w sklepie spożywczym ruch duży, kobiety ukazują się w drzwiach obju-czone ciężkimi siatkami, w ich oczach maluje się myśl o obiedzie, a nie o wieczności.

— A ja to lubię — mówi Renato, wyciągnąwszy ramię wzdłuż oparcia za plecami Agnieszki; jest to

nie tylko wygodna poza, ale także i objęcie, sposobność do zbliżeń i pochyleń, nadzieja na zamknięcie ramienia w uścisku. — Ja to lubię... Od razu widzę w tym obrazek, który chciałbym uchwycić kamerą. W takich chwilach ludzie stają się aktorami obyczaju, mogą ofiarować rolowi jednak tylko swoją indywidualność, ale nie mogą ich zmienić. Cierpienie i rozstanie — to każdy człowiek musi w swoim życiu zagrać.

— Nie chcę, żebyś tak mówił.

— Kiedy to prawda. A potem przychodzi ostateczna zmiana w obsadzie... Już się nie żegna, lecz jest się żegnanym.

— Nie chcę, żebyś tak mówił! Nie opowiedziałeś mi jeszcze do końca swego filmu.

— Och, nie chciałbym tego robić tutaj. Muszę mieć odpowiedni nastrój.

— Prawdziwi artyści obywają się bez nastrojów.

— Widocznie nie jestem z tych prawdziwych.

— Czego ci jeszcze potrzeba? Masz swoje miasteczko w cieniu kolegiaty, w mniejszym lub większym, tutaj te cienie trochę się teraz skróciły, ale to chyba nie najważniejsze, od razu wyrastają inne i ludzie czują się w nich tak samo...

— O czym ty mówisz?

— Usiłuję wprowadzić cię w nastrój, ale równocześnie, i to już jest silniejsze ode mnie, dokomponowuje mi się do twojego włoskiego filmu jakaś polska dygresja. Mó-

wieś przecież, że potrzebne ci będą polskie plenery.

— Tak, ale to potem. Na razie mój bohater jest wciąż jeszcze we włoskim miasteczku, do którego odwiózł, któremu zwrócił, swoją dziewczynę, bo ona jest już trochę jego, choć on się na to nie godzi.

— Skomplikowane. Ale, widzisz, miasteczko jak miasteczko. Ludzie, mówiący innym językiem, może także nieco inaczej ubrani, w gruncie rzeczy są tacy sami. Kupują, gotują, jedzą. Przygotowują się tu do pogrzebu, a tam do wesela. Zwyczajne życie.

Biologia, ozdobiona od czasu do czasu miłością, ożywiona nienawiścią...

— Nie krzywdzisz ich przypadkiem?

— Och, ludzie wyrządzają sobie nawzajem tyle krzywd, że z lekkim sercem do-rzucam do nich i tę moją, chyba nie największą. Powiedziałeś więc, że zwrócił ją temu miasteczku.

— Tak. Czy mógł zrobić coś innego?

— Ale rozejrzyj się po tej ulicy, po takiej samej, jak w . tamtym mieście. Inne na-pisy na szyldach, i

może trochę inny pieką chleb... I tylko już to byłoby dla niej? Zakupy, gotowanie, rodzenie, śmierć... A ona była na koncercie w Rzymie, mieszkała w najelegantszym hotelu, przyglądali jej się wszyscy, kiedy jadła z nim śniadanie, bo jej zdjęcie obok jego znalazło się w całej porannej prasie...

— Już mi raz powiedziałaś, że to nieludzkie,

— Ależ tak! On nie może tego zrobić. Nie powinien!

— A jednak robi. Ten chłopak, który na nią czekał, kocha ją i to się liczy. A poza tym... on już raz zrobił coś takiego, zostawił jakąś dziewczynę takim właśnie małym sprawom.

— Ma więc praktykę.

— Nie tak brutalnie. Ma przede wszystkim wspomnienia. Nie tylko tobie skojarzyło się włoskie miasteczko w cieniu kolegiaty z podobnym gdzieś daleko na mapie i w pamięci...

— Sam zaprogramowałaś takie skojarzenie, a nie chciałaś poddać się mojemu.

— Z przekory. Upierałaś się przy tym, jakbyś znała scenariusz.

— Posuwałam się naturalnym tokiem myślenia. Proszę bardzo: masz gotowe plenery, rozejrzyj się tylko dobrze.

— Znalazłem coś ciekawszego.

— Ale chyba powinno być nieciekawie?

— Tak, powinna to być jednak nieciekawość rażąca, przejaskrawiona, nadmierna, nie wiem, czy to rozumiesz...?

— Rozumiem! — ucina Agnieszka z groźnym naciskiem. — W jakiejś takiej nieciekawości ponad miarę i wytrzymałość zostawił swoją dziewczynę.

— O właśnie! Dziesiątka.

— Wolalabym nie trafić tak celnie. To smutne. Dlaczego takie smutne?

. — Poczekaj. Nie pisz scenariusza do końca. On już jest napisany. Widzimy tę dziewczynę, razem z nim. Start mieli taki sam, uczyli się w tej samej szkole, potem w tym samym konserwatorium. Grali na tym samym instrumencie, nawet w klasie u jednego profesora, Ale potem jemu się powiodło, a jej nie; on ruszył w świat, ona została w miasteczku, wróciła tam po skończeniu konserwatorium. Obiecywali sobie wiele wspólnych spraw, obiecywali sobie wszystko wspólne, nic z tego nie wyszło, nic z tego nie zostało...

— Ale on jednak jedzie do tego miasteczka.

— Tak. Zawiadamia impresaria, że musi wyjechać na kilka dni, i jedzie tam. Podczas podróży ma

dość czasu, aby przeżyć jeszcze raz wszystko, co go łączyło z tą dziewczyną.

— A więc retrospekcja? . .

— Dlaczego nie? Masz coś przeciwko niej?

— Bo ja wiem? Może trochę nadużywana?

— Co najwyżej w życiu. Umiesz bez retrospekcji, bez odwracania się wstecz przeżyć chociaż jeden dzień? A w sztuce retrospekcja to cała wiedza o człowieku.

Agnieszka pochyla się i mówi ciszej niż przedtem: — Czasem wydaje mi się, że wystarczyłoby pokazać człowieka walącego głową o mur i to już by była cała o nim wiedza. Retrospekcja i futurologia, wszystko. Wieczna rezygnacja i wieczne poszukiwanie.

— Agnieszko! — szepce Renato zdumiony.

— Sztuka zaczyna pomału wracać do tych środków najprostszych, wiesz na pewno o tym lepiej ode mnie, jakoś zaciska i zawęża coraz bardziej obserwację człowieka, jakby przyglądała mu się z bliska w jednym jakimś jedynym osaczeniu, w jednym jakimś zamknięciu. Nie trzeba tego pokazywać, a i tak się wie, że jest to osaczenie ostateczne i zamknięcie, do którego nikt nie wynalazł klucza. Co najwyżej mało przydatne wytrychy, nędzne wytryszki, przy pomocy których uzyskuje się tylko złudzenie otwarcia, nic więcej.

— A jednak... — mówi Renato tak samo ściszym nagle głosem — temu człowiekowi walącemu głową o mur...

— ...udaje się nieraz go przebić. To chciałeś usłyszeć?

— Tak. Dziękuję ci, że to powiedziałaś.

Teraz milczą, nie wiadomo czemu milczą, aż w Agnieszce zaczyna się rodzić jakiś sprzeciw, bunt przeciwko tej chwili i temu przyciszonemu zbliżeniu, jakby należnemu komuś innemu. Musi to przerwać, zniszczyć, nie pozwolić, żeby trwało. — Sądząc po tobie — odzywa się nagle i cieszy ją, że już pierwsze słowa brzmią tak nieprzyjemnie

— nie zdarzały ci się chyba w życiu podobne okazje. Start miałeś nie najgorszy, bo dziadzio, zdaje się...

— Niestety — Renato, choć nie bez zdziwienia, potrafi przejąć ten ton — kiedy się urodziłem, na dziadzia minęła moda, a nawet stał się kimś niezbyt często i wstydliwie wspomnianym.

— No więc dobrze, dziadzio spisany na straty. Ale mimo to miałeś chyba raczej dobre dzieciństwo? Czym właściwie zajmuje się twój ojciec?

— Adwokat. Nawet dość wzięty. Specjalność: rozwody.

— U was?

— U nas, u nas... Nazywało się to poprzednio unieważnieniem małżeństwa. Bardzo intratne sprawy, jak wszystkie te łózkowe szacherki.

— Ooo! Nie lubisz tatunia!

— Cóż znowu? — Renato broni się zbyt kategorycznie. — Nie lubię tylko jego zawodu. Zresztą matka także, może nawet dlatego się rozeszli.

— Rozeszli się? — Agnieszka nie umie ukryć zaskoczenia, choć właściwie nie powinno jej to tak obchodzić. — To nowina. Mówiłeś o tym mojej matce?

— Nnie... — Renato niezbyt chętnie mówi na ten temat, rumieni się nawet trochę, zły na siebie, że pozwolił się zapędzić w tę rozmowę, i niewłaściwą, i niepotrzebną.

— Po co miałem mówić? Nie odniosłem wrażenia, żeby oczekiwała ode mnie informacji na temat współżycia moich rodziców.

— Masz rację — Agnieszka wyzbywa się swego ostrego tonu, jest znów przyciszona, jakby zadumana. — Masz rację... Przywiązywała, zdaje się, wielką wagę do tego, że uratowała twego ojca dla kobiety, która go kochała.

— Ależ ona go kocha jeszcze i teraz — mówi Renato, znów niewłaściwie i niepotrzebnie.

— Przepraszam — Agnieszka czuje się tak, jakby wymusiła na nim to wyznanie, nie podoba jej się to, wolałaby, żeby do tego nie doszło. — Przepraszam. Niech mama nie wie o tym. Niech zachowa swoje piękne złudzenie. Niech jak najdłużej zachowa swoje piękne złudzenie...

— Już nie wiem, od czego zaczęliśmy tę rozmowę...

— Nieważne. Ważne jest to, że brak nam konkluzji, jakby powiedział twój ojciec adwokat.

— Nie wiem, czyby tak powiedział. On jest szczęśliwy. Powiedziałbym: absolutnie szczęśliwy.

— A ty, zdaje się, masz mu to nawet za złe?

— Nie — Renato usiłuje obrócić rozmowę w żart. — Ja go szczerze podziwiam.

— To znaczy — Agnieszka jest nieubłagana, nie podoba się sobie w tej roli, ale coś ją zmusza do takiego zachowania, do stawiania takich pytań — to znaczy, że ty sam...

— Agnieszko! — mówi Renato zniechęcony. — Mamy jeszcze dla siebie tylko kilka godzin...

— Tak — Agnieszka zwraca ku niemu twarz, jej oczy tracą ostry wyraz, bierze dłoń Renata, zgina i rozgina palce, na chwilę przytula do niej czoło. — Przepraszam.

Wolałabym mówić z tobą o czymś zupełnie innym.

— Dlaczego nam się to nie udaje? — pyta Renato cicho. — A już się nam udawało...

Agnieszka podnosi dłoń Renata i stuka się nią w swoją pierś pod grubym swetrem, który on tak niedawno całował. Nie wiadomo, czy żartuje, czy mówi poważnie: — Tu mi się coś otworzyło. Nagle. Ale na krótko. Przepraszam.

— A sądzisz, że ja... mógłbym to zamknąć? — Renato znów wyciąga ramię wzdłuż oparcia i tym razem jest to na pewno objęcie, wyraźne i czułe. — Mógłbym...?

— Myślę, że tak. Chciałam tego...

— A teraz?

— Wciąż jeszcze mam na to nadzieję.

— Dziękuję — mówi Renato i znowu całuje sweter na jej piersiach, na oczach ca-

łej ulicy całuje sweter na jej piersiach. Każdego innego dnia wszyscy by na to patrzyli, ale teraz Kacperski wraz z żoną wychodzą z zakładu pogrzebowego i jest jakiś powód, dla którego przechodnie zwracają ku nim głowy, przystają, żeby lepiej ich zobaczyć.

— Idą! — woła Agnieszka. Żal jej nastroju, który pryska, chwili, którą znowu trudno będzie odnaleźć.

— O Boże! — wzdycha Renato. — Idą! — Podjeżdża znów pod zakład pogrzebowy, zatrzymuje wóz tuż przed zdumionym Kacperskim.

— Chwileczkę! — woła Agnieszka, wysiadając z samochodu. — Chcę z panem porozmawiać.

— Ze mną? — dziwi się Kacperski. Jednym spojrzeniem obejmuje zagraniczny samochód, obcego w nim człowieka i dziewczynę, która także nie wygląda na tutejszą.

Jest już niemłody, ale jeszcze krzepki i jakaś wściekłość, niezgoda na coś dodaje mu w tej chwili energii, to widać po jego oczach.

— Z panem. Pan mieszka w Olszance pod Lichnowcem? Pan Kacperski, prawda?

— Kacperski.

— Szukamy pana od rana. Byliśmy w Olszance, potem w cukrowni, w końcu...

— Ale skąd... skąd aż tutaj...?

— Widzi pan, i milicja by pana prędzej nie znalazła — Agnieszka pozwala sobie na niezbyt zręczny żart, ale od razu to spostrzega, uroczyście żałobne twarze Kacperskich pogłębiają jego niestosowność. Zmienia to, chce jak najprędzej zaspokoić wid-niejącą w oczach tych dwojga ciekawość, która ją męczy. — Przyjechaliśmy do Olszanki, żeby zobaczyć leśniczówkę.

— Leśniczówki już nie ma.

— Wiem. Ten dom. Słyszał pan o doktorze, który tam mieszkał podczas okupacji?

— Słyszałem. Wszyscy go tam pamiętają. W całej okolicy.

— Uratował życie dwóm żołnierzom włoskim. I właśnie syn jednego z nich —

wskazała głową Renata — jest akurat w Polsce i chcielibyśmy pokazać mu miejsce, w którym jego ojciec się ukrywał. Ale dom zamknięty, moja matka czeka tam w Olszance, aż pana znajdziemy.

— Żona doktora? — pyta Kacperski.

— Tak. Ma nadzieję, że pana przywieziemy. Ona także pragnie zobaczyć ten dom, obawiam się, że bardziej od Włocha... — Co to znaczy „obawiam się”, myśli Agnieszka, słysząc swe własne słowa. Zapomina na chwilę o Kacperskich, niepokoi ją odkrycie, którego dokonała. Dlaczego niepokoi...?

Kacperski porozumiewa się wzrokiem z żoną. Kobieta uwieszona u jego ramienia trzyma się go kurczowo, jest mała i robi wrażenie przemokniętej, choć na dworze świeci oślepiające słońce i wieje zimny, suchy wiatr.

— Ale wie pani dlaczego... — Kacperski znów obejmuje wzrokiem Agnieszkę, samochód i siedzącego w nim Renata — ... dlaczego tu przyjechaliśmy. Teściowa umarła. Już zimna była, jak nas zawiadomili! — wybucha nagle i od razu wiadomo, o co tutaj idzie w tej całej sprawie, skąd ta wściekłość i energia w jego oczach, skąd ciekawość tych ludzi, którzy zatrzymali się na ulicy, odwróciwszy ku nim głowy. —

Zimna już była! Nie można było wcześniej zawiadomić, kiedy jeszcze żyła? Kiedy dychała, kiedy mogła coś powiedzieć... Pasierb sam się tu koło wszystkiego zakręcił.

— Kacperski przysuwa ku Agnieszce głowę, zionie jej w twarz odorem sportów i jeszcze czegoś, pocieszającego i dodającego animuszu w takich sytuacjach. — Bo ona miała pasierba, wyszła drugi raz za mąż za wdowca, ale goły do niej przyszedł, bo wszystko choroba nieboszczki zabrała, i tylko dzieciaka jej przyprowadził, a potem jak sam umarł...

— Proszę pana — wzdycha Agnieszka — samochód mamy bardzo szybki. Pół

godziny, i jesteśmy w Olszance. Tam nie zajęlibyśmy panu dużo czasu. A potem odwieziemy na miejsce.

— Józef! — odezwała się po raz pierwszy Kacperska, głos ma cichy, ale w tym jednym słowie zawarła więcej, niż inne kobiety w długich prośbach, pretensjach czy awanturach. Już nie wydaje się

Agnieszce przemoknięta ani taka mała.

— Ma się rozumieć, że nie mogę jechać — mówi Kacperski. — Nie zostawię kobiety samej w takiej sytuacji, kiedy jeszcze chcą ją okpić i wykorzystać. Bo widzi pani

— znowu podnosi głos — jak pogrzeb załatwić, trumnę kupić, to od tego jest córka.

Ale żeby tę córkę na czas zawiadomić, kiedy matka jeszcze żyła...

— Nie pojedzie pan? — Agnieszce staje przed oczyma matka, siedząca na ławce w Olszance, wyobraża sobie jej czekanie, jej pragnienie wejścia do domu, w którym...

Do diabła! myśli z nagłą irytacją, przecież mogła tam być sto razy w ciągu tych wszystkich lat. — Nie pojedzie pan? — powtarza. — Przecież to tak blisko. I samochodem. Zabierzemy obydwójce państwa.

— Józef! — odzywa się jeszcze raz Kacperska.

Agnieszka zwraca się teraz do niej.

— A może pani...? Mążzonek zostanie, żeby dopilnować spraw, a pani pojedzie z nami.

— Ale ona jest córką! — Kacperski wyręcza żonę w odpowiedzi. — Córka! Co tam zięć, obcy człowiek. A córce należy się być przy matce...

— Niechże pan zrozumie, przyjechaliśmy tu po to, żeby zobaczyć to miejsce i ten dom. Pan aż z Rzymu — Agnieszka znowu wskazuje Renata — a my z Warszawy.

Moja matka tam czeka.

— Żona doktora — powtarza Kacperski.

— Tak. Przecież już mówiłam. A o doktorze pan słyszał.

— Słyszałem — mówi Kacperski powoli. — Brat był w lesie. Opowiadał...

— I mimo to...? — Agnieszkę ogarnia przykre uczucie rozczarowania. Nie jej. by-

ła potrzebna siła legendy, którą teraz przyzywała, ale jej brak godzi w nią jednak boleśnie. — I mimo to?

— Jutro! — wybucha Kacperski. — Jutro od samego rana! Ale dzisiaj muszę się z tym łobuzem rozliczyć!

— Nie możemy czekać do jutra.

— A ja nie mogę dzisiaj... nie mogę — jęczy Kacperski. — Jak Boga kocham, nie mogę. Przez tyle lat czekałem... no nie, żeby na śmierć... ale jednak czegoś się człowiek po nieboszczce spodziewał. I

teraz ma to wszystko obcy zagarnąć? Zupełnie ob-cy, przybłęda jakiś?. Była już zupełnie zimna, jak dał znać... I mam mu to darować?

Pogrzeb wyprawić, pieniądze wydać...

— No tak — mówi Agnieszka pospiesznie, chcąc uciąć tę rozmowę — musi pan zostać.

— Pani też tak uważa? — rozjaśnia się Kacperski.

Agnieszka odwraca głowę. — No bo jak pan mówi, że zimna już była... Nie wiem, czy się zdecydujemy zostać tu do jutra, ale jeśli tak, to można po pana przyjechać rano w to samo miejsce?

— Ma pani adres?

— Tak. Przecież tam mi powiedzieli, gdzie pan jest.

Kacperski chwyta, nagle rękę Agnieszki, całuje ją gwałtownie dwa razy. — Brat opowiadał... łokieć miał przestrzelony, a ręką rusza jakby nigdy nic... A Siekierka, co ze mną robi w cukrowni, jego dzieciaki na szkarlatynę leżały, cała trójka... Doktor nie miał lekarstw, skąd lekarstwa we wojnę! dla Polaków był tylko stryzynek i kulka, a jednak doktor przyjeżdżał, przyjeżdżał i całą trójkę wyciągnął... Albo Waclewski, sam mi opowiadał... Ja bym dla doktora nie wiem co, ale niech mnie pani zrozumie, ja mu-szę się z tym łobuzem dzisiaj rozliczyć, bo jak mu ten jeden dzień luzu zostawię...

— Rozumiem — Agnieszka z trudem wycofuje dłoń z gorącego uścisku, cofa się na wszelki wypadek w stronę samochodu. — Rozumiem pana. Jeśli będziemy mogli, przyjedziemy jutro.

— Bardzo proszę! — woła Kacperski, prawie gotów biec za samochodem. Gdy tylko Agnieszka zatrząskuje drzwiczki, Renato rusza, od razu ostro, jakby startował do wyścigu.

— Nie chciał jechać?

— Nie, Mówi, że nie może.

— Dlaczego?

— Musi najpierw załatwić jakieś porachunki majątkowe, Przewiduję burzliwy ich przebieg. Nie wiem, czy jutro rano nie przyjedziemy po niego do szpitala.

Renato milczy. Zrozumiał chyba intencję ostatniego zdania, ale milczy i Agnieszka czeka na jego decyzję bardziej ciekawa niż zawiedziona, że reakcja nie nastąpiła natychmiast.

— Jutro rano? — pyta Renato wreszcie.

— Bo dopiero jutro rano będzie mógł pojechać do Olszanki.

— Ale ja przecież jutro wyjeżdżam z Warszawy!

— Musisz? — pyta Agnieszka z niedbałą lekkością, za którą sama siebie podziwia.

Renato zwalnia, wyjeżdżają z miasta, przed nimi droga prosta i pusta, wystarczy więc tylko jedna ręka na kierownicy, a drugą obejmuje, przyciąga ją leciutko ku sobie.

Każdej innej powiedziałby: To zależy tylko od ciebie. Do licha! Nie muszę. To zależy tylko od ciebie! Ale żal mu jednak tego czegoś innego, co wytworzyło się między ni-mi, nie chce, żeby było tak, jak zawsze, z przygodnymi dziewczynami, których nie zamierzał utrwać w swoim życiu. I ta wprawdzie miała być tylko jednym dniem, no, może dwoma, ale jednak nie może się zdobyć na te najzwyczajniejsze w ich sytuacji sło-wa, przyciąga ją tylko mocniej ku sobie i mruczy nad jej uchem: — Bardzo bym chciał, żebym musiał zostać.

— Stylista! — odpowiada Agnieszka. Ale nie odsuwa się od niego, ogarnia ją ciepło,, ramię w zamszowym rękawie grzeje, jest twarde i cudownie miękkie zarazem, atakujące i opiekuńcze.

— Bardzo bym chciał! — powtarza Renato.

I ona nagle mówi: — Zostań!

Prawie do samej Olszanki milczą, ale jest to milczenie po czymś, co się dokonało

— odpoczynek, uspokojenie. Renato nie wycofuje ramienia z za pleców Agnieszki, prowadzi samochód jedną ręką, droga jest wciąż pustawa, prosta, zalana oślepiającym słońcem. Wśród młodych, jasnozielonych liści różowieją pierwsze czereśnie.

Ale w Olszance nie ma Zofii na ławce przed domem i Agnieszka doznaje bolesnego ściśnięcia serca, ogarnia ją od razu strach, czuje się czemuś winna. — Mamo! —

woła, wyskakując z wozu. — Mamo! Odezwij się, gdzie jesteś! Boże! — mówi do Włocha — może się co stało?

— Co się mogło stać? — uspokaja ją Renato. — W biały dzień? I ostatecznie nie tak daleko od uczęszczanej drogi.

— Mamo! — woła Agnieszka. Biegnie ścieżką wśród dzikich malin w głąb polany, otoczonej zewsząd zarosłą już krzakami trzebieżą. — Idź w drugą stronę! — krzyczy do Renata. — Idź w drugą stronę! — Skąd to uczucie, że wszystko, co zostało ja-koś ułożone, obiecane, zamknięte w czekaniu, rozsypało się nagle jak piasek? Skąd to uczucie? Po co tu przyjechali? Dla kogo? Dla Renata? Dla opowiadki, którą przekaże ojcu, czy też dlatego, że niedorośla dziewczyna, która była jej matką, sama nie miała nigdy odwagi tu przyjechać,..? — Mamo! — woła jeszcze raz. — Odezwij się!

Zofia wyłania się z za kępy młodych olszyn, które nie dały się tu do końca wytrze-bić. — Co się stało? — pyta zaniepokojona.

— Ty się pytasz, co się stało? Nie znaleźliśmy cię na ławce... Renato, mama się znalazła!

— Poszłam trochę w głąb lasu... Mój Boże, w głąb lasu! Wciąż tutaj widzę te drzewa...

— Napędziła pani stracha Agnieszce — Renato przybiega zadyszany, z kurtką przewieszoną przez ramię, patrzy na matkę dziewczyny, z którą chce się przespać, pokornie i z tym samym poczuciem winy, jakie drażni go u Agnieszki. — Wyobraziła sobie, że musi pani wciąż siedzieć na ławce.

— Znalazłam miejsce, w którym zginął Francesco — mówi Zofia i odwraca się, żeby pójść tam razem z nimi, żeby pokazać im, gdzie zginął Francesco w ostatnim dniu wojny na tym skrawku ziemi, w chwili przedostatniej niemieckiego tu panowania.

Pniak starego dębu obrósł już odbijającymi od ziemi gałęziami. Ścięty dość wysoko, wygląda jak okrągły, duży stół, przygotowany do leśnych posiłków. Żłote wnętrze drzewa pociemniało już od deszczu, pozieleniało od mchu, który zaczyna je porastać.

Ale nikt, kto tu choćby raz stał w cieniu ogromnej korony, kto słuchał wiatru próbują-

cego swojej siły na jego konarach, nie mógł zapomnieć, że był tu dąb, piękne, żywe drzewo...

— To tutaj — mówi Zofia. — Byliśmy pewni, że Niemców nie ma już w Lichnowcu. Nasi Włosi, Lucio i Francesco, wybierali się już do wsi, dość mieli siedzenia w tym kącie, kiedy nagle gdzieś, jakby koło pałacu, wybuchła strzelanina. Banda Jamroża... oddział Jamroża— poprawiła się — wyszedł z lasu, żeby zabezpieczyć pałac, Niemcy zaczęli wycofywać się na Olszanę...

— Walczyli? — spytał cicho Renato. Patrzył w twarz opowiadającej kobiety, tak jak musiał w nią patrzeć Lucio, kiedy się nad nim pochylała, kiedy wszystko, a choćby tylko bardzo wiele, zależało od jej jednego słowa.

— Tak. Powinniśmy byli z powrotem zamknąć ich na strychu, odciąć od świata, tak jak dotąd, po prostu ich z niego usunąć, ale przeżyli dopiero co kilka godzin za wczesnej wolności i już... nie zgodzili się na to.

— Mamo! — Agnieszka bierze matkę pod rękę. — Opowiesz nam to szczegółowo jutro. A teraz musisz coś zjeść. Jesteś zupełnie blada.

— Jutro? — Zofia zwraca ku niej głowę. — Jak to jutro?

— Znaleźliśmy tego Kacperskiego. Aż w Janowie. Teściowa mu zmarła, a ponieważ ma tam jakieś porachunki majątkowe z rodziną, za nic nie chce dzisiaj stamtąd się ruszyć. Zgodził się, że jutro rano przywieziemy go tu na kilka godzin.

— Przecież pan — Zofia podnosi oczy na Renata, nie ma w nich pytania, jest tylko zdumienie, jakby już wiedziała, co postanowił — jutro wraca do Rzymu...

— Miałem wracać — protestuje Renato, nie patrząc jej w oczy — ale jeśli musimy zostać... — Kto musi? zastanawia się przez chwilę, wciąż nie śmiąc podnieść na nią spojrzenia. Kto naprawdę musi?

— Wydaje mi się, że skoro już pan tu jest Zofia ma nadzieję wytłumaczyć młodemu człowiekowi jego powinność wobec ojca, ale głos jej brzmi tak, jakby tłumaczyła się przed nim — że skoro już pan tu jest... i to po raz drugi... to powinien pan jednak zobaczyć ten dom... jego wnętrze... wszystkie

te miejsca...

Wiedziała, myśli Agnieszka. Wiedziała, że ona musi to zobaczyć. Jest w tym stwierdzeniu jakaś ulga, usprawiedliwienie nawet, odpuszczenie nie popełnionej jeszcze winy.

— Nie musisz go namawiać — mówi na głos do matki — Renato jest zdecydowa-ny zostać.

— A gdzie przenocujemy? — Zofia rusza ścieżką ku samochodowi, Agnieszka i Renato postępują za nią, obydwójce z uczuciem złodziei, którzy wyjednali zgodę na nocne obrabowanie banku. Renata nie cieszą te refleksje, nigdy ich nie miał w podobnych sytuacjach. Agnieszka, nie usłyszawszy od niego ani słowa, wie, o czym myśli, nie patrzy na niego, nie chce, żeby widział jej oczy. — Czy zastanawialiście się nad tym, gdzie przenocujemy?

— Nie myśleliśmy jeszcze o tym. Nie wiedzieliśmy, czy zgodzisz się zostać.

— Może dowiemy się w pałacu — proponuje Renato. — Zwykle w takich obiek-tach są hotele turystyczne restauracje...

Nie u nas, myśli Agnieszka, patriotyczne pobłażanie dla własnych błędów powstrzymuje ją od wypowiedzenia tego głośno. Nie u nas! Bo przecież muzeum podlega Ministerstwu Kultury i Sztuki, a restauracja i hotel to już inne branże, i choć wszystko mieści się w jednym budynku, co by do kogo należało i kto by za co ponosił

odpowiedzialność? Lepiej, żeby nie było hotelu i restauracji, żeby był spokój... —

Proponuję od razu jechać do Kazimierza — mówi głośno.

— A ja bym jednak wstąpiła do pałacu — decyduje się Zofia i znowu w jej głosie jest coś, co każe Agnieszce podejrzewać, że matce nie chodzi w tej chwili ani o spanie, ani o jedzenie, po prostu chce zobaczyć pałac od środka, chce tam być.

— No to jedziemy! — mówi Renato. Pragnie znowu usiąść za kierownicą, zająć czymś ręce, znaleźć jakieś uzasadnienie swego istnienia między tymi dwiema kobietami. — Radzę załatwić to wcześniej. No i pani na pewno jest głodna. Czuję się winny, że nie pomyślałem o tym wcześniej.

Zofia uśmiecha się do niego, może z tą troskliwością w oczach wydał jej się wreszcie podobny do ojca, może po prostu jest mu za nią wdzięczna. — Nie czułabym głodu, gdybyście nie zaczęli o tym mówić. Mój Boże! — Wsiada do wozu, ale jeszcze raz patrzy na ścieżkę wiodącą do dębu, na niebieski płat nieba nad miejscem, gdzie szumiała zielona korona, gdzie potężnymi konarami i wszystkimi liśćmi żyło drzewo.

Przeżyło, ostrzelane tego dnia tak samo, jak kryjący się pod nim człowiek. A potem zginęło także, w innym czasie i od innej broni, i nie ci sami ludzie ponosili za to winę.

— Jamróż nie był temu winien — mówi cicho. — Po prostu nie mógł przewidzieć, że jego chęć ochrony pani Borowieckiej przed cofającą się armią może zagrozić ko-mukolwiek z nas. Nie, na pewno nie mógł tego przewidzieć... O wiele innych spraw mogłabym go obwiniać, ale o tę jedną nie.

Była już jesień, druga ich jesień w Olszance, kiedy rozeszła się wieść o aresztowaniu Jamroża.

W pałacu kilkakrotnie pokazywali się jacyś młodzi ludzie, raz byli to warszawscy kuzynowie młodej pani Borowieckiej, kiedy indziej krewni starszej pani spod Sandomierza i Krakowa. Nie wiedzieliby o nich, gdyby nie to, że któregoś popołudnia wezwano doktora do pałacu, a gdy Emil został przy koniu, poproszono i jego. Musiał

przytrzymać kogoś, komu trzeba było bez znieczulenia wyjąć kulę z obojczyka, ranę zaszyć i opatrzyć tak, aby nie zdradzały jej bandaże. Emil płakał jeszcze długo po powrocie do domu, a Andrzej burczał na niego, bardziej udając złość niż zły naprawdę.

— Ładnego mam pomocnika, sama dzielność! Sama dzielność i męstwo! Czego ryczysz jak Łaciatka przed dojeniem? Myślałem, że po tej praktyce pójdiesz na medycynę i będzie z ciebie chirurg, sława na całą Zamojszczyznę. A ten ryczy, bo musiał

przytrzymać chorego!

— On też płakał — odezwał się Emil zza przyciśniętych do twarzy pięści.

— On! Jego bolało. I może nie tylko rana. Może cierpiał, a na nic się to cierpienie nie zdało, może wiedział o tej daremności i o czymś jeszcze, choć mu tego nie powiedziałem..

— Czego mu pan doktor nie powiedział — zapytał Emil, przestając płakać.

— Że już nigdy nie będzie strzelał — dokończył Andrzej cicho. — Ręka na nic.

Już nie do tej roboty. Nie pytał mnie o to, więc chyba wiedział.

— Jak wróci do Warszawy?

— Musi najpierw trochę wydobrzeć. Może odwiezie go Jamroż albo młoda pani Borowiecka.

— Dlaczego aż tu się znalazł?

— Nie pytałem. A skoro mi nie powiedziano, to znaczy, że postąpiłem słusznie.

Wojna nie jest najlepszym czasem do zadawania pytań, jeśli ludzie nie znają się dobrze nawzajem. A gdy coś podobnego po raz drugi się zdarzy, żebym nie słyszał nawet, że oddychasz. Czy wiesz, co by było, gdyby ten Niemiec na dole was usłyszał?

Że ранego trzeba w takim wypadku uciszać, to rozumiałe, ale jeszcze żeby i tego, co go trzyma!

— Nie będę — mruknął Emil pokornie.

Ale drugiego razu nie było. Młodego człowieka odwiózł do Warszawy Jamroż, tym samym

pociągiem jechała także młoda pani Borowiecka, ale nie przyznawali się do siebie, nawet inne konie odwoziły ją na stację. Wrócili także osobno. Po panią Borowiecką wyjechał powóz, po Jamroza bryczka. I to już może było za dużo, tej ostroż-

ności, skoro w pałacu mieszkał na dole pan Thomas Girtel z Norymbergi.

Nie był już młody i chyba niezbyt powiodło mu się w życiu, skoro podczas tego roku wielkich możliwości przypadł mu w udziale tylko Lichnowiec, pilnowanie dwóch bab, aby nie okradały niemieckiego państwa z należnej mu daniny. Później, kiedy niezwyciężona armia szła na wschód, a potem stamtąd wracała zwyciężona tak dobitnie, jakby nigdy niezwyciężoną nie była, ten Lichnowiec okazał się najbezpieczniejszym gniazdem, jakie może sobie uwić człowiek. Ale wtedy, jesienią czterdziestego roku, pan Thomae Gurtel jeszcze o tym nie wiedział. Chciało mu się czegoś więcej niż Lichnowca, i czegoś więcej w Lichnowru, nie wszystko i nie wszyscy mu się po-dobali. Inaczej wyobrażał sobie swoje gospodarowanie w pałacu, gdyby sam był tu gospodarzem, bez pomocników, o których nie prosił. Kobiety oczywiście powinny mieć opiekę i po to właśnie mieszkał na dole w dwóch pokojach od frontu, z widokiem na gazon i podjazd, to liczyło się także. Nad sobą miał wprawdzie płaczące nieraz w nocy dziecko, ale prócz płaczu słyszał jeszcze także lekkie kroki kobiece biegnące przez pokój i głos podobny do ptasiego trelu, śpiewający obcą, niepokojąco ob-cą piosenkę.

Kiedy w dzień spotykał ją w pałacu albo w parku, kłaniał się, jakby skrępowany swoim niezbyt wysokim wzrostem, tuszą, może wiekiem także. Młoda kobieta onie-

śmiała go, jak klejnot, którego — wiedział — nigdy nie będzie mógł sobie kupić.

Jeszcze nie myślał, że są przecież inne środki płatnicze.,, jeszcze o tym nie myślał, ale na razie zapragnął przynajmniej uniknąć porównań. Po Jamroza auto zajechało nocą.

Dwóch żandarmów, którzy z niego wysiedli, nie musiało nawet pukać, otworzono im natychmiast i tak samo natychmiast odezwały się ich kroki w korytarzu na ostatnim piętrze lewego skrzydła, gdzie był pokój Jamroza. Sen miał młody i głęboki nawet w ten niespokojny czas. Do okna nie mógł już doskoczyć, gdy weszli. - - -

Pani Borowiecka usiłowała rozpocząć z żandarmami zawile pertraktacje, sądziła, że Gurtel jej w tym pomoże. Nie ujawniała zasobów biżuterii, ale zawsze miała na palcach dwa pierścionki, które mogła ściągnąć, jako ostatnie. Uważne spojrzenie rzucone na Thomasa z Norymbergi przekonało ją o daremności tej nadziei. Wyprowa-dzono Jamroza na podjazd, gdzie stało auto. Szedł między dwoma żandarmami, prze-wyższając ich o głowę, choć nie byli niskiego wzrostu. Nim wepchnięto go do samochodu, uczepił się rękoma drzwiczek, jednym ruchem strząsnął z siebie żandarmów, trzymających go za ramiona, i krzyknął do pani Borowieckiej: — Niech się pani nie martwi!

Dopiero wtedy zapłakała, auto ruszyło — przy drzwiach stał trochę za mały, trochę za gruby i trochę za stary jak na swoje pragnienia człowiek z ręką uniesioną w przedłużającym się pozdrowieniu. Gdy kobiety weszły do siebie, zamknął starannie drzwi, wyręczając obudzonego już lokaja w przekręceniu wszystkich zamków i zasu-nięciu zasuw.

W Olszance nie żywiono do Jamroża sentymentu (pierwsze z nim zetknięcie i przeświadczenie, że nadal marzył o zainstalowaniu w Olszance swego krewnego, było powodem nieprzemijającej i chyba obopólnej nieufności), teraz jednak Jamroż aresztowany przestał być Jamrożem z pałacu, groźnym i zagrażającym ich losowi, stał się pierwszym aresztowanym, którego znali, kimś, kto ubył z ich grona. Tak jak cały folwark i wieś, nadstawiali ucha, łowiąc wieści o Jamrożu, a dnia nie było, żeby nie nadchodziły z różnych stron, z Janowa i Lublina, z Zamościa albo nawet aż z samej Warszawy. Byli ludzie, którzy widzieli, jak go prowadzono na Zamek w Lublinie, i inni, którzy oglądali go na własne oczy za drutami w janowskim obozie. Ktoś jeszcze miał

brata, z którym Jamroż znalazł się razem w arbeidsamcie w Kraśniku, a potem w transporcie na roboty do Reichu. Pani Borowiecka jeździła tu i tam, szukała kontaktów, rozmawiała z kimś, kto wiele mógł i wiele żądał, ściągała z palców ostatnie pier-

ścionki.

Któregoś wieczora zjawił się w Olszance granatowy policjant. Wszedł chyłkiem jakoś i od razu można było poznać, że nieurzędowo — a jednak stali porażeni strachem tak paraliżującym, że nie mogli nawet odpowiedzieć na jego powitanie. W jednej chwili dom, w którym czuli się bezpieczni, stracił swą chroniącą moc, nie był już ani tak daleki, ani tak osłonięty drzewami, aby nie można było go odnaleźć, gdy ktoś odważył się zapuścić w olszański las. A przybysz znał te strony, choć Andrzej nie mógł sobie przypomnieć jego twarzy z Lichnowca. Posterunek był tam nieliczny i je-go mundurowi pracownicy dobrze znani wszystkim mieszkańcom.

— Przychodzę w sprawie Jamroża — powiedział od razu, siadając nie zaproszony przy stole. Wyciągnął z kieszeni papierosy, poczęstował Andrzeja.

— Dziękuję, nie palę — odpowiedział Andrzej.

— A pan? — zwrócił się do Emila.

— On też nie — odpowiedział za niego Andrzej. Nieufność w stosunku do gościa nie mijała, ale przynajmniej wiedzieli już, w jakiej przyszedł sprawie — w żadnej z tych, których mogli się spodziewać.

Zapalił sam, poszukał wzrokiem popielniczki i znalazłszy ją jednak na stole, po-wlókł powolnym spojrzeniem po ich twarzach. Na szczęście popielniczka była pusta, mógł więc przypuszczać, że przeznaczona jest tylko dla gości, ale pomyślał, widać, co innego. Przesunął pudełko z papierosami dalej poprzez stół. — A może panienska pali?

— Moja żona — powiedział Andrzej — także nie pali.

Teraz sytuacja była jasna, ale gość nie podkreślił swoim zachowaniem, że zrozumiał tę jasność. Schował pudełko z papierosami, wygodnie rozparł się na krześle. —

Wiem, gdzie jest Jamroż — powiedział.

Andrzej patrzył mu spokojnie w oczy.

— Nie interesuję się tą sprawą.

— Pan nie, ale pani Borowiecka bardzo.

— Dlaczego nie udał się pan więc do pani Borowieckiej ?

— Ba! — gość cmoknął wargami. — Dlaczego! A po co mają Liberskiego — uderzył się lekko dłonią w pierś — oglądać w Lichnowcu? Do trzydziestego siódmego byłem tam komendantem posterunku. Niech ludzie lepiej myślą, że umarłem albo że się wyniosłem z tej okolicy, co kto woli. A Jamroż jest w Janowie.

— W Janowie? — złapał się jednak Andrzej. — Pani Borowiecka była w Janowie.

— Szukała go w obozie — odrzekł dobrze poinformowany przybysz. — A on jest w areszcie miejskim. I będzie tam jeszcze, ale niezbyt długo.

— Nie wie pan, dlaczego go aresztowano?

Liberski — jeśli nim w ogóle był — wzruszył ramionami. — To już nie moja sprawa. Widziałem go w areszcie w Janowie. Na pewno się nie mylę, takiego chłopca trudno nie dostrzec i nie zapamiętać. Myślę, że panią Borowiecką by to zainteresowa-

ło.

— Dlaczego przyszedł pan z tym do mnie? — spytał wreszcie Andrzej cicho.

Przybysz pochylił się nad stołem, przybliżył do niego swoją gładką, dobrze wygoloną twarz. — Powiedziałem już panu, że nie chcę pokazywać się w Lichnowcu, w dodatku w pałacu. A pan tam jest dość często.

— Raczej na folwarku u pana plenipotentą.

— W pałacu, kochany, w pałacu! — uśmiechnął się szeroko, klepnął Andrzeja w ramię. — Niech pan nie myśli, że polska policja była taka zła. Do Scotland Yardu to nam może było daleko, ale w tej części Europy... Słowem, wszystko się wie, a jeśli nie wszystko, to w każdym razie wiele. Przyjmował pan poród młodej pani Borowieckiej?

Andrzej przejął ton i sposób bycia swego gościa (szczerze go wtedy z Emilem po-dziwiali), roześmiał się i klepnął go także po ramieniu. — Każdy chce zarobić. Młoda pani Borowiecka panicznie bała się porodu, a ja... ja trochę znam się na tym... Matkę miałem akuszerkę...

— Pomagał pan mamusi? — uśmiechnął się znów Liberski.

— Raczej, jakby to powiedzieć... osłuchałem się w zagadnieniu. Jak pan widzi, wszystko w życiu się przydaje.

— Ale mamusia była dość uniwersalna. Wychodziła daleko poza swoją specjalność, skoro nauczył się pan od niej, jak leczyć ludzi chorych na zapalenie płuc i na serce, na żołądek i nerki, a nawet w wypadkach tak nagłych, jak wsunięcie ręki do sieczkarni... Nawet się pan nie orientuje, panie doktorze, jaką ma pan sławę w okolicy.

— Cieszy mnie to — Andrzej odwzajemnił mu uśmiech — jak na skromnego zieleńca-amatora, to duży sukces. Żeby się tylko lekarze o mnie nie dowiedzieli, bo zaczną mnie tępić. Nie lubią takiej konkurencji.

— Więc niech pan sobie będzie zielarz, panie doktorze, Kochany, niech pan sobie będzie zielarz, chociaż ja w to nie wierzę. Ale nie w tej sprawie przyszedłem i nie chciałbym, żeby pan się spłoszył. Mnie to nie interesuje, jak Boga kocham, mnie to zupełnie nie interesuje.

— Niechże pan powie wreszcie, o co panu chodzi — zniecierpliwiał się Andrzej, uderzył się dłońmi po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów, ale zrezygnował z palenia.

— Jeszcze pan nie wie? O dojście do pani Borowieckiej mi chodzi. Powie jej pan, że tu byłem. Że widziałem Jamroza. Że mogę coś dla niego zrobić.

— Andrzej! — krzyknęła. — Nie chcę! Nie pozwalam ci się w to mieszać.

— Małżonka nerwowa — zauważył Liberski.

— Pan się dziwi? — spytał go Andrzej.

— Nie pozwalam ci! — powtórzyła. Stała za krzesłem Andrzeja, położyła mu na ramionach obie ręce. — Po co pan tu przyszedł? Dlaczego chce pan nas w to wcią-

gnąć?

Gość zdusił w popielniczce papierosa, odsunął się nieco od stołu. Przypatrywał się jej przez chwilę, przechyliwszy głowę, jakby dopiero teraz ją zobaczył, jakby nagle musiał postawić sobie pytanie, jaka jest. — Pani pewnie z tych, co myślą, że grana-towa policja to świnię. Świnię na usługach Niemców! Wiem, tak ludzie myślą. Ale dlaczego nikomu nie przyjdzie do głowy, o ile by było gorzej, gdyby na naszych miejscach byli niemieccy żandarmi. Gdyby wszystkie przewinienia, nawet najdrobniejsze, podlegały Niemcom? O tym, że się poświęcamy, żeby ludzi chronić, nikt nie pomyśli.

— Proszę pana... — zaczął Andrzej cicho.

— Poświęcamy się! — powtórzył Liberski. — Pani — podniósł na nią oczy — boi się mnie. Może także mną gardzi; ale to jednak ja chcę uratować Jamroza, ja po to tu przyszedłem. Przecież mogłem o tym nawet nie pomyśleć, ja, granatowy, na usługach Niemców! Ale przyszedłem tu i teraz pytam was — objął wzrokiem także i Emila, choć ten wsunął się w kąt i głowę spuścił nad książką — pytam was wszystkich, czy zechcecie w tym pomóc?

Andrzej milczał. Zacisnęła mocniej palce na jego barkach. Nie pozwalała mu! Nie pozwalała mu!

Liberski patrzył teraz tylko na nią, przedtem mówił głównie do Andrzeja, teraz wyłączył go jakby z decyzji, która, jak sądził, nie należała do niego. — Wszyscy musimy sobie pomagać. Wszyscy mamy taki obowiązek. Jamroz jeszcze najwyżej tydzień pobędzie w Janowie, a potem...

— A potem? — zapytała, dławiąc się własnym głosem.

— Potem gdzieś go powiozą...

Już ją miał, już ją złapał na ten inteligencki haczyk: sumienie, narodowa powinność... był w tym wszystkim, przy największym nawet poświęceniu, cień jakiegoś egoizmu, pychy nieomal.

— Powiozą go... — powtórzył.

A ona już była pewna, że jeśli tak się stanie, tylko oni będą temu winni, oni, obojętni, myślący tylko o sobie, bojaźliwi, ulepieni z cuchnącego strachu, tylko oni będą odpowiedzialni za śmierć Jamroza, za tego pierwszego, który stąd ubył. — Ja pójdę do pani Borowieckiej — powiedziała.

— Zosiu! — Andrzej podniósł ręce, chwycił jej dłonie, wciąż palcami wczepione w jego barki.

W siwych oczkach policjanta zaświecił triumf. Nie mylił się, dobrze wiedział, do kogo idzie. Mogli mu się tego dnia wydać uległą plasteliną, gniecioną w jego palcach.

Wiedzieli o tym, ale równie dobrze wiedzieli, że nie zaznają spokoju, jeśli mu odmówią.

— Ja pójdę — powtórzyła. — Niech pan nie miesza w tę sprawę mego męża. Sam pan powiedział, że jest potrzebny ludziom w tej okolicy. Ja to załatwię. Co mam powiedzieć pani Borowieckiej?

— Tylko to, że będę tu za dwa dni. O tej samej porze.

— Czy... nie mógłby pan znaleźć sobie innego miejsca? — odezwał się Andrzej.

Liberski wstał, sięgnął po czapkę i nim ją włożył, rozejrzał się po ścianach pokoju.

— To jest najlepsze z najlepszych. No i w końcu pani Borowiecka będzie tu u siebie.

Kiedy wyszedł, spojrzeli — tak jak on przed chwilą — na dom, który dotąd wydawał im się najbezpieczniejszym schronieniem. Nic się jeszcze nie stało, wszedł tu tylko człowiek, którego się nie spodziewali ani nie chcieli — i nagle wszystko się zmieniło, rozsunęły się ściany, uniósł się w górę zabrany przez wichur dach. Bezbronność objawiła im się jak nagość. Poczuli chłód, wiejący z otwartych na świat kątów.

— Od jutra trzeba będzie zacząć palić — powiedział Andrzej. Obydwoje z Emilem zrozumieli, że chciał, aby zwrócili się ku czemuś, co nie istniało, ale nawet nie istniejąc było ratunkiem.

Emil zerwał się żwawo ze swojego miejsca. — Mogę zaraz napalić.

— Nie. Lepiej od jutra.

— No to.. — rzucił się w stronę wiader — wydoję Łaciatkę.

— Nie za wcześnie?

— Umyję ją przedtem. Rano się śpieszyłem, bo chciałem skończyć ten lizak dla jeleni w bukowinie, a to kawał drogi...

Pozwolili mu pójść do obory, lubił w niej przesiadywać po każdym wstrząsie, mo-

że po prostu potrzebował obecności zwierząt, niczym mu nie zagrażającej, żeby zapomnieć, że znowu musiał otrzeć się o ludzi.

W kuchni, po zewnętrznej stronie dymnika, gdzie nie dochodziła para, wisiały wianki grzybów, prawdziwków i kozaków, same kapelusze, jędrne i białe od spodu jak obłupione z kory drzewo, na blachach w otwartym piekarniku suszyły się śliwki, w słojach i glinianych garnkach ogórki nabierały smaku kopru, czosnku i wiśniowych liści. Pod oknem, w beczce z założonymi świeżo obręczami, dopiero co szatkowana kapusta osiadała pod ciężarem ułożonego na skrzyżowanych deskach kamienia... Od-wróciła wzrok od tej jesiennej zasobności, którą wrastali w ten dom na nadchodzącą zimę. Jeszcze przed kilkoma miesiącami, przed klęską Francji, każde gromadzenie zapasów rodziło pobłażliwy komentarz: tak długo mamy zamiar tu zostać? Teraz ten sam widok budził strach, że przedłużający się tu pobyt nie jest wcale tak pewny, że i stąd, z tego jakiegoś przystanku pośród niewiadomej drogi, może ich coś wyrwać, wy-szarpać, pozbawić ostatnich korzeni. A potrzebowali teraz domu jeszcze bardziej niż przedtem, już nie tylko dla siebie, nie tylko dla nich dwojga i Emila. Zastanawiała się od rana, jak o tym Andrzejowi powiedzieć.

W książkach, które jeszcze w liceum czytała z wypiekami na twarzy, przedstawia-ne było to różnie. Tamte kobiety mówiły: Będę miała dziecko. I pytały zaraz: Cieszysz się? Albo płakały i wołały z pretensją: Nie mogłeś uważać? W domu nie mówiło się o tym, ale nieraz w gabinecie ojca zjawiały się zasmucone panie, Leosia wpuszczała je, kiwając głową — wystarczyło jej okiem rzucić na pacjenta, żeby wiedzieć, z czym przychodzi. Płakały więc tamte panie — raz, nieopatrznie otworzywszy drzwi do gabinetu, zobaczyła, jak jedna z nich, klęcząc przed ojcem, całowała go po rękach.

Z nią oczywiście było inaczej. Nie wiadomo dlaczego cieszyło ją to, że nie jest z ojcem, że nie będzie o niczym wiedział, dopóki mu nie napisze, że został dziadkiem. -

Ta niespodzianka, którą miała zamiar zaskoczyć najpierw Andrzeja, a potem ojca, pozwoliła jej na kilka godzin zapomnieć o rzeczywistości poza ich domem, poza ich rodziną, poza ich miłością. Czuliła się kobietą, kobietą, która obdarza. Już sama myśl o tym była doskonałością, odrębnością zupełną. Pojawienie się policjanta uderzyło ją w sam środek jej podwójnego teraz serca, radość okazała się zagrożeniem, wzruszenie lekkomyślnością.

Kiedy więc zostali sami z Andrzejem, powiedziała tylko: — Jeśli postarasz się o zaświadczenie od jakiegoś urzędowego lekarza, będę mogła poruszać się bezpiecznie.

Baleś się zawsze, że nie mam ausweisu. Teraz nie będzie mi potrzebny żaden ausweis.

Andrzej powoli zwrócił ku niej głowę. — O czym mówisz?

— Mówię o zaświadczeniu, że jestem w ciąży. Muszę się o takie postarać.

— A... jesteś? — spytał Andrzej przyczajonym-szeptem.

— Chyba tak. Dziś nabrałam pewności — uśmiechnęła się, jak jej się wydawało, ze spokojną swobodą. — Ostatecznie córka i żona lekarza powinna znać się na tym.

Andrzej zerwał się od stołu. Nie zdołała nic wyczytać z jego twarzy, bo ogarnął ją ramionami, przyciągnął, przygniótł do siebie, a ona od razu zaczęła płakać, że zbyt długo ukrywanego podziwu dla własnej dzielności, z żalu, że miało się to odbyć tak odświętnie, tak pięknie i na całe życie, a wszystko zostało zniszczone i zdeptane, został tylko strach.

— Cicho, skarbie! — szeptał Andrzej. — Cicho! Serce mi zaraz pęknie albo łeb sobie o jakiś pień roztrzaskam.

— Miałam ci to powiedzieć rano i jestem pewna, że byś się cieszył, że nie myślał-byś,..

— Ależ ja się cieszę! — podniósł ją do góry, zakołysał w ramionach. — Przecież ja się cieszę! Żebyś tylko ty nie płakała.

— Ja płaczę, bo miało to być inaczej, zupełnie inaczej, już wszystko sobie ułoży-łam, i nie myślałam wcale, że jest wojna, nie chciałam o tym myśleć i wspaniale mi się to udawało, ale przyszedł ten...

— Cicho, cicho... — powtórzył Andrzej. — Wszystko jest tak, jak chciałaś. I powiedziałaś mi to najpiękniej, jak tylko było można. Ten człowiek niczego nie zmienił.

Nie mógł zmienić.

— A jednak pomyślałam, czy powinniśmy...?

— Nie powiedziałaś tego! — krzyknął. — Nie usłyszałem tego od ciebie!

— Usłyszałeś. I jeszcze raz pytam: czy powinniśmy?

Puścił ją. Widziała teraz jego twarz i przestraszyła się jej wyrazu.

— Powinniśmy — powiedział twardo. — Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

— Bardzo chciałam się cieszyć — szepnęła.

— I będziesz! — Znowu przyciągnął ją do siebie, pod płócienną koszulą, gdzieś tam w głębi, w samym środku jego życia, waliło obłąkane wzruszeniem serce. Pomy-

ślała, że oddał jej jego cząstkę i że to się już stało, że nie pozwoli sobie tego odebrać.

— Będę. Wiem, że będę — powiedziała.

Kiedy Emil, dzwoniąc wiadrami, wrócił z obory, spojrzeli na siebie zmieszani.

— Kto mu powie? — zapytał Andrzej. . - Ty!

— No więc dobrze. — Andrzej chrząknął, nie wiadomo dlaczego poprawił koszulę i włosy. — Słuchaj, Emil — zaczął.

Emil, pochylony nad ławką, cedził mleko. — Słucham — bąknął w roztargnieniu.

— Ale nie tak. Mam ci powiedzieć coś uroczystego.

— Jezu! — Emil odstawił sitko. — Czy coś się stało?

— Nic złego — Andrzej znowu chrząknął — Zosia będzie miała dziecko. My — poprawił się — będziemy mieli dziecko.

Emil zaczerwienił się gwałtownie i nim zdążyli go powstrzymać, buchnął całym ciałem w drzwi od sieni.

Andrzej targnął się za włosy nad czołem. — Zdaje się, że będziemy mieli drugie dziecko — powiedział z uśmiechem. I pocałowali się, jak poważni, stateczni rodzice, cieszący się, że rodzina się powiększa.

W nocy zapukał ktoś do okna. Cicho i delikatnie, z wyraźną intencją, aby się nie przestraszyli. Trzy razy. I potem znów trzy.

— Słyszysz? — spytała w ciemności.

— Słyszę — odpowiedział Andrzej.

Choć pukano do okna w ich pokoju, Emil, — który sypiał w drugim, stał już w drzwiach, dygocząc ze strachu, słyhać było, jak dzwonią mu zęby. — Ktoś puka do okna — wymamrotał.

— Słyszę — powtórzył Andrzej.

Tego dnia zamknęli na noc okna, nie wyjaśniając ani słowem tej konieczności. Od wiosny sypiali przy otwartych i przez myśl im nawet nie przeszło, że może się do nich zbliżyć jakiś człowiek. Ze wsi albo — z lasu.

Szyba zadźwięczała znów lekko, trzy razy.

— Trzeba otworzyć — Andrzej zerwał się z łóżka.

— Bądź ostrożny — szepnęła, od razu ze łzami w głosie, z przewidywaniem najgorszego.

— Ja najpierw zapytam — Emilowi nagle przybyło odwagi. — Niech pan doktor nie zbliża się do okna.

— Odejdź! — burknął Andrzej. — To przecież może być ktoś potrzebujący pomocy. — Kto tam jest? — zawołał.

— Panie doktorze! — odpowiedział z zewnątrz męski głos. — To ja! Jamroź!

Wstyd było przyznawać się do tego, ale najpierw się przestraszyli. Jamroź! A więc uciekł z Janowa! Uciekł z więzienia! Może szła za nim obława, a on uciekł akurat tu, akurat u nich szukał schronienia...

Musiał jakoś właśnie tak zrozumieć przedłużające się milczenie po drugiej stronie okna, bo zawołał przytłumionym głosem: — Proszę otworzyć! Wejdę tylko na chwilę!

Andrzej, wciągając po drodze kurtkę, rzucił się do drzwi. Diana w radosnych podskokach czekała, aż je otworzy; dopiero teraz zrozumiał, dlaczego nie szczeka — zna-

ła Jamroza z folwarku i witała go jak kogoś z tego domu. — Proszę — Andrzej otworzył szeroko drzwi. — Niech pan wejdzie.

Z mroku wyłoniła się wysoka sylwetka, przygarbiona jednak teraz, pochylona do przodu.

— Pan jest ranny! — szepnął Andrzej.

— Chyba nic groźnego, tyle że krwawię.

Rozjaśniony niebem mrok szerniał, gdy zamknięto drzwi.

— Emil! Zosiu! — zawołał gospodarz — zasłońcie okna i zapalcie lampę. Dwie!

Muszę mieć dobre światło.

Posadził Jamroza na krzesło, ściągnął z niego marynarkę.

— Gdzie pan dostał?

— W bok. Ale to chyba tylko draśnięcie. Miałem kupę szczęścia.

— Jak pan uciekł?

Jamroź zaśmiał się cicho. Nie było go widać w ciemności, ale wszyscy wyobrazili sobie teraz jego twarz, zmrużone oczy, błysk zębów w ciemnych wargach.

— Rozwaliliśmy areszt. Siedmiu chłopów w jednej celi, a to buda przecież nie więzienie. Wyrwaliśmy z futryną okno, policjanci ocknęli się, kiedy wszyscy już byli na zewnątrz. Zaczęli strzelać.

— Tylko pan jest ranny?

— Tylko ja. Bo zamykałem odwrót. Tamci — przestał się śmiać — to dwóch Ży-dów i pięciu chłopów, posadzonych za kontyngent. Trochę to potrwa, zanim będą żo-

nierzami. Ale będą.

Zabłyśła lampa, zapalona trzęsącą się ręką Emila. Potem druga. Zobaczyli Jamroża niepodobnego do siebie, żalowali, że nie mogą nadal tylko go słuchać, jego głos był

nim dawnym, nie zmieniony i nie zbity tak, jak ciało. Wspaniała twarz Jamroża, nie piękna, nie gładka, ale właśnie wspaniała przez swą męską siłę i zuchwałość, teraz była samą sinością i opuchnięciem, pamiątkową kartą wszystkich razów i uderzeń.

— Boże! — jęknął Emil. — Bili pana!

— Zagotuj wody — zawołał Andrzej. — I tylko nie zacznij mi tu ryczeć. Był tutaj dziś wieczorem jakiś człowiek w pana sprawie — powiedział do Jamroża.

— Kto?

— Policjant. Mówił, że nazywa się Liberski, że do trzydziestego siódmego był

komendantem posterunku w Lichnowcu.

— Zgadza się. Czego chciał?

— Żeby go skontaktować z panią Borowiecką. Mówił, że widział pana w Janowie.

I że może pomóc.

— Sk... — Jamroź zgniótł w ustach ostre słowo. — Chce forszę wydoić!

— Ma tu przyjść pojutrze. A do tej pory mieliśmy zawiadomić panią Borowiecką.

— Sk... — zasyczał znów Jamroź tylko pierwszą literę tego męskiego określenia.

Podniósł oczy na panią domu. — Przepraszam.

— Też tak myśleliśmy — odezwała się. — Ale... ale mógł przecież mówić prawdę... Chcieliśmy wierzyć, że mówi prawdę...

— Dziękuję — powiedział cicho.

— Więc zaraz z rana miałam iść do pani Borowieckiej.

— Proszę pójść do niej. Proszę powiedzieć, że uciekłem. Żeby nie wpychała pieniędzy i biżuterii łotrom. A mnie... mnie będzie trzeba siedem koni...

— Siedem koni? — przerazili się wszyscy naraz.

— Nie z Lichnowca i nie od razu. To oczywiście wzbudziłoby podejrzenie. Ale z innych folwarków co pewien czas może ubyć jeden koń. Ten szpicel z Norymbergi się nie spostrzeże. Pani Borowiecka potrafi to jakoś urządzić. No i... — umilkł na chwilę

— ...to, co zostało po panu Borowieckim.

— A po moim stryju — rzekł cicho Andrzej. Jamroż to zrozumiał. — Po pana stryju został tylko sztucer. I oddaliśmy go, gdy trzeba było zdawać broń. Przez tę śmierć... — umilkł znów i dopiero po chwili dokończył — przez tę śmierć niepotrzebną cała okolica o nim wiedziała. Musieliśmy zdać. Ale to było wszystko. Nie wierzy mi pan?

— Wierzę.

— Przecież pan na pewno głodny! — zawołała. — Nie pomyślałam o tym od razu.

— Głodny — potwierdził Jamroż. — Bardzo! Emil przed kuchnią łupał polana na cienkie kawałki, żeby ogień szybciej rozgrzał płytę. Wyjęła patelnię, nakroiła boczku i gdy zaskwierczał, zaczęła wbijać jaja.

— Może mi pan wreszcie pokaże ranę — powiedział Andrzej.

— Nie — zaprotestował Jamroż. — Najpierw zjem. Jeśli macie dużo chleba... —

dodał ciszej.

— Oczywiście, że mamy.

— Zabiorę dla tamtych. Głodni tak samo, jak ja. Zanim się jakoś zorganizujemy, nie będzie łatwo.

— Co pan zamierza?

— Zostać w lesie. Do diabła, kiedyś to się skończy. Przeliczyliśmy się, jeśli chodzi o Francję, ale jest jeszcze Anglia. Są Stany Zjednoczone.

— Daleko pan sięga swoją nadzieją.

— Każda nadzieja jest dobra.

— Proszę, niech pan je! — Postawiła na stole dymiącą patelnię, nakroiła chleba.

— Zaraz będzie herbata. A może pan woli mleko?

— Mleko — odpowiedział Jamroż pełnymi ustami. Odwrócili głowy, żeby nie patrzeć, jak je. Po raz pierwszy widzieli bardzo głodnego człowieka i zaspokajanie przez niego głodu, uciszanie jego gwałtowności wydało im się czymś zawstydzająco intymnym.

— No dobrze, las! — zaczął Andrzej, chodząc po kuchni. — Ale idzie zima. Jak pan to sobie wyobraża?

Jamroż znowu się zaśmiał, jak wtedy, gdy opowiadał, że rozwalili więzienie — cicho i triumfująco.

— Pięknie to sobie wyobrażam. Jak człowiek popatrzy przez ileś tam dni na zakra-towane okienko, to mu się pięknie przedstawia każda wolność. Nawet taka. W lesie.

Bez łóżka i bez miski, bez dachu nad głową. Ale właśnie dach postanowiliśmy sobie wznieść...

— Jak?

— Całkiem prosto! — zaśmiał się znowu. — Pani Borowieckiej trzeba powiedzieć, że muszę mieć trochę desek i papy na dach. Oczywiście kilka siekier i odpowiednią ilość gwoździ. Siedmiu chłopów, to i miasto byśmy zbudowali... — Zaspokoił

już pierwszy głód, podniósł głowę i patrzył na nich rozbłyśniętymi oczyma.

— Ale jak... jak te deski, papę, siekiery i gwoździe... jak to wszystko przetranspor-tować do lasu...?
— Andrzej głos miał schrypnięty, popatrzyli z Emilem na niego zdumieni.

Jamroż wyjadł jajecznicę do czysta, wytarł patelnię chlebem, popił mleka, potem sięgnął po papierosa podsuniętego mu przez Andrzeja. — Przykro mi — powiedział, ale myślę, że można to bez zwracania uwagi zrobić tylko przez Olszanekę. Żeby był

pretekst zwiezienia materiału, trzeba tu coś budować. Nową drewnię albo obórkę...

— przechylił głowę i zaciągnawszy się dymem, patrzył w pobladłą twarz Andrzeja. —

Przykro mi, panie doktorze — powtórzył — ale przypomina pan sobie, że chciałem tu mieć swego krewnego. Jakbym przeczuwał, że będzie tu potrzebny człowiek, który...

— Pan sądzi, że się boję? — spytał cicho Andrzej.

— Tego nie powiedziałem. Ale wolałbym nie narażać obcych mi ludzi, którzy nie mają żadnego obowiązku...

— Wszyscy mamy ten obowiązek. Niech się pan rozbierze!

Ciało Jamroża było tak samo zbite, jak jego twarz.

— Nameńczyli się przy mnie — mruknął — ale ja kiedyś także nie będę się oszczędzał.

Przyjdzie ten czas. O mocny Boże! Niczego nie jestem tak pewny!

— Emil! — podniósł głos Andrzej. — Narzędzia wygotowane?

— Tak jest, panie doktorze!

— No to dawaj!

Rana była niezbyt głęboka, ale długa — kula rozerwała mięśnie boku i ugrzęzła pod żebrem.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, że nie dysponuję znieczuleniem?

— Oczywiście.

— Ranę będę musiał trochę oczyścić. No i wyjąć kulę.

— Do diabła! Niechże pan to wreszcie robi.

— Zamiast znieczulenia stosujemy niekiedy mocne ramię Emila. Mizerniejszy od pana, ale chyba także niezłe wyrośnięty.

— Nie będzie potrzebny!

— Musi zostać, bo będzie podawał narzędzia. Zosiu! — dodał Andrzej cicho.

Wyszła do pokoju, rzuciła się na łóżko, przykryła głowę poduszką. Leżała tak dygocząc, ale kiedy po długim czasie odrzuciła poduszkę, z drugiego pokoju dochodził

tylko spokojny głos Andrzeja, wydającego polecenia Emilowi. Potem cisza i na koniec wołanie: — Zosiu! Trzydzieści kropli waleriany!

Weszła do kuchni, starając się nie patrzeć w stronę Jamroza, odmierzyła krople, podała mu szklanę.

— Nie jemu! — krzyknął Andrzej. — Emilowi!

Emil blady jak ściana wrzucał narzędzia do naczynia, w którym miał je znów wygotować. Przyjął szklanę z kroplami zawstydzony i pokorny. — Ale jednak ani nie pisałem — pochwalił się przynajmniej przed nią.

— Byłeś bardzo dzielny — powiedziała.

Jamroz sięgnął po marynarkę, brudna, pokrwawiona i porwana nie nadawała się do noszenia.

— Moja niestety będzie chyba za mała — powiedział Andrzej, podając mu swoją kurtkę.

— Nawet gdybym ją włożył, pęknie przy pierwszym ruchu. Pani Borowieckiej proszę powiedzieć,

żeby razem z tymi deskami przysłała trochę moich rzeczy.

— Powiem — zapewniła. — Zaraz z rana do niej pójde.

— Do starszej pani Borowieckiej. Młodsza mnie nie lubi.

— Oczywiście, że do starszej — potwierdziła i może z niepotrzebnym jakimś ak-centem, bo Jamroz powoli zwrócił ku niej głowę.

— Państwo nietutejsi, więc mogą sobie pomyśleć Bóg wie co. Od razu wolałbym wyjaśnić tę sprawę. Tutaj ludzie o niej wiedzą, ale że nie nowa, to i gadać przestali.

Mój ojciec był koniuszym we dworze. Zajmował się stajnią, znał się na koniach jak mało kto, pan Borowiecki bardzo mu ufał. Ale kiedy się ożenił, nie od razu oczywi-

ście, może w rok, może we dwa albo trzy po ślubie, wszystko zaczęło się psuć. Młoda pani coraz częściej zaczęła zaglądać do stajen. A ojciec... — urwał, jakby przywołać musiał przed oczy postać owego człowieka, za którym dopiero co poślubiona dziedziczka bez wstydu i opamiętania wypatrywała oczy. — Ojciec był chłop jeszcze wyższy ode mnie — ciągnął po chwili dalej — na twarzy ciemny, włosy miał jak kru-cze pióra, kobietom dech zapierało, kiedy się zjawiał w kościele... Ale pani Borowiecka patrzyła inaczej niż wszystkie, nawet nie starała się do ojca zbliżyć, przychodziła do stajen i patrzyła. Ojciec się zląkł, ale pan Borowiecki chyba jeszcze bardziej. Wywiózł ją na długo z Lichnowca, podróżowali bez końca, po Włoszech, po Egipcie. A gdy tylko wrócili, młoda pani, jeszcze w podróznym stroju, już była w stajniach. I znowu nic, nic z tego, co by ludzie chcieli, żeby było, do gadania dobre, do opluwania konieczne, ale nic, tylko to jakieś dziwne pańskie patrzenie, jak obłąkanie, jak choroba. Więc pan Borowiecki musiał się pozbyć mego ojca z folwarku, zawołał go do siebie, powiedział: „Chłopie, co mam robić? Sam widzisz, że nie możesz tu być”. „Sam to widzę, proszę pana dziedzica”, odpowiedział ojciec. Matka mi to później, kiedy dorosłem, opowiadała, Bo ojciec nie miał przed nią tajemnic, od dawna wiedziała, tak jak i on, że z tego patrzenia pani Borowieckiej nic dobrego nie wyjdzie. A dwoje już nas wtedy było na świecie, starsza siostra i ja. Ojciec musiał odejść z Lichnowca, ale dokąd? O pracę było wtedy trudno, bezrobotni co dnia przychodzili pod folwark, żeby się najać choć na dniówkę, choć na pół dniówki. Uprosił więc ojciec pana Borowieckiego, żeby go gdzieś w swoich dobrach umieścił, daleko, jak najdalej stąd. Dał mu gajówkę, w Mszółce, dwadzieścia pięć kilometrów od Lichnowca, najgorsza gajówka w lichnowieckich lasach. Wszystkim tam ojciec musiał być, i gajowym, i drwalem, ale zabrał się stąd z ochotą i wszyscy odetchnęli. Żeby to na długo! Pani Borowieckiej mąż zakazał konie ze stajni dawać, kluczyki od samochodów nosił przy sobie. Jak tylko mógł, nie odstępował jej na krok. Ale jesienią zaproszono go na jakieś wielkie polowanie do Białowieży czy gdzieś jeszcze dalej, i wtedy pani Borowiecka chłopską, wynajętą furmanką przejechała do Mszółki, ojciec zobaczył ją rano, siedzącą na brzegu wyrębu. Musiała zamieszkać w najbliższej wsi, bo przychodziła co dnia, siadała na powalonym pniu i patrzyła. Ojciec nawet głosu jej nigdy nie słyszał, ale to, że tak patrzyła, było silniejsze niż wszystkie inne sprawy, które ludzie mają ze sobą. Teraz poszedł sam do pana Borowieckiego, powiedział mu, żeby żonę z Mszółki zabrał. Wielki to musiał być dla dziedzica wstyd i żal, pojechał zaraz, zabrał ją z Mszółki, zabrał z Lichnowca, i znowu wywiózł do Egiptu, do Włoch, do Hiszpanii. I tam pani Borowiecka dowiedziała się, że ojca sosna przywaliała w lesie, nie nauczony był tejroboty, w stajniach to tylko w białych rękawiczkach chodził i konie po grzbiecie

głaskał, żeby zobaczyć, czy czyste, przywalała go sosna, gdy ze złej ją podszedł strony, już nie było ratunku, kiedy go spod niej wyjęto. Pani Borowieckiej nie było wtedy w kraju ponad rok, a gdy wróciła, przyjechała do matki i nie wiem, jak tam ze sobą rozmawiały, ale w końcu matka zgodziła się dać jej mnie na kształcenie, choć przecież tak naprawdę to niczym nie można było ani wynagrodzić, ani zatrzeć tamtej sprawy. Wyjechałem wtedy z domu na dobre, najpierw byłem w internacie u księży w Tarnowie, aż do matury, a potem w szkole rolniczej w Lublinie. A po śmierci pana Borowieckiego wróciłem do Lichnowca, pracowałem przy plenipotencji, wciągnął mnie pomału tak, że mogłem na cały miesiąc do Karlsbadu jechać. Młody pan Borowiecki wciąż studiował, jak nie to, to tamto, nie można go było namówić, żeby w książki folwarczne zajrzał, próg obory przestąpił. Kiedy poszedł na wojnę, pani Borowiecka kazała mi zamieszkać w pałacu.

Bała się w tym ogromnym domu bez mężczyzny, bo Feliksio, lokaj pana Borowieckiego, ma już siedemdziesiąt lat. Ot i wszystko. Nie wiem, co tam ludzie o tym myślą.

Ja może i powinienem winić ją za śmierć ojca, ale przecież człowiek nigdy przewidzieć nie może, dokąd zaprowadzi ścieżka, którą wydeptał. Tak i ona tego przewidzieć nie mogła i na pewno sama wolałaby być pod tą sosną, niż by ją miała przez tę swoją pańską miłość pchnąć na ojca. Dla mnie była dobra. Kiedy przyjeżdżała do Tarnowa, księża wiedzieli, że o wszystko mogą ją ze względu na mnie prosić. Aż mnie to gniewało, bo prosili ponad miarę. Nie używała na ten cel męzowskich pieniędzy, sama wniosła do Lichnowca wielki posag. Pochodziła z poznańskiego, wciąż mówiła, że u nas ciemnota, że ludzie gospodarzyć nie potrafią, opowiadała, że jej brat z samych karp, co je przed Bożym Narodzeniem samolotem do Warszawy woził, miał rokrocznie po trzydzieści tysięcy. Przylatywał do niej w odwiedziny tym samolotem, ludzie z całej wsi lecieli na pole patrzeć, jak ląduje. Chciała taką gospodarkę i u nas zaprowadzić... — zamyślił się, potem dźwignął się ciężko z krzesła. — No i pan Gurtel ma teraz wszystko w swoich rękach.

W ciszy, która teraz zapanowała, słychać było tylko ciężkie westchnienie Emila, którym zakończył opowiadanie Jamroża. — Odprowadzę pana — zerwał się z miejsca.

— Dokąd?

— Dokąd się da. Chleb poniosę... dla tamtych.

— Pan Jamroż na razie nigdzie stąd nie pójdzie — odezwał się Andrzej. Nie patrzył na nią, bał się, że ona nie będzie tej samej myśli. — Pan musi przynajmniej kilka godzin odpocząć.

— Co pan, panie doktorze? — Jamroż wyprostował się, dotknął ręką boku, stłumił syknięcie. — Nic mi nie jest.

— O tym ja decyduję. Albo pan słucha, albo pana nie leczę.

— Przed świtem muszę wyjść.

— Wyjdzie pan. Obudzimy pana. A teraz niech się pan położy i stara się zasnąć.

Mogę dać panu proszek.

— I tak zasnę jak kamień.

Zwalił się na postanie Emila i po chwili usłyszeli dochodzący z drugiego pokoju jego równy, spokojny oddech.

Patrzyli na siebie w milczeniu, nawet Emil nie znalazł dla siebie żadnej czynności i stał nieruchomy, starając się, tak jak oni, zrozumieć, co oznaczało dla nich pojawienie się tego człowieka w Olszance.

— Idź spać! — powiedział wreszcie Andrzej, nie wiadomo czy do niej, czy do Emila.

— A ty? — zapytała.

— Ja także położę się w ubraniu.

— Odprowadzę go — poprosił Emil. — Chleb mu poniosę...

Poszła do spiżarni, nasypała w woreczek kaszy, zawinęła w płótno kawałek słoniny, zdjęła z półki dwa największe garnki. — To także zabierzesz — powiedziała do Emila. — W ogóle nie wyobrażam sobie, jak się urządzi w lesie, ale początek będzie najtrudniejszy.

— Trzeba im także dać łyżki. Czym będą jedli?

— I coś ciepłego do ubrania. Może na wsi postarasz się o jakieś rzeczy — spojrzała pytająco na Andrzeja.

— Oczywiście. Jamroz zabierze, kiedy przyjdzie na opatrunek.

— Na opatrunek? Będzie tu musiał przyjść na opatrunek? — zapytała z przerażeniem, którego nie mogła jednak opanować.

— I nie na jeden — odpowiedział Andrzej. — Widziałaś, żeby rana zagoiła się bez zmiany opatrunków, w dodatku taka rana?

— Andrzej! — powiedziała, kiedy byli już sami, bo Emil wyciągnął się na ławce w kuchni, pod starą baranicą leśniczego — Andrzej! Więc będziemy teraz punktem przerzutowym dla tych w lesie... Miało tu być cicho i spokojnie, mieliśmy do niczego się nie mieszać, bezpiecznie przeżyć wojnę z dala od wszystkiego, co by mogło nam zagrażać... po to tu przyszliśmy... Odezwij się wreszcie! Powiedz coś! Przecież, jeśli tak ma być, nie możemy tu zostać.

W całym domu trwała nieruchoma, pogłębiona jeszcze oddechem śpiących cisza.

— Zostaniemy tu — odpowiedział Andrzej cicho. Trzymał ją przy sobie, czuła, że drży tak jak ona, ale głos miał spokojny, głos starał się mieć spokojny. — Musimy tu zostać, jak długo będzie to zależeć tylko od nas. Nie chciałem, żebyśmy się w cokolwiek zamieszali, ale to przyszło samo. I nie możemy się bać. Co by się stało ze światem, gdyby wszyscy się bali? Oddalilibyśmy go Liberskim i

Gurtlom i po co wobec te-go, do jakiego życia miałyby się rodzić nasze dzieci?

Nie płakała, choć gardło dusił jej płacz, wielki i rozdzierający.

— Po co miałyby się rodzić nasze dzieci? — powtórzył Andrzej. — Niewiele mo-

żemy zrobić w tej chwili, ale to jednak samo do nas przyszło i musimy temu sprostać: nie bać się Liberskich i Gurtłów. Przynajmniej tyle. To jeszcze nie oznacza walki, ale z niej nie wyklucza. Nie powinno być ani jednego człowieka na tej ziemi wykluczonego z walki.

Gdzieś w głębi lasu odezwało się nawoływanie puszczyka. Przyzwyczała się już do niego, nie słyszała go w nocy, teraz jednak przeraził ją jego głos. — Wiesz, dlaczego ogarnia mnie strach.

— Wiem. Ale jeśli się na coś odważymy, to nie mimo to, ale właśnie dlatego.

Właśnie dlatego! Urodzisz dziecko, wychowasz, zobaczysz. I tylko kiedyś opowiesz mu...

— O czym?

— Nie, nie opowiadaj mu. Niech nie wie. Lepiej, żeby nie wiedziało. A może bę-

dzie wiedzieć nawet wtedy, jeśli mu nie opowiesz...

Opasała go ramieniem w pół, ukryła twarz na jego piersi. — Dlaczego mówisz, że to ja wychowam, ja opowiem...?

— Właśnie masz nie opowiadać.

— Ale dlaczego ja?! — krzyknęła. — Dlaczego tylko ja...?

Zamilkł i znieruchomiał, tylko dłoń na jej czole poruszała się łagodnym, uspokajającym ruchem. — Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem. Może dlatego, że to jednak matki przekazują dzieciom to wszystko, co najpierw powinny wiedzieć o świecie. Idź

spać, kochanie! Musisz uważać na siebie.

11

Więc to jest ten pokój, w którym rozmawiała z panią Borowiecką, gdy przyszła jej powiedzieć, że Jamroż jest na wolności. Zofia siedzi w starym fotelu przed biurkiem kustosa lichnowieckiego muzeum, z wymuszoną nieco uprzejmością słucha o trudnych początkach tej młodej instytucji, zdając się na elokwencję Agnieszki, podnieconej wrażeniem, jakie jej pojawienie się w tym zapadłym kącie czyni na młodym człowieku. Wrażenie to nie jest nie zauważone przez Renata — Agnieszka więc znajduje w sobie dość siły i blasku, aby olśniewać obydwu panów, Zofia od dawna nie była tak zadowolona z córki. Może dzięki niej nie uczestniczyć bezpośrednio w rozmowie —

bo choć jest ich tu czworo, tylko ona jedna odwiedziła naprawdę stary pałac, weszła w jego wnętrze,

nadstawia ucha na odgłosy wszystkich przyczajonych tu i nie dla każde-go słyszalnych kroków.

Ten pokój nazywał się wtedy zielonym gabinetem. Wydaje jej się, że jeszcze dziś

— po tylu latach — czai się w nim woń wybornych gatunków tytoniu, których dym wszedł w ściany, w sufit, w drewno okien i drzwi, trwała', a może tylko wyobrażona pamiątka jeśli już nie po ludziach, to przynajmniej po papierosach, cygarach i fajkach.

Przechowywały się zawsze w jej pamięci wonie miejsc, lepiej i wyraźniej niż ich bar-wa i kształt, wspomnienia pachniały lub raziły odorem, rzadko kiedy miały kolory i przydany tamtemu czasowi rysunek.

Siedziała więc przed panią Borowiecką w tym pokoju, który juv? wtedy — po śmierci pana Borowieckiego — należał do przeszłości, i patrzyła w jej oczy rozbłyśnięte po dobrej nowinie. Uradziły wtedy obydwie — czuła się tym zaszczycona — że pani Borowiecka zjawi się następnego dnia w Olszance na spotkanie z Liberskim, aby nie dać mu do zrozumienia, że wie o uwolnieniu Jamroża. Zjawi się i wciśnie mu coś do ręki, co miało także zabezpieczyć ich przed jego ewentualną zemstą. No a potem chciała się zobaczyć z Jamrożem. Mieli ją z nim umówić, oczywiście w Olszance, gdzieżby indziej, Liberski dobrze to określił: pani Borowiecka jest tam u siebie.

Wtedy powiedziała cicho, ale bardzo wyraźnie: — Spodziewam się dziecka. —

Chciała się bronić, chciała udowodnić, że ma do tego prawo, że to prawo powinno być uznane przez innych. Pani Borowiecka albo nie dosłyszała, albo wytrącona z tematu poprzedniej rozmowy, nie mogła zrozumieć, o co jej chodzi, więc powiedziała jeszcze raz: — Spodziewam się dziecka!

Teraz pani Borowiecka zrozumiała, ale tylko jakby powierzchwnie tych słów, zawartą w nich informację, nie dotarła do niej intencja, widziała to w jej oczach, gdy przechyliła głowę i uśmiechnęła się krótkim, natychmiast cofniętym uśmiechem: —

Gratuluję, choć nie wiem...

— I ja nie wiem — szepnęła bezradnie. — W takim stanie potrzebny jest spokój...

spokój... Boże drogi... a teraz...

— Ależ niech się pani nie niepokoi. — Pani Borowiecka wstała, usłyszawszy kroki w drugim pokoju. — Ma pani najlepszy przykład i najlepsze pocieszenie w mojej synowej. Nie miała spokoju... a przecież... No i ma pani męża przy sobie, męża lekarza... Wandziu! — zawołała. — Pozwól tu na chwilę! — A gdy młoda pani Borowiecka z Helenką na ręku weszła do gabinetu, obwieściła: — Posłuchaj, co za nowina! Żo-na naszego doktora będzie miała dziecko!

— Ach, cieszę się! — Młoda pani Borowiecka zbliżyła się do niej, objęła ją wolną ręką i pocałowała w policzek. Cała była w obłoku świetnych perfum, co uważała za słuszne zaraz wytłumaczyć: — Paryskie! To się od razu czuje, prawda? Nasz norymberczyk dostał wczoraj paczkę od syna z Francji. Trzeba przyznać, że chłopak zna się na rzeczy. Albo mu doradzono. Oczywiście to nie prezent. Zapłaciłam chyba więcej, niż są warte, ale muszę przyznać, że nie on wyznaczył cenę.

Oczywiście wszystko dla dziecka będzie pani miała po Helence, becik, łóżeczko i wózek, są chyba nawet pieluszki i śpioszki, sama się tym zajmę. No! — znowu ją objęła i pocałowała w policzek, perfumy owiały ją po raz drugi. — Kochana pani Zosiu! Niech się pani uśmiechnie. Martwi się pani, mając takiego męża...

Opuszczała ten pokój nie uzyskawszy nic z tego, co miała nadzieję uzyskać — Olszanka była jednak najlepszym miejscem dla spotkań, progiem leśnym przed wielkim masywem borów janowskich i lipskich, przed Puszczą Solską.

Ma teraz przed sobą tę mapę, rozpiętą na całej ścianie za plecami młodziutkiego kustosza muzeum. Być może przybył tu od razu po studiach i inaczej wyobrażał sobie swoją pracę, gromadzenie eksponatów — miało to być muzeum etnograficzne okręgu, muzeum zabytków dawnej kultury ludowej, ślad materialnego rozwoju na przestrzeni wieków, a zamieniło się w surowe, oskarżające, bolesne i wciąż parujące krwią na-gromadzenie świadectw pięciu lat najświeższej historii, najgorszych, najbardziej opła-kanych pięciu lat tej ziemi...

— Pan pochodzi stąd? — pyta, przerywając tę ożywioną rozmowę, którą wie dzie Agnieszka, rozpromieniona pod spojrzeniami obydwu młodych ludzi.

Świeżo upieczony magister historii sztuki wydaje się nieco speszony. — Och nie.

Z Krakowa.

— A rodzice?

— Też z Krakowa oczywiście.

Co to znaczy „oczywiście”? Nie wiadomo dlaczego coś zgrzytliwie zadźwięczało jej w tym słowie. Oczywiście... A więc nawet nie opowiedzieli mu, ci, którym najbardziej chciałby wierzyć. Ale przecież Andrzej powiedział: „Nie, nie opowiadaj mu.

Niech nie wie..."

Rozwiesił jednak tę mapę na ścianie poza swoimi plecami i nawet stare portrety Borowieckich z szesnastego i osiemnastego wieku i kareta sprowadzona z Wiednia na początku dziewiętnastego od słynnego powoźnika, który robił karety dla Habsburgów, nie wydawały mu się eksponatami tak cennymi, jak garść łusek od naboju znad Branwi, kilka odłamków granatów z Porytowego Wzgórza i dwa paski skórzane, którymi przywiązano wysoko do pni rannych żołnierzy po klęsce nad Tanwią, znalezione tam w roku pięćdziesiątym szóstym po wielkim pożarze puszczy obok spadłych z drzew kości.

Może gdzieś tam, myśli Zofia, starając się przynajmniej wyrazem twarzy uczestniczyć w rozmowie, może gdzieś tam... Ale nie przyjechała tu po to, żeby wpatrywać się teraz w tę mapę, w tę sieć dróg, które przez pięć lat były tętniącymi żyłami powalonego człowieka, powalonego, ale dźwigającego się, padającego i wstającego znowu, miażdżonego, wykrwawionego do ostatka, ale nie zabitego, nie zabitego ani na jedną minutę. — Dziękuję panu — mówi nagle i czerwieni się, bo wie, że nie może

im wy-tłumaczyć, dlaczego to powiedziała.

— Mamo! — pośpiesza jej na ratunek Agnieszka. — Wyobraź sobie, że jest tu jednak hotelik PTTK i nawet mała restauracja.

— Zaznaczam, że skromna — uważa za słuszne uprzedzić ich gospodarz.

— Och, panie magistrze, nie mamy zbyt dużych wymagań.

— Pokoje także raczej spartańskie. Lewe skrzydło pałacu zostało przebudowane jeszcze na potrzeby Domu Dziecka. Pałac jako budowla ucierpiał bardzo w okresie tych dwudziestu pięciu lat, kiedy tu przebywało przez cały. czas przynajmniej osiemdziesięcioro dzieci.

— Znałam pierwszych mieszkańców tego domu.

— Pani?

— Tak. Dzieci z Zamojszczyzny.

— Co to Zamojszczyzna? — chce wiedzieć Renato.

— Ojciec to panu opowie. Niemcy chcieli tu zrobić pierwszy okręg osiedleńczy, dla volksdeutschów z Besarabii i Bośni, ale przedtem trzeba było oczyścić wiele wsi z Polaków. Oczyścić, rozumie pan?

— Rozumiem — mówi Renato i po raz trzeci, odkąd się znają, denerwuje tym Agnieszkę. Nie reaguje jednak na to, tak jak poprzednio, dosadnym epitetem, zatrzymanym na szczęście w myślach, ale błagalnie podnosi oczy na matkę: — Nie masz chyba zamiaru o tym opowiadać?

— Nie. Nie mam tego zamiaru. Ale Renato pytał... Mieszkały więc tu najpierw dzieci ocalałe z wymordowanych wsi, wykradzione z obozu w Zamościu, z transportu kolejowego... Opiekował się nimi jakiś człowiek bez ręki, były żołnierz pierwszej armii. On to usunął z pałacu panią Borowiecką.

Kustosz schyla się i wyciąga dolną szufladę biurka. Wyjmuje z niej okazałą księ-

gę, oprawioną w szare, zbrudzone płótno. — Nazywał się Kazimierz Białas.

Od pierwszego do ostatniego dnia tutaj prowadził tę księgę. Może to państwa za-interesuje?

— Mnie bardzo! — Wzięła od młodego człowieka ciężki foliał, złożyła go sobie na kolanach, nie zajrzała do środka. Nie teraz..., myśli z dziwnym ściśnięciem serca.

Nie przy nich...

— Jest tam także wiele wzmianek o Jamrozu — ciągnie dalej kustosz lichnowieckiego muzeum. — To legendarny dowódca jednego z leśnych oddziałów. Przez całą wojnę zachował zupełną niezależność. Nie przyłączył się ani do GL, ani do Batalionów Chłopskich. Przez pewien czas działał łącznie z AK, ale ostatecznie nie podpo-rządkował się majorowi „Kalinie”, dowódcy zamojskiego

okręgu, i całe szczęście, bo dzięki temu uniknął masakry nad Tanwią.

— Wiem — mówi tylko, spuściwszy głowę.

— Uniknął masakry nad Tanwią, uratował wszystkich swoich żołnierzy...

— Prawie wszystkich — przerywa mu cicho.

— No oczywiście — prostuje magister — na wojnie ludzie giną. Ale oddział do-trwał do wyzwolenia w dość pokaźnym składzie. Nękał potem Lichnowiec przez długie miesiące, dopóki w końcu Białas nie usunął stąd pani Borowieckiej.

— I co się z nią stało? — pyta Renato, któremu Agnieszka tłumaczy ważniejsze fragmenty rozmowy.

— Starsza pani Borowiecka, bo ona tu była tylko z wnuczką, wkrótce umarła, chyba u swego dawnego kucharza w Janowie, u którego zamieszkała. Młoda zginęła w powstaniu, zaskoczyło ją w Warszawie. Zresztą — wskazał oczyma księgę — tam wszystko jest opisane. A Jamroż, co najdziwniejsze, wyprowadził w końcu swoich ludzi z lasu, pozwolił im wziąć udział w parcelacji, a może już go wcale o to nie pytali, a sam został w pałacu, w Domu Dziecka, prawą ręką Białasa, po zlikwidowaniu Domu mieszkają teraz obydwaj w Kraśniku.

— Wszystko to sobie przeczytam — powiedziała wstając.

Renato z ulgą podrywa się także. — Może byśmy jednak coś zjedli? — mówi do Agnieszki.

— Już? A przysięgałeś się „Pod Łasiczką”, że po tych kurczętach nie tkniesz nic do wieczora.

— Ale mama jest głodna!

Powiedział to bardzo ładnie, uśmiechnęła się do niego. — Wszyscy jesteśmy głodni i jeśli tylko dostaniemy coś w tej restauracji...

— Proszę z nami! — zwraca się Agnieszka do kustosza.

— Dziękuję! — młody człowiek jest wyraźnie speszony. Nagły rumieniec wzbudza podejrzenie, że przestraszyła go niepewność, czy przypadkiem nie został gospodarzem przyjęcia.

— Zapraszamy pana! — niezręcznie wyjaśnia sytuację Agnieszka.

Teraz jest oczywiste, że nie może skorzystać z zaproszenia, tłumaczy się brakiem czasu, jakimiś ważnymi sprawami, które ma natychmiast do załatwienia, choć muzeum jest idealnie puste i tylko oni zakłócili jego spokój.

— Może wobec tego przynajmniej śniadanie zjemy jutro razem — załagadza jakoś tę niezręczność Zofia, przyjmując uśmiech wdzięczności od młodego człowieka. —

Zachowałaś się idiotycznie! — mówi do córki, gdy wychodzą z zielonego gabinetu.

— Wiem — przyznaje ze skruchą Agnieszka. — Dobrze, że Renato tego nie zrozumiał. — Wsuwa mu rękę rod ramię, zagląda w oczy. — Prawda, że nie rozumiałeś, o co tu szło przed chwilą?

— Nie.

— No to dobrze. Chciałabym wyjść za mąż za cudzoziemca, który przez całe życie nie mógłby się nauczyć polskiego.

— Czy nie prościej byłoby unikać gaf?

— Och, mamó! — Agnieszka całuje matkę. Renato także nadstawia policzek i obdarzony zostaje leciutkim cmoknięciem z daleka. — Przestańmy o tym mówić i chodźmy jeść.

Restauracja na dole w lewym skrzydle pałacu okazuje się schludnym, prawie domowym pomieszczeniem bez woni frytury i piwa. Od służbowego stolika podrywa się od razu młodziutka kelnerka, a w okienku łączącym lokal z kuchnią zakwita rumiane oblicze kucharki. Są oczywiście jedynymi gośćmi i — niewdzięcznicy! — zamiast radości zaczynają okazywać niepokój.

— Dlaczego tu tak pusto? — pyta Agnieszka.

Młodziutka kelnerka podaje kartę. — Bo wcześniej.

Z cukrowni zaczynają się schodzić o drugiej, a z tartaku o trzeciej.

Agnieszka zerka na zegarek. — Mamy wobec tego pół godziny. Co pani poleca?

— Wszystko polecam — odpowiada dziewczyna.

— Niebywałe! Spotykają nas w tej podróży same niespodzianki. Najpierw „Łasiczka”, a teraz ta kategoria turystyczna pałacowej bądź co bądź restauracji. Ale co wobec tego pani poleca najbardziej?

Dziewczę w czarnej sukience i białym, obszytym koronką fartuszką zamyśla się, a potem decyduje nagle: — Zapytam kucharki!

— Ona mi się śni! — mówi Agnieszka do matki, rozmawiają po polsku, obydwie zgodne są co do tego, że Renato nie musi uczestniczyć w tych gastronomicznych rozmowach, za wiele trzeba by mu tłumaczyć i narzekać przed nim na to, na co jednak wypada narzekać tylko między sobą. — Mamó, ona mi się chyba śni!

— Poczekaj z zachwytaami, aż zobaczysz coś na talerzu,

— Masz rację!

Ale kelnerka ma zamiar w dalszym ciągu pozostać doskonałością. Wraca z promiennym uśmiechem, ma bardzo ładne zęby i oczywiście wie o tym. — Kucharka poleca sznycle cielęce z zieloną sałatą. Albo z mizerią.

— Mizeria o tej porze? — nie dowierza Agnieszka. — Pewnie mrożonka?

— Ze szklarni. Z Lichnowca wysyłaliśmy ogórki do Warszawy już w marcu.

— Ja zamawiam sznycel z sałatą — przecina tę dyskusję Zofia. — A pan? —
zwraca się do Renata.

— Ja to samo.

— Trzy sznycle z sałatą — zamawia Agnieszka. — Jeden z podwójną porcją.

— Dla ciebie? — dziwi się matka.

— Dla Renata. Nie wiesz, że Włosi to króliki?

— Co powiedziała? — Renato przenosi pytający wzrok z Agnieszki na Zofię.

— Nie musisz wiedzieć!

— Coś złego?

— Coś bardzo miłego. Porównała Włochów do królików. Ze względu na sałatę oczywiście.

Renato zaczyna się śmiać, niezbyt jednak szczerze, -prawdopodobnie w myśli zastanawia się nad tym, czy porównanie istotnie jest tak miłe. Agnieszka chce go o tym przekonać i śmieje się także.

— Moje dzieci! — mówi Zofia. — Moje dzieci! — Brzmi to pobłażliwie i nie zdradza jej myśli i jej żalu, że wtedy, kiedy Lucio leżał, gorączkując, na strychu w Olszance, w tych najgorszych dniach nie mogli przeczuwać, że kiedyś spotkają się tu jej córka i jego syn i wieść będą tak niedaleko od tego miejsca lekką, właściwą ich wiekowi rozmowę, nie pragnąc właściwie nic wiedzieć o tamtych, na szczęście nie im przeznaczonych, latach. Byłoby to pocieszenie najcudowniejsze z cudownych, o ileż łatwiej przyszłoby się godzić na każdy następny dzień, na wszystko, co miał przynieść, gdyby wiedzieli, że kiedyś... taka rozmowa przy stole... takie małe sprawy... taki śmiech... takie słońce za oknem... Nie! myśli nagle, to nieprawda! Nie mogło być żadnego pocieszenia! Odrzuciłaby je, gdyby nawet było możliwe, bo nie byłoby pocieszeniem, nigdy i w niczym nie było pocieszenia... Co z tego, że siedzą tu teraz, że się śmieją, że plotą głupstwa... to przecież niczego nie wynagradza, niczego nie zastępuje... Gorąco! — mówi do Agnieszki, zdejmując zakiet. Renato pomaga jej zawiesić go na krześle, pyta, czy nie napiłaby się wody, wydaje mu się, że poblądła. Siedzą przy oknie, w pełnym słońcu, które przez szybę grzeje jak w lipcu, dobrze, że jest ten pretekst, może jeszcze raz powiedzieć: — Gorąco! — dotknąć dłońmi czoła, a potem spleść je przed sobą na stole, mocno, kurczowo, żeby nie drżały.

Renato zrywa się jednak od stołu, przynosi butelkę wody sodowej, napełnia jej szklankę. Nie Agnieszka, ale on spostrzega, że ta wesołość przy stole, która udała im się przed chwilą, to pozór, że nie można wyminąć dawnego czasu w miejscach, do których się nagle wróciło — nie tylko z innych miejsc, ale i z zapomnienia. Patrzy, trochę zasmucony, na kobietę siedzącą przed nim, wydaje mu się,

że coś, co uważał za proste, nie jest proste, dręczy go ta komplikacja, coś się gmatwa, coś zaczyna boleć...

Widzi przed sobą jej ręce, zgięte, zaciśnięte palce — ojciec pamiętał je do dziś na swoim czole, na piersiach, gdy sprawdzała, czy ma gorączkę, czy się nie spocił, zapewne zapomniał wiele innych, które dotykały go potem. Dlaczego ją kochał? Czy dlatego, że jej nigdy nie zdobył? Ze pozostała wierna temu, na którego czekała? Była to jedyna dziewczyna, z którą się zetknął po dwóch latach nieoglądania kobiet, na któ-

wą patrzył dzień w dzień, czuł jej oddech, jej ciepło, gdy pochylała się nad nim, słyszał

jej głos, wymawiający jego imię, więc też obraz, który mu przekazał, był widzeniem człowieka wiernego pierwszemu olśnieniu: czarny warkocz nad czołem, pod nim brą-

zowe oczy sarny, policzki gromadzące cień w tych cudownych wklęsnięciach między uchem a ustami, wysoki, smukły, odsłonięty kark, szczupłość ramion, lekkość i spokój, z jakim się poruszała, piękność i dobroć, dobroć i piękność — to musiało się w końcu pomieszać jakoś ze sobą, była jedyną kobietą, z którą się zetknął po dwóch latach.,.

Teraz pod oknem dawnego pałacu, przy stole nakrytym ludowym obrusem, siedziała z dłońmi zaciśniętymi na nim kurczowo niemłoda już kobieta, ale o tym samym wysokim, smukłym, odsłoniętym karku, o oczach, które zachowały swój dawny wyraz, o policzkach jak dawniej gromadzących cień w owych cudownych wklęsłościach między ustami a małymi, ślicznie przylegającymi do czaszki uszami... Wiec zawsze będzie się tęskniło do kobiety, której się nie miało? myśli Renato i rumieni się gwał-

townie, bo pragnienie, które w nim wzbudza Agnieszka, wydaje mu się nagle uświadomioną obsesją, potrzebą rekompensaty za wszystkie nie urzeczywistnione marzenia ojca. Nie, myśli w popłochu, nie! Zwróciłem na nią uwagę już wtedy, gdy jeszcze nie wiedziałem, kim jest. Siedziała w samochodzie przed cmentarzem, wystawiła nogi na słońce...

— O czym myślisz? — pyta Agnieszka. — Właściwie powinnam zapytać: o czym myślicie, bo i mama zamilkła. Jeśli ja nie podtrzymuję rozmowy...

— Błagam cię, rob to! — wykrzykuje Renato. Nie wiadomo, czy żartuje, czy my-

śli tak na serio. Przygląda się teraz Agnieszce, usiłuje oddalić niepokój sprzed chwili.

Ona sama jest tą zupełną wartością, dla której...

— Cudowny dzień, prawda? — mówi Zofia.

— Cudowny! — zgadzają się oboje.

— Nie żałuje pan, że namówiłam pana na tę wycieczkę?

— Skądże znowu? — Renato aż unosi się na krześle. Opowiem o wszystkim oj-cu... Opowiem o

wszystkim ojcu — powtarza i naprawdę wyobraża sobie taką chwilę, zupełnie osobną, bez żadnych dziewczyn, bez Carli u boku ojca, która wszystko, wszystko by zepsuła, chwilę tylko dla nich dwóch i dla tej niezwyklej dawności, którą miał nadzieję ze sobą przywieźć.

— I znowu zamilkłeś! — protestuje Agnieszka, — Co się z tobą dzieje?

Ciekawe, myśli Renato, odpowiadając jej tylko uśmiechem, jak długo będę ją pa-miętał i czy będę miał ku temu jakiś powód...?

W kuchni smażą się sznycle — w końcu przychodzą i takie chwile, kiedy ceni się bardziej woń przyrumienionego na patelni mięsa od zapachu kwiatów — wszyscy spoglądają w kuchenne okienko, a gdy pojawiają się w nim talerze, Agnieszka i Renato wydają indiańskie okrzyki. Sznycle są naprawdę znakomite, sałata świeża i krucha, gdy w okienku ukazuje się twarz kucharki, ciekawej efektu, jaki na gościach wywarły jej starania, Agnieszka posyła jej dłonią całusa. — I ona mi się śni — mówi do matki.

— A najgorsze, że jeśli opowiem o tym w Warszawie, nikt mi nie uwierzy.

— Nikt ci nie uwierzy — potwierdza matka.

— Co robimy po obiedzie? — pyta Renato.

Agnieszka patrzy pytająco na matkę. — To zależy od mamy.

— Zakwaterujemy się w hoteliku i, jeśli o mnie chodzi, chciałabym trochę odpocząć. Mam poza tym tę księgę — wskazuje wzrokiem płócienny foliał, leżący na krze-

śle. — Zajrzę do niej...

— Czy... — Agnieszka pochyła się nad stołem, zagląda matce w oczy, zdumiewa ją, że nigdy w podobnych sytuacjach nie czuła się tak skępowana — ...czy mogliby-

śmy z Renatem wyskoczyć na kilka godzin do Kazimierza? Wrócimy na kolację.

— Ależ oczywiście — godzi się Zofia skwapliwie. — Jedźcie! Tylko proszę —

zwraca się do Renata — niech jednak Agnieszka nie prowadzi. Nie jest przyzwyczajona do tak szybkiego wozu.

— Och, mamó! — woła Agnieszka, tracąc od razu całą przymilność i pokorę. —

Do niczego nie jest się na początku przyzwyczajonym, a świat nie składa się z samych katastrof.

— W każdym razie uważaj!

— Dobrze, dobrze — mruczy Agnieszka.

Idą potem na górę, do hoteliku. Czekają na recepcjonistkę, która nie spodziewając się gości poszła na obiad, i w końcu oglądają te pokoje, istotnie spartańskie, ale czyste i pachnące drewnem nowych mebli, pokoje tak dokładnie odebrane dawnemu czasowi, że nie chce się wierzyć, aby mieszkali tu kiedyś ludzie związani z Lichnowcem na dłużej niż na kilka dni.

— Państwo razem? — pyta recepcjonistka.

— Och nie — zaprzecza Zofia. — O ile możliwe, prosilibyśmy o trzy oddzielne pokoje.

Palce Renata zaciskają się na dłoni Agnieszki; stoją za piecami Zofii w drzwiach recepcji, para przyciszonych złodziei, która nie pcha się na plan pierwszy, nie ściąga na siebie podejrzeń żądaniem jakichś ułatwień dla swoich zamierzeń.

— Oczywiście o ile to możliwe — powtarza Zofią.

— Dlaczego nie? — recepcjonistka podaje im druczki do wypełnienia. — Cały hotel pusty. Dopiero w czerwcu się zacznie. W rocznicę tych wielkich bitew w naszych lasach. Teraz spokój, mogą państwo spać każde osobno.

— Dziękuję — mówi Zofia, znów ona, a nie tamtych dwoje. — Dziękuję bardzo.

Z jej pokoju widać aleję wjazdową do pałacu, gazon, podjazd i schody do głównych drzwi. Weszli tutaj bocznymi, oddanymi na użytek hotelu i restauracji, tymi, ku którym, omijając kuchenne, skierowali się z Andrzejem pierwszego dnia po dotarciu do Lichnowca. Teraz każde drzwi były dobre, żeby mógł przez nie wejść człowiek, nie ma błota wokół pałacu i właściwie, myśli Zofia, gdyby nie ten jeden żal, wspominałoby się to wszystko z ulgą, z ogromną ulgą, że minęło. — Jedźcie! — mówi do Agnieszki i Renata, nie patrząc na nich. Tam w dole jest alejka, którą szła z Andrzejem. Krwawiły jej nogi, upadała ze zmęczenia, ale on był z nią, i teraz chce się jej my-

śleć tylko o tym, o niczym więcej.

12

Wbrew obawom Jamroż po wygojeniu rany nie pokazał się przez kilka miesięcy.

Nastała zima — druga już w Olszance — a z nią nowe zmartwienia i niepokoje. Za-częły się kradzieże drzewa w lesie, żywność podrożała i było o nią coraz trudniej.

Chłopi, nękani kontyngentami, nie płacili teraz Andrzejowi tak hojnie, jak dawniej, mąką, kaszą czy mięsem. Zdarzało się, że wizyty u chorych nie przynosiły nie tylko żadnego honorarium, ale jeszcze wyszarpywały z kieszeni doktora ostatnie pieniądze na lekarstwa, których także nie zdobywało się łatwo, choćby ze względu na brak oficjalnych recept. Najłatwiej było o wódkę, ta płynęła dla wszystkich dostępnym strumieniem, i z łaski okupanta jako główna odpłatność za dostawy, i w wyniku ludzkiej przedsiębiorczości, w każdej wsi było przynajmniej po dwie bimbrownie, pędzono wódkę z czego się dało, z ziemniaków, z cukru, ze zboża.

W spizarni w Olszance zrobiło się teraz ciasno od butelek.

— Chyba się nie rozpijemy — mówił Andrzej.

Emil krzywił się, nie miał gustu do alkoholu, choć tej zimy wąs mu się już sypnął pod nosem, a broda stała się chropowata i szorstka.

— Ja bym to świństwo wyrzucił.

— Zostaw! Nie wiadomo, co się kiedy może przydać.

Na razie Emil używał spirytusu do odkażania lekarskich narzędzi i stawiania ba-niek, gdy zaczęły się na wsi pierwsze przeziębienia u dzieci. Doktor wzywany był

prawie co dnia, ale coraz mniej cieszyła go ta popularność.

Emil miał na ten temat swoje zdanie: — Przed wojną nim kto na wsi doktora wezwał, dziesięć razy się przedtem namyślił. A teraz, jak wiedzą, że nie muszą płacić...

— Przecież im tego nie mówiłem.

— Ale wiedzą! Wiedzą, że pan o pieniądze nie zapyta. Co godzinę będą pana do-każdś wzywać...

— A mogę nie iść...?

— Nie wiem. Ale coś tu jest nie tak — chłopak kręcił głową. — Na pewno nie tak.

— Wymyśl, jak powinienem postępować.

— Pan doktor żartuje, ale przecież tak nie może być. Nic dobrego z tego nie wyjdzie.

— Wiem — powiedział Andrzej. — Wiem.

Któregoś dnia po południu, gdy siedzieli już wszyscy w domu, a w piecu huczał

ogień, podsycany wciąż przez Emila nowymi polanami, zapukał ktoś do drzwi i roze-spana w blasku płomieni Diana dopiero teraz rozpoczęła podniecone ujadanie.

— Otworzyć? — zapytał Emil, zawsze niechętny niespodziewanym gościom.

— Otwórz!

Wycofywała się zwykle do drugiego pokoju, bo jej stan stawał się już widoczny i krępowały ją zaciekawione spojrzenia — teraz jednak została, wsparta o piec czekała, tak jak Andrzej, aby ukazał się w drzwiach ten, kto zakłócał ich spokój.

— Do pana — powiedział Emil, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi.

— W sprawie drewna? — spytał Andrzej.

— Nie, nie w sprawie drewna — odpowiedział młody, bardzo młody człowiek, w długich oficerkach i kurtce z futrzanym kołnierzem. Wszedł za Emilem, zamknął

drzwi. Ukłonił się. Chwila wahania była jakby miejscem na inny rodzaj powitania, ale nie przedstawił się, nie wyciągnął ręki. — Znalazłem się tu przypadkowo... przepraszam, czy mógłbym się ogrzać i odpocząć.

— Ależ proszę! — Andrzej podsunął mu krzesło. — Nie jest pan głodny?

— Nie, nie — zaprzeczył tamten stanowczo. — Dziękuję. Jadłem niedawno.

Usiadł, rozejrzał się dyskretnie po pokoju. Nie wyglądał na zmęczonego, buty —

dobrze wyczyszczone — tylko dołem, przy samych przyszwach, nosiły ślady zimowej wędrowki do Olszanki. — Mróz! — powiedział, żeby przerwać kłopotliwe milczenie.

— Tak — nie pomogli mu w nawiązaniu rozmowy.

— Chyba z dwadzieścia stopni?

— Chyba — odpowiedział tym razem tylko Andrzej.

— Jeszcze pewnie potrzyma, chociaż już niedługo marzec.

Teraz nikt się już nie odezwał, cisza zapanowała bezwzględna i ostateczna. Emil ruszył się ciężko od drzwi, zbliżył się do pieca i zaczął znów ładować do niego drzewo, choć nie było to jeszcze konieczne. Diana, obwąchująca nieufnie gościa, straciła naraz całe dla niego zainteresowanie i zwała się na swoje dawne miejsce przed piecem.

— Panie doktorze — zaczął cicho przybyły, nie patrząc na nikogo.

— Pan jest ranny? — przestraszył się Andrzej.

— Ja? — młody człowiek dopiero teraz podniósł głowę. — Ja? — zdumiał się. —

Dlaczego miałbym być ranny...? Nie mieliśmy jeszcze żadnej potyczki z Niemcami —

urwał, uśmiechnął się z zakłopotaniem, był naprawdę bardzo młody: uczeń ostatnich klas licealnych, student? — Złapaliśmy się obydwaj, i pan, i ja. Domyśla się pan, z czym przychodzę?

— Nie — powiedział twardo Andrzej.

— Panie doktorze — zaczął znowu tamten — na pewno się pan domyśla...

— A jednak nie.

— Nasz rząd w Londynie powołał do życia Związek Walki Zbrojnej.

— Jaki rząd?

Chłopak się stropił.

— Powiedziałem: nasz, polski rząd w Londynie. ZWZ zrzesza wszystkich Polaków pragnących walczyć z okupantem, wierzących w powstanie dawnej Polski...

Andrzej wstał, przerwał chłopakowi tę wygłaszaną z takim przejęciem lekcję, otworzył drzwi do drugiego pokoju. — Tam — powiedział — zastrzelił się ktoś, kto bardzo wierzył rządowi, ale zawiodła go wiara w powstanie dawnej Polski. Ja nie miałbym się nawet czym zastrzelić, a poza tym, jak pan widzi, moja żona spodziewa się dziecka. Naszemu domowi potrzebny jest przede wszystkim spokój.

Chłopak oblizwał suche wargi, nerwowym ruchem poprawił sobie włosy. — Więc to jednak... prawda?

— Co takiego?

— Że już wcześniej skaptowali pana tamci?

— Nie wiem, o czym pan mówi, a poza tym na pana miejscu, a jest to miejsce w moim domu, nie używałbym w stosunku do mnie słowa „skaptowali”.

— Przepraszam. Ale to niemożliwe, żeby pan był z nimi. Hasła, które głoszą...

Chciałby pan żyć w takiej Polsce, w której...

— Nie wiem, z kim rozmawiam — przerwał mu Andrzej. — Pan wybaczy...

Chłopak zerwał się, stuknął obcasami, wymienił jakieś nazwisko na -ski, Andrzej do niego się uśmiechnął, wściekły przed chwilą, poczuł się rozbrojony tą rycerską naiwnością.

— A teraz pan sądzi, że już się znamy i że powinienem otworzyć przed panem du-szę?

— Panie doktorze! — spróbował chłopak jeszcze raz. — Inteligencja polska... —

Był coraz bardziej dziecinny i wzruszający.

— Drogi chłopcze, wiem wystarczająco dużo o inteligencji polskiej. Nie wiem natomiast, czy ma pan powrotny pociąg do Lublina. Gdzie pan będzie nocował?

Chłopak wstał, speszony. Znowu oblizwał wargi, dotknął dłonią włosów. — Mam kilka adresów w Lichnowcu.

— Aha! Lepiej niech je pan zniszczy i prześpi się tutaj. Bezpieczniej niż pod tymi adresami. Jeśli naprawdę... jest pan tym, kto powinien się bać...

— Pan mi nie wierzy? — szarpnął się chłopak.

— Nie usiłuję. I nie muszę. Dla mnie jest pan człowiekiem, którego nie wypuszczę z domu na dwudziestostopniowy mróz tylko dlatego, że go nie znam, a on nieopatrznie wybrał się w drogę. Niech pan tego nie robi na przyszłość.

— Dostałem rozkaz.

— Nierozsądny. Niech pana Bóg ma w swojej opiece pod takimi rozkazami. Nie ma pan broni?

— Nie. Dziś nie.

— Chyba pan rozumie, że mam prawo o to zapytać. Mógł przecież ktoś pana śle-dzić.

— Byłem ostrożny.

— Ile pan ma lat?

— Dziewiętnaście.

Nie zmrużyli oka tej nocy. Gość spał w pokoju Emila, słyszeli, jak przewraca się na łóżku, również nie mogąc zasnąć, za oknami w lesie coś szumiało i trzeszczało, deptało i biegło, piszczało, jęczało i szczekało, nawoływało różnymi głosami nocy.

Jak ciche wystrzały dochodziło z daleka pęknięcie starych drzew na mrozie.

Około północy zapukał ktoś w okno. Cicho, z wyraźną intencją, żeby ich nie przestraszyć, trzy razy.

Wiedzieli od razu, że to Jamroź.

— Akurat dziś! — szepnął Andrzej wstając.

Usłyszeli, jak w drugim pokoju gwałtownie skrzypnęło łóżko. Andrzej otworzył

drzwi i powiedział w ciemność: — Niech się pan nie boi — a potem zamknął je cicho i poszedł otworzyć Jamroźowi. Zatrzymał go w kuchni. Emil wyskoczył spod baranicy na ławie, zapalił lampę. Ona wyszła także do kuchni, w pośpiechu narzucając szlafrok.

Czuła strach w gardle, jak zbierający się kłęb płaczu.

Jamroź wszedł oszroniały od mrozu, ale kozuch miał porządny, futrzaną czapę i długie buty. Otrzeptał przy progu nogi ze śniegu, roztarł ręce. — Ależ mróz! — zawo-

łał.

Wszyscy spoglądali na niego pytająco. Emil nie schylił się po drzewo, żeby rozpalić pod blachą, jak to zawsze zwykł czynić, gdy zjawił się ktoś z mrozu, tylko stał i czekał, żeby tamten powiedział

wreszcie, po co przyszedł.

Jamroż patrzył na nią. Nie skrywała przed nim swego stanu, tak jak nieraz czyniła to przed innymi, osłaniając się kożuszką lub chustką. Widział więc, co z nią jest, i od razu jakoś to właściwie rozumiał.

— Przykro mi, pani Zofio — powiedział — ale muszę na kilka godzin zabrać pani męża.

Nie odezwała się. Andrzej milczał także.

Jamroż zrzucił kożuch, usiadł na ławie, oparł ciężko ręce o kolana. — Nie odwa-

żyłbym się niepokoić, gdyby to nie było konieczne. W najwyższym stopniu konieczne. Chodzi o życie człowieka.

— Co się stało? — zapytał Andrzej.

— Jeden z moich ludzi potrzebuje pana pomocy.

— Ranny?

Jamroż trzepnął się dłońmi po udach. — Żeby to chociaż to! Nie widzieliśmy Niemców na oczy, nie zapuszczają się tak daleko w las, a ja na razie nie pozwalam nikomu oddalać się od obozowiska. Apropozycją zajmuję się sam. Brzuch go boli! —

wybuchnął. — Zwyczajnie brzuch! Chłop wije się z bólu. Na moje rozeznanie będzie to albo skręt kiszek, albo wyrostek.

— Przynieś mi moje buty — powiedział Andrzej do Emila. — I przygotuj narzędzia.

— Pójdę z panem doktorem — szepnął Emil.

Żaden z nich nie patrzył w jej stronę.

— Przyjechałem konno — powiedział Jamroż, — To jednak około trzydziestu kilometrów. Za...

Andrzej przyłożył palec do ust, oczyma wskazał drzwi. — Mamy gościa.

— Kogo? — szarpnął się Jamroż.

— Żebym to wiedział! Jakiś młody człowiek, który usiłował namówić mnie do walki zbrojnej. Pojęcia nie mam, kto go tu przysłał.

— Zatrzymał go pan na noc?

— A co miałem zrobić? Chłopak ma dziewiętnaście lat.

— A jednak — powiedział Jamroz po długiej chwili — będę musiał zabrać go ze sobą.

— Dlaczego?

— Jak mu się wytłumaczy rano pana zniknięcie?

Zamilkli, porażeni tą samą myślą.

— W końcu naprawdę pan nie wie, kim on jest...

— To straszne, jeśli dochodzi do tego, że tak bardzo nie możemy sobie ufać —

powiedział Andrzej z pochyloną głową.

— Nie możemy — mruknął Jamroz. — Bardzo wiele ludzi, z którymi siedziałem w więzieniu, to zasypani przez swoich. Przeważnie jeszcze jakieś przedwojenne porachunki. Dużo wysiłku kosztuje mnie teraz, żeby powstrzymać w nich chęć zemsty.

Marzy im się przynajmniej jakieś podpalenie.

— Straszne! — powtórzył Andrzej.

— Więc tego chłopaczka, tak rwącego się do walki zbrojnej, chyba lepiej będzie jednak zabrać ze sobą. Będzie miał to, czego chciał.

— Ale... przecież... czeka ktoś na niego, ma na pewno rodziców... Będą myśleli, że zginął...

— Trudno, jest wojna. Co mamy do wyboru? Niech pan pomyśli o swojej rodzinie, doktorze. A może to jednak...

— Nie! — odezwała się nagle. Ruszyła się od pieca, podeszła do mężczyzn.

Przedtem myślała tylko o tym, żeby zatrzymać Andrzeja, zacząć płakać, rzucić się na ziemię, nie puścić, nie puścić go! Tamten człowiek, wijący się z bólu gdzieś tam w lesie, może się po prostu czegoś objadł, może dorwał się po dniach głodu do kapusty, grochu lub świeżego chleba, odejdą go wiatry, ulży sobie i już nie będzie wił się z bó-

lę, a Andrzej trzydzieści kilometrów w taki mróz, trzydzieści kilometrów w jedną stronę pod mroźny wiatr, pod wszystko, co się w drodze może zdarzyć, i tylko dlatego, że jest lekarzem, lekarzem znającym swój obowiązek... Chciała im to wszystko powiedzieć, wykrzyczeć, wypłakać, ale teraz oczy miała suche, a głos spokojny: —

Nie! Jego na pewno nie ma co się bać. Nie pozwolę, żeby go pan zabrał!

— Zosiu! — powiedział cicho Andrzej. Objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie.

— Połóż się!

I co? — krzyknęła. — I będę tam leżeć i nadśłuchiwać, o czym tutaj mówicie, co postanawiacie. Nie! Nie pozwalam go zabrać! Przecież poznać po nim, że nie wytrzyma lasu, nie wiem, czy dzisiaj nie jest w nim po raz pierwszy.

— Czy pani zdaje sobie sprawę... — zaczął Jamroź.

— Zdaję sobie sprawę. — Wyprostowała się, splotła ręce na brzuchu gestem zapamiętanym przed rokiem u młodej pani Borowieckiej. — Doskonale zdaję sobie sprawę ze wszystkiego. Także i z tego, że są w okolicy i inni lekarze, do których mógłby się pan zwrócić o pomoc.

— Zosiu! — powtórzył znów Andrzej błagalnie.

— Dobrze. Jedź. A w jaki sposób, ciekawa jestem, pan Jamroź cię zabierze?

— Trzeba będzie osiodłać Achillesa.

— Achillesa? Na taki mróz Achillesa?

— Nie zapominaj, że jednak chodzi o życie człowieka.

— Chłop może dostał kolki po kapuście, niedługo pewnie mu przejdzie, a jeśli coś się stanie Achillesowi, kto będzie za to odpowiadał przed panią Borowiecką...?

— Ja — powiedział twardo Jamroź,

— Przed młodą panią Borowiecką!

— Także ja — podkreślił z naciskiem.

— Zosiu! — Andrzej objął ją, pocałował w czoło. — Rozumiesz przecież, że mu-szę. To w końcu tylko trzydzieści kilometrów...

— Jedź! — powiedziała, odsuwając się od niego. — Usłyszałeś przecież, że ktoś jęczy... Andrzej!

— zawołała nagle, zarzucając mu ręce na szyję. Całowała go szyb-kimi, gwałtownymi pocałunkami.

— Wracaj prędko! Wracaj zaraz, jak tylko będziesz mógł!

— Oczywiście, że wrócę natychmiast. — Emil! — zwrócił się do chłopca. — Siodło na Achillesa i grubą derkę. I... — ściszył głos — uważaj na panią. Przez cały czas, dopóki nie wrócę, ani kroku z domu.

— Ani kroku — powtórzył Emil.

— A temu tam — skinął głową ku drzwiom prowadzącym do pokoju — powiedz-cie, że wezwano mnie na wieś do chorego.

— Mimo godziny policyjnej ?

— Za specjalną przepustką.

Ten z drugiego pokoju nie wyszedł wcześniej, dopóki na podwórzu nie umilkły głosy, dopóki nie oddalił się tętent koński; dopiero wtedy uchylił drzwi; kompletnie ubrany, w butach, a nawet w kurtce, z czapką w rękę. — Co to było? — zapytał drżą-

cym jeszcze z lęku głosem.

Uśmiechnęła się do niego. — Mąż powiedział panu, żeby się pan nie bał. Wezwano go do chorego.

— Teraz? Po nocy?

— Choroba nie czeka. Niech się pan położy.

— Już pewnie nie zasnę. Pójdę, jak się tylko rozwidni.

— Do świtu jeszcze daleko. Rodzice na pewno się martwią, że nie wrócił pan na noc.

Skinął tylko głową, przypomnienie rodziców sprawiło mu wyraźną przykrość.

— Nie uprzedzał pan, że będzie pan może musiał nocować?

— Uprzedzałem, ale matka jest najszcześniejsza, gdy jestem w domu.

— Pan najmłodszy?

Speszył się. — Skąd pani wie?

— Tak mi się to jakoś skojarzyło. Nie wygląda pan na najstarszego.

— Żartuje pani ze mnie.

— Ależ skąd. Po prostu tak sobie pomyślałam. Pan z Lublina?

— Z Lublina.

— Ma pan pociąg o wpół do siódmej rano. Zbudzę pana o piątej.

— Dziękuję.

— Przykro mi, że nie wykonał pan rozkazu... Bo rozumie pan chyba, że to ja jestem tego powodem?

Zwiesił głowę, zarumienił się. — Rozumiem.

— Musi pan powiedzieć, jak jest. Jaką pan zastał sytuację. Czy w ogóle można polecać coś takiego...?

— Ależ nikt tego mi nie polecał. Sam się zgłosiłem. Na ochotnika. Musimy powiększać nasze szeregi...

— I trafił pan aż do nas?

— Kolegę mam w Lichnowcu — powiedział cicho. — Uważał, że dobrze by było, żeby pan doktor był z nami.

— Też tak myślę.

— Też tak pani myśli? — ucieszył się.

— Tak. Też myślę, że dobrze by było, żeby był z nami. Ze mną i z Emilem. Chłopak stracił rodziców pod Zamościem jeszcze w październiku w trzydziestym dziewię-

tym. Teraz ma już tylko nas. A właściwie tylko jego, mego męża.

— Przepraszam — powiedział chłopak, jak się jej wydało, lekko pociągając nosem.

— Niechże więc pan powie komu trzeba, jak tu z nami jest.

— Przepraszam — powiedział jeszcze raz.

— Jak panu na imię?

— Stanisław.

— Matka mówi na pana Stasio?

— Stasio.

— A więc, panie Stasiu, niech pan idzie spać. Obudzę pana o piątej.

Położyła się także, ale wiedziała, że nie zaśnie. Nie zamykając oczu wpatrywała się w sufit bielejący nad głową. Z kuchni i z drugiego pokoju dochodziły głośne oddechy śpiących chłopców i posapywanie Diany, rozkoszującej się ciepłem przy piecu.

Było ich więc czworo i jeszcze to piąte życie w niej, to poruszające się już wyraźnie, kopiące matkę chyba w samo serce. Dumna była dzisiaj z niego, bo to przecież ono —

jeszcze nie narodzone — sprawiło, że Stasio nie poszedł z Jamiro- zem w las, że już jutro zobaczy go jego matka. Czując to kopanie w samo serce, wyobraziła sobie, jak czekać będzie tamta kobieta... jak będzie czekać... Oczy Diany pochylonej nad koszykiem z małymi, gdy z początku przerażeni zbyt dużym przychówkiem chcieli je po-topić, głos ptaka okrywającego skrzydłami swe pisklęta w gnieździe, Łaciatka ogromnym jęzorem liżąca ciele... — to było właśnie to, nikt nie mógł tego dać ani nauczyć, przychodziło samo, nowe, ale od razu zwyczajne, zrozumiałe, nieodzowne.

Mimo niepokoju o Andrzeja czuła się prawie szczęśliwa. Rano, zanim Emil się obudził, wstała, rozpałała ogień, zrobiła śniadanie i dopiero wtedy obudziła chłopców.

Obaj byli niewiele od niej młodszy, ale nie zdawała sobie z tego sprawy. Dojrzała w ciągu nocy swoją nową mądrością, jakby to nie ją tak jeszcze niedawno huśtała Leosia na swych okrągłych kolanach, układając menu na jej weselne przyjęcie: kwiczoły i tort pistacjowy...

Na śniadanie była zupa mleczna i po kawałku chleba, po jednej kromce tylko —

cały zapas zabrał Jamroź dla swoich ludzi. Kiedy Stasio odszedł, po rannej rozmowie prawie zaprzyjaźniony z Emilem, obydwójce zrozumieli, do czego potrzebna im była jego obecność. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, zaczęli czekać na Andrzeja.

Najpierw, ukrywając to przed sobą, pośród czynności zwykłych, narzuconych okre-

śloną porą dnia, potem z jawnym obumieraniem wszystkiego, co człowiek zaczynał, do czego się brał bez ochoty, bez nadziei, aby konieczne było skończenie, skoro on nie wracał, skoro on wciąż nie wracał...

Koło południa Emil zakrzętnął się koło kuchni i wyciągnął spod ławy ceratową torbę. — Skoczę na wieś. U Skoczylasów mieli piec dzisiaj chleb. Jak starego kolka sparła, pan doktor od obiadu poleciał, a grosza nie zapłacili.

— Czy pan doktor kazał ci się upominać o zapłatę?

— Nie kazał. Ale chleba w domu nie mamy...

— Zdaje się, że miałeś ani na krok nie oddalać się z domu. — Ale ja cię nie zatrzymuję...

— Nie pójdę — mruknął chłopak.

— Ależ idź!

— Nie pójdę.

— Tylko proszę cię, jeśli zostajesz to weź do ręki jakąś książkę, ucz się albo czytaj, a nie siedź tak z oczami w drzwiach, oszaleć od tego można.

— Pani też tak patrzy.

— Ja? — krzyknęła. — Ja!

Andrzej wrócił dopiero nad ranem następnego dnia, zmęczony, niewyspany, zmar-znięty, ale jakiś prawie szczęśliwy. Przeraziła ją ta nieledwie obłąkana radość w jego oczach, jakiej nie umiał przed nią ukryć, a trzeba było, trzeba było choćby dla tego powodu, który zaledwie zaczęła sobie uświadamiać.

— Będzie żył! — powtarzał. — Będzie żył. Ostry ptzypadek ślepej kiszki... no i operacja w tych warunkach, możesz sobie wyobrazić, dobrze, że spirytus miałem ze sobą...

— Oczywiście będziesz musiał tam przynajmniej jeszcze raz pojechać?

Nie zauważył nic szczególnego w jej głosie, umył ręce, odpowiedział wesoło: —

Przeszkoliłem trochę Jamroża, ale oczywiście przynajmniej raz będę musiał pojechać.

— Powinien cię wziąć na etat.

— Na etat? — nie zrozumiał złośliwości. — Kto?

— Jamroż. Któż by inny? Stajesz się nadwornym lekarzem jego grupy.

— Zosiu! — zmartwił się Andrzej. Podniósł znad miednicy twarz, w której oczy nie straciły jeszcze swego dawnego wyrazu. — Sądziłem, że zrozumiesz...

Była już przy nim, już całowała, obejmowała ramionami, gładziła jego kark, czoło, włosy... — Nie!

Nie! Nie! Przepraszam. Wróciłeś! Jesteś!

Emil, zawsze skrępowany ich czułościami, tym razem nie uciekał z kuchni. — Nie zmarł pan doktor?

— Nie.

— A Achilles?

— W drodze nie. A tam bardzo dbano o niego. Boże drogi! Jak ci biedni ludzie tam żyją!

Potem były długie opowieści o obozowisku Jamroża, opowieści, których Emil mógł słuchać bez końca, aż ją to złościło i niepokoiło zarazem, przerywała Andrzejowi, chłopka wysyłała po drzewo albo po cokolwiek na strych czy do spirażni.

— Przypatrz się tylko jego oczom — mówiła do Andrzeja.

Kiedy pojechał drugi raz, czekali tak samo, tylko nauczyli się już ukrywać to przed sobą. Emil mełł w ustach jakieś słowa łacińskie, a potem wargi mu nieruchomiały i przez godzinę nie przewracał kartki w zeszycie. Ona cerowała skarpetki, coraz wolniej poruszając igłą. Wracającego witali już spokojniej. Jak szybko rodziło się przyzwyczajenie w tych okrutnych czasach.

Chory w lesie przychodził do zdrowia. Jamroż go doglądał, zmieniał mu opatrunki. Sam powiedział, że nie trzeba już doktora fatygować. Drzewo od pani Borowieckiej pozwoliło im na postawienie kilku całkiem porządnymi to baraków, ni sza-

łasów, wysoko dla ciepła i zaciszości obsypanych ziemią. W każdym razie mieli zabezpieczenie przed deszczem, wiatrem i mrozem, we wszystkich pomieszczeniach można było palić ogień, a wtedy jeszcze samoloty niemieckie nie krążyły nad lasami, wypatrując dymu. Żywili się głównie zwierzyną, co dawało im także skóry na legowiska. Od czasu do czasu Jamroż wypuszczał się do którejś z okolicznych wsi, przywoził ziemniaki, kaszę, chleb — za pieniądze, w które zaopatrywała go pani Borowiecka, albo za tuszę dzika lub jelenia.

— Nie strzelają do Niemców? — dopytywał się rozczarowany Emil.

— Jeszcze nie.

— Dlaczego?

— Żeby zacząć strzelać, trzeba mieć pewność, że się zwycięży.

Rozmowa na ten temat z Jamrożem brzmiała nieco inaczej. Patrzył na swoich ludzi, łączących niemrawo po obozowisku i mówił: — Kiedy ja tych gnojzków strzelać nauczę? Kiedy ja z nich żołnierzy zrobię? Dostyc już tego siedzenia, chcę wreszcie zobaczyć, co potrafią.

Już nie mówili, że wojna zaraz się skończy. Już nie było żadnego zaczepienia dla tej nadziei.

— Niech pan uważa! — powiedział mu Andrzej na rozstanie.

Pod koniec lutego zainstalowano na błotnistym ryneczku w Lichnowcu potężny megafon. Nadawał komunikaty z Głównej Kwatery Fuhrera i zaraz na początku marca nadał ten, dla którego uczczenia mały norymberczyk w pałacu zażądał wina do obiadu: Niemcy przeszli Dunaj i wkroczyli do Bułgarii. Kwiecień był miesiącem wieści z Jugosławii: najpierw jej przystąpienie do paktu trzech, potem pucz wojskowych i bombardowanie Belgradu przez Niemców, a potem już co dnia wiadomości o systematycznym karaniu Jugosławii, o rzucaniu jej narodów na kolana — Andrzej i Emil, ilekroć wyruszali z Olszanki do Lichnowca, wracali dygocząc, mimo coraz wyraźniejszej wiosny, mimo coraz cieplejszych dni.

Ona gromadziła pieluszki i kaftaniki, mościła łóżeczko, jak ptak przejęty swoją wiosenną powinnością. Wyglądała już okropnie, tak przynajmniej sama mówiła o sobie, Andrzej wstrzymywał się od uwag na ten temat, Emil odwracał oczy, ilekroć zachodziła mu drogę swoim brzuchem. To chyba nie będzie takie duże, myślała z przerażeniem, ubierając się co rana. Wieści ze świata stawały się jakby odleglejsze, przytłumione.

Któregoś dnia Emil wrócił jednak z Lichnowca rozpromieniony.

Megafon na rynku milczał, a ludzie szeptali o czymś po kątach. Dowiedział się wreszcie od szewca, któremu zaniósł buty do podzelowania, że w nocy był napad na urząd gminny, że partyzanci — jakoś od razu została użyta ta nazwa — nie tylko zabrali kasę, ale i kwity kontyngentowe, spisy ludności, listy przygotowane do wywózki na roboty do Reichu. Urzędu nikt nie pilnował, napad odbył się bezkrwawo, żywiono więc nadzieję, że nie wywoła odwetu, jak w innych miejscowościach, gdzie ginęli żandarmi i granatowi. Potem coś podobnego zdarzyło się w sąsiedniej -gminie i w następnej, i w jeszcze jednej.

— Jamroz? — zastanawiał się Andrzej. — Może wreszcie zrobił z nich żołnierzy.

— Jak oni to robią...? — rozmyślał głośno, a właściwie marzył Emil. — Wychodzą z lasu... W nocy... Znają tu każdą ścieżkę, więc mogą iść w nocy, niepotrzebne im światło... Każdy ma broń... Jaką mają broń? — dopytywał się, podnosząc oczy na Andrzeja.

— Nie wiem, jaką mają teraz.

— Długą czy krótką?

— Powiedziałem, że nie wiem. Może teraz mają już krótką.

— Skąd by wzięli?

— Ruszyli się przecież z lasu.

— Ale i długa dobra?

— Oczywiście.

— Dobra! Na pewno dobra! — powtórzył Emil zamyślony.

Złapali go potem na tym, jak przeszukiwał strych, piwnice, obórkę, opukując każ-

dy kawałek ściany i podłogi, rozrzucając ziemię tam, gdzie wydawała się nierówno ubita. Przyłapany, odwracał oczy.

— Ani mi się waży dalej szukać — mówił Andrzej naprawdę zły. Nigdy nie karmił

Emila zbyt surowo, teraz po raz pierwszy miał ochotę go uderzyć. — Niestety chcesz sprowadzić? Akurat teraz.

Bo to już powinno się stać. Według precyzyjnych, jak się jej wydawało, obliczeń w tych właśnie dniach wiosennych, kiedy polany pociemniały od fiołków, a nad stawem w głębi lasu zakwitły kaczeńce. Mimo ociężałości starała się dużo chodzić, ale to nie skracało okresu czekania.

— Przeliczyłaś się, moja panno — próbował żartować Andrzej, ale zaczynał się już niepokoić. Nie oddalał się teraz z domu, starał się być zawsze na miejscu.

Od rana pytał: — Jak się czujesz?

— Świetnie — odpowiadała.

— Nie masz żadnych bólów?

— Nie.

— Na wsi — odezwał się Emil, nie patrząc w jej stronę — jest taka kobieta... Słyszałem, jak o niej rozmawiali.

— Oszalałeś! — przerwał mu Andrzej.

— Ja tylko mówię. Bo może pan doktor nie od tych spraw.

— Teraz jestem od wszystkiego — mruknął Andrzej i trzepnął palcami. Nie wiadomo, co to miało wyrażać, zniecierpliwienie, żal za utratą specjalności czy też dumę z samego siebie. — Od wszystkiego. Niedługo przejmę także obowiązki weterynarza.

— A tamta kobieta — Emil trzymał się uparcie swego tematu — to tylko od tego.

Wiem, że jak się młodsza siostra rodziła...

— Skończ z tym, dobrze?

— Dobrze — obraził się Emil.

Znów jeden dzień ;minął na oczekiwaniu, dzień i noc, której jednak nie przespali do rana, bo przed świtem zjawił się Jamroz.

Nie zostawił już, jak przedtem, konia w głębi lasu, nie starał się delikatnie pukać w okno, żeby ich nie przestraszyć. Załomotał w szybę, a potem do drzwi. — Doktorze!

— zawołał od progu. — Prędeży! Błagam pana, niech się pan ubiera!

Andrzej stał przy drzwiach boso i w bieliźnie tylko, z lasu ciągnęło rześkie jeszcze, ale już zapowiadające ciepły dzień, pachnące igliwem powietrze.

— Niestety — bąknął, niezupełnie rozbudzony. — Nie będę dziś mógł..,

— Nie będzie pan mógł? — Jamroź zamknął drzwi, stał przed Andrzejem, prze-wyższając i jego swoją ogromną postacią. — Co to znaczy „nie będę mógł“?

— Żona moja... lada dzień... właściwie lada chwila... rozumie pan? Czekamy od kilku dni.

— I jeszcze możecie czekać tydzień — zawołał Jamroź, zapominając o zwykłej względem niej uprzejmości. — Dwóch ludzi mi się wykrwawia! Może potrzebna bę-

dzie amputacja.

— Niestety! — w głosie Andrzeja nie było już resztek snu, przygładził dłonią włosy, zapiął pod brodą piżamę. — Raz w życiu moja osobista sprawa wydaje mi się ważniejsza. I chyba mam prawo uznać ją za ważniejszą. Szkoda, że od razu nie udał

się pan do innego lekarza.

— Do innego lekarza? Żeby sobie ściągnąć na kark Niemców?! Pan chyba żartuje.

— Nie żartuję. Bardzo mi przykro.

— Nie pojedzie pan?

— Nie.

Stała już wtedy od dłuższego czasu w drzwiach i widziała wszystko. Jamroź odpiął

kurtkę, wsunął pod nią rękę. — Pytam pana jeszcze raz: nie pojedzie pan?

— I jeszcze raz odpowiadam: nie pojedę.

— Zdaje pan sobie chyba sprawę, że będę musiał użyć siły?

— Siły?

— A co pan sobie wyobraża? Dwóch ludzi może mi umrzeć, a pan mi się tu bawi w jakieś pańskie sentymenty. Przez wieki całe kobiety rodziły bez lekarzy.

— Ale ta jest moją żoną. I chyba jako mąż mam prawo przy niej zostać.

— Przykro mi, ale wobec potrzeby, dla której muszę pana zabrać, nie jestem tego zdania. Proszę się ubierać!

— Nie pojedę. Niech pan się zwróci do innego lekarza.

— Za późno już na to. Proszę się ubierać!

— Nie ma pan prawa mi rozkazywać!

— Mam takie prawo i pan o tym dobrze wie. Ludzie umierają. Cenna jest każda chwila. Proszę się natychmiast ubrać!

— Traci pan czas. Niech pan jedzie po innego lekarza.

— Nie tracę czasu — Jamroź odrzucił połę kurtki, za paskiem od spodni miał za-tknięty pistolet. — Wprawdzie nie przewidywałem oporu, ale taka rzecz okazuje się jednak przydatna. — Odbezpieczył broń. — A teraz szybko! Nie wybaczę panu tej zwłoki!

— Pan oszalał! — krzyknęła, rzucając się między nich. Emil przyskoczył z drugiej strony.

Jamroź się cofnął. Nie opuszczał ręki z pistoletem.

— Być może oszalałem, jako dowódca nie mam jeszcze wprawy w traceniu swoich żołnierzy, tak jak pani, proszę wybaczyć, nie ma wprawy w rodzeniu dzieci.

Wszyscy tracimy głowy. Ale pan, doktorze, będzie mi kiedyś wdzięczny, że jednak udzielił pan tym ludziom pomocy.

— Niech pan schowa broń! — krzyknęła. Runęła na niego swoim nieforemnym, ciężkim ciałem, ale on przytrzymał ją lewym ramieniem, a w prawej ręce trzymał

wciąż odbezpieczony pistolet.

— Schowam go dopiero w moim obozowisku, kiedy doprowadzę tam doktora.

Zostałem zmuszony do tego, ale pociesza mnie myśl, że kiedyś obydwójce państwo będziecie mi za to wdzięczni.

— Ten moralitet niech pan już schowa dla siebie. Emil! — powiedział Andrzej — przynieś mi moje rzeczy.

— Jedzie pan doktor? — przeraził się chłopak.

— A co ty byś zrobił na moim miejscu?

— Odstawię męża pani tak szybko, jak tylko się da. — Jamroź delikatnie odsunął

ją od siebie, wyglądało na to, że naprawdę jest mu bardzo przykro, ale mimo to krzyknęła: — Nienawidzę pana! Dlaczego pan się tak do nas przyczepił? Czego pan od nas chce? Są inni lekarze!

— Ale nie tak blisko. — Jamroz odzyskiwał spokój mimo jej ataku. — I nie tacy pewni.

— Nienawidzę pana! — powtarzała. — Nienawidzę!

Andrzej ubierał się szybko, dopinając kurtkę stanął przed Jamrozem. — Jestem do pana dyspozycji. Gdyby pan komuś podlegał, złożyłbym na pana zażalenie.

Jamroz się uśmiechnął, krótko, prawie niedostrzegalnie. — Podlegam tylko Panu Bogu i sobie. I to, być może, w odwróconej kolejności.

Emil płakał cicho w kącie. — Ja nie zostanę! — burczał. — Nie zostanę! — Dopiero potem zrozumiała, czego się bał.

— Osiodłaj Achillesa— krzyknął na niego Andrzej. — Na co czekasz?

— Nie zostanę! — powtarzał chłopak. — Niech pan doktor mnie zabierze.

— Emil! — odezwał się Andrzej bardzo cicho. — Jesteś teraz jedynym człowiekiem, który może mi pomóc. Nie zmarnuj tego.

Chłopak uderzył piersiami w drzwi i wypadł na podwórze. Andrzej odwrócił się do niej, nie patrząc jej w oczy, nie miał odwagi jej dotknąć. — Kochanie! — powiedział. — Jest wojna!

Odjechali. Przez otwarte drzwi, w których długo stał Emil, słychać było tętent oddalających się koni — ciężki bieg Jamrozowej klaczy i taneczny krok Achillesa.

— Panu doktorowi to pasuje taki koń! Wygląda na nim jak jakiś hrabia z pałacu, albo i lepiej!

— Nie bądź głupi! — krzyknęła. — Co za myśli przychodzą ci teraz do głowy!

Odwrócił się zawstydzony, zamknął drzwi. W domu zrobiło się od razu bardzo cicho.

Około południa, wróciwszy ze stajni po wydojeniu Łaciatki, zaproponował cicho:

— Może jednak pójde po tę kobietę...?

— I po co? Żeby tu siedziała i patrzyła na mnie?

Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, że będzie w stanie to znieść — obca baba, profesjonalistka, taksująca ją oczyma, a potem czekająca razem z nią, zawodowo i natarczywie...

— Nie — powiedziała. — Jeszcze nie trzeba.

A w nocy obudził ją pierwszy ból, od razu dziki i rozdzierający, jak cięcie nożem.

Nigdy ją tak nie bolało, nie wyobrażała sobie, że to może być tak. Nie krzyknęła, nie poruszyła się, wstrzymała nawet oddech, jakby to unieruchomienie ciała mogło czemuś zapobiec, coś powstrzymać. Wiedziała od Andrzeja, że poród może trwać długo, całą dobę nawet, i chciała go opóźnić, zatrzymać do jego powrotu. Przez kilka godzin sądziła, że to jej się udało — ból nie powtórzył się. Rano kazała Emilowi biec na wieś po wiadomą kobietę.

Ubierał się trzęsącymi się rękami. — A mówiłem — powtarzał. — Mówiłem..

Wrócił po dwóch godzinach sam, blady i spocony, a ją już bóle rwały na części, na drobnutkie kawałeczki strachu i nieopanowania. Leżała z dłońmi wczepionymi w brzeg łóżka, z głową odrzuconą do tyłu. Wyła.

— Jej nie ma! — krzyknął Emil od drzwi.

Uciszyła się na chwilę, nie rozumiejąc, dlaczego jest sam, dlaczego nie sprowadza pomocy.

— Nie ma! Wezwali ją na Lisi Majdan, do położu.

— Nie przyjdzie?

— Powiedziałem mężowi, żeby, jak wróci, zaraz tu przyszła. Obiecał mi, że zaprzęgnie konia i pojedzie po nią. Z początku nie chciał...

— Nie chciał?

— Bo ruch straszny na drogach. Niemcy pchają wojsko na wschód.

Znowu krzyk rozerwał jej gardło, ale teraz prócz bólu nie do wytrzymania był tak-

że jeszcze wstyd, wstyd przed Emilem, którego bezradną, przerażoną twarz widziała poprzez łyzy. — Idź stąd! — zawołała. — Idź stąd! Nie patrz na mnie! Schowaj się w stajni! Nie słuchaj, jak krzyczę!

— Tak trzeba — powiedział, nie ruszając się od łóżka. — Niech pani krzyczy! Jak się siostra rodziła, to akuszerka wciąż mówiła do matki, żeby krzyczała jak najgło-

śniej.

— Idź stąd!

— Nie pójdę — szepnął.

— Idź!

Odwrócił się i odszedł, ale zjawił się zaraz z kubkiem mleka i drugim, w którym miał wodę. Zwilżył jej rękami twarz, skropił włosy nad czołem.

Uśmiechnęła się do niego. — Dziękuję!

— I mleka musi pani popić.

— Nie mogę.

— Osłabnie pani. Co by pan doktor mi powiedział, gdybym pani nawet nie nakarmił.

Wtedy jeszcze robił wszystko dla Andrzeja, dla Andrzeja, którego ona — znowu krzyząc — nienawidziła w tej chwili całą dziką nienawiścią spętanego bólem zwierzęcia. Po co przyszedł po nią? Po co zabrał ją z domu, wywiózł w ten las przekłęty z dala od świata i ludzi? Dlaczego nocami nie pamiętał, że jest wojna, dlaczego zapomniał o tyrn tej pierwszej, kiedy wszystko mogło jeszcze zostać między nimi tak, jak było, czułe patrzyenie, czułe głosy, nic więcej — nie to, to straszne, to uśmiercające teraz obłąkanym rozdieraniem ciała. „Kocham cię! — mówił. — Pamiętaj! Zawsze będę cię kochał”. Gdzie teraz był? Przy kim czuwał? Komu uśmierzał ból? W końcu Jamroż na pewno by go nie zastrzelił. Nie zastrzeliłby go przy niej... Żeby tam ktoś nie umarł, miała umrzeć ona...? „Kocham cię!”, mówił. Wiedziała, do czego to zmierza, bała się, wołała z daleka trzymać się od niego. „Mężczyźni — mawiała Leosia —

mają takie słodkie słówka i takie słodkie patrzyenie, ale kobiecie nic z tego, najwyżej ból...”

Znowu ostre szarpnięcie targnęło jej ciałem, uniosła się trochę, chwyciła Emila za rękę. — Ja nie umrę? Powiedz! Nie umrę?

— Tak musi być — odparł z wysiłkiem, trząśł się cały. — Mama nie umarła.

Niech pani krzyczy! To pomaga!

Trzymała go za rękę, wpijała paznokcie w jego ciało. — Nie chcę, żeby pomaga-

ło... żeby pomogło za wcześnie... Co zrobimy... co zrobimy, jeśli się zaraz urodzi...?

Emil milczał. Czuła tylko, jak drży, słyszała, jak oddycha. — Zagrzeję wody —

powiedział wreszcie.

— Nie zostawiaj mnie!

— Muszę zagrzać wody. Dużo wody. Tak mówiła wtedy ta kobieta, kiedy siostra się rodziła. I prześcieradła trzeba przygotować.

— Są w szafie — wykrztusiła.

— Wiem.

— Ale jak rozpalisz, przyjdź tu zaraz.

— Zaraz przyjdę. Niech pani krzyczy!

Krzyczała. Wyła. Skomlała jak suka. Już nie wstydziła się Emila, było jej wszystko jedno, on zresztą kazał jej krzyżeć, jedyny człowiek, który był przy niej, jedyny człowiek, którego musiała, którego chciała słuchać.

Po południu poczuła pierwszą wilgoć między udami, bóle uspokoiły się, jakby zupełnie ustały. — Czy tak powinno być? — spytała Emila.

Nie wiedział. Klęczał przy jej łóżku, zmieniał mokre okłady na jej czole, podawał raz po raz szklankę z wodą, sam był spocony, maj tego roku był słoneczny i ciepły.

Czemu ona nie przychodzi? — szepnął.

— Ta kobieta?

— Tak. Jej mąż obiecał mi przecież...

— Boisz się? — spytała cicho.

Nie odpowiedział. Ukrył twarz w kołdrze na jej kolanach, zadrżały mu plecy, płakał. — Żeby pan doktor wrócił...

— Nie chcę! — powiedziała mściwie. — Nie chcę! Wcale go nie potrzebuję!

Podniósł głowę, oczy miał mokre, ale i zdumione. — Nie chce pani?

— Nie! Nie potrzebuję go! Och, nic nie rozumiesz! Nic nie rozumiesz!

Nie odezwał się. Naprawdę nie rozumiał.

— Gdybym umarła — powiedziała, odwracając głowę do ściany, bo jakaś żalosna mściwość ogarniała ją jak obłęd — gdybym umarła... powiesz memu ojcu, że żalowa-

łam... bardzo żalowałam...

— Czego? — szepnął struchlały Emil.

— ... że nie jestem razem z nim.

— A... panu doktorowi? — zapłakał.

— Jemu nic. Sam będzie wiedział, co ma myśleć o sobie.

— Nie! Nie! — zawołał Emil wśród płaczu. — Nie chcę!

Wciąż kochał tylko Andrzeja, przede wszystkim jego.

Pod wieczór, kiedy zaczęło się już ściemniać, a Emil musiał jednak wyjść z domu, żeby wydoić

Łaciatkę, ból nieopisany rozdarł ją na pół, ale powoli zaczął usuwać się z jej ciała, wywalać się z brzucha wraz z miękkim jakimś ciepłem i mokrością.

Wrzasnęła raz i drugi — Emil zostawił okna otwarte, żeby mógł ją usłyszeć w oborze. Przybiegł zaraz, dzwoniąc wiadrami i rozlewając mleko.

— Już! — krzyknęła.

Przybiegł do łóżka, odrzucił kołdrę, zobaczyła jak w kręcącym się wiatraku jego bladą twarz, potem usłyszała stuk przy łóżku, twarzy Emila nie było, nie było jej przez długą chwilę, potem zjawiała się znowu, jeszcze bledsza niż przedtem, i to było to ostatnie, co zdołała zapamiętać.

Ciemno było już zupełnie, kiedy usłyszeli stąpanie konia. Emil podniósł się cięż-

ko, bo zdrzemnął się był trochę, klęcząc przy łóżku z głową opartą o jej nogi, przy których z drugiej strony leżało zawinięte w prześcieradło dziecko. Nie myślał o tym, kto jedzie — akuszerka czy doktor, było już przecież po wszystkim, i to właśnie powiedział otwierając drzwi: — Już po wszystkim... już się urodziło...

— Jak to? — zdumiała się kobieta, weszła z szumem i ważnością i od razu udała się do chorej. — Kto... kto przyjął dziecko...?

— Ja — powiedział Emil, opierając się o drzwi.

— Ty?

— On — potwierdziła, bardzo jeszcze słaba, ale już prawie uśmiechnięta. — Mąż musiał wyjechać...

— Wiem. Ale żeby zostawić kobietę w takim stanie...

Usiłowała to jakoś wytłumaczyć. — Zachorował ktoś ciężko w rodzinie, a nie myśleliśmy, że to już...

— To się czasem zdarza — powiedziała kobieta, wciągając biały fartuch i zapinając go na plecach. — On...? — spoglądała wciąż ku Emilowi z niedowierzającym podziwem. — Taki chłopak... Brat?

— Nie. Obcy.

Kobieta pochyliła się nad przedziwnie cichym zawiniątkiem. — Najpierw zobaczę dziecko.

— Śpi. Od razu bardzo grzeczne.

— Zrobiłeś przy dziecku wszystko, co potrzeba? — zapytała kobieta, odwijając prześcieradło.

— To, co wiedziałem. — Emil wciąż nie ruszał się od drzwi, ogarniało go znów dawne zawstyżenie, gdy mówiło się o tych sprawach. — Odbierałem kiedyś z matką cielę od krowy...

Wiedziałem, że pepowina...

— Boże, Boże — szeptała kobieta. — To cud! To prawdziwy cud! Ojcem chrzestnym musisz zostać! Jaka ładna dziewczynka! — zawołała, wyjmując niemowlę z prześcieradeł.

Siedziała do rana — godzina policyjna unieruchomiła ją w Olszance — doglądając jej i dziecka, przyuczając, jak się należy z nim obchodzić.

— Wiem — mruczał Emil. — Jak matka nie miała czasu, to ja wszystko przy siostrze robiłem.

— Odwdzięczyła się chociaż?

— No! — chłopak na sekundę się uśmiechnął. — Zanim nie pojechałem do szkoły, wciąż była ze mną. Odczepić się od niej nie mogłem, a chłopaki się śmiały... — urwał, załamało mu się coś w gardle, odszedł w drugi kąt pokoju.

— Gdzie ona teraz jest? — zapytała akuszerka. Pochylona nad dzieckiem, nie widziała jego twarzy.

— Razem z ojcem i matką — odpowiedziała za niego cicho. — Ile wynosi pani honorarium? — zapytała kobietę, żeby przerwać tę rozmowę.

— E tam — machnęła ręką — koleżeńską przysługą. Pan doktor mi za to pomoże przy jakimś trudniejszym porodzie. Chyba...

— No proszę, niech pani mówi.

— Chyba że... zajaczek jakiś by się trafił...

— My zajęcy nie łapiemy — odparł ponuro Emil.

— Teraz nie pora — wyjaśniła. — Wiosna.

— No tak — zmieszła się akuszerka — zapomniałam. Może jesienią... Dziecko będzie się lepiej chować.

— Mąż, jak wróci, zjawi się u pani — przerwała jej, od razu zabobonnie przerażona, że dziecku mogłoby coś zagrażać, jeśli akuszerka nie dostanie na jesieni zajaca.

— Jak by coś... — powiedziała kobieta już w drzwiach — z panią, albo dzieckiem, to proszę chłopaka pchnąć po mnie.

— Nie zobaczy mnie pani — Emil był dobrej myśli. — Wszystko będzie w porządku, pan doktor mnie pochwali! — powiedział, gdy odjechała.

Obydwoje myśleli już o tym, jak to będzie, kiedy on wróci. Emil w oczekiwaniu uznania, zdumienia i

pochwały, ona — dumna, ale i trochę zawstydzona. Bo tamtej nocy... tak, bała się, wiedziała, do czego to zmierza, ale to jednak ona przyszła do niego i przytuliła się do jego pleców. „Idź spać! — mówił. Idź spać do siebie!” Nie ruszyła się, przywarła do niego mocniej, drżąc tak samo, jak on. To przecież nie może tak dłużej trwać, myślała, nie mogą się tak dłużej męczyć... są mężem i żoną... mężem i żoną... są dwojgiem ludzi, którzy należą do siebie... na całe życie... i dłużej... na całe ogromne zawsze... „Idź spać!”, powiedział jeszcze raz błagalnie, a ona zaczęła cało-wać jego kark, najpierw powoli i delikatnie, jakby przepraszając, że tu jeszcze jest, a potem coraz gwałtowniej, z rozpaczliwą jakąś radością. Dopiero wtedy odwrócił się do niej i powiedział: „Kocham cię! Pamiętaj! Zawsze będę cię kochał!”

Nie wrócił tego rana. Byli pewni, że tak jak poprzednio Jamroz postara się odwieźć go do domu następnej nocy — teraz zresztą, dobrze znając drogę, mógł już wrócić sam, ale nie wrócił... Nie wrócił... Emil nadśłuchiwał u drzwi, wychodził na drogę. Z dala — z szosy prowadzącej z Kraśnika do Janowa — dochodził bezustanny, monotony szum, jakby w górze unosił się ogromny rój trzmieli. — Wciąż jadą! —

mówił, wróciwszy do domu.

— Kto?

— Niemcy. Pchają wojsko na wschód. Ludzie w Lichnowcu mówią, że ruszą teraz na Rosję.

— Jak on wróci? — szepnęła.

— Może wyjdę naprzeciw?

— I co? Znasz drogę? — Nie myślała już o tym, że nie powinien jej zostawiać, i on o tym już nie myślał, ale i to było bezużyteczne i nie przydające się na nic.

— Choć raz muszę iść z panem doktorem — postanowił Emil. — Teraz bym wiedział, gdzie go szukać.

Wyobraziła sobie swoją samotną noc w Olszance, tylko z Dianą, a teraz i z dzieckiem, ale nie obleciał jej strach, choć dawniej i w dzień pod nieobecność Andrzeja nie pozwalała Emilowi na długo oddalać się od domu. Tak, Emil powinien znać drogę...

— Pójdiesz następnym razem — przyrzekła. I przeraziła się zawartej w tym zdaniu zgody na ten następny raz, na nie kończące się wędrówki Andrzeja do lasu, na przedłużające się oczekiwania jego powrotów.

Przez to czekanie utraciła trzy pierwsze dni dziecka. Nie mogła poświęcić mu się tak, jak pragnęła. Bolesne roztargnienie rozpraszało tę tkliwą konieczność skupienia się na obserwacji rzeczy najważniejszych — jak Helenka zaczyna patrzeć na świat, jak je, jak oddycha... Bo imię miała od razu, od pierwszej chwili, kiedy Emil — wciąż wspominając siostrę — powiedział, że to dziewczynka. Było to imię jej matki, tak krótko wymawiane w ich starym domu. Panie z pałacu mogły pomyśleć, że stało się to dla uczczenia darów — spadku niemowlęcego po Helence Borowieckiej,

jej dziecinnego ekwipunku, noszącego znamiona owych wspaniałych czasów, w których dokonano tych zakupów w najlepszych warszawskich sklepach za najlepsze lubelskie zboże. Postanawiała nie wyprowadzać ich z błędu, bo konieczność dziedziczenia dziecinnych łaszków mogła się przedłużyć, a Helenka Borowiecka przynajmniej pod tym względem nie miała powodów do odczuwania wojennych braków.

— Helenka! — wołał Emil, gdy tylko otwierała oczy. Padając z nóg ze zmęczenia i nadmiernych emocji, przysięgał się, że już reaguje na imię, że zaczyna się uśmiechać.

Andrzej wrócił czwartego dnia o świcie, poszarzały na twarzy ze zmęczenia i niepokoju. Gdy tylko Emil otworzył mu drzwi, zapytał bez tchu: — I co?

— W porządku — uśmiechnął się Emil, podwójnie szczęśliwy. Chciał mu pomóc ściągnąć kurtkę i buty, których zapewne przez cały czas nie zdejmował, ale Andrzej odsunął go i rzucił się do jej łóżka.

Zamierzała mu powiedzieć: Słuchaj, nim się zjawiłeś, nasza córka już podrosła, ale zapomniała, że to sobie ułożyła czekając, wyciągnęła jedynie do niego ręce, a on chwycił je i położył sobie na twarzy.

Emil cofnął się do kuchni i z głową przy futrynie nadśluchiwał, kiedy go zawołają.

— Nie mogłem... — szeptał Andrzej — ...nie mogłem wcześniej... Dwie doby czekałem, żeby przeskoczyć szosę... ale idą bez przerwy, czołgi, kolumny zmotoryzowane, wozy z amunicją... Sam może bym przeszedł, ale Achilles! Taki koń nie może się pojawić na szosie nie zauważony. Doczekałem się wreszcie chwili, kiedy...

— Mamy córkę — przerwała — Helenka.

Andrzej dopiero teraz podniósł głowę, wzrokiem poszukał dziecka. — Jak...? —

zapytał — Kto...? Zdążyliście...

— Emil!

— Emil?

Zaszurało coś przy drzwiach, westchnęło.

— Tak — powiedziała, dumna za nich oboje. — Emil! Musisz się teraz nim zająć.

Był bardzo dzielny!

Pierwsze dni i tygodnie Helenki miały nad sobą ten szum daleki i bezustanny jak nie kończący się lot trzmieli. Wszystkimi drogami i torami, ziemią i powietrzem przemieszczała się na wschód wielka szarozielona armia. Robotnicy z tartaku i woza-cy dowożący drzewo opowiadali, że w okolicy

powstały w ciągu kilku tygodni dwa lotniska polowe i że z daleka widać, jak siadają na nich samoloty.

— Ciekawe, czy oni wiedzą? — zastanawiał się Andrzej. Wychowany przez ojca i stryja w ich własnych pojęciach o Rosji, w ich własnych uczuciach wobec tego kraju, nie mógł sobie wyjaśnić, jaki jest właściwie jego prawdziwy stosunek do tego budzą-

cego nadzieję, ale i przerażającego faktu, że oto Niemcy idą teraz na Rosję, idą tak sobie, znowu z napisaną specjalnie na ten feldzug piosenką na ustach, jakby to był taki kraj jak Polska czy Francja, jakby znowu mieli rwać do przodu, nie zdoławszy nawet zapamiętać mijanych wsi i miast. — A jeśli wiedzą? — Oznaczało to front na granicy, a nawet przesunięcie frontu na zachód, gdyby atak został odparty.

— Wiem, o czym myślisz — mówiła.

Helenka miała już miesiąc i zaczynała się rozglądać swymi wielkimi, brązowymi oczyma, które wreszcie przestały widzieć wszystko do góry nogami. Nie rozumiała na szczęście, że nad jej łóżeczkiem, gdy pojawiały się nad nim rozpoznawane już przez nią twarze, odbywa się ściskające za każdym razem serce wykradanie światu ostatniej radości, jaka w nim jeszcze została. Dopiero teraz pojęli, co to jest strach, zwielokrotniło się wszystko, urosło, zagrożenie przybierało teraz coraz to nowe wcielenia.

— Może powinnam ją zawieźć do ojca? — pytała cicho, zaglądając Andrzejowi w oczy. Chciała, żeby się zgodził, a równocześnie bała się, że się zgodzi (żadne uczucie nie było teraz proste). — U ojca jako tako spokojnie. Leosia pomogłaby mi, a z dzieckiem chyba nic mi nie grozi...

— Nie wiem, czy to jest czas na podróż — Andrzej usiłował zachować spokojne brzmienie głosu, jakby istotnie chodziło tylko o bezpieczeństwo podróży, o szczęśliwe dotarcie do dziadka. — No i zapominasz o Sarze Gliksman na strychu.

— Może jej tam nie ma? — Może zdecydowała się wyjść, ostatecznie Żydzi pracują...

Nie potrafiła dokończyć rozpoczętej myśli — nadzieja, że Sary Gliksman nie ma już na ich strychu, wydała jej się samolubnym okrucieństwem. Oczywiście, że mogła wyjść, mogła porzucić kryjówkę, zgodzić się na życie muchy, którą każdy może zabić, nawet nie dlatego, że brzęczy.

Ojciec nie pisał nic na ten temat, listy zresztą nigdy nie dotykały spraw najważ-

niejszych, były jedynie doniesieniami o zdrowiu, były widomym znakiem, że się jeszcze żyje. Wiadomość, że został dziadkiem, wzruszyła starszego pana, ale jeszcze bardziej chyba Leosię, która przysłała natychmiast paczkę pełną kaftaników i sukienek jak na półroczne dziecko, a Helenka skończyła dopiero miesiąc — tego samego dnia obłąkany entuzjazmem głos w megafonie na lichnowieckim, jak zawsze błotnistym rynku obwieścił rozpoczęcie niemieckiego ataku na wschodniego sąsiada.

— Mam nadzieję, że inne twoje rocznice nie będą obchodzone tak szumnie —

powiedział do niej Emil. On jeden nie tracił głowy, jak zwykle oddawał się swym codziennym zajęciom, oprzątał stajnię, pamiętając o przestrojach pani Borowieckiej umiarkowanie czyścił Achillesa, doił Łaciatkę, Poza tym uczył się — za kilka dni miał

zdawać maturę, u Andrzeja co prawda, ale to nie zmieniało postaci rzeczy, bo Andrzej traktował ten akt z całą surowością. — Szkoda, że mi pan doktor papierka dać nie mo-

że — martwił się, nie kryjąc rozczarowania. — Jeszcze raz będę musiał to samo od-walać.

— Boję się, żebyś do tego czasu wszystkiego nie zapomniał — powiedział Andrzej, rzucając na stół jego zeszyty.

Niemcy szli bezustannie naprzód, błyskawicznie minęli dawną polską granicę, mieli już Kijów i Odessę, na drogach — tak jak przedtem czołgi, formacje zmotoryzowane i wozy z amunicją — pokazały się teraz kolumny pierwszych radzieckich jeńców. Ciągnęły na zachód, choć w Zamościu na ogromnym placu przy koszarach, otoczony drutami i wieżyczkami wartowników, pod gołym niebem, czynny był już jeniecki obóz. Ludzie, którzy ich widzieli, za drutami lub na drogach, padających co krok z głodu i wyczerpania, długo nie mogli zapomnieć ich twarzy. Nawet ci, co nie-nawidzili ich przedtem lub tylko czuli przed nimi strach, rozumieli teraz, że oto poj-mana została ich nadzieja, zadrutowana, rzucona w pył, zdeptana i stratowana szansa na szybkie zakończenie wojny.

Pod gołym niebem! myśleli, gdy przypiekało słońce albo padał deszcz. Pod gołym niebem trzymają ludzi! Jeszcze wtedy przejmowało to zgrozą i napawało przerażonym zdziwieniem, że coś takiego jest możliwe, że coś takiego się dzieje, że gdzieś na świecie o tym wiedzą i godzą się z tym, że nie dławi ich każdy kawałek chleba, nie rani pościel ich własnego łóżka...

Ale i oni jedli i spali, wykonywali wszystkie swe zwykłe czynności, troszczyli się o dzień następny, zdobywali żywność, o którą było coraz trudniej. Mięso kosztowało już osiem złotych kilogram, Andrzejowi prawie już nigdy nie wypłacano nim honorariów, mógłby w końcu tego zażądać, ale nie żądał. Nie zabijali też zwierzyny, a gdy Emil na początku września przyniósł zającą, twierdząc, że go znalazł w potrzasku i dobił, bo już zdychał z wyczerpania, zamiast się cieszyć, stać ich było jeszcze na upomnienia.

— Cała wieś karmi się zwierzyną z lasu — buntował się Emil. — Tylko my nie i Bez broni i tak nie upilnujemy kłusowników. Nawet gdybym takiego zdybał, to- bym się bał go zaczepić.

Emil miał już prawie dziewiętnaście lat, wyrósł i zmężniał, był już tak wysoki jak Andrzej, ale szerszy w barach, mocniejszej budowy. Rozumieli, że musi jeść, że ro-

śnie, że nie może mu wystarczać tylko mleko. Ale siedzieli tu w Olszance po to, żeby pilnować lasu, a nie kraść. Widzieli w oczach ludzi niewiarę lub złośliwe politowanie, gdy domagającym się rewanzu w postaci zwierzyny odpowiadali, że należy ona do pani Borowieckiej. Doszło do tego, że nie tylko szewc naprawiający im buty domagał

się za to zającą lub mięsa z sarny, ale nawet aptekarz, do którego Andrzej kierował

ludzi ze swoimi nieformalnymi receptami. Wojenną edukację przechodzili trudniej niż inni i wciąż jeszcze uważali, że to dobrze, że trzeba być z tego dumnym.

Tylko Emil zaczął teraz dłużej przebywać w lesie, a kiedy wracał, nie miał apetytu na owsiankę, ani nawet na placki z kartofli, włosy i ubranie czuć mu było dymem i jakąś korzenną, jałowcową wonią.

Ona się martwiła, że — dawniej żarłoczny — tak mało teraz je, dziwiła się, że mimo to jednak nie mizernieje, a Andrzej uśmiechał się pod nosem.

— Młody — mówił tylko — później się wszystko unormuje.

— Co się unormuje? — pytała.

— Wszystko, z czego się w końcu wyrasta.

Gdy byli tylko we dwóch, a wydawało im się, że ona nie słyszy ich przez przy-mknięte drzwi, Emil namawiał: — Wybrałby się kiedy pan doktor ze mną na dłużej do lasu.

— Czy wymawiasz mi, że najgłówniejsze obowiązki leśniczego przelałem na ciebie?

— Nie to, panie doktorze, nie to.

— A co?

— Ojej, o wszystko musi pan doktor pytać.

Jamroż jakoś się nie pokazywał. Ostatni raz przyjechał wkrótce po urodzeniu Helenki, ale nie po to, żeby znowu zabrać doktora do lasu, ale żeby jego żonie przywieźć kwiaty. Był to pęk skromnych leśnych dzwonek i jakichś traw, ale tłumaczył się, że tylko to udało się zebrać uratowanym przez doktora ludziom, nie mogli jeszcze zbytnio oddalać się od obozowiska.

Żyli i było tak, jak Jamroż mówił owej nocy, choć nikt z nich nie powrócił teraz do tego tematu; obydwójce byli mu wdzięczni, że zmusił Andrzeja do udania się do la-su.

Jamroż pochylił się nad łóżeczkiem, dotknął ostrożnie palcem brązowego puchu na głowie Helenki. — Właściwie powinienem się wprosić na chrzestnego ojca.

— Ojcem chrzestnym — powiedziała — będzie Emil.

Jamroż dopiero teraz obejrzał sobie dokładnie tego dryblasa, który miał mu niedługo dorównać wzrostem. — Przydałby mi się taki w lesie — powiedział. — Oddział

mam niemrawy. Powolny i strachliwy. I w nie najlepszych latach. Myślą wciąż tylko o tym, żeby przeżyć.

— To źle? — zapytała cicho.

— To niepotrzebnie. Przeszkadza. Pęta człowiekowi ręce, nogi i rozum. A śmierć tak samo zwyczajna, jak życie. Żeby tylko nie dla głupstwa i nie bez walki.

Słuchali milcząc.

— Czy pan... — spytała po długiej chwili — pan sam... myśli też tak... o swojej śmierci?

Zaśmiał się cicho. — Tak samo. Żyję, jakbym wodę pił. Dopiero teraz się tego nauczyłem. I lżej mi z tym, doprawdy lżej.

— Emil! — odezwała się. — Idź... po drzewo!

— Teraz? — zdumiał się chłopak. — Będziemy ogień palić? — Jeszcze mu się oczy świeciły i właśnie to musiała przerwać, to zapatrzenie się w Jamroża, to za-słuchanie, to głupie szczeniackie olśnienie.

— Idź! — krzyknęła.

— Pani się o niego boi — mruknął Jamroż, kiwając głową. — Ale to i tak przyjdzie. Nie upilnuje go pani. — Popatrzył na Andrzeja, chciał jeszcze coś rzec, ale powstrzymał się od tego. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej gruby plik gładko ułożonych banknotów. Położył je na stole. — To pana honorarium, doktorze.

Andrzej zamilkł. Patrzył zdumionymi oczyma to na Jamroża, to na nią.

— Nie liczyłem na nie.

— Wiem. Ale tym milej mi je wypłacić.

— Skąd... skąd pan nagle... tyle pieniędzy...?

— Z kasy państwowej, zapewniam pana. Wszystkie pieniądze przeznaczone są dla obywateli. A ja miewam sumienie tylko wobec tych, którzy sami je mają.

— Doprawdy nie wiem, czy powinienem...

— Panie doktorze! — jęknął Emil.

— Wiem, o czym pan myśli, ale zapewniam pana, że to są uczciwie, jak najuczciwiej ukradzione u Niemców pieniądze i to, że otrzymuje je pan za leczenie ludzi, któ-

rzy się muszą ukrywać przed nimi w lesie, powinno być dla pana tylko zaszczytem, a nie ujmą.

— Zgoda — uśmiechnął się lekko Andrzej, a oni obydwójce z Emilem odetchnęli.

Przydały się te pieniądze bardzo, na obuwie i bieliznę, na najskromniejszą odzież.

Emil nie wyniósł z domu swoich rodziców żadnych rzeczy, a nawet gdyby je zabrał, wyrósłby z nich do tej pory. Bardzo mu się więc podobały nowe buty, które mu Andrzej kupił już z myślą o zimie, wysokie, z cholewami, fasonem zbliżone do dawnych oficerek z tak zwaną wysoką szklanką, czyli z mocno usztywnionym zapiętkiem.

Chłopak, wciągnawszy je na nogi, przyglądał się im w ustawionym na ziemi lustrze, powtarzając z satysfakcją: — Za najuczciwiej ukradzione pieniądze! Za najuczciwiej u Niemców ukradzione pieniądze!

Ona dostała nowe zakopianki, bo ofiarowane jej przez młodą panią Borowiecką już się rozpadły po dwóch zimach — dopiero przy tych zakupach uświadomili sobie, że zanosi się na trzecią w Olszance.

Andrzej, widząc, ile satysfakcji mogą sprawić pieniądze nawet w takich czasach, zaczął prawie wyglądać Jamroza, ale ten się nie zjawiał. Którejś nocy zapukał jednak w okno. Z lasu zawiewało już wonią grzybową. Andrzej, zerwawszy się z łóżka, nie zapalając światła, szeroko otworzył drzwi.

Ogarnęło go zdziwienie, że nikt się w nich nie zjawił. — Jamroż! — krzyknął.

Drzwi były wciąż puste, tylko po podokiennym żwirze sunął ktoś wolno wzdłuż ściany.

Andrzej, starając się przeniknąć -wzrokiem ciemność, wybiegł przed dom. — Jamroż! — zawołał jeszcze raz. — Jest pan ranny?

— Chleba! — odezwał się obcy głos. — Dajcie kusoczek chleba!

Andrzej w pierwszej chwili chciał wskoczyć do domu i zatrzaskać drzwi, ale błaganie w głosie, który szedł ku niemu z ciemności, skądś z dołu, jakby z ziemi, zamieniło jego strach we wstyd. — Emil! — zawołał. — Chodź tu, Emil!

— Chleba! — powtórzył głos z ciemności. — Ja użę nie kuszał ot niedieli.

— Emil! — zawołał głośniej. — Prędzej! Światło!

Rozbudzona głosem Andrzeja, pomogła Emilowi zapalić lampę, wyszła z nim przed dom — pod oknem leżał człowiek w mundurze, którego nigdy nie widzieli, i powtarzał: — Chleba! Chleba!

Andrzej pochylił się nad nim z lampą. Nie znał rosyjskiego, ale miał nadzieję, że ten człowiek go zrozumie. — Skąd? Skąd przyszedłeś?

— Udrał Giermancom. S konwoja. Wieli nas iz Zamostia w Szczebrzeszyn. I obratno. Jeżedniewno gnali nas tam i obratno... Czto by ludi pomirali... Udrał.. Ja i jesz-czo nieskolko sołdat...

— Zosiu! — zawołał Andrzej. — Chleb i mleko!

Wziął z Emilem pod pachy ślaniającego się człowieka i przenieśli go do kuchni.

— A gdzie tamci? — zapytał.

Jeniec machnął ręką, wskazując głąb lasu. — Nie mogli użę dalsze idti... Dażę tak, kak ja... Sowierszenno ustali...

— Chorzy? Bolnyje? — przypomniał sobie Andrzej jedno z nielicznych znanych słów.

— My wsie bolnyje. Iz gołoda. A tiepier dażę iz chołoda. Ja s Odiessy...

Chwycił podany mu chleb, wbił w niego zęby.

— Z jedzeniem na początku ostrożnie — starał się mu wytłumaczyć Andrzej. —

Po takiej długiej głodówce może bardzo zaszkodzić. Na razie dostaniesz tylko ka-wątek chleba i kubek mleka. I poczekaś trochę na ciepłe jedzenie.

Emil rozpalil już ogień, nie przestając zerkać ku przybyszowi. Żołnierz połknął w mgnieniu oka chleb, wypił mleko i patrzył teraz rozczarowanymi oczyma zgłodniałe-go psa, który nie może zrozumieć, dlaczego wzbraniają mu się najeść do syta.

— Poczekaj — tłumaczył mu wciąż Andrzej. — Nie tak prędko. Odpocznij trochę

— wskazał mu ławę, na której leżała baranica, służąca czasem Emilowi za przykrycie.

Żołnierz pokręcił głową. — Niet — powiedział.

— Dlaczego „niet“? Przecież walisz się z nóg?

— Niet — powtórzył żołnierz. Twarz miał jakby zawstydzoną, choć to, czego się wstydził, nie jemu powinno przynosić wstyd. — U mienia wszy... — Bał się, że nie rozumieją, więc wykonał barkami taki ruch, jakby się otrząsał — jak gdyby ocieranie się koszuli skórę mogło zmniejszyć to bezustanne swędzenie ciała wypłoszyć dokuczliwe żyjątko. Potem, żeby już nie było żadnych wątpliwości, złożył razem kciuki obu rąk i paznokcie jego wykonały suchy trzask.

— Ma wszy — powiedział Emil. — O Jezu!

— Nie „o Jezu!“, tylko grzej wodę! Dużo wody! Zosiu! — zwrócił się Andrzej z kolei do niej, choć oczy miała tak samo przerażone, jak Emil — przygotuj jakąś czystą koszulę, a jego kurtkę musisz po obydwóch stronach przeprasować bardzo gorącym żelazkiem.

Wzięła w dwa palce żołnierski mundur, odwróciła od niego głowę i dopiero straszne spojrzenie Andrzeja, nigdy do tej pory u niego nie widziane, zmusiło ją do wzięcia munduru normalnie w rękę.

— Jest wojna — powiedział Andrzej bardzo cicho — i wszyscy jesteśmy żołnierzami. On, ja, ty, Emil... wszyscy. Tylko posterunki są inne, ale każdy z nas musi czuć się żołnierzem.

Wyprasowała kurtkę z obydwu stron, wszy trzaskały pod żelazkiem, a gdy prała koszulę, pływały po wodzie, szukając na próżno ratunku. Nie powiedziała już ani słowa, choć przez cały czas miała uczucie, że wszy już łażą po niej, po plecach, po udach, we włosach.

Andrzej wyjął z szuflady pieniądze, ostatnie z tych od Jamroża, i podał je Emilowi. — Postaraj się kupić na wsi chleba, za wszystko. Weź worek. Płać każdą cenę.

Musimy mieć chleb.

— A jak mnie zaczepi jakiś żandarm? Albo granatowy?

— Musisz iść tak, żeby cię nie zaczepili.

— Ba! — mruknął Emil, ale zbierał się z ochotą. Wynałazł w stajni najczystszy worek i pogwizdując ruszył do Lichnowca. Późny o tej październikowej porze poranek wstawał mglisty i mokry od rosy.

— Wracaj prędko! — krzyknął za nim Andrzej.

— Przecież wiem — odpowiedział.

Ale nie było go bardzo długo. Andrzej zaczynał się już denerwować, wychodził na drogę i nadśluchiwał. — Coś się stało — mówił.

— Pewnie chleba nie może dostać — starała się go uspokoić przyciszonym głosem.

Żołnierz, wymyty w cebrzyku, przebrany w czystą bieliznę, spał na ławie, budząc się co chwilę jak śmiertelnie zmęczone, ale wciąż jeszcze czujne zwierzę. Unosił się, obejmował krótkim, od razu przytomnym spojrzeniem kuchnię, ludzi, którzy przy nim czuwali, i z powrotem opadał na ławę. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat, kilka tygodni niewoli osiadło jednak w jego zapadniętej twarzy, której wygładzić nie mógł

nawet sen.

Emil zjawił się wreszcie zdyszany i jakby z przerażeniem w oczach, choć worek miał pełen chleba.

— Co się stało? — Andrzej zatrzymał się na progu, żeby zobaczyć, czy nikt nie idzie śladem chłopaka. — Zatrzymali cię?

— E tam — Emil wzruszył ramionami. — Nie mają dzisiaj do tego głowy. Od ra-na piją w knajpie u Trzebiatowskiego.

— Znowu poszli naprzód? Co zajęli?

— Jeszcze nie. — Emil zaczerpnął powietrza, spojrzał ku śpiącemu żołnierzowi.

— Czy powinien wiedzieć?

— Ale co? O czym?

— Stałem pod megafonem, jak mówili. Nikt nawet nie spojrzał na mój chleb.

Niemcy doszli do Moskwy. Rozpoczęli oblężenie. Hitler ma przyjmować defiladę na Placu Czerwonym.

— Nie budiet — żołnierz uniósł się na ławie jak poprzednio, od razu przytomny i czujny, oczy mu płonęły. — Nie budiet! — krzyknął. — Giermancy nikog- da nie wojdut w Moskwu. W Moskwie Stalin!

Później gdy nieraz wspominali te jego słowa, brzmienie głosu i wyraz oczu, zrozumieli, jaka siła musiała tkwić w tej na wpół dziwnej fascynacji, jeśli była w stanie przeciwstawić się tej drugiej, równie namiętnej, pchającej przez Europę żadne podbo-ju armie. Teraz jednak imię Stalina nie obudziło w nich nadziei, łączyli z nim strach i odrazę, wyniesioną ze szkoły i domów, nie rozumieli, co to znaczy, kiedy radziecki żołnierz mówi, że w Moskwie jest Stalin.

— Słyszałem na własne uszy... — niepotrzebnie upierał się Emil. — Jak dotąd, wszystko, co mówili, się sprawdziło. Hitler zarządził defiladę na Placu Czerwonym.

Żołnierz usiadł, rozejrzał się za swoimi butami, niewiadomo dlaczego zaczął je pośpiesznie wciągać. Twarz mu pociemniała od krwi. — Giermancy na Krasnoj Płoszczadi! Eto byłby uże koniec swieta! — Dotknął ręką koszuli, jakby się przez chwilę zastanawiał, a potem zaczął ją ścigać. — Gdzie moja rubaszka?

— Jeszcze mokra. Zabierzesz ją ze sobą i w lesie wysuszysz.

— Nie chcuzu — mruknął. Spojrzał z żalem na worek z chlebem. — Niczewo nie chcuzu...

— Oszalałeś?! — zawołał Andrzej. Pokazał palcem na czoło. — Durak!

— Ja durak?! — zaperzył się chłopak. Dźwignął się z ławy, zatoczył się, ale wsparł się ręką o stół. — Parad Giermancow na Krasnoj Płoszczadi! Ja durak?

— Przecież on tylko mówi, co słyszał w komunikacie niemieckim — starał się wytłumaczyć mu Andrzej. — Przez megafon! Przez tubę na rynku.

— Ja znaju — powiedział żołnierz, jeszcze nie udobruchany. — Ob etom ja i słyszat' nie chcuzu.

— Poszedł po chleb i usłyszał. Miał sobie uszy zatkać? — Andrzej podniósł ręce, wykonał ten ruch, — A chleb dla was! Dla twoich towarzyszy. Pójdziemy z tobą do nich.

Żołnierz patrzył nieufnie, ale widok worka z chlebem łamał w nim uprzednie postanowienie. — Giermancy na Krasnoj Płoszczadi! — powtórzył jeszcze raz z niewygasłą pretensją.

— Człowieku! — Andrzej potrząsnął go za ramiona. — To oni tak mówią. Propa-ganda! Nie rozumiesz?

— Ja ponimaju. Na czto eto powtariat? On pojdiot s nami? — wskazał oczyma Emila.

— Może nie iść — zawahał się Andrzej.

— O nie! — krzyknęła. — Pójdzie także!

Nie wiadomo skąd jej to przyszło do głowy i co chciała przez to uzyskać. Wołała, żeby ich było dwóch, i Andrzej tak też to zrozumiał. — Dobrze. Będzie niósł chleb —

powiedział.

— Dzierży język za zębami! Oni nie mogut ob etom uznat' Etowo, czto Moskwa...

— Pary z gęby nie puszczę — przyrzekł Emil.

— Daleko stąd ich zostawiłeś? — spytał Andrzej żołnierza.

— Niedaleko. Leżał nad ozierom... My iskali wodu... A ja k wieczeru usłyszał so-baku... Oni nie mieli siły idti dalsze, a ja pożał... — uśmiechnął się, szczęśliwy, że stoi już na nogach, że wróciły mu siły. — Spasibo za wsio!

— Emil! — powiedział Andrzej. — Weźmiemy w bańkach mleko.

— Co z nimi zrobisz? — zapytała, bojąc się odpowiedzi Andrzeja. Spojrzenie, które jej rzucił, gdy w dwa palce wzięła kurtkę żołnierza, nie bez urazy zapadło jej w pamięć.

Odpowiedział jej jednym słowem: — Jamroż.

— Pójdziemy do Jamroża? — ożywił się Emil.

— Zaprowadzimy ich tam, gdy się trochę wzmocnią. Tylko... — zwrócił się do Emila — żebyś był rozsądny!

— A nie jestem...? — zaczerwienił się chłopak.

— Wiesz, co mam na myśli.

— To znaczy... — zaczęła dziwnym głosem, już teraz bojąc się, że zęby zadzwonią jej ze strachu — ...że zostanę na noc sama...?

— Mam nadzieję, że tylko na jedną.

— Andrzej! — krzyknęła.

— Przecież to ty zaproponowałaś, żeby Emil szedł ze mną. Sama widzisz, że to niemożliwe.

Zamilkła. W ciszy, która zapanowała teraz w kuchni, słysząc było niespokojny, przyspieszony jakby oddech Emila.

— Miałem poznać drogę... — odezwał się cicho.

— Tak, masz rację — powiedziała twardo — musisz iść!

— Ale sama nie możesz nocować — Andrzej zmienił ton, może chciał ją uprzednio nastraszyć, może nie przebaczył jej jeszcze obrzydzenia, z jakim wzięła od niego zawszony mundur jeńca. — Co byś zrobiła, gdyby przyszli tu pod okno całą szóstką?

— A co ty byś zrobił? — zapytała.

Puścił to pytanie mimo uszu, Emilowi kazał zaprzęgać Achillesa.

— Poproszę panią Borowiecką, żeby ci przysłała kogoś na noc.

— To niekonieczne — mruknęła.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

— Jesteś bardzo dzielna, nawet kiedy się strasznie boisz.

Pojechał. Żołnierz znowu zwałił się na ławę i natychmiast usnął, mimo płaczu Helenki, którą wreszcie rozbudził nadmierny ruch w domu. Miała już pięć miesięcy, z coraz większym ożywieniem zaczynała się interesować wszystkim, co się wokół niej działo. Wniesiona do kuchni, spostrzegła od razu obcego człowieka na ławie, oczy jej znieruchomiały, ale zamiast rozplakać się głośniej, ucichła nagle, przenosząc wyraźnie pytający wzrok na matkę.

— Tak — powiedziała do niej — masz być grzeczna, ten pan musi się przespać.

Nie ma swego łóżka i musi przespać się u nas.

— Wszystko rozumie! — cieszył się Emil, przypisujący Helence od początku nadzwyczajne właściwości. — Wszystko! Żeby tylko umiała mówić!

— Jeszcze sobie poczekamy — powiedziała pogodnie.

I nagle serce jej ścisnął strach. Wszystkie armie, wszystkie pułki maszerowały przez dzieciństwo Helenki, zwracała się przeciwko niej cała broń świata. — Boże!

Boże! — szepnęła. — Nie idźcie tam! Damy mu chleb i mleko, wytłumaczy mu się drogę do Jamroża... Na pewno sam będzie mógł znaleźć jego obozowisko. Nie idźcie!

Ani Andrzej, ani ty! Nie puszczę was! Nie puszczę!

— Musimy — szepnął Emil. — Pan doktor powiedział, że wszyscy jesteśmy żołnierzami. On, pani i ja.

— Ja nie — potrząsnęła głową. — Co najwyżej jestem żoną żołnierza, a i to nie bardzo mi się udaje.

Andrzej wrócił z pałacu z zapewnieniem, że pani Borowiecka przed zmierzchem przyśle kogoś na nocowanie w Olszance, obudził śpiącego Rosjanina i zaraz po wczesnym obiedzie wyruszyli w drogę. Chciała prosić, żeby poczekali, aż ten ktoś z pałacu się zjawi, ale patrząc na słaniającego się jeszcze jeńca — pomyślała o tamtych, którzy pili wodę ze stawu, zagryzając trawą albo liśćmi. — Idźcie! — powiedziała. Idźcie prędzej! Wszystkie armie, wszystkie pułki maszerowały przez dzieciństwo Helenki, ale niektóre z nich po to, aby je ocalić.

Po ich odejściu zawołała Dianę do domu, drzwi zamknęła na klucz, wyjęła z szuflady w kuchni największy o najostrzejszy nóż, schowała go w nogach łóżeczka Helenki. O zmierzchu zaczęła nadśłuchiwać, czy nie słyszczyć czyichś kroków na żuźlowej drodze. Ale Diana leżała przy piecu spokojna, nie unosiła powiek, nie nadstawiała uszu.

— Diana! — krzyknęła na sukę. — Nie śpij!

Kiedy ściemniło się już zupełnie, za oknem rozległ się tętent. Nie spodziewała się, że z pałacu przyjedzie ktoś konno. Sądziła, że pani Borowiecka przyśle kogoś ze służ-

by, a bieg konia zdradzał jego lekkość i grację. Zerwała się z krzesła, nie wiedząc, co chwycić w rękę, nóż wydał jej się nagle ośmieszający nawet we własnych oczach.

Diana zjeżyła się i zaczęła ujadać. Helenka zaniósła się płaczem. Nie mogła więc nawet udawać, że nie ma nikogo w domu, w którym płacze dziecko.

Bieg konia zatrzymał się przed domem, czyjeś kroki zbliżyły się do drzwi.

Podeszła do kuchni i podniosła leżący przed nią pogrzebacz. Diana przestała czekać, zdumiona, nie dowierzająca samej sobie, rzuciła się do drzwi z radosnym skomleniem, jej puszysty ogon rozpoczął obłąkane se szczęścia merdanie. Mimo to, a może właśnie dlatego, przerażona jakąś zupełnie niedorzeczną wizją, gdy rozległo się pukanie, zapytała nie swoim głosem: — Kto tam? Kto tam jest?

— To ja, pani Zosiu! — odezwała się pogodnie młoda pani Borowiecka. — Proszę otworzyć.

Rzuciła pogrzebacz, przyglądziła włosy, pospiesznie otworzyła drzwi. Strach zastąpiło zdumienie. — Pani?

— A kogo się pani spodziewała? Oczywiście mężczyzny. Czy pani sądzi, że takie dwie białogłowy jak my nie zastąpimy najtęższego chłopca?

— Nie to miałam na myśli.

Pani Borowiecka rzuciła na ławę szpicrutę, zdjęła z głowy dżokejkę. Przyjechała w stroju do konnej jazdy, po dziewczęcemu smukła i lekka.

— Cieszę się, że miałam pretekst wynieść się z domu. Kiedy mi tylko teściowa wspomniała, że trzeba kogoś posłać do was na noc, bo doktor z chłopakiem wybiera się do Jamroża, od razu powiedziałam, że sama pojedę. Z początku nie chciała się zgodzić, ale się uparłam. Powiedziałam, że wolę nawet utarczkę z bandytami niż ba-wienie po kolacji pana Gurtla. Prosi mnie zawsze, żebym mu

grała Szopena. Nastawi-

łam mu płytę Zarah Leander i powiedziałam, że idę spać, bo boli mnie głowa.

— Nie słyszał, że wyjechała pani konno?

— Skąd? Nie kazałam podprowadzić konia, tylko sama poszłam do stajni. Znajdzie się dla niego miejsce w obórce? Nie chciałabym, żeby nocował na dworze.

Wprawdzie Grom to nie Achilles, ale także dobry koń.

Wprowadziły konia do obory — istotnie, to nie był Achilles, bez oporu pozwolił

się uwiązać przy Łaciatce, ale pani Borowiecka wstrzymała się tym razem od komentarzy. Robiła wrażenie młodziutkiej dziewczyny, którą czekają wakacje. — Jutro z rana pojeżdżę sobie na Achillesie.

— A pan Gurtel, gdy się pani nie zjawi na śniadanie?

— Teściowa coś wymyśli. Niech pani nie robi sobie kłopotu! — zawołała, widząc, że wyciąga ze skrzyni gościnną pościel.

— Jakże inaczej? Dla takiego gościa!

— Niech pani tak nie myśli! Nie przyjechałam tu jako gość. Da mi pani tylko ja-kaś koszulę i prześpię się na ławie pod baranicą.

— Tylko nie tam! — krzyknęła, nie zdóławszy w porę się opanować.

— Dlaczego? Lubię spać pod futrem.

— Ale to... brudne... Diana często na nim śpi...

— Cóż to szkodzi? W domu u moich rodziców psy leżały na wszystkich kanapach i fotelach, bracia nawet z nimi spali, były o to awantury z matką, ale jakoś zawsze udawało im się zmylić jej czujność.

— Nie, nie — nie godziła się — pościelę pani na łóżku Andrzeja. Na ławie będzie pani niewygodnie.

— Chcę, żeby mi było niewygodnie — powiedziała jakimś dziwnym głosem pani Borowiecka. — Chcę! Kiedy pomyślę, że on gdzieś tam... może i kawałka koca nie ma...

— Pani Wandziu! — szepnęła przerażona.

— Stale o tym myślę. Kiedy jem, kiedy kładę się spać. Że on może głodny, może nie ma gdzie głowy złożyć... Dumna jestem, że walczy, ale czasem myślę, że... po co mu to było? Nasi sąsiedzi żyją z Niemcami jak u Pana Boga za piecem, polują z nimi, urządzają przyjęcia... Nie, nie, ja wiem, że

Staszek nie potrafiłby czegoś takiego, ale przynajmniej mógłby tu być, mógłby się przyczaić, jak wielu innych...

— I przyczajenie nie na wiele się zdaje.

— Co pani mówi?

— Że przyczaić się nie tak łatwo : nie każdy potrafi...

— Nie każdy — zgodziła się, ale jakby z westchnieniem. — Moi bracia są teraz w Warszawie. Wie pani, co się dzieje w Warszawie.

— Nie bardzo. Nie mam żadnych kontaktów. Nie koresponduję z koleżankami.

— To dobrze, a zarazem źle. Dobrze, bo w razie wpadki nie znajdą przy nich pani adresu, a źle, że tak siedzimy tutaj w tych lasach i o niczym nie wiemy. Moi bracia twierdzą, że Lichnowiec świetnie by się nadawał na przykład na ukrycie radiostacji.

Nie, nie, niech się pani nie przeraża. Nie tutaj, ale w pałacu, pod bokiem zakochanego we mnie pana Giirtla — zaśmiała się. Chwyciła Helenkę, przetańczyła z nią krąg wo-kół stołu, zanuciła: — Pod bokiem zakochanego we mnie starego Niemczury...

Rozścielała prześcieradło na szerokim łożu leśniczego, na którym sypiał Andrzej.

Wyprostowała się, odgarnęła z czoła włosy. — Te łasy już i teraz na coś się przydają.

— Oczywiście — pani Borowiecka wciąż kołysała w ramionach Helenkę — mogą w nich znaleźć schronienie choćby tacy ludzie jak Jamroż. Ale podobno zaczynają się w nich też ukrywać Rosjanie.

Rzuciła na łóżko poduszkę, zapięła powłokę na kołdrze. Coś ją zastanowiło, coś, co wydało się jej złe i niewłaściwe. — Co Andrzej powiedział pani teściowej?

— Jak to „co”? Że u Jamroża znowu są ranni i że tym razem musi zabrać ze sobą tego chłopca, który jest u was.

— Nic więcej ?

— Nie. A co miał jeszcze powiedzieć?

Dotknęła, ostrożnie jednak, baranicy na ławie. — Tutaj spał. Podczołgał się w no-cy pod dom, nawet podnieść się nie miał siły, tyle że wyciągnął rękę i zapukał w okno...

— Kto? O kim pani mówi? — Pani Borowiecka złożyła Helenkę w łóżeczku, od-wróciła ku niej zaniepokojoną twarz.

— Jeniec rosyjski. Przyszedł sam jeden, a pięciu zostało przy stawie w lesie...

Uciekli z Zamościa, od tygodnia nic nie jedli...

— Ich... ich poprowadził doktor do Jamroża?

— A co mógł z nimi zrobić? Emil postarał się o chleb, zabrali w konwie mleka...

Żeby to był koniec... — szepnęła.

— Z czym koniec?

— Z nimi. Może błądzą jeszcze jacyś po naszym lesie?

Pani Borowiecka zaczęła się już rozbierać, ale teraz zapięła z powrotem guziki bluzki. — Mogą tu przyjść?

— Nie wiem... Ale skoro ten jeden przyszedł... dlatego... dlatego myślałam, że zjawi się tu na nocleg jakiś mężczyzna.

— Powinien był powiedzieć... — zaczęła pani Borowiecka — pan Andrzej... ale widocznie bał się, że...

—Czego mógł się bać?

— Że moja teściowa się nie zgodzi, żeby zaprowadził ich do Jamroża. Wspiera go, no a wyszłoby na to, że będzie teraz karmić i tamtych...

— Trzeba go było zobaczyć — powiedziała cicho. — Trzeba go było zobaczyć...

— Wiem — pani Borowiecka zaplotła przed sobą ręce, aż zatrzeszczały w stawach. — To straszne bać się ludzi, kiedy są pokonani, bać się ich wciąż tylko dlatego, że byli naszymi wrogami. Ale właściwie jakie mamy wyjście? Nie chcemy, żeby zwyciężyli Niemcy, ale jeśli zwyciężą tamci...? — zrzuciła gwałtownie bluzkę, zaczęła ściągać buty. — A niech tam! — zawołała. — Niech mnie zabiją zaraz, jeśli mają mnie kiedyś wyrzucić z Lichnowca.

— Na razie są głodni. Zawszeni, wyczerpani do ostatka.

— Wszy pewnie mieli i przedtem... Pani zapewne myśli, że majątek zmusza człowieka do okrucieństwa. Może i tak. Ale myślą się ci, którzy uważają, że można nie brać pod uwagę przywiązania człowieka do tego, co posiada.

Milczała, rozbierając się także do snu.

Pani Borowiecka uporała się wreszcie z butami i przyglądała się koszuli, którą po-

łożyła jej na poduszce. — Jesteśmy rozdarci — mówiła — zdaję sobie z tego sprawę, że jesteśmy rozdarci. Połowa w nas Polaków, połowa posiadaczy. Były chwile w naszej historii, kiedy to się ze sobą jakoś zgadzało. Teraz zbliża się ta, która może udowodnić...

— Niemcy stoją pod Moskwą — przerwała jej. — Daleka ta chwila...

— Niemcy stoją pod Moskwą. Na południu wciąż idą naprzód, biją ich, niszczą całe armie, ale musimy pamiętać, że to oni, nawet teraz pokonywani, że to oni wykrwawiają Niemców. Nikogo prócz nich na to nie stać.

Helenka, przyzwyczajona o tej porze do snu, zapłakała na cały głos. Pochyliła się nad nią, zaczęła uciszać.

— Pani i ja mamy dzieci — ciągnęła dalej pani Borowiecka. — Wiele kobiet rodzi nie myśląc o tym, na jaki los wydają swoje dzieci. Może tak trzeba... Ale mnie ogarnia strach przed bezsilnością, przed tą matnią, w którą nas zapędzono. Jeszcze nie przestaliśmy się bać Niemców, a już boimy się Rosjan. Czy można tak żyć? Nie myślę już nawet o sobie, ale Helenka...

— Nic nie wiemy — szepnęła, pochylona nad łóżeczkiem — nie trzeba o tym wszystkim myśleć, skoro nie wiemy nawet, jaki jutro będzie dzień. Chcę tylko, żeby Andrzej wrócił.

14

Jak słusznie przewidywała matka, Kazimierz nie okazał się zbyt wielką atrakcją dla Renata.

Zaparkowali wóz na rynku, Agnieszka kupiła w kiosku informator, odczytała z niego, sumiennie tłumacząc wszystko, co tam zostało podane o patrycjuszowskich kamienicach Krzysztofa i Mikołaja Przybyło w i Bartłomieja Celeji, postali chwilę przed nimi, Renato uczynił kilka uwag na temat ich późnorennesansowej attyko- wej architektury i zastanawiali się teraz, co robić dalej.

Powinni właściwie pójść do kościoła, do gotyckiej fary, o której szczególnie dużo napisano w przewodniku, albo na wzgórze, do ruin zamku królewskiego z czter-nastego i siedemnastego wieku, Agnieszka chciała właśnie to zaproponować, gdy Renato, uprzedzając ten zamiar, powiedział jakby z wyrzutem w głosie: — Pić mi się chce!

No tak, pomyślała Agnieszka, siedemnastowiecznymi ruinami można imponować Amerykanom, ale nie Włochom. Robi jej się nagle żal Renata, że przez cały dzień zmuszany jest do czegoś, co go nie obchodzi i nie sprawia mu żadnej przyjemności, może tylko to śniadanie „Pod Łasiczką” dało mu trochę satysfakcji, sałata i kurczęta Były znakomite, i przede wszystkim to, że opowiadał o filmie, że miał okazję zachować siebie wśród obcych ludzi i przedmiotów, wśród tej całej inności, pośród której się znalazł. — Biedny! — mówi, ujmując jego dłoń — zaraz ci coś znajdę, zaraz się napijesz. — Przy rynku mieszczą się dwie czy trzy kawiarnie, ale nie wiadomo, do której z nich można bezpiecznie wprowadzić Renata, oni nie tylko zabytki, ale i kawiarnie mają lepsze. Nagle przychodzi jej na myśl, żeby pójść z nim na wzgórze do ośrodka wypoczynkowego dziennikarzy, gdzie miała nawet ochotę wykąpać się w basenie, ale już jej ta chęć przeszła — po południu zrobiło się chłodno. U dziennikarzy był mały bar, przynajmniej wtedy, kiedy bywała tam z Wiktorem. Przez rynek sunęła właśnie jakaś wycieczka szkolna, prowadząca ją pani nauczycielka kierowała się wyraźnie ku jednej z kawiarni — to zdecydowało, że pociągnęła Renata białą od wa-piennego pyłu drogą ku zielonemu wzgórzcu nad Wisłą.

— Nie weźmiemy wozu? — pyta Renato, spoglądając na swoje zakurzone obuwie.

— Rozruszaj się trochę. Spędzasz pół życia w samochodzie.

— Nie widzisz mnie wtedy, kiedy skaczę na planie. Stary nie rusza się ze swego krzesła. Wszystkie próby z aktorami, operowanie tłumami to ja. Czy ty wiesz, co to jest tysiąc statystów, których trzeba wprowadzić w ruch, narzucić im zachowanie, gesty, wyraz twarzy, barwę głosu? Stary się dopiero ożywia, jak ma wszystko przed kamerą, ale ile to kosztuje wysiłku, żeby to dojrzało do postawienia przed kamerą!

— Nie udawaj, że cię to nie bawi. Zawsze, kiedy zaczyna mnie wściekać robota, staram się wyobrazić sobie, czy wytrzymałabym bez niej? Z tobą tak nie jest?

— Owszem — śmieje się Renato — podczas każdego urlopu napadają mnie najlepsze pomysły. Rzuciłbym wtedy wszystko i leciał kręcić. Ale to oczywiście niemożliwe. Nim się uruchomi taką maszynę jak film, już człowiek ostygł jak za przeproszeniem, pupa kardynała. Dlatego myślę, że przez całe życie będę tylko znakomitym pierwszym asystentem. Bo nie potrafię przenieść na plan nic z tego, co widziałem przed sobą przedtem, wszystko mi się rozłazi, jak usłyszę tylko podjeżdżanie kamery.

A stary nie, dopiero wtedy zbiera się w sobie, dobrze ujeżdżony koń przed pójściem bomby w górę, przyciai się i rwie jak wściekły, scena za sceną, wesele i śmierć, jeśli w tych samych dekoracjach, jedno po drugim, morderstwo i scena liryczna, wśród ty-siąca kabli, reflektorów, wśród co najmniej pół setki pętających się wokół osób, scena liryczna zatykająca w piersiach dech: on i ona, sami na świecie, wyłączeni ze wszystkiego, wyluskani z rzeczywistości jak ziarno z orzecha. Stary to potrafi. Myślę, że z czasem uduszę go za to.

— Przerzuc się na dokument.

— O nie! Znadto cenię fikcję. Tylko poprzez fikcję można powiedzieć coś prawdziwego. Żeby ludzie w to uwierzyli. Żeby przetrwało to w nich dłużej niż chwila.

— Nie masz racji! — krzyczy Agnieszka. — Nie masz racji!

Renato przyciąga ją do siebie, wąwóz drogi między dwoma wzgórzami jest pusty, na wysokim drzewie ostro i donośnie gwizdże wilga. — Słuchaj — mówi — chcę wiedzieć, że idę z dziewczyną. — I całuje ją po raz pierwszy, gwałtownie i od razu w usta, wargi ma twarde, wokół nich kłujący już trochę zarost, choć rano był starannie wygolony.

Agnieszka nie oddaje mu pocałunku, stara się być zaskoczona. — Mój drogi... —

zaczyna.

Ale Renato wskakuje na strome zbocze wąwozu i wyciąga ku niej rękę. — Chcę być z dziewczyną — powtarza, a gdy Agnieszka podaje mu dłoń, ciągnie ją ku górze niewygodną, spadzistą ścieżką, poprzecinaną wystającymi korzeniami starych drzew, które zacierają wąwóz. Na górze jest słońce i Renato znajduje od razu stary pień, na którym mogą usiąść.

— Chciało ci się pić — mówi Agnieszka.

— Nie chciało mi się łązić w tym wapiennym pyłe i przyglądać się starym cegłom

— przyznaje się Renato bez wstydu, a raczej z pewnością, że dodaje mu to wdzięku.

— Od dzieciństwa mam awersję do zabytków. Cała nasza rodzina wychowywała się w cieniu Koloseum. Czy pamiętasz — mówi ciszej — że to dla ciebie zostałem tutaj do jutra?

— Pamiętam — odpowiada Agnieszka, ale nie brzmi to tak, jak powinno, i Renato postanawia naprawdę przypomnieć jej o tym. Całuje ją znowu, wplata palce w jej włosy, targa je leciutko, aż na jej czole zjawia się mała zmarszczka. — Boli?

— Boli.

— Chcę, żeby bolało. Muszę cię jakoś obudzić.

— Ale tak?

— Wszystkie sposoby są dobre. — Całuje teraz te potargane włosy, pachną czymś, ale nie jest to woń szamponu, tak pachnie długa sierść pięknego zwierzęcia, jakim jest człowiek. — Wiesz, o czym myślę w tej chwili? — pyta.

— O czym?

— Masz grzywę jak lew, a to bardzo piękne zwierzę.

— Lwice nie mają grzyw.

— Chodzi ci jednak o zatrzymanie płci?

— Bo ja wiem...? — mówi Agnieszka.

Coś się nie klei, czegoś brak w tej rozmowie, w tych pocałunkach... Renato powiedział przed kilkoma godzinami: „Bardzo bym chciał, żebyś musiał zostać”. Czy naprawdę będzie musiał? myśli Agnieszka. Wstaje z pnia, pociąga go za sobą. —

Chodź! To już niedaleko — mówi. — Dostaniesz coś dobrego do picia.

Renato chce coś powiedzieć, ale w końcu wstaje. Agnieszka jest przekonana, że myśli to samo, co ona. Że jest jakoś niepotrzebnie, wszystko na nic, niechże wreszcie matka pokaże mu ten strych, na którym ukrywał się Lucio, i właściwie mógłby jechać, mógłby jechać, nie oglądając się za siebie...

— I wciąż pod górę! — narzeka Renato, choć dopiero przed chwilą schodzili ze zbocza w dół, ale teraz znowu muszą się piąć zacienionym wąwozem kamienistej i stromej drogi.

— Widzisz — mówi Agnieszka — jak to dobrze, że nie wzięłaś w Tozu.

— Jeśli zaproszę cię kiedyś w Alpy, zobaczysz, co to jest ferrari.

Agnieszka nadstawia ucha, wreszcie zaczyna ją coś prawdziwie zajmować. Nie wyraża jednak entuzjazmu wprost, zbyt ceni siebie, żeby od razu uczepić się tych słów. Uwieszą się u ramienia Renata i mruczy: — A dałbyś mi wtedy prowadzić?

— Boże święty! Dziewczyno! Nie wiesz, co to są drogi w Alpach,

— Nie masz do mnie zaufania jako do kierowcy?

Renato szybko odgarnia jej włosy i całuje ją w kark. — Mam za to do ciebie za-ufanie pod wieloma innymi względami.

Ukazuje się wreszcie brama ośrodka, a za nią, poza wszystkimi ostrzegawczymi napisami, że zabrania się wstępu osobom obcym i nieupoważnionym, białe budynki o nowoczesnej architekturze.

— Jednak! — mówi Renato, Agnieszka nie pyta go, co ma na myśli; sama uważa, że należało mu się coś wreszcie po tych plenerach, po których obwoziła go od rana.

— Może masz ochotę się wykąpać? — pyta nieco złośliwie, wskazując dwa base-ny i pierwszych odważnych, których wcale nie odstraszała zbyt wiosenna jeszcze temperatura.

— Chętnie — uśmiecha się Renato — po powrocie, w Ostii! — Znowu, gdy przypomina mu się ta miejscowość, myśli, czy ojciec jest tam z Carlą, czy przynajmniej przywiózł ją do innego hotelu; w tym, w którym się stale zatrzymywał, przedstawiał

recepjoniście coraz to inne żony, choć nawet jego kancelaria nie mogłaby go tak szybko uwalniać z tych więzów.

— O Boże! — jęczy naraz Agnieszka, ale obłudnie, bo Renato jest kimś, z kim się można pokazać. — Oczywiście są znajomi!

Kiedy wchodzi tylko do barku, odwraca się ku nim długa dziewczyna w niepraw-dopodobnej sukni z samych dziur, powiązanych grubą, beżową włóczką, i podnosi górę obydwu ramiona. — Ciao!

— Ciao! — odpowiada Renato od razu zaintrygowany.

Małgorzata nie jest piękną, ale ma jakiś szczególny urok, cudownie patrzy w oczy i każdy, z kim rozmawia, ma uczucie, że tylko on istnieje dla niej na świecie. W

innych okolicznościach umie prawdopodobnie skupiać się tak samo. Ma bardzo urokliwy głos, wyposażony w osobne, niezależne od słów piękno, czasem bezmyślne, ale przez to nie mniej urzekające. Nie śpiewa, mówi; Agnieszka nie może sobie przypomnieć, żeby słyszała ją kiedy śpiewającą. Chodziły razem do akademii, Małgorzata na malarstwo, potem spotykały się raz po raz, ostatnio tu właśnie, gdy ona była z Wiktorem, a Małgorzata z przedstawicielem Agence France Press

— zawsze umiała wy-trzasnąć kogoś takiego. W końcu nieważne, że Francuz okazał się żonaty i dzieciaty, skoro jednak załatwił jej wystawę w Paryżu i kilka pochlebnych o niej notatek.

Agnieszka więc, dostrzegłszy Małgorzatę, także podnosi ku niej rękę, ale jednak steruje Renatem z daleka od baru, sadza go przy stoliku pod oknem, a sama idzie się rozejrzeć, co jest do picia, i dopiero wtedy wita się z Małgorzatą.

— Ciao! — mówi jeszcze raz Małgorzata. — Z kim jesteś?

— Z jednym Włochem — odpowiada niedbale Agnieszka. — Będzie kręcił film w Polsce. Właśnie poszukuje twarzy i miejsc.

— Skąd go znasz?

— Z zamierzchłych dziejów. Prawie syn mojej matki, tyle że go urodziła jakaś Włeszka.

— Nie bredź!

— Nie bredzę. Jego stary podkochiwał się w mojej matce. Podczas wojny, wiesz, różni ludzie się tu plątali. A teraz jego syn tu przyjechał.

— Fe-no-me-nal-ne! — mówi Małgorzata swoim bezmyślnie pięknym głosem. —

Oczywiście jedziesz do Włoch?

— Właśnie mi to zaproponował.

— Szczęściara! W mojej matce podkochiwał się podczas wojny ogrodnik spod Wołomina.

— Sądzę, że i wtedy, i teraz nie jest to do pogardzenia.

Śmieją się obydwie, przez chwilę jest tak jakoś lekko, bagatelnie i nieobowiązują-

co, jak to niegdyś bywało, dopóki Małgorzata nie pyta: — Co z Wiktorem?

— Prehistoria! — odpowiada Agnieszka. — Nawet nie wiem, jaka era. Dwa mar-tini z wodą sodową! — zamawia. — Z lodu!

— A z Markiem? — przeprowadza dalej swoją wiwisekcję Małgorzata.

— Co z Markiem? — pyta Agnieszka, żeby zyskać na czasie.

— No widzisz się z nim?

— Daj mi spokój! — mówi Agnieszka, tracąc nagle ochotę na wszelkie udawanie.

Bierze z bufetu dwie szklanki wody z wermutem i dwie plastikowe „słomki”. — Bywaj!

— Kiedy wracasz do Warszawy?

— Jutro rano.

— Masz pokój ?

— Nocujemy w Lichnowcu. Tam została matka. Rano mamy pokazać Włochowi, gdzie ukrywał się jego ojciec.

— Interesuje go to?

— Nie wiem.

Renato przy stoliku zaczyna się niecierpliwić. Najpierw pije, a potem pyta: — Ko-leżanka?

— Z akademii. Malarka. — I dodaje, nie wiadomo dlaczego nagle taka złośliwa:

— Jeśli możesz jej załatwić wystawę w Rzymie, to masz szansę.

— Gdybym mógł, najpierw załatwiłbym tobie — odpowiada powoli Renato.

— Nie prosiłam o to.

— Ale mógłbym sam o tym pomyśleć. Tylko że...

— Tylko że co...?

— Lubię, jak dziewczęta cenią we mnie tylko mnie.

— Masz kompleksy?

— Żadnych. Ale lubię czystą sprawę. Czasem nawet uprzedzam: nie mam pieniędzy i nie można się po mnie zbyt wiele spodziewać.

— No... — mruczy Agnieszka pijąc — w twojej branży istnieją jeszcze inne możliwości tak zwanego rewanżu.

Renato łamie plastikową rurkę, najpierw na pół, potem na cztery części, na osiem, na szesnaście... — Skąd wiesz? — pyta cicho.

— Skąd wiem! Zna się trochę życie, mój drogi. Tak mało niestety rzeczy nie ma ceny.

Carla pochodziła skądś z gór, spod Veneto, gdzie — jak mówiła później, kiedy już udzielała wywiadów — jej dziadek był pasterzem, a ojciec walczył w oddziałach par-tyzanckich. Być może pojechałby kiedyś z nią do owej wsi, w której oglądaliby się wszyscy za nimi, a z której ona przyjechała do Rzymu na jeden z tych dorocznych konkursów piękności, nie organizowanych teraz już

tylko przez Watykan. Zobaczył ją nazajutrz po konkursie, kiedy nie zająwszy żadnego miejsca, zgłosiła się na statystowanie wraz z innymi dziewczętami. Istotnie trochę dzika, jakby w dzieciństwie otaczały ją skały, onieśmielona i milcząca, ale z oczyma jak gwiazdy. Nie wiadomo czemu chciał jej pomóc, została przyjęta, nawet w jakimś miejscu filmu mówiła dwa zdania, głos miała cichy i zachrypnięty, bał się, że stary odrzuci ją przez ten głos, ale stary powiedział: „Coś nieprawdopodobnego jest w tej małej”. Potem ten głos i oczy stały się głównymi jej atutami, a gdy już zaczęły się ukazywać w prasie jej zdjęcia, fotografowała się zawsze w jakichś skrawkach baranich skór — wnuczka pasterza i córka partyzanta! Nawet w7tedy nigdy nic nie chciała' choć już rozejrzała się dostatecznie po Rzymie i wiedziała, że może chcieć. Nie chciała nic, tylko żeby był z nią. Mówiła tym swoim zachrypniętym głosem popsutej lalki, że kiedy jest z nią, nie boi się miasta, że wtedy jest jej tak, jakby była w górach i jakby nie zagrażało jej nic prócz gwał-

townego deszczu. Mogło z tego być coś naprawdę dobrego i pięknego, nie musiał psuć sobie tej historii popychaniem jej w górę, sama się tam windowała — stary wciąż powtarzał : „Coś nieprawdopodobnego jest w tej małej!

Oszalałbym, gdybym w łóżku usłyszał taki głos!" (zawsze świntuszyli między sobą na planie, ale jej nie dotykało żadne słowo, nie wiedziała o niczym) — powoli, z jakąś rozsądną naiwnością, tak nie pasującą do wszystkiego, co ją otaczało, windowa-

ła się w górę, z roli na rolę, z filmu na film... Naprawdę mogło być z tego coś dobrego i pięknego — gdyby któregoś dnia nie przedstawił jej ojcu. Nie zamierzał tego czynić, po prostu przypadkowe spotkanie w jakiejś restauracji. Być może powinien był go uprzedzić, ale nie uczynił tego. I ojciec zaprosił ich w kilka dni potem na kolację, poszli gdzieś sobie potańczyć, Lucio miał już wtedy trochę srebra na skroniach, ale może dlatego oglądały się za nim coraz młodsze dziewczyny. Carlą był zachwycony i nie krył się z tym. „W niej naprawdę jest coś dzikiego — mówił — wierzę w tego dziadka pasterza, ona nawet w norkach wygląda tak, jakby owijała się baranią skórą, a buty od Stefaniego służyły jej jedynie do biegania po górach". Miała już wtedy — od ojca —

norki i obuwie od Stefaniego. „Taki drobiazg! — mówił. — Tyle mamy radości, ile możemy jej dać komuś drugiemu". Może nie wiedziała jeszcze, że ma najbardziej wziętą kancelarię w Rzymie. Nie interesująca się nigdy takimi sprawami, norki jednak przyjęła, bo powiedział, że ładnie jej w nich. A gdy zaprosił ją do Ostii — tylko ją —

pojechała, i nazajutrz ojciec zadzwonił do niego i powiedział z zakłopotaniem, ale i nie bez dumy: „Słuchaj, stary, doprawdy nie wiem, jak to się stało..."

— O czym myślisz? — pyta Agnieszka. Przygląda mu się od długiego czasu, nie jest znudzona jego milczeniem.

— Przepraszam — szepce Renato. Wypija cło końca swój napój, dotyka dłoni Agnieszki. — Idziemy?

W tej samej chwili po drugiej stronie salki zjawia się przy bufecie ktoś z magneto-fonem i wszyscy krzyczą: „Niech żyje Bogdan!" i „Niech żyje radio!" — Chłopak w sztruksowym ubraniu w bardzo grube prążki uśmiecha się bezosobowo do ludzi i mebli, otwiera futerał magnetofonu i puszcza taśmę.

„Brawo!” wołają znowu wszyscy, bo oto mały bar wypełnia się nagle urzeczeniem: cudowną melodią i cudownym głosem.

— Love Story — szepce Renato.

— Byłeś?

— Byłem, Strzał w dziesiątkę. Stary chyba dlatego startuje z tym naszym filmem.

Coś dla mas! Dla profesorów uniwersytetu i ekspedientek. Wszyscy lubią historie o miłości. W dodatku o nieszczęśliwej. Boże drogi, bo czyż szczęśliwa pozostaje na długo miłością?

— Chcę posłuchać — mówi Agnieszka. Nie widziała filmu, ale myśli, że zrobił

karierę chyba także i dzięki tej piosence. Jakaś dziewczyna wyciąga rękę do młodego człowieka siedzącego z nią przy barze i zaczynają tańczyć.

— Chcesz także? — pyta Renato.

— Tak. Bardzo!

— Mój skarbie! — mruczy Renato, i jest już cała w jego ramionach. Zauważa z bliska, że niewidoczny rano zarost przyciemnia mu już skórę, nie wiadomo dlaczego zaczyna ją to wzruszać, przytula skroń do jego brody, i robi się zupełnie inaczej, powtarza się ta chwila z samochodu, kiedy całował jej sweter, pozwoliłaby mu jeszcze raz na to, gdyby tego zapragnął...

Renato dobrze tańczy i od razu zauważają go wszyscy w małej salce baru, chłopak w sztruksowym ubraniu, gdy taśma się kończy, cofa ją i puszcza jeszcze raz, uśmiecha się do Renata i Agnieszki, teraz *Love Story* jest tylko dla nich, więc wolno im wyglą-

dać na zakochanych, to nawet obowiązuje.

— Darling! — mruczy Renato, przerzucając się na angielski.

— To jeszcze rozumiem — uśmiecha się Agnieszka, odrzuca nieco głowę do tyłu i znowu widzi, jak na brodzie Renata rośnie ten jego czarny, męski, kłujący zarost, znowu ją to wzrusza. — Cz[^]m się jutro ogolisz? — pyta ciepło.

— Powinnaś zapytać, czym się ogolę dziś wieczór — odpowiada cicho Renato.

Trzyma ją mocno, może nawet za mocno, tak się teraz nie tańczy, ale wszystko niemodne staje się znów modne, sentyment i mocne przytulenie dwóch ciał, które jeszcze do niedawna osobno skakały przed sobą.

— Napiłbym się czegoś — mówi Renato, gdy taśma się kończy.

— Tego samego?

— Może być, ale bez wody.

— Mieliśmy iść.

Renato pochyła się i przy wszystkich całuje ją w usta. — Zostańmy!

15

W tej księdze, oprawionej w brudne teraz i zatłuszczone od dotyku wielu palców płótno, zamknął kierownik Domu Dziecka dwadzieścia pięć lat nowego wcielenia pa-

łacu. Nie miały takiej kroniki, spisywanej dzień po dniu, poprzednie lata, ułożyły się w wieki w nielicznych dokumentach, metrykach i świadectwach ślubu, w listach, a nawet w księdze rachunkowej, prowadzonej w kancelarii folwarku, ale były to zaledwie sygnały tamtej rzeczywistości. Ta, choć już także niebliska, obdarzy przyszłych badaczy jasnością każdego dnia. Zofia przewróciła kilkanaście pierwszych kart, pominęła listy dzieci zakwaterowanych tu w sierpniu czterdziestego czwartego roku i zatrzymała się na zanotowanej rozmowie z panią Borowiecką,...

Była jeszcze chyba wtedy w Olszance, Lucio zbierał się dopiero do drogi na południe, gdyby to była jesień, można by powiedzieć, że odlatywał jak ptak. A Białas, ten człowiek bez ręki, który przywiózł tu dzieci uratowane z wielkiego mordu, jakiego dokonano na Zamojszczyźnie, mówił do pani Borowieckiej: — Niech pani to wreszcie zrozumie: muszę gdzieś umieścić osiemdziesiąt siedem sierot!

— I moja osoba panu w tym przeszkadza? — zapytała pani Borowiecka.

— Tak — odpowiedziałem (zanotował Białas). — Pani obecność w pałacu przeszkadza wielu sprawom. Jamróż panią osłania. Nie chce dopuścić do parcelacji, grozi ludziom batami, jeśli wezmą choć piędź pańskiej ziemi.

— Nie dlatego nie chcą brać!

— Także i dlatego. Wczoraj zginął mierniczy. Ktoś strzelił do niego z lasu, kiedy wyznaczał ludziom ich pola.

Pani Borowiecka (pisał Białas) przyjęła te słowa z oburzeniem.

Krzyknęła: — Niech mnie pan nie oskarża o jego śmierć! Ani mnie, ani Jamroża.

— Nikogo nie oskarżam — powiedziałem. — Ale ten człowiek zginął. Miał na pewno żonę i dzieci. Za dużo sierot w tym kraju.

— A kim, zdaniem pana, jesteśmy my, ja i to dziecko?

Musiała być przy tej rozmowie Helenka. Ile miała wtedy lat? Już prawie sześć; ale chyba nie rozumiała jeszcze, o czym babka mówi do obcego pana, który nagle zjawił

się w ich domu.

— Mój syn zginął w trzydziestym dziewiątym. Wierzę, że wróci, ale to jest wiara, a nie pewność. Helenka miała wtedy dopiero przyjść na świat. A jej matkę zaskoczyło powstanie w Warszawie. Zapewniam pana, że nie pojechała tam w swoich sprawach.

— Nikt tu nie reprezentuje swoich spraw, proszę pani.

— Chcę tylko powiedzieć, że ma pan przed sobą takie same sieroty, jak tamte.

— Ale nic nie zmieni faktu, że tamtych jest osiemdziesiąt siedem.

Zamknęła księgę odłożyła ją na stolik. Zobaczyła przed sobą młodą panią Borowiecką czeszącą włosy przed małym lustrem leśniczego — owego ranka, kiedy prze-spawszy noc w Olszance, wybierała się pojeździć trochę na Achillesie. Przejazdzka niezbyt się udała, wróciła po godzinie, powiedziana, że boi się wjeżdżać głębiej w las.

— Już chyba nigdy nie będę jeździć na Achillesie tak jak dawniej. Koń także czegoś się boi. Cofa się przed każdym szelestem.

Posiedziała do południa, zapytała, czy czego nie potrzebują. O żywność było coraz trudniej. Niemcy wybierali ze wsi kontyngenty do samego krwawego dna. Strzelali, jeśli ktoś ukrywał choćby jeden worek zboża, jeden bochenek chleba. Życie ludzkie stało się tańsze niż jedzenie. Ale we dworach ten ucisk wydawał się mniejszy, skoro odpadły przedwojenne zadłużenia, zmora parcelacji, która od trzydziestego siódmego roku wisiała nad niektórymi majątkami. No i wreszcie służba folwarczna nie wszczy- nała dawnych buntów...

— To zasmuające — mówiła pani Borowiecka, bo i ten temat zdążyły poruszyć między dojeniem krowy a przewijaniem Helenki i przyrządzaniem śniadania — że trzeba nam aż takich czasów, abyśmy się przestali wzajemnie siebie bać. Ale to nas v/cale nie uwalnia od pragnienia, żeby jak najprędzej minęły.

Andrzej z Emilem wrócili przed wieczorem, zabierała się już do ostatniego udoju, do trzeciej tego dnia walki z Łaciatką, która wyraźnie i z uporem lekceważyła jej zabiegi, gdy zjawili się z workiem do połowy zapełnionym grzybami, obydwaj bardzo ożywieni, chciałoby się nieomal powiedzieć — gdyby to słowo było jeszcze w użyciu

— szczęśliwi. Szczególnie Emilowi błyszczały oczy i musiała dwukrotnie wyciągać do niego ręce z wiadrem, żeby zrozumiał, czego od niego oczekuje.

— Wczoraj Jamróż ostrzelał samochód na szosie. Zabił trzech Niemców. Samochód spalił. Zabrał broń! Ma teraz erkaem.

— Co ma? — zapytała.

— Erkaem! Ręczny karabin maszynowy, To już prawdziwe wojsko!

— Wydój krowę, dobrze? — przerwała mu. — Rano i w południe mało dała mleka.

Emil nie słyszał. — A tydzień temu zrabowali kasę w tartaku i podpalili drzewo!

— Emil! — krzyknęła. — Krowa prawie od rana nie dojona. Dała najwyżej dwa litry mleka, nie umiem sobie z nią poradzić...

— Zaraz — powiedział Emil. — Z tymi szczęścioma Ruskimi, cośmy mu przypro-wadzili, ma już teraz dwudziestu dwu ludzi. Prawdziwe wojsko!

— Powiedziałam ci, że krowa prawie od rana nie dojona!

— Daj mu spokój — odezwał się dziwnie miękko Andrzej.

— No to może ty pójdziesz do obory? — zaczęła kłótliwie, ale zaraz zawstydziła się swego głosu, a Emil jak zawsze pilnie baczący, żeby nie stać się przyczyną ich kłótni, chwycił wreszcie wiadra i wybiegł z kuchni. — Przepraszam — szepnęła do Andrzeja. — Ale to dlatego, że tak się boję, tak się boję... o was... o was obu...

— Wiem, dlaczego choi&laś, ±&hy szedł ze mną — odpowiedział Andrzej cicho

— ale to było chyba niedobre...

— Dla kogo?

— Dla niego. Zobaczj^ł Jamroza w jego obozowisku, ludzi, którzy mają broń.

Trochę chyba chwalili się przed nim, żaden z nich oczywiście. się nie przyznał, po ile dni nie widzą czasem chleba, jak długo chodzą w nie pranej bieliznie... Zobaczył tylko broń i zawiadacko nasunięte na ucho czapki. A ty mu każesz od razu doić krowę.

— Boję się, żeby nie zachorowała — napomknęła z żalem. — Mnie nie chce dać.

— Będzie kłopot.

— Z kim?

Milczał przez długi czas. — Z Emilem — odpowiedział potem, ale ona dopadła do niego, chwyciła jego głowę w obie ręce, zmusiła do tego, żeby spojrział jej w oczy.

— Powiedz od razu... — zaczęła cicho.

— Ach, o czym ty myślisz! — Ujął jej ręce, potrzymał chwilę w swoich, pocało-wał. — Możesz być spokojna.

Ale nie była. Zima, która się zbliżała, nie niosła ze sobą spokoju. Niemcy rekwi-rowali futra, czapki i rękawice, zdejmowali je z ludzi na drogach, robili rewizje w domach. Emil jeszcze ubiegłej zimy

dostał od starszej pani Borowieckiej całkiem niezły kozuszek, w którym jej syn za czasów studenckich buszował po lesie.- Dostał go za zimowe dokarmianie jeleni, a miała to być także zachęta, aby i tej zimy dobrze się do tego przyłożył. Kozuszek stał się nieco przyciasny, ale jeszcze można było w nim chodzić, i właśnie Emil wdział go tej niedzieli, kiedy żandarmi zrobili obławę przed kościołem i zdarli z grzbietów ludzkich wszystko, czym mogłaby się ogrzać zwycię-

ska armia, zatrzymana w rosyjskich śniegach.

Emil wrócił do Olszanki w marynarce tylko, ale za to z podbitym okiem i rozkr-wawioną wargą. Zjawiwszy się tak na progu, słowa z siebie nie wydobył, otworzył

drzwi do pokoju, w którym sypiał, i rzucił się na łóżko. Helenka, usłyszawszy jego płacz, rozszłochała się także, a Andrzej rozpałił ogień, zagotował wody na herbatę, wlał do niej spirytusu i zaniósł Emilowi. — Wypij to zaraz! — powiedział.

— Nie chcę! — burknął chłopak, nie podnosząc głowy. — Chcę zdechnąć, skoro nie mogę do nich strzelać!

— Wypij! — powtórzył Andrzej. Uniósł Emila przemocą, przystawił mu kubek do ust. — Możesz zachorować po tym spacerze. I umrzesz na zapalenie płuc, nie zabiw-szy przedtem ani jednego Niemca.

— I tak nigdy żadnego nie zabiję. Gdzie? Tutaj?

— Posłuchaj, Emil — Andrzej usiadł przy nim, żeby dopilnować opróżnienia kubka — jesteś niepełnoletni i jeśli chcesz, żebym dalej się tobą opiekował, musisz mnie słuchać. Skończysz dwadzieścia jeden lat i będziesz robił co zechcesz.

— Do tej pory wojna się skończy.

— Jesteś tego taki pewny?

Emil wypił do końca gorący płyn, wciągnął w płuca powietrze. — Nie wytrzymam tak długo — jęknął. — Kocham pana doktora, ale nie wytrzymam! Jak tych dwóch podeszło do mnie i kazało mi się rozbierać, od razu pomyślałem o tym erkaemie u Jamroża...

— Na wszelki wypadek — przerwał mu Andrzej — wziąłem od Jamroża słowo, że cię nie przyjmie do siebie.

Emil usiadł na łóżku. — Rozmawiał pan z nim o mnie?

— Tak. I przyznał mi rację. Tu także jesteś potrzebny. Choćby po to, żebym ja mógł od czasu do czasu zjawić się u nich. O tym nie pomyślałeś?

— Nie — przyznał Emil zawstydzony.

— No to pomyśl teraz! — Andrzej poszedł do kuchni, przyniósł baranicę i okrył

nią chłopaka. — Trzeba ją będzie chować — powiedział wychodząc — bo i ją zaborą.

Ale wtedy jeszcze nikt do Olszanki nie zaglądał — nikt z nich. Za to coraz czę-

ściej zaczęli się pojawiać ci, których także się bała, choć w inny sposób.

Pierwszy tej zimy zawitał człowiek już niemłody, w kaszkiecie i przedwojennym kolejarskim płaszczu. Zamiast swego wymienił najpierw nazwisko, które Andrzej znał. Przeciągająca się wojna zmusiła go do nawiązania kontaktu z rodziną — teraz tego pożałował. To był ktoś z Warszawy, z kręgu znajomych ojca, choć nie powoływał się na niego wprost. Ale mogła to być także zwykła prowokacja i z tym przede wszystkim trzeba było się liczyć, choć przezorność miała zawsze posmak hańby, cudzej, ale i własnej.

Z tym człowiekiem Andrzej zamknął się sam na sam, ani ona, ani Emil nie słyszeli, o czym rozmawiają, w pewnym momencie tylko trzasnęły drzwi do drugiego pokoju, gwałtownie otwarte, obydwójce domyślili się, co Andrzej pokazuje w tym pokoju nieznanemu gościowi. Kiedy wyszedł, na stole zostało przywiezione przez niego pismo z dużym, czerwonymi literami wydrukowanym tytułem Trybuna Wolności.

I to przecież też mogła być prowokacja, a jednak rzucili się na tę gazetę, każde słowo przemawiało z niej wprost do nich, pierwsze polskie słowo, które się przedarło przez kordony łapanek, tropień i aresztowań.

— Tu wszystko jest dobrze napisane — zdecydował Emil.

Andrzej powoli podniósł na niego oczy. — Co to znaczy „dobrze”?

— No... — zająknął się chłopak. — Tak, jak ma być... Tak, jak prawdziwie powinno się teraz pisać. I on był prawdziwy. Nie szpicel. Dlaczego... dlaczego tak pręd-ko sobie poszedł...?

— Na tematy poruszane przez tego pana wolałbym rozmawiać z kimś, kogo dobrze znam.

— Wszystkich będziemy uważać za szpide? — zawołał gwałtownie Emil. Z dnia na dzień stawał się coraz trudniejszym partnerem do rozmów. — Wszystkich?

— Nie wszystkich. Ale jednak szpide są wśród nas. I sypią. To bolesne, ale trzeba sobie zdawać z tego sprawę. Nigdy się nie dowiemy, ile ludzi dostało się do obozów i więzień lub zostało rozstrzelanych od razu dlatego tylko, że zasypał ich, zadenuncjo-wał taki czy inny osobisty wróg albo ktoś, kto się zdecydował na współpracę z okupantem. Ale to nie tylko dlatego... — dodał po chwili.

— Co... „nie tylko dlatego...”?

— Nie tylko dlatego nie zatrzymałem go na dłużej. Nie uważam za słuszne już teraz zajmować się tym, jaka będzie przyszła Polska. Niech najpierw będzie.

Emil milczał. Ona także; cicho szeleściła gazeta pod jej dłonią.

— Niech najpierw będzie — powtórzył Andrzej. — Wrywanie jej sobie wzajemnie już teraz rozbija nas i osłabia, powoduje to, że stajemy się sobie wzajemnie y/rogami, a powinniśmy być wszyscy razem jak nigdy dotąd. Oto dlaczego nie zatrzymałem go. Jakkolwiek... zapamiętałem dwa adresy, które mi podał.

— Zapamiętał pan doktor...? — spytał Emil bez tchu.

— A chciałeś, żebym je zapisywał?

— Czy to ktoś... w Lichnowcu...?

— Dowiesz się o tym, jeśli będzie trzeba, żebyś wiedział.

Emil się nadał. Jego twarz nabierała już męskich rysów, mięśnie twardo napina-

ły mu się na szczękach, ale w ustach i spojrzeniu miał jeszcze coś dziecinnego, coś, co zgadzało się nieraz z nastrojami, w jakie popadał. Teraz miał twarz chłopaka, któremu zabrania się zabawy, a on ma na nią ogromną chętkę. Usprawiedliwiało to postępowanie Andrzeja. — Weź się za jakąś książkę — powiedział łagodnie.

— Matureę już zdałem — odburknął chłopak.

— Ale zapomnisz wszystko, zanim staniesz przed prawdziwą komisją.

— Jak to ma potrwać tak długo, jak pan doktor mówi, to jeszcze mam czas na po-wtórkę.

Było z nim coraz trudniej. Któregoś dnia wrócił z Lichnowca rozpromieniony.

Marzec już był, mróz jeszcze trzymał, ale dzień pod wieczór miał tę barwę szczególną, która zapowiada już nadejście wiosny. Wróble, obsiadłszy zachodnią stronę dachu, rozprawiały całą siłą swoich niestrudzonych gardeł. Zastawszy ją przed progiem z Helenką na ręku, Emil szurnął nogami, wyprostował się jak struna i przyłożył dwa palce do swojej skórki z zająca obszytej czapki. — Zapisałem się do podchorążówki! —

zameldował.

— Do czego? — zapytała zdumiona.

— Do podchorążówki. Werbowali chłopaków w Lichnowcu, to się zapisałem.

— Kto werbował?

— Nie wiem — Emil wzruszył ramionami. — Ja go nie widziałem. Ale jeden z chłopaków...

— Oszalałeś! — szepnęła. Andrzeja nie było w domu, pojechał do chorego na trzecią wieś, spodziewała się go późno. Helenka wyciągnęła rączki do Emila; chwilami było to nawet denerwujące, ale od kiedy nauczyła się rozpoznawać twarze, najwięcej radości okazywała na widok

Emila. Teraz nadarzyła się chwila, żeby to wykorzystać. — Chcesz nas zostawić? — zapytała cicho.

Emil zaczerwienił się, spuścił głowę. — Przecież to tylko ćwiczenia.

— Ale chyba nie po to będą cię ćwiczyć, żebyś siedział w domu.

Chłopak milczał. Helenka wrzasnęła, rozczarowana tym, że nie okazuje jej żadnego zainteresowania. Wziął dziecko na rękę, usiłował je rozbawić mruczeniem i cmo-kaniem, strzelaniem palcami.

— Nie odpowiedziałeś mi na moje pytanie. Będą cię szkolić po to, żebyś siedział w domu?

Odwrócił głowę. — Nie wiem — szepnął. — Nie wiem. — A potem dodał: —

Proszę nic nie mówić panu doktorowi.

— Muszę powiedzieć. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby się coś stało.

Patrzył jej prosto w oczy, nie było w nich nic prócz pytania. — Co się może stać?

— Emil! — krzyknęła.

Spał już, kiedy Andrzej wrócił, prawdopodobnie położył się tak wcześnie, żeby uniknąć z nim rozmowy. Przez cały czas miała uczucie, że warował na swoim łóżku, cały zamieniony w słuch. Zwlekała z tą rozmową, ale w końcu musiała ją rozpocząć.

Nalała Andrzejowi talerz kaszy z mlekiem, postawiła na stole, usiadła. — Słuchaj

— zaczęła ostrożnie — on mówi o jakiejś podchorążówce...

Andrzej był zmęczony, coraz częściej ogarniało go zwątpienie, pełnił funkcję lekarza, ale nie czuł się lekarzem, w tych warunkach, bez lekarstw, bez naj-prymitywniejszych opatrunków. Matka pisała, że mógłby wrócić do Warszawy i zacząć normalną praktykę. Lekarze byli potrzebni, nawet ci, którzy skończyli medycynę wojskową, otworzyli gabinety i nikt się ich nie czepiał... Warszawa, myślał nieraz, Warszawa! Olszański las za oknem wydawał mu się dżunglą, ale czasem cieszył się, że się w tę dżunglę zaszły — choć coraz mniej okazywała się bezpieczna. — O jakiej podchorążówce? — zapytał niezupełnie przytomnie.

— Nie wiem. Tak mi tylko powiedział; że się zapisał.

— Zapisał się? — Do Andrzeja wreszcie dotarła ta wiadomość i wszystkie towarzyszące jej okoliczności. Wyjadł szybko kaszę z talerza, odsunął go na środek stołu.

— Emil! — zawołał.

— Nie teraz — przestraszyła się. — Porozmawiasz z nim jutro rano.

— Emil! — krzyknął Andrzej jeszcze raz. — Cóż, u licha? Nie śpisz chyba jak kamień!

— Zaraz — odezwał się Emil — muszę się ubrać.

Zjawił się po chwili na progu, w spodniach, które dopiero dopinał, i koszuli — wcale nie zaspany, nie zarumieniony nawet od snu, blady.

— Słucham — burknął.

— Co to za nowiny? Podobno do wojska się wybierasz?

— To jeszcze nie wojsko — mruknął pod nosem, zapinając teraz koszulę, guzik po guziku, aż pod samą brodę. — Wojsko dopiero będzie. Jak nas wyszkolą.

— Aha! — powiedział Andrzej, — Podchorążówka?

— Podchorążówka. Zdałem maturę u pana doktora, to mi się należy być podchorążym, a nie szeregowcem. Tak im powiedziałem.

— Komu?

Emil zakołysał się na nogach, ale zaraz znieruchomiał, wyprostował się. — Pan doktor nie chciał podać mi adresów, które wtedy zostawił ten z Warszawy...

— I dopiero teraz widzę, jak dobrze zrobiłem.

— Dlaczego?

— Nie dorosłeś jeszcze do tych spraw.

Chłopak wyprostował się jeszcze bardziej, drżały mu napięte mięśnie na policzkach. — Pan doktor nie traktuje mnie poważnie.

— A jak mam cię poważnie traktować — zawołał Andrzej — skoro jeszcze dwa tygodnie temu z ochotą byś wstąpił do PPR, a dzisiaj zapisałeś się do AK! Wiesz, co oznaczają te organizacje?

— No... — Emil stracił trochę sztywności ze swej wyprostowanej postaci — ...i tu, i tam walczy się z wrogiem...

— Zapiszesz się tu albo tam, gdy do tego dojrzejesz. Kiedy z całą świadomością zaakceptujesz jakiś program.

— Jaki program? — z nutą lekceważenia powtórzył Emil. — Bić Niemców i tyle.

— To ty tak myślisz. Ale ludzie, którzy tym kierują, myślą nie tylko o tym. Zapiszesz się, a nie wiesz, co za ciebie postanowią. Trzeba wiedzieć, czy chce się im zaufać. W polityce zaufać komuś to

wielka sprawa.

— Ale ja nie chcę nic wiedzieć o polityce — upierał się Emil. — Wcale mnie to nie interesuje.

— Musi cię interesować, skoro chcesz wstąpić do politycznej organizacji. Przepraszam, podobno już wstąpiłeś...?

— Ja chcę walczyć z Niemcami! — zawołał prawie ze łzami w głosie Emil. —

Chcę, żeby...

— Powiesz jutro temu, z kim rozmawiałeś — przerwał mu Andrzej — że się jeszcze ostatecznie nie namyśliłeś. I że masz na razie inne obowiązki. Jeśli poważnie traktuje i siebie, i ciebie, no i całą sprawę, zrozumie.

— To Bogdan — wykrztusił Emil. — Siostrzeniec pana plenipotenty...

— A w dodatku nie umiesz dochować konspiracyjnej tajemnicy. Bardzo mi przykro, nie chciałem tego od ciebie wydobyć. I proszę cię, żebyś mniej się pokazywał w Lichnowcu. Zaczęły się znowu łapanki na młodzież, nie wiem, czy papierek od pani Borowieckiej, czyniący z ciebie pomocnika leśniczego, tym razem by się na coś przydał. — Andrzej wstał, zbliżył się do Emila, położył mu obie ręce na ramionach, zajrzał

z bliska w oczy. — I nie miej do mnie żalu, Emil — powiedział innym głosem, nie nakazującym, nie mądrym, nie wiedzącym wszystko lepiej i pewniej — żyjemy w strasznych czasach. Żaden filozof i żaden polityk nie mógł przewidzieć, że coś takiego może się stać z ludzkością. Nie ma na to mądrości ani przebiegłości. Ile wspaniałych ludzi już zginęło! Ile jeszcze zginie? Nie wiemy, jak się bronić, a trzeba jakoś zachować i ciała, i dusze. W sumie chodzi nie tylko o życie jednostek. Wyniszczą naród.

Przez kilka miesięcy nie słyszeli nic o podchorążówce. Nazajutrz po tej rozmowie Emil poszedł do Lichnowca, wrócił z ponurą, pociemniałą jakby od zapiekłego rumieńca twarzą i przez cały dzień odzywał się tylko do Helenki.

Było już lato, upalny, nocami rozgwieżdżony sierpień. Bali się, że przy tej suszy nie będzie grzybów tego roku, a każdej jesieni bardso się nimi ratowali. Każdej jesieni... Nauczyli się już tak myśleć, tak formułować czas. Razem z tą pierwszą czekała ich już czwarta jesień w Olszance i nic nie wskazywało na to, żeby miała być ostatnią.

Stalin podczas rozmowy z Churchillem w Moskwie dopiero się domagał utworzenia drugiego frontu — historia ma zawsze więcej czasu i cierpliwości niż ludzie. W pała-cu, pod bokiem Gurtla, czynna już była radiostacja, o której wspominała młoda pani Borowiecka, jej bracia i kuzyni coraz częściej odwiedzali Lichnowiec, nie zapominając nigdy o przywiezieniu jakiegoś prezentu dla pana Curtla, pod którego opieką Lichnowiec kwitł jak dawniej. Z pałacu więc przynosił Andrzej czasem jakieś wieści ze świata, nie zawsze zresztą pocieszające, jak właśnie ta o odwlekaniu utworzenia drugiego frontu w Europie. Było więc upalnie i sucho, nocami grały na polanie świerszcze, a oni myśleli już o jesieni i zimie, o butach, o przyodziewku, o jedzeniu...

Jakiś gospodarz ze wsi leczony przez Andrzeja dał mu owczą wełnę, miały być z niej skarpety i rękawice dla Andrzeja i Emila, zaczęła je robić wcześniej tego roku, czas się dłużył, dłużyło się czekanie, wciąż nie było żadnego zaczepienia dla jakiejś bliskiej nadziei.

Spali przy otwartych szeroko oknach, w niskim budynku leśniczówki było duszno nie do wytrzymania, a i lasu znowu się nie bali, oswojeni z jego szumem, stałą rozmową wiatru i gałęzi.

Tej nocy długo nie mogła zasnąć, leżała — jak w pierwszych dniach ich małżeń-

stwa — wsłuchując się w oddech Andrzeja, szukając w nim ratunku i uspokojenia. I jak wtedy, zapytała wreszcie: — Śpisz?

— Nie — odpowiedział od razu. — Chodź tu do mnie.

Przyszła, objęli się ramionami, bez żadnego słowa,

zastępując tym objęciem wszystko, co mieli do powiedzenia. Helenka cichutko zamruczała w swoim łóżeczku. Przez chwilę czekali w napięciu, czy nie zapłacze. Ale obróciła się tylko na drugi bok i uciszyła się, zasnęła. Lekki powiew wiatru poruszył

oknem, zaskrzypiała rama, skądś z daleka nadpłynął trzask łamanych gałęzi.

— Jeleń — szepnął Andrzej uspokajająco. — Jeleń albo dzik.

— Wiem... Nie boję się. — Chciała dodać, że zaczęła już zdawać sobie sprawę, że jeśli coś przyjdzie, to nie z tej strony, ale z tamtej, od ludzi, od tych, którzy jeszcze teraz nie mieli odwagi zagłębić się w las, nie powiedziała jednak tego. Poglądziła czo-

ło Andrzeja, położyła mu dłoń na oczach. — Czy nie zdumiewa cię.. — zaczęła cicho i urwała przestraszona, że odważa się o tym mówić, że lepiej było ukryć tę myśl jak najgłębiej w sobie, zasłonić ją przed losem.

— Co „mnie nie zdumiewa”? — zapytał Andrzej.

— Ach, nie, nie trzeba o tym mówić...

— Nie trzeba — szepnął. — Dwoje ludzi, jeśli naprawdę znaleźli się w życiu, nie rozstaje się nigdy.

— Nigdy! — powtórzyła.

Leżeli znów cicho, ciasno i boleśnie objęci, a w głębi lasu jeszcze raz odezwało się suche trzaśnięcie gałęzi.

— Zwierzyna ciągnie do stawu — rzekł Andrzej, przytrzymując jej dłoń na swoich oczach. — Skąd wiesz — szepnął — że kiedy byłem mały, matka usypiała mnie w ten sposób?

— Nie wiem. Może także chciałabym być twoją matką... ? I siostrą... ? Twoimi wszystkimi kobietami

? Może dopiero wtedy kocha się naprawdę mężczyznę?

— I jest tak. — Andrzej ukrył twarz w jej włosach. — Jesteś moimi wszystkimi kobietami. Tymi, które kocham i których oprócz ciebie nigdy nie pokocham...

Znowu odezwał się trzask gałęzi, ale jakby bliższy i nie tak krótki. Andrzej umilkł, zaczął nadśluchować, nieruchomy i napięty. Uciszyła się także, wstrzymując oddech.

Z głębi lasu ktoś nadchodził. I nie był to jeden człowiek — obydwójce równocze-

śnie zdali sobie z tego sprawę. W ciszy, która była szumem wiatru i granie świeższczy, odzywały się nie tylko suche trzaśnięcia gałęzi pod stopą, ale i ludzkie głosy, jakby jęk uciszany przez kogoś drugiego, milknący i odzywający się znowu.

— Zamknij okna — zawołała zduszonym szeptem.

— Po co? — Andrzej się nie ruszał. — Żeby zaraz je otworzyć?

— Może to ktoś...

— Każdy potrafi wybić szybę. A broni nie mamy. Na szczęście...

— Dlaczego „na szczęście”? Moglibyśmy teraz...

— Nie moglibyśmy. I za dużo tego strzelania wokół. Ubieraj się.

Sam wstał naciągnął spodnie, stanął w oknie nadśluchojąc. Ona poszła do drugiego pokoju obudzić Emila.

Nic nie słyszał. Zerwany z głębokiego snu, długo nie mógł pojąć o co chodzi. —

Może Jamroz? — szepnął.

Noc była słabo rozjaśniona zachodzącym księżycem, ale jednak zdołali dostrzec na skraju polany wyłaniające się spod drzew postacie. Było ich trzech. Dwóch na nogach i jeden niesiony przez nich.

— Rozpalaj ogień — powiedział Andrzej do Emila,

— Już, panie doktorze — szepnął chłopak. — Zaraz wygotuję narzędzia.

Tamci pod lasem zatrzymali się, jakby obudziła się w nich nagle ostrożność, której w nich przedtem nie było, bo przecież rozmawiali w lesie ze sobą. Teraz stanęli, poło-

żyli niesionego na ziemi.

— Muszę wyjść do nich — zdecydował Andrzej.

— Nie! — krzyknęła.

— Uspokój się. Boją się, że mogą tu być Niemcy. A tamten człowiek może się przez ten czas wykrwawia...

— Pójdę z panem doktorem. — Emil zerwał się z klęczek przed kuchnią.

— Chodź!

Stała oknie, prowadziła ich wzrokiem aż w ten krąg cienia pod drzewami, gdzie zatrzymali się tamci, uciszeni teraz i nieruchomi w oczekiwaniu.

— Kto tam jest? — zawołał Andrzej.

— Panie doktorze! — odezwał się słaby głos. — Ratunku!

Teraz potoczyło się wszystko szybko, w mgnieniu oka. Rzucili się do leżącego, przenieśli go do domu. Był to Stasio, ów chłopak w oficerkach, który odwiedził ich ubiegłej zimy, tej samej nocy, kiedy zjawił się Jamroz. Miał dwa postrzały: w głowę i w bok, krwawił i cierpiał, twarz miał poszarzałą z bólu i przerażenia.

— Nie umrę? — powtarzał. — Nie umrę?

— Jak to się stało? — spytał Andrzej, pochylając się nad nim.

Odpowiedział jeden z tych dwóch, którzy go przynieśli, tak samo młody, jak Stasio, tak samo, jak on, za młody na żołnierza, za młody, żeby... Do tego nikt nigdy nie dorasta, pomyślał Andrzej, czując skurcz w gardle.

— Ktoś zasypał naszą podchorążówkę. Komendanta i większą część chłopaków aresztowali, pewnie ich wzięli na Majdanek, a nam udało się uciec, ostrzelali nas...

Stasio chciał, żebyśmy go przynieśli do pana, ale w lesie zostali także ranni...

— Dużo?

— Pięciu.

— Daleko stąd?

— Będzie chyba z dziesięć kilometrów.

Andrzej w milczeniu schylił się nad rannym. Wydawał się coraz słabszy. — Kiedy to się stało?

— Wczoraj w nocy.

— I przez cały czas krwawił?

— Staraliśmy się... staraliśmy się to jakoś zatamować...

— Trzeba było od razu go tu przynieść!

— W dzień? I Stasio... Stasio nie miał odwagi... był tu przecież... Pan...

— Co ja?! — krzyknął Andrzej. — Chyba teraz widzicie, że miałem rację — podniósł wzrok na chłopców, odszukał spojrzeniem twarz Emila, przeraził się ich oczu.

Nie, nie miał racji. Pobici i rozgromieni, zaszczuci poczuciem bezsilności, zaprzeczali jego przewidującej argumentacji. Nie miał racji. Nie! Nie zgadzali się z nim. Nie miał

racji! — O Boże! — powiedział. — We wszystkim człowiek jest przeciwko sobie. Ale widzicie przecież... widzicie, jak przebiega ta walka. Powinien natychmiast znaleźć się w szpitalu. Oczyszczę rany, wyjmę kulę, choć i na to jest już późno... przy tym upale przez dwadzieścia cztery godziny nie opatrzona rana, ale krwi mu nie dodam.

— Jesteśmy gotowi — szepnęli obaj chłopcy.

— I ja! — odezwał się Emil.

— We wszystkim dzieci! A znacie swoją grupę krwi? I jego? Do tego potrzebny jest szpital...

— Andrzej! — przerwała mu błagalnie.

Staś nie stracił jeszcze przytomności, słyszał wszystko — nie chciała, żeby słyszał.

To było jeszcze jedno okrucieństwo, którego dopuszczano się na nim.

— Szpital! — krzyknął Andrzej. — Co mogę zrobić w tych warunkach? Nic! Patrzeć i czekać! Musicie brać to pod uwagę. Musicie o tym pamiętać. Nie ma wyjścia z tej sytuacji.

Nie zrozumiał jej albo nie chciał zrozumieć. Nie mógł uratować Stasia, ale chciał

przynajmniej uratować tamtych dwóch. I Emila — Emila także. — Narzędzia wygotowane? — zwrócił się do niego ostro. — A wy wyjdźcie! Zosiu, zabierz ich!

Jeśli chciał, żeby to była lekcja, powinien był ich zostawić, ale może to jemu teraz zabrakło siły, może to on nie mógł już dłużej ciągnąć tej rozmowy, patrzeć im w oczy, znosić ich spojrzeń. Zagarnęła chłopców przed siebie, wyprowadziła ich do pokoju, podsunęła krzesła, żeby usiedli. Czekali wszyscy na krzyk z kuchni, na wrzask, na jęk choćby — ale za drzwiami trwała cisza, przerywana tylko głosem Andrzeja i szczer-

kiem narzędzi.

— Tamtych trzeba także opatrzyć? — spytała cicho.

— Tak — odpowiedzieli.

— Ciężko ranni?

— Lżej od Stasia, ale jeśli pozostawi się ich bez pomocy...

— Rozumiem. Nie pozostawi się ich bez pomocy.

Obudzona rozmową Helenka leżała przez chwilę cicho, patrząc zdumionymi oczyma na obce twarze, a potem rozpląkała się i wyciągnęła rączki do matki. Przytuliła ją, zaczęła nosić i kołysać w ramionach, uciszać szeptem, ale dziecko nie przestawało płakać, tylko zanosilo się coraz głośniejszym szlochem.

Andrzej otworzył gwałtownie drzwi. Był blady, twarz miał zroszoną potem. — Co jest, do jasnej cholery, z tym bachorem?

Nie odpowiedziała, wyniosła Helenkę do pokoju, w którym sypiał Emil, położyła ją na jego łóżku. Nigdy jeszcze Andrzej nie stracił tak panowania nad sobą. Oznaczało to, że Stasio... ale nie tylko to, nie tylko to... Położyła się obok dziecka, przytuliła je do siebie, przerażona tak jak i ono tą nocą, obcymi w domu i tym, że nagle ich istnienie stało się jakby niepotrzebne i wadzące wszystkiemu. — Cicho — szepnęła do Helenki. — Cicho... Zaraz to wszystko się skończy... Musi się skończyć... — Przeraziła ją myśl, że uspokaja siebie, a nie dziecko. — Jestem z tobą — powiedziała. — Jestem z tobą! — Ale to także nie było skierowane do Helenki.

Kiedy Andrzej ją zawołał, stał już ubrany do drogi, Emilowi kazał osiodłać Achillesa. — Przynajmniej będę mógł prędzej wrócić — powiedział.

— Co ze Stasiem? — zapytała cicho.

Andrzej pochylił się, pocałował ją w policzek. — Przepraszam cię — szepnął. —

Byłem bardzo zdenerwowany. On... to byłby chyba cud, gdyby...

— Co mam robić?

— Na razie nic. Zrobiłem wszystko, co było można. Nie wiem, ile krwi stracił.

Postaram się wrócić najprędzej, jak tylko się da.

Milczała.

Objął ją, chłopcy stali przy drzwiach, opuścili głowy. — Zosiu! Chyba rozumiesz...

— Ależ tak! Musisz jechać!

Przecież nawet gdyby krzyczała, gdyby rzuciła się na próg, pojechałby także. Nie trzeba więc było mu tego utrudniać. Stała na progu, pożegnała chłopców, wyraziła nadzieję, że pewnie niedługo, gdy Staś wyzdrowieje, zabiorą go do lasu. Wróciła do kuchni ze zdławionym gardłem, Emil cicho zamknął za nią drzwi, spojrzeli na siebie pociemniałymi z rozpacz i przerażenia oczyma. Staś

umierał, wiedzieli o tym oboje.

Leżał teraz, wyczerpany, z zamkniętymi oczyma, ale słyszeli jego przyśpieszony oddech, więc jeszcze nie teraz... jeszcze nie teraz...

Przypomniła sobie noc, kiedy był tu po raz pierwszy i kiedy Jamroż chciał go ze sobą zabrać do lasu. Gdyby się wtedy temu nie sprzeciwiła, byłby w tej chwili jednym z lepszych żołnierzy u mądrego, przebiegłego Jamroża, który opróżniał w całej okolicy niemieckie kasy i niemieckie magazyny — wciąż się o tym słyszało i zawsze my-

ślało się, że to on. Byłby więc teraz u Jamroża, matka popłakałaby sobie tej nocy, kiedy do domu nie wrócił, ale w końcu znalazłby sposób, żeby ją zawiadomić, że żyje.

Teraz nigdy już nie otrzyma takiej wiadomości...

— Wiesz, o czym myślę? — spytała Emila.

— Tak. Nie można było przewidzieć.

— A ty, żebyś mi się z domu nie ruszał! — krzyknęła nagle. — Bo jak doktor nie zrobi z tobą porządku, to ja zrobię. Siedź na tyłku w domu i ani do lasu za daleko nie odchodź.

— Ja przecież... — przeraził się Emil — przecież powiedziałem im wtedy, jak pan doktor kazał mi się wypisać...

— Widzisz — szepnęła. — Widzisz.

Stasio poruszył się, otworzył oczy. Chciał coś powiedzieć, ale widocznie nie miał

już siły. Pochyliła się nad nim, nic nie usłyszała. Nie mogła oderwać spojrzenia od tych dwóch nieruchomych źrenic, przekazujących jej coś, powierzających jej swoją ostatnią jakąś myśl, ostatnią prawdę. O Boże! pomyślała. Nie możemy się bać! Nie możemy się ich bać! Ktoś im musi za to zapłacić, ktoś musi wyrównać ten dług...

— Emil! — zaczęła cicho, ale w głębi domu znowu zapłakała Helenka i słowa, które miała powiedzieć, jeszcze nie wtedy zostały powiedziane.

Nie kładli się już, czuwali przy Stasiu, a kiedy niebo zaczęło szarzeć, Emil wziął

wiadra, a Diana, która miała w stajni przy Łaciatce swoją miskę i zawsze dostawała w niej ciepłe jeszcze mleko, pobiegła za nim, poszczekując radośnie. Gdyby można było ten obrazek wyjąć ze świata, wyłączyć go z tego wszystkiego, czym stał się w ostatnich latach, dzień zapowiadałby się szczęśliwie. Ale na ławce w kuchni, wysłanej baranicą, umierał dwudziestoletni chłopak i nawet psia radość wydawała się tu bolesną niestosownością. Wyszła na próg, uciszyła psa — i wtedy usłyszała inne szczekanie, nie z lasu, ale od drogi, szczekanie i męskie głosy.

Pobiegła do stajni.

— Emil! — krzyknęła. — Ktoś nadchodzi!

Chłopak siedział już na stołku u boku Łaciatki; zmęczony nieprzespaną nocą leniwie odwrócił głowę.
— Pewnie ktoś z folwarku.

— A jeśli nie?

Zerwał się ze stołka, ale to przypuszczenie wydawało mu się niedorzeczne. —

Nigdy tu nie zachodzili — powiedział.

— Aż raz może się to zdarzyć. Prędeż! Musimy go ukryć!

— Gdzie?

— W piwnicy!

Drewniana kłapa w podłodze kuchni prowadziła do piwnicy, w której chowali na zimę kartofle i kapustę.

Teraz piwnica była pusta i Emil, zgarnawszy w swoje silne dłonie końce baranicy, spuścił w nią Stasia, nie reagującego już prawie zupełnie na to, co się z nim działo. —

Niemcy! — szepnął, nie mogąc znieść jego nieruchomego spojrzenia. — Ktoś idzie!

To mogą być Niemcy!

Wrzucili także do piwnicy wszystkie zakrwawione płótna, zatrzasnęli kłapę, a na niej rozesłali grubą lnianą płachtę. Wyrwana znowu ze snu i posadzona na tej płachcie wśród wszystkich swoich zabawek Helenka zaczęła gwałtownie płakać, ale dwaj przybysze w zielonych mundurach, którzy stanęli w drzwiach, mogli przypuszczać, że przestraszyła się psa, ziejącego otwartą paszczą przy nodze jednego z nich.

Nie powiedzieli najpierw nic, tylko rozejrzeli się po kuchni, po zainscenizowanym naprędce niemy obrazie — Emil rozpałał ogień, a ona zdejmowała z pieca któryś z garnków.

— Nikogo więcej nie ma w domu? — zapytał wreszcie jeden z żandarmów, starszy, trochę otyły. Jego towarzysz, trzymający na smyczy psa, nie wysuwał się przed niego.

— Nie — odpowiedziała. Znała niemiecki ze szkoły, ale było to bardziej rozumienie niż możliwość prowadzenia rozmowy. Teraz zresztą miała to być tylko odpowiedź

na pytania.

— A to — żandarm wskazał głową Emila — kto? Taki młody mąż?

Zarumieniła się. — Nie. Mąż w lesie. Pracuje w lesie. To pomocnik.

— Mąż poszedł do pracy bez śniadania? — odezwał się drugi żandarm, ten, który trzymał psa. — Ogień dopiero palicie.

Obróciła się powoli, wskazała gliniane garnki z kwaśnym mlekiem, stojące na półce. — Mąż rano pije kwaśne mleko.

— Słusznie! — roześmiał się hałaśliwie starszy. Zdjął czapkę, usiadł na ławie. —

Ja bym się także napił. Usiądź! — powiedział do kolegi.

Trzęsącymi się rękoma postawiła przed nimi garnki, wyjęła z szuflady stołu łyżki.

— Chleba nie macie?

Podawała chleb. Helenka wciąż płakała, więc uklękła przy niej na lnianej płachcie, czując pod kolanem twardy brzeg piwnicznej kłapy.

— Piękna matka, piękne dziecko! — odezwał się ten, który zwrócił uwagę na to, że dopiero teraz rozpalają ogień; pragnął jakby usprawiedliwić się tym komplemen-tem.

Uśmiechnęła się z tajonym wysiłkiem. Gdyby Stasio jęknął teraz lub krzyknął —

byliby zgubieni. Wilczur, ziejący wciąż otwartym pyskiem, prawdopodobnie wyczułby jego obecność w piwnicy, ale zajmowała go sobą Diana, która przybiegła ze stajni i, początkowo nieufna, rozciągnęła się przy kuchni.

— Ja mam w domu trójkę — starszy żandarm wznosił do góry rękę, pokazał trzy palce. — Trójkę! Samych chłopaków. A to córeczka?

— Tak — powiedziała.

— Piękna matka, piękne dziecko! — powtórzył drugi, ten z psem.

Wilczur schował na chwilę swój olbrzymi, parujący jęzor, szarpnął się na pejczu ku Dianie i łypnąwszy na swego pana pokornym spojrzeniem, zaskomlił cichutko.

— Na, ja! — zaśmiali się obydwaj, uderzając się dłońmi po udach. — Selbstver-standlich! — I jeden z nich dodał po polsku, z zadowoleniem popisując się tym słowem: — Panienska! W tym domu same śliczne panienska!

Z trzaskiem pękło grube polano w rękach Emila, żandarmi powoli zwrócili ku niemu głowy.

Porzuciła Helenkę i zerwawszy się szybko ze swego miejsca, zapytała, czy nie przynieść jeszcze mleka albo chleba? Może jajecznicę usmażyć — są świeże jaja...

Podziękowali w roztargnieniu; chłopak rozpalający ogień pod blachą zajął ich na długi czas. W

końcu doszli jednak do przekonania, że łamanie drzewa było zwykłym zabiegiem przy tej czynności, zapalili papierosy i zaczęli zbierać się do odejścia.

Stali już w drzwiach, z wilczurem wciąż wyciągającym ku Dianie swój węszący pysk, gdy jeden z nich zapytał: — Nie było tu nikogo w nocy?

Wzruszyła niedbale ramionami. — U nas?

— No właśnie! Włóczą się teraz różni po lasach.

— Ale nie tutaj. To nie las — uśmiechnęła się — to prawie przedmieście Lichnowca.

Podobało im się to.

— Vorstadt von Lichnowiec...

Kiedy zostali sami, długo nie mogli się poruszyć ani wydobyć z siebie głosu. Helenka, korzystając ze swobody, podpełzła na czworakach ku Dianie i położyła się obok niej.

— Diania! — szeptała zachwycona, że nikt nie przerywa jej zabawy.

Emil odezwał się pierwszy: — Wejdę na drzewo i zobaczę, czy naprawdę odeszli.

— Zrób to! I krzyknij, żebyśmy mogła zaraz... Nie — dodała cicho — otworzymy piwnicę razem...

Zrozumiał, czego się boi, rzucił się do drzwi i w mgnieniu oka był na jednej z górnych gałęzi starego modrzewia, który rósł przy domu. Wrócił zdyszany. — Idą do Lichnowca!

— Prędzej! — zawołała. — Prędzej!

Odrzucili w kąt zabawki i lnianą płachtę, podnieśli klapę prowadzącą do piwnicy.

Emil spuścił się w dół na rękach. Pochyliła się nad otworem w podłodze sądząc, że zaraz poda jej Stasia, że wyciągną go i ułożą na ławie. Ale Emil długo się nie pokazywał, a kiedy wreszcie go zobaczyła, twarz miał bladą i zacięte usta. Stasio nie żył.

Pochowali go przed wieczorem opodal domu wśród drzew, nawet wzgórek nie mogli nad nim usypać, tylko dół Emil wymościł jedliną, a później płasko wyrównaną ziemię przykrył uprzednio zdjętą z niej darnią. Na pniu jodły, tej samej, która użyczy-

ła Stasiowi swoich gałęzi na wieczne odpoczywanie, Emil wyrył jego imię i datę śmierci. Daty urodzin i nazwiska nie znali. Przeszukali wszystkie kieszenie zmarłego, ale nie znaleźli żadnego dokumentu.

— Trzeba będzie pójść drugi raz do tych chłopaków w lesie — powiedział, zamy-

ślając się, Emil — Zapytać o jego nazwisko.

— Po co?

— Matce trzeba dać znać.

— Po co? — powtórzyła cicho. — Niech czeka i niech nie wie. Czekanie jest zawsze nadzieją.

16

Do drzwi ktoś puka. Delikatnie, z wyraźną obawą, żeby nie przeszkodzić. Zofia przez długi czas nie może sobie uświadomić, skąd dobiega ten odgłos i gdzie — w jakim miejscu swego życia — go słyszy. Otwiera oczy i patrzy w okno, jak nauczyła ją Leosia, która wierzyła, że ten zabieg pozwala natychmiast zapomnieć o złym śnie.

Pukanie rozlega się ponownie i Zofia, trochę zawstydzona zwłoką, woła jakby z odcieniem skruchy w głosie: — Ależ proszę! Proszę wejść!

— Przepraszam — młodzieńki kustosz lichnowieckiego muzeum z pewnym oniesmieleniem uchyla drzwi. — Nie chciałbym przeszkadzać... Pani może zmęczona... ale był telefon z Kazimierza...

Zofia od razu jest przy nim. — Od córki? Co się stało?

— Od córki. Nie, nic się nie stało. Proszę się nie niepokoić...

— Sama dzwoniła?

— Ależ tak, sama. Chciałem panią poprosić, ale z kancelarii do tego skrzydła pałacu jest dość daleko, no i... córka nie nalegała... prosiła tylko, żebym powtórzył.

— Co takiego? — pyta Zofia sztywniejac.

— Że samochód się zepsuł.

— Pewnie ona prowadziła?

— Tego nie wiem. Ale że się zepsuł i naprawa oczywiście trochę potrwa...

— Jak długo?

— Nie pytałem. Córka prosiła, żeby się pani nie niepokoiła, przyjadą zaraz, jak tylko samochód zostanie naprawiony.

— Dziękuję panu.

Młody człowiek mógłby już właściwie odejść, ale stoi jeszcze na progu, wciąż nieco zakłopotany,

obmiata spojrzeniem puste, biało wymalowane ściany, jakby zawstydziała go przedziwna niegościnnność tego gościnnego pokoju. — Zimno tu — mó-

wi prawie przepaszającym tonem. — Okna wychodzą na park, w dodatku od wscho-du... Południową stronę ogrzewa trochę słońce. Niestety wolno nam palić tylko do piętnastego kwietnia.

— Nie zmarłam — pociesza go Zofia i pochyla ku niemu głowę z nikłym uśmiechem, jakby przekazywała mu myśl z góry uznaną za niepojętą. — Wie pan, przeży-

łam tu, w tej okolicy, lata tak straszne, że pamięć o nich uodparnia mnie jeszcze i teraz. Cóż to znaczy trochę zmarznąć, trochę pocierpieć, po tym wszystkim, co się prze-

żyło? Ale czas pracuje dla nas, w końcu nawet największy ból staje się tylko wspom-nieniem.

— Tak — mówi młody człowiek — Wiem, co się tu działo.

Zofia zaprzecza łagodnym ruchem głowy. — Nie, Nie wie pan, Nikt nie wie, kto w tym nie uczestniczył. I do mnie docierały już tylko echa. Kilka razy widziałam rannych, otarłam się o śmierć, o strach, kilka razy usiłowałam go przewyciężyć... To wszystko. Ale to zaledwie echo... Nawet po wojnie nie było tu spokoju. — Na stoliku leży oprawna w przybrudzone płótno księga, Zofia dotyka jej palcami. — Czytał pan tę księgę?

Młody człowiek nie wiadomo dlaczego pochyla głowę w ukłonie. — Przyznam się, że od tego zacząłem tutaj swoje urzędowanie.

— A ja spędzę nad tym cały wieczór, dopóki moja córka nie zjawi się tu z naszym Włochem. Nie mówiła, co się zepsuło?

— Nie. A ja nie pytałem. Szczerze mówiąc, nie bardzo się na tym znam. Jak się nie ma swego wozu...

— A przydałby się tu panu.

— Ba! — młody człowiek rozkłada ręce. — Nie trzeba było studiować historii sztuki.

— Zejdę chyba do restauracji na herbatę — mówi Zofia, sięgając po torebkę.

Przedłużająca się rozmowa w drzwiach zaczyna ją krępować. — Nie będzie tam o tej porze tłoku?

Kustosz zerka na zegarek. — Chyba nie. Jest już po obiedzie, a jeszcze przed kolacją. Choć i w Lichnowcu ludzie nauczyli się już przychodzić na kawę.

O tym właśnie ma okazję teraz się przekonać. Jakoś nie może sobie tego wyobrazić, pamiętając dawne twarze; ale jednak widzi na każdym stoliku szklanki z kawą, i nagle ma ochotę sarna się jej napić, choć od pewnego czasu nie jest to dla niej wska-zane. Czuje jednak potrzebę upodobnienia się do tych ludzi, wmieszania się między nich i gdy kelnerka zjawia się przy jej stoliku, decyduje się z uśmiechem: — To samo, co wszyscy. Może nie być taka mocna — dodaje pośpiesznie. .

I wtedy dopiero go spostrzega, tego człowieka, którego rano spotkali na drodze i podwieźli do Lichnowca, Siedzi przy sąsiednim stoliku i patrzy na nią, wyraźnie niepewny, czy powinien się jej ukłonić i czy ona to dostrzeże; w końcu unosi się na krze-

śle i składa jej niezgrabny, głęboki ukłon, a kobieta, z którą siedzi, odwraca się zaraz, żeby zobaczyć, komu się ukłonił.

Zofia odpowiada skinieniem głowy i zaraz zaczyna się ta męka: Gdzie? Kiedy? W

jakich okolicznościach go widywała? Dlaczego ją zapamiętał? — Bo to chyba nie był

tylko ukłon złożony kobiecie, która go podwiozła... Tego jest już pewna. Więc gdzie?

Kiedy? Z kim?

— Proszę! — mówi kelnerka, stawiając przed nią szklankę z parującym płynem.

— Jest kawa. Czy mogę od razu skasować, bo kończę pracę.

— Ależ proszę! — Zofia nerwowo wyszarpuje portmonetkę z torebki i odliczając pieniądze z dużym naddatkiem dla dziewczyny pyta nagie przyciszonym głosem: —

Kto jest ten człowiek przy tym stoliku naprzeciwko... z tą kobietą, która pali papierosa?

— To Klimecki — odpowiada od razu dziewczyna — nasz pan Klimecki...

— A dlaczego to... wasz pan Klimecki?

— Bo ja wiem... — kelnerka nie wie przez chwilę, co odpowiedzieć. — Tak tu wszyscy mówią...

— Bo co? Dlaczego tak mówią?

— Bo on tu się tak... — dziewczyna szuka odpowiedniego słowa — ...tak udziela... Organizuje... Nawet do muzeum się przyczynił. I dawniej, jak był tu Dom Dziecka....

— A gdzie pracuje?

— W cukrowni. A mieszka na Wybudowaniach.

— Gdzie?

— Na Wybudowaniach. Tak tu wszyscy nazywają te nowe domy pod lasem. .

Dawniej rósł tam rzepak, ale tego ta mała oczywiście nie może pamiętać. Rzepak, czasem koniczyna, zawsze coś niskiego i kolorowego, a las przez to wydawał się wyż-

szy i ciemniejszy. Ale skoro ten człowiek mieszka teraz na Wybudowaniach, tam gu-zie dawniej rósł rzepak albo koniczyna, to znaczy5 że podczas wojny mieszkał gdzie indziej... Gdyby tylko udało jej

się odnaleźć w pamięci to miejsce, ten pierwszy ślad...

Mogłaby właściwie przeprosić go na chwilę i zapytać, ale krępuje ją obecność tej kobiety z papierosem, a ściślej — sposób, w jaki go trzyma, odginając do tyłu szeroko rozstawione palce... To oczywiście jest niedorzeczne, co ją może obchodzić nawyk, z jakim ktoś pali papierosa, nawyk chyba całkiem świeży, ale jednak nie przeprosi tego człowieka, nie oderwie go od stolika, nie zapyta.

Może jest to ktoś, z kim Andrzej przychodził z lasu, kiedy zdecydował się już tam zostać, kiedy uznał, że powinien być tam, wśród ludzi, którzy gromadnie uciekali teraz do lasu przed wysiedlaniem i zamykaniem w obozach, przed — jak w modlitwie

— nagłą i niespodziewaną śmiercią.

Kiedy wrócił z lasu po śmierci Stasia — od chłopców z rozbitej podchorążówki —

widziała to już w jego oczach.

Potem chodził tam jeszcze kilkakrotnie, do nich, do Jamroża i do tych z GL, gdy natknął się w lesie na ich zbiórkę przed delegatem z Warszawy i został przez nich zatrzymany, dopóki nie udowodnił, że naprawdę jest lekarzem. Mieli już rannych.

Widziała to w jego oczach. Ten wyrzut. Ten wstyd, że jest tu, a nie tam. Nie tam, gdzie giną ludzie.

A wieś wokół Zamościa spływały teraz krwią. Ludzie porzucali swoje domy i wo-zami, wyładowanymi dobytkiem, ciągnęli w lasy biłgorajskie. Nie wszystkim udawało się uciec, wielu padało na progach swych domów, do których natychmiast — w ciepłe po nich jeszcze miejsca — wchodzili osiedleńcy. Czasem ognia nawet nie musieli rozpalać, bo tlił się jeszcze ten, który rozniecili poprzedni gospodarze. Oni po prawdzie nigdy gospodarzami tu nie zostali, choć dano im od razu własnościowe papiery i choć żrącym wapnem zamalowali tu każdy polski ślad — ale z tym wszystkim nawet jednej nocy nie mieli spokojnej, za dużo krwi się polało, żeby miała zostać nie pomsz-czona. Zaczęło się nocne regulowanie tych nie zapłaconych rachunków, pożary i bi-twy o całe wieś, nierzadko zwycięskie, jak ta, o której wieść przekazywano sobie z obłąkaną radością w oczach
™ pierwsza prawdziwa partyzancka bitwa pod Wojdą.

Andrzej był po tej bitwie w lasach ordynackich, i ci z BCh już się o nim dowiedzieli, może od Rosjan z oddziału Jamroża (pod Wojdą walczyli także partyzanci ra-dzieccy), był tam, a kiedy wrócił — wiedziała, że to powie. Milczał jedząc, milczał

chodząc po domu, milczał trzymając na ręku Helenkę. Było w tym coś tak bolesnego, że sarna chciała mu to ułatwić, pomóc, zapytać, ale on wtedy bardzo cicho i nie patrząc na nią poprosił, żeby poszła do pałacu po młodą panią Borowiecką.

— Dlaczego ty nie pójdziesz do pałacu? — zapytała.

— Nie chcę pokazywać się w Lichnowcu — odpowiedział. Posadził Helenkę na ławie, odwrócił się do okna. Od rana padał śnieg, nowy rok zaczął się mroźnie i biało.

rok czterdziesty trzeci, czwarty ich rok w Olszance...

— Przecież masz papiery w porządku — zaczęła nieśmiało.

— Proszę cię, idź do pałacu i poproś tu panią Borowiecką — powtórzył z naciskiem. — Nie wybaczyłbym sobie, gdybym teraz... Idź, proszę cię! — powiedział

jeszcze raz.

— Może Emil założy Achillesa do sanek? Taki śnieg...

— Nie! — potrząsnął gwałtownie głową. — Nie! Nie chcę także, żeby Achillesa widzieli w Lichnowcu. Kto wie, kogo możecie spotkać i komu on się nagle spodoba, on nawet w zaprzęgu nie jest bezpieczny. Idź! Nie ma zbyt wiele czasu.

Chciała zapytać, co to znaczy: „nie ma zbyt wiele czasu”, ale nie odważyła się na to, nie odważyła się nawet na niego spojrzeć, naciągnęła buty, narzuciła płaszcz i chustkę na głowę, dopadła do drzwi. Powietrze było mroźne, suchy wiatr strącał z ga-

łęzi nawisły grubo śnieg... Co to znaczy, myślała wciąż, „nie ma zbyt wiele czasu”?

Młoda pani Borowiecka nie okazała zdziwienia ani nie pytała o nic. Kazała zaprzęgać do sanek. W drodze prawie nie rozmawiały, jeśli nie liczyć pytań o zdrowie Helenki — jednej i drugiej. Kiedy przyjechały, Andrzej wciąż jeszcze stał pod oknem, tak jak go zostawiła. Wydało się jej, że Emil, który otworzył im drzwi i umknął zaraz do swego pokoju, ma zaczerwienione oczy.

— Słucham pana — powiedziała pani Borowiecka. Uczyniła tymi słowami cał-

kiem zwyczajne to, że ją tu wezwał, a ona stawiała się zaraz, posłuszna temu wez-waniu.

Andrzej pochylił się i pocałował ją w rękę. — Przepraszam. Musiałem z panią porozmawiać.

— Jestem.

— Muszę zostać w lesie — powiedział.

— Tego się spodziewałam.

— Oczywiście będę się starał, żeby od czasu do czasu tu wpaść, ale funkcji leśniczego nie zdołam już pełnić. Chciałbym, żeby moja żona i dziecko, a także i ten chłopak mogli tu zostać.

— Nie ma o czym mówić. Plenipotent będzie wypłacał pensję jak dotąd.

— Dziękuję.

— Niech tylko chłopak w dalszym ciągu dokarmia zwierzynę.

— Będzie to robił. Ale to tylko jedna prośba...

— A druga?

Rozmawiali, jakby byli tylko sami w pokoju, jakby nie stała obok nich, nie zdejmując z twarzy Andrzeja przerażonych oczu. Więc jednak to się stało, jednak stało się to, czego przez cały czas się bała. Odchodził i dowiadywała się o tym z rozmowy, jaką wiódł z panią Borowiecką, z rozmowy o pensji, o dokarmianiu zwierzyny i o czymś, co dopiero miał wyjawić...

— A druga prośba? — spytała jeszcze raz pani Borowiecka.

— Proszę mi wybaczyć, jeśli będę zbyt zuchwały. Ale to, co się teraz dzieje we wszystkich lasach Lubelszczyzny, wymaga tej zuchwałości ode mnie. Ludzie mrą jak muchy.

— Wiem. Co to za prośba?

Powiedział po długiej chwili: — Achilles.

Pani Borowiecka opuściła głowę, podbródek jej zadrżał. — Achilles — powtórzyła za nim cicho.

— Był już ze mną kilka razy w lesie.

— Był już?

— Przepraszam. Nie miałem czasu pytać o pozwolenie. Cudowny koń. Idzie w lesie cicho, omija każdą gałązkę, człowiek nie szedłby ciszej. I szybki! Cudowny koń.

Pani Borowiecka przymknęła oczy. — Niech mi pan tylko teraz nie zaczyna mówić o jego zaletach...

— Przykro mi. Ale i tu nie wiadomo, jaki czeka go los. A ja w lesie muszę mieć konia. Nie mogę wciąż każdej drogi pokonywać na piechotę. Jaka to strata czasu!

— Oczywiście. Rozumiem.

— Mógłbym panią prosić o innego konia, ale przyzwyczailem się już do niego, a jeździec ze mnie nie™ świetny. Bardziej kieruję się jego instynktem niż moim własnym rozeznanie.

— Rozumiem — powtórzyła pani Borowiecka.

Nastąpiła teraz cisza. Milczeli wszyscy troje, choć może ona powinna była wreszcie zapłakać,- rzucić się Andrzejowi na szyję, wcisnąć mu w ramiona Helenkę... Ale —

jak tyle razy przedtem — wiedziała, że to na nic, że pragnienie zachowania dla siebie tego, co się

kocha, stało się teraz śmieszne i niegodne, a kobiecie gesty rozpacz i błagania straciły wszelki sens. Stała więc z zaciśniętymi ustami, ogłuszona waleniem serca, jakby była dzwonem bijącym na alarm, dla siebie tylko bijącym na alarm.

— Proszę — powiedziała pani Borowiecka. — Niech go pan weźmie.

— Nie wiem, jak pani dziękować.

— Więc niech pan nie dziękuje. Wolę, żeby służył panu niż komu innemu. To świetny koń i niech ma równie świetne życie. Ostatecznie branie przeszkód na torze to znów nie takie najzaszczytniejsze zajęcie. Niech panu dobrze służy. I niech pan na nim szczęśliwie wraca. Czy jeszcze coś?

— Tak — powiedział Andrzej cicho. — Najtrudniejsze przecie mną i proszę, żeby mi pani pomogła.

Pani Borowiecka przeniosła spojrzenie z twarzy Andrzeja na jej twarz. Zaczynała rozumieć. — Nie wiem, czy będę mogła panu pomóc.

— Pani także kiedyś rozstawała się z mężem.

— O Boże! — zawołała. — I pan myśli, że odzyskałam już spokój? I będę mogła pokazać pana żonie, że przebolełam już tamtą chwilę, że wyzwoliłam się już z tego cierpienia, z tego rozdarcia duszy na strzępy, na strzępy! Otóż nie będę mogła! Niech pan na to nie liczy.

— Pani Wando! — szepnął Andrzej z wyrzutem.

— Tak. Niech pan na to nie liczy! Nie ma przykładów na uspokojenie, na zabliź-

nianie ran, na zawianie śladów. Nie posłuży się pan mną jak eksponatem w tej sprawie. Sprowadził mnie pan głównie po to. Achilles, oczywiście, lecz mógł go pan wziąć bez pytania, tak jak pan robił przedtem. Ale chodziło głównie o to, że nie miał

pan odwagi powiedzieć tego żonie wprost. O moja biedna! — zawołała i wyciągnęła do niej ramiona, a ona nie mogła już powstrzymać łez w tym ciepłym, kobiecym obję-

ciu. — Moja biedna!

— Emil! — krzyknął Andrzej. — Wyprowadź konia!

Emil zjawił się natychmiast, musiał stać pod drzwiami, musiał warować przy nich z uchem przy szparze. — Więc jednak pan doktor... jedzie?

— Co to znaczy „jedzie”? Siodłaj konia.

Emil posunął się ku drzwiom ze zwieszoną głową, powolny i przygarbiony.

— Panie doktorze!... — zaczął cicho.

— Siodłaj konia! — krzyknął Andrzej ostro.

Dopiero gdy trzasnęły drzwi za Emilem, podszedł do niej.

— Zosiu!

Płakała wciąż w ramionach pani Borowieckiej, w jej siostrzanym, kobiecym objęciu.

— Zosiu!

— Niechże pani spojrzy na niego! — powiedziała ta, która miała to już za sobą, która także kiedyś zegnała swego męża.

Nie, lepiej by było, gdyby na niego nie patrzyła, gdyby nie zapamiętała jego twarzy z tej godziny. Niechby jej towarzyszyło spojrzenie jego oczu z chwil dobrych, nie podpalonych jeszcze rozpaczą.

— Pani Zosiu! — poprosiła pani Borowiecka.

On milczał.

Wysunęła się z obejmujących ją ramion, odwróciła ku niemu głowę. Stał od niej o krok, nie miał odwagi zbliżyć się do niej, a ona także nie pokonała tej odległości.

— Przecież chyba rozumiesz, że muszę? — Głos miał pęknięty, nadłamany, oka-leczony.

— Musisz — odpowiedziała.

Dlaczego, dlaczego to powiedziała? Dlaczego człowiek jest osaczony przez powinności, których sam nie wziął na siebie, a jednak nie może ich odrzucić? Wszystko w niej krzyczało: nie! Nie! NIE! — a jednak powiedziała: musisz.

— Dziękuję ci — rzekł z ulgą, ale głos miał wciąż pęknięty, nadłamany i okaleczony jak przedtem.

I tak się rozstali. Bez łez i pocałunków, bez wybiegania na próg. Inne były pożegnania, gdy zabierał go Jamroż, a potem wszyscy, którzy w nocy wyłaniali się z lasu.

Teraz — Emil podprowadził Achillesa, pani Borowiecka pogładziła go po głowie, pocałowała w chrapy, Andrzej wskoczył na niego, podniósł rękę w jakimś fałszywym pożegnalnym geście i zdziwiony Achilles, ruszony ostrogą, rzucił się w śnieg...

Człowiek siedzący naprzeciwko niej w pałacowej restauracji, jakby speszony jej spojrzeniem, pochylił się ku swojej towarzyszce i zaczął coś do niej szeptać.

Więc mógłby to być któryś z tych, co pomagali Andrzejowi, przy transporcie chorych do Olszanki, kiedy uznał, że powinni u nich leżeć, że mieli stąd bliżej do życia niż z polany w lesie, na której

założył swój szpital. Przynosili ich wtedy jacyś ludzie, nie zapamiętywała ich twarzy, zajęta chorymi, a także i tą ulotną radością, jaką jej da-wała krótka obecność Andrzeja.

Więc mógłby to być któryś z nich, a ci wiedzieli o Andrzeju więcej niż ona, byli z nim dłużej, jeśli liczyć czas nie jako sumę dni, ale jako odcinek najdalej wybiegający w stronę punktu... Dlatego on, być może, był z Andrzejem dłużej i całkiem niedaleko owego punktu, który dla niej pozostał wieczną tajemnicą.

Zapytam go! pomyślała w popłochu. I już zbierała się, żeby wstać, gdy tamci przy drugim stoliku podnieśli się ze swoich miejsc i szybko, bardzo szybko opuścili lokal.

Coś się stało? pomyślała. Coś się musiało stać. Wstała także i wyszła przed skrzydło pałacu, ale nigdzie ich już nie zobaczyła.

Gdzieś niedaleko na szosie zaszumił silnik samochodu. Agnieszka! ucieszyła się.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jaki lęk budził w niej samotny wieczór w pustym hotelowym pokoju. Szum silnika przepłynął jednak wzdłuż ogrodzenia parku i ucichł. Spojrzała na zegarek — dochodziła ósma. Mogliby już wrócić, pojnyślała z mimowolną pretensją, zapomniała o zepsutym samochodzie, o przymusowym czekaniu na jego naprawę. Znowu nie wiadomo dlaczego winna wszystkiemu wydała się jej Agnieszka, nie Renato, któremu zarzucić można było co najwyżej zbytne uleganie jej.

A może jednak trzeba, było namówić na tę wycieczkę i Helenę? Nie byłiby tylko sami ze sobą, gdy nie mogła im towarzyszyć. Nie, nie, zaprzeczyła sobie gwałtownie, Helena nie mogła tu przyjechać. Nie powinna — zawsze myśleli, że nie powinna... Ale dlaczego i ona przez tyle lat nie była tu ani razu...?

Przeszła się kilkakrotnie alejką wzdłuż pałacu. Samochody przejeżdżały szosą, ich szum narastał i cichł, narastał i cichł, narastał i cichł — żaden się nie zatrzymał. Ależ o niej także mówiło się w ciągu tych wszystkich lat, że nie powinna tu jechać, że nie powinna przypominać sobie tych miejsc. Dopiero teraz zjawienie się Renata doprowadziło do jej samowoli, do wyłamania się spod przyjętych od dawna i na zawsze ro-dzinnych ustaleń. Dlaczego? pomyślała z niepokojem. Dlaczego?

Wróciła do pokoju, otworzyła znów grubą księgę, oprawioną w przybrudzone płótno kronikę dwudziestu pięciu lat pałacu i jego nowych mieszkańców. Przerzuciła wszystkie kartki i zatrzymała się na ostatnich. Na górze wyraźnym, kaligraficznym pismem kierownik Domu Dziecka napisał: Jubileusz. A pod spodem mniejszymi i już nie tak starannymi literami: *Rozstanie z Lichnowcem*.

Bez szczególnego zainteresowania przeczytała relację o przekazywaniu pałacu konserwatorowi wojewódzkiemu, o przykrych targach na temat terminu opuszczenia go przez dotychczasowego użytkownika, który — wobec nieukończenia w Kraśniku bloku, gdzie miał otrzymać mieszkanie — krótko mówiąc, nie miał się dokąd wynieść.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego ten dzień miał być również jubileuszem, i już chciała zamknąć księgę, gdy u dołu strony natknęła się na znajome imię: Helenka, Helenka Borowiecka.

Z tego, co zanotował autor, wynikało, że poprzedniego dnia przeprowadzono z nim wywiad przed kamerami telewizji na temat dwudziestopięcioletniej działalności Domu Dziecka, który kończył właśnie swoją działalność i którego wychowankowie doszli do znacznych w kraju stanowisk. Ten wywiad w telewizji i padłe podczas niego słowo „jubileusz” spowodowały następnego dnia lawinę listów i telegramów, ale dwaj starsi panowie — kierownik Domu Dziecka i współpracujący z nim przez te całe dwadzieścia pięć lat Jamroz — spodziewali się nie listów i telegramów. Przyjechał jednak tylko jeden z wychowanków i Helenka, Helenka Borowiecka.

Nie była wychowywana w tym domu, ale była wychowywana przez ten dorn.

Człowiek, który usunął ją stąd razem z babką, przez cały czas łożył na jej utrzymanie

— chyba z własnych pieniędzy, bo nie można było tego inaczej rozumieć. Panna Helena Borowiecka, inżynier ogrodnik, dyrektor szkoły ogrodniczej gdzieś pod Wrocław-wiem, przyjechała, żeby mu za to podziękować i zaprosić do siebie. To był również pałac — siedziba jej szkoły — w pięknym parku, przy dwóch hektarach róż i trzech morelowego sadu. „Okazuje się — śmiała się panna Borowiecka — że nie trzeba być wcale właścicielką pałacu, żeby w nim mieszkać. To dodaje szczególnie otuchy przy sporządzaniu preliminarza remontów...”

Odłożyła księgę z uczuciem jakiejś ulgi. Wszystko się jakby wygładziło, zamknęło

— skoro w tych murach po tylu latach zabrzmiał śmiech tej dziewczyny. Zobaczyła jeszcze przez chwilę twarz jej matki, gdy całowała Achilleśa, godząc się na jego nowe, piękne życie w lesie, ale i to się jakoś zatarło, odpłynęło... Achilleśa zjedli partyzanci podczas tragicznego okrążenia nad Tanwią w czerwcu czterdziestego czwartego roku, ale jego pani na szczęście nigdy się o tym nie dowiedziała.

Spojrzała znowu na zegarek — dochodziła dziewiąta, na dworze zaczynało już zmierzchać. Pożałowała, że sama nie rozmówiła się z Agnieszką, dowiedziałyby się może szczegółów, które pozwoliłyby choć w przybliżeniu ustalić czas jej powrotu i Renata.

Zastanowiła się, czy nie mogłaby zadzwonić do Kazimierza — ale ściśle do kogo?

Do właściciela jakiegoś warsztatu samochodowego, o ile by jego nazwisko figurowało w książce telefonicznej? Może na milicję? Zaniechała jednak tej myśli, bo wyobraziła sobie, że Renato byłby tym niemile zdziwiony.

Rzuciła się w ubraniu na łóżko, starając się uporządkować jakoś myśli, teraźniejsze i dawne, ale z tego porządkowania wziął się nagle sen, dziwny, jakby najzupełniej współczesny i dzisiejszy, ale był w nim Lucio w żołnierskim mundurze, Lucio z tamtych lat. nie Andrzej ani Emil, o których nie przestawała myśleć, i nie Francesco, darzony przez nią prawdziwą przyjaźnią, ale właśnie Lucio, tak samo natarczywy i zuchwały, mimo tego wszystkiego, co ich otaczało, co zagrażało i jemu, i jej.

— Sophia! — mówił Lucio, i tak jak dawniej była to jakby niedziela, święto jej imienia. — Sophia! Może drugi raz nie spotkam już kogoś takiego jak ty. I może ty kogoś takiego jak ja także już nie spotkasz. Jesteśmy tu. Razem. Wszystko inne jest wielkim głupstwem. Masz usta, które musi ktoś

całować. Masz włosy, w których musi ktoś zanurzać twarz, masz piersi, które nie powinny zasypiać z dala od mężczyzny...

Sophia!

Obudziła się zrana potem, z krzykiem, którego echa długo nasłuchiwała, bojąc się, czy nie przestraszył kogo w hotelu, czy nie sprowadzi do jej pokoju recepcjonistki.

Ale na całym piętrze trwała martwa cisza, tylko pod oknem na bliskim drzewie gwizdała wilga, a w dole mknęły szosą, nie zatrzymujące się przed muzeum, samochody.

Podniosła się z łóżka, zawstydzona sama przed sobą tym przedziwnie słodkim przestraczem, jaki budziła w niej zuchwała natarczywość Lucia. Zapaliła światło, spojrzała na zegarek. Było po wpół do jedenastej. Patrząc przez chwilę na układ wskazówek uświadomiła sobie, że Renato, wybierając się w tak daleką podróż, poddał chyba swój wóz szczegółowemu przeglądowi i że defekt w tak świetnym samochodzie mógł powstać tylko za sprawą pecha lub... wyobraźni.

17

Renato śpi, na wznak, obnażony i spokojny, pewny nawet we śnie swojej urody.

Agnieszka, wsparta na łokciu, patrzy na niego, nie mogąc zrozumieć, jak to się stało, że leżą teraz obok siebie w obcym jej pokoju, znajdującym się prawdopodobnie nad barkiem, w którym tańczyli i z którego jeszcze i teraz dochodzą nikłe dźwięki. Starając się nie zbudzić Renata, patrzy na zegarek — dwunasta. Ma ochotę wyskoczyć z łóżka, ubrać się szybko i potarłszy Renata, zmusić go do tego samego. Za godzinę byłiby w Lichnowcu i matka uwierzyłaby w zepsucie wozu, w oczekiwaniu na jego naprawę. Ale równocześnie ta panika, która ją ogarnia, wydaje jej się jakaś pro-wincjonalna i niedorośliwa, wstydzi się jej przed Renatem, nie zdając sobie sprawy, że to właśnie jest najbardziej niedorośle w całym jej postępowaniu. Jak to się stało? my-

śli znowu. Jezus Maria! Ogarnia ją przerażenie zamiast uciszenia, tkliwości i szczę-

ścia. Jak to się stało? Jak to się mogło stać?

Tańczyli — radiowiec w sztruksowym ubraniu w grube prążki puszczał wciąż ta-

śmę z Love Story, a później, jeszcze wyraźniej na cześć Renata, Ore d'amore — w przerwach pili jakieś trunki, siedząc na wysokich stołkach baru, mówili różne miłe głupstwa z twarzami coraz bardziej zbliżonymi ku sobie, aż w końcu, kiedy mimo wszystko, mimo przytuleń, pocałunków i szeptów, chciała jechać, Renato namówił ją na telefon do matki, który miał przedłużyć tylko ich pobyt w Kazimierzu, a sam w tym czasie musiał wystarać się o pokój na górze. Legitymacja związku filmowców dawała mu te możliwości, mimo że był to zamknięty ośrodek wypoczynkowy. Potem znowu tańczyli, znowu ciągnęli przez słomkę jakieś trunki, mieli w głowach przyjemny szmerek, gadatliwa serdeczność popychała ich ku sobie, a kiedy wstawali, aby pójść potańczyć, od razu owijali się niecierpliwie ramionami, bardzo spragnieni swojej jak najbliższej, jak najciaśniejszej bliskości.

I wtedy Małgorzata zsunęła się ze swego stołka przy barze, podeszła do nich i klasnęła w dłonie, — Odbijany! — zawołała.

Renato nie wiedział, o co chodzi, zatrzymał się w miejscu zdumiony, ale i zaintrygowany.

Powinna by może nie zwracać uwagi na ten wybryk Małgorzaty, powinna by mo-

że jej coś powiedzieć, ale po tej dawce alkoholu, jaka szumiała jej w głowie, podraż-

niona duma mogła ją sprowokować tylko do jednego: odsunęła się od Renata, po-pchnęła go leciutko ku Małgorzacie. — Masz — powiedziała. — Możesz go sobie z bliska powąchać.

— Nie jestem wężowcem — odpowiedziała Małgorzata. Ale już owinęła swoje półnogie ramię wokół karku Renata, już wparła w jego źrenice uważne, nieruchome, przyczajone spojrzenie swoich oczu.

Nie zna włoskiego! ucieszyła się Agnieszka. Ale zna angielski, przypomniała sobie z przerażeniem.

Radiowiec w sztruksowym ubraniu w grube prążki wyciągnął ramiona i przygarnął ją ku sobie. — Uważaj — powiedział. — Małgorzata strzela bez pudła!

Odsunęła się trochę od niego, przyjrzała mu się z bliska. — Trudno strzelać do czegoś, co już jest zestrzelone — odpowiedziała. Ale zerknęła jednak ku tamtej parze, nie zawsze rozumiejąc, co mówi do niej jej partner. Rozmawiali już ze sobą, to znaczy Renato mówił, a Małgorzata słuchała, w ten swój jedyny na świecie sposób, cudownie i niebezpiecznie, zawsze budząc wdzięczność i wzruszenie. — O nie! — mruknęła Agnieszka.

— Co powiedziałaś? — spytał radiowiec.

— A mówiłam coś? — zdziwiła się. Radiowiec patrzył na nią jakby zasmucony.

Odepchnęła go od siebie, zbliżyła się do Renata i Małgorzaty, głośno klasnęła w ręce.

— Jeszcze trochę — zaśpiewała Małgorzata. — Jeszcze trochę!

— Spływaj! — powiedziała do niej groźnie.

Renato stał bezradny między nimi, przy barze ktoś się roześmiał.

— Spływaj! — powtórzyła. — A w Warszawie się z tobą policzę!

— Nie znasz się na żartach? — uśmiechnęła się Małgorzata. Podniosła w górę ramiona, wykonała nimi szeroki krąg nad głową, a potem zarzuciła je na szyję radiowca.

— A jednak! — szepnął Renato, całując ucho Agnieszki. — Zazdrosna?

— Nie bądź głupi! — powiedziała. — Jedziemy zaraz do domu.

— Do jakiego domu?

— Do hotelu.

— Tu mamy także hotel.

— Uspokój się, dobrze?

— Czy powiedziałem coś złego?

Wzruszyła ramionami i tańczyli dalej w milczeniu, dopóki Renato nie powiedział:

— Ona jest trochę podobna do twojej siostry.

— Kto?

— Ta dziewczyna.

— Nie porównuj mi byle kurwiątko do mojej siostry.

— Oczywiście chodzi o zewnętrzną.

— Moja siostra składa się nie tylko z zewnętrzności.

— Co znaczyło to twoje „chyba nie”, kiedy pytałem, czy jest zamężna?

— Długa historia — odpowiedziała niechętnie. I nagle mówienie o Helenie wyda-

ło jej się czymś najlepszym, o czym mogłaby mówić z Renatem, czymś najlepszym, o czym mogłaby mówić w ogóle, tego wieczora i zawsze. — Dostała stypendium do Stanów, ona i jej mąż...

— To znaczy, że jednak zamężna?

— Poczekaj. Obydwoje specjalizowali się w hodowli ziemniaka. Taka miłość od pierwszego wejrzenia nad próbówką z parującą skrobnią. Mieli pisać jakieś prace na-ukowe. Pojechali obydwój, a wróciła tylko ona.

— Dlaczego?

— On został w Stanach.

— No i co?

— Za to „no i co?” mam ochotę cię uderzyć! Oczywiście, dla was to jest bzdura.

Jeździecie sobie, gdzie chcecie, możecie żyć, gdzie się wam podoba, i nie jest to od ra-zu zbrodnia wobec własnego kraju, każdego ranka możecie powiedzieć: ciao, ukocha-na ojczyzno, wrócę, gdy będziesz mi potrzebna. Mało który z was pomyśli: albo ja tobie — bo to sentymentalne i niemodne. A

my jesteśmy uwiązani do swoich tragicznych dziejów jak pies do przeciekającej budy: żyć w niej trudno, a porzucić nie sposób.

— Mówiliśmy o twojej siostrze.

— Przez cały czas mówię o mojej siostrze. Wróciła, ale kocha tego idiotę, który zdecydował się zostać za oceanem.

— Dlaczego nie została razem z nim?

— Widzisz, ty tego nigdy nie zrozumiesz. Tłumaczę ci, a nie rozumiesz. I nie mogę mieć o to do ciebie pretensji. A ona jest nieszczęśliwa i co dzień płacze.

— Dlaczego nie została razem z nim?! — krzyknął Renato.

— Mój chłopaczku, nie dla ciebie jednak ta opowiadka. Zaczęłam ci ją opowiadać, bo pytałeś, ale za dużo by trzeba streszczać, żebyś to wreszcie pojął. I chce ci się kręcić film w tym kraju i o tych ludziach! Wyperswaduj to staremu.

— Niczego mu nie wyperswaduję. To postanowione.

— No to rozejrzyj się trochę inaczej dookoła. Nie patrz tylko, która dziewczyna dobra do łóżka.

Chciał powiedzieć: od razu wiedziałem, że ty! — ale wydało mu się, że nie przyje-

łaby tego dobrze. Ta rozmowa, którą sam zresztą zaczął, znowu wszystko oddaliła, może nawet w ogóle uczyniła niemożliwą jego nadzieję. Trzeba było na nowo rozkrę-

cać nastrój, podnosić temperaturę.

— Ach, dziewczyno! — westchnął.

— Masz rację — odpowiedziała innym tonem. — Masz rację! — I nagle jakoś po-rozumieli się. Niepraktyczne i nie wiodące do niczego wydały się jej wszystkie cnoty Heleny; kochała tego chłopaka, który został za oceanem, i płakała każdego dnia, bo przeczuwała już jaki — wśród tylu pięknych dziewczyn! — wybierze rodzaj zemsty za to, że go zostawiła. I na co przydała się jej ta wielka, najprawdziej pierwsza mi-

łość do niego jednego?

— Chcesz jeszcze tańczyć? — spytał Renato.

— Nie.

— Wyjdziemy?

— Chętnie.

Usiedli na ławce przy basenie i choć noc była przenikliwie zimna, nie czuli tego.

Ramię Renata w zamszowym rękawie było ciepłe i wygodne jak kołyska.

— Dobrze? — spytał.

— Bardzo!

Milczeli. Całowali się od czasu do czasu, ale nie za często. Renato nie dopuścił się żadnej niezręczności, była mu za to wdzięczna. Tak, pomyślała, jest dobry na każdy smutek...

A potem, gdy na drugiej ławce usiadła jakaś para i zaczęły się przekomarzenia i chichoty, wstali i spleceni ramionami ruszyli alejką ku jasnym kwadratam na trawie, wyrysowanym przez oświetlone jeszcze gdzieś okna. Zatrzymali się pod jakimś drzewem, oparta plecami o jego pień, poczuła na sobie ciało Renata, od stóp po stwardniałe nagle, zsurowiałe usta.

— Chodź prędko — szepnął.

— Tak! — odpowiedziała.

Nie myślała, dokąd ją prowadzi, skąd zna tę drogę — oczywiste wydało się jej, że musi być gdzieś jakieś miejsce na to ich pragnienie, na tę niecierpliwość, której nie chcieli i nie mogli już od siebie oddalać. Prowadził, a ona była mu posłuszna, pewna, że nie uczyni żadnej niezręczności.

I było tak, jak myślała — uniesienie, silne i czyste, zakończone czymś wysokim i prosto wiodącym do nieba, jak ptasi trel, jak najwyższa jego nuta.

— O Boże! — szepnął Renato. Serce mu się jeszcze tłukło tuż przy jej ustach, uspokajające się powoli serce. — Było za dobrze!

— Nic nie mów.

— O wiele za dobrze, żebym jutro bez żalu mógł wyjechać z Warszawy.

— Nic nie mów! — Zaczęła go całować, żeby zamknąć mu usta, żeby powstrzymać słowa, które swoją prawdę mogły zachować tylko w tej krótkiej chwili. Więc nie mówił nic więcej, fala surowego, wzniosłego, chłopięcego uniesienia powróciła znowu, i znowu była mu wdzięczna, że nie było w niej śladu lubieżności, trywialnej uciechy, psujących wszystko gestów. Lubiła tak jak on porywającą czystość pierwszych zbliżeń, nigdy po nich nie miała sobie nic cło wyrzucenia. Tak, pomyślała prawie z tkliwością, był naprawdę dobry na każdy smutek.

A potem zasnął i jej się to też udało na pewien czas, ale nagle obudziła się i nie może zrozumieć, skąd się tu wzięła i jak to się stało, że leży tu w obcym pokoju i z obcym człowiekiem, którego nie знаła jeszcze wczoraj. Wydaje jej się, że jeśli otworzy oczy, będzie mniej obcy, pochyla się nad nim i mówi z bliska, jak dziecko, które się czegoś boi: — Renato! Nie śpij!

Ale chłopak zmienia tylko pozycję, przytula się do niej, jego usta przy jej nagim ramieniu poruszają

się we śnie, zaczyna leciutko chrapać.

— Renato! — mówi Agnieszka wrogo. — Nie śpij!

Teraz Renato podnosi powoli powieki i tak jak ona

przedtem nie może zrozumieć nic z tego, na co patrzy, w oczach ma pytanie i lęk, dopiero po chwili rodzi się w nich uśmiech. Przygarnia do siebie Agnieszkę, zasypiając znowu całuje ją w usta. — Zgaś światło — mruczy.

— Nie śpij! — woła Agnieszka.

Dopiero teraz Renato rozbudza się na dobre, siada, spogląda na zegarek. — Madonna! Jeszcze wcześniej!

— Ubieraj się! Musimy jechać!

— Teraz? W nocy?

— Teraz. Zaraz!

— Kochanie! — Renato wyciąga ramiona, ale Agnieszka wyskakuje z łóżka i zaczyna się ubierać. — Słuchaj — mówi z rozczarowaniem i niepokojem. — wszystko udawałaś?

— Co udawałam?

— Wszystko! Wiesz dobrze co.

— Mały głupcze! — Agnieszka wciąga przez głowę sweter i musi na chwilę zamilknąć. — Mały głupcze! Nie opłaca ci się oczywiście tego zapamiętywać, bo nie zobaczymy się chyba po raz drugi, ale jednak weź to poważnie: ja nigdy niczego nie udaję.

— Przestraszyłaś mnie. A więc dlaczego chcesz już jechać?

— Może ci się wydam małą mieszczką, pełną skrupułów, ale jednak chciałabym zapukać do pokoju mojej matki, powiedzieć jej, żeby się nie martwiła, że samochód został naprawiony i że nareszcie idę spać. Uważasz, że to śmieszne?

— Nie — Renato sięga po swoje rzeczy, porzucone przy łóżku — nie wydaje mi się to śmieszne.

— Przepraszam cię.

— To ja cię przepraszam, że sam o tym nie pomyślałem. Ale chciałem być jak najdłużej z tobą.

— Jeszcze będziemy razem prawie przez cały dzień.

— Ale już nie tak — mruczy Renato z żalem. Już nie tak..., powtarza w myślach, i nagle jawi mu się

zamiar, którego przedtem nie miał, jakaś chęć niegodna, uświado-miona jednak jak marzenie: oto przy pierwszym spotkaniu z ojcem, przedstawivszy mu dzisiejszy obraz zapamiętanych przez niego miejsc, powie mu, że wystarczyło jednego dnia, aby dokonał tego, czego on nie mógł osiągnąć w ciągu długich miesięcy modlenia się do tamtej kobiety. Powie mu to i będzie to jakiś rewanz, mały i zawstydzający, ale jednak rewanz, w każdym razie ojciec na pewno tak to zrozumie.

— Ubieraj się prędzej! — przynagla go Agnieszka. — O czym myślisz?

— O tobie — kłamię Renato i uśmiecha się do niej oczyma, przeprasząc za to kłamstwo i za tanto, o czym ona nie wie, nigdy nie będzie wiedziała, nie powinna wiedzieć, aby mógł zachować swój wstyd tylko przed sobą i dla siebie. I nagle wydaje mu się godne zazdrości, że ojciec przez całe życie wielbił kobietę, której nigdy nie miał, a on pozbawiony został tego uczucia, tej jakiejś odświętności myśli, które mógł-

by poświęcać komuś takiemu jak ona. Jeszcze raz przeprasząc uśmiecha się do Agnieszki. Używając młodzieżowego języka: miał ją z głowy. Ale skąd ten głupi żal?

Wychodzą z pokoju na palcach, zostawiając klucz w drzwiach. Na dole muszą jednak obudzić portiera i przeżyć jego zdziwienie. Widział ich po raz pierwszy i w dodatku wychodzili o tak dziwnej porze. Renato sięgnął do kieszeni, żeby mu to jakoś wyjaśnić, Agnieszka udaje, że tego nie widzi, pozuje także na cudzoziemkę, to jedyne wyjście w tej sytuacji.

Gdyby droga była lepiej oświetlona, można by biec z góry, ale jej wyboistość zmusza Agnieszkę do zrezygnowania z pośpiechu. Przez cały czas myśli, co powiedzieć najpierw, gdy zapuka do pokoju matki, i jakie będzie jej pierwsze słowo. Korzystała zawsze z dużej swobody, ale usilnie dbała o to, żeby w domu nie domyślano się, że z niej korzysta.

— Nie pędź tak — powstrzymuje ją Renato. — Pięć minut nie zmieni sytuacji.

Noc jest zimna, Agnieszka dopiero teraz to czuje, wydaje jej się, że — jak liście na drzewach — pokrywa się cała lodowatą rosą. Kiedy wydostają się z wąwozu na ja-

śniejszą drogę, zaczyna biec — dla rozgrzewki i żeby zobaczyć, czy ferrari stoi na rynku; przez cały czas, nie zdradzając się z tym przed Renatem, niepokoiła się o jego bezpieczeństwo.

Ale wóz stoi jak stał, wśród innych zaspanych samochodów. Gdy Renato siada za kierownicą, rozświetlają mu się oczy, ale silnik zapala się nie tak od razu, jak światła, wewnątrz jest jeszcze zimniej niż na dworze, siedzenia wydają się być pokryte szronem. Renato zdejmuje kurtkę i podściela ją Agnieszce. — Zaraz będzie cieplej — pociesza. — Tylko silnik się rozgrzeje.

Matka na pewno nie śpi, myśli Agnieszka. Czuje się podle, zupełnie podle. Siedzi na kurtce Renata, patrzy na jego silne, kształtne ręce na kierownicy, słucha jego głosu, i nie działa to na nią uspokajająco.

— Już lepiej? — pyta Renato, gdy w wozie zaczyna się rozchodzić pierwsze ciepło. Wydostają się z wąskich uliczek Kazimierza, strzałka szybkościomierza skacze na sto czterdzieści, Agnieszka stara

się obliczyć, kiedy przy takiej szybkości będą w Lichnowcu.

— Lepiej — odpowiada słabym głosem. Renato ma zamiar ją objąć i przyciągnąć do siebie, ale mu na to nie pozwala. — Nie podczas jazdy — mruczy, i nie możliwość śmierci, ale spóźnienia, jeszcze większego spóźnienia, przeraża ją naprawdę.

W drodze spotykają tylko samochody z mlekiem, zbierające wystawione przed domy konwie albo załadowane już białymi butelkami, które dzwonią jak pęk drobniutkich dzwoneczków. Zatrzymują się po drodze przy jakiejś mleczarni. Renato — od razu otoczony przez dziewczyny w białych fartuchach — wypija prawie całą butelkę mleka, drugą przynosi Agnieszce do samochodu.

Wstrząsa nią dreszcz. — Brrr... — mówi. — Nie chcę! Zimno!

Kiedy dojeżdżają do Lichnowca, jest już prawie jasno. Hotelik jest oczywiście zamknięty; dzwonek, którym usiłują zbudzić recepcjonistkę, rozlega się donośnie w wysokim i pustym wnętrzu pałacowego korytarza — tak samo kroki, gdy wreszcie zmierza ktoś do drzwi, aby odsunąć rygle i łańcuchy.

— Doba od czternastej — informuje zaspany głos w uchylonej szparze.

— Ale my tu już mieszkamy — pokornie wyjaśnia Agnieszka. — Piętnasty i szesnasty, w siedemnastym śpi moja matka.

— Ach, to pani! — recepcjonistka decyduje się wreszcie wpuścić ich do środka.

W szlafroku po pięty i lokówkach na głowie wygląda inaczej niż za dnia. — Matka się bardzo niepokoiła — dodaje, podejrzliwie przyglądając się Agnieszce.

— Samochód nam się zepsuł — z tą samą, co poprzednio, pokorą tłumaczy się Agnieszka — musieliśmy dać do naprawy w warsztacie w Kazimierzu.

— Aha! — kiwa głową recepcjonistka, źle umocowana lokówka kołysze się jej nad czołem. — Zdarzają się takie rzeczy.

— Dobranoc! — szepce pośpiesznie Agnieszka. Chwyta Renata za rękę, i na palcach wstępują na schody, ale choć starają się iść jak najciszej, każde ich stąpienie rozlega się donośnie w czyhającym jakby na każdy dźwięk wnętrzu starego pałacu.

Przed drzwiami pokoju matki Agnieszka odpycha od siebie Renata i puka cichutko. — Mamo, to ja! — woła zduszonym szeptem, zapominając, że są jedynymi gość-

mi w całym hotelu.

— Agnieszka? — odpowiada jej zaraz głos matki. — Poczekaj, zaraz otworzę.

— Nie, nie — Agnieszka stara się ukryć przerażenie w głosie. — Śpij! Padam ze zmęczenia! Jutro rano ci wszystko opowiem.

Ostro otwiera drzwi swego pokoju, a gdy Renato usiłuje wejść za nią, zamyka mu je przed nosem i syczy jak rozsierdzona kotka: — Oszalałeś! Zupełnie oszalałeś!

Ale po chwili robi się jej go żal, i otwiera cichutko drzwi. Renato jeszcze przed nimi stoi. Całuje go gwałtownie, przerażona tym, że i jego twarz musi być mokra od łez. — Idź spać — szepcze. — I nie myśl o takiej głupiej dziewczynie jak ja.

18

Dawniej bała się, gdy do okna stukał ktoś w nocy, gdy z głębi lasu dobiegał trzask gałęzi, łamanych ludzką stopą lub końskim kopytem — teraz wyczekiwała tych od-głosów, wyobrażała je sobie, prowadziła je z daleka wszystkimi ścieżkami i odchodzi-

ła płacząc od okna, gdy kończyły się ciszą.

Choć skradała się na palcach, Emil się budził, słyszała, jak się przewraca na łóżku, jak razem z nią czeka, jak wzdycha... Tylko Helence darowany był jeszcze spokojny sen, szczęśliwy i głęboki ze starym misiem w ramionach, pozbawionym ucha przez najmłodszą Borowiecką, ale może właśnie dla tego kalectwa kochanym tym namiętniej i tkliwiej.

Kiedy Andrzej zjawiał się naprawdę, kiedy trzask gałęzi nie był złudzeniem, bo Andrzej rzeczywiście zbliżał się do domu i kończył cichutkim uderzeniem w okno, rozpoczynało się w

Olszance krótkie, ale nasycone intensywnie radością i szczęściem święto. Zapominali wtedy o wojnie — choć to, że zjawiał się po kryjomu, że musieli wciąż spoglądać na drogę, było właśnie wojną, ale jakby okłamana, wyprowadzoną w pole, wystrychniętą przez nich na dudka.

Sadzali Andrzeja przy stole, stawiali przed nim wszystko, co było w spiżarni najlepszego, patrzyli jak je.

Nie wyglądał źle, już w marcu był opalony, po zdjęciu czapki widniała mu na czole pod włosami jaśniejsza obwódka. Oczy miał pogodne; wypogodzone tą swoją, wypełnianą teraz według sumienia i pragnień, powinnością, która choć także szarpała duszę i ciało nie dawała wytchnienia, równocześnie obdarzała go dopiero teraz odnalezionym spokojem.

Jadł i uśmiechał się do nich trojga, równo odmierzając uśmiechy i spojrzenia, od jej oczu tylko uciekał w popłochu, czując, że i w jego oczach zapala się ten sam płomień, że tak samo zaczynają mu drżeć ręce, schnąć wargi... czekali na tę chwilę ponad wszystko upragnioną, na tę chwilę błogosławioną, kiedy Emil brał z kuchni wiadra i dzwoniąc nimi udawał się do obory. Posyłali za nim Helenkę i zamknawszy drzwi, zatrzasnąwszy je za sobą w pośpiechu, witali się dopiero teraz naprawdę po długich dniach rozłąki, po bolesnych dniach wzajemnego braku.

Nigdy nie sądziła, że nieobecność Andrzeja objawi się i tą tęsknotą. Zdawało jej się, że przytłumia ją inne uczucia — niepokój, tkliwość... Tamto wydawało się prawie niegodne w chwili, kiedy najważniejsze było, żeby żył, żeby ominęły go wszelkie niebezpieczeństwa. A jednak budziła się po nocach i zdawała sobie sprawę, że poza wszystkim innym jest kobietą, pozbawioną swego mężczyzny. Więc kiedy się zjawiał... kiedy się zjawiał, obydwójce nie byli dawnymi łagodnymi i powolnymi kochankami, pamiętającymi jeszcze wczorajszą miłość. Ogarniał ich płomień, który nie mógł

się wypalić podczas krótkiego pobytu Emila w oborze, podczas tej znikomej chwili zajęcia byle czym Helenki.

Gdy dzwonienie wiader przenosiło się z obory do kuchni, z nieprzytomnymi oczyma otwierali drzwi i stawali na progu pokoju, nie zdóławszy jeszcze odmienić swoich twarzy.

Emil pochylał się wtedy nisko nad wiadrami, odwracał głowę.

Któregoś dnia zobaczyła, że ma pokrwawione palce i że stara się to ukryć przed nią.

— Co ci się stało? — zapytała. — Skaleczyłeś się?

— Uhm — mruknął.

— Gdzie? Jakim sposobem? Nie rąbałeś dzisiaj drzewa.

Milczał, uciekając w bok przysłoniętymi powiekami oczyma.

— Andrzej! — powiedziała cicho, gdy znów na chwilę zostali sami. — Zobacz, co on sobie zrobił, ma palce całe we krwi.

— Wiem, co sobie zrobił — powiedział Andrzej.

Odtąd nie zamykali się już w pokoju za dnia. Czekali nocy, a kiedy Andrzej odchodził, odprowadzała go w las i tam mogli być nareszcie sami, nie wykradając w po-płochu chwil dla siebie. A był to właśnie koniec wiosny i początek lata — świeża zieleń drzew, traw i mchów, zapach ziemi i rozkwitłych ziół, ptasi gwar, budzący się z pierwszym świtem, las, który płacił im wtedy za wszystko, za każdą noc nieprzespaną, za swoją mroczną czerń, z której wyłaniali się niewiadomi ludzie, za oddalenie od świata...

— A jednak — mówił Andrzej — kiedy wojna się skończy, będziemy tu wracali na każde wakacje.

Mówił „wracali,, nie „przyjeżdżali,, a właśnie „wracali", przyjaźń z lasem, zasu-płane na wieczność związki z jego ciszą, wdzięczność za schronienie, jakie dawał, domagała się powrotów, a nie przyjazdów.

— Tak — potwierdzała żarliwie — będziemy tu wracali. — Upewniała się niejako tym zwrotem w nadziei, że będą razem, że przeżyją, on, ona, Helenka.

Wypuszczała go znowu ze swoich ramion, oddawała niewiadomemu, sobie pozostawiając czekanie. Myślała nieraz w takich chwilach o markietankach, które ciągnęły kiedyś za wojskiem. Dlaczego przylgnęły do nich te jakieś obraźliwe, lepkie, plugawe wyobrażenia? Czy nie były one godne szacunku za to, że nie odstępowały swoich mężczyzn, że darzyły ich miłością, aby choć na chwilę zapomnieć mogli o śmierci, którą nieśli w sobie — swoją własną i cudzą...?

Andrzej odjeżdżał nie oglądając się, czasem odchodził trzymając konia za uzdę, nie odwracał nigdy głowy, choć wiedział, że ona stoi i patrzy, patrzy do ostatniej chwili, dopóki drzewa nie zakryją go zupełnie.

Wracała do domu zapuchnięta od płaczu, ale Emila to nie wzruszało. Może zazdrościł jej, że dłużej niż on była z Andrzejem, a może... Burczał wtedy coś pod nosem, wytykając jej zaniedbane długą nieobecnością obowiązki domowe, najczęściej jakieś niedogładnięcie Helenki, która i tak, odkąd nauczyła się chodzić, interesowała się głównie nim i tylko za nim biegała krok w krok, nie tęskniąc zbyt uporczywie za towarzystwem matki.

On jednak mówił z pretensją w głosie: — Helenka nie chciała jeść.

Albo: — Helenka marudziła. Wciąż pytała, gdzie mama?

Wiedziała, że to nieprawda, ale dlaczego tak mówił? Dlaczego kłamał?

— Emil, Emil — szeptała prosząco.

Uciekał wtedy do swego pokoju albo do stajni, gdzie przeżywał zawsze wszelkie z samym sobą powaśnienia.

Którejś nocy Andrzej przyjechał nie sam.

Przywiózł na Achillesie młodą kobietę ze zmiażdżonymi kolbą karabinu dłońmi.

Na południu dystryktu, wokół Puszczy Solskiej, Niemcy rozpoczęli kolejną pacyfikację. Później, po wielu latach, dowiedziała się z lektury że była to akcja „Werwolf”, skierowana głównie przeciwko „Rzeczypospolitej Józefowskiej”, okolicy wokół Józefowa, Krasnobrodu i Biłgoraja, opanowanej całkowicie przez grupy partyzanckie. Od dłuższego czasu Niemcy nie pokazywali się tam bez silnych ubezpieczeń.

No i teraz nastąpił odwet za to partyzanckie panowanie. Odwet na wsiach, które udzielały im pomocy — pomocy, jakiej nigdzie by nie mogli znaleźć, gdyby miejsce Polaków zajęli niemieccy nasiedleńcy.

Pelaszka tak trzymała się drzwi swego domu, aż ją od nich oderwały dwa uderzenia karabinem po zaciśniętych na drzewie dłoniach. Cudem uniknęła losu pozostałych mieszkańców Szarajówki, których żandarmeria biłgorajska spaliła żywcem wraz z wsią. Pelaszka miała brata w lesie, odnalazła do niego drogę. Ale zostać tam nie mogła, w oddziale byli sami mężczyźni. Nawet gdy wychodziła za własną potrzebą, wymagała opieki i pomocy, dłońmi unieruchomionymi deszczułkami nie mogła podnieść spódnicy, ściągnąć bielizny, nie mogła się sama umyć.

— Zosiu! — błagalnie szepnął Andrzej, nie wiedząc, jak przyjmie ten nowy, niemały obowiązek. Zsadził dziewczynę z konia, objąwszy ją przez plecy kierował ku wejściu.

Noc była jasna, mleczna od księżycowego blasku, ale jednak za ciemna, żeby można było widzieć, co się ma w oczach, zgodę czy wyraz krzywdy — a ona poczuła się skrzywdzona tym nowym obciążeniem, jakim miał być jeszcze jeden mieszkaniec Olszanki, w dodatku całkowicie zdany na pracę jej rąk, nawet Emilem nie mogła się tu wyręczyć. W dodatku z jedzeniem było coraz gorzej, głodowaliby, gdyby nie Łaciatka, nawet klusek nie jedli od tygodni, oszczędzając mąkę na zagęszczanie zup. Chciała zapytać, czy Andrzej przywiózł z lasu jakieś pieniądze, czasem się to zdarzało, ale teraz nic nie mówił na ten temat, tylko wciąż powtarzał ze strachem i prośbą, z błaganie jej imię.

— Ależ tak — powiedziała, z trudem pokonując gorycz w swoim głosie. —

Oczywiście, że zostanie z nami.

Została. Spała na ławie w kuchni, choć krępowało to trochę Emila — wyszykował

jej legowisko na strychu, ale na razie nie mogła jeszcze chodzić po drabinie. Początkowo prawie się nie odzywała. Karmiona łyżką otwierała nieme usta, a wzrok wbijała w ścianę, unikając spojrzenia w oczy. Te chwile był najprzykrzejsze. Nawet wszelkie higieniczne intymności nie wymagały tyle samozaparcia, co to trzy razy dziennie powtarzające się bliskie obcowanie z tymi oczyma uciekającymi w bok, z ustami otwartymi tylko do jedzenia, zamkniętymi dla słów.

— Smakuje? — pytała czasem, wlewając w nią mleczną zupę lub podając połamane kawałki chleba.

Potwierdzała wtedy skinieniem głowy i jak ptak karmiony w gnieździe otwierała znowu usta w

oczekiwaniu na następną łyżkę, na następny kawałek chleba.

Początkowo myślała, że jest nienormalna. Ale któregoś dnia, gdy cicho nadeszła, posłyszała bajkę opowiadaną przez Pelaszkę Helence piękną, miękką polszczyzną, nie znaną jej bajkę o aniele z nieba, który usiadł na progu domu jak motyl.

— A w tym domu — mówiła Pelaszka — leżała na łóżku chora matka, a naokoło stało czworo dzieci, po dwoje z każdej strony łóżka. Na stole nie było chleba, nic, ani najsuchszego kawałeczka, w garnkach na kuchni ani kropli zupy, Kiedy choruje matka, od razu głód jest w izbie.

— Odlazu? — zapytała szeptem przejęta tym Helenka. Miała już skończone dwa lata i uwielbiała, kiedy ktoś mówił tylko do niej i dla niej.

— Od razu — powtórzyła Pelaszka. — Głód, zimno, brudno. Miotła się wtedy tylko w kącie śmieje, może leniuchować do woli. Przez brudne szyby nie zagląda słońce i nawet kwiaty więdną na oknach w takiej izbie, w której choruje matka. I wtedy przyleciał anioł.

— Cio to anioj? — zapytała od razu Helenka.

Pelaszka się zamyśliła.

— To taki duży, biały motyl — powiedziała po chwili. — Motyl. Ale z głową. Z

nogami i rękami, bo jakby nie miał nóg i rąk, toby się nie mógł zaraz wziąć za rozpa-lanie ognia, pieczenie chleba, gotowanie zupy, mycie okien i zamiatanie izby. A on się zaraz za to wziął. Anioł, taki duży, biały motyl...

Helenka westchnęła z błogości, pogrążona w całkowitym zasłuchaniu. — Motyj

— powtórzyła z zachwytem.

— Nie motyl, tylko anioł. Wygląda jak motyl, bo ma skrzydła. A jak skończył w domu tę całą robotę, to usiadł na progu i czekał, bo wiedział, kto ma przyjść. I przyszła. Zawsze przychodzi tam, gdzie na łózkach leżą chore matki, a dzieci nie mają co jeść, gdzie komin zimny, a miotły śmieją się po kątach. Ale teraz przyszła i patrzy, a tu się chleb w piecu piecze i pachnie, zupa bulgoce w garnku, izba czysto wymieciona, a przez szybki w oknach słońce zagląda. O! pomyślała sobie, to ja tu nie mam co ro-bić, nic tu po mnie. I nie spojrzała nawet na łóżko, zdjęła kosę z ramienia i do proga.

A na progu anioł siedział...

— Motyj — szepnęła Helenka.

— Anioł! Siedział na progu i kiedy ona wychodziła, pokłonił się jej nisko i powiedział: „Widzisz, niepotrzebnie tam szłaś, bo gdzie anioł siedzi na progu, tam dzieci nigdy nie będą sierotami”.

— I co? — spytała Helenka.

— I nic. Już koniec.

Odeszła nie zauważona, na palcach, wstrzymując oddech. Wieczorem usiłowała rozruszać Pelaszkę, zmusić ją do rozmowy. Nie wydobyła z niej więcej niż kilka słów, znów wkładała łyżkę w otwarte, nieme usta. Trudno było uwierzyć, że to one właśnie opowiadały bajkę o aniele, który jak motyl usiadł na progu domu. Nie było aniołów na progach Zamojszczyzny — chciała jej to powiedzieć, chciała jej powiedzieć, żeby nie opowiadała dziecku bzdur. Ale zabrakło jej odwagi. A kiedy odwołana przez Emila na podwórze wróciła po chwili niepostrzeżenie, ujrzała Pelaszkę pochyloną nad miską i chlepczącą zupę językiem, jak zwierzę.

Zawróciła od proga, poczekała w sieni, aż skończy. Weszła do kuchni, kiedy miska była wylizana do czysta. Nie zbliżyła się do stołu, zapytała, przesuwając garnki na blasze: — Zjadłaś?

— Zjadłam — odpowiedziała Pelaszka.

A więc nie chciała, żeby ją karmiła. Nie potrzebowała tego. Odtąd otrzymywała zupę w misce wraz z nakruszonym do niej chlebem i jadła sarna, szybko i strachliwie, żeby jej kto nie zaszedł przy tej czynności.

Potem na ławce pod jodłą opowiadała Helence bajkę. Wciąż tę samą. O aniele, który usiadł na progu domu jak motyl... Dlaczego nie miała odwagi zakazać jej tego?

Dlaczego brakowało jej sił na wytłumaczenie, że przecież cała ta klęska, krew, która się leje, a choćby i los jej samej, Pelaszki, jest jawnym dowodem na to... Nie, nie zrobiła tego. A któregoś dnia usłyszała, że Pelaszka sama zmienia zakończenie swojej bajki, z uporem i okrutną, bolesną konsekwencją zachowując jej dawny sens. — Nie przyleciał — powiedziała. — Jednego dnia nie przyleciał.

— Któż? — zapytała Helenka.

— On. Przecież mówię: anioł. Nie przyleciał i nie usiadł na progu. Ognia nie rozpalił, chleba nie upiekł, zupy nie ugotował, izby nie zamiótł, miotła do rozpuku śmiała się w kącie. Nie przyleciał.

— Laczego? — zapytała Helenka, wpierając w twarz Pelaszki swe ogromne, zasępione oczy. — Laczego?

— Nie wiem dlaczego. — Pelaszka patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem,

— Nie wiem dlaczego — powtórzyła z rozpaczą.

— Nie wiesz?

— Nie. Nie przyleciał tego dnia, nie usiadł na progu. I wtedy zaraz ona się zjawiała.

Kosę miała na ramieniu i hyc z nią do izby. A tam komin zimny, garnki puste, podłoga nie zamieciona i tylko miotła się w kącie śmieje, a dzieci przy łóżku płaczą. Jak tylko to zobaczyła, jak tylko to

usłyszała, zdjęła kosę z ramienia dla większego zamachu, zdjęła kosę z ramienia i zrobiła swoje...!

— Co jeszcze? — zapytała Helenka.

— Już nic. — Koniec.

— Jeszcze! — upierało się dziecko.

— Koniec! — krzyknęła Pelaszka. — Co jeszcze może być? Koniec! Koniec wszystkiego!

Helenka rozplakała się na cały głos, Emil wyrzwał z obory, zawołał ją do siebie, a Pelaszce pogroził:
— Nie strasz dziecka!

— To nie ja — wzruszyła ramionami. — Nie ja...

Andrzej miał przyjechać pod koniec czerwca, żeby zdjąć deszczułki z rąk Pelaszki.

Czekali na niego z dnia na dzień, a raczej z nocy na noc, gdyż tylko pod jej osłoną można się było poruszać, nawet w lesie. Niemieckie samoloty szybowyły nisko nad ziemią, wyszukiwały ludzi, trzeba było omijać drogi i dukty, tylko wysokie drzewa dawały całkowite schronienie, wysokie drzewa w głębi lasu, bo brzegami jego przesuwaly się tyraliery żandarmów i Wehrmachtu. Akcja „Werwolf” trwała. Nie znali wtedy jej kryptonimu, wiedzieli tylko, że dzieje się coś strasznego i że nikt nigdzie, o żadnej godzinie dnia ani nocy, nie jest bezpieczny.

Straszne było to czekanie na Andrzeja, ułomne w swojej nieśmiałości — pragnęła go zobaczyć, a równocześnie wolała, żeby nie wychodził z puszczy, żeby tam tkwił, zaszyty w jej chaszczce i błota, tam gdzie Niemcy nie mieli jednak odwagi się zapuszczać.

Emil po każdej wyprawie do Lichnowca wracał z jakimiś wieściami. Akcja wysiedleńcza nie objęła tych terenów, ale ludzie spali na tobołkach, drżąc, aby nie spotkał

ich los sąsiednich powiatów. Dochodziły słuchy, że część oddziałów leśnych przeszła na północ, pod Bończę, w powiat krasnostawski. Były to oddziały BCh i AK. Może Andrzej był akurat z nimi, a może został z geelowcami w puszczy i nie może się prze-drzeć przez kordon tych nieustających obław, może coraz liczniejsze wsie ukraińskie wokół puszczy zamknęły jej obwód... Każde zdanie zaczynało się teraz od „może”.

Emil sam zdjął Pelaszce deszczułki, dumny ze swej pomocy przy ich zakładaniu

— kości zrosły się, palcom wróciła władza, choć były nieco nieforemne i zniekształcone.

— Jak będziesz miła — powiedział — to i tak się z tobą ktoś ożeni.

Pelaszka dopiero teraz się rozplakała. Jak długo miała ręce unieruchomione w deszczułkach, nie padła na nie ani jedna łza. Teraz, gdy ruszała palcami, płakała jak małe dziecko. I rozmowna się od razu stała — A myślałam, że już tak zostanie — powtarzała wśród płaczu. — Że już nigdy nie będę mogła nic robić. Zabić się chciałam!

Utopić!

— Głupia! — obraził się Emil. — Och, ty głupia!

Jak pan doktor coś zrobi, to musi być dobrze. Po co byśmy się tak długo z tobą męczyli?

Nie powinien był tego powiedzieć, ale za późno to spostrzegł.

Spojrzała na niego z wyrzutem, więc dodał zaraz niezbyt zręcznie: — Z każdym chorym męka.

Pelaszka nie zwróciła jednak na to uwagi. Otarła łzy palcami, ruszała nimi przez chwilę przed oczyma, wciąż nie mogąc uwierzyć w ich sprawność, aż nagle się zerwa-

ła i rzuciła się jej do kolan, i zaczęła całować ją po rękach.

— Żeby Pan Bóg dał zdrowie! Żeby Pan Bóg dał zdrowie, pani, Helence, panu doktorowi. I Emilowi! — dodała na końcu. — Za wszystko! Za te moje ręce! Za całą dobroć!

— Uspokój się! — Zaczerwieniona wyrwała jej dłonie i schowała za plecami. —

Co robisz? Nie można tak... mnie po rękach...?

— I po nogach bym całowała. Po nogach, i panią, i pana doktora. Będę wszystko robiła, i w domu, i w oborze. Pani sobie tylko siądzie i Helenkę na kolana weźmie.

— Kiedy ona i tak chętniej do ciebie idzie — odpowiedziała żartem — do ciebie i do Emila. Ja nie potrafię opowiadać jej bajek.

Pelaszka uśmiechnęła się. — Słyszała pani?

— Słyszałam.

— Ja myślę — schyliła głowę, ale ją zaraz podniosła, oczy jej zabłyśły — że ten anioł odleciał tylko na chwilę... Wróci. Na pewno wróci.

— Pelaszko — zaczęła ostrożnie — to naprawdę tylko bajka.

Nie odezwała się na to ani słowem, ale oczy jej nie straciły blasku. Wyprostowała się i popatrzyła gdzieś daleko przed siebie, a ją nawiedziło nagle wspomnienie tej Pelaszki sprzed kilku tygodni, kiedy wsparta o stół rękami w deszczulkach, chłęptała zu-pę z miski. I raptem pokonana i zwyciężona wydała jej się ta siła, która, tak dotąd zwycięska, rzucała ludzi na kolana i czyniła z nich zwierzęta, pokonana i zwyciężona przez to, że człowiek, mimo całej swej niedoli, się jej nie poddał.

Pelaszka zaczęła się teraz rwać do roboty, aż ją musieli powstrzymywać.

— Rąk jeszcze nie masz do dojenia — mówi Emil. Może naprawdę przemawiała przez niego troskliwość o jeszcze słabe palce Pelaszki, a może żal mu było zacisznych chwil w oborze u boku

Łaciatki. Ale wiedział, że to kiedyś nadejdzie, że Pelaszka bę-

dzie dzwonić wiadrami trzy razy dziennie rano. w południe i wieczorem, i że zwabio-na tym sygnałem Diana za nią będzie biegła w podskokach przez podwórze. Zajmę się wtedy lepiej lasem, dodawał w myślach; jakby dla podkreślenia, że czekają go teraz zajęcia bardziej odpowiedzialne. bardziej godne mężczyzny, którym już się stawał, którym już był.

Kiedy rąbał drzewo, teraz i Pelaszka przyglądała mu się z podziwem. A on zginał czasem ramię i kazał jej dotykać mięśni.

— Twarde! — szeptała, on zaś śmiał się, ukazując zdrowe, jak u młodego wilka, zęby,

— Nie dowierzaj swojej sile — mówiła wtedy, nie wiadomo dlaczego zła. — Teraz siła nie na wiele się zdaje. Był chlerak pociągnięty za spust i zwalił z nóg najtęższego chłopca. Lepszy rozum niż siła.

— Rozum na razie dojrzał do matury — Emil nie tracił pogody ducha. — Gdyby pan doktor był w domu, zapisałbym się u niego na pierwszy rok medycyny.

Mówili więc znów o Andrzeju, znów na niego czekali — aż zjawił się wreszcie któregoś dnia nad ranem i cichutko zapukał, jak było umówione, w lewy róg okna.

Wybiegła natychmiast, w białym tylko, nie narzucając nic na siebie — noc była ciepła. Za wysoką postacią Andrzeja majaczyły w tyle dwa cienie. Powitanie nie wypadło tak, jak sobie to wyobrażała w ciągu długiej nocy, ledwie mu ręce zarzuciła na szyję, ledwo poczuła na twarzy jego usta, odsunął ją lekko i powiedział: — Nie jestem sam.

Cofnęła się, weszła do kuchni — Pelaszka zasłaniała już okna i zapalała lampę.

Gdy zabłysło światło, zobaczyła przy drzwiach podtrzymywanych przez Andrzeja dwóch żołnierzy. Nie przyjrzała się nawet ich mundurów, najpierw uderzyła ją bladość ich twarzy i to, że Andrzej podpierał ich ramieniem, prowadząc ku ławie. — To Włosi — powiedział krótko. — Jeszcze w zimie uciekli ze swego pułku, który szedł

na front wschodni... Przez cały czas chorują... Emil! — zawołał.

Chłopak zjawił się od razu i tak samo, jak ją, ogarnęło go przerażenie na widok nowych przybyszów.

— Prędzej! — naglił Andrzej. — Szykujcie dwa posłania na strychu! — Dopiero wtedy zwrócił się ku niej. — Kochanie! — powiedział błagalnie. — Oddział, w któ-

rym byli, z dnia na dzień zmienia pozycję, Niemcy deptają po piętach... Musiałem ich stamtąd zabrać.

Milczała.

— Musiałem ich zabrać. Obydwaj przechodzili zapalenie płuc... boję się... w tych warunkach., i

przy tym odżywianiu... Potrzebują dużo mleka... Zosiu!

Patrzyła mu w twarz tępym, nieruchomym spojrzeniem. Na jedną Łaciatkę przy-padało już teraz ich czworo...

— Zosiu! To dobrzy chłopcy, zaprzyjaźniłem się z nimi... uwierzyli, że pomogę im się uratować... W Olszance... w Olszance przyjdą do siebie i wrócą do lasu...

Wciąż milczała, nie znajdując żadnego słowa, które mogłaby powiedzieć.

— Dwa tygodnie... miesiąc... nie dłużej, jestem pewny, że nie dłużej... Jeśli tylko będą mogli poleżeć i odżywisz ich trochę... przyjdę po nich! Na co czekasz, Emil? —

krzyknął. — Powiedziałem, żebyś szykował posłania na strychu!

Chleb mamy tylko przydziałowy, chciała powiedzieć. Mąki także po kilkadziesiąt dekagramów na miesiąc, cukru jeszcze mniej... Łaciatka ma wprawdzie dość trawy, ale mleko to jeszcze nie wszystko.

— Dlaczego nic nie mówisz? — zapytał cicho. Włosi siedzieli na ławie, wsparci o siebie, patrzyli na nich w milczeniu.

— Najważniejsze, że jesteś — szepnęła i przy wszystkich, przy tamtych dwóch, przy Pelaszce i Emilu, zarzuciła mu ręce na szyję. — Że jesteś! Że przyszedłeś!

Oczywiście, że mogą tu zostać!

— Wiedziałem — Andrzej zakołysał ją w ramionach. — Wiedziałem.. Byłem pewny.

I znowu było kolejne święto jego obecności. Włosi stanowili dodatek do tego, że przyszedł, że był, i na nich więc spłynęła serdeczność, oddalająca na razie, jako prawie niestosowne, myślenie o pustce w spiżarni i o tym, że przecież jednak będą musieli jeść, a nawet „odżywiać się”, do czego miała prawo tylko Helenka.

— Ten starszy to Francesco — przedstawił ich Andrzej — Parini, nauczyciel włoskiego. A młodszy nazywa się Lucino Finecci i do wojny był studentem prawa. Rozumieją trochę po niemiecku, będziecie mogli się z nimi dogadać.

— Du — Lucio uśmiechnął się do niej, w wymizerowanej twarzy błysnęły na chwilę zęby. — Du Augen wie Maria. Meine Maria. In Roma...

— Widzisz — Andrzej za wszelką cenę chciał utrzymać dobry nastrój, nie dopu-

ścić do tego, żeby choć na chwilę wkradł się między nich strach — od razu prawią ci komplementy. Zaczynam się zastanawiać, czy nie postępuję lekkomyślnie zostawiając ich pod twoją opieką.

— A ładni chłopcy! — powiedziała, zdając już sobie sprawę, że ta rozmowa coś zastępuje, czegoś

nie dopuszcza, zagradza czemuś drogę. — Bardzo ładni chłopcy!

— Na szczęście jest Emil! Nie spuści z was oka, Emil! — zawołał nagle. — Skończyłeś?

— Zaraz! — odkrzyknął Emil ze strychu.

— Ja mu pomogę — powiedziała. Wspięła się po drabinie prowadzącej z sieni na strych. Emil siedział na wypchanym słomą sienniku, Usiadła obok niego. — Co zrobimy? — zapytała cicho.

— Niech się pani nie martwi — szepnął. — Jest las.

— Co to znaczy „jest las“?

— I tak nikt nie wierzy, że nie żywimy się zwierzyną. A jak pan Gurtei poluje i wysyła paczki wszystkim swoim krewnym i znajomym, to dobrze? Niemcy żrą, a my będziemy ludziom odmawiać kawałka mięsa dla... jakichś tam sentymentów.

— Powiedz jeszcze, że głupich,

— Tego nawet nie pomyślałem.

— Może ja tak myślę. Ale widzisz, człowiek czasem potrzebuje czegoś takiego...

— Potrzebuje. Przychodzi jednak chwila, kiedy musi się zastanowić, czy to nie luksus.

Spuściła głowę. Długo czekał, żeby coś powiedziała, w końcu sam szepnął: —

Przepraszam.

— Nie, nie — położyła mu rękę na ramieniu — masz rację.

Emil grzmotnął się pięścią w swoje szerokie piersi. — Jak Boga kocham, wolałbym, żebym jej nie miał.

— Gotowe? — krzyknął Andrzej z dołu.

— Chwileczkę! — odkrzyknęli oboje.

— Niech się pani nie boi — Emil ściszył głos. — Ja to już wszystko obmyśliłem...

— Co obmyśliłeś?

— Jak ich tu urządzić. Przecież i do nas kiedyś może dojść obława. a. Z okna strychu można wyjść na dach. A z dachu od razu na drzewa. I w las...

— Myślisz, że masz do czynienia z wiewiórkami?

— Ludzie teraz nauczyli się żyć na różne sposoby. Do Klimontów na wieś przyszła ich ciotka spod Biłgoraja. Wiele rodzin uratowało się w ten sposób. Na drzewach.

— A w zimie? — zapytała po chwili.

— Co... „w zimie”?

— W zimie nie można ukryć się na drzewach.

— Przecież pan doktor powiedział: na miesiąc... na sześć tygodni... Dlaczego pani mówi o zimie?

— Nie wiem dlaczego.

Zaczęli nabijać słomą drugi siennik, kurz unoszący się ze słomy zaciemnił strych -

— nie od razu zobaczyli Andrzeja w otworze, w którym sterczała drabina. Przestraszyli się, kiedy się odezwał: — Jakbym słyszał, o czym rozmawiacie.

Emil się zmieszał. — Nic... nic takiego... mówiliśmy właśnie, jak ich tu urządzić...

— Bardzo się bałem, kiedy ich tu wiozłem — Andrzej nie pozwolił mu dokoń-

czyć. — Obławy we wszystkich wsiach i na wszystkich drogach. Wokół puszczy coraz więcej Ukraińców, zwarta obręcz. Ale musiałem ich przez to przewieźć. Wiedzia-

łem, że muszę. Że na tym całym ogromnym świecie oni mają w tej chwili tylko mnie.

Przekleństwo, jeśli człowieka taka myśl opęta. Wsadziłem ich na konia... Achilles nie mógłby iść ciszej, gdyby szedł na palcach...

— Andrzej — zaczęła cicho, ale i jej nie pozwolił skończyć.

— Przez całą drogę oni mieli tylko mnie. A teraz są w waszych rękach. Teraz mają was dwoje.

— Jest jeszcze Pelaszka — dorzucił pośpiesznie Emil, nie patrząc w jej stronę.

— Prawda — uśmiechnął się Andrzej — zapomniałem o Pelaszce. Jak z palcami?

— Już dobrze. Zdjąłem deszczułki. Płakała jak dziecko.

— Rusza palcami?

— Rusza. Rwie się do roboty.

— Więc będą mieli was troje. — Andrzej zdmuchnął świecę, podszedł do okna, otworzył je na oścież. Świtało już, na jaśniejącym tle nieba zaczynały się odcinać kontury bliskich drzew. —

Dwóch chłopaków w obcym kraju. Przecież i nasi wędrują gdzieś tam przez świat...

— Jak to powiedział Szekspir? — zaczęła nagle ostrym, nie swoim głosem —

„Ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś...”

Andrzej powoli odwrócił ku niej głowę. Dlaczego...

— Poczekaj — przerwała mu. — Gdyby pisał to w naszych czasach, napisałby na pewno: „Ktoś ginie, żeby żyć mógł ktoś...”

— A jednak... — Andrzej odwrócił się znów do okna — jednak masz mi za złe, że...

— Niczego nie mam ci za złe — krzyknęła. — Helenka! Nie pomyślałeś o Helence?

— Przez cały czas myślę o Helence — powiedział Andrzej spokojnym, bardzo cichym głosem. — O tobie i o Helence. Wszędzie, gdzie jestem. Tu i w lesie.

— Ja wszystko obmyśliłem — wmieszał się Emil z pośpiechem, jakby słowami tymi wyciągał kogoś tonącego albo gasił pożar. — Wszystko obmyśliłem... W razie czego z tego okna mogą od razu uciekać na dach i na drzewa.

— Ale najmniejszy ślad nie może po nich pozostać na strychu.

— Wiem — Emil był szczęśliwy, że udało mu się wkroczyć między nich, zażegnać jakieś niebezpieczeństwo, którego się bał. — Wiem, wszystko obmyśliłem.

Niech pan doktor będzie spokojny.

— Spokojny to ja już do śmierci nie będę — uśmiechnął się blado Andrzej. — Ale myślę, że Olszanka jest jako tako bezpieczna. Za blisko Lichnowca i pałacu, w którym rezyduje treuhander. Gurtel ma mir w żandarmerii, od kiedy wsadził Jamroża. Wierzą i teraz, że sam tu wszystkiego pilnuje. Ale ostrożność trzeba zachować. Zosiu — się-

gnął do kieszeni na piersi — będę ci mógł zostawić trochę pieniędzy. Najuczciwiej u Niemców ukradzionych, jak mówił Jamroż. Powinno ci wystarczyć na miesiąc, może na sześć tygodni. Przyjdę po nich. — Przyciągnął ją do siebie, a ona się nie bronila, od razu zapominając o wszystkim, pocałował ją, przez chwilę trzymał twarz ukrytą w jej włosach. — Może wcześniej uda mi się wpaść do domu, choć tak trudno, jak teraz, nie było jeszcze nigdy...

— Zostań! — poprosiła nieśmiało.

Milczał długo. Czowała pod policzkiem gwałtowne pulsowanie tętnicy na jego szyi.

— Wiesz, że nie mogę — powiedział. — Czekają na mnie.

Z dołu dobiegł płacz Helenki. Obudzona ruchem w domu, zsunęła się z łóżka i przydreptała do

kuchni. Na widok Włochów zamilkła i zatrzymawszy się przy progu, nie zdejmowała z nich swych ogromnych, nieruchomych oczu.

Zeszła na dół, wzięła ją na ręce, zniosła do pokoju Ale Helenka zaczęła znowu płakać. Położyła się więc obok niej, lecz zamiast uspokoić ją i utulić rozplakała się także, kryjąc twarz w poduszkę.

Słyszała potem, jak Andrzej i Emil krzątają się w kuchni, jak karmią Włochów, jak starają się dodać im otuchy, i ogarnął ją wstyd, że się załamała, że okazała to Andrzejowi i tamtym, którym potrzebna była w tej chwili jej odwaga i serdeczność. Nie wiedziała jednak, z jaką twarzą mogłaby teraz wejść do kuchni i jakie mogłyby być jej pierwsze słowa, więc nie ruszała się z łóżka, czekała, aż Andrzej przyjdzie do niej, i bała się, że nie przyjdzie wcale — wydało jej się to nagle prawie słuszne.

Przyszedł jednak. Kroki Włochów zadudniły na strychu, zadzwoniły wiadra w rę-

kach Emila, a on cicho otworzył drzwi, przeniósł śpiącą Helenkę do jej łóżeczka, zaczął się rozbierać.

Czekała z bijącym sercem, na którym łóżku się położy, ale on pr/edtem zapytał: —

Spisz?

— Nie. Czekam na ciebie — odpowiedziała. I tylko tak mogła odpowiedzieć.

Zawsze, o każdej godzinie dnia i nocy czekała na niego, Kiedy znowu mogli mówić, kiedy minęła olśniona, obłąkana radość odnajdywania siebie, ukryła twarz na jego piersi. — Przykro mi, że tak się zachowałam.

— Cicho, cicho — szepnął. — To ja nie miałem prawa wymagać tego od ciebie.

Nie miałem prawa, a musiałem. Wiele teraz spraw jest ponad ludzką miarę. I dokonują się. Nie wiemy jeszcze do końca, do czego zdolny jest człowiek. I w malhści swojej, i w wielkości. Nie ma ludzi odważnych, są tylko postawieni przed swoim własnym przymusem.

— Bardzo bym chciała być taka, jaką powinnam być przy tobie.

— Jesteś — szepnął gorąco. — Pamiętaj, że jesteś.

Wieczorem zaczął zbierać się do drogi. Jeszcze raz zbadał Włochów, zostawił dla nich recepty, które Emil miał zrealizować u aptekarza, coraz uporczywiej do-pominającego się zwierzyny za te usługi, pożegnał się z Helenką i nagle powiedział, żeby ją ubrała. Chciał, żeby Emil z dzieckiem odprowadził go za Lichnowiec.

Po raz pierwszy postanowił nie od razu zagłębić się w las — droga oddzielająca Olszankę i dalsze lasy lichnowieckie od janowskich strzeżona była pilnie przez Niemców. Tylko cudem udało mu się ją przeskoczyć z Włochami, teraz postanowił jechać inaczej, omijając ją, okrążając miejsca przypuszczalnych zasadzek. Żeby jednak było to możliwe, musiał przejechać przez Lichnowiec, przynajmniej bocznymi, mało uczęszczanymi drogami, na których mimo to można było przecież kogoś

spotkać.

Dziecko na siodle miało uczynić prawdopodobną zwyczajność tej wycieczki w ciepły letni wieczór.

Ręce jej się trzęsły, kiedy ubierała Helenkę. Podniosła oczy na Andrzeja. — Ja pójdę z tobą — poprosiła cicho.

— Nie — Andrzej stanowczo się nie zgodził. — Pójdzie Emil. Nie dałabyś rady z tak daleka nieść z powrotem dziecko. Nie wiadomo, dokąd będzie musiał mnie odprowadzić.

Helence bardzo się podobała ta eskapada. Siedząc przed Andrzejem na siodle, wczepiała paluszki w grzywę Achillesa, uderzała go po karku. — Patataj! — wołała, patrząc na matkę roziskrzonym wzrokiem.

— Patataj! — powtórzyła ze ściśniętym gardłem.

Andrzej schylił się i pocałował ją ostatni raz, w czoło i we włosy. — Postaram się przyjechać jak najprędzej — szepnął.

Ukryła twarz w dłoniach i nie opuściła ich, aż odgłos kroków końskich oddalił się w ostatnią niesłyszalność, w osłaniające wszystko milczenie. Odwróciła się, żeby wejść do domu. W małym okienku strychu dwie twarze Włochów bieleły się jak płót-na.

Zbliżała się już godzina policyjna, a Emil z Helenką wciąż nie wracał. Wyszła im naprzeciw na sam skraj lasu, skąd już otwarta droga prowadziła do Lichnowca. Była pusta. Usiadła na kamieniu i czekała. Zaczęło się już ściemniać. Późny zmierzch zapadł jednak w końcu, milkły ptaki, las odzywał się teraz tylko głosem puszczyka. Po-myślała, że Emil mógł wrócić inną drogą, że nie zastawszy jej w domu, może już biegnie jej na spotkanie. Sama zaczęła biec, zadyszana dopadła leśniczówki — na progu stała, także zaniepokojona, Pelaszka. Emila i Helenki nie było.

— O Boże! — zawołała. — Idź szukaj, rób coś! Nie stój tak na progu!

— Co mam robić? — wyjąkała Pelaszka.

Umilkł szep w okienku na strychu, twarze Włochów cofnęły się w głąb.

— Nie, nie — szepnęła, obejmując Pelaszkę za szyję. — Zostań! Przynajmniej ty zostań ze mną.

Emil zjawił się dopiero po północy. I nie sam. Jakiś obcy człowiek niósł rozespaną Helenkę.

— Co się stało? — zawołała. — Jak mogłeś? Z dzieckiem! Tak długo!

Emil był blady, ręce mu się trzęsły. — Musiałem — odpowiedział, pragnąc wyminąć ją w progu.

Odebrała dziecko obcemu człowiekowi, dotknęła ustami dziwnie rozpalonego czółka. — Co to wszystko znaczy? Sam nie mogłeś nieść dziecka?

— Nie — powiedział obcy człowiek. — Nie. Nie mógł.

Patrzyła na jego twarz, nie widząc go prawie. Zwróciła się znowu do Emila. —

Tak daleko odprowadziłeś doktora?

Chłopak milczał. Dopiero po chwili odpowiedział: — Bardzo daleko.

Uspokajała się powoli. — Ale przynajmniej nic mu już nie grozi?

Emil znowu zamilkł i jeszcze raz usiłował wyminąć ją w progu. Nie udało mu się to, stała pośrodku z Helenką na ręku. — Na pewno nic mu już nie grozi — szepnął.

— Dlaczego mówisz tak cicho?

— Na pewno nic mu już nie grozi — powtórzył tym razem dziwnie głośno.

— Głos masz jakiś zachrypnięty, co się z wami działo? Skąd ta ziemia na ubraniu?

Ręce masz całe czarne. Leżałeś w rowie?

— Potknąłem się i upadłem.

— Z Helenką?

— Ja niosłem Helenkę — odezwał się obcy, a Emilowi udało się wreszcie sforsować drzwi, wpadł do swego pokoju i od razu zrobiło się tam bardzo cicho.

— Dobranoc! — powiedział obcy człowiek.

— Gdzie pan będzie spał?

— Gdziekolwiek. Noc ciepła.

Odszedł i od razu zapomniała o nim. Chciała krzyknąć na Emila, żeby . umył się przed spaniem — dopiero co założyły z Pelaszką świeżą pościel, z praniem było wiele kłopotu, za mydło płaciło się drożej niż za cukier — ale dziwnie zabrakło jej śmiałości do zrobienia mu tej uwagi. Pod nieobecność Andrzeja Emil stawał się jakby głową domu. Bez niego byłaby zupełnie bezradna, a czekały ich nowe obowiązki. Zła więc tylko trochę, położyła się spać, obiecując sobie, że rano poruszy tę sprawę przy śniadaniu.

Ale rano nie zobaczyła Emila. Pelaszka powiedziała jej, że bez śniadania poszedł do lasu. Kazał tylko powtórzyć, że nie wróci na obiad.

Zdziwiła się. — Co takiego pilnego ma w lesie?

— Mówił, że coś tam ma.

Nie było czasu zastanawiać się nad tym dłużej, bo Helenka marudziła od rana, nie chciała jeść, pokładała się wciąż gdzie popadło, oczy miała błyszczące, a oddech przyśpieszony.

Zmierzyła jej gorączkę. Termometr wskazywał czterdzieści stopni i trzy kreski.

Nie odczytała go od razu, patrzyła na cyfry, na niebieski słupek rtęci, nie mogąc zrozumieć, co to właściwie oznacza, dopiero po chwili strach chwycił ją za gardło.

Helenka nigdy nie chorowała. Miała niekiedy małe nieporozumienia z żołądkiem, zwłaszcza po spacerach w lesie, gdzie nie można jej było ustrzec przed jedzeniem nie-dojrzałych jagód i malin. Pomyślała więc, starając się pocieszyć, że i teraz musiało się coś takiego przydarzyć, i od razu była wściekła na Emila, że nie dopilnował dziecka i że nie ma go pod ręką, że nie może go nawet zapytać, czy słuszne są jej podejrzenia.

Na wszelki wypadek dała dziecku na przeczyszczenie, a kiedy pod wieczór gorączka zamiast opaść podniosła się o dwie kreski, zostawiła Helenkę pod opieką Pełaszki, a sama, tak jak stała, pobiegła do pałacu.

Siadano akurat do kolacji.

Każdego innego dnia zapach pieczonego drobiu, mizerii, czekolady i wanilii przyprawiłby ją o zawrót głowy i ssanie w żołądku, teraz odnotowała tylko powonieniem te zapachy i wyminąwszy starego Feliksia, który chciał zatrzymać ją na progu, wtargnęła do pałacowej sieni,

— Tak nie można — stary lokaj dreptał za nią, przynajmniej słowami starając się zmusić ją do odwrotu. — Państwo są przy stole.

— To dobrze — szeptała. — To dobrze. Muszę rozmawiać z młodą panią.

— Przecież mówię, że przy stole! — zdenerwował się Feliksio. Zabiegł jej w końcu drogę, rozkrzyżował ręce.

Odepchnęła go, aż zatrzymał się na ścianie, otworzyła drzwi.

W ogromnej sali jadalnej, przy stole, przy którym mogło się zmieścić co najmniej dwadzieścia pięć osób, siedziały dwie panie Borowieckie i Thomas Gurtel, pomniejszony jeszcze salą, stołem, wysokimi oparciami krzeseł, długimi ramami portrerów, wiszących na ścianach. Pod sufitem płonęły wszystkie światła, na śnieżnobiałym obrusie lśniły srebra i kryształy.

Przybywała z kuchni w Olszance i musiała przed tym wszystkim wprost przymknąć oczy. Zatrzymała się na progu prawie oślepiąca i nie wiadomo dlaczego wyobraziwszy sobie, że jest to metoda onieśmiania pana Gurtla, przytłaczania jego narodowosocjalistycznego mieszczaństwa polskim jaśniepaństwem, rzuciła się w stronę młodej pani Borowieckiej. — Helenka! — zawołała. — Helenka zachorowała! Muszę zatelefonować do mego ojca!

— Jemy kolację — powiedziała z naciskiem starsza pani. — I nie jesteśmy same...

Ale młoda zerwała się już ze swego miejsca, gwałtownie odsunawszy krzesło. —

Co się stało? Tak nagle?

— Nagle. Była zdrowiuteńka. Wczoraj... — urwała, opamiętawszy się w porę. —

Czterdzieści stopni i pięć kresek. Dałam na przeczyszczenie, nie pomogło. Muszę za-wezwać ojca. Przecież jeżdżą pociągi, będzie mógł przyjechać... będzie musiał przyjechać...

— A pan Andrzej? — spytała młoda pani Borowiecka cicho.

— Nie spodziewam się go prędko. Muszę sprowadzić ojca! Boże, dlaczego jest tak daleko?!

— Wyobraża sobie pani, że to takie proste? — starsza pani Borowiecka straciła już nadzieję na spokojny przebieg kolacji. — Teraz? — Przy tych obostrzeniach?

Przecież Polakom nie wolno jeździć pociągami.

— Wolno, jeśli się ma przepustkę. Jestem pewna, że ojciec się o nią postara. Komendant szpitala zrobi to dla niego, nigdy go o nic nie prosił.

— A nasz kochany pan Gurtel — młoda pani Borowiecka zwróciła się po niemiecku do treuhandera — zamówi nam zaraz rozmowę błyskawiczną. Dziecko zachorowało naszej leśniczynie. Widzi pan, jak ludzie ze wszystkim przychodzą do pałacu.

Wiedzą, że pan tu jest i że pomoże. Kochany panie Gurtel, zaraz! Bardzo proszę.

Musiała być w tym przymilnym tonie, w którym tylko treuliander nie wyczuwał

boleśnie brzmiącej ironii, jakaś siła szczególna, bo Niemiec zerwał się ze swego krzesła, oblany łuną nagłej, gorącej różowości, i zapatrzony w młodą panią, zapytał bez tchu: — Dokąd? Z kim ma być ta rozmowa? Jaki numer?

Podawała szybko nazwę miasta i numer telefonu, a raczej dwa: jeden do szpitala, drugi do domu. Przeszli do gabinetu, gdzie był telefon, i Gurtel, wciąż pałający swoim spóźnionym, ale tym gorętszym rumieńcem, wrzeszcząc w słuchawkę i przynaglając telefonistkę, zamówił rozmowę „blitz”.

Siedziała na brzegu krzesła i leciwie powstrzymując dygotanie szczęki, czekała na sygnał.

Lęk o Helenkę i to, że prawie po czterech latach miała usłyszeć głos ojca, odbiera-

ły jej przytomność. Pani Borowiecka wzięła ją za rękę, gładziła w milczeniu jej palce.

— Taka młoda, ładna — powiedział pan Gurtel. — Gdzie mąż?

Pani Borowiecka wzruszyła ramionami. — Irgendwo — odpowiedziała. — Nie wie pan, że jest wojna?

— Tak — pokiwał głową. — Jest wojna. — Zrozumiały, o czym myśli. On także nie jest w domu. Ani jego syn,...

Rozległ się ostry sygnał telefonu. Rzuciła się do biurka, ale Gurtel ubiegł ją: podniósł słuchawkę, chwilę trwały niemieckie pertraktacje, zanim ją poprosił, żeby mówi-

ła.

Wzięła niezręcznie słuchawkę — i to także było wojną, prawie przez cztery lata do nikogo nie telefonowała — słuchała przez chwilę szumów i trzasków i kiedy nagle krzyknął ktoś „halo”, powiedziała prawie szeptem: — Tatusiu! Jesteś?

— Głośniej! — zawołał Gurtel.

Ale ojciec usłyszał, bo nagle całkiem blisko, tuż przy jej uchu, odezwał się jego głos: — Na litość boską, co się stało?!

— Helenka zachorowała! Przyjeżdżaj zaraz!

— A Andrzej? — zapytał.

— Przyjeżdżaj zaraz! Błagam cię! Ma przeszło czterdzieści stopni gorączki. Nie wiem, co to jest. Musisz przyjechać! Umrze, jeżeli nie przyjedziesz.

— Opanuj się! Bardzo cię proszę, opanuj się! — Ojciec po raz drugi nie zapytał o Andrzeja, milczał przez chwilę.

Przestraszyła się, że już go nie usłyszy, że połączenie zostało przerwane. — Halo!

— krzyknęła. — Jesteś tam?

— Jestem! — odezwał się ojciec, znów bardzo blisko, o oddech, o wyciągnięcie ręki.

— Dlaczego nic nie mówisz?

— Zastanawiam się. Nie ma tam innego lekarza?

— Dobrze wiesz, że nie ma. Przyjeżdżaj! Możesz się przecież wystarać o przepustkę i zwolnienie. Poproś Wenera, na pewno ci nie odmówi. Poproś Wenera!

Musiała naprawdę ziemia rozstępować się pod nią, skoro zdecydowała się to powiedzieć. A powtórzyła nawet jeszcze raz: — Poproś Wenera! Możesz chyba raz go o coś poprosić.

— Mogę — powiedział ojciec z wahaniem. — Ale nie to jest najważniejsze...

Zobaczyła przed sobą Sarę Gliksman, siedzącą w starym fotelu na strychu, Sarę Gliksman w starej peruce na głowie, wyglądającej jak gniazdo, z którego raz na zawsze odleciał ptak. Zrozumiała, że przez nią, że dla niej ojciec nie będzie mógł przyjechać.

— Nie ma nic ważniejszego — krzyknęła. — Zastanów się! Możesz ją chyba na kilka dni zostawić.

Ojciec zaniemówił. Usłyszała to jego nagłe zamilknięcie, tę ciszę, która zapadła po ostatnim jej zdaniu.

— Ależ oczywiście — odrzekł wreszcie — że mogę ją zostawić. Leosia nie boi się być sama w domu.

— Przyjeżdżaj! — zawołała,

— Uspokój się! — powiedział jeszcze raz. — Opanuj się! Przyjadę. Choć wiesz, jak się dzisiaj podróżuje.

— Tatusiu, musisz przyjechać! Do kogo miałam się zwrócić o pomoc?

—Moje biedne dziecko! Jeśli to będzie możliwe, wyjadę jeszcze dzisiaj.

—Spiesz się! Spiesz się! Poproszę panią Borowiecką o konie na dworzec.

— Bądź dobrej myśli!

Odłożyła słuchawkę, przesunęła nieprzytomnymi oczyma po twarzach pani Borowieckiej i Gurtla.

— No, wszystko w porządku? — zapytał.

— Nie wiem — szepnęła. — Ojciec musi się wystarać o urlop i przepustkę...

— Na pewno dostanie. Przecież nie jesteśmy tacy straszni.

— Kochany panie Gurtel — powiedziała pani Borowiecka — nigdy panu tego nie zapomnę. I byłabym panu bardzo wdzięczna, gdyby pan zechciał wyjechać jutro na dworzec po doktora. Ze mną — uśmiechnęła się. — Bądź co bądź okolica niespokoj-na.

Ojciec przyjechał następnego dnia po południu. Stwierdził zapalenie opon mó-

zgowych, Helenka była już nieprzytomna. Przeczynał, że to może być właśnie to, przywiózł ze sobą lekarstwa, patrzyła pełna otuchy, jak pochyła się nad dzieckiem, Wtedy nie myślała o tym, ale później, po wielu latach, zdała sobie z tego sprawę, co musiał czuć, mając jeszcze w oczach ten niedawny czas, gdy była dziewczynką z czarnymi warkoczykami, a widząc teraz matkę, zgnębiającą najgorszą z trosk: lękiem o życie dziecka, matkę samotną, pozbawioną tego najpotrzebniejszego i najnaturalniej-szego wsparcia w tak trudnej chwili,

Oderwał oczy od rozpalonej twarzyczki Helenki, spojrział na nią z niepokojem. —

I kiedyż on wróci?

— Nie wiem — powiedziała.

— Jak to nie wiesz?

— Nie wiem. Jest w lesie. Potrzebują go tam.

A ty go nie potrzebujesz? chciał pewnie zapytać, ale nie zapytał.

Zbadał potem Włochów, Pelaszkę, w końcu i ją także, gdy Emil z grubym plikiem recept miał już się udać do apteki, zapytał go: A ty? Jak się czujesz? Coś mi jesteś niewyraźny!

Emil odrzucił głowę do tyłu. Stał wysoki, wyprostowany, wspaniale wyrośnięty.

Ale usta miał blade i wargi mu drżały, kiedy mówił: — Nic mi nie jest.

— A ja bym cię chętnie obejrzał — powiedział ojciec. — Zostawcie nas samych.

Badanie Emila trwało długo. Słyszała przez drzwi przyciszone głosy ojca i jego, w końcu jego płacz. Zaczęły się w niej budzić jakieś myśli niedorzeczne i niegodne —

ale z jakiego innego powodu, dlaczego miałby płakać Emil? Wy słała Pelaszkę na po-dwórze, a sama znalazła sobie jakieś zajęcie jak najbliżej drzwi, żeby nie podsłuchiwać, a jednak słyszeć. Lecz z drugiego pokoju dochodził tylko szmer rozmowy, od czasu do czasu jakiś podniesiony ton w głosie Emila, uciszany zaraz przez ojca. Cią-

gnęło się to bez końca. Zaczęło ją to w końcu denerwować, że ojciec poświęca Emila-fwi tyle czasu i uwagi, jakby to on był bezpośrednim powodem jego przybycia i wymagał ratunku.

Kiedy drzwi się wreszcie otworzyły, nie spodziewała się, że ojciec klepnie Emila w plecy, da mu szturchańca w bok i zawoła: — Zdrów jak byk! Przynajmniej jeden w tym domu.

Przepisał mu jednak jakąś receptę i kiedy, nie mogąc pohamować ciekawości, wzięła ją w ręce, przekonała się, że są to proszki na uspokojenie.

— Trochę za bardzo nerwowy — powiedział ojciec. — Pewnie przeżywa tak obecność Włochów. Szczerze mówiąc, ja bym się także bał. — Potarł dłonią czoło, na chwilę przymknął oczy. — Zosiu! — zaczął łagodnie, od razu jakby z prośbą, ale i obawą w głosie — kiedy Helenie się polepszy, kiedy Helenka wyzdrowieje... chciał-

bym zabrać was do domu.

— Zabrać nas...? — zapytała, jakby nie mogąc zrozumieć, co mogą oznaczać takie dwa słowa.

— Tak. Emil i Pelaszka zostaną na razie z Włochami. A gdy oni będą już mogli wrócić do lasu, przyjadą także do nas. Jeśli zechcą.

— Przecież Andrzej jest w lesie — szepnęła. Z wyrzutem i pretensją, że mógł o tym zapomnieć.

Ojciec milczał długo. — Widujesz go tak rzadko — powiedział wreszcie.

— Ale czekam na niego — zawołała. — Czekam tu na niego. I on o tym wie.

— Będiesz czekała w domu — powiedział ojciec z jeszcze większą łagodnością.

— Tam nie będzie mógł przyjść, a tu spodziewam się go każdego tygodnia. Stąd jeden skok w lasy janowskie i do puszczy. Pani Borowiecka dała mu konia. Każdej chwili może tu wpaść... A do domu...

— Teraz możemy już mówić z całą pewnością, że wojna niedługo się skończy.

Potrząsnęła głową. — Nie, nie, tu będę czekać na niego.

Wyobraziła sobie, że ojciec namawia ją do opuszczenia Olszanki głównie ze względu na Włochów. Wyrównali mu jakoś obecność Sary Gliksman na strychu w ich domu. Tu i tam każdej chwili można było spodziewać się śmierci tylko dlatego, że pragnęło się ją oddalić od kogoś drugiego. „Ktoś ginie, żeby żyć mógł ktoś...”, przypomniawszy sobie wydobyte z mroków świadomości i tak niepotrzebnie przed Andrzejem ujawnione zdanie. Student medycyny z Eisenach, wciąż skutecznie wybraniający się przed pójściem na front wschodni, strzegł Sary Gliksman swoją codzienną obecno-

ścią w domu doktora — nad Włochami czuwała tylko opatrznosc, zbyt wiele mająca zajęcia w tych niedobrych czasach.

— Zastanów się — spróbował ojciec jeszcze raz.

— Nie, nie — zaprzeczyła gorąco, — Będę czekać na niego tutaj.

— Jak chcesz — powiedział cicho.

Został w Olszance przez cały tydzień. Werner — wszechwładny na terenie szpitala

— dał mu ten urlop ze szczodrobliwością możnowładcy, powoli opętywanego gromadzeniem na swoim koncie odpustów. Front wschodni cofał się każdego dnia, z nieubłaganą konsekwencją historii rozpoczynał się wielki odwrót z nigdy nie ujarzmionych rosyjskich stepów. Student z Eisenach, który wydorósł przez ten czas, zaczynał

gromadzić odpusty. Wiedział, że kiedyś i on pędzie musiał się cofać z armią, toczącą się teraz na zachód, do swego punktu wyjścia, do swego kresu. Chciał być czysty, tak czysty, jak wtedy, kiedy tu przyszedł (trzeba było mieć wiele spokoju, żeby zrozumieć, w jakich chwilach i dlaczego nawiedzają człowieka takie myśli).

Stan Helenki poprawiał się z dnia na dzień. Także i Włosi tracili powoli swoją bladość i popłoch w oczach. Ojciec, zostawiwszy Pelaszkę na czatach w okienku strychu, kazał im schodzić na dół, grał z nimi w karty, opowiadał o wieściach z frontów. I Francesco, i Lucio odżyli przez ten tydzień, nie

tylko fizycznie.

— Na waszym miejscu — mówił ojciec do niej i do Emila — skorzystałbym z okazji i zacząłbym się uczyć włoskiego. Przestalibyście myśleć o wszystkim innym.

— Tak. — Emil, ilekroć ktoś zwracał się do niego, odchodził zaraz, odwracał się, jakby musiał skrywać swoją twarz. Tym razem wycofał się do okna i stamtąd dodał

prawie niedosłyszalnie: — Przydałoby się. Przydałoby się coś takiego.

Francesco zgłosił swoje usługi. Był nauczycielem włoskiego, wykładał literaturę w szkole średniej w Rzymie Teraz jednak musiał zacząć od słów najprostszych. —

Io, tu, egli, ella, Lei. Noi, voi, essi, esse, Loro — powtarzali na początku. — Io ho, tu hai, egli ha, ella ha, Lei ha. Noi abbiamo, voi avete, essi hanno, esse hanno, Loro hanno...

Ale już pierwszego dnia wieczorem, gdy na chwilę zostali sami, Lucio, naśladowując nauczycielski ton Francesco, powiedział do niej: — La bella ęionna połacca!

— Nicht so schnell — odpowiedziała mu po niemiecku. Ale nie była zła. NaprawTdę nie była zła.

Podczas pobytu ojca w Olszance dwukrotnie proszono go do pałacu, do pań Borowieckich, które od najmłodszej po najstarszą poddały się profilaktycznemu badaniu, i do samego Thomasa Giirtla, pielęgnującego troskliwie swoją zastarzałą rupturę.

Sprawa była subtelna i precyzyjna jak w zegarku, Chodziło o takie „nastawienie” do-legliwości, aby nie będąc zbyt dokuczliwą nie dopuszczała jednak powołania do wojska. Doktor to zrozumiał bez zbędnych słów. I chyba właśnie za to został sownie wy-nagrodzony, choć już samo to, że Gurtel umożliwił połączenie telefoniczne, że fatygował się osobiście na dworzec i strzegł go swoją osobą od wszelkich niespodzianek po drodze, rekompensowało w zupełności zabiegi doktora. Pacjent jednak myślał inaczej. Oceniał wysoko to, że nie musiał mówić, jakiej oczekuje pomocy (Niemcy używali wciąż jeszcze tylko wielkich słów?; strach, zapobiegliwość, pragnienie wyniesienia całej głowy z tego pożaru, który już zaczynał podgrzewać im pięty, nie wyrażały się jeszcze słowami, o cały rok było na to za wcześnie).

Wrócił ojciec z tej wizyty przywożąc w swojej lekarskiej torbie konserwy, sardynki, francuski likier i czekoladę dla Helenki. Pożegnalny wieczór był prawdziwą ucztą, tylko Helenka krzywiła się na widok czekolady.

Kiedy Francesco i Lucio odeszli już na górę, Pelaszka wzięła się do mycia naczyń, a Emil udał się do obory, ojciec spróbował jeszcze raz.

— Zastanów się — powiedział.

— Nad czym?

— Wracaj do domu. I ty, i Helenka potrzebujecie opieki.

Nie mogła powiedzieć, że ma ją i tutaj. Obydwoje dobrze wiedzieli, że tylko ry-chły przyjazd dziadka uratował Helenkę. Podniosła na ojca oczy pełne rozpacz. —

Nie mogę. — Nie chciała jednak, żeby ojciec pomyślał, że już ją stracił, że należy tylko do tamtego, więc rzuciła mu się na szyję.

Starszy pan nie wiedział, jak się zachować wobec tego wybuchu czułości. Gładził

ją po głowie, głos mu drżał. — No, uspokój się! Uspokój się! Nie można tak...

— Przecież muszę... muszę tu zostać... Pomyśl tylko: on wraca i nie zastaje mnie tutaj... Mnie ani Helenki..

Ojciec pocałował ją w czoło. — Masz rację — powiedział. — Musisz zostać. I jeszcze jedno — dodał po chwili. — Będę ci przysyłał pieniądze.

— Ja... — powiedziała cicho — ...ja... nie potrzebuję... Andrzej...

— Co... „Andrzej”?

— Przywozi od czasu do czasu jakieś pieniądze.

— Od kogo?

— Różnie. Nie związał się z żadnym oddziałem. Był z tymi z GL i z AK, i tymi z BCh także. Nawet u Rosjan... Ale zawsze mówił, że są to najuczciwiej u Niemców ukradzione pieniądze.

— Rozumiem — powiedział ojciec. — Ale mimo to... chciałbym ci od czasu do czasu przysłać trochę pieniędzy. Mogą ci się przydać...

Rano o ledwie różowiejącym świcie zajechał przed leśniczówkę wolant z pałacu.

Powozila sama młoda pani, stangret siedział z tyłu.

Ojciec, przyjemnie ożywiony, ucałował jej rękę. — Sama się pani fatygowała!

— Ależ to dla mnie przyjemność! — zawołała. — Prawdziwa przyjemność! Po drodze zabierzemy jeszcze Gurtla, dopiero się goli. Będzie nas strzegł w drodze jak anioł stróż — śmiała się, odrobineczkę kokietując starszego pana, bardzo znudzona Lichnowcem i jego mieszkańcami, wojną i swoją samotnością.

Miała przed sobą jeszcze tylko rok życia. Ale, na szczęście, nie wiedziała o tym.

Na szczęście nigdy się o tym nie wie.

Nie mogła już zasnąć do rana. Klębiły się jej pod czaszką myśli płaczące czas dawny z teraźniejszym, widziała przed sobą twarz Lucia z wyrazem oczu Renata, gdy patrzył na Agnieszkę (gdzie właściwie byli tak długo?), Francesco także nie odrywał

od niej oczu, ale nie odważył się nigdy na powiedzenie jej czegoś, czego by nie mógł

powtórzyć przy Andrzeju. Andrzej nie wracał, mogłoby go to ośmielić, że Andrzej wciąż nie wracał, ale nie ośmieliło, ośmielało tylko Lucia... tak łatwo zapominał o wojnie, potrafił jej nie zauważać, oddalać od siebie. Chciał także oddalić ją od niej.

Mijały dni i tygodnie — lato było tego roku gorące, parne, duszne od kwitnienia lip i woni siana, które Emil na całej polanie suszył dla Łaciatki. Już w lipcu grały nocami świerszcze. Początkowo bała się bez Andrzeja spać przy otwartym oknie, ale Helenka budziła się z duszności, w niskim pokoju nie było czym oddychać, otwierała więc przynajmniej górne lufciki, i wtedy słyszała, jak Lucio śpiewa, cicho, prawie szeptem, tuż przy samym parapecie strychowego okna, tylko dla niej.

Najbardziej peszyło ją, że i Emil musi słyszeć ten śpiew, że rano może być zły na Lucia, może być w ogóle na niego zły — a nauczyli się już liczyć z nim i liczyć na niego, już nie te „najuczciwiej Niemcom ukradzione pieniądze”, przywożone przez Andrzeja, ale to, co mógł dla nich zdobyć Emil, stanowiło o ich dalszym życiu.

Od ostatniej bytności doktora, od owej nocy, kiedy Emil go odprowadził z Helenką, zmienił się bardzo. Miał już dwadzieścia jeden lat. Przedtem było jeszcze coś nie-uchwytnie dziecięcego w jego spojrzeniu i uśmiechu, teraz to znikło, jakby stał to ktoś z jego twarzy bardzo twardą dłonią. Chodził teraz do lasu i przynosił stamtąd zwierzynę — obydwaj Włosi byli zagrożeni gruźlicą i anemią, Emilowi zawdzięczali, że wydźwignęli się z tego, odżywił ich, przywrócił im siły, które znów miały być im potrzebne. Obydwaj umieli to ocenić. Choć o wiele od nich młodszy, miał u nich należny szacunek, nie wynikający jedynie z wdzięczności.

— Nostro padrone! — mówili o nim.

A gdy wychodził, pytali: — Quando e tornato?

Źle się czuli, kiedy nie było go w domu. Czekali na niego, tak jak przedtem ona i Emil czekali na Andrzeja

Teraz — takie odnosiła wrażenie — tylko ona czekała na niego. Nocami nadśluchiwała odgłosów z lasu, każdy mógł być lekkimi krokami Achillesa, każdy mógł być zbliżaniem się tego, na którego czekała. Sen ją morzył, budziła się, znów nadśluchiwała, w końcu nauczyła się spać czekając, każdej chwili przytomna po lada szeleście.

Lucio śpiewał. Cichutko, ledwie dosłyszalnie, tylko dla niej. Nie czyniła nic, żeby go ośmielić, zbliżyć do siebie. Na początku, kiedy obydwaj jeszcze gorączkowali, pochylała się tak samo nad Franceskiem, jak i nad nim, poprawiała im siennik, poduszkę pod głowę, dotykała ich twarzy, piersi, gdy chciała się przekonać, czy się nie spocili, gdy przynosiła im jedzenie, gdy budziła ich ze snu. Ale śpiewał tylko Lucio, tylko Lucio potrafił przenosić się w inny czas, w jakąś inną możliwość dla nich

dwojga.

Od kiedy przyniosła im z pałacu dobre wieści, jeszcze się to wzmogło, koniec wojny wydawał się bliski, wyobrażali sobie, że już tylko tygodnie dzielą ich od powrotu do domu, skoro Amerykanie wylądowali na Sycylii.

Potem nadeszła wieść o aresztowaniu Mussoliniego, o utworzeniu nowego rządu przez generała Badoglię.

— Sophia! — mówił Lucio i, jak zawsze, było to święto, niedziela jej imienia. —

Sophia! Nikt inny, tylko ja pokażę ci Sycylię.

Śmiała się. — Przecież Maria czeka na ciebie

Zamyślał się, trochę smutniał. — Czeką albo i nie czekają...

Dopiero później, kiedy Mussolini znów wrócił do władzy, powiedział, że ojciec Marii jest pułkownikiem przy samym duce. Zamyślenie i smutek nie miały więc romantycznego podłoża. Faszystowski pułkownik jako teść był kłopotliwy w każdej sytuacji.

— Czekają albo i nie czekają — powtarzał. Może miał nadzieję, może prawie pragnął, żeby ktoś inny zajął ją sobą. — Tylko ja pokażę ci Sycylię. Palermo, Agrigento... Morze, kiedy się patrzy na nie ze skał, ma kolor...

Na pewno nigdy tego nie zobaczę — przerywała mu łagodnie.

— Dlaczego? Wojna niedługo się skończy.

— Skończy się. Ale ty pojedziesz, a ja zostanę. Ty masz tam swoje życie. Ja mam tu swoje.

— Nigdy nie zapomnisz, że czekasz na niego?

— Nie. Nie zapomnę.

Wtedy była to jeszcze rozmowa prowadzona jakby żartem. Miała ten ton szczególny, kiedy każde słowo mogło być i nie musiało być prawdą, tylko dlatego nie gniewała się na Lucię, a on nie czuł się upodlony niewdzięcznością dla doktora. Do Emila jednak nie docierała ta subtelność. Każde słowo Lucja brał na serio, z całą ostrością jednego jedyne go znaczenia. Kiedy Włosi schodzili na dół, musiał zawsze ktoś czuwać w okienku na strychu i penetrować bez przerwy obydwie drogi wiodące do Olszanki — lichnowiecką i leśną. Początkowo robił to Emil, ale od kiedy Włosi zaczęli się czuć lepiej, nie tylko w ogóle, ale i w Olszance, coraz częściej obdarzał tą funkcją Pelaszkę, przykazując jej surowo nie zaniedbywać swego obowiązku. Zbił ją któregoś dnia, złapawszy na spaniu, podczas gdy miała czuwać w oknie. Zbił ją chyba jeszcze i dlatego, że zaczynała coraz wyraźniej wrodzić za nim oczyma, wystawać na podwórzu, gdy rąbał drzewo, biec za nim do lasu czy do Lichnowca.

— Jak mogłeś? — upomniała go potem. — Przecież to już dorosła dziewczyna!

Robi się coraz ładniejsza. Może się z nią kiedyś ożenisz?

Emil parsknął gniewnie i swoim ostatnim zwyczajem nie patrzył jej w oczy. —

Wiem, z kim się ożenię — mruknął.

— O! — zdziwiła się żartobliwie. — Nawet już to wiesz!

— Wiem — potwierdził hardo.

Nie dociekała już, kogo ma na myśli, wiedziała, że nie zdoła tego z niego wydobyć. Gdy Włosi opuszczali swój strych albo ona wspinała się do nich po drabinie, był

zawsze w pobliżu i nawet sam Andrzej, gdyby był wtedy w domu, nie potrafiłby lepiej czuwać nad nią, lepiej strzec jej przed niebezpieczeństwem, które jej — nie zagrażało.

Udawała, że tego nie dostrzega, musiała udawać, że tego nie dostrzega. Każdego dnia rano, gdy patrzyła na puste łóżko Andrzeja, rozpacz chwytła ją za gardło, każdej nocy napadał ją płacz, tłumiony poduszką — cóż znaczyły dla niej wtedy błyszczące oczy Lucia, jego młodzieńcza piękność i to, że śpiewał dla niej cichutko w otwartym oknie strychu?!

Zaprzyjaźniła się bardziej z Franceskiem, którego dojrzałość miała wiele udzielającego się spokoju. Lubiała, kiedy był na dole, uczył ich albo milczał, przypatrując się jej, krzątającej się po kuchni. Pod jego spojrzeniem ceniła swoją urodę, znała jej wartość, sama miała dla niej szacunek — natarczywy zachwyt Lucia sprawiał, że unikała wyciętych bluzek, za krótkich sukienek, nagich ramion. Prowokacja z jego strony rodziła strach przed wyjściem jej naprzeciw, przed prowokacją własną, przed ośmieleniem już i tak za śmiałych oczu.

— Gdybyś mogła zdobyć skądś habit, niechybnie byś go nosiła — mówił, gdy nie pozwalała towarzyszyć sobie nad staw. Chodziła kąpać się z Helenką i musiała w końcu robić to w największej tajemnicy. Emil pilnował wtedy Włochów, nie miała co do tego wątpliwości, ale już sama myśl, że Lucio w tej samej chwili, kiedy to czyniła, mógłby wyobrazić ją sobie podczas kąpieli, obnażoną, okrytą tylko wodą, paraliżowa-

ła jej ruchy, była nie do zniesienia.

I ten wieczór, gdy nagle rozpętała się ulewa, a ona wybiegła, żeby zebrać wianki pierwszych grzybów, suszących się na dworze — gorące ręce Lucia w ciemnej sieni, jego usta na jej szyi, na twarzy... Odepchnęła go. Nie mogła krzyknąć, żeby nie ścią-

gnąć Emila, i on wiedział o tym, wiedział, że nie będzie krzyczała. — Sophia! —

szeptał. — To nie ma sensu! Niech się wali cały świat! Jesteśmy tylko my dwoje!

Tylko my dwoje!

Grzyby rozsypały się po ziemi. Słyszała, jak obydwójce depczą je nogami, tratują i miażdżą, z

konieczności tak zapobiegliwa pomyślała w krótkiej sekundzie, ileż to zi-mowych zup marnuje się w tej chwili pod ich stopami, ale zaraz jego wargi, nieomył-ne mimo ciemności, pozbawiły ją tej myśli. Teraz nawet i krzyczeć by nie mogła, więc go tylko wciąż odpychała, odtrącała od siebie, ale był silniejszy od niej, zawsze i w tej chwili był silniejszy od niej, obydwój-e o tym wiedzieli. — To nie ma sensu! — po-wtórzył jeszcze raz. — Dobrze wiesz, że to się stanie. Dobrze wiesz! Po co czekać?

Zdołała wreszcie mu się wyrwać, uchyliła drzwi do kuchni, aby dać mu czas na wspięcie się po drabinie, zrozumiał to we właściwy sposób, ale już nazajutrz wiedzia-

ła, że był to błąd, uznał ją za współniczkę swego niefrasobliwego łotrostwa, patrzył na nią słodko spod ciężkich rzęs, tak jak Renato patrzy na Agnieszkę, tak jak Renato patrzy na Agnieszkę...

Z drugiego pokoju słychać jakby jakiś szelest, szmer, szept? Zofia siada na łóżku, zdjęta podejrzeniem, które gorącym rumieńcem oblewa jej twarz. Nie ma odwagi zajrzeć do pokoju Agnieszki, ale myśl o spojrzeniu, jakim prześladował ją Lucio, o tej gorącej, nieustępliwej natarczywości, którą wziął po nim jego syn, nie daje jej spokoju. Przez chwilę słucha jakiegoś dziwnego odgłosu, dochodzącego z parku, a gdy jest już pewna, że to maszynka cło strzyżenia trawy, sięga po zegarek, leżący na nocnym stoliku — dochodzi wpół do ósmej.

Rozgrzeszona sama przed sobą tą godziną, ubiera się pośpiesznie i nie dbając zbytnio o ciszę, nawet starając się sprawiać nieco hałasu, wychodzi na korytarz i puka do drzwi pokoju Agnieszki. Jest to forma, której zawsze przestrzegają w domu, ale zaraz potem naciska się klamkę, czyni więc to i teraz, od razu doświadczając ostrej i niezrozumiałej przykrości — drzwi są zamknięte na klucz. Sama także zamknęła się na noc, ale nie pamięta już o tym, zaczyna pukać głośno, coraz głośniej, nie rozumie, że powinna natychmiast odejść od tych drzwi, a tymczasem na progu sąsiedniego pokoju ukazuje się rozespany Renato, w koszuli tylko i slipach, poprawia opadłe na czo-

ło włosy i patrzy na nią nieprzytomnie. — Czy coś się stało?

— Nie, przepraszam. Nie mogę dobudzić się Agnieszki.

— Która to godzina?

— Wpół do ósmej.

— O Boże! — jęczy Renato, trąc dłonią czoło. — O Boże!

Agnieszka wreszcie otwiera, bosa i w daytimej bieliźnie trzęsie się w przeciągu otwartych drzwi. — Co się stało? — pyta tak samo, jak Renato.

— Nie — Zofia rozpogadza się na jej widok. — Po prostu jest już wpół do ósmej.

— Ale nie spaliśmy prawie całą noc — usiłuje bronić się Agnieszka, zawsze lubi-

ła spać i przez całe życie trzeba ją było rano budzić. — Nie spaliśmy, wiesz przecież...

Naprawa wozu trwała do rana... — urywa, nie tylko dlatego, że nie umie kłaniać patrząc matce w

oczy, ale i dlatego, że Renato przysłuchuje się temu, a kłamstwo jest dla Agnieszki sprawą intymną.

— Ale mieliście jechać do Janowa po tego człowieka z Olszanki. No i Renato się chyba śpieszy.

— Nie za bardzo — mruczy Agnieszka. Przeciąga się, powoli przytomnieje. — No dobrze. Już się ubieram. Renato! — woła. — Wstajemy!

Jedzą potem śniadanie na dole, Agnieszka — bardzo miła tego ranka, sama łagodność i posłuszeństwo — biegnie po kustosza i przyprowadza go na kawę ze śmietanką, jajka w szklance i plasterek soczystej szynki.

Restauracja PTTK bowiem i rano jest niedoścignioną doskonałością, ilekroć w okienku ukazuje się głowa kucharki, wszyscy uśmiechają się do niej — tylko Renato nie bardzo to rozumie, po prostu jest przyzwyczajony do dobrej obsługi i niezawodnych dań.

Biedny! myśli Agnieszka. Nie ceni sobie w życiu niespodzianek.

Kustosz znowu opowiada o powstaniu muzeum i pierwszych, niezupełnie jeszcze przewyciężonych trudnościach. Jest trochę skrępowany tym zaproszeniem, może brak mu obycia, może nie nawiązuje zbyt łatwo znajomości, trzyma się kurczowo swego tematu i Agnieszka w końcu przestaje tłumaczyć, sądząc, że może pozbawić Renata szczegółowych relacji o wojennej tragedii tego regionu. Kiedy kustosz zaczyna znów mówić o Zamojszczyźnie, wzdycha jednak szczerze: — Jaka szkoda, że ojca nie ma z nami! Mamo, prawda?

— Tak — Zofia pochyla głowę. Po raz pierwszy ma uczucie, że tamto odpływa coraz bardziej w czas, a cała wdzięczność jej życia należy się człowiekowi, który ją z tego wyratował, który odwrócił ją jakby w inną stronę, w stronę wciąż trwającego dnia. — Tak — powtarza. — Wielka szkoda!

— Wysoka woda na Wiśle — mówi Agnieszka do kustosza. — Ojciec dowodzi całą akcją przeciwpowodziową w rejonie Warki. Gdyby nie to, na pewno by się tu z nami wybrał.

Renato chce o coś zapytać, ale patrząc w twarz kobiety siedzącej przed nim wciąż nie ma na to odwagi. A jednak będę musiał zapytać, myśli. Co powie ojcu? Przecież będzie chciał wiedzieć, z kim spędziła życie, komu się w końcu ofiarowała.

— Jedźcie już — mówi Zofia, gdy talerze i szklanki stają się puste — I przywieź-

cie tego człowieka jak najprędzej. Pokażemy naszemu gościowi Olszankę i możemy wracać do Warszawy. Chciałabym już także być w domu.

— Wyobraź sobie że Renato wcale się nie śpieszy — stwierdza Agnieszka nieostroźnie, ale zaraz to spostrzega i uważa, że najlepiej będzie się ulotnić i porwać Renata za sobą. Wyciąga do niego rękę. — Jedziemy!

— Czekam tu na was — woła Zofia za nimi. — I, Agnieszko, błagam, nie prowadź wozu!

— Ależ nie mam tego zamiaru — Agnieszka wzrusza ramionami, zapominając, że mogłoby to być

jedyne wytłumaczenie dla wczorajszego spóźnienia. — I wczoraj też nie prowadziłam. Zrobiłeś ze mnie małego, strachliwego złodzieja — mówi, gdy są już przy samochodzie. — Sypię się wciąż przed mamą.

— Uwielbiam małych, strachliwych złodziei! — Renato ma ochotę pocałować ją pośrodku parkingu przed pałacem, powstrzymuje go jednak jej spojrzenie, pełne zgrozy, więc wzdycha tylko, otwiera wóz i od razu, ruszywszy ostro z miejsca, skręca na drogę do Janowa. — Po co właściwie jedziemy po tego człowieka? — pyta z bardzo nieszczęśliwą miną.

— Przecież to wszystko dla ciebie — śmieje się Agnieszka. — Musisz zobaczyć ten strych!

Kiedy droga staje się pusta, Renato zatrzymuje wóz, — Uwielbiam małych, strachliwych złodziei... — mruczy, biorąc ją w ramiona. — Uwielbiam! Powiemy, że ten człowiek nie czekał na nas i musieliśmy go znów szukać.

— Nic, nie — broni się Agnieszka. Pozwala się całować, ale myśl, że musiałaby znowu kłamać patrząc w oczy matce, przeraża ją. — Musimy go przywieźć. Na to nie ma rady.

— No to już wiem — Renato rozpogadza się. — Nie wyjadę jeszcze dziś z Warszawy. Wrócimy wcześniej i musisz to tak jakoś urządzić, żebyś mogła wpaść do mnie do hotelu.

— Zobaczysz się.

— Co to znaczy „zobaczysz się”?

— Nigdy nic nie planuję. Lubię ulegać nagłym impulsom.

— Czy... zdarzały ci się już bardziej nagle ode mnie?

— Nie — Agnieszka śmieje się, ale poważnie natychmiast, bierze głowę Renata w obie ręce i przygląda mu się z bliska, po raz pierwszy naprawdę mu się przygląda, jakby był modelem lub cudzym dziełem, które zamierza ocenić. — Nie. Nic takiego mi się jeszcze nie przydarzyło.

— I nie żałujesz tego pośpiechu?

Agnieszka odsuwa się leciutko. — A tego jeszcze nie wiem.

— Kiedy będziesz wiedzieć?

— Może jeszcze dziś wieczór, a może w godzinę śmierci, amen.

— No wiec jak? Przyjdiesz?

— Renato! — Agnieszka smutnieje. — Pozwól, żeby jak dotąd wszystko robiło się samo...

— Dobrze. — Renato znowu zapuszcza silnik i do Janowa milczą, tylko od czasu do czasu jego ręka spoczywa na jej kolanach, gładzi je łagodnie, i jest to jakby prośba, jakby perswazja, która zaczyna

ją złościć zamiast wzruszać.

Kacperski czeka na nich.

W żałobnym domu z wiekiem trumny, wspartym o mur przy drzwiach, czuje się napięcie nie tylko żałobne. Na dźwięk silnika samochodu okna wypełniają się głowami, na twarzach nie widać ani śladu łez, inne jakieś emocje dodają blasku oczom, ożywiają rysy. Kacperski zjawia się od razu na progu i gdy tylko zatraskują za sobą drzwiczki wozu, wybucha: — Nie ugryzłem łobuza przez cały wczorajszy dzień!

„Mamusi się nagle pogorszyło — powiada. Nim zdążyłem zawiadomić, już było po wszystkim”. Ale do kieszeni nie sięga, żeby za trumnę zapłacić. A co, stara była bez grosza?

— Co on mówi? — pyta Renato.

— Mówi, że stara nie była bez grosza. Chyba pasierb wszystko zagarnął.

— Nie, żebym leciał na forszę — ciągnie dalej Kacperski. — Taki człowiek to ja nie jestem. Ale dlaczego, jeśli było kilka groszy, obcy ma zagarnąć?

— Ma się rozumieć — potwierdza Agnieszka, pragnąc pozyskać przychylność Kacperskiego — córka jest najbliższą rodziną. Córka i zięć!

Proszę, pani to rozumie! Postronna osoba, a rozumie, a taki gnojek, który się na cudzym wychował cudzy chleb przez całe życie jadł, nawet o tym nie pomyśli.

— Po pogrzebie na pewno wszystko się wyjaśni.

— Jak się wyjaśni? Co się wyjaśni, jak forsy ani śladu?!

— Co on mówi? — pyta znowu Renato.

— Mówi, że forsy ani śladu.

— Bą! — Renato parska cicho, sytuacja wydaje mu się zabawna. Zabawna i fil-mowa. — Wiesz co — mówi do Agnieszki — zapiszę sobie jego adres. Kto wie, czy gdy będziemy już kręcić w Polsce, nie zaangażuję go do jakiegoś epizodu.

— Nie macie takich u siebie?

— Mamy. Ale już nam się sprzykrzyli. A ten to najczystsza egzotyka.

Zaczynają teraz mówić o filmie i Kacperski już samym tylko wzdychaniem mani-festuje swoje rozgoryczenie.

— W końcu nie wiem, po co ten pianista jedzie do Polski?

— Jak to nie wiesz? — martwi się Renato.

— No nie wiem. Miał tu kiedyś dziewczynę, w porządku. Odnajduje ją. I co dalej?

— Odnajduje ją w takim samym małym miasteczku jak to, w którym ostatnio był we Włoszech.

— Powiedzmy — w podobnym.

— W podobnym. I kiedy zbliża się do jej domu, słyszy dźwięk fortepianu. Są to początki nauki, jakieś palcówki, jakieś ćwiczenia, powtarzają się, urywają, zaczynają rozbrzmiewać znów od początku. Spokojny, kobiecy głos liczy takt, poprawia, każe zaczynać od nowa...

— I co?

— I nic. To już wszystko. Zostawiamy pianistę na progu tego domu. Nie wiemy, czy wejdzie.

Agnieszka kręci głową. — Czegoś mi tu brak. Czegoś mi tu stanowczo brak!

— Powiedziałem ci już: nie można opowiedzieć filmu, w dodatku nie nakręcone-go.

— Zgoda, filmu nie można opowiedzieć. Ale można opowiedzieć motywację filmu. Powód, dla którego został nakręcony.

— Wydaje mi się, że jest jasny.

— Dla mnie nie.

— Chciałbym, żebyś powiedziała to staremu, żeby on to od ciebie usłyszał.

— Czemu nie? Zapoznaj mnie. z nim.

— To wcale nie jest niemożliwe.

Zaprosił mnie drugi raz, myśli Agnieszka. I naraz zdaje sobie sprawę, że nie ma na to zbyt wielkiej ochoty, że myśl o wyjeździe do Włoch nie fascynuje jej tak jak przedtem. Co się stało? myśli spłoszona. Co się dzieje?

Zabierają matkę z Lichnowca i nie uczestnicząc w jej rozmowie z Kacperskim, jadą do Olszanki.

Kiedy temat śmierci teściowej i niegodziwości jej pasierba zostaje wyczerpany, Zofia pyta: — Dawno pan w tych stronach?

— Dopiero po wojnie. Ożeniłem się na robotach w Niemczech, moja żona stąd pochodziła, dokądś trzeba było wrócić, wróciłem tutaj...

— I od razu zamieszkał pan w Olszance?

— A nie. Dopóki był las, mieszkał tam ktoś ze służby leśnej. Dopiero potem, kiedy las już wycięli, a ten człowiek przeniósł się w janowskie lasy, kwaterunek zaproponował mi to mieszkanie. Daleko, bo daleko, ale kury można trzymać, nawet świnie.

Z pensji człowiek nie wyżyje, trzeba sobie zawsze czymś dopomóc.

— Więc pan tu obcy... — szepce Zofia.

— No, nie taki znów obcy. Prawie będzie już dwadzieścia siedem lat, jak nastąpiłem do Lichnowca.

A jednak obcy, myśli Zofia, nie pamięta tamtych lat. Zupełnie obcy... Nie wie, jak tu było, jak się tu żyło, jak co dnia krwawiła tu . ziemia... Nie wie, nie może pamię-

tać...

— A pani tu kiedyś mieszkała — mówi Kacperski i coś jakby współczucie brzmi w jego głosie.

— Tak, podczas wojny.

— I teraz dopiero... po raz pierwszy...?

— Po raz pierwszy.

Widok Olszanki nie boli już tak, jak poprzedniego dnia, już się jakby zaakceptowało, że jest teraz taka, przetrzebiona i łysa, ze skąpym cieniem pod rzadkimi drzewami, już się przełknęło ten żal, po utracie dawnego widoku. — Będą tu coś budować?

— Na razie nie. Mieli budować pięć lat temu, ale zmienili lokalizację. Podobno w przyszłym roku ma się tu coś zacząć.

— To znowu pan zmieni mieszkanie?

— Może wybuduje się co swego. Mają teraz potanieć te domki z gotowych segmentów. W tydzień będzie można domek postawić! Czy to dawniej ktoś o czymś takim słyszał?

Więc niedługo nie będzie już i tego śladu... Przyjechała w ostatni czas, żeby to jeszcze zobaczyć, żeby ogarnąć oczyma, odświeżyć w pamięci.

Renato zatrzymuje wóz, Kacperski wysiada już od razu z kluczem w ręku, kot z radosnym miauczeniem biegnie mu naprzeciw — teraz wszystko odbywa się szybko, w ułamkach sekund, drzwi są otwarte, widać przez nie sień, a w niej drabinę wiodącą na strych, może inną, może tę samą...

— Chodźcie! — mówi Zofia do Renata i Agnieszki. — Chodźcie prędko! — I sama, nie czekając na nich, idzie za Kacperskim, depcze prawie mu po piętach, przynagla do otworzenia następnych drzwi, tych, które wiodą do kuchni.

Tu tylko piec jest ten sam, znikła ława i stół (komu przypadły te dobre sprzęty?), zaczyna teraz

żałować, że zostawiła je tutaj, na poniewierkę u obcych ludzi, na niepo-szanowanie.

— Proszę — mówi Kacperski. — Chciała pani zobaczyć. Graty wszystkie moje, ani poniemieckich, ani niczyich innych nie brałem — uśmiechnął się krzywo, może mu przeszło przez myśl, że przyjechała tu szukać jakichś rzeczy, może pasierb i niespodziewani goście w Olszance złali mu się jakoś w jedną i tę sarną intencję.

— O czym pan mówi? — popatrzyła na niego ze smutkiem. — Chciałam zobaczyć ten dom. To miejsce.

— Ano proszę! Niech pani ogląda.

— Renato! Agnieszko! Chodźcie prędko!

Kacperski otwiera teraz drzwi do pokoju. Sumituje się że niezbyt tu posprzątane, na stole stoją jeszcze szklanki i talerze. — Jadalka! — mówi. — Jak przyszła ta wiadomość o teściowej, nie było nawet czasu statków zmyć.

— Nie szkodzi — mówi Zofia. Nie widzi naczyń na stole, widzi dwie łóżka, na których sypiali, duże, wygodne łoże leśniczego pod ścianą i mniejsze, dostawne, które Andrzej zniósł dla niej ze strychu, przeczuwając, że może niechętnie położy się na łóżku samobójcy. I w końcu to trzecie, wstawione tu po prawie dwóch latach, małe łóżeczko Helenki.

— A tam mamy sypialkę — Kacperski ledwie uchyla drzwi do drugiego pokoju, rozestane łóżka straszą go niezbyt czystą pościelą. — Od razu musieliśmy jechać, nie było głowy ani czasu na sprzątanie...

— Ależ nie będziemy na to zwracać uwagi — niecierpliwi się Zofia. W tarętym pokoju spał Emil, płakał Emil... najpierw dlatego, że mu nie pozwalali być żoł-

nierzem, za wcześnie być żołnierzem, potem opłakiwał doktora, jego nieobecność, czekanie na niego i to, że nigdy się nie doczekał jego powrotu, a jeszcze potem... dlaczego jeszcze i potem słyszała nieraz płacz Emila, tłumiony poduszką...?

— Więc tak to wygląda? — mruczy Renato, przekroczywszy próg sieni. Jest prawie wściekły na siebie, że nic go to nie obchodzi, że nie może wykrzesać z siebie śladu zainteresowania, należnego nie tylko tamtym latom, ale przede wszystkim tej kobiecie, która go tutaj przywiozła, i choćby Kacperskiemu, ściągniętemu tu od trumny z teściową i od nie zakończonych porachunków z pasierbem.

— Tak — ożywia się Zofia, wracając znów do sieni. — Po tej drabinie wchodziło się na strych. A na tym strychu Lucio i Francesco spędzili przeszło rok.

— Na tym strychu — powtarza Renato. — Nie mogli go opuszczać?

— Ależ tak! Nauczyli się biegać po drabinie jak wiewiórki. Możemy tam wejść?

— No — zastanawia się niezbyt ucieszony Kacperski. — Na strychu jak na strychu, rupiecie z całego domu.

— Nie będziemy na to zwracać uwagi — powtarza Zofia. — Ale strych chcemy zobaczyć. Ten młody człowiek nawet powinien. Jego ojciec ukrywał się tutaj podczas wojny.

— Właśnie panienka wczoraj mówiła. Uratował go doktor. Ja wiele o doktorze słyszałem,...

Zofia nie podejmuje tej rozmowy, z podnieconym pośpiechem zaczyna się wspinać po drabinie, ale nie jest już młodą i zwinną wiewióreczką z tamtych lat.

— Uważaj! — woła Agnieszka.

— Może najpierw ja? — mówił ruszając ku drabinie, Kacperski.

— Nie, nie, ja najpierw... ja sama... Tyle razy dziennie skakało się po tej drabinie.

— Jest w tym prawie jakaś bolesna ambicja, żeby i teraz wspiąć się na strych tak samo szybko. Zofia pokonuje w zaciętym uporze kilka stopni, rzuca w dół swoją torebkę, aby mieć wolne ręce do podniesienia klapy, którą ma już nad głową.

— Poczekaj! — woła znów Agnieszka. — Renato to zrobi.

— Ależ ja sama... ja sama! — Klapa jest ciężka. Kiedy wreszcie udaje się ją dźwi-gnać, sypie się z niej pylisty, dawno nie sprzątany kurz. Ale już słońce, oświetlające strych przez małe okienko pod dachem, wypełnia cały kwadrat i trzeba już tylko tego ostatniego wysiłku, aby, uczepiwszy się rękoma podłogi, znaleźć się na strychu.

— Teraz Renato! — krzyczy Zofia w dół. Jest za- lózwiona z wysiłku, włosy ma potargane nad czołem, brudne ręce, ale jakiś blask ociepla jej oczy. — Chodźże wreszcie. Renato! Zobacz! Pod tą ścianą leżał siennik, na którym spał twój ojciec.

— Tutaj? — pyta cicho, nie wiadomo dlaczego tak cicho.

Bo ściana jest brudna i obdrapana, może nie była bielona od tamtego czasu i są tu jeszcze ślady rąk ojca, może ust, gdy paliła go gorączka i szukał chłodu... Tutaj w tym kącie... rok, cały rok... zanim on się urodził...

— Na strychu — mówi Zofia już i do Agnieszki, która przed Kacperskim wspięła się po drabinie — były tylko sienniki i pościel. Żadnych sprzętów, żadnych naczyń, które by świadczyły o tym, że strych jest zamieszkały. Po dwa razy dziennie Emil przeprowadzał ćwiczenia, Lucio i Francesco musieli zwinąć swoją pościel i ustawiw-szy sienniki na sztorc pod ścianą, jakby nikt na nich nie spał, wynieść ją przez okno na dach i ukryć w ślepych kominie, który w tym celu Emil wzniósł na dachu. Potem po gałęziach starego klonu, który rósł przy domu, wydostawali się na jodłę i kryli się wysoko na samym szczycie pnia. W lecie wystarczyłoby zaszycie się w liście klonu, ale w zimie klon stał nagi, musieli więc nauczyć się szybkiego przechodzenia na jodłę.

Ćwiczyli to dwa razy dziennie, każdego dnia.

— Skończyło się na ćwiczeniach? — pyta Kacperski, kiedy Agnieszka przetłumaczyła mu wszystko, co mówiła matka.

— Nie — odpowiada Renato. — Nie skończyło się na ćwiczeniach.

— Wie pan o tym? — pyta Zofia.

— Tak. Ojciec opowiadał.

— Oczywiście mieliśmy nadzieję, że skończy się na ćwiczeniach. Ale . akcja

„Werwolf ” trwała.. Niemcy zaczęli bombardować nawet olszański las, któregoś dnia zbombardowali sęgi drzewa ułożone za stawem. Podejrzewali, że to coś innego. Aż doszło do rewizji w naszym domu.

— Tutaj? — pyta Kacperski.

— Tutaj. W oknie na strychu zawsze ktoś czuwał. Tym razem sam Francesco.

Zdążył dać nam znać na dół i już wiedzieliśmy, że w momencie gdy Niemcy zaczną walić do drzwi, gdy im nie od razu otworzymy, oni obydwaj będą już z pościelą przy oknie, na dachu, na klonie, na jodle... Żandarmi przeszukali cały dom, weszli także na strych, ale nikogo nie znaleźli.

— Mieliście kupę szczęścia! — Agnieszkę wciągnęło jednak opowiadanie matki, wisi oczyma na jej ustach. — Mieliście kupę szczęścia! — powtarza.

— Niestety było inaczej. Żandarmi odchodząc ostrzelali drzewa wokół domu, wiedzieli już, że ludzie kryją się na nich. Ostrzelali klon i jodłę, postali chwilę na polanie, a potem odeszli, przykazawszy nam przedtem, żebyśmy nie przyjmowali nikogo obcego, ani na jedną noc...

— Odeszli jednak...

— Odeszli. Emil stanął pod jodłą, zagwizdał cicho na Włochów, że już mogą schodzić, i wtedy zobaczył spływającą po pniu krew.

— Lucio? — pyta Agnieszka, bo Renato milczy i widać po wyrazie jego twarzy, że wie, że nie musi pytać.

— Lucio. Został raniony w udo. Kula przebiła mu mięsień i utkwiała w korze pnia.

— Nie krzyknął?

Zofia patrzy na Agnieszkę zdumiona. — Wiedział przecież, że musi milczeć. Jego życie i nasze życie zależało od tego milczenia.

Renato odchodzi ku oknu, pod którym nie rośnie już teraz klon ani jodła, tylko płatek niebieskiego nieba rozpościera się w jego wykroju, jak horyzont w teatrze.

Nigdy nie mógł sobie wyobrazić ojca innym, niż był obecnie. Siwiejący mężczyzna, z którym Carla była teraz w Ostii, wzięty adwokat, przemawiający zawsze w nabitych publicznością salach, kupujący norki dziewczynom tylko dlatego, żeby móc im powiedzieć, że jest im w nich ładnie, nie mógł być chłopcem w wytartym jenieckim mundurze... I nagle zobaczył go! Na drzewie, przy pniu, pod osłoną gałęzi, zwiniętego z bólu, wpół omdlałego od powstrzymanego jęku, Zobaczył jego bladą twarz, zaci-

śnięte do krwi zęby na wargach, oczy pełne przerażenia i rozpacz. Nie jęknął, nie poruszył się, trwał bez ruchu, owinięty wokół pnia. Jego życie, a przede wszystkim życie tych na dole, którzy starali się go uratować, zależało od tego, czy potrafi zdusić w sobie krzyk, czy powstrzyma łkanie. — Chodźmy stąd — mówi Renato do Agnieszki.

— Poczekajcie! — Zofia chce im jeszcze coś pokazać. — Poza wszystkim innym był jeszcze jeden powód, dla którego Lucio musiał milczeć. Na jodle, u samego szczytu, leśniczy ukrył w brezentowej torbie całą swoją broń, Zawiesił ją tam w nadziei, że ją ktoś znajdzie i że tym kimś nie będzie Niemiec. Lucio zobaczył tę torbę wśród igliwia, po kształcie domyślił się, co w niej jest i jakie to może mieć dla nas znaczenie.

Emil zdjął ją następnego dnia, Francesco zaś oczyścił i już nie byliśmy bezbronni.

— Co to znaczy „nie byliście bezbronni“?

— Od tej pory czuwaliśmy już w okienku na strychu z bronią przygotowaną do strzału.

— Nie strzelaliście chyba do każdego, kto się ukazał na drodze.

— Oczywiście, że nie do każdego — odpowiada powoli Zofia. Może nie zapytają, myśli, może nie trzeba będzie o tym mówić, i żeby uprzedzić, żeby nie dopuścić do tego pytania, mówi szybko: — Ale głównie broń przydała się do polowań. Emil nie musiał już liczyć na sidła. A bądź co bądź trzeba było wyżywić pięć dorosłych osób, w tym trzech mężczyzn.

— Ojciec opowiadał — Renato także pragnie zmienić temat — że już nigdy w życiu nic mu tak nie smakowało, jak jedzenie w Olszance. Te pieczenie z dzika...

Zofia zdobywa się na uśmiech, choć .nawet po tylu latach przetrwała w niej jeszcze niechęć do tych chwil, gdy Emil wybierał się ze sztucerem do lasu i wracał z upolowaną zwierzyną. Oprawiał ją potem na ławce przed domem, a Helenka upierała się, żeby towarzyszyć mu przy tej czynności. — To głównie zasługa Emila.

— Ojciec jest do tej pory z tego dumny — wtrąca Agnieszka — że sam wyżywił

tyle osób.

Przynajmniej teraz już wiem, myśli Renato, nie będę musiał pytać. Już wiem, ko-mu się ofiarowała,

dla kogo broniła się przed Luciem. Nieznany mężczyzna zaczyna budzić w nim sympatię, nie tylko dlatego, że tak wiele zrobił dla jego ojca. Dopiero teraz zaczyna go ciekawić cała ta historia, ale właśnie w tej chwili Kacperski nerwowo zerknął na zegarek, rad by ich już sprowadzić na dół, może w ogóle wyprowadzić ze swego domu. — Państwo rozumieją — mówi. — Taki dla mnie dzisiaj dzień! I jeszcze żeby przynajmniej zgoda w rodzinie, ale ten łobuz tak mi za skórę zalażł...

— Zaraz pana odwieziemy. — Agnieszka także zerka na zegarek i dodaje nie bez złośliwości: — Rozumiemy, że musi się pan włączyć w swoje sprawy rodzinne.

— A tutaj — Zofia prowadzi ich po raz drugi do kuchni, dotyka nogą kwadratowej kłapy w podłodze, wiodącej do piwnicy — tu ukryliśmy Stasia, podchorążego AK.

Został raniony w obławie i szukał u Andrzeja ratunku. Ukryliśmy go tu z Emilem, kiedy z Lichnowca nadeszło dwóch żandarmów z psem. Nie znaleźli go, ale kiedy wy-jęliśmy go stąd, już nie żył... — Zofia staje na progu, patrzy w przetrzebiony las. —

Nie ma już tego drzewa, pod którym go pochowaliśmy. Tak nas martwiło, że wycinamy na korze tylko imię, nie znaleźliśmy nazwiska. — Tamtych nazwiska znaleźliśmy, dodaje w myśli, tych czterech, których w dwa lata później pochowali z drugiej strony jodły, nie oznaczając pnia żadnym znakiem ku ich pamięci.

— Mamo — Agnieszka dotyka jej ramienia — chyba tu na nas poczekaasz? Odwieziemy pana Kacperskiego do Janowa i wracając wstąpimy po ciebie.

Kacperski dzwoni garnkami, nalewa na małą miseczkę trochę zupy, wrzuca do niej kawałek mięsa oberwanego z kości i wnosi kotu przed dom. — Niech się zwierzę pożywi, wrócimy dopiero jutro.

— Dziękuję panu — mówi Zofia, wyciągając do niego rękę. — Przykro mi, że zakłóciliśmy panu spokój w tak nieodpowiednim czasie.

— Jaki tam spokój? O spokoju mowy nie ma, ten łobuz... — Kacperski urywa i zaczyna innym tonem: — Ja nie miałem przyjemności znać pana doktora, ale tutaj wiele ludzi do dziś go wspomina. Każdego człowieka leczył, nie patrzył na pieniądze, a jak już do lasu poszedł, to i tam wszyscy byli dla niego równi. Nie myślał, żeby się zaraz za to w tej Polsce, co przyjdzie, do rządu pchać. Chodziło mu tylko o to, żeby była. I żeby jak najwięcej uratować dla niej ludzi.

— Dziękuję panu — mówi Zofia jeszcze raz. I nagle woła do Agnieszki: — Pojadę z wami!

— Jak chcesz... Ale po co właściwie masz się męczyć w wozie? Obrócimy tam i z powrotem najszybciej, jak tylko się da, a ty posiedzisz sobie na świeżym powietrzu.

— Dobrze — godzi się Zofia z wahaniem i jakby z żalem. Wstydzi się przyznać, że nie chce tu już zostać. Oni wsiadają do auta, Agnieszka posyła jej w powietrzu ca-

łusa i już ich nie ma, jest tylko kurz na drodze, jest tylko oddalający się warkot samochodu.

Więc jednak trzeba będzie i o tym pomyśleć, nie da się tego ominąć, człowiek na-leży tak samo do

swoich wspomnień, jak one do niego, a dzisiaj jest tylko dlatego, że było wczoraj i że będzie jutro.

20

Gdyby nie to, że Andrzej wciąż się nie zjawiał, a ona w dzień i w nocy nie przestawała czekać na niego, jesień czterdziestego trzeciego roku, jej piąta jesień w Olszance, byłaby prawie nudna z braku wydarzeń, jak każde czekanie.

Rana Lucia, początkowo oporna w gojeniu, zaczęła się wreszcie zasklepiać po zdobytym przez ojca i przysłanym jej cibazolu, a także po okładach z liści babki, sze-rokolistnej rośliny, której pełno było na polanie. Nie mówiła oczywiście Luciowi, w jakich okolicznościach zdobyła to doświadczenie, ale miażdżyła liście babki tak samo, jak wtedy, gdy Florka skaleczyła sobie łapę i żadną z aptekarskich maści nie mogła doprowadzić do zagojenia jej. „Moja matka — mawiała Le- osia — zawsze przykłada-

ła babkę do zanieczyszczonych ran". Po tych zabiegach noga Lucia zaczęła się goić równie pięknie, jak ongiś łapa Florki, Na szczęście podczas tej choroby nikt niepożą-

dany nie odwiedził Olszanki i nie trzeba było uciekać na dach i wspinać się po drzewach. Lucio leżał spokojnie i zaczął pisać listy, których nie mógł wysłać, ale które zamierzał doręczyć adresatom po wojnie.

— Piszę jej o tobie — mówił, gdy przychodziła na górę, żeby mu zmienić opatrunek albo zmierzyć gorączkę. — Opisuję jej ciebie. — Komu?

— Marii. Na pewno będzie chciała wszystko o tobie wiedzieć.

— Nie sądzę, żebyś jej sprawił tym przyjemność.

Potrząsnął głową. — Nie znasz Marii. Nie jestem jej wart. To anioł, któremu chcę opisać drugiego anioła.

Usiłowała żartować: — W takich okolicznościach często fruują w powietrzu anielskie pióra.

— Przecież powiedziałaś, że nie chcesz, żebym pokazał ci Włochy.

— Och, Lucio! — Kładła dłoń na jego czole, dotykała szorstkich od zarostu policzków. — Przestań być wreszcie dzieckiem. Przeżyjmy to najpierw, potem będziemy marzyć.

Ich wzajemny stosunek zmienił się w tych miesiącach na lepsze, niecierpliwa natarczywość Lucia stała się serdeczną przyjaźnią, łagodnym uwielbieniem. I teraz wprawdzie usiłował nieraz przyciągnąć ją do siebie, kiedy pochylała się nad nim, po-całować w szyję czy w nagie ramię, ale były to karesy, za które nawet gniewać się nie mogła na niego.

— Och, Sophia! — wzdychał. — Dlaczego jesteś taka ładna? Dlaczego jesteś taka dobra?

Któregoś dnia poprosił ją, żeby rozpuściła włosy, rozplotła warkocz, który zwykle nosiła owinięty

wokół głowy jak czarną, połyskliwą koronę. Do tej prośby przyłączył

się także Francesco; zwykle małomówny, podniósł tym razem oczy znad tytoniowych liści, które kroił wyostrzonym jak brzytwa kozikiem, i popatrzył na nią długo. A potem poprosił: — Zrób to!

— Cóż wy ze mną wyprawiacie? — szepnęła, cofając się ku wyjściu.

— Zrób to! — powtórzył Francesco. Tak mało mamy szczęśliwych chwil.

Zawróciła, przysiadła na brzegu siennika Lucia, podniosła ręce do głowy, wyjęła szpilki z warkocza i zaczęła go rozplatać, przeciągając przez palce pasma długich włosów, a oni nie zdejmowali spojrzeń z jej pochylonej głowy, z jej ruchliwych rąk.

— Potrząśnij głową! — poprosił Lucio, gdy skończyła rozplatanie warkocza.

Wykonała ten ruch, i włosy spłynęły jej na ramiona, na piersi i plecy, od skroni opadły na policzki i zakryły je swoim cieniem.

Patrzyli w milczeniu, słyszała ich oddechy, głośnie, przyciszone.

— Tak mało mamy szczęśliwych chwil — powtórzył Francesco. — Dziękujemy ci.

W dole skrzypnęły szczeble drabiny, ktoś się po nich wspinał, po chwili głowa Emila ukazała się w wejściu na strych. Gdy się tam wchodziło, widziało się najpierw poziom podłogi, nie zauważył więc od razu tego, co chciałyby ukryć przed nim, bo-dajby zapadając się pod ziemię. — Francesco! — zaczął. — Jak długo mam czekać na porządnego skręta? Kroisz ten tytoń i kro... — urwał, oczy mu się zwęziły w dwie wą-

skie, błyszczące szparki. Patrzył nie zdejmując z niej spojrzenia, i tak, jak oddech Lucia i Francesca przed chwilą, tak teraz słyszała jego oddech.

Zrobił ruch, jakby chciał z powrotem zapaść się w otwór w podłodze strychu, schylił się nawet, ale nagle wyprostował się i na twarz buchnął mu rumieniec. — Cóż to jest? — powiedział. — Okna nikt nie pilnuje? O wszystkim muszę myśleć? A gdyby właśnie teraz...

— Uspokój się. — Francesco sypał ostrożnie tytoń w rozpostarty między palcami kawałek niemieckiej gazety, która przychodziła do pałacu na adres Gurtla. — Dopiero co patrzyłem na drogę.

— Dopiero co! — zaperzył się Emil. Nie spoglądał już na nią, omijał ją wzrokiem, jakby mógł się o nią skaleczyć lub sparzyć. — Każdej chwili trzeba patrzeć !

— Uspokój się, chłopie! — powtórzył Francesco. — Masz, zapal sobie!

Wyciągnął do niego rękę ze skreconym już papierosem, ale Emil runął w dół, aż szczeble drabiny zagrały pod nim głuchym jękiem.

— Co mu się stało? — szepnął Francesco.

— Ty się pytasz, co mu się stało! — pokiwał głową Lucio.

Przez kilka następnych dni Emil wyraźnie jej unikał. Przebąkiwał o armii polskiej w Rosji, o prawdziwym wojsku, które ćwiczyło się gdzieś tam za linią frontu i miało iść do Ojczyzny już w boju, nie w piosenkach i kwiatkach, nie w bramach triumfalnych, ale w bitwach, po których nie każdy miał iść dalej.

Wieść o tej armii docierała na wieś z pałacu, od pani Borowieckiej, która bała się tego bolszewickiego wojska, już teraz bała się go i nie potrafiła ukryć swego strachu, to było najżałośniejsze. Gurtel umiał to jakoś wygrywać dla siebie; w tych dniach, gdy rodząca się dopiero armia nie przeszła jeszcze nawet chrztu bojowego, sam bywał

chyba autorem jej chwały i sławy.

Emil przebąkiwał o niej bez strachu, ale i bez entuzjazmu. Mściwie. Oto z każdym dniem zbliżało się coś, w czym mógł szukać schronienia przed- tą udręką, która tu zaczynała się dla niego. W dodatku prawdziwe wojsko! Nie to nękanie przez Niemców po lasach, ostrzeliwane, topione w bagnach, ale to najprawdziwsze z prawdziwych, przed którym Niemcy się cofali i uciekali, gubiąc portki.

— Nie bądź głupi — mówiła, gdy na chwilę zostawali sami. Nie patrzyła na niego, gotowała, zmywała naczynia, łątała rozpadającą się odzież Włochów i powtarzała cicho, z perswazją: — Nie bądź głupi! Co takiego zrobiłam? Co takiego właściwie zrobiłam?

Nie odpowiadał. Ponuro zacięty, lecz i cierpiący, boleśnie ugodzony — ale w co?

już w miłość własną czy jeszcze w uczucie powinności wobec Andrzeja? Zaczynała już mieć te podejrzenia, zaczynała już się ich obawiać.

To były niedobre dni, pełne wzajemnej nieufności i niepokoju, nie wiadomo, co by się stało, gdyby trwały dłużej, gdyby nie przerwało ich coś, co odmieniło wszystko, a zwłaszcza ją samą.

Sprzątała strych. Włosi jedli śniadanie na dole w kuchni, Emil wrócił właśnie z la-su i obydwójce z Pelaszką oprawiali na ławce przed domem zające i kuropatwy, Wzięła Helenkę ze sobą, żeby w tym nie uczestniczyła; Helenka bowiem nie odstępowała Emila na krok, zawsze najboleśniej nieszczęśliwa, gdy jej tego zabraniano.

Tkwiła więc teraz w otwartym okienku strychu, starając się nawoływaniami zwrócić uwagę Emila, i wybuchała radosnym śmiechem, ilekroć zwrócił do niej głowę. Na parapecie okienka leżał nabity, przygotowany do strzału sztucer, jeden z dwóch, które pozostawił leśniczy. Drugi leżał na dole, oparty o ławkę, tak jak go Emil po powrocie z lasu i zdjęciu z ramienia zostawił. Emil stał się teraz mniej ostrożny, był nonszalancki i niedbały, akurat taki, jakiego mogła podziwiać Pelaszka, pierwszy raz w życiu olśniona drugim człowiekiem.

— Mamo! — powiedziała nagle Helenka w oknie.

Nie zwróciła na to uwagi, zajęta swoimi myślami. Zanosiło się na jeszcze jedną zimę w Olszance, mieli co jeść i czym palić, ale odzież i pościel rwała się w strzępy.

Wprawdzie można by niejedno uzyskać w drodze wymiany za dziczyznę, ale do tego już nie mogła dopuścić. Zawiadomiła panią Borowiecką — młodą panią Borowiecką

— że zmuszeni są strzelać zwierzynę, powiedziała jej o Włochach.

— Ależ oczywiście — zgodziła się pani Borowiecka bez namysłu. — Trzeba ich odżywiać. — A po chwili dodała: — I tak wszystko niedługo szlag trafi.

— Co? — spytała, rozumiejąc i nie chcąc rozumieć.

— Powiedziałam: Wszystko! Las i zwierzynę. Lichnowiec i nas.

Ostatni raz widziała ją pogodną i prawie wesołą podczas bytności ojca. Nigdy już nie wrócił jej ten nastrój.

— Oczywiście — powiedziała. — Niech ich pani karmi do syta.

Ale żeby jeszcze sprzedawać, handlować zającami, dzikami i sarnami — to już by-

łoby wykorzystywaniem dobroci bez umiaru i opamiętania. Cerowała więc i łątała, czasem kupowała jakiś szczegół garderoby za pieniądze, które jednak co miesiąc przysyłał ojciec, słusznie przewidując, że mogą się przydać.

— Mamo! — powtórzyła Helenką.

— Czego chcesz? — odpowiedziała zniecierpliwiona. — Nie, nie pójdziesz na dół. Masz tu być ze mną!

— Mamo! — w głosie dziecka zadźwięczał płacz, Miała ochotę ją za to uderzyć, ale mała podniosła na nią przerażone oczy i szepnęła: — Zobacz! Zobacz, kto idzie!

Podeszła do okna, jeszcze nie przeczuwając nic złego, wciąż pragnąc skarcić Helenkę, uderzyć ją nawet za zbyt okazywane Emilowi przywiązanie — a ten człowiek, ten żołnierz w mundurze koloru feldgrau, z erkaemem na brzuchu, był już na ścieżce wiodącej do domu i nie zauważony ani przez Emila, ani przez Pelasz- kę, zbli-

zał się ku ławce, na której oprawiali postrzelaną zwierzynę i o którą leżał oparty połyskując w słońcu dobrze wyczyszczonej lufą, sztucer.

Nie było czasu na nic, nawet na okrzyk, na ostrzeżenie, na nic, co by mogło ich uratować. Odrzuciła Helenkę od okna jednym ruchem ramienia, mała od razu uderzyła w płacz, żołnierz na ścieżce go usłyszał, podniósł głowę, uśmiechnął się jakby, i do tej uśmiechniętej w słońcu twarzy wypaliła, naciskając spust sztucera.

Upadł od razu, nie zdążył nawet dłoni położyć na erkaemie. Emil odwrócił się gwałtownie, ale zobaczył go już na ziemi; chwycił swoją broń, podbiegł z nią do leżą-

cego, pochylił się nad nim i dopiero wtedy podniósł oczy na okienko w strychu, w którym stała, obumarła ze zgrozy, po stokroć bardziej sama trafiona i zabita niż ten żołnierz na ścieżce.

Emil przyszedł do niej na górę, Włosi nieśli Niemca do domu, a on wspiął się po drabinie, podszedł do niej, wciąż stojącej jeszcze w oknie, wyjął broń z jej zaci-

śniętych palców i nagle przypadł do nich ustami, ukląkł, padł na kolana, nie przestając całować jej bezwładnie opuszczonych wzdłuż ciała rąk.

Niemiec żył. Nie trafiła go w głowę. Od szkolnych ćwiczeń w PW nie miała broni w rękach. Dostał w obojczyk, nawet niegroźnie, kula rozszarpała mięśnie, omijając kość — ale leżał oto na ławie, rozbrojony, całkowicie w ich rękach, żywy jeszcze, ale skazany na śmieć, to było od początku jasne. Mężczyźni tylko spoglądali po sobie —

jedyną wątpliwością było, kto ma to zrobić.

— Padrone! — mówili Włosi.

Emil siedział przy stole ze spuszczoną głową. Wszyscy patrzyli na niego, więc i ranny, ułożony na ławie, podniósł głowę i także patrzył na niego — już rozumiał, już wiedział (przez wszystkie te lata nie udało jej się zapomnieć oczu Dietera z tej chwili).

— Padrone! — powiedzieli Włosi jeszcze raz.

I wtedy wstała i zwróciła się do Pelaszki: — Chodź! Pomożesz mi go przenieść.

— Co chcesz zrobić? — zapytał Emil.

— Jest mój! Chciałam go zabić. Nie, chciałam tylko, żeby on nie zabił nas. Ale ży-je. Jest mój!

— Co chcesz zrobić?! — krzyknął Emil.

Mówili po polsku. Włosi nie spuszczaali z ich twarzy zdumionych oczu.

— Położę go na łóżku Andrzeja. Trzeba opatrzyć mu ramię.

— I co? I zasypie nas przy pierwszej okazji.

— Jest bezbronny.

— Ale może krzyczeć. Nie będzie siedział cicho, niech no tylko ktoś z nich pokaże się na polanie.

— Będziemy go pilnować.

— Jak długo? Wyobrażasz sobie, że wojna zaraz się skończy?

— Za kilka miesięcy. Jestem pewna, że już za kilka miesięcy.

— I dlatego mamy wszyscy zginąć przed jej końcem. Ty, ja, Pelaszka, Włosi i Helenka... Wszyscy mają zginąć, bo brakuje nam odwagi, żeby...

— Nie! — krzyknęła. — Nie! Może by nas nie zabił, może napiłby się mleka i poszedł dalej. Dlaczego zostawiłeś broń przy ławce? Gdyby nie ona...

— Już się stało — powiedział cicho Emil. — Już tego nie odwrócisz.

— Odwróć. Pelaszka! Pomóż mi!

— Zostaw! — Emil powstrzymał Pelaszkę ruchem ręki, znowu zwrócił się do niej:

— Bóg mi świadkiem, że nie chcę tego zrobić.

— I nie zrobisz! Wyleczymy go, a potem odprowadzisz go do Jamroża jako jeńca.

Odprowadzisz go razem z Franceskiem i Luciem.

— Jak go upilnujemy do tej pory? Nogi ma zdrowe. Bez przerwy będziemy go trzymać na muszce?

— Nie wiem, nie wiem — szepnęła. — Nie chcę, nie pozwalam ci go zabić...

— Jest wojna — powiedział Emil twardo, chciał powiedzieć stanowczo i twardo, ale głos mu się załamał.

— Nie pozwalam ci! — krzyknęła. — Nigdy ci tego do końca życia nie wybaczę.

Nie wiesz, jak to jest... co się potem czuje... Andrzej chciał ludzi tylko ratować... Pelaszka! — powiedziała jeszcze raz, ale dziewczyna nie drgnęła.

— Ja ci pomogę — ruszył się Francesco.

Obydwoje przenieśli Niemca na łóżko Andrzeja, rozebrali go, opatrzyli ranę.

Był młody, mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat, smagłą twarz, bardzo jasne, chwilami zupełnie przezroczyste oczy. Podczas wszystkich zabiegów wokół niego nie jęknął, nie odezwał się ani słowem.

Przebrała go w czystą, ostatnią koszulę po Andrzeju, przyniosła z kuchni mleka.

Wziął kubek w zdrową rękę, ale nie pił.

— To ja zrobiłam — powiedziała, pochylając się nad nim. — Ja! Żebyś nas nie zabił.

Dopiero teraz się odezwał. — Dlaczego miałbym was zabijać?

— Bo tak robicie. Nie zbliżacie się z inną myślą do naszych domów. Wiemy, czego możemy się po was spodziewać.

— Nie umiesz strzelać — powiedział.

— Nie, nie umiem. Strzelałam pierwszy raz.

— Co ze mną będzie?

— Jak wyzdrowiejesz, pójdziesz do niewoli. Do lasu.

Odwrócił głowę, patrzył na ścianę, na jej pobieloną wapnem biel, wytartą przy łóżku. — Nie wierzę, żeby tam trzymali przy życiu jeńców. To już wolę teraz... wolę, żeby teraz...

Nie odprowadzili Dietera do lasu.

Leżał najpierw na dole, przy otwartych drzwiach do pokoju Emila, który przysunął

sobie łóżko do progu i spał z erkaemem przy boku. Gdyby wtedy dosięgnęła ich jakaś obława albo przypadkowy, zabłąkany w lesie patrol, nie byłoby dla nich ratunku. Nigdy jeszcze tak blisko nie otarli się o śmierć. Przypomniała jej się wtedy bajka Pelaszki, opowiadana Helence: o aniele, który jak motyl siadał na progu domu... Pelaszka sama, widać, już jej nie pamiętała, bo patrzyła na nią spode łba, Włosi chyba także mieli do niej żal, że zmniejsza szanse na ich uratowanie, a i Emil nie krył wyrzutu w oczach, ale nie odważyli się jej sprzeciwić, nie odważyli się nawet mówić z nią na ten temat, skoczyłaby do gardła każdemu, kto by nie chciał wtedy uznać jej woli.

Później przenieśli go na górę i tam już Włosi na zmianę czuwali nad nim, ale za-częło się to wyrażać coraz dłuższymi rozmowami, słyszała je nieraz przez cienki pułap długo w noc.

Z nią również Dieter stawał się coraz bardziej rozmowny, zaczął jej opowiadać o matce, o młodszych siostrach (nie zgłosiły się na osteinsatz, do różnych służb w okupowanych krajach, pozostały w domu, w gospodzie, w której dawniej turyści wynajmowali pokoje, gdy przyjeżdżali w góry).

Pochodził z Tyrolu.

— Du Oesterreicher? — zapytała.

Pokiwał głową. Ale Hitler był także Austriakiem, powiedziała mu na to. Nic nie odrzekł; prawdopodobnie niewygasła jeszcze zupełnie mimo klęsk na frontach cześć dla fuhrera walczyła w nim o lepsze z chęcią przypodobania się tej, w której rękach leżał jego los.

— Widzisz — dodała. — Sam widzisz!

Posępniał, ale nie tracił nadziei, że uwierzy jednak w brak złych intencji z jego strony. — Nie

chciałem was zabić! Dlaczego miałbym was zabijać? — powtarzał w kółko. Pokazywał jej jakieś dokumenty, które przechowywał w górnej kieszeni kurtki, poplamione krwią i mało czytelne. Miało z nich wynikać, że dopiero od dwóch tygodni jest w Polsce, że przybył z Belgii, że nie miał okazji nabrać tej niedobrej wprawy, do jakiej doszli jego koledzy w Polsce, w Rosji czy w Jugosławii... Z trudem formu-

łował zdania, bał się, że słowa, których zwykł używać, mają tu jakieś inne znaczenie, ta wprawa choćby (jak miał się inaczej wyrazić?), którą ona przyjęła źle, wyraźnie to widział.

— Pójdiesz do lasu! — kończyła każdą taką rozmowę. — Wojna się już dla ciebie skończyła. Skończyło się wojowanie. Będziesz teraz jeńcem w bardzo porządnym oddziale, u dobrego dowódcy, na to daję ci słowo.

Nigdy nie zdołała pojąć, skąd się wtedy brała w niej ta siła, ta zupełna jakaś in-ność, która ją samą zdumiewała. Przygotowywała Włochów na odejście do lasu; raz jeden złamała swoje postanowienie i kazała Emilowi wymienić okazałego dzika na dwie pary butów dla nich i jelenia na dwa kozuszki. Dieter także musiał mieć jakieś cieplejsze odzienie, przyszedł do Olszanki w upalny sierpniowy dzień, nie można go było posłać do lasu w samej kurtce. Do jednego rozgrzeszenia została więc dołączona i sarna (nie wyobrażając sobie, aby miała jeszcze kiedykolwiek klęknąć przy konfesjonale, myślała jednak, że dobre i złe uczynki znoszą się nawzajem i w końcu dochodzi do tego jakiegoś bilansu, do którego powinien dążyć każdy człowiek).

Włosi nie mieli zbyt wielkiej ochoty rozstawać się z Olszanką — zwłaszcza na zimę; już teraz przymrozki nocami ścinały ziemię, a na strychu komin był zawsze ciepły, jedzenie nie najgorsze, a gospodyni urocza — mówili jej to, ilekroć się u nich zjawiała albo kiedy oni schodzili na dół, coraz bardziej ośmieleni i zżyci z tym domem. I ona nie miała ochoty rozstawać się z nimi, ale byli już zupełnie zdrowi, a w lesie liczył się chyba każdy żołnierz, bo front się zbliżał coraz bardziej i musiały się teraz zwielokrotnić ataki na linie kolejowe, łączące Warszawę ze Lwowem, słyszeli o minach na torach pod Zwierzyńcem i Maziłami, o koncentracji oddziałów partyzanc-kich w lasach janowskich, zbliżała się chwila wielkiego rozrachunku z tą ziemią.

— Słuchajcie — mówiła — spotkamy się, jak się wojna skończy. Przyjedziecie do Olszanki, żeby pokazać Helence medale na waszej piersi. Helence i mnie...

Nie odpowiadali. Siedzieli z opuszczonymi głowami, a i ona traciła swój sztuczny pogodny nastrój, bo ilekroć cieszyło ją już niechybnie zwycięskie zakończenie wojny, uderzała w nią myśl żałobna, że nie wszyscy będą mogli przeżywać tę radość tak, jak by należało. Andrzej nie wracał, mijały dni, tygodnie i miesiące, a on nie wracał. Nie przestawała na niego czekać, ale coraz mniej było w tym nadziei, coraz mniej światła w owym ciemnym korytarzu, w który wkroczyła.

Przed odejściem Włochów i Dietera do lasu trzeba było się upewnić, czy Jamroź jest jeszcze w swoim dawnym obozowisku, i Emil ruszył na tę wyprawę, zegnany nowym ściśnięciem serca, niespodziewanym i bolesnym.

Nie wiadomo skąd mu przyszło do głowy zegnać się z nią, i to było najgorsze, nie mogła się zdobyć na żaden gest, który by nie był powtórzeniem gestów zegnających Andrzeja, więc szybko zbliżyła się

do niego, pocałowała go w czoło i powiedziała prawie szorstko, jakby chodziło tylko o robotę czekającą na jego powrót z lasu: —

Wracaj prędko!

— Nie mam konia — burknął. — To trochę potrwa.

Wrócił po trzech dniach z nowiną złą i dobrą równocześnie: Jamroża nie było w jego obozowisku, nie było go w pobliskiej okolicy. Wszystkie drogi i nawet ścieżki patrolowała żandarmeria i wojsko, udało mu się przejść tylko dzięki zaświadczeniu zaliczającemu go do służby leśnej Lichnowca, które pod ogromną pieczęcią podpisał

sam Thomas Gurtel. O przeprowadzeniu kogoś do lasu nie mogło być mowy.

Włosi i Dieter odetchnęli.

— Madonna czuwa nad nami — powiedział Lucio. — Sophia! Pokochałem prawie komin na twoim strychu.

— Za bardzo jesteś skłonny do miłości.

— Takie mam już czułe usposobienie.

Zacząli się więc przygotowywać do zimy w Olszance — obtykać mchem wszystkie dziury na strychu, rąbać drzewo, bo Emil chodził teraz z Gurtlem na polowania, jako że odbywały się właśnie rykowska jeleni i był to czas na odstrzał dzików i saren.

Dieter też zaczynał coraz bardziej wierzyć, że doczeka się końca wojny w Olszance. Choć zawsze pilnował go ktoś z bronią gotową do strzału, jak prawdziwego jeńca, czuł się coraz swobodniej. Zaprzyjaźniony prawie z Włochami, pobłażliwie traktował

swój własny erkaem w ich rękach. — Odstaw to żelazo — mówił do Francesca lub Lucia. — Po co miałbym uciekać? W najśmielszych marzeniach nie mógłbym sobie wyobrazić przyjemniejszej wojny. Gdyby jeszcze...

Zaczynali rozmawiać o kobietach i musiała rezygnować z przysłuchiwania się ich rozmowie. Podejrzewała zawsze, że chyba umyślnie wiodą ją tak głośno; bawili się jej rumieńcami, jej spuszczonej oczyma, byli mężczyznomi, a ona była kobietą, na któ-

ją patrzyli dzień po dniu od długich miesięcy.

Pelaszce także nie pozwalała zbyt często kręcić się koło nich — była wojna, bali się, każdej chwili mogli zginąć, ale to nie przeszkadzało im wodzić oczyma za jej łyd-kami, widocznymi spod coraz bardziej za krótkiej spódnicy. Rosła jeszcze, ale i na nią działał chyba ten czad, który zawsze unosi się w powietrzu tam, gdzie tłumiony jest płomień. — Pelaszka! — mówiła jej. — Wiesz, co dziewczyna ma do stracenia. Uwa-

żaj!

— Co też pani? — obrażała się Pelaszka. Wodziła oczyma tylko za Emilem, i przed nim na pewno nie zdołałaby jej obronić.

Trzymanie tylu ludzi w Olszance okazywało się największą lekkomyślnością podczas... dzielenia chleba. Wprawdzie otrzymywała wciąż jeszcze przydział dla Andrzeja, ale ta skromna porcja nie mogła wyżywić trzech mężczyzn i Pelaszki, także nie zameldowanej w Olszance. Czasem otrzymywali kilka bochenków z pałacu, ale była to pomoc doraźna i niezbyt częsta, a jeść chciało się zawsze.

Dzieląc chleb była pewna, że wszyscy żałują go najbardziej Dieterowi — był

Niemcem, był jednym z tych, którzy ponosili winę za to, że tego lata nie było już żadnych żniw w Zamojskiem i Biłgorajskiem, że na pewno nie będzie ich w roku przyszłym, a jadł, a wyciągał rękę po chleb i musieli się z nim dzielić. Nie przeczuwali wtedy, w jaki sposób ich los zostanie związany z losem tego człowieka.

Zima i wiosna minęły szybko na stałym oczekiwaniu wieści, dobrych — złych słuchać się nie chciało, ale docierały i one. Front zbliżał się coraz bardziej, nocami zdawało im się, że słyszą odgłosy armat, ale było to tylko złudzenie; Niemcy zaczęli już wprawdzie wywozić na zachód swoich Volksdeutschy z krwawo odebranych Polakom wsi, ale starczyło im jeszcze siły, aby przeprowadzić największą z dotychczasowych obław w lasach janowskich i Puszczy Solskiej na zgrupowane tam oddziały partyzantów polskich i radzieckich. Potem, po latach, dowiedzieli się z lektury pilnie zbieranych książek, że były to starannie przygotowane akcje „Sturmwind I” i „Sturmwind II” — wtedy jednak wiedzieli tylko tyle, że na południe jadą wciąż oddziały SS i Wehrmachtu, że okryty kurzem ciągnął przez cały dzień janowską szosą skośnooki korpus kawalerii kałmuckiej, siejąc popłoch nie tylko na wsi, ale i w pałacu. Sam Gurtel stał na bramie i trzęsąc się ze strachu, bronił do niego wstępu. Nocami ciągnęły czołgi i działa...

Myśleli, że to już front tak blisko. Pelaszka już nawet zaczęła zbierać się do domu, gdy Emil przyniósł z Lichnowca wieść o bitwie nad Branwią, o pierwszym — odpar-tym — niemieckim ataku na partyzanckie pozycje.

Tego wieczora Emil wywołał ją do obory, gdzie indziej nie mogli swobodnie rozmawiać. Muchy cięły Łaciatkę, opędzała się niestrudzonym ogonem, bijąc nim po bokach i zadzie. Ciepło buchające z jej ciała i woń niedawno dojrzonego mleka usposabia-

ły sennie, i o tym najpierw pomyślała — że chciałaby spać, zasnąć natychmiast i dłu-go się nie budzić.

Ale Emil od razu ją zaatakował. — Co zrobimy z tym człowiekiem?

— Z kim? — zapytała, żeby zyskać na czasie.

— Z Dieterem. Nie może... nie powinien u nas zostać. Po akcji w lasach janowskich i Puszczy

przeczeszą pewnie i inne lasy. Obecność Dietera... oznacza w takim wypadku...

— Wiem, co oznacza w takim wypadku obecność Dietera — przerwała mu łagodnie. — I jak ty byś to chciał załatwić...

Milczał. Kropla potu ściekała wzdłuż jego nagiej piersi, widocznej w rozpięciu koszuli.

— Jak byś to chciał załatwić? — powtórzyła pytającym tonem. — Nie mogłam się na to zdecydować kilka miesięcy temu wobec tego obcego, zagrażającego nam człowieka, a teraz...

— Teraz zagraża nam jeszcze bardziej. — Druga kropla potu toczyła się przez pierś Emila, natrafiła na tę pierwszą, połączyła się z nią i spłynęły razem wilgotną strużką w ściągniętą pasek koszulę. — A jesteśmy odpowiedzialni nie tylko za siebie, ale i za Helenkę, i za tamtych dwóch...

— Wiem — krzyknęła — wiem! Nigdy nie przestaję o tym myśleć. Ale jestem za słaba... widocznie jestem za słaba, żeby coś postanowić. A ty? Ty potrafisz to zrobić?

Emil odetchnął głęboko. — Ja powinienem to potrafić.

— Ale nie potrafisz?

— Nie.

I dodał po chwili: — Myślałem, że razem... że razem zdobędziemy się na to.

Położyła mu dłoń na ramieniu, czuła przez wilgotną koszulę parowanie jego ciała, wieczór był duszny, muchy cięży nie tylko Łaciatkę. — Cieszę się, że obydwójce nie potrafimy tego zrobić — powtórzyła cicho. — Może. to się obróci przeciwko nam, ale w tej chwili...

— Co w tej chwili?

Oparła czoło o jego ramię, musiała zamilknąć, bo bała się, że głos jej się załamie, że się rozplacze. — Niech to będzie głupie, niech to będzie śmieszne... ale nie mogę ratować życia mego dziecka... zabijając drugiego człowieka...

Milczał.

— Jak będziemy żyć, jak potem będziemy żyć, z jakimi myślami, z jakimi oczyma, jeśli go zabijemy, a okaże się to niepotrzebne... nikt tu nie przyjdzie... nikt tu nie zagładnie...

— Jest wojna — odezwał się wreszcie Emil, jakby zbierając ostatek sił, bez nadziei jednak na to, że mogą mu się na coś przydać — jest wojna, a on jest naszym wrogiem. Przyszedł tu, nie my do niego, ale on do nas... Po co tu przyszedł...?

— Wszystko to prawda — szepnęła. — Wszystko prawda... Ale nie zrobimy tego, ani ty, ani ja...

— Trzeba z nim przynajmniej porozmawiać.

— Tak. Porozmawiam z nim — powiedziała jak w gorączce. — Zaraz z nim porozmawiam...

Poszli obydwójce od razu na strych. Mimo otwartego okna panował tam zaduch i upał zapierający dech w piersiach. Lucio i Dieter, rozebrani do pasa, grali w karty.

Francesco pod oknem układał na jutro następną lekcję włoskiego. Erkaem leżał obok niego na parapecie.

Zawstydzili się, kiedy weszła. Swojej nagości i woni potu, która musiała od razu uderzyć jej w nozdrza; najpierw się zawstydzili, dopiero potem w oczach Dietera za-czął się rodzić niepokój.

— Muszę z tobą porozmawiać — powiedziała.

— Tylko ze mną?

— Tak, z tobą. Wiesz, co się znowu zaczyna dziać w naszych lasach.

— Co można wiedzieć, jak się człowiek nie rusza stąd na krok? — odpowiedział

niedbale, ale oczy miał czujne, skupione, spojrzenie wbite w nią jak ostrze.

— W puszczy trwa wielka bitwa. Może się zdarzyć, że i nasz las stanie się terenem obławy... Do tej pory Francesco i Lucio ukrywali się u nas szczęśliwie. Wiesz, czego się teraz boimy?

— Wiem.

— Czy wiesz także, co powinniśmy zrobić?

Nie odpowiedział już teraz „wiem”, zamilkł, ale nie zdejmował z niej spojrzenia, naga pierś unosiła mu się gwałtownie, jakby biegł i musiał się nagle zatrzymać.

Zwróciła się teraz ku Włochom. — Francesco! Lucio! Wy wiecie?

— Tak! — odpowiedzieli po bardzo długiej chwili.

— Słyszałeś. Wszyscy myślimy to samo. Ale nie chcemy tego zrobić. Nie zrobimy, jeśli nam przyrzekniesz swoją lojalność.

Włosi zamrugali powiekami, Emil za jej plecami jęknął, jakby go ktoś uderzył, Dieter patrzył w nią, wciąż tak samo czujnie i ostro.

— Lojalność! Już pewnie nikt nie wie, co to znaczy. Czy można pośród tego, co się dzieje, mówić nagle o lojalności? A jednak zachciało mi się o niej mówić. Dieter, mam małe dziecko, prawdopodobnie straciłam męża — po raz pierwszy powiedziała to na głos, lecz choć była przerażona brzmieniem tych słów, potrafiła je nawet powtó-

rzyć — prawdopodobnie straciłam męża... ale usiłuję uratować coś z tego świata, coś, co pozwoli mi

nadal żyć... Przymknij mi, że zachowasz się lojalnie, że jeśli w końcu się tu zjawią, nie piśniesz ani słowa, nie ujawnisz się, zrobisz wszystko, co będą robić Włosi: materace na sztorc, i w okno! Na dach i na drzewa!

— Przymknę! — rzekł Dieter cicho. Oczy mu złagodniały, twarz straciła napięcie. — Przymknę!

— Pamiętaj! Wierzymy ci!

Odwróciła się ku drabinie i napotkała spojrzenie Emila. Stawiała już stopy na szczeblach, gdy nagle podniosła głowę. — Pamiętaj także, że Francesco będzie cię miał wciąż na muszce. Zaczynasz krzyżeć i nie skończysz, zginiesz w pół oddechu.

Upłynęło kilkanaście dni wśród strasznych wieści z lasów janowskich i Puszczy.

Dieter stracił swą dawną swobodę, z Włochami prawie nie rozmawiał, od niej — gdy wchodziła na strych — odwracał głowę.

Którejś nocy rozległo się ciche pukanie do okna.

Zerwała się z łóżka, obłąkana nadzieją, i zanim Emil zdążył wstać, otworzyła drzwi.

Ale zamiast cienia znajomej sylwetki zobaczyła kilka postaci, majaczących pod ścianą.

— To my — odezwał się jakby słyszany już kiedyś głos. — Koledzy Stasia.

Cofnęła się od progu, już Emil stał za nią, już Pelaszka zapalała lampę.

Było ich trzech; dwóch znała, trzeci był obcy. Wszyscy byli pokrwawieni, brudni, wyczerpani do granic wytrzymałości.

— Jest pan doktor? — spytali od progu.

— Nie — odpowiedziała. — Nie ma.

— Myśleliśmy... — zaczął któryś.

— Nie było go z wami?

— Nie... Od ubiegłego roku... Tylko Achilles... koń pana doktora...

— Co... Achilles...?

— Przyszedł sam. Zaraz... kiedy to było? Jakoś rok temu...

— Przyszedł sam... — powtórzyła.

— Tak. Musiał zbłądzić. Jeździł potem na nim nasz porucznik. Bardzo go lubił.

Ale i to nie pomogło...

— Co? W czym nie pomogło?

Chłopcy zwiesili głowy.

— Zjedli go ludzie podczas tego okrążenia nad Tanwią... Kiedy robi się ciemno w oczach od głodu, człowiek przestaje myśleć...

— Rozumiem — przerwała. — Rozumiem.

Pelaszka rozpałała ogień, grzała wodę, Emil przygotowywał bandażę.

Nad ranem powiedziała chłopcom: — Stasio leży pod jodłą. Zmarł zaraz po waszym odejściu. Będziecie przechodzić koło tego miejsca, gdzie leży. Nie możecie tu zostać. Na strychu — podniosła oczy — mamy dwóch dezertersów włoskich i Niemca.

Jest u nas w niewoli. Lepiej, żebyście stąd odeszli. Emil przeprowadzi was na wieś, ma tam znajomych gospodarzy. Może tam przyjdziecie do siebie, a potem uciekajcie z tej okolicy.

Przez kilka dni był spokój, a potem w biały dzień, w południe, przyszło tych czterech, prowadząc z sobą Emila, pojmanego w lesie.

Nikt ich nie zauważył. Francesco był w oknie strychu, Lucio i Dieter, jak zawsze teraz, grali w karty — droga do Lichnowca i ta druga w głąb lasu były puste, prze-

świetlone jaskrawym, upalnym słońcem pierwszych dni pogodnego lipca. Oni przyszli zza domu, wychylili się z zarośli, prowadząc Emila i konie obeszlili leśniczówkę, zostawili konie za węglem i z peemami w ręku zmierzali do progu.

Emil krzyknął. Może ci na górze usłyszeli ten jego głos, wołający na alarm, przzerwany natychmiast uderzeniem, tak jak ona go usłyszała. Kiedy odwróciła się od kuchni, zobaczyła ich już w drzwiach: czterech Kałmuków z korpusu kawalerii doktora Dolla.

Krzyknęła także, krzyknęła Pelaszka, pochylona nad wiadrzem przygotowywanego właśnie picia dla krowy, zapłakała Helenka.

Oni się zaśmiali. Krótko, triumfująco, z radością! Skośne oczy zamieniły się w czarne szparki, którymi zerkali jednak na kobiety, na dwie kobiety, napotkane nagle na ich wojennej drodze.

Popchnęli Emila ku ścianie, kazali mu się odwrócić do niej twarzą. Bełkotali coś między sobą w swoim języku, znowu się zaśmiali z tą samą dziką, niecierpliwą rado-

ścią, a jeden, najstarszy spośród nich, zwrócił się do niej i do Pelaszki po niemiecku:

— Ausziehen!

Stała jak sparaliżowana, wśród zamazanych przed oczyma postaci Kałmuków zobaczyła nagle Emila, odrywającego się od ściany, a potem Emila powalonego uderzeniem kolb, Emila na ziemi, zbroczonego krwią.

— Ausziehen! — wrzasnął Kałmuk. Sięgnął do piersi Pelaszki, rozległ się trzask dartej tkaniny i płacz Pelaszki, nagie ciało zaświeciło bielą.

Kałmucy znowu się roześmieli, cicho jakoś, z podnieconym pośpiechem. Jeden zaczął się rozbierać. Zapamiętała ruch jego palców przy guzikach, pośpieszny, niecierpliwy.

I nagle w sieni rozległy się twarde kroki i niemiecki głos, wydający rozkazy, drzwi otworzyły się szeroko i stanął w nich Dieter, w mundurze i czapce, z ręką wzniesioną w pozdrowieniu. — Heil Hitler!

— Heil! — wybełkotali zdumieni Kałmucy.

— Was ist denn? — Dieter rozejrzał się po kuchni, jakby naprawdę był w niej po raz pierwszy. — Na ja! — roześmiał się hałaśliwie i klepnął najbliższego Kałmuka po plecach. — Aber sie werden Kollegen dabei haben!

Mówił wyraźnie, najprostszymi słowami, żeby mogli zrozumieć. Ten, który umiał po niemiecku, od razu zmarkotniał, pozostali — patrząc na jego twarz — także.

— Kollegen! — powtórzył Dieter. Znowu otworzył drzwi i krzyknął przez nie kilka komend, jakby kierował je co najmniej do plutonu żołnierzy. — Schneller! —

krzyknął na końcu. — Schneller!

Rozległy się śpieszne kroki i na progu stanął Francesco z erkaemem w rękę.

— Schneller! — krzyknął jeszcze raz Dieter.

Zagrała seria, jedna i druga — Kałmucy, nie zdążywszy nawet podnieść rąk do broni, runęli na podłogę.

Chwyliła Helenkę i wybiegła z nią do pokoju, wkopała ją między pierzyny i poduszki, przykryła sobą. Kiedy po długim czasie odważyła się wejść do kuchni, Pelaszka szorowała podłogę, żeby usunąć z niej ślady krwi, a mężczyźni — wszyscy: Emil, Dieter, Lucio i Francesco — kopali dół pod jodłą, pod tą samą, pod którą pochowali Stasia, tylko z drugiej strony. Pobici Kałmucy leżeli obok, twarzą do ziemi, równo ułożeni, pozbawieni swoich ostatnich gestów.

Mogli, ale nie chcieli wyryć ich nazwisk na korze — po co, z jakiego powodu miałby ich tutaj ktoś wspominać lub pamiętać...?

Dieter wrócił potem na strych, nie przynaglany przez nikogo zdjął kurtkę, przeta-sował karty, wyciągnął z nimi dłoń do Lucia, żeby przełożył. Tylko Francesco, wciąż trzymający się blisko okna i złożonej na parapecie broni, wstydził się teraz jakby trochę tej gotowości, ale jej nie zaniechał.

A potem... miał tę broń najbliżej, chciał jeszcze raz być żołnierzem, i doczekawszy końca wojny, jednak go nie doczekał.

Podczas tej strzelaniny, między oddziałem Jamrozą a ostatnią grupą Niemców, która była jeszcze w Lichnowcu, Dieter nie opuścił strychu, nie zaprzestał tasowania kart. Potem, kiedy już najpewniej i nieodwołalnie wróciła Polska, kiedy po kilka razy dziennie biegali do Lichnowca po nowiny, nie chciał opuszczać go także, w dalszym ciągu niespokojny o swój los. Poszła wtedy do żandarmerii wojskowej, złożyła odpowiednie oświadczenie, i z tym dokumentem miał Dieter pod opieką Emila wyruszyć do Lublina, a stamtąd do oswobodzonej Austrii.

Bo Emil także odchodził z Olszanki. Zobaczył polskie wojsko, polskie wojsko gnające Niemców na zachód, i nie było siły, żeby go powstrzymać, a także potrzeby, żeby był tu, a nie tam.

Przyszedł do niej któregoś dnia, wróciwszy z Lichnowca, obłąkany radością, z twarzą, jakiej u niego dotąd nie widziała. — Idę! — zawołał.

Objęła go całego wzrokiem — chłopca, który przy niej, w jej oczach, stał się mężczyzną — i powiedziała tak, jak należało: — Idź!

— Nie będzie pani miała żalu, że zostawiam teraz... że zostawiam panią i Helenkę...?

Uśmiechnęła się, nie chciała, żeby się o nią niepokoił. — Jak tylko będzie można dostać się do pociągu, wracam do ojca.

— A Lucio? — zapytał, nie patrząc na nią.

— Lucio pojedzie z nami. Nie ma jeszcze wolnej drogi do domu. Emil! — zawołała cicho. — Co ci przychodzi do głowy?

— Przepraszam.

— Myśl o tym, że nadszedł najpiękniejszy dzień w twoim życiu. Nie wiem, czy znajdziesz pociechę w zabijaniu, i nie chciałabym jej dla ciebie. Ale musisz tam dojść, musisz tam być, postawić swoją obcą nogę na ich ziemi, tak jak oni postawili swoją na naszej. To ich bardziej zabolę niż śmierć.

Pocałował Helenkę, która się rozplakała i nie chciała go puścić. — Kiedy wrócisz?

— pytała. — Kiedy wrócisz?

— Niedługo! — Emil postawił ją na ziemi i czekał teraz, żeby ona podała mu rękę.

Ale ona go objęła i na krótką chwilę przytuliła do piersi. — Wracaj zdrowo!

Nie wiedziała nawet, jak to się stało, że czekanie, które w ciągu ostatniego czasu było treścią jej życia, przemieniło się teraz w czekanie na Emila, może nie tak od razu na Emila, tylko na kogoś, kto musiał iść i kto miał wrócić po walce, po zwycięstwie...

Przeniosły się teraz z Luciem — Pelaszka już była w swojej wsi — do ojca, które-go nie zastała jednak w domu. Drzwi otworzyła jej Leosia. Najpierw spłakała się na jej widok i długo całowała Helenkę, a potem wykrztusiła, że pana doktora nie ma, że także poszedł.

— Dokąd?

— Do wojska. Teraz wszyscy idą.

— Wszyscy? — zapytała ostrożnie.

— No... może nie wszyscy. Pan doktor może by się też zastanawiał... bo to takie wojsko... nie każdy wierzy, że nasze... ale inaczej tam by nie doszedł. Do tego jakiegoś Eisenach, panienska wie...

Zaczęła ją tak nagle nazywać, teraz, kiedy nie było już ku temu żadnego powodu.

— Panienska wie — powtórzyła — on pochodził z Eisenach. Jakoś tak rok temu wzięli go jednak stąd na front wschodni, ale jeśli go tam sprawiedliwość nie tknęła, to wróci do tego swojego Eisenach... Pan doktor go tam znajdzie.

— A Sara Gliksman? — spytała cicho.

Leosia przeżegnała się szerokim zamachem ramienia, jakby tym gestem wypędza-

ła z każdego kąta cień starej Żydówki. — Sara Gliksman nie żyje.

— Zmarła na strychu?

— Nie. Przeżyła do końca wojny. A jak tylko weszli Rosjanie z naszym wojskiem, pan doktor odsunął szafę i sprowadził ją na dół. Posiedziała w ogródku, przeszła się naokoło domu. Tylko nic nie mówiła, i tak jakby nie widziała, ani mnie, ani pana doktora. Było tak ze trzy dni. Coraz lepsza się robiła, wiatr ją owiał, od słońca zaraz innego koloru nabrała, pan doktor się cieszył. Ale następnego dnia, kiedy był jeszcze w szpitalu, otworzyła furtkę, wyszła z ogródka i poszła na rynek. Usiadła na kupie gruzów, na popalonych ceglach, i tak ją ludzie znaleźli, już zimną. Pewnie... — Leosia nabrała oddechu — pewnie wzięło ją to, że na miejscu jej domu trawa gdzieś już porosła, nawet brzoźka się zasiała... nie dla jej serca był ten widok. Zimna już by-

ła, kiedy ją znaleźli.

Zobaczyła przed sobą Sarę Gliksman w starej peruce, z której odleciał — na zawsze odleciał — ptak...

Leosia kończyła: — Ona umarła już pięć lat temu. Oddychała, jadła, ruszała się, ale już nie żyła. To pan doktor powinien być od razu wiedzieć.

Zanim ruszyła ofensywa styczniowa, dostała od ojca dwa listy i kartkę od Emila.

Potem były już tylko komunikaty z frontu, radio i gazety, a także praca, musiała od razu znaleźć sobie jakieś zatrudnienie, miała na utrzymaniu nie tylko Helenkę, ale tak-

że Leosię i Lucia, który otrzymał wprawdzie zasiłek i ubranie, ale to nie zaspokajało jego potrzeb.

Wieczorami uczył ją i Helenkę włoskiego, przejął ten obowiązek po Francescu i wykonywał go sumiennie. Sam nauczył się już wcale nieźle mówić po polsku i nie miał większych trudności w porozumiewaniu się z Leosią. Spoważniał i jakby wydorósł. Musiała nim wstrząsnąć śmierć Francesca, bezsensowna i niepotrzebna śmierć w przededniu zakończenia wojny. Nigdy nie mówili na ten temat, ale był on zawsze obecny w ich rozmowach.

I uczucie do niej stało się teraz inne, nie uzewnętrzniane słowami, nie wyrażające się szukaniem okazji do zbliżeń i ustępstw z jej strony. Zajął się domem, zaniedbanym przez doktora w czasie wojny, naprawił dach, płot w ogrodzie, wymalował kuchnię i jadalny pokój, w którym wszyscy przesiadywali. Leosia była nim zachwycona. —

Gdzie się pan tego wszystkiego nauczył? — dziwiła się.

— Nie uczyłem się. Jak się musi, to się umie.

Przymykał swoje orzechowe oczy, całował Leosię w rękę. — Leozija! — mówił.

— Czy naprawdę nie można mnie kochać?

— A kto tak mówi? — oburzała się Leosia.

Podnosił na nią wzrok, wskazywał ją oczyma!. — Ona. Ta twoja panienka. Nie mówi tego na głos, ale myśli. Wiem, że myśli.

— Ona nie jest panną — tłumaczyła Leosia oględnie. — Ma dziecko.

— Zabiorę ją razem z dzieckiem. Leozija, wytłumacz jej, że nikt nie będzie jej tak kochał, jak ja!

Leosia nie starała się jej tego wytłumaczyć. Odchodziła zaraz do kuchni, stwarzając im — jak się jej zdawało — okazję do swobodnej rozmowy.

A rozmowa była krótka. Mówiła mu, jak tyle razy przedtem: — Maria czeka na ciebie.

Zawsze chciało jej się wtedy dodać, że i ona czeka — ale na kogo? Na kogo?

Kiedy droga na południe była już wolna, odwiozła Lucia do Warszawy, odprowadziła na dworzec.

— Będę pisał do ciebie — wołał z otwartego okna wagonu. — Będę często pisał.

Może się namyślisz!

Ale napisał tylko raz. I było w tym liście jedno ważne zdanie: „Maria czekała na mnie”.

Odpisała, że życzy im szczęścia.

Ojciec po zakończeniu wojny dotarł do Eisenach. Z polską misją repatriacyjną znalazł się w strefie amerykańskiej i mimo nawału zajęć zdołał uzyskać jeden dzień urlopu. Zanim wrócił, opisał ten dzień dokładnie w liście. Zachowała ten list i nieraz odczytywała, kiedy ojciec już nie żył i nie mógł opowiadać bez końca Helenie i Agnieszce, jak to szukał w Eisenach człowieka, który sądził, że jak się będzie chesało ziemię ognistym grzebieniem, to się osiągnie na niej ład i piękno.

W tych wczesnych tygodniach powojennych Niemcy były kupą gruzów, porzuconych wśród ruin poduszek, książek, srebrnych łyżek i pobitej porcelany. Nawet w miasteczkach i wsiach nie tkniętych bombardowaniem miało się wrażenie, że pył ceglany przysypał twarze ludzi, choć w istocie był to leżący na nich grubą warstwą strach.

Ojciec przyjechał do Eisenach amerykańskim jeepem.

Żołnierz, który go zabrał, przez całą drogę częstował go papierosami i pieprznymi historyjkami z Wirginii, skąd pochodził. Papierosy doktor palił, z historyjek niewiele rozumiał, jedynie ze sposobu opowiadania i ze śmiechu żołnierza wnioskował, że mu-szą być one pieprzne. Widok Eisenachu, schludnego i spokojnego nawet w ten burzą-

cy wszystko czas, uderzył go kamieniem w piersi.

„Ich habe in Eisenach die Schule besucht und mein Brot vor den Turen ersungen”, przypomniał sobie. Zaczął pytać o dom Lutra.

Pokazano mu narożny budynek z pruskiego muru z oknami o małych szybkach.

Patrząc na kamienny próg przy drzwiach wcale nie doznał wzruszenia na myśl, że, być może, jest to ten sam próg, na którym stały stopy wielkiego, a przynajmniej przez historię ludzkości zapamiętanego człowieka, lecz natychmiast przeniósł wzrok na są-

siednie domy. Który z nich może być rodzinnym domem Wenera?

Mały porucznik wspominał zawsze, że wychował się naprzeciwko domu Lutra —

tam więc ojciec skierował najpierw swoje kroki.

Była to wąska kamieniczka ze sklepem spożywczym na dole, w którym za całe zaopatrzenie miały teraz wystarczyć pozostałości po reklamach Oetkera i Meinla. Zapukał do mieszkania za sklepem; drzwi otworzyła mu młoda kobieta w turbanie z kra-ciastego szalika na głowie i cofnęła się wylękniona na widok munduru.

Ojciec wymienił nazwisko Wenera. Kobieta uspokoiła się natychmiast, wyszła nawet na podwórze, a stamtąd na boczną uliczkę, żeby mu pokazać, gdzie mieszka

„Familie Breitkiihn” — tak, w tym małym domku z ogródkiem (który nie stał wcale naprzeciwko domu Lutra, ten splendor sąsiedztwa mały porucznik sobie wymyślił, był

mu widocznie potrzebny).

Na rogu uliczki żołnierze amerykańscy rozdawali z samochodu ciężarowego chleb.

Doktor wyminął zbiegowisko wokół wozu, otworzył furtkę do ogródka, przyjrzał

się szklanym kulom, zdobiącym trawnik, gipsowemu karzełkowi przy krzaku róży, i zapukał do drzwi. Długo czekał, zanim usłyszał powolne kroki, zmierzające do progu.

Otworzyła mu mała staruszka, także w szaliku na głowie. Wycierała ręce w fartuch i ze zdziwieniem patrzyła na przybysza.

— Chciałbym się zobaczyć z Wenerem — powiedział.

— O, pan zna Wenera? — ucieszyła się staruszka. — Opa! — krzyknęła w głąb domu. — Chodź tu prędko! Jest tu ktoś od Wenera.

Poprzedzany odgłosem starczego człapania zjawił się na progu siwowłosa mężczyzna w koszuli i kamizelce, opuścił głowę, żeby mu się przyjrzeć znad okularów.

Długo milczał. — Pan... Amerykanin? — zapytał z wahaniem.

— Polak.

— Skąd Amerykanin! — staruszka cofnęła się, wskazując gościowi wejście w głąb mieszkania. — Opa, skąd Amerykanin? Wenera przecież był w Polsce. Może leczył pa[^]a? Ja wiedziałam, że jego będą wszyscy dobrze wspominać.

— Był komendantem szpitala, w którym ja przed wojną byłem dyrektorem — powiedział jej ojciec i usiadł na podsuniętym mu krześle. — Czy... zastałem go w domu?

Staruszka zamrugała powiekami, poprawiła szalik na głowie. — Wenera?

— Wenera.

— Nie — szepnęła. — Nie.

— Jeszcze nie wrócił?

— Jeszcze nie wrócił.

— Oma! — zaczął staruszek, ale rzuciła mu krótkie spojrzenie, więc zamilkł.

— Pan znał Wenera! — zwróciła się znów do ojca. — Mój Boże, jakie to szczęście, że pan do nas przyszedł! Niech pan coś opowie! Może to pan grał z nim w szachy...?

— Ja. — Ojciec czuł, że go dławi coś za gardło. — Ja. Pisał o tym?

— Czy pisał? W każdym liście! Cieszyliśmy się, że nasz chłopiec ma miłe towarzystwo. To nasz wnuk — powiedziała po chwili.

— Nic... więcej nie pisał?

— Och, o wszystkim, o wszystkim pisał: że ludzie chorują... I pan — uśmiechnęła się zażawionymi oczyma — pan z tak daleka, żeby go zobaczyć... Tylko po to do Eisenach?

— Tylko po to.

— Opa! — Staruszka wyjęła z kieszeni fartucha chusteczkę i wytarła oczy. —

Słyszałeś? Aż z Polski tylko po to! Pamiętają go tam ludzie.

— Pamiętają.

— Ja wiedziałam... — powtarzała stara kobieta. — Ja wiedziałam...

Patrząc w jej wyblakłe, zaczerwienione od łez oczy, ojciec powiedział nagle: —

Uratował życie jednej Żydówce.

— Judin...? — powtórzyła staruszka trochę zaskoczona, niezbyt pewna, czy to ty-tu! do chwały. — Judin?

— Tak. Uratowała się dzięki niemu.

Skrzypnęły drzwi wejściowe, rozległy się kroki w sieni. Podniósł się z krzesła.

— Żałuję, że go nie zastałem.

Ale staruszka już go nie słuchała. — Trudi! — wołała, biegnąc ku drzwiom. —

Pan przyjechał aż z Polski, żeby odwiedzić Wenera...

Kobieta, która stanęła w progu, nie była już młoda. Siwe włosy wymykały się jej spod szalika, ale trzymała się prosto i nie lękliwie rzuciła mu spojrzenie. Z dwoma bochnami chleba przed sobą weszła do pokoju. — Mein Sohn ist gefallen — powiedziała twardo. — Die armen alten Idioten wollen nicht daran glauben.

— Trzeba było im powiedzieć! — upierały się po latach Helena i Agnieszka. —

Dlaczego im nie powiedziałaś?

— Nie wiem — odpowiadał dziadek. — Nie wiem...

I Emil był przez kilka tygodni po zakończeniu wojny w Niemczech. Doszedł tam, do samego Berlina, i tak jak mu powiedziała, postawił swoją obcą nogę na ich ziemi i widział, że boli ich to bardziej niż śmierć.

A pewnej nocy zapukał ktoś do drzwi domu, w którym były tylko we trzy, trzy kobiety: stara, młoda i dziecko.

Długo się nie odzywały, czasy nie były jeszcze spokojne.

— Ja otworzę — zdecydowała się wreszcie Leosia.

— Nie! — krzyknęła. — Niech Leosia zapyta najpierw przez drzwi.

Przybiegła zaraz zdyszana. — Słuchaj — wołała przez sień — to Emil!

Znała go z opowiadań jej i Helenki, wiedziała, że będzie radośnie witany. Ale drzwi nie otworzyła, chciała, żeby ona uczyniła to sama.

Zerwała się z łóżka, narzuciła szlafrok. Zbudzona Helenka biegła za nią.

Emil w mundurze, z dwoma gwiazdkami na ramieniu, wydał im się zrazu kimś obcym, ale skoro tylko się odezwał, skoro się uśmiechnął i wziął Helenkę na rękę, stał

się w jednej chwili dawnym Emilem z Olszanki, najbliższym człowiekiem na świecie, z którym się przeżyło kawał najtrudniejszego życia.

Wiele godzin z dwóch dni urlopu, które dostał przed zgłoszeniem się w jednostce w Bieszczadach, strawił na przygodnych ciężarówkach, którymi udało mu się dotrzeć tam, dokąd dotrzeć pragnął. Zakurzony i brudny mył się teraz w łazience, nie przestając opowiadać.

— Chyba jeszcze wyrosłeś? — powiedziała.

— Ja? — zarumienił się gwałtownie. — Już nie rosnę.

— Ile ty masz teraz lat?

— Dwadzieścia trzy — odpowiedział z dumą.

— A ile masz gwiazdek? — dopytywała się Helenka.

— Gwiazdki mam dwie. Ale będzie więcej.

— Potrafię je policzyć?

— Potrafisz.

Spędził u nich cudowny, długi dzień, przespał noc nareszcie w prawdziwym łóżku, a rano zaczął znowu sposobić się do drogi.

— Kiedy wrócisz? — zapytała Helenka.

Zapinał pas, skóra trzeszczała cichutko, wydawała ostry, nie wywietrzały jeszcze odór, być może był to nowy oficerski pas Emila, noszony od święta.

Podniósł głowę, uśmiechnął się do dziecka (na nią nie patrzył). — Jak tylko będę mógł. I... jeśli tu będzie się na mnie czekać.

Helenka klasnęła w rączki. — Ja będę czekać.

Dopiero teraz spojrzał na nią. Był blady, usta mu drżały. — A pani?

Długo nie odpowiadała, a on stał i czekał.

— Emilu — powiedziała wreszcie, patrząc mu w oczy uczciwie i godnie — jeśli będę mogła pokochać drugiego mężczyznę, to na pewno będziesz nim ty.

21

— No i wreszcie widziałeś ten strych — odzywa się Agnieszka, niezbyt taktownie i wobec matki, i wobec Renata, kiedy siedzą już wszyscy w samochodzie i jadą w stronę Kraśnika.

Renato mruczy coś pod nosem, usta ma lekko obrzmiałe od całowania. Patrząc na nie, Agnieszka myśli w popłochu o własnych wargach, całowali się na pustej szosie po odwiezieniu Kacperskiego do Janowa, żarliwie i w skupieniu, tak jak Renato zwykł to czynić, aby go nie można było zapomnieć...

Agnieszka wyjmuje puderniczkę i przygląda się swojej twarzy, ustom, na których nie ma już śladu szminki, oczom. Zatrząskuje puderniczkę, wrzuca ją do torebki.

— Mamo — mówi — ja bym coś zjadła. Gonisz mnie od' rana po jakichś Jano-wach...

Zofia nie słyszy. Prawym brzegiem szosy, plecami do nich, idzie jakiś człowiek z torbą przerzuconą przez ramię. — Zabierzmy go — mówi cicho.

— Przecież to ten sam — zdumiewa się Agnieszka, gdy Renato mija go i zatrzymuje przed nim wóz.

— No właśnie. — Zofia otwiera drzwiczki, czeka, żeby idący zrównał się z nimi.

— Podwieziemy pana!

Człowiek z torbą przerzuconą przez ramię zatrzymuje się na brzegu szosy, jakby go ktoś uderzył. Przez dłuższy czas nie może nic powiedzieć, aż zdumiona Zofia czuje się zmuszona powtórzyć głośniejszym głosem: — Podwieziemy pana! Niech pan wsiada. Znowu z jabłkami dla wnuczki?

— Ja tylko do pekaesu — broni się stojący na drodze człowiek. — To już tylko kilka kroków.

— Podwieziemy pana do Kraśnika. Przecież już się prawie znamy. Wczoraj widziałam pana w kawiarni, powiedziano mi nawet, jak się pan nazywa... Tu wszyscy pana znają, panie Klimecki.

Klimecki uśmiecha się z wyraźnym skrępowaniem i niezręcznie pakuje się do wo-zu na zrobione mu przez Zofię miejsce. — W takiej małej miejscowości jak Lichnowiec wystarczy, żeby kto pobyl w niej przez tydzień, i już go wszyscy znają, a co dopiero tyle lat...

Teraz go zapytam, myśli Zofia, teraz go zapytam. Na pewno widziała już gdzieś tę twarz. Gdzie? Kiedy? W jakich okolicznościach? Ale Klimecki uporczywie patrzy w okno, jakby nigdy nie widział tej drogi, jakby jechał nią po raz pierwszy.

— Proszę pana... — zaczyna Zofia, ale nie ma odwagi skończyć.

— Przyjdiesz? — pyta Renato bardziej oczyma niż wargami.

— Przyjdę — szepcze Agnieszka.

Gdzie? Kiedy? Ta twarz była wtedy młoda, ale musiało w niej coś przetrwać do dziś, skoro ją pamięta, jej rysy, oczy, ich wyraz... — Proszę pana... — zaczyna znowu.

I nagle tamten człowiek odwraca się i z bliska, dotykając prawie ramieniem jej ramienia, pyta: — Znalazła pani grób swego męża?

Tylko do Renata nie docierają te słowa, prowadzi dalej spokojnie wóz drogą oświetloną ostrym słońcem.

Zofia nie może złapać tchu, w samochodzie brakuje jej nagle powietrza, z trudem wyciąga dłoń, żeby opuścić szybę.

— Mamo! — krzyczy Agnieszka. — Słyszałaś?

— Słyszałam — odpowiada słabo. I zwraca się do Klimeckiego: — Jak to... „grób mego męża”...?

— Myślałem, że po to tu pani przyjechała.

— Ja... ja nie wiedziałam, że gdzieś tu... że gdzieś tu jest grób mego męża... Nie wiem, kiedy i gdzie zginął...

— Jak to? — Klimecki unosi się na siedzeniu. — Przecież wtedy w czterdziestym trzecim, kiedy Niemcy tak tu szaleli z wysiedlaniem, mąż pani, doktor z Olszanki, tak? — pyta, pragnąc się upewnić.

— Tak, doktor z Olszanki.

— Mąż pani wracał do lasu... miał konia, tego pięknego konia młodej pani z pała-cu...

— Tak — szepcze Zofia — tak.

— Odprowadzał go ten chłopiec od was. Z dzieckiem...

— Tak! — krzyczy Zofia. — Tak! Renato, zatrzymaj wóz!

— Zatrzymaj wóz! — powtarza Agnieszka.

Klimecki zaczyna teraz mówić szybko, ręce mu się

trzęsą, oczy płoną. — Przechodzili koło mego domu, mieszkałem wtedy przy bocznej drodze do Janowa, widziałem ich przez okno, od razu domyśliłem się co i jak, powiedziałem nawet do żony, że dobrze... że ten chłopak i dziecko... dla niepoznaki...

czas był taki niedobry. Ale nie zdążyliśmy nawet zjeść kolacji, jak ten chłopak z dzieckiem dobija się naraz do drzwi i krzyczy, że ledwie się z doktorem rozstał i do domu zawrócił, usłyszał w lesie jakieś strzały, a potem tętent koński... chciał dziecko zostawić, żeby tam pójść, żeby zobaczyć, czy nie stało się coś złego z doktorem. Poszedłem razem z nim, żona nie chciała mnie puścić, ale za to wszystko dobro, co tu doktor ludziom wyświadczył, rozumiałem, że należy mi się iść, że nie można chłopaka samego zostawiać. Zresztą papiery miałem w porządku, pracowałem w majątku w cegielni, sam treuharder na papierze mi się podpisał, miałem co pokazać, jakby mnie kto zaczepił. A chłopak trząsał się cały i płakał. Poszedłem razem z nim i nawet nie szukaliśmy długo, leżał pod drzewem, postrzelany jak sito, musieli po nim kilka razy serią przejechać, już nie żył.

— Mamo — szepcze cicho Agnieszka, przechyla się przez oparcie, dotyka dłoni matki.

— Nic, nic. — Zofia ma oczy suche. — Niech pan mówi dalej.

— Koń, najwidoczniej spłoszony strzałami, poszedł w las. Baliśmy się, żeby tamci nie wrócili, chłopak mówił, że nikogo nie widział, tylko nagle odezwały się strzały, mogli jeszcze gdzieś być, ukryci w krzakach. Ale trzeba było coś zrobić z ciałem, nie mogliśmy go tak zostawić, w nocy może jakieś psy albo lisy... lato było gorące...

— Mamo! — Agnieszka klęka na siedzeniu, przechyla się ku matce. Zdumiony Renato nie rozumie nic z tego, co się dzieje, patrzy pytająco na Agnieszkę, ale ona nie zwraca na niego uwagi.

— Niech pan mówi dalej! — szepcze Zofia. — Niech pan mówi dalej!

— Ja chciałem ciało zabrać najpierw do siebie, a potem, następnej nocy, prze-transportować do Olszanki. Ale chłopak powiedział, że musimy go zaraz na miejscu pochować, że tak będzie lepiej. Nie wiedziałem, dlaczego tak miało być lepiej, ale nie było czasu na rozmyślanie. Przykryliśmy ciało ziemią, nie mieliśmy czym kopać, więc rękami przykryliśmy ciało ziemią, a następnego dnia chcieliśmy zrobić doktorowi grób jak należy.

— I wtedy przyszedł pan z Emilem do Olszanki — mówi Zofia cicho.

— Tak. Przyniosłem dziecko. Chłopak się do niczego nie nadawał. Bałem się, że mi zemdleje po drodze, nie mogłem go puścić samego. Dziewczynka płakała...

— Chorowała potem długo.

— Musiała się wtedy przestraszyć. Mówiliśmy o tym z żoną.

— Pan wie, gdzie jest ten grób? — pyta Zofia, wciąż jeszcze bardzo spokojna, ale jest w tym spokoju coś takiego, że Agnieszka przechyla się jeszcze bardziej przez oparcie i ogarnia matkę ramieniem.

— A jakże! — obraża się prawie Klimecki. — Przecież krzyż tam postawiliśmy i tabliczkę. Ludzie znali nazwisko, wiedzieli, że doktor był bratankiem naszego leśniczego. Tylko imienia nikt nie znał. Na każde Zaduszki dzieci tam kwiaty składają, nasza szkoła o to dba...

— Powiedz, żeby Renato zawrócił — mówi Zofia do Agnieszki.

Dopiero teraz trzeba Włochowi wyjaśnić sytuację. Agnieszka stara się to zrobić jak najkrócej, ale jednak nie udaje jej się ominąć pewnego szczegółu. — Ten człowiek wie, gdzie jest grób doktora. Wie, gdzie i kiedy zginął.

— Jedziemy tam?

— Tak.

Renato zawraca. Dopiero po chwili pyta: — Więc gdzie i kiedy? Chciałbym o tym powiedzieć ojcu. Uratował mu przecież życie.

— On nam pokaże gdzie. Przy jakiejś bocznej drodze do Janowa. A kiedy...? Wtedy, gdy wracał do lasu...

— Przecież nieraz się to zdarzało?

— Gdy przyprowadził twego ojca i Francesca do Olszanki i potem wracał do lasu.

Wtedy to się stało.

— Wtedy — mówi Renato.

— Wtedy — powtarza jeszcze raz Agnieszka.

Jadą znów w stronę Janowa. Klimecki wskazuje boczną drogę, w którą muszą skręcić, potem dom, gdzie przedtem mieszkał, w końcu las, przetrzebiony tak samo, jak Olszanka, ale ratowany teraz sosnowym młodniakiem.

— To tutaj — mówi Klimecki.

Wysiadają, idą za nim w milczeniu.

Po co zgodziłem się zostać tu jeszcze na dziś? myśli Renato. Nie wiedziałbym i ojciec nigdy by nie wiedział. Co teraz zrobić z tą wiadomością, jak patrzeć w oczy tej kobiecie? Dobrze, że przynajmniej nie wie nic o ojcu, o Carli, o hotelu w Ostii... Dobrze, że przynajmniej tego nie wie...

Agnieszka wsuwa dłoń pod ramię matki, chce, żeby się na niej oparła, myśli, że będzie jej to potrzebne. Ojciec Heleny był dla niej dotąd postacią prawie że historyczną, prawdziwe życie matki zaczynało się od małżeństwa z ojcem, czy mogło ją przedtem łączyć coś z innym człowiekiem? A oto nagle materializował się, pod wzgórzem ziemi, ale jednak był, istniał, w jakiś sposób wracał w ich życie. — Moja kochana! —

mówi do matki. Prowadzi pod rękę tę niedoroślą dziewczynę, chciałaby zmniejszyć jej ból, wziąć go na siebie, jest silniejsza, wydaje jej się, że jest silniejsza, że mogłaby więcej znieść.

— To tutaj — mówi Klimecki. Prowadzi ich teraz wąską ścieżką między niskimi sosnami, pachnie tu igliwem i mchem, z drzew opodal dochodzi nawoływanie wilgi.

— Tutaj!

Na małej polance stoi jedna jedyna brzoza, uratowana przy wyrębie przez to, że był pod nią ten grób. Oslania go teraz długimi gałęziami, i tutaj Renato myśli, jak przy grobie Francesca, że doktor stał się, że co roku staje się jej młodymi liśćmi... Grób jest niewysoki, ale starannie utrzymany, obłożony darnią, jeszcze ze śladami jakiejś wią-

zanki nieśmiertelników, złożonej na ostatnie Zaduszki. Na drewnianym, poczerniałym od deszczu krzyżu krótki napis: DOKTOR ZAWISTOWSKI, a pod nim, mniejszymi literami: Swojemu Doktorowi ludność Lichnowca i okolicy.

Więc to jest tak... to było tak... Zofia jednak musi oprzeć się na ramieniu Agnieszki. To było tu... Przez długie lata starała się wyobrazić sobie tę chwilę, zapłakać nad nią, i oto odnajduje jej ślad, gdy jest już na to za późno, gdy tak wiele spraw stało się już przeszłością i ta jest po prostu jedną z nich, może najboleśniejszą, może najbardziej dotkliwą... Tylko dlaczego serce ćmi jak urażony nagle ząb, dlaczego świat traci swoją barwę i woń, dlaczego chciałoby się to, co nieuniknione i dokonane, zatrzymać, odwrócić, odwołać, wałąc czołem w ziemię, w tę darni, oddzielając człowieka od człowieka, życie od śmierci...

— Jak pani widzi — odzywa się Klimecki — nikt tu nie zapomniał o doktorze.

Tyle lat... Jest takie prawo, że i cmentarze można zaorać po dwudziestu pięciu latach, ale ten grób ma tu swoją wieczność, nikt go nie zrówna z ziemią.

— Dziękuję — szepcze Zofia. — Dziękuję!

— Ja także nie mogłem z początku pani poznać — decyduje się Klimecki na zwierzenie. — Już wczoraj w samochodzie, pierwszy raz, ale nie byłem pewny. Potem po południu, w kawiarni... już chyba wiedziałem, ale nie miałem odwagi zaczepić. No i myślałem, że pani wie.

Potrząsnęła głową. — Nie wiedziałam. Uznano męża za zaginionego. Wysłałam po raz drugi za męża

— A ten chłopak... ten chłopak wtedy nie powiedział...?

— Nie. Nie powiedział.

— Może to i lepiej — mówi Klimecki. Pochyla się nad grobem, zdejmując z niego zeschnięte gałązki, zeszlóroczne liście...

To ja... ja powinnam to zrobić, myśli Zofia, ale nie ma odwagi się schylić, wycią-

gnąć ręki, nie ma odwagi dotknąć... Stoi jak sparaliżowana i dopiero gdy Klimecki usiłuje wyprostować przekrzywiony nieco krzyż i podnosi na nią oczy, rzuca się ku niemu. — Ja panu pomogę!

— Może ja? — odzywa się cicho Renato.

— Nie, nie, ja! — Zofia i Klimeckiego odsuwa od krzyża, ujmuje dłońmi szorstkie, ledwie oheblowane drewno jego ramienia, zaciska na nim palce. I wtedy rozdziera się coś w sercu i wybucha z niego płacz, nie wczorajszy, ale dzisiejszy, nie ma, nie ma przeszłości, nie ma oddalenia, nie ma zanikania, milknięcia...

Klimecki, Agnieszka i Renato odchodzą, żeby mogła się wypłakać, do dna, do samego suchego dna... Nie patrzą w jej stronę, wracają do samochodu, Renato ostatni, z pochyloną głową.

W drodze powrotnej już nie rozmawiają. W Kraśniku wysadzają Klimeckiego.

Znowu przerzuca swoją torbę przez ramię, podnosi dłoń w pożegnalnym geście. Odważa się tylko zapytać: — Chyba nie zabierze pani stąd grobu?

— Nie — mówi Zofia, nie patrząc już na niego. — Zostawię go tutaj.

Przed domem w Warszawie Renato powinien się pożegnać, przynajmniej z Zofią, powinien się pożegnać, ale nie żegna się, stoją przy samochodzie, chwila się przedłu-

ża, i nagle Zofia mówi z jakimś zabląkanym i nie skierowanym do nikogo uśmiechem:

-y- Właściwie szkoda...

— Czego szkoda? — pyta Agnieszka z niepokojem.

— Mogłam wsiąść po drodze. Miałabym bliżej do ojca.

— Po co... chcesz jechać do ojca?

Zofia wciąż nie patrzy ani na Agnieszkę, ani na Renata, wymija ich, idzie do wej-

ścia. — Musi mi coś powiedzieć... Muszę go o coś zapytać...

Renato, nie zaproszony, wstępuje także na schody, wchodzi na górę. — Zawiozę panią.

— Ach nie! Ma pan przed sobą długą podróż.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, to prawie po drodze.

— Mamo — odzywa się Agnieszka — Renato i tak miał dziś wyjechać z Warszawy... — Nie patrzy na niego, ale czuje, jak jego palce zamykają się na jej dłoni (stoją przy sobie dotykając się ramionami), i w tym uścisku jest wszystko: żal, że nie będzie wieczornego spotkania, zrozumienie, że go nie będzie, że nie może go być, ale że w zamian jest coś, czego nie spodziewali się osiągnąć w tym najbliższym zbliżeniu.

— Jeśli to po drodze... — mówi Zofia. — Proszę, niech pan wejdzie. Zjemy coś i porozmawiamy. Tylko — odwraca się do nich obojga — ani słowa przed Heleną tej... o tej ostatniej sprawie. Później jej to powiem, teraz ma za dużo innych zmartwień,

Helena wita ich w przedpokoju. Ma w rękach jakiś list, oczy zaczerwienione, jakby nad nim płakała. Nie pyta, jaką mieli podróż, od razu podaje list matce. — Masz, przeczytaj.

— Co to takiego? — Zofia widzi, że arkusz zapisany jest maszynowym pismem, w lewym rogu ma pieczętkę.

— Przeczytaj!

— Może jednak wejdziemy — mówi Agnieszka

wpycha wszystkich do pokoju, rzuca torbę na jakiś mebel, wsuwa rękę pod włosy na karku, podnosi je do góry. — Uff! Zaczyna się robić gorąco! Jest chyba w lodówce coś do picia?

— Przeczytaj! — mówi do niej matka, podając jej pismo.

Agnieszka szybko przebiega oczyma kilkanaście linijek tekstu, oddaje pismo siostrze, całuje ją mocno w policzek. — Trzymaj się, stara! Mało jest rzeczy jedynych na świecie.

— Ale co ja teraz mam? — Helena rozkłada ręce. — Co ja teraz mam?

— Masz całą swoją dzielność! — Agnieszka pragnęłaby tego uniknąć, ale jednak jest w jej słowach trochę ironii.

— Co ja teraz mam? — powtarza Helena, rzuciła list na stół, jej ręce są teraz puste, Renato widzi ich bezradne rozłożenie, jakby wyodrębniał je obiektywem, jakby przysuwał je coraz bliżej najazdem kamery, i nagle zaczyna mu się coś jawić, coś zupełnie innego niż to, o czym myślał, jakieś inne wyobrażenie ważności, wyboru, decyzji, inna warstwa życia, dostrzeżona i zarejestrowana, przyłapaną na istnieniu.

— Renato! Pytam po raz drugi — mówi Agnieszka — czy chcesz się czegoś na-pić?

— Ależ chętnie!

Przyłapana na istnieniu, powtarza w myśli Renato. Podnosi teraz oczy na twarz Heleny, i coś mu się otwiera, coś wiecie go dokądś daleko, nie przypuszczał nigdy, że mógłby tam dojść, dalej, myśli, dalej, jeszcze dalej, co wiemy o ludziach, żadne wyobrażenie nie jest doskonałe, „nie lubię fabułek”, powiedziała Agnieszka, ale przecież człowiek jest uwikłany w fabułę, spętany nią, ujarzmiony, nie, nic nie wiemy o ludziach, nie wiemy nawet zbyt wiele o tym, co ich pęta i dławi, musimy jednak drążyć tę skałę nic-nie-wiedzenia, wszędzie, gdzie otwiera się przed nami jakaś szczeli-na...

— Porozmawiam z ojcem — mówi Zofia. Helena zwraca na nią oczy, jest w nich pierwszy blask uśmiechu. — Kiedy?

— Jeszcze dziś.

— Pojedziesz tam?

— Tak.

— Mamo, ty także się czegoś napijesz? — pyta Agnieszka i nie czekając na odpowiedź, wychodzi do drugiego pokoju, zamyka za sobą drzwi. Pamięta jeszcze ten numer telefonu: sześć cyfr, sześć przyjaznych cyfr, zapamiętanych mnemotechnicznie.

„Dwadzieścia trzy — mówił Marek — masz dwadzieścia trzy lata, to jest cudowny wiek dla dziewczyny, osiemnaście, może żałujesz, że już nie masz osiemnastu, ale ja nie, nie lubię smarkatych, no i pięćdziesiąt, będziesz miała kiedyś pięćdziesiąt lat, a ja będę cię kochał tak samo, uwielbiam starsze panie, moje starsze panie, moja matka ci to potwierdzi...”

A więc 231850. Dlaczego ręka tak drży? To głupie, nie powinno się rozmawiać z kimś, kto sprawia, że drżą ręce przy nakręcaniu numeru. Nie, nie powinno się rozmawiać z tymi, którzy nie potrafią tego wywołać. — Halo! — mówi Agnieszka, choć sygnał w słuchawce jeszcze nie umilkł, zdumiewa ją ten szklany i wysoki ton we własnym gardle.

— Słucham — odzywa się nagle znajomy głos.

Nie powinna pytać, ale pyta: — Marek? Tu

Agnieszka.

Chwila ciszy, ogromna kropla, która wisi nad głową, spadnie i zatopi ją całą, razem z jej głosem, z tym, co pragnie powiedzieć, co pragnie usłyszeć.

— Agnieszka? — powtarza Marek, jakby pragnął upewnić nie tylko siebie, ale i ją, że naprawdę do niego dzwoni.

— Tak, ja.

— Cieszę się — mówi on po długiej chwili.

— I ja, Nie wiesz nawet, jak bardzo. Cieszę się, że do ciebie zadzwoniłam. Masz ochotę na kawę?

— Z tobą?

— Ze mną.

— Mam. Gdzie?

— Tam gdzie zawsze — szepcze Agnieszka — czekaj na mnie tam gdzie zawsze.

Będziesz czekał?

— Zawsze czekam na ciebie — mówi Marek trochę żartobliwie, a trochę uroczy-

ście, bardziej uroczyście niż żartobliwie, i robi się od razu tak jak w domu, kiedy piecze się placek: zaraz będzie święto, już czuje się w powietrzu święto, tylko trzeba się do niego przygotować, trzeba się do niego przybliżyć.

— No to tymczasem — mówi Agnieszka całkiem zwyczajnie, bo boi się, że przy innych słowach załamie się jej głos.

— Tymczasem — odpowiada Marek. — Już wychodzisz?

— Już wychodzę.

Odkłada słuchawkę i od razu, żeby nie stracić tej odwagi, którą jeszcze czuje w sobie, podchodzi do drzwi i wywołuje Renata z drugiego pokoju. — Przepraszam —

mówi. — Muszę iść. I żeby mu nie dać na nic czasu, całuje go w obydwie policzki. —

Wszystko z tobą było cudowne, Renato. Pamiętaj, niczego nie będę żałować, ale tu —

podnosi jego rękę i kładzie ją sobie na piersi — mówiłam ci, że tu mi się coś otworzyło... I już nic nie pomoże, nikt inny tego nie zamknie.

— Rozumiem — mówi Renato i po raz pierwszy, od kiedy się znają, Agnieszka jest naprawdę pewna, że rozumie.

— Dziękuję ci.

— Nie chciałabyś przyjechać z matką do Rzymu?

— Zaproś matkę z Heleną. Twój ojciec ją znał, kiedy była mała... i, myślę, że jej się to bardziej należy... z wielu względów jej się to bardziej należy... Ciao, Renato!

Zobaczymy się przecież, kiedy znowu będziesz w Warszawie.

— Na pewno.

— Wychodzisz? — dziwi się matka.

Agnieszka obejmuje ją za szyję. — Muszę. Mamusiu, ty wiesz, co znaczy słowo „muszę”.

— Wiem — Zofia chciałaby, żeby zabrzmiało to żartobliwie — wiem.

Ale Renato i Agnieszka myślą o tym samym, patrzą na nią i myślą o tym samym...

Do diabła! klnie w duchu Renato, gdzie jest mój film, co się stało z moim filmem?

Kiedy tu przyjechałem, miałem wszystko poukładane jak klocki. Odwróciłem się tylko w inną stronę, i wszystko się rozsypało; jak to pozbierać, czym to skleić, żeby się znowu nie rozpadło? Matka i ta dziewczyna..., myśli o Helenie, i ta dziewczyna. Jak ożywić tę twarz, jak rozświetlić te oczy? Czy ośmieszyłby się przed starym, gdyby zaproponował jej rolę w filmie? Przed starym i przed nią? Chyba przed nią bardziej.

Ale nie mając jej można mieć coś z niej, ten dręczący mit polskich powinności, ten sznur, który ich pęta, który nieraz windował ich na szubienice, ale dzięki któremu w najcięższych chwilach zawsze są razem jak żaden inny naród. Tylko jak to ugryźć?

Jak pokazać? Jak pokazać udrekę? I szczęście, że się jest zdolnym ją przeżywać, że nie odsuwa się jej od siebie? Stary się wścieknie, ale chciał, chciał, żeby to było inne, nie jak pasta do zębów znanej marki, nadająca się dla wszystkich, uniwersalna i świa-towa.

— Ciao, Renato! — powtarza Agnieszka i już teraz przy matce i Helenie wyciąga do niego dłoń.

— Ciao! — odpowiada Renato w roztargnieniu.

— Jak się udała podróż? — pyta dopiero teraz Helena. — Stoi tam jeszcze ten dom?

— Stoi — mówi Zofia, krąży między pokojem a kuchnią, znosi na stół naczynia, pieczywo, masło, jakieś zimne mięso. — Stoi jak stał. Tylko lasu już nie ma.

— Nie ma? — dziwi się i martwi Helena. Pamięta, jak ze snu, wysokie drzewa i ławkę wśród nich, pamięta próg domu, na którym w słoneczne dni rozkładała szma-ciane lalki.

— Nie ma — powtarza Zofia, jakby dopiero teraz godziła się na to, przyjmowała do świadomości, bo przecież tak naprawdę to nie mogła się z tym pogodzić nigdy.

— A pan — Helena zwraca się do Włocha — znalazł pan tam miejsca z opowiadań ojca?

Renato schyla nisko głowę. — Znalazłem, te i inne

— Szkoda, że ojciec nie mógł przyjechać razem z panem.

— Pamięta go pani?

— Jak przez mgłę. Ale wiem, że zawsze spotykało mnie coś miłego ze strony ludzi, którzy byli w Olszance.

— Ojciec nie mógł przyjechać. — Renato patrzy na swoje ręce, złożone po obu stronach talerza. — Jest zawsze tak zajęty...

— Zdumiewające — mówi Zofia — jak bardzo ludzie się teraz śpieszą, jak mało mają czasu dla siebie.

— Tak — potwierdza Renato skwapliwie — tak.

A późnym popołudniem, kiedy zlikwidowawszy swoje sprawy w Warszawie i za-brawszy rzeczy z hotelu, zjawia się znów przed domem, Zofia czeka już na niego na dole. Wsiada, jakby ją coś nagliło, i nie przeraża jej, że ten młody człowiek, gdy tylko wydostają się z zatłoczonych ulic, naciska gaz i od razu na liczniku jest sto czterdzie-

ści; pragnie tego dnia nagłości i pośpiechu, przelotu cieni drzew po twarzy, gwałtow-nych uderzeń powietrza.

— Nigdy jeszcze nie najeździłam się tyle samochodem, co w ciągu tych dwóch dni — mówi z uśmiechem do Renata.

— Kiedy przyjadę następnym razem — decyduje się Renato bez uzgodnienia tej sprawy z ojcem — zabiorę panią i starszą córkę do Rzymu.

— Och, dziękuję! — Zofii sprawia przyjemność to zaproszenie, widać to po jej oczach, ale po chwili chmurnieje. — Tylko nie wiem, jak to będzie...

— Z czym?

— Nie wiem, czy Helena będzie mogła... Zmienia teraz pracę... — Zofia urywa, szuka czegoś w torebce. — Wie pan, jak to jest, sprawa urlopu na przykład... — Nie, nie powiem mu, myśli, nie powiem mu, że Helena straciła nie tylko męża, ale i swój instytut, pracę w instytucie, że w tym liście, który dziś dostała, było wypowiedzenie, że po to wysłali ją na stypendium za ocean, żeby potem nie wykorzystać tego, czego się tam nauczyła, ktoś inny zajął w tym czasie jej miejsce, więc nie może tam wrócić.

Tego nie da się zrozumieć, ale to się dzieje, dlaczego tak się dzieje?... Co Helena teraz czuje, jakie zadaje sobie pytania? Nie, nie, Helena jest silna, po kim to wzięła, że jest silna?

— Bardzo bym chciał, żeby wszystko ułożyło się pomyślnie. Powinniśmy byli z ojcem wcześniej o

tym pomyśleć.

— Na taką przyjemność nigdy nie jest za późno — Zofia pragnie zapobiec zażenowaniu Renata, bo i jej sprawia ono przykrość, chciałaby mówić o czymś innym, myśleć o czymś innym... Groźna woda, którą Emil stara się powstrzymać, której stara się nie dopuścić do ludzkich osad, to, że zawsze jest tam, gdzie ludzie potrzebują pomocy, jest jakąś pociechą, jakimś potrzebnym jej zamknięciem wszystkich spraw, zapyta go tylko o tamto, dowie się, czy było tak, jak przypuszcza, czy było tak, musi to wiedzieć i dowie się tego jeszcze dziś, a potem będzie czekać na niego w kwaterze, aż wszystko się uspokoi, aż wysoka fala przejdzie, aż duża woda się przewali i oni będą mogli razem wrócić do domu.

— Wie pani, gdzie to jest? — pyta Renato.

— Pokażę panu na mapie.

Przystają, Renato rozkłada mapę i Zofia pokazuje mu punkt przy Wiśle, w którym chciałaby się znaleźć, doznaje dziwnego, śmiesznego wzruszenia dotykając na papierze miejsca, nazwy tego miejsca, w którym jest Emil, w którym Emil się jej nie spodziewa, a jednak będą tam, będą tam razem.

— W zimie mieliśmy dużo śniegu, a przez całą wiosnę opady deszczu, szczególnie w górach — mówi do Renata, gdy znów ruszają — stąd zagrożenie powodziowe na niżej położonych terenach. Mój mąż siedzi tam od tygodnia.

— Proszę przekazać mu moje ukłony i wyrazy szacunku. Bo to, zdaje się, Emil z opowiadań ojca?

— Emil — uśmiecha się Zofia.

— Ogromnie żałuję, że nie mogę go poznać, ojciec by się ucieszył, gdybym mu powiedział, że go widziałem. Ale muszę na noc zajechać do Wiednia.

— Och, to wcale nie jest pewne, czy go tam zastaniemy. — Zofia boi się, żeby nie zmienił zdania i nie zdecydował się jednak na przerwanie podróży. — Wie pan, jak to jest w takich wypadkach.

— Co pani zrobi w takim razie?

— Nic. Dowiem się, gdzie ma kwaterę, i będę tam czekać na niego.

Jest tak, jak przewidywała: przy wale ochronnym, umacnianym przez żołnierzy workami z piaskiem, nie ma Emila. Pyta o niego, jakiś młody oficer mówi, że puł-

kownik jest na wodzie, że nie wiadomo, kiedy wróci, ale żołnierz może ją zaprowadzić na kwaterę we wsi, a oni zawiadomią pułkownika, jak tylko się zjawi.

— Widzi pan — mówi Zofia do Renata trochę z żalem, ale jednak i z odrobiną satysfakcji — byłam tego pewna.

Renato podwozi ją jeszcze razem z żołnierzem do wsi i wysadza przed przyzwoitym murowanym budynkiem, otoczonym kwitnącym sadem.

— Przynajmniej ładnie tu — mówi.

— Ładnie — potwierdza Zofia, rozglądając się dokoła. — Ładną ma pułkownik kwaterę — mówi do żołnierza.

Chłopak staje na baczność. — To ja ją wybierałem, proszę pani pułkownikowej.

— Renato — Zofia wyciąga rękę do Włocha, bo już czas się żegnać — Renato!

Niech pan wraca zdrowo do Rzymu i powie ojcu, że zachowaliśmy go w żywej pamięci. Na cześć Francesca często mówimy po włosku. Niech pan powie, że widział

pan jego grób. A o tamtym... o tamtym niech pan nie wspomina. Nie trzeba... żeby wiedział.

— Dziękuję — mówi nie wiadomo dlaczego Renato.

— Tak. Nie trzeba, żeby wiedział...

— Dziękuję — mówi Renato jeszcze raz. Całuje jej rękę i za chwilę już tylko tu-man kurzu na drodze jest krótkotrwałą pamiątką po nim, jest ulotnym świadectwem, że był tu naprawdę.

Żołnierz wprowadza ją na kwaterę, przedstawia gospodyni. Na szczęście nie jest gadatliwa i Zofia może bez obrazy zamknąć za sobą drzwi pokoju, w którym są rzeczy Emila, witające ją rzeczy Emila, jego płaszcz, przewieszona przez poręcz krzesła koszula, przybory do golenia na stoliku... Dotyka ich palcami, przesuwając, gładzi — obcowanie z nimi jest jakimś ukojeniem, prawie sennością, własną ciszą, wyłączoną z gdańskania kur za oknem, z poszczekiwania psa, z odgłosów jakiejś audycji radiowej, której słucha gospodyni.

Zofia zrzuca z nóg obuwie i wyciąga się na łóżku. Wydaje jej się, że poduszka pachnie głową Emila, wodą, jakiej używa do włosów, na stoliku stoi popielniczka z niedopałkami, w domu wyrzuciłaby je czym prędzej, tutaj wciąga nozdrzami woń ni-kotyny, bo ona także jest jego obecnością, pewnością, że nadejdzie, że zaraz tu bę-

dzie... Zasypia, ukołyszana spokojem tych doznań, a kiedy się budzi, czarną noc za oknem przecina ostre światło reflektorów, przed domem warczy odjeżdżający samochód i po chwili znajome kroki odzywają się w sieni.

Podnosi się pośpiesznie z łóżka, poprawia włosy, szuka kontaktu lampki na stoliku, zapala światło.

— Czy coś się stało? — pyta Emil od progu. Opalenizna, której nie miał wyjeź-

dżając z Warszawy, kryje zmęczenie jego twarzy. Gdy zdejmuje czapkę, między jej brzegiem a włosami ukazują się jaśniejszy pas. — Czy coś się stało? — powtarza z niepokojem.

— Bez powodu nie mogę przyjechać do ciebie?

Rozjaśnia się, rzuca czapkę na łóżko, siada obok niej, całuje. Skórzany pas chrzęści cichutko, jak wtedy, kiedy żegnając się z Helenką pytał jej matkę, czy będzie czekać na niego.

— Och, mój drogi! — szepcze Zofia. — Jak dobrze, że już jesteś.

Dopiero wtedy, gdy Emil, myjąc się w miednicy stojącej na krześle, kończy swoją opowieść o powodzi, o stanie przygotowań na zagrożonych brzegach, o swoich sied-miu dniach poza domem, mówi zupełnie zwyczajnie: — Wiesz, był u nas syn Lucia.

— Jakiego Lucia? — Emil trze rącznikiem piersi, przesuwa nim po karku.

— Naszego. Naszego Lucia z Olszanki. Przyjechał do Polski w swoich sprawach zawodowych. Ojciec kazał mu nas odszukać. Był w Olszance, ale tam nie mógł się nic dowiedzieć. Spotkaliśmy się na cmentarzu przy grobie Francesca.

— Byłaś tam?

— Przejeżdżałam obok cmentarza z Agnieszką, bo wybrała się obejrzeć glinę w tamtej okolicy. Zastałam go tam.

— Pojechaliście do Olszanki? — pyta Emil cicho. Wkłada bluzę od piżamy, powoli zapina jej guziki.

— Tak. Pojechaliśmy tam. Lasu prawie już nie ma.

Emil milczy. Zapala papierosa i gasi go zaraz, siada na łóżku. Ma w oczach to pytanie, którego spodziewała się od początku, pytanie i niepokój.

— Lasu prawie już nie ma, a w domu mieszka jakiś pracownik cukrowni.

— Pokazałaś mu... pokazałaś te wszystkie miejsca, w których... — Emil przesuwa dłonią po włosach, znowu ma ochotę zapalić papierosa, ale rezygnuje z tego — ...o których opowiadał mu na pewno ojciec?

— Pokazałam. I to także, o którym nie mógł mu opowiadać... To także...

Pytanie w oczach Emila staje się wyraźniejsze, niepokój rośnie, więc już trzeba z tym skończyć, trzeba to wreszcie powiedzieć.

— Wyjeżdżaliśmy już z Lichnowca, kiedy się dowiedziałam. Jakiś człowiek, któ-

rego zaprosiliśmy do samochodu, żeby go podwieźć, zapytał mnie, czy odnalazłam grób swego męża. On właśnie był z tobą tego wieczoru, zostawiłeś u niego Helenkę, a potem... potem przyniósł ją do Olszanki.

Emil długo milczy, a później pyta, podnosząc na nią oczy: — Co myślisz o mnie?

— Nie chciałeś mi powiedzieć, nie chciałeś, żebym cierpiała. Rozłożyłeś mi to na miesiące i lata, wiedziałeś, że przyjdzie uspokojenie...

Emil potrząsa gwałtownie głową, bierze jej rękę, zamyka w swoich dłoniach. —

Nie tylko to... nie tylko to. Mieliśmy przecież tych ludzi, tych dwóch Włochów i Pelaszkę, starczyłoby ci siły, żeby ich przechować do końca wojny, gdybyś wiedziała, że on zginął? Chciałabyś mieć ich u siebie w domu wiedząc, dlaczego zginął? Musieli-

śmy przecież do końca wykonać to, co nam polecił. Oddał w nasze ręce życie trojga ludzi. Bałem się, że się załamiesz, bałem się, żebyś się nie załamała... Ja sam... wiesz, gdyby nie przyjazd twego ojca...

— Wiem.

— Musieliśmy to wykonać. My dwoje. Musiało starczyć nam siły. Nie masz żalu do mnie?

Zofia zaciska powieki, potrząsa głową. Dopiero po długiej chwili może znów mówić. — Grób wygląda porządnie. Ludzie postawili krzyż z takim pięknym napisem.

Dzieci przynoszą kwiaty...

— Jestem tam co roku. — Emil wciąż trzyma jej rękę, wszystko, co przeżyli razem i co jeszcze razem przeżyją, jest w tym uścisku. — Co roku tam jeżdżę. Wiesz, kim on był dla mnie, kim do tej pory dla mnie jest.

— Teraz będziemy już jeździć razem.

— Tak. Teraz będziemy tam jeździć razem.

Znowu reflektor tnie ciemność za szybami, narasta warkot silnika, samochód zatrzymuje się przed domem.

— To pewnie po mnie — wzdycha Emil.

Tak. Pośpieszne kroki dudnią przed domem, przemierzają sień. Nieśmiałe, jakby przepraszające pukanie i cichy głos: — Panie pułkowniku!

— Zaraz idę! — odkrzykuje Emil. Ubiera się pośpiesznie, a potem pochyla się, bierze ją w ramiona. — Dziękuję ci, że przyjechałaś. Czekał na mnie. Spij i czekaj na mnie. Dobrze mi będzie myśleć, że tu jesteś.

Odprowadza go do drzwi jak w domu, jak przez tyle lat, i nie zamyka ich, dopóki nie umilkną kroki, których powrót jest zawsze tą samą radością serca. Dzisiaj jest tylko dlatego, że było wczoraj i że będzie jutro.

Document Outline















































-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  

Table of Contents

[Rozpoczni](#)